

Wielki las

Zbigniew Nienacki



calibre 0.9.27

ZBIGNIEW NIENACKI

WIELKI LAS

Rozdział pierwszy

Horst Sobota od wielu lat nie lubił chodzić do lasu, choć jego piękny dom dzielił od niego tylko ogródek i piaszczysta droga. Nie lubił nawet siadywać na swym oszklonym ganku, pełnym różnobarwnych szybek, gdyż z tego miejsca można było widzieć mroczną głębię drzew. Wolał schodzić nad jezioro po łagodnej pochyłości szerokiej skarpy, wąską i krętą ścieżką przez sad z niskopiennymi drzewami owocowymi, i niekiedy wiele godzin spędzał na spróchniałym pomoście wśród trzcin. Jezioro było tak samo ogromne i nieprzeniknione jak las, a jednak w upalne dni albo zimą, kiedy pokrywał je gruby lód i zasypywał śnieg, potrafiło nieruchomieć i jak gdyby pogrążyć się w odpoczynku lub błogim śnie. Las nigdy nie spał - nawet zimą, ciągle coś w nim szemrało, szeleściło, traskało albo też porażało straszliwą ciszą, która w każdej chwili mogła przerodzić się w krzyk wywołany wichurą; jak czujny i niebezpieczny zwierz jedynie drzemał, gotów w każdej chwili ocknąć się i pochwycić swoją ofiarę.

Kiedy przychodził wiatr - jezioro pienilo się gniewnie, ale przecież jego wysokie fale tylko łagodnie bełkotały u brzegu, zaś rozkołysane trzciny pobrzękiwały cichuteńko. Natomiast las huczał, postękiwał, skrzypiał, jęczał, groźnie potrząsał koronami wysokich sosen, zagłuszając każdy dźwięk, nawet bełkot fal, i nie pozwalał Horstowi słuchać mowy jeziora. Podobnie i drzewa w Horstowym sadzie w największą wichurę tylko szumiały spokojnie i melodyjnie - ich mowę też podchwytywał i zagłuszał huczący głos lasu, przed którym nie było ucieczki, bo przenikał aż do domu Horsta Soboty, do pokojów, na ganek z kolorowymi szybkami.

Sobocie wydawało się, że rozumie mowę sadu, mowę jeziora i mowę lasu. Fale jeziora snuły opowieść o przewróconych łodziach i żaglówkach, o węgorzach tak grubych jak ramię tłustej kobiety; spasyły się przed laty ciałami setek żołnierzy i tych, co gnani wojennym strachem próbowali uciekać po kruchym lodzie. Również stary sum, który zamieszkał w zatoce przy pomoście Horsta Soboty, też się wtedy utuczył i teraz, mimo że od lat polowali na niego rybacy i wędkarze, potrafił chytrze omijać sieci i żaki. Niekiedy podpływał w pobliże pomostu i nieruchomiał pod powierzchnią wody jak omszały pień drzewa. Stary sum przyglądał się wtedy Horstowi Sobocie i czasami, jakby uśmiechając się, otwierał szeroki pysk, Horst Sobota także uśmiechał się do niego i nie miał żalu, że kiedyś, kiedy Sobota nie był samotny tak jak teraz, ale zamieszkiwał ze swoją drugą żoną i synem, stary sum wciągnął pod wodę stado jego białych kaczek. I nie wiedzieć czemu, mimo tej strasznej historii z żołnierzami w pancernych pojazdach, mimo zaginionych w odmętach dziesiątków ludzi, koni i wozów - Horst Sobota nie odczuwał ani niechęci do jeziora, ani lęku przed jego bezmiarem. Co roku jezioro przyjmowało nowe ofiary i nie zawsze oddawało je ludziom - przeważnie nieostrożnych młodzieńców lub dzieci albo odważnych żeglarzy, którzy wypływali pod trójkątnymi żaglami, aby igrać sobie z falami. Horst Sobota współczuł tym ludziom, lecz nie potępiał jeziora, ponieważ nie zachęcało nikogo do igrania ze swymi falami, nie łaszczyło się samo na cudze życie i cudze mienie.

Rozumiał też Horst Sobota mowę swojego sadu. To wieczne gderanie na mszyce, na leniwe pszczoły i trzmiele, na wiosenne przymrozki, które trzeba było przeganiać paląc między

drzewami ogniska i zasnuwając dymem korony pokryte kwiatami. Sad wciąż miał do Horsta o coś pretensje, po prostu nudził, przypominając o jakimś suchym konarze, o pęknięciu kory, o nie zdjętym z gałęzi ciężkim brzemieniu owoców albo o liszkach, co się wylęgły z kupki zeschniętych liści. Sobota przechodził ścieżką przez sad i udawał, że nie słyszy tego gderania, z liszek przecież rodziły się piękne motyle, przyjemnie było patrzeć, jak latają i mienią się różnymi kolorami podobnie jak szybki na ganku. Tak samo miała się rzecz ze szpakami. Nie na wiele się zdało gderanie sadu - szpaki też musiały posmakować wiśni, dzięcioły naddziobać jabłko: człowiek nie powinien żyć bez motyli, szpaków i dzięciołów. A że mniej przez to otrzymywał pieniędzy, cóż to miało za znaczenie dla Horsta Soboty, który w skrzyni zakopanej w stodole ukrywał więcej pieniędzy, niż mógłby wydać do końca życia.

Tylko mowy lasu Horst nie lubił. Wydawała mu się kłamliwa i przewrotna. I zawsze była taka sama.

Najpierw las próbował nastraszyć, przytłoczyć, porazić swoim ogromem. Rozhuśtany wichurą groził, że grube sosny zwali na piękny dom Soboty i zgniecie go jak skorupkę ślimaka. Ogłuszał głębokim huczącym głosem, wygrażał rozkołysanymi koronami drzew. Potem zaś łagodniał i zaczynał się żalić - postękiwał, pojękiwał ocierającymi się o siebie gałęziami, wyl z żalu, popłakiwał, szlochał, skarżył się na swój los, tłumaczył nieprawości, które czynił, przeproszał Horsta za wszystkie krzywdy, jakie mu wyrządził, obiecywał, że już nigdy więcej nie będzie się łakomił na cudze życie i cudze mienie. A przecież wystarczyła chwila nieuwagi, a już od strony lasu szybowały na pole Horsta Soboty małe nasiona brzozy, ptaki niosły w dziobkach nasiona sosny, jak skrzydlate motyle przelatywały nad drogą nasiona klonu, który akurat usadowił się po jej drugiej stronie. Wystarczył rok nieuwagi, a gdzie się tylko dało, nawet w ogródku przed domem i obok ganku, wśród dalii, astrów, mieczyków, tulipanów, narcyzów, cynii, petunii, goździków i malw - nagle wyrastała brzoźka, klon lub sosenka. To samo zdarzało się w sadzie, nawet w rowie przydrożnym - wszędzie, gdzie się dało, las chciał się zasiedlić, objąć w posiadanie każdy skrawek gleby, nawet grudkę ziemi, która pozostała w rynnie, bo i tam sadił brzoźkę. Las był łapczywy na cudze mienie, cały świat chciał wziąć w posiadanie. Zarastał stare drogi, dawne mogiły, ścieżki i ścieżynki. Pojękiwał i skamlał tłumacząc się ze swoich drobnych win, ale o zbrodniach - milczał.

"Gdzie moja żona Hilda i dwie córki" - zapytywał Horst Sobota, a las tylko po swojemu postękiwał i skrzypiał, wiatr huczał mu w gałęziach. A przecież dowiedział się Horst Sobota od starego Keile i od tych wszystkich, co przeżyli w okolicy ową straszną zimę, że podobnie jak wielu innych, także i Hilda wraz z córkami, końmi i krowami ukryła się w lesie. I wielu ocalało, a ona nie - nikt nie wiedział, co się z nią stało, choć Horst Sobota, gdy powrócił z niewoli, wypytywał, pisał listy na wszystkie strony świata. I czekał, przez pięć lat czekał na jakiś znak od Hildy, od którejś z córek. Bo jeśli żyły, to przecież musiały się kiedyś odezwać, napisać kartkę choćby z odległego świata, jak wielu innych, co też się wtedy zgubiło, a potem odnalazło. Ale Hildę i córki musiał pochłonać las, wpił się korzeniami w ciała, odżywiał nimi, nabierał sił.

Co zostało z pól Horsta Soboty? Były to przylesne piaski, lecz należały przecież do niego, do człowieka. Trzyletnie sosenki zastał na nich Sobota, gdy wrócił z niewoli. Na polach Soboty posadzono las, który przez to stał się jeszcze większy i bardziej zachłanny, jak gdyby mu mało

było Hildy i dwóch dziewcząt.

Na półwyspie, gdzie zakładano teraz plantację nasienną, też kiedyś rozciągały się pola i stał drewniany dom starego Keile. Podobno przed ponad dwustu laty tam właśnie znajdowała się cała wioska, ale przyszedł pomór, od którego można się było odgradzić tylko wodą i ogniem. Wówczas to spalono całą wieś, ludzie zaś na łódkach i tratwach przewieźli dobytek i zbudowali domostwa po drugiej stronie, tu, gdzie teraz ma dom Horst Sobota. Z czasem na dawnym pogorzelsku osiedliła się rodzina Keilów, żyła długo i szczęśliwie, umierając w odpowiednim wieku i z godnością. Chowano ich na własnym cmentarzyku wśród własnych pól i na mogiłach stawiano kamienie z wykutymi na nich napisami. To dopiero w pierwszym roku wojny żandarmi znaleźli w lesie trzech jeńców, którzy uciekli z niewoli, lecz las ich wydał nie chcąc żywić. Rozstrzelano ich na polach na półwyspie, a stary Keile i Horst Sobota pochowali tych ludzi na cmentarzyku Keilów, bez mogił, gdyż żandarmi zrobić tego nie pozwolili. Sobota ciekaw był, kim byli ci ludzie, jaką mową mówili, jakie żony i jakie dzieci pozostawili w swoim kraju. Nie dowiedział się tego nigdy, a w trzy lata później, owej strasznej zimy, spłonęła zagroda Keilów. Potem na półwyspie posadzono młody las, stary Keile zaś ponieważ się po cudzych domach i on to opowiedział Sobocie o tym, co działo się tutaj, kiedy Sobota wojował, kiedy przebywał w niewoli. I obydwaj - dopóki stary Keile nie zmarł wreszcie pod cudzym dachem - niekiedy chodzili na półwysep patrzeć, jak las pożera pola, wdziera się nawet na cmentarzyk i coraz silniejszymi korzeniami obejmuje i pochyla kamienne nagrobki.

A co się stało z drugą żoną Horsta Soboty, Gerdą, i ich synem Henrykiem? Odzyskał przecież Sobota swój piękny dom z gankiem pełnym kolorowych szybek, pozostał mu też skrawek ziemi między lasem i jeziorem i tutaj duży sad założył. Czy to znowu nie ten sam las zabrał mu drugą żonę i syna, którego wykształcił na lekarza? "Pozostań ze mną i lecz ludzi" - mówił do syna Horst Sobota. Ale on tłumaczył się, że nie może pracować na wsi, gdyż na chirurga się wyuczył i w wielkich szpitalach musi wiedzę zdobywać. Przyjeżdżał wtedy do ich domu nadleśniczy Burak, siadał przy stole Soboty, rozkładał ogromne mapy i pokazywał na nich sad i dom Horsta. "Jesteście, Sobota, jak wrzód na ciele lasu - mówił Burak. - Ten zielony kolor to las. Spójrzcie, jak ogromną połać mapy zajmuje. Żółtym kolorem są zaznaczone skrawki pól przynależne do leśniczówek i domów zajętych przez drwali i robotników leśnych. To wszystko, zielone i żółte, jest własnością lasów państwowych. I tylko w samym środku widnieje czerwona plama; to wasz dom i wasz sad, panie Sobota. Ta mapa wisi w moim gabinecie, codziennie na nią patrzę i codziennie mi przykro, że nie wszystko na niej jest zielone i żółte. Sprzedajcie nam swój sad i swój dom, zrobimy w nim jeszcze jedną leśniczówkę. Dobrze zapłacimy..."

Nie miał wtedy Horst Sobota pieniędzy, ponieważ sad był młody i żadnych zysków nie przysparzał. Aż pewnego dnia, po jakichś spiskach, które Henryk miał ze swoją matką, powiedzieli mu obydwaj: "Albo sprzedasz dom i sad nadleśniczemu i kupisz synowi piękne mieszkanie w mieście oraz ładny samochód, albo wyjedziemy oboje w daleki świat". Nie kochali ani tego skrawka ziemi nad jeziorem, ani tego domu z gankiem i kolorowymi szybkami. Nie, niczego chyba nie kochali oprócz siebie i nie rozumieli, że Horst Sobota nigdy i nigdzie się stąd nie ruszy, bo czuje się już stary i tutaj pragnie umrzeć i być pochowany. Może nawet obok starego Keile na półwyspie pożeranym przez las. Omamił ich nadleśniczy, ale ponieważ on nie dla siebie, lecz dla lasu potrzebował domu Soboty i jego skrawka ziemi, Sobota wiedział, że to

las poprzez nadleśniczego znowu wyciągnął ręce po jego dobro. Zawziął się i oświadczyć "nie". Żonie i synowi. A właściwie to "nie" zostało powiedziane wobec lasu, do którego już wtedy zaczął odczuwać nienawiść.

I tak oto Horst Sobota został sam w swoim domu i w swoim sadzie, od czasu do czasu przychodził do niego list od żony i syna, czasami nawet jakaś paczka z ubraniami albo zaproszeniem do wyjazdu w daleki kraj. Wtedy to Horst Sobota pojechał do tartaku, wybrał piękne jesionowe deski i sam sobie zrobił trumnę wedle swego wzrostu, a nawet obszerniejszą. Postawił ją w szopie, gdzie przechowywał jabłka zimowe, i po którymś tam liście i zaproszeniu położył się w owej trumnie, aby umrzeć w zapachu jabłek i jesionowego drewna. Ale nie umarł. Bo na wieść o tym, że Horst Sobota położył się za życia do trumny, pięknym samochodem przybył z dalekiego kraju jego syn Heinrich, przeniósł go na łóżko, wyleczył zastrzykami, a potem powiedział: "Masz, ojcze, ponad siedemdziesiąt lat i jak na ten wiek zadziwiająco zdrowe ciało. Ale twój umysł stał się podobny do umysłu dziecka. Powtarzasz ciągle o zbrodniach lasu, a przecież las nie jest żywą istotą. Twój umysł trzeba leczyć, o twój umysł trzeba dbać". Horst zapytał go: "Czemu nie przyjechała moja żona, a twoja matka, Gerda?" Syn wzruszył ramionami i odparł: "Ona ma już innego mężczyznę. Ja też jestem żonaty i mam dwoje dzieci. Jedź ze mną, będziesz z nami. Ty nawet nie wiesz, że powoli staję się sławnym człowiekiem". Ale Horst Sobota czuł, że za tymi słowami, za tym zaproszeniem kryje się jeszcze jeden podstęp lasu, przejawia się cała leśna zachłanność na jego mienie, na jego miłość do własnego domu i własnymi rękami zasadzonych drzew owocowych. Syn więc odjechał, a on pozostał. Tym bardziej że jego żona, Gerda, miała już innego mężczyznę, a on był za stary, aby znaleźć sobie nową kobietę i zacząć żyć w innym kraju, przy boku nie znanej synowej i wnuków, których imion nawet nie potrafił zapamiętać.

Tak więc samotności Horsta winien był las. Była to kolejna jego zbrodnia - ostatecznie utracił drugą żonę i syna. Heinrich dziwił się, że Horst traktuje las jak żywą istotę, i z tego powodu porównywał umysł ojca do umysłu małego dziecka. Ale co on wiedział o lesie? Nie tylko przecież Horst domyślał się, że las jest żywą istotą, odkrył to jeszcze przed nim nieżyjący już leśniczy Izajasz Rzepa. A nie był Rzepa jakimś tam niewykształconym człowiekiem jak Horst; miał tytuł inżyniera, wciąż czytał książki o lesie, a nawet pisał o lesie w gazetach.

"Co to jest las? - Izajasz Rzepa zapytywał Horsta. - Czy można nazwać lasem zwykłe skupisko drzew? Zbiorowiskiem drzew jest także posadzony przez ciebie sad, a przecież twego sadu nazwać lasem nie można. Zbiorowiskiem drzew jest park, a przecież parku nie nazywamy lasem, i w istocie nawet największy park jeszcze lasem nie jest. Cóż więc za zbiorowisko drzew staje się lasem i kiedy się to dzieje? Otóż las, drogi Horście, jest to taki zespół drzew, w którym zaczęły działać procesy i siły lasotwórcze, powstała biocenoza. Tajemne to i przez nikogo do końca jeszcze nie zbadane siły i procesy. Wiemy o ich istnieniu, liczymy się z nimi, bierzemy je pod uwagę, ale tak naprawdę niewiele z nich rozumiemy. To one sprawiają, że w pewnej chwili zwykłe zbiorowisko drzew przemienia się w las, a nie w park. Powstają one nie wiadomo kiedy i działają na swój właściwy sposób. Stwarzają to, co my leśni ludzie w naszym leśnym języku nazywamy ekosystemem leśnym, oraz jeszcze coś większego, klimaks leśny. Siły lasotwórcze sprawiają, że las sam umiera i sam się odradza. Życie lasu zaś przejawia się w ciągłej walce o byt. Czy nie przeraża cię myśl o matce pożerającej własne dzieci? A przecież to

codzienne zjawisko w każdym lesie. Oto brzoza matka co roku zasiewa wokół miliony swoich dzieci. Ale te, które zakorzenia się w jej pobliżu, po jakimś czasie więdną i umierają, ponieważ zabiera im wodę, zasłania przed słońcem. W lesie każdy żyje kosztem innego, każdy walczy o odrobinę światła słonecznego, o każdą kroplę wilgoci w glebie. To straszna walka, a owe zbrodnie, które dostrzegamy na powierzchni, niczym są w porównaniu z walką, jaką o każdą kroplę wilgoci toczą ze sobą ukryte w ziemi korzenie. Czymże też jest ów klimaks leśny, czyli przedziwna drabina, która pozostaje częścią sił lasotwórczych? Na korzeniach drzew rosną specjalne grzybki, wyżej jest runo leśne, na wyższym piętrze podszyt, a jeszcze wyżej korony drzew. Wszystko istnieje we wzajemnej współzależności, zarazem pożerając się wzajemnie i bez siebie żyć i rozwijać się nie mogąc. Niektórzy powiadają, że las jest piękny. To śmieszne, Horście. Las jest brzydki, bo to, co się w nim dzieje, musi napawać każdego wstrętem. Las to chaos, bałagan i nieporządek. Wystarczy kilka lat nie być w jakimś mateczniku, aby zobaczyć, jaka stoczyła się tam bitwa, ile drzew padło martwych, dla ilu nie starczyło światła i wody. Wszędzie ujrzysz poprzewracane i gnijące pnie, pożerane przez pasożytujące na nich grzyby. My, ludzie, staramy się wprowadzić do lasu jakiś tam nasz ludzki porządek, czyścimy młodniki, aby drzewom zapewnić więcej światła i wody, wywozimy spróchniałe lub suche drzewa, aby nie stały się siedliskiem szkodników pożerających zdrowe drzewa. Wycinamy ogromne połacie lasu, ale zaraz potem sadzimy nowy las, chronimy go przed spalowaniem przez łosie i jelenie, leczymy rany lasu. Dbamy o to, aby działały owe siły lasotwórcze, zarazem jednak ograniczamy ich złowrogie wpływy. Czy wiesz, że wystarczyłoby dziesięć lat, aby z twojego ogródka pełnego kwiatów, z sadu rodzącego owoce nic nie pozostało, ponieważ wkroczyłby tam las, a on nie wie, co to piękno, choć sam czasami również rodzi piękno. W twoim ogródku wyrosłyby brzozy, a twój sad zacząłby dziczeć i rodzić coraz mniejsze owoce. Tajemne i groźne są siły lasotwórcze i prawdziwe jest wrażenie, że las to istota groźna i złowroga. O tak, Horście, las jest straszny. Nie życzę nikomu, aby bez siekiery i piły, ranny, pozbawiony sił trafił do lasu i zdał się na jego łaskę. Nie okaże najmniejszej litości, ptaki wydziobią rannemu oczy, mrówki oskubią ciało, choć jeszcze będzie kołatać w nim resztką życia. Możesz się schronić w lesie, póki jesteś silny, ale biada ci, jeśli okażesz słabość". "A człowiek, Izajaszu? Jakie jest w lesie miejsce dla człowieka?" - zapytał Horst Sobota.

Otrzymał odpowiedź: "Wypowiedziałem tajemne zaklęcie, które brzmi: klimaks. A po grecku znaczy to drabina. Jest więc w lesie runo, podszyt i korony drzew, jak gdyby drabina roślin wspinająca się ku słońcu i czerpiąca soki z ziemi. Jakie miejsce na tej drabinie zajmuje człowiek? Czy jest na samej górze, czy na dole? Niestety, tego nie wiemy. Czasami nam się zdaje, że to my jesteśmy na górze, rządzący w lesie, jak chcemy. Czasami zaś odnosimy wrażenie, że znajdujemy się na najniższym szczeblu, jesteśmy nikim, ba, obcym ciałem, choć to nie jest aż tak pewne. W skład sił lasotwórczych wchodzi również mrówki, żuki, wszystko, co lata i co biega, a więc lisy, zające, kozły, łanie, jelenie i łosie, borsuki i leśne myszy, gady i płazy, a także szczeciniaste dziki. Ptak przenosi w dziobie jakieś ziarenko, gubi je i rodzi się drzewo, gdzie nigdy go nie było. Dzik przenosi w pysku owoc dębu czy buka, gubi go i znowu rośnie drzewo tam, gdzie nigdy go dotąd nie było. W lesie, jak ci to mówiłem, wszyscy i wszystko jest sobie wzajemnie potrzebne. A człowiek? Otóż nie wiemy, czym jest w lesie człowiek. I to nas boli, Horście. Boli i dręczy, szczególnie tych, którzy w lesie spędzili całe życie, obalili setki drzew i setki drzew posadzili. A z tego bólu, z tego uczucia niepewności i obcości rodzi się wrażenie krzywdy. Jeśli zaś do tego dodasz, że las uczy wciąż zła, że na

wrażliwą duszę ludzką przez wiele lat oddziałują owe bezwzględne i okrutne siły lasotwórcze, człowiek zostaje zarażony złem lasu i sam staje się zły. Tylko naprawdę zły człowiek bywa zaakceptowany przez las i tylko taki człowiek czuje się w nim dobrze. Czy nie widziałeś, ilu do naszego lasu przyszło młodych i pełnych zapału leśników, ludzi dobrych, a nawet pięknych? Jacy zaś się ostają, a jacy uciekają? Przetrwać w lesie mogą ci tylko, którzy sami stają się podobni do lasu, tworzą z nim jedną złowrogą istotę. Kogo bowiem las najczulej przyjmuje? Przede wszystkim tych, co nie sprawdzili się w wielkich miastach, w ogromnych fabrykach. Albo takich, którzy nie potrafią żyć w zwartym zespole ludzkim, nieustannie wnoszą do niego swoje urazy, zawiści, niechęci; kłótliwych i małostkowych. Albo takich, których tu przysłano za karę, za jakieś przewinienie; mrok lasu ma ukryć ich brzydkie twarze i jeszcze brzydsze dusze. Na takich ludzi las najprędzej potrafi oddziaływać, zakazić ich swoim złem, odebrać ludzką wrażliwość, aż staną się podobni do lasu. Kim jestem ja, Izajasz Rzepa? To przecież ja (mówię ci to w tajemnicy) wskazałem żandarmom miejsce, gdzie kryło się trzech jeńców, których potem ty, Horście, zakopałeś na starym cmentarzu Keilów. Dlaczego to uczyniłem? Nie wiem. Do dziś gryzie mnie sumienie i to przez owo dręczące poczucie winy zacząłem pojmować zło lasu. A twój przyjaciel, leśniczy Kondradt? Czy nie ciąży na nim podejrzenie, że zastrzelił kochankę swojej żony? Uwolnił się jednak od kary,4 ponieważ rzekomo pożyczył tamtemu człowiekowi nabitą strzelbę i nastąpił śmiertelny wypadek. Powiedz prawdę, Horście: ile niewinnej krwi ludzkiej przelałeś, gdy wojowałeś w obcej armii? Kto długo mieszka w lesie albo na jego skraju, zostaje zaczadzony złem i brutalnością. Albo popada w pijaństwo. Albo staje się kłamliwy, niedbały i leniwy. Las rośnie powoli. To nie fabryka z taśmą produkcyjną. Nie zrobisz czegoś w tym roku, to uczynisz w następnym, co za różnica? Nie posadzisz młodych drzew wiosną, to możesz posadzić je jesienią albo następnej wiosny. Pomyśl: każdy człowiek ma satysfakcję z owoców swej pracy. Górnik, bo wydobył tonę węgla, rolnik, bo posiał i zebrał plony. I tylko leśny człowiek sadi las dla przyszłych pokoleń i ścina drzewa, które sadiło poprzednie pokolenie. To także przykre uczucie, które nas draży w sposób niewidzialny i pozostawia osad niespełnienia. Nie ufaj leśnym ludziom, Horst, bo są źli i bezwzględni jak las, tak samo podstępni i kłamliwi. I jest w nich potrzeba czynienia zła sobie i innym, mszczenia się za poczucie niedosytu i niespełnienia. Las ich oślepia i otępia, odbiera im, co ludzkie, a zaraża tym, co leśne. Nie, nie sprzedawaj swojego domu i swego skrawka ziemi, nie pozwól, aby las przekroczył drogę. To będzie twoje zwycięstwo nad lasem".

"A ty?" - znowu zapytał go Horst.

Izajasz odrzekł po chwili:

"Nienawidzę lasu, bo przeżyłem w nim czterdzieści lat. Miałem, jak ty, żonę i miałem, jak ty, dzieci. Teraz jestem, jak ty, sam. Ja i las. On i ja. Wiem, że mnie nienawidzi, bo przeniknąłem jego istotę do głębi. Ale przecież nie do końca, Horście. Chcę mu wydrzeć jego wszystkie tajemnice, poznać sedno jego siły. Nienawidzę lasu, ale zarazem go kocham i żyć bez niego nie potrafię".

Nie rozwiązał zagadek lasu Izajasz Rzepa. Zmarł w rok później i pochowany został na wioskowym cmentarzu. Nie minęły dwa lata, a wyrosła na jego grobie brzoza samosiejka, której nikt nie wyrwał z mogiły, ponieważ Rzepa nie miał bliskich. Ale Horst Sobota od tego czasu nie

lubił chodzić do lasu, choć jak mu się zdawało - zaczął rozumieć jego mowę. Nie stało się to oczywiście tak z dnia na dzień ani nawet z tygodnia na tydzień. Najpierw siadywał Horst Sobota na swoim oszklonym ganku i patrzył na las przez te szybki, które nie były zabarwione żadnym kolorem. Zimą obserwował szkielecie gałęzie buków, młode brzozy przygięte ciężarem śniegu, wiecznie zielone sosny, dumnie potrząsające szurpatymi głowami. Las wydawał się cichy i bezbronny, ale wystarczyło zrobić kilka kroków w jego głąbię, a na drózkach wydeptanych racicami sarenek i koziołków widziało się krwawe ślady czyjejś zbrodni - porozrzucane pióra ptasie, zaduszone przez lisy zające. Tak, nawet w porze pozornego bezruchu i bezsily las także mordował to, co słabsze. Łamały się drzewa, które nie wytrzymały okiści, pękała od mrozu kora i zaraz następnego roku wchodziła w te pęknięcia huba lub tworzyła się narośl rakowa. A co się działo wiosną lub latem, kiedy to las zdawał się być aż aksamitny od rozbuchanej w nim zieleni? W cieniu potężnych drzew dogorywały młode i słabe drzewka, ledwie dosłyszalna mowa ich listków dręczyła serce Horsta Soboty. Jak zakłęcie powtarzał imiona trzech szatanów, które składały się na siłę lasu: biocenoza, ekosystem i klimaks leśny. Rozmyślał też, na jakim szczeblu drabiny leśnej znajduje się człowiek, który bronił lasu przed leśnym złem - i ulegał mu, poddawał się złu, pragnął podobnie jak las niszczyć słabszych. A owym słabszym - był dla leśnych ludzi siedemdziesięcioletni Horst Sobota ze swoim pięknym domem z czerwonej cegły i krytym czerwoną dachówką, z ośmioma pokojami, kolorowym gankiem i pięknym sadem. Na mapach leśnych wciąż widniała duża czerwona plama. Dlatego ponownie odwiedził Horsta Sobotę nowy nadleśniczy, nazwiskiem Masłocha. Przywiózł ze sobą główną księgową z Okręgowego Zarządu Lasów. To ona wypisała na czeku ogromną, wielocyfrową sumę, jaką ofiarowały Lasy za dom i ziemię Horsta Soboty. I wtedy on, Horst, poszedł na chwilę do swej skrytki, przyniósł naręcze owiązanych banderolami banknotów krajowych, które otrzymywał za owoce z sadu, oraz obcych, jakie dostał od syna, i rozłożył je na stole. A kiedy je już rozłożył, okazało się, że nie ma miejsca na czek nadleśniczego Masłochy. Tak Horst Sobota odniósł zwycięstwo nad lasem i jego ludźmi, nad jednym z szatanów o nazwie klimaks, gdyż nie ulegało wątpliwości, że człowiek leśny też już dawno stał się częścią lasu, lecz jaki miał być dalszy los Horsta? Miał ponad siedemdziesiąt lat i czas mu było umierać, a po nim - ponieważ ani żona, co miała innego mężczyznę, ani syn, zdobywający sławę w obcym kraju, nie mieli wziąć ani domu, ani sadu, ani kawałka ziemi - wszystko, co należało do Soboty, musiało i tak stać się własnością lasu. Mógł oczywiście Horst Sobota sprzedać komuś swoje dobro albo darować u notariusza, ale nie znajdował nikogo, kto byłby tego godny i w duchu (co czuł Sobota) nie drwiłby sobie z jego opowieści o leśnych szatanach. Niechże więc w końcu tak się stanie - pomyślał Sobota - że las go zwycięży, z martwej ręki wydrze mienie, zapanuje nad sadem i domem. Codziennie dotykał Sobota wieka trumny z jesionu i rozmyślał o własnej śmierci i o tym, co się po niej stanie. A od tych rozmyślań wychudł, posiwiał, zbrązowiał jak kora sosnowa. Nie wiedział, że jest piękny - wysoki, szczupły, ani odrobinę nie przygarbiony przez czas i troski, z pociągłą twarzą i niebieskimi oczami, z siwymi brwiami i gładko przylegającymi do czaszki siwymi włosami. I choć często ludziom mówił o swej rychłej śmierci i o tym, że się jej nie boi, ponieważ tam gdzieś daleko, skąd się nie wraca, stanie przed Panem i zażąda ukarania lasu za jego zbrodnię, okazało się, że Pan wcale się nie śpieszy na spotkanie z Horstem Sobotą. Lata mijały, on wciąż był zdrowy i krzepki, ani wiosną, ani jesienią żadna choroba się go nie czepiała, nawet nie musnęła lekką gorączką.

Siadywał więc Horst Sobota na kolorowym ganku i przez kilka bezbarwnych szybek

obserwował las, pragnąc dojrzeć owych trzech leśnych szatanów. Nie należał Sobota do ludzi nie obeznanych z lasem, jako młodzieniec nie raz i nie dwa był przez swojego ojca wysyłany do prac leśnych - za drewno na opał, za kłocę na budowę stodoły. Przez lata wojny też zdarzyło mu się widzieć przeróżne lasy - w dolinach i w górach, w ciepłym i zimnym klimacie. W niewoli przez cztery lata pracował w wielu lasach i w wielu borach. Dlatego wiedział, że las potrafi być różny, jak różny bywa człowiek. W zimnym klimacie rosły przeważnie lasy iglaste, w górach ku niebu pięły się potężne świerki i jodły, niżej - z domieszką buka, jeszcze niżej z modrzewiami, jesionami, klonami, a nawet pachnącą latem lipą i wstydliwą białą brzozą. Poznał lasy łąkowe rozciągnięte na nizinach, z potężnymi dębami i jesionami. Poznał lasy bagienne, las mieszany świeży i las wilgotny, las łąkowy górski i las mieszany wyżynny, a także bory potężne - te wysokogórskie, te bagienne, te suche, wilgotne i świeże. Każdy był inny, miał swoje własne oblicze, przewagę tych lub owych gatunków drzew i najróżniejsze było podszycie oraz runo. Inny też był las tutejszy - jakiś niesamowity, kudłaty, mroczny, choć przecież i w nim były całe połacie, gdzie słońce przenikało na ziemię przez korony potężnych sosen. Trafiały się w nim jednak miejsca straszne, z których noc zdawała się nigdy nie odchodzić, noga zapadała się w wilgotne dno na wpół wyschniętych jezior, nad oparzeliskami snuła się mgła. Inne lasy lub bory miały jakąś dziwną delikatność i wrażliwość, wybierały dla siebie najdogodniejsze siedliska i ginęły, gdy tylko przyszedł rok suchy lub nastał rok wilgotny. Las tutejszy wydawał się niezwykle żywotny, zachłanny na każdy skrawek ziemi. Gdzie było sucho - zasiewał brzozę, gdzie wilgoć - osadzał olchy i osiki, jeszcze gdzie indziej usadawiał dęby, modrzewie i graby, a wszędzie siał sosny i świerki. Latem wabił aksamitną zielenią, ale wystarczyło wejść nieco w głąb, i pochłaniał człowieka mrok, a dopiero potem zaskakiwał widok rozstłonecznionej polany. Po kilkuset krokach znowu las pojawiał się odmieniony, z miejscami i siedliskami, w których wrażliwa dusza odczuwała nieokreślony niepokój, a nawet strach. Nie lubili tam bywać także i leśni ludzie, nawykli do zła lasu. Niechętnie też opowiadali o tajemniczych uroczyskach, gdzie porażało człowieka niesamowite milczenie drzew, nie słyszało się nawet ptasiego śpiewu. Albo o wysepkach wśród mokradeł, porośniętych świerkami, o które czochrały się ogromne dziki i pozostawiały przyklepione do żywicy długie szorstkie włosy. W tych miejscach, przeważnie późną jesienią albo zimą, unosił się wstrętny opar przesycony smrodem metanu, słyszało się stamtąd krzyk ludzki, jak gdyby przesłanie z tragicznej przeszłości, gdy ginęły tu całe plemiona i ludy. Tylko silny mróz dawał dostęp człowiekowi do owych siedlisk leśnych, znajdowano tam czaszki łosi, dzików, a nierzadko i czaszki ludzkie, przerdzewiałą broń, struchlałe rzemienie plecaków i puste skrzynie po nabojach. Dziwnie się nazywały te miejsca: Błądnik, Kakaj, Lament, Oświn, Skonał, Topnik, Zgniłe, Nieżywe - być może tutaj właśnie zamieszkiwały trzy leśne moce, które czyniły las silniejszym i niezwyciężonym.

Pojął Horst Sobota, że człowiek jest niczym wobec mocy leśnych i że on sam, choć jeszcze nie stracił domu - kiedyś przegra z lasem nieodwołalnie. Ponieważ człowiek żyje krótko, a las jest wieczny.

Aż zdarzyło się pewnego razu wczesną wiosną, w porze sadzenia drzew, że piaszczystą drogą obok domu Horsta Soboty późnym popołudniem wracali do swoich domów podchmieleni robotnicy leśni. Zobaczyli Horsta w ogródku i jeden z nich zawołał do niego:

- Dawno nie używałaś kobiety, stary Horście. Idź w dwudziesty czwarty oddział, tam leży

dziewczyna i czeka na ciebie z rozłożonymi nogami. Spróbuj z nią, może ci się uda. A jak nie, to ona i tak nikomu nic nie powie, bo się zupełnie upiła i pewnie dopiero rano wytrzeźwieje.

Przeraziły te słowa Horsta Sobotę. Wczesnym rankiem widział przechodzącą mimo jego domu gromadkę dziewcząt, zapewne przyjezdnych; co roku zapraszano młodzież, aby pomagała sadzić las. Czy teraz las dokonał nowej zbrodni?

Pośpieszył Horst Sobota do dwudziestego czwartego oddziału i na skraju zrębu, w sosnowym młodniku znalazł dziewczynę. Wyglądała na szesnaście lat i miała piękne, bujne, czarne włosy, tym czarniejsze, że twarz jej była blada i jak gdyby martwa. Aż pod szyję podciągnięto jej sukienkę i obok porzucono różowe majteczki. Leżała półnaga, z rozrzuconymi szeroko nogami, z plamami krwi na udach i kroczu, bo chyba dziewictwo do tej pory nosiła. Bełkotała coś niewyraźnie, gdy ją Horst Sobota wziął na ręce i usiłował zanieść do domu. Zionęła alkoholem, kilka razy wymiotowała, kiedy ją kładł na trawie, bo mu brakowało sił i często musiał odpoczywać. Ale przecież doniósł ją do domu, położył na wygodnym drewnianym łóżku, zrobił zimne okłady na czoło, aż po kilku godzinach zaczęła odzyskiwać przytomność. O nic jej Horst nie pytał, bo wszystkiego się domyślał. Zapewne dziewczyny poczęstowano wódką, a tą jej zdradliwej mocy jeszcze nie znała.

Nie powiedziała mu o tym ani słowa, może ze wstydu, a może z małomówności. Potem, gdy już się oporządziła i wróciły jej siły, doradzał dziewczynie Horst, aby sprawców nie szukała, bo i tak nie znajdzie, wielu ich bowiem być musiało, a sama sobie winna, ponieważ piła, choć pić nie musiała. Powiedział też, że jej krzywdzie winien jest las, który przez swoich trzech szatanów czyni ludzi złymi, i poprosił ją, aby nigdy nie chodziła do lasu, tak jak on od tej pory już tam więcej nie pójdzie. Opowiedział jej o sobie, o swojej samotności, pokazał sad i zaproponował, że na jesieni, gdy zacznie się zbiór owoców, może do niego przyjechać, na jak długo zechce, i pomagać mu w pracy.

Nie usłyszał od dziewczyny ani słowa. Dał jej na autobus i ona odjechała, aż hen, do jakiejś kurpiowskiej wioski, od ludzi bowiem wywiedziało się, że z tamtych stron dziewczęta do sadzenia lasu przywieziono. I znowu siadywał na swym oszklonym ganku rozmyślając o zbrodniach lasu albo schodził nad brzeg jeziora i na spróchniałym pomoście, z nogami opuszczonymi do starej łódki, słuchał bełkotliwej mowy fal. Aż jesienią przed swoim domem zobaczył tę samą dziewczynę. Wtedy mu wyjawiała, że koleżanki, z którymi sadiła drzewa, o jej krzywdzie w wiosce rozgadały, na śmiech i drwiny ludzkie wystawiły. Rodzice ją zbili, trzy siostry i dwaj bracia przy jednym stole z nią jeść nie chcieli, honor swój bowiem cenią nade wszystko. Nie zaprotestowali, kiedy oświadczyła, że odchodzi w świat. A świat to był dla niej Horst Sobota i jego sad między jeziorem a skrajem lasu.

Trzy lata żyli obok siebie; ona z początku rzadko opuszczając sad i dom w obawie, aby jej ten i ów z robotników leśnych nie rozpoznał i nie wydrwił. Horst Sobota jeździł i chodził po wszystkie zakupy. Gotowała mu, zbierała owoce i układała je w skrzynkach lub w sianie, w stodole przerobionej na przechowalnię jabłek. Po roku do wieczorowego technikum ogrodniczego się zapisała i z głową okrytą chustką jeździła autobusem dwadzieścia kilometrów do szkoły. Na piękną wyrosła kobietę, o szerokich plecach i szerokich biodrach, o śniadej cerze i czarnych, bardzo bujnych włosach, które zaplatała w gruby warkocz. Zdawało się Horstowi

Sobocie, że lubiła słuchać jego opowiadań o zbrodniach lasu i tak owego lasu zaczęła nienawidzić i lękać się, jak on, Horst, nienawidził i lękał się lasu i leśnych ludzi. "Jest moja, ponieważ znalazłem ją w lesie i zabrałem skrzywdzoną przez las" - pomyślał Sobota i pewnego razu oświadczył dziewczynie:

- Jestem stary i wkrótce złożysz mnie do mojej jesionowej trumny. U notariusza przepiszę na ciebie dom, sad i wielki dobytek w gotowiznie, który mam schowany. Możesz wyjść za mąż i żyć tutaj szczęśliwie. Ale jednego ci zabraniam: chodzić do lasu i zadawać się z leśnymi ludźmi. To jest twoje drzewo wiadomości dobrego i złego, z którego jeść ci nie wolno.

Ostatni rok jeździła do technikum coraz piękniejsza dziewczyna od Horsta Soboty. I zdarzyło się, że poznała w autobusie młodego mężczyznę o puciołowatej twarzy i czarnych wąsach. Miał tytuł inżyniera i pochodził z Warszawy. Przybył w te strony, aby na półwyspie Wilczy Róg zakładać plantację nasienną. W całym kraju z najdorodniejszych sosen ucinano gałązki i szczepiono nimi małe sosenki. Z tych szczepionych drzewek, najdorodniejszych i najpiękniejszych, zrodzi się potem nasienie, które zacznie się wysiewać w szkółkach, aby odtąd sosny rosły piękne i dorodne. Każda sosenka na tej plantacji będzie miała swoją metrykę, swój akt urodzenia, jak rasowy buhaj lub rasowa wysoko - mleczna krowa.

Pięknie opowiadał o swej pracy ów młody człowiek, który był leśniczym. A że dziewczyna niewielu mężczyzn знаła, bo przecież wciąż żyła jak gdyby w odosobnieniu, w domu i w sadzie Horsta Soboty, odczuwała w sobie kobiece pragnienie, aby do kogoś się tulić i kogoś pieścić. Pół roku kryła się ze swym uczuciem przed Sobotą, aż wreszcie, gdy młody mężczyzna otrzymał służbową leśniczówkę, duży dom na skraju lasu, ale nieco dalej od jeziora, rzekła do Horsta:

- Wiem, co tracę, ale wiem też, co zyskuję. Byłeś dla mnie jak ojciec i matka. Ale przecież powiedziane jest: "Przetoż opuści człowiek ojca swego i matkę swoją". Jutro mój ślub z leśniczym. Będę mieszkać o pół kilometra od ciebie, ale wiem, że mnie nie zechcesz już więcej widzieć, gdyż postąpiłam jak Ewa w raju. Uczyniłam to, czego mi zrobić nie wolno było.

I jako się rzekło, tak się stało. Jeszcze tego samego dnia odeszła do leśniczówki. A Horst Sobota - choć wiosna się dopiero zaczynała i pięknie kwitnął sad - zrozumiał, że las go znowu zwyciężył, i postanowił umrzeć. Poszedł do szopy i położył się w jesionowej trumnie.

Z początku było mu w niej dobrze, prawie chyba jak w niebie. Twarde deski ukoiliły ból, który ostatnio zaczął odczuwać w kręgosłupie. Lecz najdziwniejsza wydawała się Horstowi jakaś dziwna swoboda myśli i zupełny brak trosk. Odleciały z nagłą od niego i pozwalały zastanawiać się nad sprawami i rzeczami obojętnymi, mało znaczącymi, ale przyjemnymi. Śmierć stała się przybliżeniem jakiejś wielkiej radości i ogromnego spokoju. Ot, na przykład, rozmyślał Horst Sobota o swojej jesionowej trumnie. Dlaczego nie zrobił jej z dębu lub wiązu, z sosny lub świerka, lecz właśnie z jesionu. Podjął tę decyzję za radą Izajasza Rzepy, ponieważ - jak mu Rzepa tłumaczył - jesion miał drewno średnio ciężkie - nie chciał Sobota, aby ludzie, co będą go nieśli na wioskowy cmentarz odległy od jego domu o trzy kilometry, męczyli się zbyt. Deski jesionu były sprężyste, o niewielkiej kurczliwości, nie wypaczały się łatwo, suszenie ich nie sprawiało kłopotu. I piękne się to drewno Horstowi zdawało, ponieważ biel miało wąską, o barwie białej z odcieniem żółtawym, a tu i ówdzie nawet różowym.

Przyrdzeniowa zaś część twardej była jasnobrunatna, słoje roczne wyraźnie zaznaczały się i bez trudu każdy stwierdzał, że drzewo miało sto pięćdziesiąt lat. Podobało się Horstowi, że deski z jesionu są prostowłókniste i nieco chropawe, co wyczuwał pod palcami, choć sam je starannie ostrugał. Trumna pachniała jakąś przenikliwą i miłą kwaśną wonią, ten zapach zapewne długo mu będzie towarzyszył nawet wówczas, gdy wraz z trumną znajdzie się w ziemi. Z tego też powodu trumny ani nie zabejcował, ani też nie pomalował farbą olejną, aby owego kwaśnego zapachu nie zgubić. Wieko też zrobił z jesionu, równe, proste, bez żadnych wybrzuszeń, z malutkim drewnianym krzyżem na wierzchu. Zostało dobrze dopasowane do dolnej części, tak więc ani wilgoć, ani woda nie powinny łatwo przeniknąć do środka.

Zadowolony był Horst Sobota ze swojej trumny i leżał w niej sztywno wyprostowany, ze złożonymi na piersiach rękami, jak powinien spoczywać człowiek zmarły. Las wiele razy go skrzywdził i wiele dobra mu zabrał, po wielekroć unieszczęśliwił, ale przecież dał deski na trumnę. Horst widział ten jesion, gdy jeszcze rósł w sto piętnastym oddziale, a właściwie już nie rósł, tylko nie wiadomo dlaczego schnąć zaczął. Piękną też nosił nazwę - jesion wyniosły. Tak, las wiele Horstowi zabrał, trumnę jednak dał z jesionu wyniosłego, przez co i Horst czuł się wyniesiony w górę, lepszy od innych, którzy byle sosnowymi deskami się zadowalali. Zwycięzonemu ofiarował rzecz dobrą, jak gdyby pamiętając, że i Horst Sobota także kilka zwycięstw nad lasem odniósł, choćby przez to, że trwał na swoim skrawku ziemi, nawet dziewczynę młodą z lasu wyniósł na własnych rękach i jak gdyby tchnął w nią życie. Czy miał prawo liczyć, że ta dziewczyna dochowa mu wierności w jego niechęci do lasu, skoro kobieta i samego Boga zawiodła? Przyciągnął ją do siebie młodzieniec z czarnymi wąsami, który zakładał na półwyspie plantację nasienną, aby las był jeszcze większy i jeszcze potężniejszy.

Przeleżał w trumnie cały dzień i całą noc, rano poczuł głód tak przenikliwy, że wstał, poszedł do kuchni, usmażył jajecznicę z czterech jaj, popił ją herbatą; człowiek nie musi bowiem umierać o głodnym żołądku. Znowu się położył na twardych deskach i nawet miał wrażenie, że na jakiś czas umarł, ale to chyba był po prostu bardzo długi sen bez snów. Po obudzeniu się obserwował, jak do szopy, gdzie na dwóch drewnianych koziołkach stała trumna, a on w niej leżał, powoli między szparami desek szopy sączył się mrok nocy i myszy harcowały w kupie wiórów w kącie. Słyszał też na drodze przed domem głosy przechodzących ludzi, porykiwanie krów, które pierwszy raz wygnano na pastwiska. A że od lat kilku nikt do niego nie zaglądał, teraz także nie obawiał się niczyjej wizyty. Przekręcił się na lewy bok, a potem na bok prawy i znowu zaczął drzemać, ale już bardzo czujnie, aby go w takiej pozycji śmierć nie zastała. Umrzeć chciał wyprostowany, z rękami złożonymi na piersiach. Drzemając rozmyślał o kawałku kiełbasy, którą miał w lodówce w kuchni, nie wstał jednak z trumny, nie poszedł do kuchni po kiełbasę. Ta noc wydała mu się niezwykle długa, zerwał się wiatr i zahuczał las młodymi, dopiero co zieleniącymi się listkami. Dziwnie przemawiał tej nocy las do Horsta Soboty - niby to jak zwykle trzeszczał i skrzypiał, a niekiedy łagodnie szumiał, ale od czasu do czasu był krótko i przenikliwie jak obity pies. Słyszał Horst w jego głosie jak gdyby żal, że Sobota umiera wraz ze swoją nienawiścią do lasu, gdyż w gruncie rzeczy uczucie nienawiści i miłości oddziela coś tylko tak cienkiego jak wieko trumny, jak grubość jesionowej deski. Co się stanie z lasem, gdy umrze Horst Sobota? Kto go będzie nienawidził tak jak on? Do kogo las będzie mógł przemówić, z kim pogadać, jeśli tak naprawdę nikt oprócz Horsta Soboty nie rozumie mowy lasu? Z pogardą opowiadał las o młodych leśnikach, dla których stał się tylko

zwykłą fabryką produkującą drewno, a nie żywą i ciepłą istotą złożoną z trzech mocy szatańskich. Kiedyś las mógł pogadać z Izajaszem Rzepą, a potem już tylko z Horstem - teraz czeka go zupełna samotność. Zapłakał las nad sobą, zajęczał, zaszlochał, zakrzyczał głosem jakiegoś nocnego ptaka, gdyż chyba pojął wreszcie, że wraz ze śmiercią Horsta Soboty przestanie być dla ludzkiego gatunku żywą istotą, rozległą całością rozrośniętą na wielkiej połaci ziemi. Co zostanie dla lasu oprócz mdłych zachwyków turystów, rzucających wszędzie puszki po konserwach i wypełniających las muzyką z tranzystorowych odbiorników? Co pozostanie dla lasu oprócz profesjonalnej obojętności leśnych ludzi, obrzydliwego języka: planu zrębów, pozyskania, wywozu drewna? Las też pragnął uczucia - choćby to było uczucie przeogromnej nienawiści. I zdawało się Horstowi Sobocie, że drzewo mówi do drzewa, przekazuje wiadomość od najwyższych pięt klimaksu leśnego do najniższych, nawet do korzeni wrośniętych w ziemię, że odtąd - po zwycięstwie nad Sobotą - las stanie się czymś zwykłym, po prostu lasem, a więc umrze wraz z Horstem i jego nienawiścią. "Nie odchodź - wołał las - bo kto mnie będzie tak mocno nienawidził?"

Rankiem las ucichł, zmęczył się swoim krzykiem, a Horst Sobota poczuł głód tak wielki, że wyszedł z szopy i spojrzał w wielką czerwoną kulę słońca, która wychyliła się zza lasu. A wówczas w owej czerwonej poświacie ranka ujrzał na piaszczystej drodze człowieka na koniu.

Koń był niezbyt ładny, ot, zwykła i trochę krótkonoga klacz o brunatnożółtej sierści, izabelowata, jak mawiano kiedyś. Lecz człowiek w siodle sprawiał silne wrażenie. Ubrany był w zielony mundur leśników, bez żadnych oznak na kołnierzu. Mundur leżał na nim przepięknie, bez najmniejszej fałdki, a przecież jeszcze nie spotkał w swoim życiu Horst Sobota człowieka leśnego, na którym mundur nie wisiałby jak worek, jak kupa szmat wysmarowanych i brudnych, powyciąganych w najróżniejsze strony. Na czarnym pasie miał ów mężczyzna pistolet w czarnej kaburze i na skos przez ramię raportówkę na czarnym pasku. Zobaczył Horst Sobota jego niedużą, a nawet nieproporcjonalnie małą głowę z jasnymi, gładko przyczesanymi włosami i niebieskimi zimnymi oczami. Klacz szła wolno, a ów mężczyzna, młody jeszcze, najwyżej trzydziestopięcioletni, patrzył to na jezioro, to na las. A kiedy spoglądał na jezioro - jego oczy stawały się jeszcze bardziej niebieskie, a kiedy spoglądał na las - wstępowała w nie ponura czerń. Oczy tego człowieka wydawały się złe, choć na twarzy wciąż gościł mu lekki uśmiezek, usta zaś połyskiwały bielą równych zębów. Niezwykle wysoki zdawał się Horstowi w blasku wschodzącego słońca i choć tak piękną i jasną miał twarz, to przecież stare serce Horsta Soboty i jego stare oczy przeniknęły do głębi jego duszy, wyczuły zło wypełniające tego człowieka. Nawet czarne, lśniące buty jeźdźca z połyskiem czerwieni od wschodzącego słońca - rzucały światu jakieś groźne wyzwanie. Strach ogarnął Horsta Sobotę, bo nigdy nie zdarzyło mu się wyczuć w innym człowieku tyle zła, ale przecież przemógł się i wyszedł mu naprzeciw na piaszczystą drogę.

- Kim jesteś? - zapytał ze ściśniętym gardłem.

Tamten zatrzymał izabelowata klacz i spojrzał z wysoka na Horsta swoimi zimnymi oczami, ale ani przez moment nie uleciał mu z ust pogardliwy uśmiech.

- Jestem nowym strażnikiem łowieckim - odparł bez zniecierpliwienia, a nawet jak gdyby z ciekawością i chęcią do dalszej rozmowy.

- Podoba ci się las?... - aż zadygotał Horst Sobota, tak się bał odpowiedzi.

- Widziałem wiele wstrętnych miejsc, ale to wydaje mi się najwstrętniejsze.

- Więc dlaczego zostałeś strażnikiem łowieckim?

- To tajemnica, dziadku. Niemiła dla mnie. Mógłbym ci ją zdradzić, ale na nic ci się ona nie przyda.

- Gdzie mieszkasz? U kogo? Jak długo tu będziesz?

- Nie wiem, dziadku. Wyznaczono mi mieszkanie u leśniczego Kuleszy. Nie jestem z tego zadowolony, nie mam jednak wyboru.

- Czy jesteś dobrym człowiekiem?

Usłyszał śmiech. Wesoły, serdeczny. I ujrzał Sobota w całej pełni zęby tego mężczyzny. Żaden leśnik w tej okolicy, żaden drwal albo chłop nie miał tak pięknych i białych zębów, tylko spróchniałe, nierówne, zgniłe. Nawet młodzi ludzie.

- Zasmucę cię, dziadku. Wiele zrobiłem złego i jeszcze wiele zła dokonam, jeśli mi na to pozwolą. Nie ufaj mi i nigdy więcej nie zatrzymuj mnie, gdy jadę.

Sobota miał uczucie, że wraca mu życie, bo oto wraz ze wschodem słońca napotkał nadzieję. Uczynił szeroki gest ręką i powiedział do obcego człowieka:

- Spójrz na ten dom. Mam w nim osiem pokojów. Zamieszkaaj u mnie i weź sobie tyle pokoi, ile zechcesz. Za darmo. Mieszkam tu sam i nikt mnie nie rozumie. Bo nikt nie wie, jak bardzo nienawidzę lasu i jego trzech szatanów. Nie bój się, nie jestem wariatem i kiedyś ci opowiem, ile zła wyrządził mi las. Zapraszam cię do siebie, zły człowieku.

- Dziękuję - tamten skinął mu głową. - Pomyślę o twoich słowach.

To mówiąc cmoknął na klacz i wyminął stojącego na drodze Horsta Sobotę. Stary zawołał za nim niemal z błaganiem:

- Jak się nazywasz, obcy człowieku? Odkrzyknął, nie odwracając głowy:

- Nazywam się Józef Maryn.

Tego ranka nadleśniczy Masłocha udając się na zrab w 216 oddziale zauważył na leśnej drodze w błocie wysychającej kałuży - odcisnięte ślady wilczych łap. Z początku sądził, że nie tak dawno przebiegał tędy jakiś duży pies, wilka bowiem nie widziano w tych okolicach już ponad trzydzieści lat. Lecz gdy przyjrzał się bliżej, musiał stwierdzić, że trop był wilczy - węższy i dłuższy od tropu psa, palce zostały mocniej odcisnięte i wydawały się bardziej zwarte. Opuszka palcowa przedniej łapy miała kształt sercowaty, tylna natomiast owalny. Wilk biegł stępą i zostawiał trop zygzakowaty. Pojął więc nadleśniczy, że pojawił się nagle wilk samotnik,

a to znaczyło, że las był z jakiegoś powodu bardzo niezadowolony i należało oczekiwać wielkich kłopotów.

Rozdział drugi

W nocy śniło się Marynowi, że został podłączony do wykrywacza kłamstw. Ciało oblepiły mu pijawki elektrod, jego żona Eryka i Ivo Bunder zadawali mu wciąż te same pytania (ich treści nie zapamiętał), a on nie mógł powstrzymać w sobie narastającego łomotu serca, oddech miał przyśpieszony i pocił się obficie. Z początku wykrywacz kłamstw tylko ssał z niego krew i czynił bezwolnym, ale potem stało się coś zadziwiającego: aparat zaczął pompować w niego uczucie wstrętu do samego siebie i Józef Maryn niemal fizycznie czuł, jak jad owego wstrętu powoli przedostaje się do krwi i wraz z nią płynie do mózgu. Z tym wrażeniem obudził się, zlany potem i z łomoczącym gwałtownie sercem.

Była szósta rano i tak widno, że za oknem dostrzegł wyraźnie seledynową zieleń dopiero co rozwijających się liści starych buków; przez uchylony lufcik napływało z lasu chłodne powietrze, przesycone zapachem butwiejącego drewna; przenikliwie gwizdały szpaki budujące gniazda pod dachówkami pobliskiej stajni. Mokry od potu naciągnął pod brodę koc z przyklejonymi do niego kępkami brunatnożółtej końskiej sierści (nakrył nim kiedyś spoconą klacz) i długą chwilę leżał nieruchomo, uświadamiając sobie, gdzie się naprawdę znajduje, i w niepamięć usuwając wspomnienie snu. Łomot serca zanikał, oddech stawał się równy, pot wsiąkał w piżamę, lecz wrażenie wstrętu do samego siebie wciąż dojrzewało, aż przerodziło się w coś w rodzaju obrzydzenia. I to w pewien przyjemny sposób nawet zaskoczyło Maryna (o ile uczucie obrzydzenia do samego siebie może być przyjemne), ale nie potrafił inaczej określić odkrycia, że oto stać go jednak na pewien rodzaj wrażliwości, który chyba świadczył o tym, że nie przestał być istotą ludzką. Od dawna powątpiewał, czy - na przykład - ma owo coś nazwane sumieniem. Sądził, że je wyrzucił kiedyś, tak jak się wyrzuca do pojemnika na śmieci plastikowe pudełeczko po lodach. Stało się to przed ośmioma laty na ulicy Dapperstraat, przed sklepem i domem Bernadetty Bulow. Potem kilkakrotnie znalazł się w sytuacjach, które utwierdziły go w przekonaniu, że ów gest pozbycia się sumienia nie nosił żadnych znamion teatralności, lecz okazał się zabiegiem skutecznym i nieodzownym dla wykonywania zawodu. "Wczoraj wypilem za wiele i mam poczucie alkoholowego niesmaku" - pomyślał uspokajająco, choć w ten sposób świadomie oszukiwał sam siebie. Józef Maryn nigdy bowiem nie pił "za wiele". Niewykluczone jednak, że wraz z krótkotrwałym odejściem z zawodu zaczęły w nim niespodziewanie kiełkować jakieś resztki dawnej wrażliwości. Prawdopodobnie pomylił się, sądząc, iż przed wieloma laty wyrzucił z siebie sumienie przed domem Bernadetty Bulow. On je po prostu zdeptał, a ono przetrwało w nim w jakiejś utajonej postaci. Tutaj zaś, gdy nie musiał być tym, kim był dawniej, zaczęło kiełkować na nowo. Tak rozmyślając, zaraz poczuł się lepiej, uczucie obrzydzenia zniknęło, gdyż nawet sama myśl o kiełkującej w człowieku zdeptanej wrażliwości wydała mu się nad wyraz śmieszna. Już raczej należało przyjąć, że tym razem (bo kiedyś musi być ten pierwszy raz) wypił jednak za wiele, gdyż mógł sobie na to pozwolić. W wiosce o nazwie Mordęgi, w leśniczówce na skraju lasu mogło się zdarzyć, że wypił za dużo i obudził się z uczuciem niesmaku. Tym bardziej, że i sen miał tej nocy bardzo przykry. Ale wódka i przykry sen - to było wyjaśnienie zbyt proste. Myśl o budzącej się w nim wrażliwości (choć w swej istocie śmieszna) też jednak kusiała, ponieważ w jakiś tam sposób schlebiała jego poglądom o własnej osobie. Przyjemniej przecież sądzić, że jest się wrażliwszym, niż się przypuszczało.

“Jeszcze dziś się stąd wyprowadzę” - taka była konkluzja owych porannych rozmyślań, po których Józef Maryn wstał z łóżka, ogolił się, umył, zagotował wodę na herbatę, zjadł śniadanie, osiodłał klacz i pojechał do lasu w bardzo chłodny wiosenny poranek.

Czy miało jakiś sens picie wódki z leśniczym Stefanem Kuleszą i jego dwoma kolegami, także młodymi leśnikami? Józef Maryn raczej rzadko działał bez jakiegoś celu, a na pewno nie piłby z kimś wódki bez konkretnej przyczyny. Poszedł pić do Kuleszy, ponieważ tak się zdarzyło, że jako strażnik łowiecki zamieszkał w jego leśniczówce. Nie chciał sprawiać wrażenia, że się izoluje, a przez to zwracać na siebie szczególną uwagę. Bo tak jak przybył tutaj nagle, z dwoma walizkami i etatem strażnika łowieckiego, tak pragnął kiedyś równie niespodziewanie zniknąć, odejść lub odjechać - jako osobnik zwykły, nijaki, nie do zapamiętania. Zaproszony rankiem przez Kuleszę, kupił w sklepie pół litra wódki i poszedł na wieczorne picie, choć już po pierwszej nocy, jaką spędził pod jednym dachem z Kuleszą i jego dopiero co poślubioną żoną (głupią krową - jak ją określił, gdyż lubił kobiety smukłe, delikatne i kruche jak bibeloty), miał świadomość, że tej pary nigdy nie polubi. Nie miało to, rzecz jasna, żadnego znaczenia, Józef Maryn tylko od czasu do czasu robił rzeczy, na które miał naprawdę ochotę, a także nie przybył tutaj, aby kogoś polubić. Za cóż zresztą miałby polubić tego młodego głupca z tytułem magistra inżyniera i jego chyba jeszcze głupszą żonę, o pełnych biodrach i szerokich plecach? Leśniczy Stefan Kulesza traktował swoją żonę jak małą dziewczynka pierwszą w życiu lalkę, z którą wybiega na podwórko do koleżanek, aby pochwalić się sukienką, urodą twarzy, puszystością włosów, krojem majteczek i gładkim pod nimi brzuszkiem. Gdy Maryn wprowadził się do leśniczówki, to znaczy - po prostu wniósł swoje dwie walizki, już po godzinnej znajomości - Kulesza kazał mu dotykać ud swojej żony, aby przybysz przekonał się, jak delikatna i gładka pokrywa je skóra, a nawet w pewnej chwili zadarł żonie spódniczkę i pokazał Marynowi jej obciążone majtkami pośladki i uszczypnął je, żeby ten uwierzył, że są twarde jak z kamienia. Odnosił się do swej kobiety jak do wspaniałej rzeczy i chciał odnaleźć w oczach innych ludzi potwierdzenie faktu, że rzeczywiście posiadał coś niezwykłego. A ona przyjmowała to traktowanie z zadziwiającą obojętnością, bez protestu, ale i bez radości. Chyba uznała za coś naturalnego, że wychodząc za mąż za inżyniera Kuleszę stała się jego rzeczą - przedmiotem do zachwytu z jego strony. Chyba była w swym mężu zakochana, Kulesza zresztą prezentował powszechny ostatnio typ urody męskiej - miał ciemne włosy, okrągłą, dobrze odżywioną twarz, pulchne usta i czarny wąs. Po wielkich miastach krążyły tysiące takich młodych ludzi, z czarnymi wąsami i krągłymi buźkami, które się zapominało po pięciu minutach i tak na dobrą sprawę jednego osobnika nie można było odróżnić od drugiego. Ale tej dziewczynie mógł się spodobać, tym bardziej że po stażu, jaki odbył gdzieś na południu kraju, przybył do Mordegów, aby otrzymać dekret leśnika władającego plantacją nasienną.

Źle się jednak stało, że sypialnia Kuleszów znajdowała się tuż nad pokojem, który mu wynajęto. I że ta młoda para miała skrzypiące łóżko. Ledwo się ściemniło i Maryn położył się na żelaznym wyrku wypożyczonym z magazynów nadleśnictwa, tam na górze łóżko zaczęło skrzypieć jednostajnie i monotonicznie. Z początku przyjął z wyrozumiałą życzliwością, że ten młody leśnik starannie wykonuje swoje męskie zadanie. Ale chyba miał stargane nerwy, ostatnio pękła w nim jakaś wewnętrzna sprężyna (być może stało się to podczas dwumiesięcznego pobytu w areszcie śledczym i podczas wielogodzinnych przesłuchań), bo nie potrafił zasnąć, choć kiedyś zasypiał niemal na zawołanie i nic mu w tym nie przeszkadzało. Skrzypienie łóżka

trwało godzinę, dwie, trzy, potem przestał spoglądać na zegarek, ponieważ jeszcze trwało, gdy w okna zajrzał świt. Drugiej i trzeciej nocy powtórzyło się to samo - nie zmrużył oka, dręczony owym monotonnym skrzypieniem łóżka. Potem we dnie chodził otępiały z powodu niewyspania. Wtedy zgodnie z poleceniem Związku Łowieckiego kupił izabelowatą klacz i stare siodło (po krótkiej dyskusji zgodzono się, że koń będzie lepszy niż motocykl, gdyż można na nim poruszać się bez hałasu i dostać się w każdy matecznik), ustalił też z nadleśniczym Masłochą wszystkie miejsca zaznaczone na mapie sztabowej jako ostoja zwierzyny, bo najchętniej tam grasowali kłusownicy. Czwartej więc nocy wyruszył w las, żeby nie słuchać jednostajnego skrzypienia łóżka, postanawiając spać za dnia, a nocą pełnić strażnicze obowiązki. Ale już po godzinie zgubił się w lesie i długo kluczył, zanim trafił do leśniczówki Kuleszy. Należało przez jakiś czas za dnia poznawać las, żeby dopiero potem poruszać się w nim nocami. Znowu więc został skazany na dręczące skrzypienie, które zaczęło nieść na dół jakąś wstrętą grozę może właśnie dlatego, że było takie jednostajne i monotonne; Maryn odnosił wrażenie, że tam na górze na żywej istocie leży nie człowiek, lecz jakiś mechanizm, wsuwający do kobiecej pochwy sztuczny członek z mechaniczną rytmicznością. "Jak długo można załatwiać swoją żonę?" - zastanawiał się Maryn i nie znajdował odpowiedzi. Potrafił przecież robić to całymi nocami, także niemal nieskończenie. Kiedy pierwszy raz wlaźł na Erykę, nie zsunął się z niej aż po kilku godzinach; potem Eryka wspierała się o ściany i o sprzęty w pokoju, tak miała wiotkie nogi, a on był z tego bardzo dumny. Oczywiście nie robił tego na skrzypiącym łóżku. Zresztą, gdzie i na czym tego nie robił? Tak, czynił tę rzecz wspaniale, inaczej nie mógłby pozostać długo w swoim zawodzie. Załatwiał kobiety małe i duże, chude i grube, białe, czarne i Mulatki, niektóre o piersiach i udach tak wspaniałych, że ten gówniarz na górze nawet sobie podobnych istot nie wyobrażał; rznął piękne i brzydkie, bardzo młodziutkie i stare baby o obwisłych pośladkach, sztucznych zębach i nieświeżym oddechu, zawsze dokładnie i najczęściej bez przyjemności. Ale tak należało, gdyż między jednym a drugim załatwianiem takiej sprawy prawie każda kobieta lubi paplać nawet bez żadnej zachęty, a ta paplanina miała znaczenie dla Maryna, dla firmy. Tak, po jakimś czasie można było nawet uwierzyć, że wszystko na świecie zależy od dobrego rżnięcia i sprowadza się do dobrego rżnięcia. Zresztą w przypadku Maryna sprawa była o tyle łatwa, że należał on do mężczyzn chłodnych. Może właśnie dlatego, aby rozbudzić się, potrzebował podnieć silnych i bardzo wyrafinowanych, co z kolei zachwycało kobiety. Jego pieszczoty oszałamiały je i odbierały rozum, one szalały, a on pozostawał zimny, choć nie do tego stopnia, aby nie zrobić im tego, czego oczekują one od mężczyzny. W tej swojej chłodnej postawie dopatrywał się homoseksualnych doświadczeń, które przeżył z przyjacielem we wczesnej młodości - był wtedy pięknym chłopcem o długich, jasnych włosach i delikatnych, dziewczęcych rysach. Zerwał z tym wcześniej i bez wewnętrznego bólu, ale zapewne jakiś uraz pozostał i dawał mu przewagę nad kobietami. Podświadomie ciągle widział w nich świnki, które należy zmusić do kwiku rozkoszy i oszołomienia; mogło ono trwać dłużej lub krócej, jednak wystarczająco długo, aby przez jakiś czas otrzymywać klucze od pokojów hotelowych i bezkarnie grzebać w cudzych rzeczach, zazwyczaj bowiem grasował wśród pokojówek i sprzątaczek hoteli i pensjonatów. Omylił się tylko w stosunku do Eryki - to nie była zwykła kobieca świnka. Ale zapewne ten gówniarz na górze miał rację, że widział w swojej żonie tylko świnkę, i noc w noc ją popychał. Maryn starał się podniecić, wyobrażając sobie, jak ona leży na skrzypiącym łóżku z rozrzuconymi nogami albo klęczy na czworakach i wypina goły tyłek. Tylko że zamiast choćby odrobiny podniecenia przeniknęło Maryna uczucie obrzydzenia, bo co innego samemu robić coś takiego, a co innego słuchać czyjejs roboty. A poza tym Józef Maryn już w tej

chwili wiedział na pewno, że nawet najwspanialsze dokazywanie mężczyzny z kobietą nie jest w rzeczywistości aż tak ważne i na dobrą sprawę niczego istotnego w życiu nie załatwia, tak jak niczego nie załatwiło w życiu Józefa Maryna.

Kiedy siedział w areszcie śledczym, przyszła do niego Eryka i powiedziała patrząc mu prosto w oczy: "To nam obojgu dobrze zrobi. Ty nie musisz się wysilać, a ja nie muszę cierpliwie znosić twoich popisów seksualnych, od których nigdy nie miałam żadnej przyjemności. Jestem pewna, że chcę rozwodu i że ten rozwód weźmiemy, jak tylko przestaniesz kłamać i wypuszczą cię na wolność". Odpowiedział jej: "Przecież wiesz, że nie kłamię". Ale ona potrząsnęła tymi swoimi długimi, utlenionymi na blond włosami, które upodobały ją do pewnej sławnej aktorki filmowej, i już po tym ruchu głowy zorientował się, że mu nie wierzy, tak jak inni. Przyszła na widzenie z Marynem niezbyt przejęta jego losem, dlatego był pewien, że znalazła już sobie kogoś, kto jej obiecał więcej niż mogła otrzymać od Maryna. Nie ukrywała tego przed nim, gdy wreszcie wyszedł z aresztu i poinformował ją, że zostaje na jakiś czas strażnikiem łowieckim gdzieś w lasach na północy. Chciał, żeby tam z nim pojechała, lecz ona wzruszyła ramionami i przyznała się: "To będzie dla ciebie niepojęte, ale zakochałam się. I to w takim facecie, co nie potrafi rznąć. Nie uwierzysz, ale po tej szkole, którą mi dałeś, to mi się właśnie w nim podoba".

Tak więc ten leśnik na górze noc w noc przez kilka godzin załatwiał swoją żonę, a Józef Maryn musiał słuchać jednostajnego skrzypienia łóżka. I z przerażeniem stwierdził, że choć nie miał już trzy miesiące żadnej kobiety, nawet na samą myśl o rżnięciu dostaje mdłości. Co gorsza - jeśli ten uraz nie minie, zrobi z niego męski wrak, i to w trzydziestym piątym roku życia. Ten leśnik na górze, przez to całonocne skrzypienie starego łóżka, jak gdyby w nim ów uraz pogłębiał, gdyż obnażał tę sprawę jako coś wstrętne, kiedy się tego nie robi samemu. A poza tym - powodował bezsenność u Maryna i różne głupie pytania w rodzaju, czy istnieje na świecie wielka miłość i czy koniecznie musi być ona związana ze rżnięciem. Na świecie napisano setki tysięcy książek o miłości, Maryn niektóre z nich nawet czytał, głośno chwalił, lecz w głębi duszy odrobinę chichotał. Po prostu nie znał takiego uczucia i nie wierzył, że istnieje. Należało mówić o miłości, a potem robić z kobietą to, co trzeba, bo do tego właśnie się takie gadanie sprowadzało. Owszem, na jednej kobiecie więcej mu zależało, a na innej mniej, jedne się rznąło lepiej, drugie gorzej, i to nazywał miłością. Dlatego chwalił facetów, co o miłości pisali książki i brali za to pieniądze, podobnie jak on brał pieniądze za to, że ich słowami gadał do kobiet przed pójściem do łóżka i po wyjściu z łóżka. Dlatego tak bardzo się zdziwił, kiedy którejś bezsennej nocy, słuchając, jak tamten na górze piłuje już czwartą godzinę swoją żonę, a łóżko skrzypi i pojękuje jak zwierzę, które ktoś dręczy - raptem pomyślał, że może jednak istnieje coś takiego jak wielka miłość. Ba, musiało coś takiego istnieć naprawdę, jeśli niektóre kobiety i niektórzy mężczyźni szaleli za sobą, nie włączając ze sobą do łóżka, a w najlepszym wypadku uznając to za dodatek do miłości. On, Maryn, został więc czegoś w życiu pozbawiony, oszukany, nie przeżył nigdy uczucia, o którym napisano tyle książek. Drażniła go ta myśl także i nocy następnej, choć bronił się przed nią podejrzewając, że Wcieka w nią, ponieważ sam już nie ma ochoty na kobietę i musi słuchać Czyjegoś rżnięcia, więc gotów jest przyjąć, że istnieje na świecie uczucie, którego nie przeżył i zapewne nigdy nie przeżyje. Była to prawdopodobnie ucieczka w wyimaginowaną krainę książkowych bzdur. Z powodu tego, co się nie tak dawno przydarzyło, upodobał się do owych przemądrzałych mięczaków, ciągle zdumionych, że

polityką zajmują się ludzie o specjalnych predyspozycjach i że w tej branży nie można mieć czystych rąk. Albo do takich, co to chcą jeść schabowego, ale broń Boże im powiedzieć o jęku zabijanych w rzeźniach świń. Tak samo zresztą traktowali i miłość. Owo subtelne uczucie zwane miłością przypominało im obiad w eleganckiej restauracji, gdzie smakując danie na podgrzany talerz, zapominało się o jęku zabijanych w rzeźni prosiąt. Do miłości jednak tak naprawdę dochodziło się przez obolały męski członek i kwik rozkoszy jakiejś kobiecej świnki. Czemu dopiero teraz Eryka powiedziała mu prosto w oczy, że tamte łózkowe sprawy po prostu ją nudziły i zdecydowała się pójść do takiego, co był w męskich sprawach znacznie gorszy, ale za to potrafił kochać. A przecież Józef Maryn też ją po swojemu kochał i od czasu do czasu włąził na nią na parę godzin, aby jej to udowodnić. Niestety niczego, jak się okazało, nie udowodnił, a nawet - jak to się również okazało - działał przeciw sobie. Jak więc z tym jest naprawdę - nie wiedział, a pytać nie było kogo, chyba tego gówniarza na górze, co załatwiał żonę od zmroku do świtu na skrzypiącym łóżku.

Pewnego dnia Maryn powrócił do leśniczówki na spienionej klaczy. Niepotrzebnie puścił ją w galop w dusznym, rozgrzanym od wiosennego słońca lesie, gdyż nie wiadomo dlaczego nagle doznał przecucia, że w leśniczówce, w szparze pod drzwiami czeka na niego jakiś ważny list. Pod drzwiami niczego jednak nie było (nie otrzymał żadnego listu, odkąd zamieszkał w Mordęgach), natomiast klacz miała pokryte pianą boki. Wytarł ją szmatą i nakrył kocem, pod którym sypiał (odtąd na kocu pozostały kępki końskich włosów i koc pachniał koniem). Na podwórzu, gdzie wycierał klacz, żona Kuleszy, Weronika, prała bieliznę pościelową w wielkiej balii i mąż pomagał jej rozwieszać białe płachty na sznurze rozpiętym między domem i stajnią. W przerwach siadał na ławeczce przed domem i z zadowoleniem przyglądał się wysoko obnażonym udom żony, które jeszcze bardziej się odsłaniały, kiedy pochylała się nad balią. Natarczywość owych spojrzeń nie sprawiała kobiecie przyjemności albo po prostu wstydziała się obecności Maryna, dwa razy fuknęła coś gniewnie do męża, a potem zajęła miejsce za balią tak, że mąż mógł widzieć jedynie jej twarz, a właściwie czarne, napuszone na głowie włosy. Jej wstydlivość jak gdyby rozbawiła i jeszcze bardziej podnieciła Kuleszę. Powiedział wesoło do Maryna:

- Nie wygląda pan, panie Maryn, na człowieka, który zna się na kobietach. Radzę dobierać kobiety o takim tyłku jak moja żona. Niech pan sobie popatrzy, bo właśnie na pana swój tyłek wypięła. Ile pan u nas pracuje? Trzy tygodnie, prawda? Jakoś żadnej kobietki jeszcze pan nie przygadał...

- Jestem żonaty - wyjaśnił Maryn.

- Domyślam się tego - skinął głową Kulesza. - Ale trzy tygodnie w lesie bez kobiety to dużo czasu, panie Maryn. Pan o tym nie wie, ale ja to panu mówię z doświadczenia innych leśników, że tym, co pracują w lesie, więcej się chce do kobiet niż innym. Las wydziela aromat, panie Maryn. Jebliwy aromat. Grzybów jeszcze nie ma, ale jak zaczną rosnać i znajdzie się pan wśród sromotników, od razu pan zawróci koniem do domu i wlezie na żonkę. Sprowadzi ją pan tutaj, prawda?

Nakrytą kocem klacz wprowadził Maryn do stajni, nasypał jej owsa, dłuższą chwilę pozostał w półmroku stajni, wdychając zapach końskiego nawozu i bezmyślnie wpatrując się w

malutkie zakurzone okienko, a to wszystko po to, aby opanować irytację, jaką budził w nim ten gówniarz, i przywołać na twarz zawodowy uśmiech, który tu nie był mu potrzebny, lecz kiedyś będzie potrzebny, dlatego należało go wciąż trenować. Układać odpowiednio mięśnie twarzy, rozchyłać wargi, pokazywać białe równiutkie zęby (te zęby pochłonęły w Londynie jego roczne oszczędności). Wszedł więc Maryn ze stajni z uśmiechem na twarzy, przysiadł się do Kuleszy na ławeczkę przed domem, otworzył swoją płaską złotą papierośnicę i poczęstował papierosem (papieros był byle jaki, i musiał być byle jaki, jeśli Maryn miał tu nie pozostawić głębszego śladu). Teraz już oczywiście wiedział, że jego ostrożność była zbyt duża, ci ludzie potrafili dostrzec w lesie gałązkę obgryzioną z liści przez brudnicę mniszkę, młodą sosnę spalowaną przez łosia, ale wobec ludzi pozostawali ślepi i głusi. Dlaczego - tego jeszcze nie pojął. Po kilku spotkaniach z nimi i rozmowach odniósł wrażenie, że przyszło mu żyć wśród beznadziejnych głupców, co zresztą też nakazywało ostrożność, odmienną jednak od tej, którą sobie z początku narzucił. Głupcy bywali niebezpieczni i szkodliwi, trochę się ich bał, ponieważ nie potrafił przewidzieć reakcji głupca, wyobrazić sobie jego sposobu myślenia. On, Maryn, dziesięć lat kształtował w sobie znajomość człowieka, a chyba miał zawsze ku temu odpowiednie predyspozycje, skoro zamiast na przykład zostać leśnikiem, stał się tym, czym był, i radził sobie jakiś czas zupełnie nieźle. W jego zawodzie trzeba było określić osobowość drugiego człowieka w ciągu jednej chwili na podstawie zupełnie z pozoru nieistotnych drobiazgów; za omyłkę płaciło się własną przegraną. On, Józef Maryn, gdyby spotkał w lesie Józefa Maryna, nawet w wyfasowanym mundurku, natychmiast zjeżyłby się wewnątrz i stał czujny jak pies, gdy poczuje wilka. Wystarczyłby mu rzut oka na płaski złoty zegarek, jaki jedynie na specjalne zamówienie robiła pewna zagraniczna firma, na garnitur białych zębów, smukłe, wypielęgnowane dłonie kieszonkowca i wbrew ostatnio rozpowszechnianej modzie włosy bardzo krótko przystryżone po to, aby nikt nie mógł go za nie złapać i przycisnąć głowy do ziemi. Przede wszystkim odruch czujności wzbudziłby w nim pasek z krokodylej skóry, którym podtrzymywał spodnie. Takie paski miały na wewnętrznej stronie zamek błyskawiczny i można w nich było trzymać banknoty oraz drobne przedmioty, płaskie i małe, na przykład, jak u niego, specjalne blaszki do otwierania zamków w drzwiach hotelowych. Oczywiście, podobnych pasków robiono bardzo wiele, ponieważ najbezpieczniej nosić w nich pieniądze, ale Maryn miał pasek specjalny, wykonany na jego osobiste zamówienie i nie rzucający się w oczy. Tak więc te kilka drobiazgów już by mu wystarczyło, żeby zacząć wietrzyć niebezpieczeństwo. Oczy Kuleszy były jednak oczami ślepego, dla niego Maryn pozostawał tym, o kim go poinformowano: strażnikiem łowieckim. Wątpliwe, czy ten młody leśnik w ogóle miał zdolność do refleksji, do zastanawiania się choćby przez chwilę nad innym człowiekiem, prawdopodobnie nie ciekawiła go cudza osobowość i nie przychodziło na myśl, że ktoś może być kimś innym, niż to zostało zanotowane w papierach. Co ten gówniarz naprawdę wiedział na przykład o swojej młodej żonie, która z zaciśniętymi gniewnie ustami przeniosła ciało na drugą stronę balii, aby mąż nie mógł oglądać jej wypiętego zadu? Taki gest mógł nic nie znaczyć, ale mógł znaczyć bardzo wiele. Maryn odnotował go w pamięci niejako z zawodowego przyzwyczajenia, choć ta kobieta i ten mężczyzna nic go nie obchodzili.

- Czytałem w jakiejś książce, nie pamiętam tytułu - niedbale odezwał się do Kuleszy - o bogatych, pięknych i młodych kobietach, nawykłych do życia w dostatku, które szły za mężami w dzikie tajgi i mrozy, dlatego że tam ich zsyłano z powodu niełaski władcy. Nie dla wszystkich kobiet, kolego Kulesza, ta męska rzecz musi być aż tak ważna, skoro one szły za mężczyznami

tylko po to, aby raz na dzień zobaczyć swoich mężów w drodze na zrąb. Kto je załatwiał, panie Kulesza? Prawdopodobnie nikt. Co je trzymało przy tych mężczyznach, skoro oni ich nie załatwiali? Może miłość, panie Kulesza? Dlatego tak sobie myślę, że jest jednak na świecie prawdziwa i wielka miłość, do której cała ta łóżkowa reszta pozostaje zupełnie nieważnym dodatkiem. W swojej izbie przekręcił włącznik maszyny elektrycznej, otworzył dwie puszkę regeneracyjne z kapuśniakiem, wlał ich zawartość do garnka i czekając, aż zupa się zagrzeje, ukroił kilka cienkich plasterków chleba. To miał być obiad - niemal taki sam od trzech tygodni. Czuł głód i był zły, dlatego powiedział Kuleszy to, co powiedział. Gdyby ten leśnik był choć trochę odczytany i więcej myślał, a mniej gadał, odpowiedziałby Marynowi, że wtedy niektóre kobiety terroryzowała taka właśnie postawa. Moda posiada siłę, której nikt jeszcze do końca nie pojął - może nawet zmusić do życia w pobliżu mężczyzny bez nadziei na cielesne zbliżenie. Ale teraz jest inna moda - kopulować trzeba często i dużo, z tą, tamtą, ową; to się nazywa wyzwolenie od przesądów. Kiedyś nazywano prawdziwą miłością to, co robiły owe kobiety idące za mężczyznami na wygnanie, teraz nazywa się miłością nieustanne trzymanie członka w pochwie. Mówi się wtedy, że w ten sposób została na chwilę przełamana samotność dzieląca człowieka od człowieka. Kiedyś być może ludzie nie bali się samotności tak jak teraz albo nikt im nie uświadamiał, że są samotni. Powiedziano im też, że nie ma innej drogi do przełamania własnej i cudzej samotności jak spółkowanie krótkie lub długie; to długie bywało oczywiście lepsze, ponieważ dłużej się było z kimś bliżej, a nawet potrafiło przełamać na ten czas w człowieku strach przed niewiadomym.

Lecz jak by o tej sprawie myśleć, jak by ją osądzać - pozostawało faktem, że za Józefem Marynem, który załatwiał kobiety dokładnie i bardzo długo (małe i duże, ładne i brzydkie, jedne z przyjemnością, inne zaś bez przyjemności, zawsze jednak dając z siebie wszystko, co było w nim dobrego w sensie rżnięcia) - nie poszła żadna. Ani mała, ani duża, ani ładna, ani brzydka. Nawet jego własna żona Eryka. A przecież to nie miała być wędrownica w odległy świat, w pustkowie i mróz, lecz zaledwie trzysta kilometrów od stolicy, do wioski o dziwacznej nazwie Mordęgi. I jak by patrzeć na tę sprawę, z góry czy od spodu, z lewa czy z prawa, wynikało niezbicie, że owe męsko - damskie czynności nie okazywały się aż tak ważne. Dlatego nawet jeśli nie chciało się wierzyć w istnienie czegoś takiego jak wielka miłość, to przecież rozsądek nakazywał myśleć, że gdyby Eryka choć trochę go kochała, zapewne dostałby od niej choćby krótki list albo przyjechałaby tutaj, aby go po prostu zobaczyć, dotknąć, ugotować mu obiad, podać śniadanie czy kolację. Za swoje rżnięcie nie wymagał zresztą aż tak wiele - przykre, że nie otrzymał nic. Po prostu - nic. Przez swoją głupią wiarę w penisa i waginę - jak to się ładnie mówiło - przegrał coś istotnego, aż wstyd to nazwać, bo nazwa wydaje się głupia i prostacka, banalna i zużyta.

Nocą znowu więc nasłuchiwał jednostajnego skrzypienia starego łóżka i starał się sobie wyobrazić goły tyłek Weroniki, tak samo wypięty jak wtedy, gdy prała bieliznę na podwórzu. Niestety, wyobraźnia była jałowa, nie powodowała szybszego bicia serca, jak gdyby nawet przeciwnie, zwalniała jego uderzenia, sprowadzała ośpienie i senność, p którą do tej pory było tak trudno. Z góry już nie wiało grozą i obrzydzeniem czy wstrętem, ale jakąś przeogromną nudą. Tak właśnie - jako przeogromną nudę - musiała to odbierać Eryka, gdy na nią wlaźił noc w noc, a jemu nawet przez myśl nie przeszło, że nie sprawia jej przyjemności, nie budzi w niej zachwyty, lecz po prostu nudzi. A kiedy już owa nuda stawała się nie do wytrzymania,

wydawała z siebie okrzyk (teraz wiedział, że udany, wytrenowany), i był to dla niego znak, żeby kończyć swój męski proceder. Na początku małżeństwa jeszcze go od czasu do czasu głąskała po spoconych skroniach i szeptała: „byłeś dobry”, lecz potem (przypomniawszy to sobie teraz) nigdy mu już nic nie mówiła, tylko odwracała się do niego plecami; on zasypiał, choć coś mu podpowiadało, że ona nie może zasnąć, myśli o czymś uparcie, zapewne już wówczas zastanawiała się, w jaki sposób przy najbliższej okazji uwolnić się od jego osoby. Czy mogło być jednak inaczej? Czy ubrany w swój garnitur z męskiej pychy uwierzyłby, gdyby mu powiedziała: “Nie rób tego, ja i tak będę przy tobie, bo cię kocham”. Nie, nie przyjąłby wtedy takich słów, bo przecież nie wierzył w coś takiego jak wielka miłość. Natychmiast stałby się podejrzliwy, szukałby wokół jakiegoś kochanka, lepszego od siebie.

... Zasypiał. Po raz pierwszy od przeszło trzech tygodni zasypiał mimo jednostajnego skrzypienia łóżka - i właśnie wtedy coś na górze upadło z ogromnym łoskotem, aż Maryn poderwał się na żelaznym łóżku. Pomyślał, że tamci rżnęli się na jakimś sprzęcie, na fotelu czy czymś takim, i to coś przewróciło się nad jego głowę. Potem jednak słyszał podniesiony męski głos i chyba kobiecy płacz. Krótko to trwało - nastąpiła cisza, prawdziwa cisza, po raz pierwszy, odkąd tu zamieszkał. Zasnął i obudził się wypoczęty, z nabrzmiałym prąciem, tak jak to powinno być rano u zdrowego trzydziestopięcioletniego mężczyzny. Stało się jasne, że jakiś zablokowany trybik nagle zaskoczył w jego psychice, co się natychmiast potwierdziło, gdy pomyślał o wypiętym tyłku Weroniki. Zobaczył go w wyobraźni bardzo dokładnie; dwie półkule obnażonych pośladków o skórze gładkiej, bardzo napiętej i mięśniach twardych jak kamień, bo takie pośladki pokazał mu Kulesza, zadzierając sukienkę swojej żonie. U styku ud domyślał się gęstego futra kryjącego pochwę; Weronika miała bujne, czarne włosy na głowie, takie kobiety i między nogami bywały mocno owłosione. Prącie sterczało mu długo, ponieważ wypięty tyłek Weroniki wciąż tkwił w wyobraźni...

Tego dnia pokłusował skrajem lasu i jeziora, wzdłuż asfaltowej szosy, która prowadziła do odległej o siedem kilometrów wioski Gaudy. Większość na wpół zrujnowanych domów z czerwonej cegły wykupili w niej ludzie z wielkich miast, odremontowali, za wsią pobudowali kilkadziesiąt drewnianych willi o spadzistych dachach sięgających niemal ziemi. W jezioro wchodziły wąskie pomosty dla łodzi motorowych i żaglówek. Nie opodał - chyba dwa kilometry w głąb lasu - ogrodzone siatką i dwoma rzędami drutu kolczastego stały dwie opustoszałe wille, które były i jak gdyby nie były własnością osób znanych z pierwszych stron gazet. Maryn nie zajrzał tam nigdy, choć wiedział o nich od nadleśniczego oraz z mapy sztabowej, którą miał w mapniku przytroczonym do siodła; kilkakrotnie przekraczał jedynie drogę wylaną asfaltem, ale już spękaną, tu i ówdzie porośniętą wysoką trawą, nikt bowiem tędy od dawna nie jeździł, zresztą zabraniał tego znak drogowy umieszczony na skraju lasu. Nadleśniczy Masłocha opowiadał mu, że prawie przez rok w Gaudach urzędowała jakaś komisja, wioska wtedy wyglądała jak uszmkowany trup. A potem nagle komisja się zabrała i gdy nastąpiło lato, ten i ów z właścicieli zaczął nieśmiało przyjeżdżać - najpierw na dzień, na trzy dni, potem na dłużej, nawet z żoną, dziećmi, psem. “Tego lata przyjadą znowu wszyscy” - oświadczył nadleśniczy, co się potwierdzało, ponieważ otwarto nieczynny przez rok drewniany zajazd ze ścianami wyłożonymi modrzewiową boazerią, restauracją i siedmioma pokojami na piętrze. Na razie w restauracji nie było dużego wyboru jedzenia, podawano przeważnie flaki z chlebem i proponowano drogie rosyjskie koniaki. Właściciel zajazdu zatrudniał tylko barmankę

i jedną kelnerkę chyba swoją córkę. Miała nie więcej niż siedemnaście lat, wąski pulchne pośladki, ładną buzię z bujnymi, naturalnie jasnymi włosami i pstro sterczące dziewczęce małe piersi. Podobał się jej Józef Maryn, kiedy tu od czasu do czasu przyjeżdżał na flaki i kieliszek koniaku. Nietrudno go było wyłuskać z gromady obszarpanych i nie domytych leśników; oni to na razie - przed latem i przybyciem tych z domów i willi - pozostawiali przed zajazdem służbowe ułazy i upijali się własną wódką przywożoną w kieszeniach zielonych mundurów. Ta dziewczyna podawała Marynowi flaki i spoglądała na niego z roztargnieniem dużymi, niebieskimi oczami, uśmiechała się drobnymi, nie pomalowanymi wargami i najpewniej tylko czekała, żeby się z nią umówił gdzieś w lesie. Maryn znał kilka takich dziewcząt o podobnym roztargnionym spojrzeniu i z nikłym uśmieszkiem na twarzy, który maskował piekło nienasyceń, dręczącego je w majtkach. Tak naprawdę nigdy żaden mężczyzna nie mógł ich zadowolić, choćby to robił trzy razy na dzień i sześć razy w nocy. Nigdy nie były mężczyźni za to wdzięczne, nie przywiązywały się, zawsze liczyły, że inny okaże się lepszy. Dopiero koło czterdziestki pojmowały, że lepszych nie ma i nigdy nie będzie. Podobała mu się jednak ta dziewczyna z twarzą aniołka, ponieważ miała wąskie biodra i pulchne pośladki, sterczące, dziewczęce piersi i mógł na nią wskoczyć tak łatwo jak na grzbiet swojej klaczy. Tylko że się bał. Siebie, to jest swego prącia, swoich głupich myśli o prawdziwej miłości. Taka jak ona poszłaby przez las i dziesięć kilometrów do leśniczówki w Mordegach, lecz tylko po to, żeby ją tam Maryn załatwiał przez kilka godzin. Gdy jednak wyobraził sobie dwa jednostajnie skrzypiące łóżka - jedno na górze, a drugie na dole - wróciło uczucie obrzydzenia.

W drodze do Gaud skręcił w stronę bagna Topnik nad jeziorem; wczoraj na ścieżce wydeptanej przez zwierzęta leśne zobaczył zastawione wnyki. Dziś od razu zauważył martwą sarnę, zaduszoną przez pętlę z cienkiego drutu. Sarna była jeszcze ciepła, a więc stało się to najwyżej przed godziną. Kłusownik był tu być może o świcie i zastał pustą pętlę, co znaczyło, że znowu tu przyjdzie. Choć zapewne nie tak zaraz, może w południe albo wczesnym wieczorem. Galopem powrócił więc do domu, wprowadził klacz do stajni, zabrał z domu aparat fotograficzny i zieloną pelerynę z kapturem i powrócił na bagna. Położył się w dole po wywróconym kiedyś przez wichurę jakimś grubym drzewie, nakrył peleryną, wkręcił teleobiektyw, usunął trzy gałązki, które zasłaniały mu widok martwej sarny, naciągnął migawkę i zaczął czekać. Bez zniecierpliwienia, z ową zdumiewającą przyjemnością, której od dawna nie przeżywał. Tak, w swoim czasie bywał na polowaniach, strzelał do kozłów i łani, do samotnych odyńców, do zajęcy na zamarzniętych grudniowych polach, ale to go nudziło. Łowy na człowieka dawały zupełnie inny smak, a nawet zapach, to znaczy mdlący zapach własnego potu wywołanego podniecającym strachem, bo miało się do czynienia z istotą niebezpieczną. W lesie było zresztą duszno, z góry lały się potoki wiosennego słońca, olchy na bagnie dopiero rozwijały liście i nie okryta przez nie ziemia silnie parowała. Roje komarów i drobnutkich muszek wirowały nad peleryną, wystarczyło odrobinę wychylić głowę spod kaptura, a kleiły się do oczu, zapychały usta. Od ściółki pokrywającej wykrot ciągnęło bagienną wilgocią. A jednak to wszystko było bez znaczenia, skoro tam leżała martwa sarna i za godzinę, dwie lub nawet cztery miał po nią przyjść człowiek. "Bezkrwawe łowy" - tak niektórzy nazywali fotografowanie. Oczywiście, krew nie lała się od razu, może trochę później. Zresztą to nie musiała być wcale krew. Ivo Bunder takim samym japońskim aparatem upolował kiedyś pewnego osobnika, gdy tamten od zebrzącego pod luksusowym sklepem ślepca kupował maleńką jak pudełko od zapalek paczuszkę czegoś, czego nie powinien kupować człowiek, który

chce być szanowany. Potem tamten powiesił się jak ta sarna. Na Bundera też polowano, zresztą chyba na każdego z ich profesji. Józef Maryn wiele razy czuł, że jest na muszce aparatu fotograficznego, potem niemal ciągle miał wrażenie, że ktoś na niego poluje. Kiedyś, na przykład, poznał młodą poetkę, która go do siebie zaprosiła na noc do ładnie urządzonej pracowni na poddaszu. Aparat podsłuchowy został tak niezręcznie umieszczony na belce pod sufitem, że Maryn opuścił poddasze, wziął dziewczynę do swojego samochodu, wywiózł ją za miasto, dał po mordzie i wyrzucił z wozu. Tak się nie powinno polować na ludzi, choć właściwie to żadna różnica, czy zwabić ma zaduszona sarna, czy też dziewczyna, która pisze wiersze. Polowanie musi być jednak zorganizowane ze smakiem, a nie byle jak. Wszystko powinno mieć swój styl, wysoki poziom, przez to przejawia się szacunek dla tego, na kogo się poluje. On, Józef Maryn, ma chyba aż za dużo szacunku dla tego łobuza, zapewne jakiegoś brudasa z zagubionej w lesie wioski. Zresztą, kto wie, kogo dziś Maryn upoluje? I to jest właśnie takie ciekawe, takie podniecające, że się nigdy nie ma pewności, jaka będzie zwierzyna ludzka i co zrobi, gdy migawka pstryknie kilkakrotnie. Gniew, groźby, skamlania, płacz, błagalne wyciąganie dłoni z pieniędzmi - Maryn to znał, a przede wszystkim znał to dobrze Ivo Bunder i nieraz mu opowiadał, czym różni się w takiej sytuacji zachowanie mężczyzny od zachowania kobiety. Nie było takiej, co nie chciałaby podnieść sukienki, ale przecież Bunderowi nigdy o coś takiego nie chodziło. To mógł mieć bez tego całego kramu; najważniejszy był nowy, kompromitujący kogoś dokument, który Bunder ukrywał w sobie tylko znanym miejscu. Właśnie zapewne z tymi dokumentami w teczce tak po prostu sobie odszedł, wczesnym rankiem przekroczył pieszo dwa skrzyżowania i wszedł do gmachu policji. A potem nikt, nawet Eryka, nie chciał mu wierzyć, że on, Józef Maryn, który niemal całą noc przegadał wtedy z Bunderem - nie domyślił się, co tamten zrobi wczesnym rankiem. Niewiele już miał ufności i wiary w ludzi, ale przecież, jak się okazało, ta niepotrzebna odrobina w nim pozostała i dlatego Ivo Bunder bezpiecznie zrobił to, co zrobił. A teraz Maryn leży w leśnym wykrocie nakryty peleryną i czeka na głupiego obszarpańca, który przyjdzie po sarnę. Taki ciemniak chyba nawet me doceni klasy i wysokiej techniki myśliwego, bo dotąd miał do czynienia tylko z ciągle pijanymi strażnikami leśnymi, którzy na tłustych brzuchach nosili wycofane z obiegu pistolety i wielkimi kaburami objali sobie kości biodrowe.

Tak więc pod peleryną było bardzo duszno, Marynowi pot spływał po skroniach i koszula lepiała się do ciała, ale nie żałował tego, że nie siedzi, w zajeździe, nie patrzy na dziewczuszkę z pulchnymi pośladkami i z roztargnionym spojrzeniem, ponieważ to, co robił, przypominało mu nie tak znowu odległą przeszłość i miało w sobie coś bardziej podniecającego niż zabawa z dziewczyną. Bo kiedy się już leżało na dziewczynie, wszystko było niemal zawsze takie samo lub podobne, jednostajne i monotonne jak skrzywienie starego łóżka na górze, należało powtarzać wciąż te same czynności - a tu czekało niewiadome. Kochał swój dawny zawód, nawet to, że raz się na kogoś polowało, a potem samemu było zwierzyną łowną. Poczucie, że jest się zwierzyną, też przecież ma w sobie coś piekielnie podniecającego. Maryn uważał, że był dobry w swoim zawodzie, a nawet bardzo dobry, ponieważ bardzo kochał tę grę z sobą samym i z innymi. Niepotrzebna, a nawet zgubna okazała się tylko owa odrobina zaufania do innego człowieka. Po prostu lubił Ivo Bundera, nikogo zaś nie wolno było lubić. A nawet jeśli się już kogoś polubiło, to tym bardziej powinno mu się nie ufać. Skąd mógł jednak wiedzieć, co uczyni Ivo Bunder wczesnym rankiem?

Tamten wziął ze sobą teczkę, a w teczce nazwiska i informacje, i poszedł z tym bagażem na policję. Ale przecież Pan Bóg podobno ulepił człowieka właśnie z błota. "Idź błoto do błota" - mawiał wesoło Ivo Bunder, brudne sprawy kolejnego faceta czy facetki zamykając w papierowej teczce. A potem ten materiał sprzedał. Pewnego dnia wczesnym rankiem w gmachu policji. Sprzedał jak krowę, jak owcę na targu. Zabił tym swojego przyjaciela, Józefa Maryna. Nie dosłownie - ale w ich życiu nigdy nic nie było dosłowne. Zresztą dwa miesiące aresztu śledczego to prawie śmierć. Co czeka Ivo Bundera? Też śmierć. A przed nią długi okres strachu - można by tak powiedzieć, gdyby Bunder albo Maryn uważali strach za coś naprawdę przerażającego. Zawsze przecież żyli w strachu. Płacono im za strach, życie bez strachu nie miało dla - nich sensu. Strach potrafił podniecać jak kobieta, właśnie w wykrocie pod peleryną Maryn odczuwa odrobinę strachu, bo nie wie, jak postąpi człowiek, który tu przyjdzie i usłyszy trzask migawki aparatu fotograficznego. Nie, nawet nie usłyszy migawki, bo ona działa bezszelestnie. Potem jednak Maryn będzie musiał do niego podejść, przerzucić na niego swój własny strach, omotać go nim jak siecią i obezwładnić. Świat został tak urządony, że człowiek powinien się ciągle czegoś bać. Głupcy odczuwają strach przed nieokreślonym, mądrzy mają stracha przed ludźmi w dobrze skrojonych garniturach, o wąskich dłoniach kieszonkowców, chłodnym spojrzeniu, mówiących z prośbą w głosie, ale z naciskiem: "Czy mógłbym z panem zamienić kilka słów o pewnej nieprzyjemnej sprawie?" Taki facet czy facetka zaraz pytają groźnie i to jest najgłupsze pytanie na świecie: "Z kim mam przyjemność?" Wtedy chce się im powiedzieć: "Gówno. To nie będzie przyjemność", ale trzeba powiedzieć: "To nie ma znaczenia, z kim pan rozmawia. Ważne jest to, o czym będziemy rozmawiali". Najzabawniejsze zaś, że niektórzy takie zdjęcia i takie rozmowy uważają za niktzemne. Tak, ludzie są zabawni. Jak ten facet w autobusie, którym Maryn jechał do Mordęgów. Przez całą drogę żalił się Marynowi: "Niech pan zwróci uwagę, jak w tym autobusie śmierdzi. To ludzie tak śmierdzą, prawda?" I Maryn mu odpowiedział: "Tak, proszę pana, ludzie śmierdzą, bo są brudni".

...Zobaczył go w wizjerze aparatu fotograficznego. Mały, czarny na twarzy, kędzierzawy, trochę podobny do Cygana. Tak się zajął tą sarną, że Maryn zrobił mu cztery zdjęcia, i tak był pochłonięty patroszeniem zwierzęcia, że Maryn niepostrzeżenie podszedł go na dziesięć metrów. Oczywiście z aparatem fotograficznym w rękę i z szerokim uśmiechem na twarzy.

Maryn ujrzał strach w oczach tamtego i uspokoił się, to znaczy, pozbył się własnego strachu.

- Ja cię skądś znam. Widziałem cię chyba na plantacji u leśniczego Kuleszy - powiedział do niego. - Długo na ciebie czekałem. Sarna złapała się o ósmej rano, a ty przyszedłeś dopiero o szesnastej piętnaście. Skończ ją patroszyć, bo wkrótce zacznie cuchnąć.

Maryn podszedł bliżej i zaraz domyślił się, że ma do czynienia ze zwykłym gnojkiem, więc nawet nie tknął kabury z pistoletem. Po prostu kopnął gnojka w jądra, kiedy tamten podniósł się znad sarny z bagnetem w rękę. Kopnął go niezbyt mocno, żeby nie skrzywdzić. Począł, aż tamten przestanie jęczeć i skręcać się z bólu, trzymając się za podbrzusze, potem łagodnie mówił do niego i mówił, aż go to gadanie znudziło. Gnojek nie mógł przez długi czas pojąć, że został sfotografowany przy sarnie, musi napisać własnoręcznie krótkie oświadczenie (kiedy, o której godzinie, w jakim miejscu zastawił wnyki i przyszedł po uduszoną sarnę). Pisał wolno i z

tyłoma błędami, co chwila rzucając na ziemię długopis i duży notes, który mu Maryn położył na swojej raportówce. Chwytał się za podbrzusze, aż Maryn mu zagroził, że go znowu kopnie w jądra.

- Ile masz dzieci?

- Sześcioro...

- Starczy, no nie? - rzekł Maryn, mając na myśli jego jądra.

Tamten więc napisał wszystko, co mu Maryn kazał. Później rozplakał się i wyznał, że już raz został skazany za kłusownictwo i teraz dostanie większy wyrok. Maryn kiwnął głową, ale powiedział po prostu:

- Ty już więcej tego nie będziesz robił. Nie mam do ciebie złości. Sarnę wypatrosz i zabierz do domu. Tej sarny przecież nie wskresimy. Mnie nic z tego nie przyjdzie, że cię posadzą. Wezmę sobie na pamiątkę twoje zdjęcia i twoje oświadczenie. Bo musisz wiedzieć, że jestem tu obcy, zupełnie obcy, dopiero od niespełna trzech tygodni. Nic nie wiem o nikim, a lubię wiedzieć, na jakim świecie żyję. Rozumiesz coś z tego?

- Nie, proszę pana.

- Może więc wolisz jednak sprawę w sądzie i więzieniu? - Nie, proszę pana.

- Chcę mieć przyjaciela - oświadczył Maryn. - Przyjaciół się nie wybiera. Los padł na ciebie. Ja się nazywam Józef Maryn i mieszkam na razie w Mordęgach, a ty nazywasz się Zenon Karaś i mieszkasz w Dolinie. Mam w tobie przyjaciela, bo zdobyłem twoje zdjęcia i twoje oświadczenie. Od czasu do czasu przyjadę do ciebie, a ty mi powiesz to, co wiesz.

- Ja nic nie wiem.

- To postaraj się wiedzieć. Kto jeszcze kłusuje i gdzie kłusuje. Kto ma nielegalnie broń. Powiesz mi to po przyjacielsku, bo zostaliśmy przyjaciółmi. Kradzieże drewna mnie nie interesują, jestem strażnikiem łowieckim. Weź więc tę sarnę do domu i pamiętaj, że masz we mnie przyjaciela. Nie powiem nikomu o naszej przyjaźni. Ty też tego nikomu nie mów, bo to może być nieprzyjemne.

W lesie wciąż było duszno, ten człowiek był oszołomiony z bólu i z tego, co mu się przydarzyło. Należało mu zostawić czas na rozmyślanie, na oprawienie samy, na powrót do wioski. I na strach, który w nim będzie trwał tak długo, jak długo w pobliżu pozostanie Józef Maryn. Najważniejsze, że Maryn miał przyjaciela. Mały, krępy, czarny na twarzy, kędzierzawy, podobny do Cygana robotnik leśny z Doliny. Nie to, co taki na przykład Ivo Bunder. Ale przyjaciół się nie wybiera, życie ich samo podsuwa. Przyjaźń będzie Marynowi potrzebna, bo jest tutaj obcy.

Gdy wracał do leśniczówki, odezwało się w Marynie uczucie dawno zapomniane, jakaś wątpliwość, którą można było nazwać wyrzutem sumienia. Nie był pewien, czy postąpił słusznie

zniewalając i uzależniając Karasia od siebie, zamiast po prostu oddać go w ręce władz. Do tej pory wszystko, co czynił Maryn (a przecież były to postęпки po stokroć gorsze od historii z Karasiem), usprawiedliwiał interes firmy. Świat miał swoją moralność i swoją ocenę ludzkich spraw i postępków, ale zarazem uznawał istnienie firmy oraz dziesiątków podobnych firm, tym samym więc sankcjonował również wewnętrzną moralność pracujących dla nich ludzi. Świat miał swoje dobro i zło, ale firmy też miały swoje dobro i swoje zło. Cokolwiek wtedy czynił, choćby potocznie uznawane za zło, było dobre. Czy lubić kogoś trochę było dobre, czy złe? Ogólnie uważano, że lubić kogoś jest czymś ludzkim i dobrym. Maryn lubił trochę Ivo Bundera, lecz dla firmy okazało się to złe i nawet niemoralne. Za to, że lubił Bundera, że nie postąpił z nim tak, jak nakazywały instrukcje - skazano go na ten las i na samotne łowy zwierzyny takiej jak ów Karaś. Można lubić psa, ale jeśli pies okaże się wściekły, trzeba go zabić nie mrugnawszy okiem, gdyż może pokąsać innych. Bunder wszedł do gmachu policji - to było gorsze niż pokąsanie przez wściekłego psa. Dlatego z perspektywy czasu Maryn już wiedział, że nie wolno nikogo lubić, gdyż można zachować się niegodnie, a nawet niemoralnie, ponieważ naraża się na szwank firmę. Ale teraz, tutaj? Cokolwiek teraz czynił, robił to nie dla firmy, lecz dla siebie i na własny rachunek. Nie mógł się już zasłaniać wartościami moralnymi firmy, ale musiał dopracować się własnych wartości, co przecież nie było łatwe dla człowieka, który przez tyle lat czynił rzeczy ogólnie uznane za złe i niemoralne, choć przecież z innego punktu widzenia (właśnie z tego, do jakiego przywykł) były i dobre, i moralne. Czy to jednak nie za dużo wymagać od kogoś, aby nagle, z dnia na dzień, odzyskał dawne wartości, skoro odrzucał je przez tyle lat, a nawet starał się o nich zapomnieć, gdyż w przeciwnym razie okazałby się osobnikiem nieprzydatnym, nieustannie szarpanym wątpliwościami. Dlaczego, jeśli przez tyle lat wmawiał sobie, że wszystko, co ludzkie, jest mu obce, teraz miał przyjąć, że wszystko, co ludzkie, jest mu bliskie? Wróci przecież do świata, z jakiego tu przybył, i znowu istnieć będzie jedynie interes firmy.

W domu odgrzał leśną zupkę regeneracyjną, znowu kapuśniak. W izbie, gdzie mieszkał, nie było stołu, miskę z jedzeniem postawił na parapecie okna, podsunął kulawy stołek i jedząc patrzył na Weronikę, która drugie popołudnie prała na podwórzu.

Nie wiedziała, że wypina tyłek na obcego człowieka, ale na ławce pod drugim oknem siedział jej mąż i patrzył na nią głodnymi oczami, co ją chyba zawstydzało albo irytowało. Skoro jednak nie chciała się wypinać na męża, to musiała to uczynić w stronę okna izby Maryna, choć jemu to było obojętne. Na jego gust zad miała za duży, nie to, co tamta w zajeździe.

Tej nocy łóżko na górze nie zaskrzypiało ani razu. Ale i tak Józef Maryn nie mógł zasnąć, gdyż nie przewidział, że łóżko nie będzie skrzypiało, i wciąż czekał, aż zacznie się to, co zwykle - jednostajne postękiwanie. Nic takiego jednak się nie działo i Maryn nie potrafił zasnąć, czekał i czekał, aż w końcu pogrążył się w jakimś półśnie, rozmawiał z Ivo Bunderem, ze schwytanym przy sarnie Karasiem, a potem z jakimś dziwnym człowiekiem nazwiskiem Horst Sobota. Nic nie wiedział o tym człowieku, tylko tyle, że miał piękny, murowany dom z sadem i zaproponował mu mieszkanie. Czekał i czekał, nagle usłyszał na górze podniesiony głos męski, kobiecy płacz, coś upadło na podłogę. Nastąpiła cisza, Maryn znalazł się w męczącym pół śnie, pół jawie. Okno miał uchylone, doszedł go zgrzyt otwieranych drzwi do stajni i parsknięcie klaczy. Pomyślał o Zenonie Karasiu, a że nie wiedział, co czują tacy ludzie, gdy zrozumieją, że

ich dusza należy do drugiego człowieka - poczuł niepokój. Ludzie pokroju Bundera lub Maryna nie mieli duszy, a ci, z którymi się dotąd stykał, pozbywali się duszy tak łatwo jak brudnych kalesonów i brudnych majtek. Józef Maryn potrafił domyślić się, co zrobią w każdej niemal sytuacji, choć nie do końca - nie przewidział na przykład, że wczesnym rankiem Bunder minie dwa skrzyżowania i wejdzie do gmachu policji. Oczywiście, Ivo Bunder był osobowością skomplikowaną, a Karaś prymitywną. Ale właśnie taki prymitywny człowiek może uczynić coś bardzo prymitywnego, na przykład wyprowadzić ze stajni klacz albo nasypać jej czegoś do żłobu. Dlatego Maryn wstał z łóżka, do kieszeni piżamy włożył pistolet i w nocnych pantoflach poszedł na podwórze. Stajnia była otwarta, a przecież ją zamknął. Z otwartych drzwi uchodziło ciepło, zapach nawozu i końskiego potu. I czegoś jeszcze - no tak, woń perfum. Oczy Maryna przyzwyczały się już do mroku w stajni, dostrzegł jakiś podłużny kształt tuż przy klaczy. Kobieta w nocnej koszuli trzymała klacz za szyję i płakała bardzo cicho, nie tak jednak cicho, żeby tego Maryn nie dosłyszał. To znaczy, Maryn nie widział jej dokładnie ani też wyraźnie nie słyszał tego płaczu, ale tego wszystkiego się domyślił. Zawrócił do domu, wlaż pod koc i już naprawdę zasnął. Ci ludzie na górze nic go nie obchodzili, chciał być jak najdalej od ich kłopotów, ponieważ miał dosyć własnych.

Rankiem zjawił się przed domem Horsta Soboty i powiedział do niego:

- Zaproponowałeś mi, dziadku, mieszkanie w twoim domu. Przyjąłem je. Chcę mieszkać u ciebie, a nie u leśniczego Kuleszy. Powiedz mi więc, czego żadasz w zamian?

Albowiem Józef Maryn wiedział na pewno, że nic na tym świecie nie bywa za darmo. Najwyższą zaś ceną bywa poczucie wdzięczności za coś, co ktoś zrobił za darmo.

Stary patrzył na niego w milczeniu, a Maryn pomyślał, że ten starzec ma takie same jak on niebieskie oczy i gładko przylegające do głowy posiwiałe włosy, które też kiedyś musiały być bardzo jasne. Maryn będzie chyba wyglądał podobnie jak ten stary - i oby tak wyglądał. Najprawdopodobniej jednak nie doczeka takiego wieku; zginie na ulicy jakiegoś wielkiego miasta; z kałuży krwi zabiorą go ludzie w białych fartuchach.

- Nie powiem ci od razu wszystkiego, bo pomyślisz, że jestem szalony - rzekł bardzo ostrożnie Horst Sobota. - Ale to możesz wiedzieć, że nie lubię lasu, a ty mi powiedziałaś, że też lasu nie lubisz. Z czasem dogadamy się.

Józef Maryn obawiał się jedynie ludzi zbyt sprytnych albo zupełnie głupich. Przed sprytem innych umiał się bronić własnym sprytem, wobec głupców bywało się bezradnym i dlatego na czyjaś głupotę uznawał tylko jedno lekarstwo: brutalność. Nie, nie musiał się obawiać starego Soboty. Kto wie, może właśnie tutaj będzie mógł się poczuć bezpiecznie?

Maryn popatrzył na ciemną ścianę wielkiego lasu, tu i ówdzie zaszytowaną promieniami porannego słońca. Od lasu napływał mocny zapach mchu i gnijących liści. Odwrócił twarz i skierował spojrzenie na jezioro, o tej porze dnia i roku błękitne jak oczy Maryna i Horsta Soboty. I drgnęły mu wargi w lekkim uśmiechu, który ktoś nazwałby pogodnym, ale dla Horsta Soboty był złowrogi.

- Nie wiedziałem, że nie lubię lasu. Dopiero ty, dziadku, pozwoliłeś mi to pojąć. Tak, nie lubię lasu. Urodziłem się na wsi, dwadzieścia kilometrów od najbliższego małego lasku. I tylko dwa razy w życiu byłem w lesie, bo potem zawsze wypadało mi żyć w wielkich miastach. Źle się czuję w gęstwinie drzew. Mam uczucie, że zamykają mnie ze wszystkich stron jak kraty więzienia. I robi mi się duszno od zapachu, jaki wydziela las. To dziwne, ale wśród kamiennych ulic czuję się wolny, a tutaj czyha na mnie niewola. Nie wiem, w jaki sposób każesz mi zapłacić za mieszkanie u ciebie. Wiedz jednak, że i tak zrobię, jak zechcę. Horst Sobota otworzył połówkę bramy i zapraszającym gestem wskazał Marynowi podwórze za domem. Potem wprowadził klacz do pustej stajni, gdzie kiedyś trzymał dwa konie. Obok była obora, miał w niej teraz skład skrzynek na jabłka. Następnie weszli do domu drzwiami od podwórza i zatrzymali się w długiej, ciemnej sieni, dzielącej dom na dwie połowy. W głębi znajdowały się schody do pokoi na górze. Maryn wolał parter i wybrał sobie nieduży pokój, pierwszy z prawej, z widokiem na sad i jezioro. Stary powiedział mu, że naprzeciw drzwi do jego pokoju jest kuchnia, tam może sobie przygotowywać śniadania i obiady, korzystać z lodówki.

- Mój pokój jest od strony lasu, na lewo od sieni. A na końcu sieni mam ganek z kolorowymi szybkami. Jeśli nie znajdziesz mnie w sadzie albo w mojej izbie, to znaczy, że jestem na ganku - powiedział Sobota.

W pokoju Maryna były dwa okna - z jednego widziało się drogę i kawałek lasu, z drugiego - podwórze, sad, jezioro. Wypełniały pokój bogate, stare sprzęty: szafa na ubranie z rzeźbionymi drzwiami, kredens z oszkloną górą, prostokątny stół z czterema twardymi krzesłami, długa ława pod jednym oknem i drewniane łóżko z czystą pościelą, okryte pluszową narzutą. W oknach wisały tiulowe firanki i kwieciste zazdrostki. Wszystko było czyste, cały pokój tchnął niezwykłą schludnością. "W tym domu rządziła nie tak dawno jakaś kobieta" - pomyślał Maryn, ale nie zapytał o to starego. Postanowił powiedzieć później Horstowi Sobocie, że nie będą się wzajemnie nigdy o nic pytać.

Spodobał się Marynowi ten pokój, ten dom, ten dziwny starzec i ogromna cisza, która zdawała się w tej chwili jakby przezroczystą dłonią nakrywać sad i jezioro, a nawet las po drugiej stronie drogi. Pomyślał z radością, że nie usłyszy więcej jednostajnego skrzypienia łóżka nad głową, a w stajni nie poczuje zapachu kobiecych perfum.

Porozkładał swoje rzeczy w szafie i w kredensie, nie bacząc, że nie ma kluczy. Tajemnice swoje nosił Maryn w sobie - nie obawiał się ciekawości starego człowieka. Wyszedł na podwórze i uśmiechnął się zobaczywszy przez otwarte drzwi małej szopy, jak Horst Sobota nakrywał wiekiem pustą trumnę. Nie zdumiało go to. Jego ojciec, bogaty gospodarz, też miał w szopie przygotowaną dla siebie trumnę.

Maryn wyjął pieniądze i wręczył je Horstowi.

- Będę potrzebował owsa dla konia i sporo siana. Nie znam w tej okolicy nikogo i nie mam jeszcze przyjaciół.

- Dobrze - skinął głową Horst Sobota. - Już od dawna nie byłem między ludźmi, tylko w sklepie. Dla ciebie to zrobię. Pójdę do wsi i przywiozę ci owsa i siana. Co ci jeszcze kupić,

obcy człowieku?

Maryn wzruszył ramionami i rzekł grzecznie:

- Nie wypada mi robić z was służącego. Ale jeśli chcecie zrobić mi przysługę, kupcie wszystko to, co potrzebne jest mężczyźnie.

Horst Sobota po raz pierwszy od wielu dni uśmiechnął się bezzębnymi ustami.

- Pięknie mówisz do mnie, obcy człowieku. Kupię ci wszystko, czego potrzeba mężczyźnie. Jeśli tego zażadasz kupię ci nawet kobietę.

Józef Maryn też się roześmiał. A żeby staremu okazać szacunek, powiedział mu "przez pan".

- Nie stać mnie na to, panie Sobota. Kobiety, jakie lubię, są niezwykle drogie.

Stary pogardliwie wydał wargi:

- Ty nawet nie wiesz, jak bardzo jestem bogaty. Jeśli zwyciężysz las, będziesz mógł kupić sobie najdroższą kobietę. Taką, jaką lubisz.

Rozdział trzeci

Maryn powrócił z lasu w samo południe. Pośpiesznie rozsiadł klacz, zdjął jej uzdę i puścił wolno na młodą trawę nad jeziorem. Potem zawołał Horsta Sobotę i kazał mu do swojego pokoju wnieść miskę z przegotowaną i ostudzoną wodą. Następnie zdjął marynarkę mundurową i wówczas Sobota zobaczył, że lewy rękaw koszuli Maryna jest na przedramieniu przesiąknięty krwią. Rana była podłużna, głęboka i mocno krwawiła.

Maryn przemył ją starannie lnianą szmatą maczaną w wodzie i rana ukazała się w całej okazałości, wciąż krwawiąc obficie.

- To zrobił czyjś nóż - oświadczył Horst Sobota.

Maryn uśmiechnął się po swojemu i skinął głową.

- Tak - powiedział. - To zrobił nóż. A pan, panie Sobota, niech sięgnie do kredensu, gdzie mam swoje rzeczy, wyjmie buteleczkę z jodyną i obleje mi nią ranę.

Jodyna musiała bardzo szczypać i palić, lecz Maryn wciąż nie przestawał się uśmiechać. Kazał Horstowi zranione miejsce bardzo mocno ścisnąć elastycznym bandażem, a potem wyjął z kredensu niklowane pudełeczko i zrobił sobie zastrzyk przeciwwężcowy. "On jest diabłem" - pomyślał Horst Sobota i poczuł w sobie ciepłą radość.

- Powinieneś zawiadomić milicję - doradzał Sobota.

- Milicję? - roześmiał się Maryn. - Zdobyłem nowego przyjaciela. A za przyjaźń trzeba czasem zapłacić własną krwią. Byłem mało uważny, panie Horst, i nie pomyślałem, że ten przyjaciel, zanim mnie polubi, zechce mi zrobić krzywdę. Ciekawym, kto mi zaceruje rękaw munduru.

Tego dnia Maryn już nie pojechał do lasu. Usiadł na ławeczce na podwórzu i rozmyślał o czymś, patrząc na sad i jezioro. A Horst Sobota doszedł do wniosku, że Józef Maryn stoczył pierwszą swoją potyczkę z szatańskimi mocami lasu. Wziął mundurową kurtkę Maryna i starannie ją zacerował zielonymi nićmi. A jeszcze później pośpieszył do wsi, kupił kurę, oskubał ją i przed wieczorem zaprosił Maryna na tłusty rosół. Chciał, aby Maryn był silny. Podczas obiadu poprosił Maryna, żeby mu mówił "ty". Maryn kiwnął głową i też poprosił Sobotę, żeby mu mówił "ty", to jest nazywał "Józwą", tak jak wołano na niego w domu, gdy był małym chłopcem.

- Mieliśmy też duży sad - opowiadał. - O tej porze roku już przekwitał, ale tutaj jest pomoc i wszystko dzieje się później. Grusze kwitły na biało, jabłonie na różowo, różowe kwiaty miały wiśnie. Gdy byłem mały, musiałem obcinać wczesną wiosną uschnięte gałęzie i takie gałązki, które się ze sobą krzyżują. Lubię sady, Horście, bo przypominają mi dzieciństwo. Czy zakładasz lepiące się opaski? A może robisz opaski ze zwykłego towotu? One też dobrze chwytają

pełzające robactwo.

- Robię i jedno, i drugie - odparł Sobota i poczuł znowu radość w sercu. Zakładam opaski ze słomy i papieru falistego. Zakładam opaski lepowe. Opylam też sad różnymi chemicznymi środkami, jak każe współczesna nauka, ale nie gardzę starymi sposobami. Dla zwalczania bawełnicy korówki dobrze jest osiedlić na drzewach jej wroga, ośca korówkowego. Przeciw owocówkom śliwkóweczkom i owocówkom jabłkóweczkom dobry jest ich wróg, kruszynka. Myślę, że i trzy leśne szatany mają swoich naturalnych wrogów, ale ja ich nie znam. A może ty, Józwa, o nich słyszałeś?

- Niewiele wiem o lesie. Mówiłem ci to już - zaznaczył Maryn.

- Tak. Dlatego bądź ostrożny. Las bywa zdradliwy. Mnie zabrał żonę i dwoje dzieci, a potem drugą żonę i syna. Ostatnio znowu bardzo mnie skrzywdził, a jak to uczynił, kiedyś ci opowiem. Trzy są bowiem niezmożone leśne siły: biocenoza, ekosystem i klimaks leśny.

- A ludzie? Leśni ludzie? - spytał Józwa Maryn.

- Ludzie wchodzą w skład klimaksu leśnego. Są okrutni, bo las zabrał im dusze. Leśnych ludzi strzeż się najbardziej.

- Wiem o tym - kiwnął głową Józwa. - Dlatego chciałbym mieć psa. Tobie i mnie przydałby się pies. Któregoś dnia pojedę do miasta i kupię szczeniaka. Nauczymy go polować na leśnych ludzi.

- Potrafisz tresować psy?

- Umiem tresować ludzi. Myślę, że z psami jest łatwiej.

- Nigdy nie widziałem wytresowanych ludzi - zachichotał Sobota i w tym uśmiechu pokazał bezzębne usta.

- Naprawdę? - zdziwił się Maryn. - Przecież prawie wszyscy ludzie są przez kogoś wytresowani. Co chwila stają na tylnych łapkach, dwie przednie błagalnie do kogoś wyciągają, rzucają się na rozkaz i chwytają za gardło. Na rozkaz też stają się posłuszni, warują, czołgają się. Skomlą, gdy im się pokaże bat albo są głodni. Niestety, są gorsi od psów. Potrafią ugryźć rękę swojego pana, wprowadzić go na fałszywy trop. Ty o tym nie wiesz, Horście, ponieważ, zdaje się, nikomu nie dałeś się dobrze wytresować.

- Próbowali... - powiedział w zamyśleniu Horst.

- Ja też przeszedłem długą tresurę - uśmiech zniknął z warg Maryna.

Nagle Maryn znowu roześmiał się bardzo pogodnie, jak gdyby przypomniał sobie coś naprawdę zabawnego.

- Czy znasz, Horst, leśniczego Tarchońskiego? Tego, który otrzymał niedawno leśnictwo

Janowiec, gdzieś w głębi lasu. Inżynier z Warszawy. Przyjechała do niego żona, też z Warszawy, zobaczyła leśniczówkę, rozbeczała się i powiedziała, że w lesie mieszkać nie będzie, ponieważ nie potrafi żyć bez oglądania wystaw sklepowych. Byłem właśnie u nadleśniczego Masłocha, gdy on wszedł z podaniem o przeniesienie go ze względu na żonę do pracy w nadleśnictwie w Bartach.

- Tak, znam tego młodego człowieka. Ma wielką szopę włosów na głowie, nosi grube okulary i jest bardzo wysoki. Oglądał z leśniczym Stęborkiem mój dom i namawiał mnie do sprzedaży. - Gdy wszedł do gabinetu nadleśniczego, był taki malutki, że ledwie sięgał klamki. Zrobił się z niego karzełek. Masłocha dobrze ich tresuje. Z dużego psa nie zrobisz małego, a z człowiekiem coś takiego może się stać. I to mnie śmieszy, Horście.

- O psa się nie martw. Nie musisz kupować szczeniaka. Wiem o półtorarocznym owczarku, którego ma pewien rolnik w sąsiedniej wsi. Nienawidzi leśników, bo kiedyś urwał się z łańcucha, pobiegł do lasu i tam go któryś z leśnych ludzi zranił śrutem. Chłop trzyma go przy budzie i pies zrobił się prawie dziki. Kupię go od niego. Każę go przywieźć i zamknę w wybiegu dla kur. Ale pamiętaj, że jeśli się stamtąd wyrwie, poprzegryza nam gardła. Ty go będziesz musiał wytresować. Czy robiłeś to już kiedyś?

- Tresowałem ludzi. Myślę, że psy tresuje się tak samo - oświadczył jeszcze raz Maryn.

Podziękował Horstowi za obiad, zdrzemnął się trochę w swoim pokoju, a potem o zmroku poszedł do leśniczówki Kuleszy, aby wytłumaczyć się, dlaczego zrezygnował z mieszkania u niego.

U Stefana Kuleszy stały na stole trzy półlitrowki, półmiski z pokrojoną kiełbasą, waza z kiszonymi ogórkami i sarta pokrajanego chleba. Za stołem oprócz Kuleszy zobaczył Maryn leśniczego Tarchońskiego, gajowego Wzdręgę z pożółkłą i pobrużdżoną twarzą oraz traktorzystę obsługującego leśną maszynę, która swoimi potężnymi pazurami potrafiła przenosić ogromne pnie, wrywać drzewa z korzeniami.

- Kończymy przygotowanie gruntu pod sadzenie plantacji - wyjaśnił Marynowi Kulesza. - Niech pan siada z nami i wypije za nowy las.

- I za mój awans - powiedział Tarchoński, poprawiając okulary na nosie. - Wkrótce dostanę dekret na nadleśniczego terenowego i przeniosę się do bloków w Hartach.

Nadleśniczy terenowy to nie była wielka władza. Takich nadleśniczych miał Masłocha ze czterech, coś w rodzaju donosicieli, którzy jeździli po leśnictwach i węszyli zło. Stworzyła ich kolejna reorganizacja i zapewne kolejna miała ich usunąć. Ale Tarchońskiemu chodziło o dodatkowy pasek na czapce i mieszkanie w blokach zbudowanych przez nadleśnictwo. Traktorzysta Budrys - niski, krępy, z błyszczącymi oczami alkoholika - już był pijany, choć zapewne niewiele wypił. Policzki, szyję i kark miał aż czarne od słońca i wiatru, ale czoło białutkie jak półdupek niemowlaka. Chyba jedynie do spania i siadania przy stole zdejmował swoją wyszarganą wełnianą czapeczkę pod kask. Mieszkał w Dolinie, w tej samej wiosce, z której pochodził Zenon Karaś, nowy przyjaciel Maryna. To o nim doniósł mu już

Karaś, że zakłada sidła w rezerwacie ptasim na jeziorze Tuby w samym sercu lasu.

- Pan się wywyższa, panie Maryn - bełkotał traktorzysta Budrys.

- Jeździ pan na swoim koniu jak hrabia. I po co? Złapał pan jakiegoś kłusownika?

Kulesza krzyknął w otwarte drzwi do drugiego pokoju:

- Weronika, podaj krzesło dla pana Maryna...

Żona Kuleszy wyniosła stołek z sypialni, skąd Maryn słyszał skrzypienie łóżka. Może to ten stołek się przewrócił, gdy na nim dokazywali? Twarz młodej kobiety wydawała się chmurna, czarne brwi ściągnęła nad nosem, patrzyła wrogo na stół z wódką.

Maryn nie chciał się wywyższać. Pragnął wtopić się w zielen lasów, zielen leśnych mundurów. Wziął do ręki napełniony dla niego kieliszek z grubo rżniętego szkła, powiedział:

- Wasze zdrowie. Za awans, panie inżynierze, za plantację, panie inżynierze. - I wypił, ocierając usta wierzchem dłoni.

- Przeniósł się pan od nas, ale to i lepiej - rzekł Kulesza. - Pokój będzie nam potrzebny, gdy w przyszłości urodzi się dziecko. Weroniko, napij się z nami.

- Nie chcę - gniewnie odburknęła młoda kobieta i zniknęła w drzwiach sypialni.

Tarchoński znowu poprawił okulary i poklepał Kuleszę po plecach.

- Moja żona jest już w ciąży. Dlatego uparła się do miasta, bliżej lekarzy. A tobie, jak mówiłeś, żona nie chce dawać. Jak zrobisz jej dziecko?

Gajowy Wzdrenga dotknął wskazującym palcem swojego nosa, podobnego do łuszczącego się, próchniejącego sosnowego sęka. Palec też miał sękaty, z grubą, brązową naroślą paznokcia.

- Wziął pan sobie za żonkę porządną kobietę, panie leśniczy - stwierdził. - Porządna kobieta niezwykajna tych rzeczy. Przywyknąć musi.

Tarchoński uśmiechnął się, lecz natychmiast odwrócił twarz do ściany, aby ukryć uśmiezek. Zakłopotany, że być może Kulesza zauważył ów uśmiech, znowu poprawił okulary, a potem rozlał wódkę do kieliszków.

Kulesza zacisnął usta, pogłaskał wąsiki. Może ta kobieta w sypialni nie była aż tak porządna, jak to sugerował Wzdrenga, i o tym właśnie pomyślał Tarchoński? Pijany Budrys rzekł niewyraźnie:

- Z każdą jest tak samo. Z początku nie chcą dawać. Ale przyszli do mnie koledzy, położyli moją babę na łóżku i powiedzieli: "Bierz, bo to twoje". Przytrzymali babę i zrobiłem co trzeba.

- To jest po męsku - przytaknął Wzdrega.

- Moja żona też lubi na siłę - wstydliwie dorzucił Tarchoński.

- To prawda. - Kulesza chciał się odpłacić Tarchońskiemu za złośliwy uśmiezek. - Widziałem, jak ci kiedyś dała po gębie. - Tak, ale nie zrozum tego źle - bronił się Tarchoński. - To tylko taka prowokacja z jej strony. Ona mi da po gębie, a potem ja jej przyłożę i wezmę na siłę. Właśnie tak lubi.

- Pan się wywyższa, panie Maryn. Nie powie nam pan, jak pan bierze kobietę? Pan się ma za innego niż my, czy nie tak?

To było dziwne, ale właśnie ten prostak zdawał się wyczuwać w Marynie jakąś inność, której nie potrafili zauważyć ci dwaj wykształceni ludzie z wielkiego miasta. Byli chyba zbyt pewni swojej wiedzy, swoich tytułów, swego obycia ze światem.

Maryn poczekał, aż znowu wypili, zakąsili ogórkiem.

- Ktoś mi gadał, panie Budrys, że pan zastawia sidła na ptaki na jeziorze Tuby w samym środku lasu. Nie znam dobrze tych okolic, może mnie pan tam zaprowadzi.

- Ja? - wrzasnął Budrys. - Ludzie kłamią, panie Maryn. Kłamią.

Podniósł się nieco chwiejnie ze swojego krzesła i chciał stanąć przed Marynem, chuchając mu w twarz odorem wódki i zepsutych zębów, ale Maryn na to nie pozwolił. Popchnął dłonią Budrysa, aż tamten usiadł. - Spokojnie, panie Budrys - zgromił go Kulesza. - Siedzi pan nie wśród swoich kolegów, tylko u mnie, u leśniczego. Jeśli pan wódki nie umie pić, to niech pan sobie stąd idzie. Tu, u mnie, nikt mi nie będzie szumiał oprócz drzew.

- Kłamią. Kłamią - pomrukiwał Budrys.

Wypróbował już Maryna na swój sposób. Myślał, że ma do czynienia z eleganckim chuchrem, teraz zaś zwiertzył niebezpieczeństwo i po prostaku, czujnie i chytrze, postanowił się nie odzywać.

Maryn się nudził. Oni już zaczęli bełkotliwą, pełną jakichś żalów pijacką rozmowę. O nadleśniczym Masłosze, o jego zastępcy Wojtczaku, że nie ma on żadnego wykształcenia leśnego, z awansu się wziął. Potem o premiach kwartalnych. Taką premię dostał stary leśniczy, technik z wykształcenia, jakiś Kondradt. Mówili, że ma najłatwiejsze do prowadzenia leśnictwo. Nie należała mu się. Kulesza powinien był ją dostać, bo zakłada plantację nasienną i wziął na siebie ogromną odpowiedzialność.

- Nie bój się, Stefan - pokrzykiwał Tarchoński. - Po to przyjąłem funkcję nadleśniczego terenowego, żeby nas, młodych leśników, bronić. Zobaczysz, jaki ogień w nadleśnictwie rozpale i pierwszy w ten ogień rękę włożę.

A Marynowi nawet wargi nie drgnęły do uśmiechu, kiedy sobie przypomniał

Tarchońskiego tak skurczonego, że ledwie klamki sięgał w drzwiach gabinetu Masłochy. Gadali i gadali, wciąż o tym samym. O ogniu, który rozpała. Jeden drugiego nie słuchał, to samo gędzili w kółko, nawet tych samych słów używali, te same zdania płynęły im z ust. Opróżnili trzecią półlitrowkę.

- Weronika, daj nam jeszcze jedną butelkę. Jest w szafce w kuchni - zawołał Kulesza w stronę sypialni.

Kobieta w milczeniu przesunęła się przez pokój i zeszła na dół, do kuchni. Była w szlafroku i gdy ich mijała, zobaczyli jej śniade uda. - Dobra jest - cmoknął Kulesza, kiedy zniknęła za drzwiami.

- Dobrze się ją załatwia. Tylko że się znarowiła.

- Nie zwyczajna - zaczął Wzdrega.

Kulesza uderzył pięścią w stół, aż podskoczyły puste butelki i talerze.

- Myślicie, że nie wiem, co się o niej mówi? Że pięciu czy sześciu miało ją na zrębie. Spała się jak świnia, a teraz nawet kieliszka nie chce wziąć do ust. Nie wypije z własnym mężem i jego przyjaciółmi.

- Wywyższa się - bełkotliwie rzekł Budrys.

- Z łóżka mnie zrzuciła. Z siebie. O mało kręgosłupa nie złamałem - twarz Kuleszy stała się czerwona ze złości.

Weszła Weronika z pełną butelką wódki w ręku. Postawiła ją na stole, nie patrząc na żadnego z nich. Chciała odejść, ale Kulesza złapał ją wpół.

- Napijesz się z nami - rozkazał.

Wyrwała mu się jednym silnym szarpnięciem, ale jemu pozostał w dłoni rozwiązany pasek szlafroka, który rozchylił się obnażając jej goły brzuch i trójkąt czarnego łona. Osłoniła się zaraz wstydliwie i chciała wbiec do sypialni. Kulesza był jednak szybszy, dogonił ją i chwycił w pasie.

- Przytrzymaj ją, Tarchoniu - wrzasnął. - Ja ją rozumu nauczę.

Tarchoński nie od razu wstał z krzesła. Kobieta szarpała się z mężem jak z obcym człowiekiem. Palce wpiła w policzki Kuleszy, czarne, gęste włosy zasłaniały jej twarz, to znów odsłaniały, a wtedy Maryn widział jej oczy - przerażone, rozgniewane, podobne do oczu rozwścieczonego dzikiego zwierzęcia.

Pierwszy podniósł się Budrys i w swoje brudne łapska chwycił ręce kobiety, a potem oderwał je od policzków Kuleszy.

- Pomożemy panu, panie leśniczy. Tak zrobimy jak z moją kobietą.

Wstał Tarchoński. Kulesza przewrócił żonę na wersalkę, która stała pod ścianą pokoju. Szlafrok był rozchylony, kobieta leżała naga, duże, ciężkie piersi zakrywała dłońmi, później zakryła nimi podbrzusze. Ugryzła Budrysa w rękę, odepchnęła męża i już zrywała się z wersalki, gdy podbiegł Tarchoński i Wzdrenga. Złapali ją, przytrzymali ramiona, Wzdrenga zadął jej do góry brodę, żeby nie mogła gryźć. Budrys oderwał jej dłonie od łona, ciekawie zaglądając między nogi. Kulesza rozsunął suwak rozporka, niemrawo wyjmując z niego członka.

- Stoi - zachichotał radośnie.

Budryswi ślina pociekła z ust. Oblizwał się i zamruczał:

- Dalej, panie leśniczy. Do roboty.

Weronika szarpała się, trzymali ją jednak mocno. Usiłowała zacisnąć uda, lecz Budrys swoimi silnymi dłońmi rozchyłał jej kolana tak szeroko, aż w czerni gęstych włosów pokazała się różowa szpara. Wtedy Kulesza ugiąwszy nieco nogi w kolanach wsadził w nią swoje sterczące prącie i zaczął rytmicznie poruszać tyłkiem.

Maryn wrzucił nie dopalonego papierosa do kieliszka z resztką wódki i wyszedł z pokoju. Zbiegł po schodach na dół, na podwórzu odetchnął ostrym, niemal mroźnym powietrzem wiosennej nocy. Było ciemno, ale piaszczysta droga rysowała się jaśniejszą smugą. Ruszył przed siebie zupełnie nieczuły na to, co działo się u Kuleszy. To były sprawy między mężem i żoną, nie musiało go to obchodzić, a nawet nie powinno. Pozostawał tu obcy, nie przybył, aby kogokolwiek pouczać. Zresztą może tej kobiecie to się właśnie należało? Po co wychodziła za męża za tego głupca z wąsikami i krągłą, dobrze wypasioną buźką? Może też to samo polubi, co polubiła żona Tarchońskiego? On, Józef Maryn, miał własne kłopoty. Budrys musi być schwytyany przez soczewkę aparatu fotograficznego i przestanie być podejrzliwy. Maryn go wytresuje, każe chodzić na dwóch łapkach i skamlać, klękać to na jedno, to na drugie kolano. Gwałt na własnej żonie? Nie ma czegoś takiego. Gwałcą swoje żony ludzie subtelni aż do wymiotów. To, co się stało w leśniczówce Kuleszy, nic nie obchodziło Maryna, choć być może zaciekawiliby Ivo Bundera, gdyby oczywiście Bunder był w jego sytuacji. Ivo Bundera interesował seks, można powiedzieć, był nawet specjalistą w tej dziedzinie. W wielkich miastach znał wszystkie dzielnice będące kupą łajna. Szczególnie lubował się Bunder w odwiedzaniu domów dla klientów o bardzo dziwnych upodobaniach, bywał w knajpach, gdzie pod ogromną, narzuconą na stół serwetą mali chłopcy i małe dziewczynki grzebali w rozporkach i majtkach zajętych piciem mężczyzn i kobiet. "Ty nawet nie wiesz, ilu można tam spotkać ciekawych ludzi" - tłumaczył Bunder. Sam brzydził się tym wszystkim i żartobliwie twierdził, że z powodu tego brudu w jakim grzęźnie, nie może dupczyć własnej żony. Józefa Maryna interesował hazard, alkoholizm i narkomania. To aż dziwne, w ilu ludziach drzemie żądza hazardu, w ilu ubikacjach różne piękne i bogate kobiety wstrzykują sobie różne świństwa, ilu jest pijaków, którzy mają jakąś tam władzę albo dostęp do jakichś tam tajemnic. Maryn wiele nocy spędził w domach gry, na alkoholowych orgiach, choć sam, poza papierosami z marihuaną, niczego nigdy nie spróbował, a alkohol budził w nim wstręt, podobnie jak seks powodował wstręt u Bundera. Ale taki mieli zawód. Jakiś dziennikarz, co to ręce miał zapewne aż po łokcie

umazane w drukarskiej farbie, nazwał takich jak oni "chłopcami od brudnej roboty". Robota była czysta, w białych rękawiczkach, delikatna. To ludzie byli brudni i brudne były ich sprawy. Wystarczyło przecież spojrzeć przez mikroskop na najstaranniej umytą skórę każdego człowieka, aby zobaczyć, ile brudu pozostało w porach, jakie żyły tam drobnoustroje, pasożyty, bakterie. Nikt na świecie nie ma prawa powiedzieć o sobie, że uprawia czystą robotę albo że jest czysty. Maryn myślał o sobie, że nie bywał czysty, ale nosił na sobie brud zawodowy, a więc jak gdyby nieco mniej śmierdzący. Po prostu wykonywał brudzący zawód - górnik też musi być usmolony, podobnie jak człowiek pracujący w kurzu, lecz chyba nikt nie powie o nich, że są brudasami. Firma żądała, aby dostarczał informacji o wskazanych mu osobnikach - przeważnie zresztą jego rodakach, którzy na krótko lub długo opuszczali kraj i podobno mieli robić coś dobrego dla kraju. I Maryn to czynił, czasem lepiej, a czasem gorzej. Nie było to jego winą, że tylu ludzi prowadziło brudne życie, a do brudu zawsze się coś przyklei. W swojej ankiecie personalnej mógłby napisać: informator. Pisał jednak: kupiec. Tam do licha, był przecież właścicielem sklepu z rowerami przy Dapperstraat. I chyba jest nim do dzisiaj... Tak, najgorszy bywał ów specyficzny smrodek, wyczuwalny u niektórych ludzi na odległość, choć tacy właśnie trzy razy na dzień zmieniali koszule i bieliznę. Wtedy gdy dolatywał go ów zapaszek, dzwonił do mieszkania Bundera i pytał: "Czy to mieszkanie pana Feldmana?" "Nie. Omyłka" - odpowiadał Bunder i odkładał słuchawkę. Spotykali się natychmiast w umówionym od dawna miejscu i o umówionej godzinie, Maryn przekazywał Bunderowi to, czego się dowiedział. Zawsze tylko ustnie. To Ivo Bunder zakładał teczkę takiego faceta lub takiej facetki. Maryn zaś słał wiadomość do firmy, że taka to osoba zaczyna brzydko pachnieć i trzeba się jej uważniej przypatrzeć. Ciekawe, że zawsze się to zaczynało od pragnienia pieniędzy albo od dziwnych upodobań seksualnych. Rzecz jasna, nie chodziło o gwałcenie własnej żony. Tej kobiecie w leśniczówce nic się złego nie stanie, jeśli wyruchają na siłę jej własny mąż. To w ogóle nie jest żadna sprawa. Prawdziwą sprawą było to, że Ivo Bunder przeszedł rankiem dwie przecznice. To gorsze niż przeciąć linę, na której ktoś inny wisi. Bo pod nogami jest tylko przepaść. Tylko trzy kwadranse pozostały Marynowi i Eryce na wyprowadzenie samochodu z garażu, jazdę na lotnisko, kupno biletu. Zrobili wszystko w panice i niepotrzebnie, bo jak się okazało, Ivo Bunder jego nie zdradził. Józef Maryn przesiedział jednak dwa miesiące w areszcie w swoim własnym kraju. A teraz pije z leśnikami i wychodzi z czyjś domu, bo jakaś tam kobieta nie chce rozkładać nóg swojemu mężowi...

Drzwi do sieni od strony podwórka zastał otwarte. Wszedł zaraz do swojego pokoju i nie zapalając światła rozebrał się i położył do łóżka, w chłodną miękką pościel, jaką dla niego pozostawił Horst Sobota. Zranione ramię pulsowało boleśnie. Maryn czuł, że ma gorączkę i chyba z powodu bólu nie zaśnie. W malutkim neseserze w szafie Horsta miał swoje zawodowe wyposażenie - jednorazówki, fiołki z neuralgią, luminalem i jeszcze innymi specyfikami. Nie chciało mu się jednak wstawać z łóżka, żeby zrobić sobie zastrzyk przeciwbólowy lub nasenny, ból nie był aż tak ostry. Nie należało w ogóle sięgać do tego neseseru, bo należał on do innego świata, a tamten świat runął w przepaść. Czego właściwie żądał od niego Horst Sobota? Aha, zwyciężyć las. Co to znaczyło zwyciężyć las? Po co? Bo las odebrał ludziom dusze? Oczywiście, że ci leśnicy w domu Kuleszy nie mieli duszy, bo czy inaczej pomagiliby mężowi gwałcić żonę? Zamiast duszy ktoś im nawpychał kupę śmieci.

Ból równomiernie pulsował w ramieniu, potem Maryn odczuł w sobie jakiś nowy i dziwny

ciężar. Coś go w środku uciskało, ssało, męczyło. Co to spowodowało? Po prostu nagle przyszło mu na myśl, że przez całe życie ani razu nie przeciwstawił się złu. Zawsze postępował tak jak dzisiaj. Kiedy się coś złego zaczynało, po prostu wychodził, żeby tego nie widzieć. Być może ta młoda kobieta naprawdę dziś nie chciała, żeby ją dupczył jej własny mąż. Nigdzie nie jest powiedziane, że jest się czyjąś rzeczą do zabawy. Prawdę mówiąc, wystarczyło, aby Maryn wstał z krzesła albo nawet nie wstając zawołał do tamtych mężczyzn: "Ej, wy, powariowaliście?", a ocknęliby się z pijackiego zamroczenia i puścili kobietę do sypialni. Nic za to Marynowi nie groziło, może nawet Kulesza już nazajutrz byłby mu bardzo wdzięczny za ów okrzyk ostrzegawczy, bo chyba nie jest przyjemnie załatwiać własną żonę, gdy ją koledzy trzymają, żeby nie gryzła. Ale to była cecha Maryna: nie przeciwstawiać się. Czy tak naprawdę nie domyślał się słuchając Bundera (niemal całą noc wtedy przegadali), że tamten zamierza zrobić coś złego? I nic. Nie przeciwstawił się. Niektórzy mówili, że Maryn jest bardzo odważny. W rzeczywistości miał chyba tylko specyficzny rodzaj odwagi. Prawdziwa odwaga jest bowiem zdolnością do przeciwstawienia się złu. A jego na to nie było stać. Tak jak w tej leśniczówce...

Usłyszał szum lasu, wiatr się chyba zerwał. Las szumiał, potem zahuczał, jak gdyby tam za domem rozlało się ogromne, spienione od fal morze. Horst Sobota powiedział Marynowi, że rozumie mowę lasu. Maryn bezwiednie wsłuchiwał się w poszum drzew ogarniających dom i nagle zdawało mu się przez chwilę, że w owym hałasie drzew zaczyna rozumieć poszczególne głosy. Usłyszał płacz kobiety, potem donośny głos przypominający Horsta Sobotę. Później znowu kobiece zawrozczenie, rzucane szybko słowa, których Maryn nie potrafił rozróżnić i pojąć. I znowu jak gdyby mówił coś mężczyzna, długo i monotonicznie, aż wreszcie coraz silniejsze podmuchy wiatru zagłuszyły te dźwięki, dach domu zatrzęszczał od naporu wiatru, zaskrzypiały stare schody na górę i trzasnęły drzwi.

I raptem nie wiadomo dlaczego, szum leśnych drzew przyniósł mu słowa i melodię ballady, którą przy wtórce swej gitary śpiewał kiedyś Peter Svansson. Słowa piosenki i głos Svanssona od dawna przecież zatarły lub zagubiły się w pamięci Maryna i dopiero teraz znowu je usłyszał tak wyraźnie, jak gdyby to było nie przed dziesięcioma laty, ale zaledwie wczoraj. Odezwała się w nim tęsknota za młodością, za ową nieprawdą, w której żył i której ulegał tak bardzo, że o mało nie zdradził jak Ivo Bunder. To właśnie wtedy, przed dziesięcioma laty, także coś w nim pękło już chyba na zawsze i uczyniło go kimś innym, nowym. Nie rozstałby się chyba z własną duszą przed domem Bernadetty Bullow, gdyby przedtem nie powstało w nim owo pęknięcie, podobne do pęknięcia dzwonu, który odtąd zawsze już wydawał tylko dźwięk fałszywy. Inna sprawa, że jak gdyby uformowano go ze specjalnego kruszcu, z dodatkiem czegoś, co okazało się podatne na takie pęknięcie. Dziesiątki razy zadawał sobie pytanie, dlaczego to właśnie jego, Józefa Maryna (choć wtedy nazywał się zupełnie inaczej), na drugim roku studiów wyłowiono z ogromnej masy studentów i zapytano, czy chce zdobywać zupełnie inny zawód. Czy uczyniono to dlatego, że już wtedy znał zupełnie dobrze dwa języki obce, że uchodził za młodzieńca o nieprzeciętnej urodzie i łatwo nawiązywał kontakty z kobietami oraz dawał się lubić, ponieważ sam o sobie mało opowiadał, ale miał tak rzadką u innych ludzi cechę - potrafił słuchać cudzych wynurzeń? Od razu odpowiedział: "tak" i sam nie wiedział dlaczego. W dziesiątkach testów i badań, jakim go później poddano, musiano odnaleźć potwierdzenie istnienia w jego osobowości owego "czegoś", co nigdy nie zostało nazwane, lecz co w nim tkwiło bardzo głęboko, skoro tak

od razu odpowiedział "tak", czując, że nareszcie odnalazł właściwą drogę życiową. Psychologowie, którzy przez dłuższy czas drażyli jego myśli, a nawet podświadomość, znali chyba jakąś naukową nazwę owego "czegoś", co być może posiadał już w genach, nigdy jednak nie otrzymał wyjaśnienia. Zapewne domyślali się, że będzie kimś niezwykle użytecznym, stanie się istotnym kółkiem w ich precyzyjnym mechanizmie, skoro szkolono go indywidualnie w wielu dziedzinach, o których zwykły śmiertelnik nawet nie ma pojęcia, że w ogóle istnieją. Każdego roku po sesji egzaminacyjnej (bo przecież jednocześnie zdobywał zwykłe wykształcenie) wręczano mu paszport, trochę obcych banknotów, ciepły śpiwór. Tylko pierwszy raz zapytał, dokąd ma jechać i co ma robić. Jego szef (albo człowiek, którego uważał za swojego szefa) wzruszył ramionami: "Jedź, gdzie chcesz, i rób, co chcesz. Po prostu: żyj". Pojechał więc byle gdzie - w wytartych dżinsach i podartej kurtce, ze śpiworem i małym zwitkiem obcych banknotów, których już wkrótce mu zabrakło. Musiał więc tu i ówdzie popracować dorywczo, a nawet zdarzało się, że żebrał, bo był głodny. Ale wtedy takich jak on włączyły się setki, a nawet tysiące, młodych chłopców i młodych dziewcząt. Koczowali przy ogromnych autostradach, całymi dniami czekali, aż znajdzie się ktoś, kto zechce ich zabrać do samochodu i podwieźć z jednego miejsca na drugie. Nie miało znaczenia, gdzie się było i dokąd jechało, byle tylko wciąż przemieszczać się z miejsca na miejsce i utwierdzać w przekonaniu o własnej wolności.

Z początkiem lata zazwyczaj mówili, że muszą dążyć na północ, a gdy zaczynało się robić chłodno, kierowali się ku ciepłemu południu. Młodzi ludzie z całego świata - brudni, obdarci, długowłosi, gnani niezrozumiałym dla społeczeństwa niepokojem, wyśmiewani, pogardzani albo traktowani z politowaniem. Na dworcach kolejowych bywali budzeni kopnięciem buta policjanta, przeganiano ich z pięknych placów, skwerów i parków wielkich metropolii, ale wszędzie było ich pełno, coraz więcej i więcej, podobnych do siebie, a zarazem tak różnych, związanych tylko jednym: obojętnością dla istniejącego już świata i niechęcią do społeczeństwa dorosłych. Byli jak różnokolorowe ptaki; to łączyli się w ogromne stada i ciągnęli wielkimi gromadami, to nagle rozdzielali się na małe stadka, które pierzchały w najróżniejsze strony. To znów samotnie wędrowali przed siebie bez celu. Można ich było spotkać koło stacji benzynowych albo po prostu koczujących na poboczach wielkich autostrad. Siedzieli w milczeniu przy wielkich ogniskach albo prymitywnych kocherach, żywili się byle czym. Nie pytali o narodowość, nie interesował ich kolor czyjejś skóry, nic ich nie obchodziło poza własną wrażliwością. Wystarczyło podejść do takiej gromady skupionej wokół rozpalonego dopiero co ogniska i usiąść, a stawało się jednym z nich, członkiem dziwnej społeczności. Znali te same piosenki, mówili te same wiersze, kochali tę samą muzykę. Każdy z każdym dzielił się tym, co miał - kawałkiem chleba, pomarańczy, skrętem. Dzielili między siebie nie tylko żywność, ale uczucia i miłość. Ileż to razy bez słowa zachęty do śpiwora Józefa Maryna wsuwała się jakaś dziewczyna i odchodzili rankiem, nie pytając go nawet o imię albo narodowość, bez żadnego zobowiązania, ponieważ każde zobowiązanie wydawało im się zamachem na własną wolność. Często powtarzali słowo "miłość", rzadko jednali takie uczucie przenikało do ich serc i umysłów, albowiem widzieli się jako społeczność ludzi zupełnie wolnych i pogardzających wszelką formę własności, także i tą, która poprzez wielkie uczucie poddaje jedną istotę ludzką niewoli drugiej ludzkiej istoty. Już podczas pierwszych wakacji przemierzył Maryn kawał świata samotnie lub z gromadami takich samych jak on włóczęgów. Tu i ówdzie zatrzymywał się, aby zarobić trochę pieniędzy przy zbieraniu porzeczek lub winogron. W wielkich metropoliach najmował się do noszenia worków na stacjach kolejowych.

Ale na krótko - potem znowu ruszał dalej, jak inni, bez celu, to znaczy z tym jednym celem, aby nie być tu, gdzie się jest lub gdzie się właśnie przybyło. Przywiązanie bowiem do miejsca - też im się wydawało jakimś strasznym obciążeniem, zamachem na własną wolność.

Po powrocie do kraju poddawano go kolejnym testom, z których zapewne dowiadywano się tylko tyle, że lepiej zna języki i geografię, zaczyna umieć poruszać się po świecie. Znowu zasiadał w salach wykładowych i jednocześnie szkolił się w swoim przyszłym rzemiośle. Żył życiem podobnym do innych, choć jedno mu powiedziano: nie może mieć na stałe żadnej dziewczyny, nie może się ożenić, założyć rodziny, powinien zapomnieć o swoich braciach i swoich rodzicach. Albowiem kiedy przyjdzie odpowiednia chwila, musi ze świata, w którym przebywa - zniknąć tak, aby to nikogo nie obchodziło, nikt go nigdy nie szukał, nie pytał o niego.

Aż przyszło kolejne lato - paszport, śpiwór i cieniutki zwitek banknotów. Już nie pytał, po co i dokąd ma jechać. Ruszył tam, gdzie był kiedyś, na szlaki włóczęgi, do takich samych jak on - odrzuconych i wzgardzonych przez społeczeństwo, bo sarn w końcu uwierzył, że jest jednym z nich, należy do takiej wielkiej gromady miłujących wolność. Umiał już śpiewać modne ballady i potrafił dzielić się zabranymi z kraju kostkami rosółowymi, które rozpuszczali w wodzie, aby zaspokoić głód. Jak uprzednio nosił podarte džinsy i stary sweter, miał jednak już piękne, długie włosy z opaską na czole. A kiedy po sezonie porzeczkowym był opalony na złoty kolor, mógł się wydawać jakimś złotowłosym bóstwem, które porzuciło zamożny dom rodzinny, aby napawać się wolnością i wyrażać swoją pogardę dla dostatku. Co noc pchały się do jego śpiwora przeważnie czarne dziewczyny, a potem chciały za nim ciągnąć gromadami, aż musiał się od nich opędzać i niekiedy całymi dniami koczował samotnie. Powoli stał się kimś jak gdyby wyższym nad owe małe gromadki - wielkim samotnikiem wędrującym do "krajiny szczęśliwości" i pochłoniętym zgłębianiem samego siebie. Tak spotkał nagle swojego sobowtóra - wysokiego, opalonego na złoty kolor młodzieńca o jasnych, długich włosach. Nic tamten nie miał oprócz podartych spodni, koszuli z oderwanymi rękawami, kociołka na wodę i trójnogu do gotowania, śpiwora i gitary oraz paszportu, do którego Marynowi udało się kiedyś przypadkowo zajrzeć, poznał imię i nazwisko: Peter Svansson. Podobnie jak Maryn, szedł tamten samotnie przez świat w drodze do "krajiny szczęśliwości", opędzając się od dziewcząt i pogardliwie kręcąc głową, gdy zatrzymywały się przy nim drogie samochody prowadzone przez samotne kobiety, które mówiły, że chcą podwieźć, choć tak naprawdę pragnęły otrzeć się o niego lub zażyć rozkoszy z pięknym męskim zwierzęciem. Ale i on - podobnie jak Maryn - już żył tylko dla siebie, zapatrzony w szczęście, które miało go spotkać u kresu wędrówki.

Spotkali się koło jakiejś stacji benzynowej, spojrzeli sobie w oczy i poszli razem, nie wypowiadając do siebie ani słowa. Odtąd albo szli pieszo albo wyczekiwali na autostradach, aż ich ktoś zechce wziąć do samochodu. Spali obok siebie w swych śpiworach na poboczach autostrad, dzielili się tym, co każdy z nich zdobył albo po prostu od kogoś wyłudził. Przez cały czas wędrówki tamten nie usłyszał głosu Maryna, a Maryn (wtedy nazywał się, rzecz jasna, zupełnie inaczej) poznał głos Petera jedynie z piosenek, jakie tamten śpiewał wieczorami, pobrzękując na gitarze. Właściwie to Peter śpiewał jedną i tę samą piosenkę, choć zapewne musiał znać i inne. Lecz wciąż grał i śpiewał to samo, jak gdyby ciągle na nowo odkrywając urok kilkunastu zdań, kilkudziesięciu słów. Być może w ten sposób chciał trafić do samego siebie i odkryć siebie.

How many roads must a man walk down

Before you call him a man?...

Yes, `n`how many deaths will it take till he knows,

That too many people have died?...

Odpowiedź miał przynieść wiatr... Czekali na to, ale wiatr - choć osmalał ich żarem lub smagał zimnem - wciąż był tylko milczącym przyjacielem. Zdarzało się, że urzeczony pięknem tych dwóch młodych mężczyzn o drugich, jasnych włosach i opalonych ciałach, jakiś rolnik zamieszkujący w pobliżu autostrady albo kupiec w jakimś mieście proponował im robotę - koszenie trawy, zbiór owoców, noszenie ciężkich pak. W milczeniu pracowali dzień lub dwa, a otrzymawszy jedzenie i niekiedy nawet zapłatę, szli dalej. W miarę zaś jak wędrowali i coraz bliższa wydawała im się "krajina szczęśliwości", zaczęli odczuwać, że powoli nawiązuje się między nimi jakaś niedostrzegalna nić, ogarnia ich wzajemna miłość, która nie potrzebowała słów, bo słowa tylekroć zbrukane przez miliony ust nie są im potrzebne. Pewnego razu, siedząc przy rozpalonym naprędcie ognisku, spojrzeli sobie głęboko w oczy i ich dłonie połączyły się w uścisku, który trwał długo, jak gdyby wprowadzał ich w jakąś ekstazę, kiedy odległość między człowiekiem i człowiekiem staje się niezauważalna i przełamana zostaje samotność. Ale nawet wówczas żaden z nich nie wypowiedział słowa, nie zapytał drugiego o imię, o to, skąd przybył. Czuli się obywatelami świata, który nie zna granic ani różnic między ludźmi. Co wieczór patrzyli sobie w oczy i łączyli dłonie w długim uścisku - dwaj bracia, obywatele jakiejś innej planety, otoczeni wrogim i niezrozumiałym społeczeństwem mrówek, zdyszanych i wiecznie zagonionych. Mieli poczucie, że są cudownie wyzwoleni, i doznawali Wrażenia dziwnej czystości i dobra, które się w nich zrodziło.

W górach, na autostradzie pnącej się pośród wysokich i bezdrzewnych pustkowi, spiętrzonych skał, powstało w nich przekonanie, że nikt nie jest im potrzebny. Po autostradzie mknęły luksusowe autokary, pełne turystów z całego świata, niekiedy zatrzymywały się na dzikich pustkowiach, gdyż tym, co w nich jechali, wydawał się czymś nieludzkim widok dwóch pięknych ludzi wędrujących pieszo przez bezludne okolice. A oni w milczeniu odmownie kręcili głowami, udając, że nie słyszą głosów rozhistryzowanych turystek, które sądziły, że ci dwaj - tak podobni do aniołów - zginą gdzieś pośród gór z głodu albo pragnienia. I długo jeszcze machały ku nim chusteczkami z autokarów, dopóki nie zasłoniły ich nagle skały.

Zapasy żywności skończyły się, ale potrafili wędrować o głodzie, łykając w płuca lodowate powietrze gór i nocami dygocąc z zimna nawet w śpiworach. Na dużych wysokościach przydarzały im się halucynacje, przeżywali jakieś dziwne stany ducha i dlatego sądzili, że szczęście jest coraz bliżej. Straszliwie wychudli, ale przez to wyglądali dostojniej i jeszcze piękniej. Jakby owo szczęście, które było tak blisko, ujawniło się już na ich twarzach.

Mieli jeszcze tylko jedną paczkę herbaty, kiedy dotarli do zajazdu zbudowanego na pustkowi górkim. Takich zajazdów, bardzo luksusowych, wiele było rozsianych przy autostradzie. Półgodzinny pobyt w zajeździe, obowiązkowa filiżanka kawy albo herbaty, drugie

śniadanie lub obiad został wliczony w cenę biletu na podróż autokarem. Zajazd zbudowano niedawno, tuż obok autostrady leżały jeszcze sterty płyt chodnikowych. Od gór nadciągał wieczór, a wraz z nim zaczął wiać chłodny wiatr. Właściciel zajazdu, Turek, wykrzykiwał do nich łamaną angielszczyzną, aby weszli do zacisznego wnętrza i za darmo napili się kawy albo herbaty, posilili się ciastem. Lecz Peter przecząco kręcił głową, z płyt chodnikowych ułożył osłonięte przed wiatrem palenisko i nad wątlym ogniem z suchych przydrożnych krzewów rozstawił trójnog z garnuszkiem pełnym wody. Jak zwykle, siedzieli przy tym ogniku - nieruchomi i niemi, gdy autostradą mknęły samochody, do zajazdu raz po raz podjeżdżały autokary. Potem podchodziły do nich turystki i kładły obok nich owinięte w celofan sandwicze, paczki herbatników, hot dogi serwowane w zajeździe. A jakaś młoda kobieta w okularach z grubą oprawką przyniosła im dwa plastikowe kubki z gorącą kawą i potem sfotografowała ich siedzących w milczeniu i nieruchomo obok trójnogu i wątlęgo ognia przygaszanego wiatrem. Nie tknęli sandwiczów, nie wzięli kubków z kawą. Zaparzyli wreszcie mocną herbatę, a po jej wypiciu mieli wrażenie, że za chwilę ulecą gdzieś wysoko, ponad poszarpane szczyty gór. I znowu ich dłonie połączyły się ze sobą, aby lot nad górami ich nie rozdzielił. Wtedy to Józef Maryn (choć nazywał się inaczej) poczuł, że nie ma prawa wstępu do krainy szczęścia i dobra, ponieważ nosi w sobie brudną tajemnicę. Nie jest tym, za kogo bierze go Peter, wysłano go w świat, aby go poznawał dla wykonywania przyszłego brudnego rzemiosła. Nosi więc w sobie kłamstwo, którego powinien się pozbyć - choćby tutaj, w tej chwili i na zawsze. Chciał to powiedzieć Peterowi, odezwać się po raz pierwszy i ostatni, wyrzucić z siebie swoją tajemnicę. Od gór powiał mocniejszy podmuch lodowatego wiatru i gołe ramiona Petera zdrząły z chłodu. Wiatr przygasił ogienek między betonowymi płytkami chodnikowymi. Peter rozluźnił uścisk dłoni, wstał i poszedł do kosza na odpadki, chcąc podrzucić do ognia trochę papierów, kartonów, starych gazet wyrzuconych przez turystów. Wrócił obładowany śmieciami, ogień zapłonął silniejszym blaskiem, rzucił refleks na ich twarze, ręce, a także na gazetę, którą Peter już miał cisnąć do ognia, gdy raptem zatrzymał dłoń w powietrzu, przybliżył gazetę do oczu i twarz mu stężała, usta zwały się mocno, na czole wystąpiły dwie bruzdy.

- To mój ojciec. Ten facet w czarnej ramce. Umarł - usłyszał Maryn trochę chrapliwy głos.

Svansson spojrział na datę gazety, którą do kosza na śmieci wrzucił jakiś podróżny, potem złożył gazetę i schował ją do kieszeni spodni.

- Czy masz jeszcze choćby dolara? - zapytał po chwili. - Muszę zatelefonować do domu. Umarł mój ojciec, a ja jestem jego jedynym synem. Pozostawił mi firmę i muszę się nią zająć, bo inaczej wszystko się rozpadnie.

Maryn wysupłał z paska od spodni ostatnie dwa banknoty, które zachował na chwile największego głodu.

Peter wziął pieniądze i poszedł do zajazdu, aby gdzieś tam zatelefonować. Nie było go pół godziny, a kiedy wrócił, Maryn już wiedział, że ma przed sobą innego człowieka.

- Jutro przyślą tutaj pieniądze na mój powrót do domu. Przykro mi, ale muszę wracać.

Usiadł obok Maryna, wziął do ręki gitarę i zaśpiewał tę samą co zawsze balladę. Maryn

miął jednak wrażenie, że coś w nim, Marynie, pękło na zawsze. Dał się bezwstydnie oszukać. Nie wędrował z Peterem do żadnej "krainy szczęśliwości", ale w świat złudzeń i dziecięcych urojeń. Na planetę zwaną Ziemia nie przylecieli z Wszechświata, ale urodzili się tutaj, pozostali nieodrodnymi dziećmi globu, który od wieków rządził się tymi samymi prawami. To był po prostu szczęśliwy traf, że pozwolono im dłużej niż innym zachować dzieciństwo. Mogli włóczyć się autostradami i sądzić, że nic ich nie dzieli, że tworzą jakiś nowy świat, wypełniony przyjaźnią i braterstwem. Byli zaś tylko dziwną enklawą, na którą zgodzili się ludzie dorośli. O każdego z nich pewnego dnia upomni się ów świat dorosłych, jakaś duża firma, sklepik, urząd, jakaś rejonowa komenda uzupełnień, jakaś ojczyzna. Na tych, co zbyt głęboko weszli w świat baśni, gdzieś tam czeka szpital dla narkomanów, policjant, jakieś więzienie, jakiś grabarz, który za pieniądze ludzi dorosłych da im tanią trumnę i pochowa po cichu. On i Peter są zakurzeni wędrówką przez góry, lecz tak naprawdę od dawna siedzi w nich brud, ponieważ żadna wielka firma nie może istnieć bez brudnych interesów, a on, Maryn, też przyucza się do brudnego zawodu. Jak można było pozwolić się oszukać do tego stopnia, że znalazł się na krawędzi zdrady, gdyż uroił sobie raptem, iż Peter jest czysty, a on brudny, potrafi przejść przez życie, ocalając przed złem własną duszę. Już nigdy nie da się okłamać, że istnieje walka dobra ze złem. To tylko dobro przekształca się w zło, a zło przekształca się w dobro. Ktoś musi być zły, aby ktoś drugi miał wrażenie, że jest dobry. Nie ma kwiatów bez kupy łajna, nie ma befsztyku bez zamordowanego wołu.

Rankiem przenieśli się do luksusowych pokoi w zajeździe. Właściciel, gruby Turek, kłaniał się nisko Peterowi, chciał mu dać własną koszulę. Było to jednak już niepotrzebne, ponieważ wieczorem przyjechał po Petera samochód i przywiózł czyste koszule, garnitur, krawat, a nawet fryzjera, który obciął mu długie włosy.

Peter zaproponował Marynowi miejsce w samochodzie, ale Maryn odmownie i milcząco pokręcił głową. A kiedy samochód odjechał z Peterem, Maryn wybiegł za nim na autostradę i wygrażając pięścią krzyknął: "Ty skurwysynu! Nie oddałeś mi moich dwóch dolarów!" Potem zaś przez dwa tygodnie układał płyty chodnikowe przed zajazdem i za otrzymane wynagrodzenie mógł odjechać w stronę domu luksusowym autokarem. W kilkanaście dni później, zanim przekroczył granicę swego kraju, dał sobie także obciąć długie, złote włosy i wstając z fryzjerskiego fotela przydeptał je z pogardą. To był głupi gest, jego postrzyżyny odbyły się bowiem gdzie indziej i kiedy indziej.

W kraju zataił historię z Peterem. Ale wykrywacz kłamstw i kolejne testy, którym się poddał, musiały chyba odkryć w nim jakiś nowy rys albo po prostu bliznę po owym pęknięciu. Pewnego dnia poprosił go do siebie człowiek, którego uważał za swojego zwierzchnika, popatrzył na niego z jakimś nowym zainteresowaniem, a potem wręczył paszport i adres sklepu z rowerami przy Dapperstraat, gdzie potrzebowano sprzedawcy. Od tego czasu nigdy już nie słuchał ballady o prawdzie, którą miał przynieść wiatr, aż dopiero teraz poprzez szum lasu wydało mu się, że znowu ją słyszy.

Nie trwało to jednak długo. W końcu zasnął, coraz mniej odczuwając ból pulsujący w ramieniu.

Zbudził go Horst Sobota, który na drewnianej tacy przyniósł mu śniadanie - chleb z

masłem, jajecznicę i szklankę mleka. Widząc dużą plamę słońca rozlaną na środku pokoju zorientował się Maryn, że minęło południe.

- Po mleko dla ciebie poszedłem aż na wieś - pochwalił się Horst. - Potrzeba ci sił, Józwa.

- W nocy miałem chyba gorączkę. Zdawało mi się, że pojąłem mowę lasu. Słyszałem w tym domu kobiecy płacz. Ta rana chyba goi się nie najlepiej. Teraz chyba też mam temperaturę...

Horst zastanowił się:

- To dobrze, że las zaczął do ciebie mówić. Może powie ci coś więcej niż Izajaszowi Rzepie albo mnie.

Zmusił się do jedzenia śniadania. Potem Horst przyniósł znowu miskę z wodą, Maryn nasypał do niej trochę nadmanganianu potasu. Sobota zdjął bandaż i przemył ranę, która odrobinę ropiała na krawędziach.

- Wszystko będzie dobrze - oświadczył Horst. - Byłem żołnierzem i wiele ran oglądałem. Ale ty, Józwa, nie wstawaj dziś z łóżka. Odpocznij. Ta rana zagoi się na tobie jak na wilku, bo jesteś złym człowiekiem.

- Wciąż mówisz, że jestem złym człowiekiem. Nie zrobiłem ci nic złego - zauważył Maryn kładąc się znowu do łóżka.

- To ty sam powiedziałeś mi, że jesteś złym człowiekiem. Tak myślisz o sobie i to jest najważniejsze. Lasu nie zwycięża się dobrem. A ty już drugi raz zwyciężyłeś las.

- Tak? - zdumiał się Maryn.

- A tak, Józwa. Przez zło, które pomogłeś wyrzucić pewnej kobiecie. Nie pytaj mnie o to. Na razie nabieraj sił.

Uchylił mu połówkę okna, bo w pokoju było trochę duszno. Zabrał tacę ze śniadaniem, a potem miskę wypełnioną fioletową wodą i zapaskudzone bandaże. Nie wrócił więcej - i Maryn był z tego rad. Nie czuł się dobrze, myśli mu się mąciły, nie potrafił skupić swojej uwagi na żadnej sprawie. Przez uchylone okno od podwórza słyszał, jak Horst Sobota rozkazuje komuś, a najpewniej sobie samemu: "Klaczy trzeba nasypać owsa, a potem ją wypędzić nad jezioro". Las szumiał już ciszej, mowę miał niewyraźną, ale przez krótką chwilę zdawało się Marynowi, że znowu słyszy cichy kobiecy głos. Dlaczego właśnie kobiecy, a nie dziecięcy czy męski? Czy tylko dlatego, że czekał na list od Eryki, na list, który nie nadchodził. Czego mógł się spodziewać po tym liście? Co odpisałyby na jej list? Że wystarczyły mu tygodnie spędzone w lesie, aby pojął, że istnieje na świecie miłość i są kobiety, które potrafią pójść za mężczyzną nawet na poniewierkę, oraz że jest taka odmiana odwagi, która graniczy z tchórzostwem. Wstyd mu się było przyznać, że pragnął Eryki, jej ciała, jej widoku, jej głosu. Pragnął o wiele bardziej niż wówczas, gdy ją miał przy sobie. Teraz było już za późno, aby odwrócić to, co się stało, jeśli powiedziała mu szczerze, że kogoś pokochała. Może spotkają się jeszcze raz, gdy Maryn

znowu wróci do swojego zawodu, do owej nieustannej gonitwy za kimś i nieustannej ucieczki przed kimś. To nawet dobrze, że uświadomił sobie własne tchórzostwo. W zawodzie informatora źle się pracuje, gdy nie wie się o sobie wszystkiego. Przecież pewne swoje słabości można zepchnąć w podświadomość. To nic, że potem podświadomość krzyczy jak las - głosem kobiety, głosem dziesiątków kobiet, które załatwiał bez przyjemności, bo kobiety między jednym a drugim położeniem się do łóżka bywają gadatliwe. Tak naprawdę minionej nocy nie stało się nic złego. Jedyne Horst Sobota wmówił sobie, że Maryn jest złym człowiekiem, gdyż dla żartu powiedział mu w ten sposób o sobie. Maryn nigdy nie był zły, choć robił wiele zła. A zresztą, może to, co czynił, pozostawało poza dobrem i złem. Do diabła, miał przecież taki, a nie inny zawód. I lubił ten swój zawód. Przez uchylone okno usłyszał Maryn starczy, skrzypiący głos:

- Zabiłeś, Horst, wiązy w dwunastym oddziale. Tyle razy przeklinałeś las, aż wiązy uschły. Idź, zobacz. Wszystkie. Ani jeden tej wiosny nie ożył.

Plama słoneczna była już koło drzwi do sieni. A więc znowu minęło kilka godzin. Horst odpowiedział:

- Nigdy nie przeklinałem więzów, Johann. To mnie las przeklął i zrobił mi wiele krzywdy. Miałeś mi przywieźć dziesięć uli. Dlaczego tego nie zrobiłeś?

Maryn wstał z łóżka i bosy podszedł do okna. Odrobinę odsunął zazdrostki i zobaczył na ławce pod płotem starego leśnika z dużą, czarną brodawką na nosie i czole. Siwe włosy jak u Horsta i tak samo poczerniała twarz, tyle że bardziej pobrużdżona. Sobota usiadł obok niego na ławce, Maryn znowu położył się do łóżka.

- Sad ci kwitnie i przywiozę jutro dziesięć uli - zaskrzypiał starczy głos. - Chciałem to zrobić wczoraj, ale jak zobaczyłem te wiązy, zabrakło mi sił.

Nastąpiła długa chwila ciszy, która tak zaciekała Maryna, że znowu wstał z łóżka i podszedł do okna. Stary z brodawkami siedział na ławce i w milczeniu płakał. Łzy ciekły mu bruzdami po twarzy i zatrzymywały się w kępkach siwego zarostu na brodzie. Sobota stał obok i milczał ponuro.

- Nie przeklinałem twoich więzów - mruknął w końcu.

- Wiem - westchnął tamten. - Tak tylko powiedziałem, żeby cię rozgniewać.

Maryn powrócił do łóżka i bezwiednie słuchał tego, co mówił Horst: Tyle lat, tyle lat... Były już stare, gdy ja dopiero uczyłem się chodzić. Posadzono je przy królewskiej drodze i to od nich wzięło nazwę całe leśnictwo Królewskie. Potem zabrakło królów, a one rosły.

- To holenderska zaraza. Ogłódki. Podobne są do korników, malutkie na kilka milimetrów. W książkach jest napisane, że przenoszą na sobie grzyba, który zabija wiązy. One miały po dwieście pięćdziesiąt lat. Obliczyłem to, gdy jeden kiedyś złamała wichura. Umarły, Horście. Nadleśniczy kazał je wszystkie wyciąć, żeby zaraza nie poszła dalej w las. Chodź, Horście, do

lasu.

I chyba poszli, gdyż zaskrzypiała furtka w ogrodzeniu. Maryn znowu wstał z łóżka i tylko w krótkich kalesonach powędrował do łazienki z sedesem. Horst Sobota miał dom pięknie urządzone, z elektryczną kuchnią, łazienką, ubikacją wykładaną niebieskimi kafelkami. To wszystko kazał chyba zrobić jego syn lekarz, zanim wyjechał w świat po sławę. Usiadł na sedesie i w tym momencie zauważył wiszącą na sznurku nad wanną swoją wypraną koszulę i kobiece majtki. Czyżby Horst kogoś ukrywał w swoim domu? Czyżby była w tym domu jakaś kobieta? Nie czuł potrzeby zgłębiania tej sprawy. Horst Sobota miał prawo do swoich tajemnic i do robienia i mówienia rzeczy sprzecznych ze sobą. Nienawidził lasu, a przecież poszedł oglądać martwe wiązy. Mówił, że mieszka sam, a przecież w łazience suszyły się majtki. Najgorsze, że rana wciąż pulsowała lekkim bólem i w sobie czuł ten sam co w nocy ssący i ugniatający piersi ciężar.

A tymczasem Horst Sobota i leśniczy Kondradt szli linią oddziałową między wysokopiennym lasem sosnowym, dobrze prześwietlonym słońcem, i siedmioletnim młodnikiem, od dawna domagającym się czyszczenia. W milczeniu, sapiąc ciężko, dotarli do wielkiej łąki leśnej i przecinającej ją drogi wysadzonej starymi wiązami. Na tle buchającej zielenią łąki dwa rzędy ogromnych, suchych drzew wyglądały jak dwuszereg kościotrupów. Wysokie na czterdzieści metrów, o korze chropawej, tu i ówdzie spękanej od mrozu, z nalotami szarego mchu. Ani w ubiegłym roku, ani w tym nie zrodziły już liści, które wyglądały tak dziwnie. Liście były owłosione, eliptyczne, o podwójnym pił - kowaniu, grube, na zewnętrznej stronie ciemnozielone i szorstkie, od wewnętrznej strony jaśniejsze i także owłosione. Umarły na holenderski leśny syfilis, przywleczony przez ogłódki i wsączony w naczynia drzewa jak krętek blady w krew krążącą żyłami ludzkiego ciała.

Piękne drewno, zasobne w twardziel, choć łatwo się paczące. Dobre na okleinę, na stępki, poszycia burtowe, gdyż miało odporność na gnicie w wodzie. Dobre na elegancką stolarkę, ozdobną galanterię, na królewskie stoły. Pod ich cieniem jechali tędy na polowania królowie na prześlicznych rumakach, możnowładcy, dworacy. Horst Sobota i leśniczy Kondradt stali długo, patrząc na szkielecie drzewa, i udzielał się im majestat śmierci, która tu wkroczyła, a która ich też miała wkrótce spotkać, ponieważ ich czas mijał. Horst miał więcej lat, ale Kondradt był bardziej schorowany. Stali więc nie opodal królewskiej drogi i patrzyli, wciąż patrzyli na uschnięte wiązy, porażeni myślą, jak bezbronną i wrażliwą istotą czasami stawał się las i jak łatwo było mu zadać ból.

- Tak naprawdę, Horście - odezwał się półgłosem Kondradt - nie wierzę w żadne grzyby. Wiązy są królewskimi drzewami i zabrakło im monarszego majestatu. Kilka lat temu był tutaj baron Bohna zu Bohna, który posiadał te lasy, a teraz ma gdzieś w świecie małą drogerię. Opowiadał mi, że coraz mniej jest królów i w ogóle nie ma już cesarzy.

Sobota pomyślał, że Kondradt mówi prawdę. Jeszcze trzy, cztery lata temu o tej porze roku każdy z ogromnych wiązów przypominał zielony dzban, wypełniony szumem włochatych liści. Jeszcze nie tak dawno szerokie korony ocieniały drogę królewską, wrogie wobec każdego intruza leśnego, ponieważ z każdym rokiem coraz bardziej spragnione były światła i słońca. A teraz pierwszy wiosenny wiatr połamał najcieńsze suche odrośla, że zwisały bezwładnie na

czubkach drzew i na końcach grubych konarów. Zatrzymała się raptownie wędrówka soków, płynących w górę niewidocznymi w pniu kanalikami. Po co komu wiązy, skoro już nie ma królów ani cesarzy?

Józefa Maryna zbudziło mocne walenie w drzwi od podwórza. Zerwał się, narzucił kurtkę mundurową i poszedł otworzyć.

Przed drzwiami stał leśniczy Kulesza. Pijany, czerwony na okrągłej twarzy, nie ogolony.

- Tu jest moja żona - burknął do Maryna.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Przepraszam, że tak wyglądam, ale spałem - tłumaczył się Maryn.

- Ten przeklęty staruch, Horst Sobota, zabrał mi żonę - krzyknął Kulesza, podpierając się ręką o futrynę, bo nogi miał chwiejne.

- Nie ma go. Poszedł do lasu.

- Do lasu? On podobno nigdy nie chodzi do lasu.

- A jednak poszedł z jakimś starym leśniczym - spokojnie tłumaczył Maryn. - I co on ma wspólnego z pańską żoną? Dlaczego tutaj ma być pańska żona?

Kulesza usiłował odepchnąć Maryna, ale tamten stał w drzwiach i zagradzał sobą drogę.

- Pan nic nie rozumie - Kulesza siłował się z Marynem. - Ona była jego kochanką. Wróciła do niego, a ja ją za to zabiję. I ją, i jego. Niech mnie pan puści, ja tu ją znajdę.

Maryn wziął pod ramię leśniczego Kuleszę i stanowczo odprowadził do furki w ogrodzeniu.

- Radzę iść do domu. Pan jest pijany - powiedział.

Wrócił do sieni, zamknął starannie drzwi. Przez uchylone okno pokoju jeszcze przez jakiś czas dochodziły go głośne pokrzykiwania Kuleszy. Potem stały się cichsze, wreszcie się oddaliły.

Maryn poczuł głód. Wciągnął spodnie od pidżamy i zajrzał do kuchni. Na pokrytym ceratą stole stały dwa talerze ze sztućcami, taca z pokrajanym chlebem i garnek pełen zupy ziemniaczanej z dużymi skwarkami. Garnek był jeszcze gorący. Wystarczyło sięgnąć łyżką wazową i nalać sobie zupy do talerza. Zrobił to, usiadł przy stole i wolno jedząc zaczął myśleć o kobiecie, którą noc w noc, od zmierzchu aż do świtu załatwiał nad jego głową leśniczy Kulesza, a potem aż trzech mężczyzn musiało ją trzymać, żeby jej własny mąż mógł w nią wejść. Przypominał też sobie jej obnażone ciało, gdy się szarpała, przyciskając łokciami duże piersi, miała ładnie zarysowany brzuch oraz wściekle oczy schwytanego w potrzask zwierzęcia. Maryn nie znał się na seksie i kobietach tak jak Ivo Bunder, ale tego się domyślał, że Kuleszy będzie

trudno ujarzmić tę dziką bestię, która tkwiła w jego żonie.

Rozdział czwarty

Nadleśniczy Janusz Masłocha złamał pieczęcie na pokrywie tekturowej tuby i wyciągnął z niej, przysłaną mu przez wydział geodezji i kartografii uniwersytetu jednego z większych miast kraju, mapę zasadniczą półwyspu Wilczy Róg. Rozwinął ją, popatrzył i znowu doznał uczucia, że chyba nigdy już nie dane mu będzie żyć bez kłamstwa. Na tej mapie brakowało kilku szczegółów, jak choćby kupy ogromnych głazów po dawnym domu Keilów, małego bagienka tuż koło ich rodzinnego cmentarzyka i w ogóle nie było tego cmentarzyka. Trzy mapy Wilczego Rogu miał Masłocha w swoim sejfie i w każdej kryło się większe lub mniejsze kłamstwo. Największe znajdował na mapie glebowo - siedliskowej; badanie gleby przeprowadzono byle jak, bez dokładnego rozeznania stanu i głębokości zalegania próchnicy. Miał od razu złe przeczucia, gdy trzy lata temu zobaczył młodego docenta z gromadką studentek i namiotami, które rozstawili na Wilczym Rogu. Robotnicy leśni mówili mu, że dupczyły dziewczyny po kolei, one rywalizowały między sobą i były o siebie zazdrosne. Nocami nawet przez jezioro dochodziły stamtąd jakieś wrzaski. A potem nadesłano mapę pełną kłamstw o glebie - on, nadleśniczy Janusz Masłocha, chciał tę mapę wyrzucić do kosza, ale przeciwstawiła się temu docent Romanikowa z Instytutu Leśnictwa, powołując się na autorytet uczelni, która mapę sporządziła. Romanikowa zaś nakłonił do zakładania plantacji nasiennej na Wilczym Rogu zastępca Masłochy, nadleśniczy Wojtczak - stary głupiec przypominający rozwścieczonego bezzębego buldoga. Przez tyle lat ten człowiek bez żadnego wykształcenia leśnego wciąż awansował aż do stanowiska nadleśniczego, ponieważ podstawiał kozły i jelenie pod lufy sztucerów przeróżnych ministrów i pułkowników, że teraz pozbyć się go nie było sposobu. Zresztą Masłosze też był wygodny jako zastępca, gdyż z młodszymi i wykształconymi groziły kłopoty; nie obeszloby się bez rywalizacji i walki o stanowisko. To Wojtczak doradził Romanikowej półwysp Wilczy Róg, bo znowu chciał, aby tu przyjeżdżali różni ważni ludzie, a on mógł im towarzyszyć, pokazywać, objaśniać. Wojtczak tłumaczył Romanikowej, że przez wodę nasiona sosny z lasu nie przelecą i nie zapylą sosen nasiennych. Od strony zaś lądu u nasady półwyspu była szeroka łąka - też dobra strefa ochronna plantacji. Ministerstwo zatwierdziło projekt. Masłocha nie powiedział "nie", tylko "tak" - potem był rad z tego, jeździł oglądać plantacje w Szwecji, w Szwajcarii, we Francji. Masłocha również chciał kontaktu z ludźmi z ministerstwa, dzieci mu dorastały, wabiła go myśl o przeniesieniu się do jakiegoś większego miasta. Ale nie na tym polegało zło, że Wojtczak i Masłocha mieli ambicje, a Romanikowa była po prostu głupia, choć była docentem. Całą sprawę spaprał ten docencik i jego dziewczuchy. Trochę spermy, odrobina niedbalstwa i beztroski - od tego zaczyna się wszystko walić, nawet największy i najmądrzej przemyślany gmach. Wycięli brzezinę i dwudziestoletnie sosny, które kiedyś posadzono na Wilczym Rogu, ogołocono teren z najmniejszego drzewka i krzaka, dziesiątki razy przeorano ziemię, stalerzowano ją, zabronowano, oblano środkami chwastobójczymi. Aż przyszło suche, wietrzne lato i choć Masłocha radził Romanikowej, żeby półwysp obsiać szlachetną trawą i w ten sposób zatrzymać erozję gleby, wiatr rozniósł próchnicę po jeziorze, wyrzały łysiny szarego piasku. Romanikowa postawiła jednak na swoim. Na plantacjach, jakie oglądali za granicą, nic nie rosło między rzędami drzew nasiennych, od wczesnej wiosny aż do późnej jesieni między sadzonkami jeździły kultywatory i wyrwały każde źdźbło trawy, każdy chwaścik.

Przed tygodniem Masłocha rozkazał Kuleszy, aby na co większe łysiny piasku nawiózł trochę torfu i przykrył goliznę - jutro miała przyjechać jakaś komisja z Romanikowa na czele. A za tydzień zacznie się sadzenie drzew przemyślnie szczepionych. I znowu ta mapa zasadnicza, przysłana za późno i niedbale zrobiona. "Jakaś pinda, jakiś gówniarz ją wykreślał - myślał Masłocha. - Nieważne mu było bagienko, kupa kamieni, stary cmentarzyk. Czego ich ucza, tych skurwysynów".

Zapalił papierosa, rozsiadł się za swoim biurkiem, krzyknął przez drzwi do sekretarki, żeby mu przysłała Wojtczaka. Stary zjawił się natychmiast i jak zwykle coś seplenił (że też nie stać go było na wprawienie zębów). Zaczął od plotki, że od Kuleszy uciekła żona i młody inżynier pije wódkę już trzeci dzień. Masłocha nie chciał tego słuchać i rzucił mu rulon mapy półwyspu.

- Jedź na plantację i sprawdź, czy wszystko jest zgodne z mapą - rozkazał. - Na miejscu są jeszcze sprzęt i ludzie. Jutro przyjeżdża komisja.

- Już jadę - oświadczył posłusznie Wojtczak i po chwili pod oknem zawarczał jego terenowy samochód.

A Masłosze zrobiło się żal Wilczego Rogu. Na krótką chwilę ocknęło się w nim coś człowieczego. Wspominał, że było to najpiękniejsze miejsce nad jeziorem, porośnięty brzezina półwysep z piaszczystą ostrogą, po której przelewały się fale. Lubił się tam kąpać w upalne dni, potem siadywał w cieniu czterech klonów obrastających po rogach mały cmentarz z nieczytelnymi napisami na kamiennych nagrobkach. Od ilu lat już tam nie jeździł? No nie, jeździł tam ostatnio wiele razy. Koło piaszczystej ostrogi wbito pał z napisem "Zakaz dobijania i biwakowania", półwysep ogrodzono wysoką siatką. Dziesiątków milionów złotych trzeba było przecież jakoś strzec.

Wojtczak całą drogę - dwadzieścia kilometrów przez lasy - seplenił kierowcy o Kuleszy, który trzeci dzień chł wódkę z powodu ucieczki żony. "Kulwa. Kulwa" - powtarzał, a kierowca potakująco kiwał głową. Przed laty stary dog pogroźkami lub obietnicą przyznania lepszej deputatowej działki zmuszał do współżycia ze sobą co młodsze żony robotników leśnych, gajowych, a nawet leśników. Naciął się na starego Kondradta, któremu zaczął podmacywać młodą żonę. Kondradt wziął strzelbę, złożył się i Wojtczak uciekł z jego domu gubiąc po drodze czapkę. Ale z Kondradtem nie było żartów, podobno spowodował śmiertelny wypadek kochanka swojej żony i nikt nie mógł Wojtczakowi zaręczyć, że naprawdę nie strzeli. Od czasu tej ucieczki Wojtczak nienawidził Kondradta, ale stary leśniczy był ulubieńcem Masłochy - dlaczego, nie wiadomo. Co tydzień nadleśniczy zajeżdżał do Kondradta, pozwalał się częstować kolacją i słuchał, co tamten opowiada mu o lesie, o zmarłym leśniczym Izajaszu Rzepie, o Horście Sobocie. Lubił Kondradta prawdopodobnie za jego przedziwną moc - co by stary leśnik zasadził w lesie, choćby i zwykły patyk, natychmiast przyjmowało się i zieleniło. W całym nadleśnictwie, a może i okręgu leśnictwo Kondradta miało najmniej wypadów na uprawach.

Kierowca, który wiozł Wojtczaka, słuchał jego seplenienia i jak zwykle potakiwał albo narzekał na swoją pracę, na swoją żonę, na swoje nieudane życie. Wojtczak takich lubił, takich popierał, choć wyśmiewał się z nich za plecami. Życzliwie mówił na przykład o Tarchońskim,

gdyż widział, jak tamten dostał po gębie od żony. Źle mówił o Kuleszy, bo wziął sobie za żonę hożą dziewczkę od Horsta Soboty. Teraz niby to gniewnie seplenił na Kuleszę, że tamten chła od trzech dni i nie pilnuje plantacji, lecz w gruncie rzeczy czuł w sobie jakieś ciepło na myśl, że ta dziewczyna uciekła od tego młodzika, i nie miał zamiaru robić notatki służbowej z powodu pijaństwa Kuleszy. I nie pomyślał o tym, gdy wjechał przez szeroko otwartą bramę w siatce ogradzającej Wilczy Róg i od gajowego Wzdreği dowiedział się, że Kulesza na plantacji nie pokazywał się od przedwczoraj. "Ma kłopoty" - rzekł do Wzdreği, który doszedł do wniosku, że stary dog nie jest aż tak złym człowiekiem, jak to o nim gadają. Sam Wojtczak nigdy by w ten sposób o sobie nie pomyślał. Nie zastanawiał się nad sobą i byłby zdziwiony, gdyby ktoś mu rzekł, że coś go boli, gdy widzi czyjś uśmiech na twarzy, czyjeś szczęście albo wzrastający cudzy dobrobyt. A przestaje boleć i cieszy, gdy zaczynał dostrzegać cudze kłopoty. To było aż dziwne, bo przecież na swoje życie nie mógł się uskarżać, miał dobrą żonę i nadupczył się kiedyś innych kobiet, córki dobrze wydał za mąż za ludzi wykształconych i na stanowiskach, był na "ty" z tyloma osobistościami. Może jedynie to dawało jakiś trop do głębin jego duszy, że budził się i zasypiał z niezrozumiałym uczuciem lęku: ktoś mu nagle odbiera stanowisko i wysyła na emeryturę. Słyszał przecież, co mówili ludzie, że gdy kiedyś znajdzie się na emeryturze, nikt mu się w tych stronach ani nie ukloni, ani ręki nie poda. Póki miał władzę - był kimś. A przez co się udowadniało władzę? Przez prawo pokrzykiwania na innych, robienie służbowych notatek i odbieranie premii. Za długo przebywał w lesie, żeby nie wiedzieć, że tylko ten żyje, kto jest bliżej słońca i innym coś odbiera.

Wojtczak rozejrzał się po szerokiej, łysej połaci półwyspu tu i ówdzie upstrzonego wielkimi koparkami. Po plantacji łąziło kilka kobiet i robotników leśnych - wbijali paliki w miejsca, gdzie miano sadzić młode drzewka. Tak samo dobrze jak Masłocha zdawał sobie sprawę, że próchnicę w zbyt wielu miejscach po prostu wywiało, sadzonki będą rosły wolniej, a wiele z nich poschnie. Ale do tego czasu on pójdzie już na emeryturę. Masłochę awansują do Okręgowego Zarządu. Cała odpowiedzialność spadnie na Romanikową, która wyciągnie z sejfu mapy glebowo - siedliskowe, i w ten sposób nikt nie będzie winien. Mapy nie mogą kłamać. "Nie mamy doświadczeń w tym względzie, aleje dopiero zdobywamy" - powie kiedyś na którejś naradzie sam dyrektor Okręgowego Zarządu.

- Niech ktoś skoczy po Kuleszę - powiedział do Wzdreği. - Przecież jutro zjeżdża tu cała komisja.

Wzdreğa z trudem zrozumiał, co mu powiedział Wojtczak, bo stary pluł i seplenił. Posłał jednak do leśniczówki jakąś dziewczynę na rowerze. Wojtczak rozwinął rulon mapy, którą przez drogę pieśczośliwie trzymał w dłoniach, zerknął na nią z namysłem i zaraz przywołał Budrysa.

- Na mapie nie ma bagienka. Tę kupę kamieni zepchniesz do bagienka. To samo zrobisz z tymi nagrobkami. Nie widzę żadnego cmentarza na tej mapie.

- A może tam będzie złoto, panie nadleśniczy? - przymilnie wykrzywił usta traktorzysta Budrys.

Pobiegł do swego ciągnika z zamontowaną koparką, po drodze powiedział coś do Karasia i innych robotników. I zaraz zrobiło się zbiegowisko koło kamiennych nagrobków.

- Ty, Stępień, najpierw zwał nagrobki do bagna - krzyknął do drugiego traktorzysty z gąsienicowym ciągnikiem do zrywki.

Czarny kłęb spalin otoczył ciągnik i pierwsze ogromne głązy nagrobkowe, pchane potężnym lemieszem, zaczęły sunąć do pobliskiego bagienka. Nie minęło piętnaście minut, a wzgórek z cmentarzykiem był zupełnie łysy. Wtedy Budrys zaczął wgryzać się w ziemię swoją łyżką, odrzucając na bok z początku ziemię, a potem rozwalone deski trumien, jakieś zgniłe szmaty, kości, czaszki ludzkie. Ci, co się tu zbiegli - motykami grzebali w wydobytej ziemi, przeszukując kości i ryjąc w struchlałych resztkach trumien. Złota nie było, nawet najmniejszego kawałka metalu. Wojtczak podszedł bliżej i koło ramienia przeleciała mu czaszka z długimi siwymi włosami, którą Karaś cisnął w młodą dziewczę, zaglądającą do dołu wygrzebanego przez koparkę.

- Wszystko się prawie rozpadło, a włosy zostały - zdumiał się głośno Wojtczak, ale powiedział to tak bełkotliwie, że nikt go nie pojął.

Koparka raz po raz zagłębiała w ziemię swoją łyżkę, wyrzucając na wierzch tajemnice starego cmentarza. Jej ostre zęby przecinały korzenie drzew, które tu kiedyś rosły, miażdżyły spróchniałe drewno trumien, zetlałe kości klatek piersiowych, piszczele goleni pokrytych jeszcze zgniłym sukнем. Tak naprawdę te resztki w niczym nie przypominały ludzi, były jedynie obrzydliwym śmietniskiem. A przecież jednak owe piszczele i golenie kogoś nosiły po tej ziemi, drobne kostki palców coś tam robiły przez wiele lat, a pod pokrywami czaszek kłębiły się czyjeś myśli. Ktoś także zapłakał wkładając te ciała do trumien, ale myśli i uczucia ludzkie okazały się mniej trwałe niż trumienne drewno, niż kamienie z zatartymi napisami. O tym pomyślał przez chwilę gajowy Wzdreęga i dreszcz nim wstrząsnął.

Łyżka koparki znowu wyrzuciła na wierzch czyjąś czaszkę z żółtymi zębami. W czerepie widziało się okrągłą dziurkę, pewnie po kuli karabinowej, która utkwiała w mózgu. Czerep czaszki wypełniała ziemia, która zaczęła się z niej wysypywać, gdy wziął ją w ręce robotnik leśny nazwiskiem Bałaban. Pstryknął palcami w górną szczękę i żółte zęby wypadały jak koraliki z rozerwanego naszyjnika.

- To nie jest chyba dozwolone - zwrócił uwagę Wzdreęga. Wojtczak znowu rozwinął rulon.

- Nie ma tego cmentarza na naszej mapie - powiedział. Wzdreęga chciał odgonić ludzi od tego miejsca, ale już się nie dało.

Miotła nimi chciwość i wciąż od nowa łyżka koparki zanurzała się w ziemię, wydobywając kawałki trumien i kości.

Karaś coś znalazł w ziemi i szybko schował do kieszeni. Myślał, że nikt nie zauważył. Ale Budrys zaraz zatrzymał swój ciągnik, zeskoczył z siodełka i rzucił się na Karasia.

- Pokaż. To ja wygrzebałem moją łyżką - chwycił Karasia za ramiona i zaczął nim tarmosić. Dołączył się do niego Stępień, przewrócili Karasia na ziemię i wyciągnęli mu z kieszeni kawałek przerdzewiałego metalu.

- Kłódka czy coś podobnego? - dziwował się Budrys, drapiąc żelazo zrogowaciałym paznokciem.

Pozbawiona dolnej szczęki czaszka z długimi siwymi włosami wciąż leżała u nóg Wojtczaka. Budrys odrzucił od siebie przerdzewiałe, niekształtne znalezisko, ktoś je podniósł i znowu po obejrzeniu odrzucił.

- Jazda z tym wszystkim do bagna! Stępień, włącz na ciągnik! - pluł wokół siebie Wojtczak.

Nadjechał Kulesza swoim ułazem. Z trudem zeskoczył z siedzenia kierowcy, oczy miał przekrwione, cuchnął nie strawionym alkoholem.

- Źle pan zrobił, panie nadleśniczy - mruknął. - Na zniszczenie cmentarza trzeba mieć specjalne zezwolenie.

- To bardzo stary cmentarz - splunął Wojtczak. - Plantacja kosztuje miliardy, panie Kulesza. Musi być porządek za takie pieniądze.

- Podobno pochowano tam jeńców wojennych, nie minęło pięćdziesiąt lat. Ludzie mi o tym mówili, więc cmentarza do tej pory nie dałem ruszać.

- Nie mamy go na mapie - oświadczył Wojtczak. - A pan jest chyba pijany, panie Kulesza.

- Piłem wczoraj, w nocy - młody leśniczy oblizał wargi, które były aż spieczone od alkoholu.

Lemiesz ciągnika za każdym ruchem posuwał ziemię zmieszaną z kośćmi i trumnami do małego bagienka, które powoli wypełniało się. Ludzie już rozeszli się po plantacji.

- Żona ode mnie uciekła - zwiesił głowę Kulesza.

- Ta od Horsta Soboty? - upewniał się Wojtczak, jak gdyby nie wiedział, jaką żonę miał młody inżynier.

- Ta sama, panie nadleśniczy.

- A dlaczego uciekła?

- Popijaliśmy i na siłę ją chciałem wziąć.

- No, i pewnie - pysk starego doga otworzył się uśmiechem.

Wojtczak obliczał w myślach, ile dni minęło od wypłaty. Kulesza wszystkich pieniędzy chyba jeszcze nie przepił. Wojtczak miał ochotę wypić za cudze i była ku temu okazja.

- Wzdrega - opluł gajowego. - Dopilnujcie porządku. Tę czaszkę z włosami też wrzucie do bagna. A ja z leśniczym Kulesza pojedziemy moim wozem do lasu. Jego wóz może tu zostać.

Kulesza posłusznie wyjął kluczyki ze stacyjki, zamknął przednie drzwi z obydwu stron i wsiadł do samochodu Wojtczaka. Domyślił się, że pojedą do restauracji w Gaudach, on także bardzo chciał się napić wódki. Wypróbnili trzy ćwiartki i obydwaj mieli dosyć. Wepchnął ich do ułaza kierowca Wojtczaka, wściekły, że stary znowu zrobił kupę w spodnie i w wozie okropnie cuchnęło. Przed ruszeniem w drogę spojrzął na zegarek. Już była piąta po południu, więc nikt by teraz nie mógł zarzucić Wojtczakowi i Kuleszy, że pili w godzinach pracy. Odwioził najpierw Kuleszę i po prostu wyciągnął go za nogi z samochodu, kładąc na podwórzu leśniczówki. Potem zawiózł Wojtczaka do jego porośniętego bluszczem ogromnego domu na skraju Doliny. W tym budynku mieściło się kiedyś nadleśnictwo, ale to były dawne czasy, jeszcze przed reorganizacją.

- Mój Boże, znowu się zesrał - zmartwiła się żona Wojtczaka.

Kierowca mieszkał w bloku w Bartach, ale miał szwagra w Mordęgach. Wrócił więc do Mordęgów "lewym" kursem, bo i tak kontrolkę Wojtczak mu jutro podpisze bez żadnych uwag. Przecież nie może pamiętać, gdzie jeździł po pijanemu. Od szwagra zabrał wypatroszonego koguta na rosół.

W tym czasie Józef Maryn wjechał konno na strome wzgórze, ze zbudowaną na szczycie wieżą do obserwacji lasu w czasie posuchy. Kiedyś rosły tu potężne sosny, po których w krzakach dzikich malin pozostały tylko pnie podobne do czarnych talerzy. Posadzone niedawno sosenki rosły z trudem, gdyż na szczycie brakowało wilgoci. Silny żywiczny zapach rozchodził się tylko od okorowanych pni, z których skonstruowano wieżę z małą platformą na samej górze. Maryn przywiązał klacz do belki u dołu i wspiął się na platformę po wąskiej drabince. Na chwilę oślepił go blask zachodzącego słońca, ogromne jezioro lasu u jego stóp wyglądało jak pochłapane krwią. Widział Maryn przed sobą wąwozy i parowy leśne podobne do zielonej kipieli, miejscami przypominające kudłatą łąkę. Tu i ówdzie żółciły się świeże zręby, słabą zielenią zaznaczały się siedliska modrzewia i porośnięte olszynami bagna. Ciemniejszą wytworną zielenią przykuwały wzrok świerkowe i sosnowe młodniki oraz starodrzewy. Dna parowów były aż czarne od prześwitującego między olszynami bagnistego podłoża, szarą plamą uwidaczniały się skupiska dębów, ostrożnie wypuszczających liście. Na twarzy czuł Maryn lekki powiew wiatru, ale las wydawał się z góry nieruchomy. Nawet tu na górze pachniało żywicą okorowanych pni sosnowych i ów powiew zdawał się być oddechem całego lasu. Patrzył Maryn na las i nie widział jego piękna, tylko odczuwał coś jak gdyby grozę, bo wszędzie w tej zieleni dostrzegał amarantowe plamy. Uśmiechał się na myśl o trzech leśnych mocach, które zabierały człowiekowi duszę i wrażliwość. Ale też pierwszy raz w życiu odczuł, że las może się wydawać istotą zdolną kochać kogoś lub nienawidzić. Do tej pory nie zetknął się nigdy z prawdziwym wielkim lasem - w dzieciństwie i młodości bywał jedynie na maleńkich płachetkach ziemi porośniętej rachitycznymi sosenkami, potem jego środowiskiem naturalnym stały się wielkie miasta. Teraz, z góry, pierwszy raz w życiu ujrzał, rozciągające się kipieliście zieleni, odczuł podziw dla ogromu lasu, poczuł na twarzy jego żywiczny oddech. Pojął, że znalazł się w obliczu jakiejś nowej, nie znanej siły, o której stary Horst Sobota mówił, że zdolna była niszczyć i zabijać, że była wciąż nienasycona, pragnęła nieustannie się rozrastać, poszerzać, zagarniać ziemię i ludzi. Można było się śmiać ze słów starego siedząc w jego domu i patrząc na las przez kolorowe szybki ganku. Tutaj jednak, wobec rozpostartej aż po niebo

wielkości lasu, budził się w człowieku lęk i coś jak wstręt. Obrzydliwa się wydawała Marynowi myśl, że oto za chwilę będzie musiał zejść z wieży, wskoczyć na konia i zanurkować w ową zieloną kipieli, która zamknie się wokół niego i nad nim jak toń jeziora. Tutaj, na górze, zrozumiał, że skazano go na pobyt w specjalnym więzieniu, okratowanym prętami pni i gałęzi, zepchnięto aż do miejsca, skąd być może nigdy nie będzie się mógł wyrwać na wolność, na tętniące ruchem ulice wielkich miast. Las stanie się jego domem i jego żywiołem, jak był żywiołem zwierząt leśnych; po jakimś czasie zdriczeje, ograniczona lasem zostanie także i jego myśl, sparaliżowana będzie wola. Życie jego sprzężone zostanie z rytmem lasu - odczuje, czym jest wiosna, lato, jesień, zima, podda się cudzej wszechmocnej władzy, na ścieżkach leśnych rozmieni na drobne godziny i minuty swojego istnienia. A potem las go wchłonie. Już nawet w tej chwili aż mdliło go na wyobrażenie, że będzie musiał jechać głębokimi parowami, słuchając kłaskania kopyt końskich w śmierzącym bagnie, ogarnie go duchota i opadną roje gzów i bąków, do ust i oczu pchać się zaczną roje małych muszek. Nawet klacz nie lubiła się zanurzać w ową zieloną kipieli olsów, przyspieszała kroku i zwalniała dopiero w prześwieconych słońcem sosnowych starodrzewach. Klacz też bała się lasu i ciągle strzygła uszami, biła się po bokach długim szorstkim ogonem.

Schodząc z wieży uraził się w poranione ramię, gdy wskakiwał na siodło, zrodziło się w nim podejrzenie, że ci, którzy zesłali go do lasu, może wiedzieli, iż las odbiera duszę i wypełnia człowieka śmieciem drewnianych wiórów. I zabawna wydała mu się myśl, że przecież on, Józef Maryn, swoją duszę stracił już przed wieloma laty, być może przed domem Bernadetty Bullow. Tak więc on, Maryn, nic tu nie może stracić, bo niczego nie posiada, nic mu jego dotychczasowe życie nie pozostawiło poza poczuciem klęski i zdziwieniem z powodu zdrady Ivo Bundera.

Wrócił do domu o wczesnym zmierzchu. Soboty chyba nie było w mieszkaniu, w żadnym oknie nie paliło się światło. Zapalił je w kuchni, żeby sobie zrobić kolację, i wtedy otworzyły się drzwi do sieni. Do kuchni weszła żona Kuleszy, Weronika, w obcisłej kretonowej sukience z krótkimi rękawami. Nie wiadomo dlaczego, raptem Marynowi wydała się niezwykle piękna - z czapą czarnych, gęstych włosów, wysmukłą szyją i ogromnymi oczami, w których zobaczył nienawiść.

- Przyniesiono depeszę dla pana. To może ważne - powiedziała cicho, z trudem wydobywając głos z zaciśniętej krtani.

Odebrał jej zaklejony blankiet telegramu.

- Chciałbym panią przeprosić... - zaczął. - Mogłem wczoraj zachdwaćlii inaczej...

Po prostu wyszła z kuchni, zamykając za sobą drzwi. Ten gest powiedział mu to, co może nie uważały za stosowne wyrzec jej usta: "Ty łajdaku".

Rozerwał przyklepiec na depeszy i przeczytał: "Jutro lub pojutrze. Robert".

Gwałtownie zabiło mu serce. Rozlała się w nim ogromna radość. Czymś niemal nieprawdopodobnym wydały mu się wrażenia, jakich jeszcze nie tak dawno doznał na górze, skąd patrzył na las. Już za kilka lub kilkanaście godzin znajdzie się w zarezerwowanym dla

niego pokoju hotelowym, otrzyma instrukcje, bilet, paszport z jakimś nowym nazwiskiem, a może będzie mógł wrócić do tego, jakiego dotąd używał. Co za głupiec wymyślił dla niego nazwisko Józef Maryn? Czy nie ładniej brzmiało Kristopher Bullow? Albo to, jakiego używał jeszcze dawniej?

W sadzie znalazł Horsta Sobotę, który wraz z leśniczym Kondradtem ustawiał ule między kwitnącymi drzewami. Powiadomił starego, że musi na jakiś czas wyjechać, i poprosił o opiekę nad klaczą. Potem wrócił do siebie, przebrał się w garnitur, spakował do małej walizeczki najpotrzebniejsze rzeczy, narzucił na siebie prochowiec - i już w ciemnościach nocnych, nawet nie zauważony przez Horsta, wymknął się z domu i dobrnął do szosy. Samochód chłodnia zawiózł go na stację kolejową w Bartach, gdzie prawie do drugiej w nocy czekał na pośpieszny pociąg.

Wczesnym rankiem, gdy Weronika robiła śniadanie, Horst Sobota, który golił się w kuchni, stojąc przed małym lustrem zawieszonym na ścianie koło okna (nigdy nie przyzwyczał się do golenia w łazience), powiedział z wyrzutem:

- Źle zrobiliśmy pozwalając odjechać temu obcemu człowiekowi. On może tu nigdy nie zechce wrócić, a co ja pocznę bez niego?

- Pozostawił klacz... - lekceważąco poruszyła ramionami Weronika.

Sobota przeciągnął palcem po wargach, które tego ranka wydały mu się bardzo blade.

- To nie jest zwykły człowiek. Jemu może nie zależeć na klaczy.

- Pozostawił walizkę i sporo swoich rzeczy...

- Na tym pewnie jeszcze mniej mu zależy. Ty nie widziałaś tego, co ja widziałem, i dlatego nie wiesz o nim tyle, co ja.

- Mieszkał w leśniczówce prawie trzy tygodnie. Nie zauważyłam w nim niczego szczególnego. Potem zachował się po łajdacku. Jak Kulesza. Jak wszyscy.

Z rozgrzanej płytki elektrycznej kuchenki zdjęła ściętą jajecznicę i na długą chwilę znieruchomiała, jeszcze raz w swej wyobraźni przeżywając tamtą chwilę. To wspomnienie powodowało, że serce zaczynało się w niej tłuc, miała ochotę krzyknąć.

- Nie mógł się zachować inaczej - spokojnie powiedział Horst udając, że nie rozumie, co odczuwa Weronika. - To bardzo zły człowiek. Gorszy od lasu. Ale pn nosi w sobie takie zło, które przekształca się w dobro. Musiało się dokonać zło, abyś powróciła tutaj, Weroniko. On to sprawił. Znowu zwyciężył las.

- Nie chcę z nim mieszkać pod jednym dachem. Nie chcę być pod jednym dachem z człowiekiem, który widział, jak mnie... - urwała. To, co chciała powiedzieć, nie mogło jej przejść przez ściśniętą krtań.

Horst Sobota wytarł rękami twarz z resztek mydła i odwrócił się do Weroniki, śmiejąc się bezgłośnie bezzębnymi ustami.

- Ty już tutaj nie masz nic do gadania, Weroniko. Przyniosłem cię z lasu na własnych rękach, sponiewieraną i na wpół obnażoną. Wróciłaś teraz taka sama. Ale przedtem zabiłaś mnie. Umarłem przez ciebie i trzy dni leżałem w trumnie. On zaś mnie wskrzesił. Potem poszedł do lasu i walczył. Widziałem jego ramię przeorane nożem, płynącą z niego krew. Dziś albo jutro przyjdzie po ciebie leśniczy Kulesza i powleciesz się za nim jak krowa na postronku. Tak naprawdę pozostał mi tylko on, Józwa Maryn.

Weronika nagle pojęła, że rozpamiętywanie tego, co się stało, czyni ją słabą.

- On nie jest taki jak wszyscy - głośno rozmyślał Horst. - Ma klacz, siodło i pejcz z rączką uplecioną z rzemienia. Nigdy nie widziałem, żeby uderzył nim konia. Jego pejcz wisi w stajni na gwoździu nad żłobem. Ale przecież ten pejcz do czegoś mu jest potrzebny, skoro go kupił. Powiedział, że musimy mieć psa. Dzikiego psa. On go wytresuje, tak jak się tresuje ludzi. Odkrył przede mną, że ludzie są tresowani. Nie, to nie jest zwykły człowiek, Weroniko.

Podawała Horstowi talerz z prawie zimną jajecznicą, naląła mu herbaty do glinianego kubka, podsunęła chleb posmarowany masłem.

- Nie wrócę już do Kuleszy. Nie potrafię. Ty tego nie zdołasz zrozumieć, Horście, ale i we mnie coś nagle umarło. I to wcale nie dlatego, że zrobili ze mną to, co zrobili. Może nie nadają się do małżeństwa? Brzydzą się ciałem mężczyzny. Dlatego nie chcę tu tego obcego człowieka.

Mówiła to z taką stanowczością i z takim spokojem, że jej nawet uwierzył. Na chwilę poszedł do łazienki i obmył twarz pod kranem u wanny. Zasiadł do śniadania i żując wolno chleb mówił w rozmarzeniu, głośno mlaskając:

- On dla ciebie nie jest mężczyzną, ale jedynie człowiekiem. Jeśli wróci, kupię mu kobietę. Muszę go przecież w jakiś sposób u siebie zatrzymać, bo bez niego czuję się bezbronny. Czy nie wiesz, co było w tym telegramie do niego?

- Nie mam zwyczaju czytać cudzych depesz.

- Szkoda. - Siorbnął łyk herbaty.

- To mogła być wiadomość od żony.

- On nie ma żony - stanowczo oświadczył Sobota.

- Mówił, że ma żonę. Sama to słyszałam.

- Mógł tak powiedzieć. Ale to nieprawda. Taki człowiek nie może mieć żony. Taki człowiek albo wywalcza sobie kobietę, albo ją kupuje.

- To znaczy, że kiedyś kupił sobie żonę.

- Żony się nie kupuje. - Tym razem usłyszała śmiech Soboty. - Żonę bierze się dobrowolnie, za obopólną zgodą. Czy ja kupiłem sobie drugą żonę? Ani pierwszej, ani drugiej. Dlatego ta druga mogła ode mnie odejść, a ja nie byłem w stanie temu przeszkodzić. Co innego, gdybym ją kupił jak rzecz.

- Mówisz wciąż tylko o nim - wybuchnęła złością. - A ja? Czy nie liczy się, że powróciłam i już nigdy stąd nie odejdę?

Horst nie od razu odpowiedział. Zeskrobał widelcem reszkę jajecznicy z talerza, dopił herbatę.

- To dobrze, że jesteś. Będziesz nam potrzebna, gdy on wróci i rozpocznie walkę z lasem.

- Nie zostanę służącą. Dla ciebie, tak. Dla niego, nie. Horst wzruszył ramionami.

- Zostaniesz tutaj gospodynią. Ale to gorzej dla ciebie. Gospodyni musi gościowi bardziej nadskakiwać niż służąca.

- Wyrzuć go stąd.

- Nie. - Sobota uderzył pięścią w stół. - Pamiętaj, że przez ciebie umarłem i on mnie wskrzesił. Nie zmuszaj mnie, kobieto, żebym na ciebie podnosił głos. On mi pomaga zwyciężyć las. To on mi ciebie zwrócił. Nigdy nie zrozumiałaś, czym jest las.

- To są bzdury! - krzyknęła. - Karmiłeś mnie tymi bzdurami, wierzyłam w nie, w jakieś leśne zło, moce szatańskie, w leśnych ludzi, którym las odebrał dusze. Potem przekonałam się, że jest takim samym człowiekiem jak inni. To właściwie przez ciebie wyszłam za niego za męża.

Krzyk się urwał. Coś strasznego przeniknęło do jej świadomości. Jakiś irracjonalny strach ją ogarnął. Bo przecież jeśli uciekła od Kuleszy, to znaczyło, że Horst miał rację. Zawsze miał rację. We wszystkim miał rację.

Sobota oparł się o poręcz krzesła, wyciągnął przed siebie nogi. Nareszcie i on okazał się zwycięzcą.

- Więc to nieprawda, Weroniko, że las zabrał mi żonę i córki, cały dobytek? To nieprawda, że na moich polach rośnie las, a mnie pozostał tylko ten skrawek ziemi i dom? To nieprawda, że odeszła ode mnie druga żona i syn tylko dlatego, że nie chcieli żyć na skraju lasu. To nieprawda, że co roku przyjeżdża tu nadleśniczy Masłocha i próbuje mi odebrać mój dom i resztkę mienia. I to także nie jest prawda, że znalazłem cię w młodniku. Nieprawda, że zabrał mi cię las i jeszcze raz pohańbił. I to też nieprawda, że pojawił się u mnie człowiek nazwiskiem Józwa Maryn...

Nagle pomyślał, że Józwa Maryn być może nigdy już nie powróci. Ulotniło się poczucie tryumfu. Zwiesił głowę, zgarbił się, stał się znowu przerażonym Horstem Sobotą, któremu pozostaje jedynie położyć się do jesionowej trumny. Weronika pojęła, co się z nim dzieje. Podeszła do starego, położyła mu dłoń na ramieniu, a kiedy na ten gest nie zareagował, zaczęła ze stołu zbierać naczynia, włożyła je do zlewozmywaka i zabrała się do ich mycia.

- On wróci, Horście. Na pewno wróci - odezwała się po długim milczeniu.

Horst. Sobota bez słowa podniósł się z krzesła i wyszedł na podwórze. Potem - widziała to z okna - wolno ruszył przez sad nad jezioro, aby nie słyszeć szumu drzew leśnych. Niedługo tam siedział, las umilkł, powietrze stało się parne; powoli zbierało się na pierwszą w tym roku wiosenną burzę. Horst wyprowadził ze stajni klacz i spętawszy jej nogi, puścił ją na łąkę nad brzegiem jeziora. Później - to też widziała Weronika - przebrał się w kombinezon pochlapany wapnem i z blaszanym pudełkiem maści do smarowania pęknięć w korze drzew - zniknął w sądzie. Przyjazdu leśniczego Kondrada nie zauważyła, tylko raptem z okna na piętrze usłyszała jego gniewny głos. Wsparty o stary rower Kondradt rozprawiał o tym, co się wczoraj wydarzyło na plantacji. Opowiadał mu gajowy Wzdrenga, że Wojtczak kazał zepchnąć do bagna cementarz Keilów, a robotnicy, chciwi złota zmarłych, łopatą wielkiej koparki wydobywali z ziemi trumny i resztki ludzkie, grzebali w nich jak w śmieciach, obrzucali się ludzkimi głowami. A była wśród tych głów jedna kobieca z długimi, siwymi włosami...

- To Kuna - zajęczał Horst Sobota. - Stara Kunegunda Keile. Widziałem ją będąc dzieckiem. Miała długie, siwe włosy. A tych trzech jeńców, których tam zakopałem ze starym Keilem?

- Nic o nich nie wiem. I nie idź tam, bo sam widziałem, że nawet śladu nie ma po cementarzu. Tam teraz rozstawiono stoły. Jedzą i piją.

Ale Horst Sobota, tak jak stał, w pobielonym wapnem kombinezonie, popędził piaszczystą drogą na skraju lasu w stronę Wilczego Rogu. Było duszno, z trudem chwycił powietrze w rozwarte usta, pot zalewał mu czoło, policzki i oczy, aż chwilami ślepl i potykał się o wystające z ziemi korzenie drzew. - Nie, nie, nie - bełkotał, podnosił się z ziemi i biegł w stronę półwyspu, nie słysząc donośnego łoskotu burzy, wychylającej się zza lasu.

Robiło się coraz duszniej. Romanikowa, doktor habilitowany, gruba kobieta w robionej na drutach jakby za obszernej sukni - pocila się. Na stołach zbitych z żerdzi i ustawionych u wejścia na plantację leżały na tłustych papierach pęta kiełbasy, pokrojone bochenki chleba i kilkanaście butelek wódki. Ona wypila dwa kieliszki i nie chciała więcej, bo od wódki i duchoty zaczęła ociekać potem, który spływał jej spod pach aż na tłusty, pofałdowany brzuch. Masłocha też nie pił, bo nie piła Romanikowa. Pijanego Wojtczaka i Tarchońskiego zawleczono do jednego z samochodów, które stały przed bramą plantacji. Traktorzyści, robotnicy, gajowy Wzdrenga co chwila podchodzili do leśniczego Kuleszy i przepijali do niego za pomyślność szczepów, które już jutro zacznie się tu sadzić. To przecież było ich święto - ludzi lasu. Można było pić, a nawet upić się jak Wojtczak i Tarchoński.

Ociekająca potem Romanikowa rozglądała się po pustym półwyspie i myślała, że wkrótce wyrośnie tutaj las. Inny niż wszędzie. Drzewa będą w równiutkich rzędach. Prawdziwego lasu prawie nie znaki i go nie lubiła. Tak na dobrą sprawę, ze trzy razy była w prawdziwym lesie. Od studenckich czasów i potem po studiach ciągle kręciła się po szkołkach doświadczalnych Instytutu Leśnictwa. W białym fartuchu segregowała nasionka, sadziła je w równiutkich rzędach, kazała podlewać w szklarniach i na poletkach doświadczalnych. Nie zawsze zresztą była taka

gruba jak teraz. Kiedyś miała mały tyłek i twarde piersi, ale nawet już wtedy lubiła porządek. Kręcili się koło niej młodzi ludzie, ale nie widziała w nich skłonności do porządku. Byle gdzie rzucali śmierdzące skarpetki, niedopałki papierosów gasili w spodeczku ze szklanką po nie dopitej herbacie. Co innego profesor Tara, który mieszkał przy Instytucie i jej także, gdy rozpoczęła studia doktoranckie, dał o bok siebie mieszkanko. Był promotorem jej pracy doktorskiej. Lubił porządek, równiutkie rzędy małych sosenek, dębów i świerków. Od niego nauczyła się jeszcze większego porządku, który należało wprowadzić do lasu. Bo las był wielkim chaosem. Dwa razy w tygodniu przychodził tło niej Tara, a ona wtedy rozbierała się do naga i kładła na plecach na tapczanie. Tara ją długo głaskał po piersiach, po brzuchu, po udach i ona zaczęła od tego głaskania odczuwać wielką przyjemność. Większa od tej, jaką miała, gdy wkładał jej kutasa któryś ze studentów albo asystentów profesora. Nie, nie wyszła za męż, bo nie chciała robić przykrości Tarze, który był dla niej dobry i pomógł zrobić doktorat. Jemu nie stawał członek, ale miał przyjemność od głaskania jej ciała. I nauczył ją porządku. Umarł, a ona podjęła jego dzieło. Zwalczyć leśny chaos. Zakładać plantacje nasienne, szczepić sosenki gałązkami najpiękniejszych drzew w kraju. A potem ich nasiona wysiewać równiutko jak pod sznurek. Sadzić lasy uporządkowane, dorodne. Ile lat minęło, nim się doczekała tej plantacji? Zrobiła się gruba i teraz pot cieknie jej spod pach aż na brzuch. Czy ten leśniczy, którego Masłocha przeznaczył dla plantacji, ma dostatecznie rozwinięte zamiłowanie do porządku? Ci ludzie nie mają pojęcia, czym powinien być las. Gdyby nie było tak gorąco, kazałaby się zawieźć w głąb lasów. Pokazałaby im bałagan, chaos, marnotrawstwo. Na plantacji nie będzie przewróconych drzew, nawet najdrobniejszej suchej gałązki. Ani trawki, ani żadnego zielska. Ciągłe tu muszą pracować kultywatory i niszczyć wszystko, co się pokaże między sadzonkami. Jeśli ten młody inżynier nie ma zrozumienia dla ładu i porządku, to ona go tego nauczy albo każe zmienić na kogoś innego.

Czarna, postrzępiona chmura wychodziła z za lasu. Grzmiało coraz donośniej i coraz częściej. Robotnicy już opróżnili butelki i dzielili się resztkami kielbasy.

- Czas na mnie - powiedziała do Masłochy.

I właśnie wtedy, między stojącymi samochodami, przez uchyloną bramę w ogrodzeniu wpadł na plantację jakiś stary człowiek w pochłapanym wapnem ubraniu. Siwy, spocony, bełkoczący coś niezrozumiale. Pobiegł w głąb plantacji, potem padł na kolana, podniósł się i krzyczał coś, wyrażając komuś.

- Kto to jest? - zapytała Romanikowa.

- To niejaki Horst Sobota. Wariat - odparł nadleśniczy.

Zerwał się pierwszy ostry podmuch wiatru i uniósł w górę tumany piasku na rozległej płaszczyźnie półwyspu. Raptem zrobiło się aż ciemno od tej piaskowej burzy. Romanikowa pobiegła truchtem do czarnej limuzyny, Masłocha pośpieszył do swojego czerwonego fiata, do ułazu wsiedli leśnicy i gajowi. Robotnicy gramolili się do obudowanej deskami przyczepy traktorowej, którą ich wożono do pracy.

Następny podmuch wiatru przewracał butelki na stołach, uniósł w powietrze strzępy

zatłuszczonych papierów. Błysnęło. Gdzieś w pobliżu uderzył piorun i powietrzem wstrząsnął ostry, przenikliwy huk. Spadło kilka dużych i ciężkich kropel deszczu.

Wóz Romanikowej ruszył pierwszy leśną drogą w stronę szosy, tuż za nią popędził Masłocha swoim czerwonym samochodem. Potem ułaz Wojtczaka i wreszcie ciągniona przez traktor obudowana przyczepa. Trzeci podmuch wiatru zmiótł ze stołu butelki i talerze, potem spadła na ziemię ulewa. Las rozbrzmiewał jak gdyby jednym nieprzerwanym grzmotem, półmrok rozświetlały co chwila połamane kreski błyskawic przeorujących niebo.

Na pustej połaci plantacji pozostał tylko jeden człowiek. Stał pośród pustych stołów w potokach ulewy - stary Horst Sobota. Siwe włosy oblepiły czaszkę i stały się czarne, po twarzy spływały mu strugi deszczu i łzy. Wołał coś, bełkotał, wymachiwał rękami, jak gdyby odgrywał jakąś mimiczną scenę wobec pustych stołów i pustyni półwyspu. Łoskot grzmotów zagłuszał jego wołania, wyciągnięte ku górze ręce zdawały się sięgać aż po błyskawice. Ale ulewa przygniatała go ku ziemi, strugi wody spływały z nosa w otwarte krzykiem usta i zalewały gardziel. Chwilami, kiedy pioruny biły gdzieś dalej i błyskawice jaśniej rozświetlały półwysep, ta drobna postać raptownie olbrzymiała i mogło się zdawać, że jak gdyby rzuca na półwysep jakiś wielki cień. Po chwili jednak ta sama postać kurczyła się, zlewała z tłem, znikąca prawie zupełnie. Człowiek był niczym wobec żywiołu burzy i ulewy. Pojął to wreszcie Horst Sobota, znieruchomiał, wyciągnął ku górze obydwie ręce, rzucając ostatnie przekleństwa w stronę ludzi, którzy stąd nie tak dawno odjechali. A potem wolno, zgarbiony od potoków deszczu, ruszył piaszczystą drogą do domu.

Oślepie od wody oczy starego Horsta nie zauważyły jeszcze jednego człowieka, który pozostał w lesie obok plantacji i widział go przeklinającego ludzi lasu. To leśniczy Stęborek spóźnił "się na przyjęcie zgotowane na plantacji, ponieważ jego żona Malwina bała się wychodzić z domu i, nie bacząc na godziny pracy, musiał stanąć w kolejce w sklepie po świeży chleb. Zawiózł go do domu i okazało się, że ona nie chce rozpaścić ognia pod kuchnią, więc zanim tego dokonał, czas upłynął. Swoim starym harleyem zajechał w pobliże plantacji, gdy Romanikowa i reszta zaczęli uciekać przed burzą. Stanął na motocyklu pod ogromnym starym świerkiem, czekając, aż deszcz ustanie. Oglądał podrygującego na półwyspie Horsta i jak Wojtczak (choć o tym nie wiedział) odczuł, że nie ma przyjemniejszego uczucia niż widok cudzego bólu. Obserwując Sobotę odnajdywał już siebie w domu z kolorowymi szybkami na ganku, Malwinę krzątającą się po kuchni Horsta Soboty, ich dziecko śpiące w jednym z pokoiów wielkiego domu. "Będziemy szczęśliwi, szczęśliwi, szczęśliwi" - powtarzał sobie w myślach, bo tego był już pewien, że własne szczęście można osiągnąć jedynie przez cudzy ból i cudzą troskę. Nasunął potem na oczy motocyklowe okulary. Pokrył je deszcz i uczynił go ślepym, ale tym bardziej wyraziste stały się jego marzenia o szczęściu.

A Sobota zjawił się przed gankiem z kolorowymi szybkami akurat w momencie, gdy burza odeszła na zachód. Nic nie mówił, tylko trząsł się z zimna i w jego niebieskich oczach Weronika odkryła szaleństwo. Ale nie szalał, nie rzucał się, nie przeklinał nikogo. Pozwolił się Weronice rozebrać do naga, natrzeć ciało spirytusem i położyć do łóżka pod grubą pierzynę. Kiedy mu wlewała w usta gorącą herbatę ze spirytusem, zapytał o Maryna.

- Jeszcze nie wrócił - odpowiedziała. - Ale będzie tu jutro lub pojutrze.

Kiwnął głową, że ją zrozumiał - Józwa Maryn nie mógł jeszcze powrócić, bo na pewno wyjechał gdzieś daleko. I zaraz zasnął, od czasu do czasu wstrząsany dreszczem.

Po burzy pokazało się czyste niebo, na drzewach połyskiwały krople deszczu i szeleszcząc na liściach opadały na ziemię. Powietrze pachniało żywicą i świeżym zapachem igliwia leśnego. Weronika poszła na łąkę, rozwiązała pęta mokrej klaczy i zaprowadziła ją do stajni, gdzie nad żłobem wisiało siodło i pejcz Maryna. Bezwiednie spojrziała na ten pejcz i zapewne pod wpływem tego, co jej rano powiedział Horst, uświadomiła sobie, że Maryn nigdy nie zdejmował z gwoździa tego przedmiotu, nigdy go ze sobą nie zabierał do lasu. A przecież pejcz był piękny - z plecioną rękojeścią i małym uchem do zawieszania na gwoździu. Na podwórku zobaczyła męża. Był podpity.

- I co, ty głupia dziwko - przemówił do niej ochryłym głosem.

- Jak długo zamierzasz żyć z tym staruchem? Wystawiłaś mnie na pośmiewisko ludzkie. Wracaj natychmiast do domu. Do domu, powiadam, bo wezmę na ciebie bata jak na psa. Czy nie pojmujesz, że podjąłem cię z gnoju i zrobiłem swoją żoną? Oddano mi do zagospodarowania największą plantację na naszym kontynencie. Uczyłem się swego zawodu przez sześć lat. A ciebie mieli wszyscy robotnicy.

Weronice pozostała w pamięci ta chwila jak sen. Równym krokiem wróciła do stajni i zdjęła z gwoździa pejcz na konia. Z tym pejczem w ręku i nieruchomą twarzą w milczeniu podeszła do męża.

A on, inżynier Kulesza - cofnął się najpierw o jeden krok. Później zrobił drugi i trzeci krok do tyłu. Zobaczył w tej kobiecie to, czego nigdy dotąd w niej nie zauważył - oczy przepełnione wyrazem nienawiści. Miała także zaciśnięte usta, przy jej stopie pełzał rzemienny koniec pejcza.

Kiedy ją poznał w autobusie - nic o niej nie wiedział. Potem spotykał się z nią, rozmawiał i - jak mu się zdawało - pokochał. Mówili mu, że jest "dziewczyną od Horsta Soboty", ale nie rozumiał, co to znaczy. I wreszcie powiedział mu ktoś (chyba Wzdrega), że kiedyś przyjechała tutaj na sadzenie drzew, upiła się i należała do wszystkich. Nawet do brudnego traktorzysty Budrysa. A jednak ożenił się z nią, bo podniecało go jej ciało. O swoim ślubie nie powiadomił rodziny, gdyż wstydził się, że taką dziewczynę, co należała do wszystkich, wziął sobie za żonę. Teraz rozwiedzie się z nią bez hałasu. Nie chciał już tej kobiety. Dwukrotnie zrzuciła go z siebie na podłogę i boleśnie rozbił plecy. Którejś nocy mogła go zamordować - poczuł lęk.

Zrobił jeszcze krok do tyłu, obrócił się na pięcie i bez słowa wyszedł na drogę. Odchodził wolno skrajem lasu, a ona obojętnie patrzyła na mężczyznę, o którym jeszcze nie tak dawno myślała, że go kocha.

Rozdział piąty

Drugą dobę czekał Józef Maryn na sygnał dzwonka telefonicznego lub na odgłos pukania do drzwi pokoju hotelowego na czwartym piętrze. Pokój był zarezerwowany i opłacony, nie pytał przez kogo ani na jak długo, bo i tak informacje, jakich by mu udzielono w recepcji, nie mogły mieć nic wspólnego z prawdą. Zresztą prawda nie była do niczego Marynowi potrzebna - należało po prostu zamieszkać w pokoju i czekać, aż odezwie się jakiś Robert, którego też Maryn nie znał i być może. nigdy nie pozna, bo spotka się z nim ktoś bez imienia i bez nazwiska. Czekanie nie dłużyło się Marynowi - całe jego dotychczasowe zawodowe życie polegało na cierpliwym czekaniu na kogoś lub na coś. Kto nie potrafił czekać, okazywał niecierpliwość, nudził się i męczył czekaniem, prędzej czy później musiał zmienić zawód. W kiosku hotelowym kupił plik gazet, obłożył się nimi i czytał, wykreślonych godzinach schodził do restauracji na posiłki i wracał do siebie, znowu czytał lub patrzył w okno, myślał o tym lub owym, zapadał w sen lub tylko półsen. Umiał popadać w jakiś letarg, w którym krew i myśli jak gdyby wolniej płynęły, ale ani przez chwilę nie przestawał być czujny. Długi czas się tego uczył, aż przywykł. Dopiero potem, w leśniczówce w Mordęgach, raptem jak gdyby stracił tę swoją zdolność, nie mógł spać z powodu czyjś skrzypiącego łóżka, co teraz wydawało mu się po prostu śmieszne. Może stary Sobota miał rację, gadając, że las odmienia człowieka? Tak, musiało w tym coś być, skoro Maryn kiedyś potrafił na przykład załatwiać kobiety nawet i bez przyjemności, a w owej leśniczówce nie zdołała go podniecić myśl o żadnej kobiecie, rodziło się w nim podejrzenie, że istnieje miłość wielka i prawdziwa, niekoniecznie związana z rżnięciem. Oczywiście, nawet w Mordęgach nie do końca utracił dawne umiejętności - potrafił przecież czekać cierpliwie na Karasia, Budrysa i innych, którym narzucił jarzmo swojej przyjaźni. Teraz nie miało to już żadnego znaczenia i należało do przeszłości. Z tego hotelu wkrótce wyjdzie zapewne nowym człowiekiem i jeśli będzie chciał być nim w sposób pełny, szybko musi zapomnieć o lesie, o Sobocie, a nawet o pozostawionej u Horsta izabelowatej kłaczy, którą polubił. Niczego i nikogo nie wolno jednak tak naprawdę polubić, nawet kłaczy. Zapominanie zaś o przeszłości im szybciej następowało i doskonale, tym łatwiej pozwalało żyć w nowej postaci.

O Eryce też chyba będzie musiał zapomnieć, wymazać ją z pamięci, choć to wydawało mu się trudne. Kilkakrotnie chwycił się na tym, że miał ochotę podnieść słuchawkę telefonu i wykręcić numer własnego mieszkania, znajdującego się o kilka ulic od hotelu. Aż do chwili powrotu do kraju nie miał pojęcia, że posiada tutaj kompletnie urządzone trzypokojowe mieszkanie w wieżowcu z domofonem i szwedzką windą. To mieszkanie załatwiła Eryka za jego plecami i przez jakieś swoje własne kontakty; on sam nigdy by o czymś takim nie pomyślał. Całkowicie zadowalało go mieszkanie po Bernadecie - cztery pokoje nad sklepem z rowerami przy Dapperstraat, i to drugie, późniejsze - na jednej z uliczek w pobliżu Square Severine. Mieszkał tam z Eryką przez trzy lata i zapewne mieszkałby jeszcze dłużej, gdyby nie zdrada Ivo Bundera. Zatrzymano go w kraju na dworcu lotniczym, to znaczy, nie dosłownie zatrzymano, tylko przewieziono w bezpieczne miejsce. Na dworcu lotniczym podeszło do niego dwóch młodych ludzi i zaprosiło do swojego samochodu. "A co z nią?" - zaniepokoił się o Erykę. Wówczas ona wyjaśniła mu pogodnie, że mają tutaj mieszkanie, rzuciła mu w pośpiechu numer

telefonu i adres i odjechała taksówką. On zaś dwa miesiące przesiedział w bezpiecznym miejscu, trzy razy był badany przy pomocy "wykrywacza kłamstw", niezliczoną ilość razy musiał odpowiadać na niezliczoną ilość pytań, choć chodziło tylko o jedno: dlaczego gadając przez całą noc z Ivo Bunderem i czując, że z tamtym dzieje się coś złego, nie przeszkodził mu w jego wędrówce na policję. Następnie zrobił drugie głupstwo, wpadł w panikę i uciekł wraz z Eryką, choć - jak to się później okazało - mógł się czuć bezpieczny, gdyż Ivo Bunder jego nie zdradził. Policja nigdy nie interesowała się mieszkaniem w pobliżu Square Severine. Podobnie stary Jawajczyk o strasznie długim nazwisku i jego żona Yvette wciąż czekają, aż do mieszkania nad sklepem z rowerami powróci z kupieckiej podróży niejaki Kristopher Bullow. Także i z motelu o nazwie "Dębowa Altana" - nie było do tej pory żadnych złych wieści. Dlatego opuszczając po dwóch miesiącach "bezpieczne miejsce" był pewien, że natychmiast wyjedzie z kraju i zjawi się na Dapperstraat albo na Square Severine. W radosnym nastroju dał się zawieźć do swojego mieszkania, które pierwszy raz zobaczył na oczy. O Eryce wiedział od niej samej, że już sobie kogoś nowego znalazła i zapewne pozostanie w kraju. Tylko że stało się coś nieoczekiwanego - przywieziono mu dowód osobisty na nazwisko Józef Maryn i dowiedział się o istnieniu wioski Mordęgi, gdzie będzie strażnikiem łowieckim. Na jak długo - takie pytanie nie miało sensu, zresztą domyślał się, że nie na zawsze, skoro kazano mu zapamiętać hasło: "Jutro lub pojutrze. Robert". Teraz gdy czekał w hotelu na coś, co miało nastąpić, nęciła go myśl, aby spotkać się z Eryką, porozmawiać, ale to byłby oczywisty błąd. Eryka nie mogła wiedzieć, że on już opuścił Mordęgi, że lada chwila przestanie być Józefem Marynem. Rozwód z nie istniejącą osobą dostanie zaocznie, jeśli w ogóle rozwód będzie jej potrzebny. Nadleśniczy Masłocha otrzyma telefon z Okręgowego Zarządu, że strażnik łowiecki został przeniesiony gdzie indziej, jego klacz należy sprzedać, a rzeczy pozostawione u Horsta Soboty przekazać pod jakiś tam adres. Karaś, Budrys i inni będą jednak jakiś czas jeszcze żyli w niepewności, co się stało ze zdjęciami, które im zrobił Józef Maryn, oraz z oświadczeniami, jakie mu napisali. Na ten czas przestaną kłusować - jedyna korzyść z faktu, że niejaki Józef Maryn przebywał w wiosce Mordęgi. Kobieta o imieniu Weronika powróci do leśniczego o nazwisku Kulesza, który już odtąd będzie ją dupczył nieco mniej i za jej przyzwoleniem. Horst Sobota umrze i pochowany zostanie w jesionowej trumnie, a w jego domu osiadzie leśniczy Stęborek. Zniknie krwawa plama na mapie nadleśnictwa w Bartach, las jeszcze raz zwycięży i przekroczy piaszczystą drogę. Tylko że nikt już tego nie będzie wiedział, ponieważ poza Horstem Sobotą i Józefem Marynem, który na skutek gadania Horsta także trochę uwierzył, że las jest żywą istotą - nikogo ta sprawa nie będzie obchodzić. Bo i kto ma się nią interesować, skoro las odbierał ludziom duszę?

Zniknie więc na zawsze, rozplynie się w czasie i przestrzeni osobnik nazwiskiem Józef Maryn, strażnik łowiecki. W świat ruszy znowu Kristopher Bullow lub jakiś inny człowiek, z wyglądu podobny do Józefa Maryna. Czy naprawdę tego chemii - żyć znowu w obcym kraju, wśród obcych ludzi, w ciągłym strachu o swoją wolność i swoje życie? I co to właściwie znaczyło dla niego żyć w obcym kraju i wśród obcych ludzi. Tu był jego kraj, ale mniej o nim wiedział niż o innych. Oczywiście, tutaj znajdowało się jego właściwe miejsce, pracował dla tutejszej firmy. Ale gdyby tak pogrzebał w sobie, może okazałoby się, że po prostu lubił wykonywać swoją pracę, ukształtowano go na zawodowego informatora, nauczono biegle władać trzema językami, stworzono specjalną osobowość, która w pełni i sprawnie powinna funkcjonować tam, a nie tutaj. Kto wie, czy nie wpojono mu także w jakiś sposób potrzeby

nieustannego ryzyka, udawania kogoś innego, ciągłego maskowania się i zacierania śladów. Pozostawienie; go w kraju było wielkim marnotrawstwem; to tak jak gdyby przez długi czas kształcono ortopedę, a potem nagle, po jednej nieudanej operacji, nakazano takiemu fachowcowi, żeby zajmował się, na przykład, niańczeniem niemowląt. Dzieci można polubić, dzieci są miłe, praca z nimi potrafi także dać radość i zadowolenie. Tak na przykład on, Józef Maryn, po raz pierwszy w życiu zobaczył wielki las i uwierzył, że stanowi on jednorodną groźną istotę. Do tego celu jednak nie trzeba było wkładać aż tyle wysiłku i pieniędzy w kształtowanie jego osobowości, uczenie go specyficznego rzemiosła, bo to, co robił do tej pory, było rzecz jasna tylko szczególnym rzemiosłem. Amatorszczyzna nie zdawała egzaminu; amator musiał szybko przegrać, gdyż nie umiał fałszować kart, a w tym zawodzie nie można się uczyć na błędach. Decydowała fachowość i predyspozycje psychiczne. To coś, czego nikt nie nazwał, ale co było w niektórych ludziach.

Nawet jego matka dość szybko wyczuła, że trzeci jej syn jest jakiś inny niż pozostali. "Będzie księdzem" - powiedziała do ojca. Zainteresował się nim proboszcz i chłopak zaczął uczęszczać na plebanię, aby uczyć się włoskiego. Proboszcz był jakiś czas w Rzymie, tam pracował, ale go wygryźli, gdyż był to czas dla Włochów. Nie chciał, żeby chłopak był zwykłym księdzem, ale jakimś monsignore. Tak więc z krytej strzechą ogromnej chałupy pobielonej wapnem chodził na plebanię i uczył się włoskiego. "Jest zdolny do języków, ale brakuje mu łaski wiary" - zwierzał się proboszcz matce. A potem zdecydowano, że najstarszy brat weźmie po rodzicach całą gospodarkę, średni zaś i najmłodszy będą się kształcić. Średni skończył politechnikę, kiedy najmłodszy zdał maturę i egzamin na wyższą uczelnię, gdzie na drugim roku studiów zaproponowano mu inną robotę i dodatkową naukę. Prostą i oczywistą konsekwencją tego wszystkiego był adres Bernadetty Bullow, która prowadziła sklep z rowerami przy Dapperstraat. Zatrudniała ona w sklepie dwóch ekspedientów - starego, pomarszczonego Jawajczyka o imieniu Kareł i bardzo skomplikowanym nazwisku oraz młodą Francuzkę Yvette. Ta para była małżeństwem i mieszkała na starym statku, zakotwiczonym w kanale w pobliżu Brouwergracht - Singel. Nowy ekspedient dostał pokój u pani Bullow w jej czteropokojowym mieszkaniu nad sklepem (dom był jednopiętrowy i cały należał do pani Bullow) i musiał pracować razem z Karelem i Yvette.

Bernadetta była jeszcze młodą kobietą ze śladami niezwyklej urody, ale zniszczyły ją narkotyki. Miała ciało wychudłe do niemożliwości. Kto jej dawał narkotyki (sklep nie przynosił dużych zysków) - o to nigdy nie pytał, a ona nie okazała się skora do zwierzeń. Podobnie nigdy nie dowiedział się, skąd pochodziła i jak się to stało, że była właścicielką sklepu z rowerami. Być może miał w tej sprawie znaczenie fakt, że od czasu do czasu nosiła żałobę po swoim mężu, jakimś tam Bullowie. Zresztą w jej domu, także między ekspedientami, panowała zasada, że nikt nikogo nie pytał o sprawy osobiste - piękny zwyczaj, który się jeszcze tu i ówdzie zachował. Narkotyki nie są jednak dobrą rzeczą, Bernadetta Bullow od czasu do czasu wpadała w szal i tylko ściany mieszkania mogłyby opowiedzieć, ile razy musiał ją wiązać, kneblować usta, uspokajać. Od czasu do czasu miewała też nienasycone pragnienia seksualne, którym ulegał. Tak, tej nocy, kiedy musiał zaspokoić chuć tej wysokiej i straszliwie wychudłej kobiety budzącej w nim tylko wstręt, zrozumiał, że stracił duszę. Ale czy pozostawiono mu jakiś wybór? Którejś nocy Bernadetta zapukała mocno w ścianę jego pokoju (spali w sąsiadujących ze sobą pomieszczeniach) i on poszedł do niej myśląc, że źle się poczuła. Paliła się tylko nocna lampka,

a ona leżała naga na tapczanie, z rozchyłonymi i podkurczonymi nogami. Pierwszy raz zobaczył ją nagą i przekonał się, jak bardzo jest chuda - zaznaczało się każde żebro, piersi miała wyschnięte jak pergaminowe płaskie woreczki, kości biodrowe zdawały się przedzierać przez skórę, zapadnięty brzuch wyglądał jak głęboka misa. Pocętkowane przez nakłucia uda były cieniutkie i nieforemne jak u kilkuletniej dziewczynki. Przypominała mu oglądanych na fotografiach ludzi zmarłych z wycieńczenia lub głodu, ale przecież żyła, palce jej rąk drapieżnie poruszały się po prześcieradle, oczy błyszczały pełnią życia. Źrenice miała nienaturalnie zwężone, choć zapewne wzięła tylko niewielką dawkę heroiny, co obudziło w niej silne pożądanie. W takich razach zazwyczaj chyba onanizowała się; w łazience kilkakrotnie widział plastikowego sztucznego członka, jakie można było kupić w prawie każdym pornoshopie. Teraz jednak postanowiła mieć mężczyznę, który od dwóch tygodni mieszkał pod jej dachem i pracował w jej sklepie. Nie, nie dano mu wyboru. Zarośnięte rudawym włosom łono domagało się mężczyzny i on musiał się nim okazać, jeśli nie chciał, aby go zadenuncjowała, gdyż po jej niezrównoważonej psychice wszystkiego się można było spodziewać. Zgasił nocną lampkę, a kiedy ogarnęła ich ciemność, dotknął palcami nastroszonych włosów na jej łonie i wilgotnej od śluzu pochwy, wyobraził sobie, że maca tłusciutką Yvette, którą pożądliwie obserwował podczas pracy w sklepie. A że miał wtedy dwadzieścia pięć lat i boleśnie odczuwał głód kobiety - wziął ją, przez chwilę zapominając o wstręcie. A ona, ponieważ właśnie nie wyczuła w nim wstrętu, okazała mu przedziwnie swoją wdzięczność. "Będiesz dwa razy w tygodniu rznął Yvette w hotelu na sąsiedniej ulicy" - obiecała i tego dotrzymała. Odtąd dwa razy w tygodniu pukała w ścianę jego pokoju i także dwa razy w tygodniu miał w pokoju hotelowym pulchną Yvette o farbowanych na rudo włosach. Czy stary Jawajczyk Karel wiedział o spotkaniach swej żony z młodym ekspedientem? Prawdopodobnie tak. Ale nie dał tego po sobie poznać; być może działało się to za jego przyzwoleniem, które wymogła na nim Bernadetta. Wkrótce zresztą młody ekspedient stał się mężem Bernadetty Bullow, przyjął jej nazwisko i obywatelstwo. Jako Bullow przestał pracować w sklepie i zaczął wyjeżdżać do różnych miast i pobliskich krajów w interesach sklepu, to znaczy po zakup najnowocześniejszych rowerów i części zamiennych. Nigdy nie ukrywał przed nikim, kim jest z pochodzenia, zwierzał się nawet, że trapi go nostalgia, dlatego zapisał się do różnego rodzaju towarzystw, płacił drobne sumki na różnego rodzaju pisemka propagandowe, bywał na różnych zebraniach, słuchał rozmaitych referatów, brał udział w poważnych akcjach, ale nie nazbyt gorliwie. Nie wolno mu było zapomnieć, że jest kupcem, którego przede wszystkim powinny interesować własne interesy. Jego łącznikiem z firmą była wówczas jakaś stara, siwa kobieta, którą raz w miesiącu spotykał w pobliżu Dapperstraat na targu, gdzie handlowano tanią odzieżą i innymi rzeczami. Tam jej przekazywał fotografie, taśmy z nagraniami, otrzymywał instrukcje, gdzie powinien jechać, kogo sfotografować, o kogo się dowiedzieć, kogo obserwować, o kim informować. Aby zebrać wiadomości wciąż musiał gdzieś jeździć - coraz częściej i częściej. Ale Bernadetta nie protestowała, bo zawsze wracał i zaspokajał jej seksualne potrzeby. Jeździł pociągami, latał samolotami, kupił też sobie starego austina, ale najczęściej pożyczał od Bernadetty jej szybkiego opla. Po trzech latach firma zleciła mu nawiązanie kontaktu z niejakim Ivo Bunderem, który prowadził interesy w kilku krajach. Poinformowano go, że prawdopodobnie ów Ivo Bunder pracuje dla kilku firm, ale bywa lojalny, dopóki otrzymuje należną mu zapłatę. Oczywiście, powstawało pewne ryzyko, ale Ivo Bunder poprzez swoje szerokie kontakty i właśnie pracę dla kilku firm mógł dostarczyć informacji cenniejszych niż ktokolwiek inny. Tak Bullow poznał Bundera i od razu wyczuł, że ma do czynienia z kimś niezwykłym. Spotykali się w różnych

miastach i w różnych krajach, w mieszkaniach, które pod różnymi nazwiskami wynajmował Ivo Bunder. Z czasem nawet zaczęli wykonywać wspólne zadania i to stało się powodem, że ich oficjalne kontakty przerodziły się w coś w rodzaju przyjaźni.

Niski, zażywny, łysiejący i ciągle uśmiechający się Ivo Bunder, gadatliwy mężczyzna około czterdziestki, podobał się mrukliwemu Bullowowi. Lubił opowiadać kawały, żartować, figlować, ale przecież dość szybko przekonał się Bullow, że jest to osobnik bardziej niebezpieczny od nabitego pistoletu. Bunder zaimponował Bullowowi. Pewnego razu Bullow przez prawie tydzień znajdował się w podróży, a gdy wrócił - Kareł i Yvette poinformowali go o śmierci Bernadetty. Zresztą czekało na niego wezwanie na policję. Bernadetta naćpała się narkotyków, wsiadła do swojego opla i roztrzaskała o słup telefoniczny za miastem. Bullow miał niepodważalne alibi: podał miasta i hotele, w których mieszkał, zamówienia na rowery, które zrobił. Nie mógł jednak udawać przed policją, że nie wiedział o nałogu swojej żony i że przez cały czas małżeństwa ukrywał to przed światem. "Szantażowała mnie - skłamał. - W każdej chwili mogła mnie wyrzucić ze swojego domu i swego sklepu". To zdaje się przekonało policję, ale potem nastąpiło coś jeszcze gorszego. Kareł i Yvette przyszli do niego z rachunkami, wekslami, pokwitowaniami, z których wynikało niezbicie, że od lat pożyczali Bernadecie pieniądze i suma, jaką była im winna, przewyższała wartość sklepu, a nawet całego domu. Innymi słowy, właścicielami sklepu i mieszkania stali się Kareł i Yvette, a on musiał się wynosić nie wiadomo dokąd. Wówczas to Bullow postanowił zasięgnąć rady Bundera i wezwał go na spotkanie. Ivo Bunder zjawił się natychmiast. Nie był już wesołym, figlarnym mężczyzną. "Ty durniu, głupcze, idioto - wściekał się na Bullowa. - Nawet największy kretyn domyślić się powinien, że to ta para zamordowała twoją żonę. Nafaszerowali ją narkotykami i wsadzili w samochód, żeby mieć w końcu swój własny interes. Jeśli nie masz dowodów, to je wymyśl i spreparuj albo pogadaj z nimi. Inaczej zdechniesz na śmietniku". Ivo Bunder miał małe, tłuste, ciepłe dłonie - stworzone do pieszczenia kobiecych ciał. To nie były dłonie do brukania ich niedelikatnym zajęciem. Dlatego już następnego dnia przysłał mu człowieka, który był tak samo chudy jak Bernadetta. Zamknęli się we czwórkę w mieszkaniu nad sklepem - Bullow, ten facet, Kareł i Yvette. Kareł prawie bez żadnych nacisków wyznał, że całą sprawę uknuła Yvette. Ją trzeba było jednak trochę przycisnąć - Bullow pierwszy raz oglądał, jak się coś takiego robi, i o mało nie zemdlął. Yvette napisała przyznanie się do spowodowania śmierci Bernadetty. Może uczyniła to z bólu i strachu, a może rzeczywiście zrobiła to tak, jak opisała. W każdym razie stanęło na tym, że Bullow będzie nominalnym właścicielem sklepu i domu przy Dapperstraat, faktycznie zaś są nimi Kareł i Yvette. Do nich będą należeć zyski z interesu, Bullow zatrzymuje sobie tylko mieszkanie i będzie nadal jeździł po rowery. Zeznanie Karela i Yvette zamknął Bullow w specjalnej skrytce, którą kiedyś sporządził. Tam także ukrył paszport, na którym był z wąsami i brodą. Przy Bernadecie starał się wyglądać poważniej, teraz mógł być młody. O zgubieniu paszportu powiadomił władze i w jakiś czas później dostał nowy - już ze zdjęciem bez wąsów i brody.

Z Yvette przeżył wtedy zadziwiającą historię. Kiedy nastłany przez Bundera chudzielec i Jawajczyk opuścili mieszkanie Bullowa i pozostała w nim jedynie Yvette, gdyż była słaba po męczarniach, jakie jej zadał chudzielec, raptem, może po godzinnym wypoczynku, ściągnęła majtki i kazała się Bullowowi rznąć. Zrobił to i ku swojemu zdumieniu po raz pierwszy odkrył, że ona z niezwyklej rozkoszy doznała czegoś w rodzaju konwulsji, nawet na chwilę straciła

przytomność. "Nikt nigdy nie dał mi w dupę tak dobrze jak ty - powiedziała mu potem. - Jeśli chcesz, pozbedziemy się starego i pozostaniemy tylko we dwoje". Bullow wytłumaczył jej wykrętnie, że z taką sprawą należy poczekać, gdyż zbyt świeża jest dla policji sprawa Bernadetty. Ale tej nocy Bullow uwierzył temu, co od niejednego tylko słyszał, a także mówił mu Bunder - iż nic tak nie przywiązuje kobiety do mężczyzny jak właściwe i dokładne zaspokojenie jej pożądlivosti. Jeśli się dobrze rznie kobietę - można ją zmusić do każdej podłości, a nawet zbrodni. Bunder o tym wiedział, dlatego odwiedzał domy schadzek, podejrzaną restauracyjki, dziwne nocne lokale. Zdobywając informacje nigdy sam się nie narażał; robiły to za niego kobiety albo mężczyźni o dziwnych upodobaniach. Bunder był pod tym względem mistrzem i Bullow wiele się od niego nauczył, szczególnie po śmierci Bernadetty, gdy spotykali się częściej.

Bernadetta nie zostawiła mężowi żadnych oszczędności. Ale Bullow zawsze myślał o niej z sentymentem, szczególnie, że już nie żyła i nie musiał zaspokajać jej żądzy. To była dobra kobieta mimo swego nałogu. Przeżyli ze sobą kilka lat, nie zawsze napadały ją ataki szału i ogromnych potrzeb seksualnych; bywały takie dni, a nawet tygodnie, kiedy zachowywała się normalnie, dbała o męża, uczyła swojego języka. Za własne pieniądze Bullow wystawił jej skromny pomnik na cmentarzu i nigdy nie mógł darować Yvette, że spowodowała jej śmierć. Ivo Bunder dał mu trochę pieniędzy i współnika do nowego interesu - okulałego podczas wojny starego Niemca, o banalnym i chyba też fałszywym nazwisku Hans Weber, z którym już po drugiej stronie granicy zorganizowali coś w rodzaju motelu i zarazem domu schadzek o nazwie "Dębowa Altana". Do owej "Altany" przyjeżdżał z różnymi paniami Ivo Bunder albo przysyłał same panie, albo samych panów. Zajmował się tym wszystkim ów Niemiec; Bullow od czasu do czasu otrzymywał od tamtego pewne profity i jak dawniej odwiedzał przeróżne zebrania, kluby, stowarzyszenia. Z czasem dostał od firmy trudniejsze zadania i przeniósł się bliżej Ivo Bundera. Z kraju przyjeżdżało coraz więcej przeróżnych ludzi od handlu i w innych sprawach służbowych. Mieli skromne diety, niektórzy głodowali, żeby coś ładnego kupić i przywieźć do domu. Bullow obserwował ich twarze, gdy wychodzili z hotelu i całymi godzinami włóczyli się po mieście, oglądając wystawy sklepowe. Przywykł do ich poządlivych spojrzeń, do dłoni, które zaczynały dygotać, kiedy przeliczali wyciągnięte z portfeli drobne sumki, po dziesięć razy zastanawiając się, czy stracić je w sklepie, czy też w pornoshopie albo jeszcze gdzie indziej. Ivo Bunder dał mu prawie trzydzieści fotografii ludzi podobnych do sępów, czyhających na takich osobników. Bullowowi wystarczyło, że zobaczył przez moment któregoś z tych sępów w towarzystwie ludzkiego padła dygocącego od chciwości (bo tak ich od tego momentu nazywał), aby domyślić się, że taki facet został już kupiony, niekiedy za nędzną sumkę. Oczywiście nie wszyscy byli tacy, a nawet można by śmiało powiedzieć, taki osobnik pojawiał się raz na tysiąc, i Bullow niekiedy tylko marnował czas. Ale przybywało Bullowowi doświadczenia - nie każdy, w czyich oczach zauważał wyraz chciwości lub poządlivosti, dawał się kupować, choćby z firmy przychodziło ostrzeżenie, że ten właśnie osobnik może być na to podatny. Odkrył w końcu owo nieuchwytnie "coś", co zaczął wyczuwać w aurze otaczającej takiego osobnika, w jego ruchach, sposobie mówienia, zachowania się, poruszania po mieście. Nie potrafił tego "czegoś" nazwać, po latach jednak natychmiast wyczuwał smrodek. Wystarczyło niekiedy jedno spojrzenie na jakiegoś człowieka, a w Bullowie jak gdyby zapalała się czerwona ostrzegawcza lampka. Wówczas dzięki rozmaitym znajomościom z pokojówkami albo cieniutkiej blaszeczce, którą nosił ukrytą w pasku, dostawał się do pokoiów hotelowych i przekonywał się, że człowiek

ów wraca do kraju z walizkami wyładowanymi drogimi prezentami, otrzymywanymi nie wiadomo od kogo i za co. Ivo Bunder słał wtedy wiadomość do firmy. Tak, z czasem Bullow wydoskonalil swój nos na ów specyficzny smrodek zdrady i przekupstwa, choć to nie zawsze było takie proste. Pewnego razu firma ostrzegła Bundera i Bullowa, że przybywa do nich facet bardzo podejrzany. I nic. Nie umieli go na niczym nakryć, niczego wyśledzić. Bullow zapewne puściłby tego faceta z informacją, że jest czysty. Ale sprawą zajął się Bunder, a on był prawdziwym mistrzem. Przekupił pokojówkę hotelową, która zaniósła facetowi kieliszek koniaku, do którego Ivo beczelnie wlał dwie fiołki rohypnolu. Pokojówka wyjaśniła facetowi, że w tym hotelu panuje zwyczaj darmowego częstowania koniakiem każdego gościa nazajutrz opuszczającego hotel. Facet dał się na to nabrać, nie znał smaku koniaków; weszli do niego nocą, spenetrowali kieszenie marynarki i odkryli grubą kopertę z pieniędzmi. Tę kopertę znalazł on w kontrakcie podanym mu do podpisania przez firmę nie mającą nigdzie zbytu na swoje towary. W rok później odbył się proces owego faceta, ale Bullow ani przez chwilę nie miał wyrzutów sumienia, a nawet doznał czegoś w rodzaju satysfakcji. Tylko że nie zawsze bywało tak jak z tamtym człowiekiem. Zdarzało się, że tacy sami, z lepkiemi dłońmi, mimo wysłanych do centrali informacji, powracali jako wyżsi rangą i do coraz lepszych hoteli. "To jakaś podwójna gra" - myślał Bullow i nie zaprzętał sobie tym głowy, gdyż - jak sądził - nie do niego należało roztrząsanie podobnych spraw.

W tym czasie dzięki firmie poznał Bullow Erykę, kobietę niepospolicie piękną. Nastąpiło ich małżeństwo i wspólnie zamieszkali przy Square Severine. O Eryce dowiedział się Bullow tylko tyle, że miała obce obywatelstwo i podobnie jak on współpracowała z firmą. Z Eryką żyło się Bullowowi przyjemnie i zgodnie, nie była zazdrosna o kobiety, które Bullow musiał od czasu do czasu mieć dla zdobycia informacji, przeważnie kelnerki i posługaczki z podrzędnych hoteli. Na Dapperstraat bywał rzadko, ale zawsze pamiętał, że najpierw należało Yvette porządnie stortuować, powykręcać jej ręce i nogi, tyłek aż do krwi złoic paskiem, a dopiero potem - jak gdyby nic - załatwić po męsku. Ciągłe pytała go, czy już można wykończyć Karela i od kiedy będą razem. Nie wiedziała, że Bullow ożenił się, i nigdy nie miała się tego dowiedzieć.

Czy Kristopher Bullow przeżył kiedyś chwile strachu? Tak, to się zdarzyło. Chyba w trzecim miesiącu małżeństwa z Eryką. Nagle stwierdził, że ktoś go obserwuje, to znaczy śledzi - jak mówili w swym żargonie - "po japońsku", ciągle za nim łażąc. Średniego wzrostu, chyba Latynos. Bullow przeraził się i chciał zaalarmować Bundera, ale przedtem zwierzył się z tego Eryce, a ta mu to odradziła. Postanowiła sama zająć się facetem i zwabiła go do hotelu, co przy jej urodzie nie było trudne. Powróciła chichocząc: "To skończony facet. Nie potrafi rznąć. Kiedyś bardzo go przestraszyli i od tego czasu nie idzie mu z kobietami. To koniec w tym zawodzie". Sama powiadomiła o tym Ivo Bundera i ten w jakiś sposób ostatecznie załatwił tego człowieka, po prostu kazał mu się zmyć z okolicy. Nie należał do branży, ale po prostu był zazdrosny o Bullowa, który załatwiał jego dawną dziewczynę, posługaczkę hotelową. Był złodziejem hotelowym, policja wzięła go na przesłuchanie trzeciego stopnia i od tego czasu szło mu coraz gorzej z tą dziewczyną. Śledził więc Bullowa przez zwykłą zazdrość.

Z tej historii Bullow zapamiętał jedno: "Jeśli się nie może rznąć, to koniec z zawodem". Kto nie potrafił wydupczyć kobiety na każde zawołanie, z przyjemnością lub bez przyjemności,

musiał prędzej czy później wpaść.

Czy Józef Maryn też był osobnikiem na zawsze już załatwionym, to znaczy nie nadającym się do swego zawodu, choć jeszcze o tym nie wiedzieli ci, co go tutaj wezwali? I czym się tak załatwił? Dwoma miesiącami aresztu czy też jednym widzeniem z Eryką, gdy wyznała mu, że rzygać jej się chciało od jego rżnięcia i że pójdzie do takiego, co robić tego nie potrafi, aleją kocha. A potem przyszedł strach, że naprawdę nie będzie już potrafił tego robić na każde zawołanie, ponieważ dupczenie nie jest czymś najważniejszym, jak to kiedyś myślał. Z powodu tego strachu tak mocno i nerwowo reagował na skrzywienie łóżka nad jego głową, choć powinno to mu być obojętne i kiedyś, rzecz jasna, było mu zupełnie obojętne. Mógł spać, choćby drugi facet dogadzał dziewczynie na sąsiednim łóżku w tym samym pokoju - sapał, kwiczał, podrygiwał.

Tam, w leśniczówce w Mordęgach, kiedy nie mógł spać i naszły go myśli o miłości, jakiej nigdy nie przeżył, zaczął też dokładnie analizować swoje małżeństwo z Eryką i doszedł do wniosku, że właściwie od początku nie wszystko układało się między nimi najlepiej, choć on o tym nie chciał wiedzieć. Ale był to bardzo nerwowy okres. Z kraju dochodziły wiadomości coraz bardziej niepokojące, a chwilami wręcz groźne. Runął tam jakiś świat układów i choć Ivo Bunder po dawnemu nieustannie żartował i tłumaczył, że wszystko i wszyscy się mogą zmienić, tylko oni, to znaczy tacy ludzie jak dwaj panowie B. - Bunder i Bullow - zawsze są potrzebni i pozostają na swoich miejscach, to jednak niepokój narastał w Eryce i Bullowie. Nadszedł nawet taki dzień, gdy Bullow stwierdził, że jest śledzony przez własną żonę, nie z zazdrości przecież, bo o tym nie mogło być mowy w ich zawodzie. Powiedział jej to i ona wybuchnęła płaczem, nie wyjaśniła mu jednak, czemu go śledziła. Poradziła mu - co także było niepokojące - aby uważał na Ivo Bundera i stał się wobec niego nieufny. Zabawna propozycja dla Bullowa, który tak naprawdę nie miał pojęcia, kim był Ivo Bunder ani gdzie mieszkał. Zresztą lubił Ivo Bundera za jego wesołość i pogodę ducha, jakąś dziwną czystość - tak nazwał Bullow ów zadziwiający fakt, że stykając się ciągle z brudnymi sprawami, sam Bunder nie stawał się brudny wewnętrznie. W przystępie szczerości powiedział Bullowowi - on, Bunder, bywalec burdeli i podejrzanych lokali, kocha swoją żonę i swoje dzieci, wierzy w miłość czystą i wielką, człowiek zaś, który paprze się w gnoju, nie przez cały dzień musi być brudny i śmierdzący, powinien myć się, zmieniać ubranie i koszulę, żyć normalnym istnieniem, bo w przeciwnym razie poźre go gangrena. Bullow wiedział, że człowiek potrafi być dwoisty - i czysty, i brudny, lecz chyba tylko do pewnego stopnia. Nie byli przecież urzędnikami kończącymi pracę o określonej godzinie i po zamknięciu biura śpieszącymi do swoich gniazdek rodzinnych. Dlatego nie wierzył w istnienie takiego miejsca na ziemi, gdzie Ivo Bunder przestaje być czujny i wydmuchuje z siebie czujność jak dym z papierosa. Wyznał to zresztą Bunderowi, a ten po swoim tylko roześmiał się i rzekł: "Masz rację, choć tego nie rozumiesz. A nie rozumiesz dlatego, że jak do tej pory udaje ci się pracować tylko dla jednej firmy. Niestety, na dłuższą metę jest to niemożliwe. Też kiedyś będziesz musiał wykonywać robotę dla kilku firm naraz. Wówczas pojmiesz, że nie ma dobra i zła i człowiek zawsze pozostaje czysty, jeśli jest odpowiednio opłacony. Zresztą, jeśli się poczujesz brudny, spraw sobie lepszą wannę, częściej się kąp i kup droższy szampon do kąpieli". Powtórzył te słowa Eryce, ale ona stała się wtedy jeszcze bardziej nieufna. "Bądź ostrożny, Kristopher - powiedziała. - Nie każdy brud można zmyć najdroższym szamponem".

Tymczasem z kraju napłynęła ogromna rzesza ludzka i firma żądała informacji, co niektórzy z nich robią, w jaki sposób się organizują, jak chcą się mścić za to, co ich spotkało. Bullow zajął się nimi z pewnymi wewnętrznymi oporami, ponieważ to już były sprawy polityczne, a on się na nich nie znał, a co najważniejsze - nie lubił takich kwestii roztrząsać. Jego domeną były ludzkie brudy, zdrada, przekupstwo, oszustwo, a niektórzy z tych, których mu kazano obserwować, wydawali mu się ludźmi szlachetnymi, uczciwymi, przepełnionymi jakimś wewnętrznym ogniem czynienia dobra we własnym rozumieniu i własnym pojęciu. Oczywiście, trafiali się i tacy, którzy tylko czekali, aby ktoś ich kupił, i najczęściej bywali kupowani, bo mieli na sobie brud i lepkie ręce. Ale firma nakazywała dostarczanie informacji p wszystkich co aktywniejszych i Bullow chcąc nie chcąc musiał to czynić. Zapisał się do najróżniejszych towarzystw i organizacji, tego lub innego wspierał datkami, wysłuchiwał nieskończonej ilości referatów na najróżniejszych zebraniach, badał nastroje, powiązania, oceniał szansę zwalczających się grup i ugrupowań. Nudziło go to śmiertelnie, nie wymagało bowiem owej precyzji, z jaką musiał działać dawniej; nowa robota nie wiązała się z niebezpieczeństwem i ryzykiem, które ukochał. Ale wykonanie zadań zleconych przez firmę okazało się niezwykle czasochłonne - Bullow musiał się dwoić i troić. Rozumieli to w firmie i dlatego przekazali mu pieniądze i polecenie zwerbowania kilkunastu współpracowników. Kilku znalazł sam, kilku - niestety - otrzymał od Bundera, który od dawna miał ich w swoim ręku i odstąpił ich za niewielką opłatą. To był oczywisty błąd, który mu zaraz wytknęła Eryka, gdyż można handlować informacjami, ale handel ludźmi jest o wiele niebezpieczniejszy. Siłą rzeczy powstała sytuacja, że Bunder znał kilku ludzi, których także znał Bullow. Ale skąd Bullow mógł sam zdobyć tyle zaufanych osób do spełnienia zadań firmy?

Nadeszła zima i pewnego dnia zadzwonił do niego Ivo Bunder, podając hasło: "Czy to pan Feldman?" "Nie. Omyłka". Jak zwykle w tym czasie, spotykali się w parku Monsouris koło zamarzniętego o tej porze jeziora. Bullow przybył na spotkanie swoim wozem, Bunder przyjechał metrem, co trochę zdziwiło Bullowa. Zresztą powodów do zdziwienia i niepokoju wkrótce znalazło się więcej. Ivo zaproponował, aby odbyli rozmowę w mieszkaniu. Miał dwa czy trzy mieszkania w różnych dzielnicach miasta, ale pojechali tam, gdzie Bullow jeszcze nigdy nie był, to znaczy poza miasto, do willi obrosniętej glicynią. Na furtce w wysokiej ozdobnej kratownicy ogrodzenia widniała elegancka tabliczka z nazwiskiem Emanuel Krause. W malutkim ogródku stał bałwan ulepiony ze śniegu, w starym kapeluszu i z miotłą pod pachą. W tym domu musiały być jakieś dzieci, kobieta, ale chyba już spały. Ivo zaprowadził Bullowa na coś w rodzaju oszklonego i dobrze ogrzanego tarasu z egzotycznymi roślinami. Przyniósł jedzenie i trochę wina. A także papierowe teczki. Dwanaście teczek - Bullow dobrze to zapamiętał, ponieważ rozmawiając z Bullowem Ivo ciągle się nimi bawił, tasował je, przekładał jedną na drugą.

To, co mówił, było oszałamiające, a nawet, można powiedzieć, druzgocące. Bunder zdecydował wycofać się z roboty, choć sam tylekroć Bullowowi mówił, że tego nigdy nie można dokonać. To znaczy, nie dosłownie rzekł, że się wycofuje, ale tak to należało wyczytać z jego ust, z doboru słów.

- Obracaliśmy się zawsze wśród rekinów - powiedział Ivo. - I poniekąd sami byliśmy rekinami. Poznaliśmy pravidła wielkiej gry i umieliśmy grać z mocnymi partnerami. Ale

ostatnio na naszym rynku pojawiło się mnóstwo małych firm z wielkim kapitałem. Potrafiliśmy współżyć z rekinami, zapomnieliśmy jednak, że istnieją piranie. A kiedy taka pirania wczepi ci się w łydkę, możesz się jej pozbyć tylko odrywając ją od siebie wraz z kawałkiem żywego mięsa. I mnie się to właśnie przydarzyło. Moją łydkę schwyciła pirania, ponieważ byłem nieostrożny i zwracałem uwagę wyłącznie na rekiny. Raz w swoim życiu wpadłem, Bullow, ja, twój mistrz i nauczyciel. Wpadłem i musiałem zacząć pracować dla pewnej małej firmy. To się zdarza w naszym zawodzie, wiesz o tym. Każdemu to grozi, że prędzej czy później zostanie zmuszony, aby pracować także jeszcze dla jakiejś innej firmy. Rzecz w tym, że ta mała firma po prostu splajtowała i ktoś na mnie zwałił za to całą winę. Gówniarze z takich małych firm są gorsi od rekinów. Chcą mnie załatwić. Zabiją mnie, żeby na mnie potem zwalić całą winę za swoją plajtę. Nie uratujesz mnie przed nimi ani ty, ani nikt z twojej firmy. Muszę mieć bezpieczne schronienie, przynajmniej na jakiś czas, dobrych obrońców i dlatego wycofuję się z naszej współpracy.

- Pomogę ci uciec - zaproponował Bullow.

- Mają mnie wciąż na oku. Dlatego przyjechałem metrem na spotkanie z tobą, dlatego siedzimy tutaj, a nie gdzie indziej. I dlatego to ty, twoim samochodem, zawieziesz mnie za chwilę do centrum miasta.

I Bullow powinien był postąpić tak, jak nakazywała mu instrukcja i czego uczył go sam Bunder. Nie uczynił jednak nic takiego, bo lubił Ivo Bundera. Najważniejsze zaś, że mu ufał. Jeszcze mu ufał.

Nie zrobił protestującego gestu, nie powiedział też ani słowa, gdy tamten dziewięć teczek włożył do płaskiej walizeczki, a trzy zaniósł w głąb mieszkania. Potem - a zbliżał się późny zimowy świt - zawiózł Bundera do centrum miasta i tam wstąpili do małego, dopiero co otwartego bistro. Wypili po filiżance czarnej kawy i zjedli po świeżym rogaliku. To tam, w tym bistro, Bunder nagle położył mu dłoń na ramieniu i rzekł:

- Przekaż swoim, że wpakowałem się w paskudną historię i muszę wycofać się z roboty. Przekaż, że nikogo z twojej firmy nie zdradzę. Ale ja też chcę żyć, Bullow, i dlatego muszę zrobić to, co zrobię.

To powiedziawszy wziął do ręki swoją walizeczkę i opuścił bistro. Bullow ruszył za nim, ale Bunder obrócił się i rzucił mu jak zwykle żartobliwym tonem:

- Po co idziesz za mną? To niebezpieczne.

Mimo tej pogroźki Bullow poszedł za Bunderem i widział, jak tamten przekroczył kilka przecznic i wszedł do gmachu policji. W tym momencie przestał ufać Bunderowi, żadne jego słowo nie wydało mu się wiarygodne. Wskoczył do samochodu, pojechał do mieszkania przy

Square Severine, w ciągu kwadransa spakował rzeczy swoje i Eryki i pomknął na lotnisko.

Tego, co wtedy obydwójce przeżyli - nie potrafił wspominać bez uczucia wewnętrznej

męki. "Mówiłam ci, ostrzegałam" - raz tylko odezwała się Eryka. Nie mieli wizy do kraju, więc po przylocie zatrzymano ich na lotnisku. Bullow zadzwonił do firmy i zaraz po nich przyjechało dwóch ludzi.

Byli bardzo młodzi, przystojni, elegancy i grzeczni. Mówili: "Proszę usiąść wygodnie. Proszę się rozprężyć". Częstoowali papierosami. A kiedy on chciał ich poczęstować swoimi i sięgnął do kieszeni, chwycili go za ręce. "Niech pan tego nie robi przed rewizją osobistą, w przeciwnym razie założymy panu kajdanki". Bullow był pogodny, rozprężony, czuł się dobrze. Popatrzył na swoje smukłe dłonie kieszonkowca i powiedział im z uśmiechem, że jeśli wzięli ze sobą typowe kajdanki, to on im pokaże, jak się z nich uwalniać. Uśmiechnęli się i oświadczyli, że to był tylko żart, nie mają przy sobie żadnych kajdanków. Później również byli grzeczni, ale on nie stawiał się. Kazali mu się rozebrać do naga, wzięli jego rzeczy, a dali mu więzienne łańchy. Tak znalazł się w miejscu, które oni nazwali "bezpiecznym", bo nie było to oczywiście więzienie, tylko wygodny pokój z telewizorem i radiem, tapczanem, biurkiem, nawet maszyną do pisania. Ale okna miały kraty i wychodziły na zamknięty murami ogród, po którym od czasu do czasu w towarzystwie tych młodzików mógł spacerować godzinkę albo nawet dłużej. Cztery razy badali go "wykrywaczem kłamstw", potem trwały długie, wielogodzinne przesłuchania, które oni nazywali rozmowami. Pytał go jego dawny zwierzchnik, ten sam, co go po raz pierwszy wysłał w świat, i jeszcze jeden; tego Bullow nie znał. Pytania były monotonne i krążyły wokół jednego: jak to się stało, że mimo ostrzeżeń Eryki nie zorientował się, co ma zamiar uczynić Ivo Bunder. Ile teczek zabrał ze sobą Ivo Bunder, co zostawił, jakie i kogo kompromitujące dokumenty i fotografie zawierały teczki, które zabrał ze sobą na policję, a co zawierały teczki, jakie pozostawił. Co mówił tamtej nocy - dokładnie, słowo po słowie, zdanie po zdaniu. Jaki miał wyraz twarzy, co czuł wówczas Bullow i co to znaczy, że lubił Bundera. Kazano mu także wyjaśnić, czemu popadł w panikę, skoro Bunder zapewnił, że go nie zdradzi, i faktycznie (choć to ciągle jeszcze dokładnie gdzieś tam sprawdzano) nikogo z ich firmy prawdopodobnie do tej pory nie zdradził.

Jedzenie otrzymywał dobre, przez wewnętrzny telefon mógł poprosić o kawę lub herbatę, ale w drzwiach był judasz. Z faktu, że od jego powrotu tylko czterech ludzi miało z nim kontakt, wywnioskował, że zapewne wkrótce każą mu znowu wyjechać w świat. Wręczyli mu kartkę z ankietowymi pytaniami dotyczącymi spraw, z którymi się stykał, i poprosili, żeby na nie obszernie odpowiedział. Całe dnie, a nawet noce pisał na maszynie swoje sprawozdanie. Jakich miejsc - restauracji, kawiarni, bistro - należy unikać. W jakich można spotkać pederastów, w jakich lesbijki. Gdzie najłatwiej nawiązać kontakt z ludźmi z; obcych firm, jak chodzić ubranym, jakie papierosy palić, jakie hotele mają po dwa albo trzy wyjścia. Kiedy należy unikać podróży samolotem, a kiedy pociągiem lub samochodem. Po sześciu tygodniach powstała z tego cała książka, którą mu zabrali i chyba powielili: on też przed laty musiał czytać podobne sprawozdania. Ale sprawy Bundera nie potrafił do końca wyjaśnić i to rzucało ponury cień na wszystko, co mówił. Bo w jaki sposób wytłumaczyć, że się kogoś lubiło, i to utrudniało całą sprawę. Do diabła, przecież nie mógł zaprzeczyć, że własnym samochodem zawiózł Bundera niemal pod gmach policji. A skoro tak, to skąd ta straszliwa panika, nieprzytomna ucieczka, która komuś mogła się rzucić w oczy. Należało po prostu zmienić miejsce zamieszkania, ukraść komuś paszport i dalej prowadzić robotę. Błąd, oczywisty błąd w sztuce.

I to widzenie z Eryką, która mu wyznała prawdę o ich pożyciu i oświadczyła, że odchodzi do kogoś innego, kogo poznała i pokochała. "Nie chcę tam wracać" - wybuchnął potem złością podczas kolejnej rozmowy, która była przesłuchaniem. Popatrzeli na niego jak na wariata. "To przecież oczywiste, że pan już tam wrócić nie może". A jednak chyba nie mówili prawdy, ponieważ nadal tylko czterech ludzi go oglądało. Aż pewnego dnia zwrócili mu jego rzeczy, nawet pasek z krokodylej skóry z ukrytą w nim cieniutką blaszką i obcymi banknotami, każdy drobiazg wyjęty z jego kieszeni, i odwieźli go do jego mieszkania. Wręczyli mu dowód osobisty na nazwisko Józef Maryn i poprosili, aby jednak nie opuszczał swego mieszkania. Przez trzy, a właściwie cztery dni przebywał w tym mieszkaniu z Eryką, przyrządzała mu posiłki, ale nie rozmawiali ze sobą ani na temat przeszłości, ani na temat przyszłości. Nie współżyli też ze sobą, zresztą z nim się coś dziwnego stało - przestał mieć ochotę na te sprawy. Czuł się wykończony, wypalony. Czytał, spał, oglądał telewizję, spacerował po mieszkaniu w miękkich pantoflach. Na czwarty dzień przyjechali po niego samochodem, wręczyli nominację na strażnika łowieckiego, poczekali, aż się spakuje i wsiądzie do pociągu. Wówczas to dowiedział się, że istnieje jakaś wioska Mordęgi, do której musiał potem dojechać autobusem. "Dla pańskiego dobra - powiedzieli mu na pożegnanie - proszę nie przyjeżdżać do stolicy ani do żadnego większego miasta". Podali hasło kontaktowe. Ucieszył się, że skończyła się dla niego bezczynność, znajdzie się w ogromnych lasach i samotnie na koniu, będzie mógł przemierzać ścieżki i dróżki leśne. Źle się jednak stało, że zamieszkał w leśniczówce Kuleszy i musiał słuchać, jak skrzypi łóżko na górze. To wzbudziło w nim irytację, pogłębiało poczucie strachu, że stał się podobny do tego faceta, który go śledził powodowany zazdrością, ponieważ po przesłuchaniach na policji już nie mógł współżyć z posługaczką hotelową. Czy taki miał być koniec również i jego, Józefa Maryna?

...O zmroku zasunął story i zapalił światło w pokoju. Zadzwoił do centrali hotelowej i poinformował, że schodzi na kolację, więc gdyby ktoś do niego dzwonił, niech robi to za godzinę. Na moment zajrzał do sali, gdzie grała orkiestra, ale na parkiecie nikt jeszcze nie tańczył. Przy stolikach siedziały same dziewczki i było bardzo mało mężczyzn, przeważnie zresztą Arabów. Zjadł w barze na piętrze, potem jednak znowu zszedł na dół i paląc papierosa na długą chwilę zatrzymał się w korytarzu obok damskiej toalety. Pod każdą szerokością geograficzną spragniony płatnej kobiety po prostu czeka na dziewczkę w korytarzu do damskiej toalety. Dziewki latały tam bez przerwy - aby się podmalować, ale zawsze chodziło o co innego.

Minęło go kilka, zatrzymał wysoką, szczupłą blondynkę z długimi jasnymi włosami, w białej haftowanej bluzeczce i w białych szarawarach. Przypominała trochę Erykę, zaledwie przypominała, bo Eryka miała urodę niemal doskonałą, a ta przeciętną.

- Moglibyśmy spędzić parę chwil w moim pokoju - powiedział do niej po niemiecku.

Obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Nie bardzo wiedziała, co mu odpowiedzieć, gdyż wydał jej się podejrzany. Był za przystojny. Taki facet wyjdzie na ulicę przed hotel i już ma jedną z tak zwanych uczciwych dziewczyn, które lubią spacerować w pobliżu hotelu. Nie wykluczała jednak możliwości, że ten facet woli dziewczki.

- Na jak długo? - zapytała słabą niemieczynią.

- Dwie, trzy godziny... Skinęła głową.

- Powiem swojej koleżance i zaraz do pana przyjdę. Który jest pana pokój?

- Zaczekam tutaj - wzruszył ramionami.

Nie chciał podawać numeru. Przed pójściem do Maryna mogła zapytać o niego w recepcji i dowiedzieć się, że nie jest cudzoziemcem.

Skinęła głową i wróciła na salę dansingową. Miała tylko kolorową kosmetyczkę - jak każda dziwka. Żadnej torebki i dokumentów. W kosmetyczce paczka prezerwatyw, szminka do ust, ołówek do brwi, chusteczka, jakiś bezwartościowy drobiazg, zapalniczka, papierosy.

Przyszła po krótkim czasie i Maryn znowu wyczuł w niej nieufność, choć szczyrzył zęby, przywoływał na twarz beztroskie uśmiechy.

- Może najpierw czegoś się napijemy? - zaproponowała.

- To się da zrobić u mnie - odrzekł.

Gdy szli korytarzem, zapytała:

- Na długo przyjechałeś?

- To się okaże - powiedział. - A ty co? Pracujesz dla policji?

Udała obrażoną. Nie odezwała się już ani słowem, on zaś, otwierając drzwi i wpuszczając ją do pokoju, z zadowoleniem skonstatował, że nie stracił nawyków zawodowca: polskie gazety, które czytał, przed wyjściem starannie poskładał i ukrył w szufladzie biureczka. Nigdzie nie było żadnego drobiazgu, który jej lub komukolwiek innemu mógłby cokolwiek powiedzieć o człowieku mieszkającym w tym numerze.

- Chcę się czegoś napić - oświadczyła zatrzymując się na środku pokoju.

- Nie piję - ziewnął.

- Ale ja piję.

- Woda jest w kranie. A szklanka w łazience.

- Biorę z góry. Dawaj forszę - odezwała się ostro.

Maryn przestał się uśmiechać. Wtedy ruszyła do drzwi.

- Zaczekaj - powiedział i sięgnął po portfel. Wyjął z niego zwitek marek i rzucił na hotelowe biureczko.

Zawróciła, przeliczyła banknoty i chciała je schować do kosmetyczki, ale niespodziewanie przegub ręki z pieniędzmi znalazł się w silnym uścisku palców Maryna.

- Najpierw pokaż, co potrafisz.

- Dajesz za mało - stwierdziła.

Wyjął z kieszeni papierosa, podsunął paczkę w jej kierunku.

- Jeśli ci za mało, to możesz sobie pójść...

Przyjęła papierosa, poczekała, aż jej przypali. Usiadła na krzeselku przy biurku, kosmetyczkę położyła obok zwitka banknotów. Z kosmetyczki wyjęła zagraniczną prezerwatywę.

- Skąd wiesz, że lubię z gumą? - zapytał.

- Tacy jak ty lalusie zawsze chcą z gumą. Boją się zarazić. - Po raz pierwszy się uśmiechnęła. - Nie mógłbyś gadać po angielsku? Po angielsku umiem trochę lepiej.

- Nie znam angielskiego.

Rzeczywiście, po niemiecku mówiła słabo. Przeważnie bezokolicznikami, tego niemiecki też nie był bez zarzutu, ale ona się na tym i tak nie mogła poznać.

- Zaczekaj chwilę. - Poklepała Maryna po ramieniu, zgasła nie dopalonego papierosa i poszła do łazienki. Maryn czekał, aż rozległ się szum wody i chlapanie, sięgnął do kosmetyczki i z zawodowego nawyku sprawdził zawartość. Miała notesik. W innym kraju już by go jej zabrał. Ivo Bunder twierdził, że nie ma lepszej lektury niż notesiki luksusowych prostytutek. Ale ta ani nie była luksusowa, ani ten jej notes nie mógł mu się do niczego przydać.

Gdy przyszła z bielizną w rękach, on leżał nagi na kołdrze. Palił papierosa i patrzył w sufit, kurewskie majtki i biustonosz zawsze napawały go wstrętem. Dlatego nie nadawał się do tego, do czego nadawał się Ivo Bunder.

- Połóż się na brzuchu, rozrzuć włosy na plecach - rozkazał jej.

Posłusznie zrobiła, jak chciał. Miała długie, smukłe uda, małe pośladki; plecy prawie zupełnie zakryła jasnymi włosami. Pomyślał, że będzie mu przypominać Erykę, której pragnął. Ale nie odczuł w sobie ani odrobiny podniecenia.

- Wierzysz w prawdziwą miłość? - zapytał.

- No pewnie - mruknęła.

- Ale ja mam na myśli czystą miłość.

- Jak się kobieta podmyje, to jest czysta. Pomyślał, że go nie zrozumiała, bo słabo zna niemiecki.

- Chciałem powiedzieć, czy wierzysz w taką miłość, gdy kobieta idzie za mężczyzną nawet w daleki świat. Nawet wtedy, gdy nie może liczyć na to, że będzie rżnięta przez ukochanego mężczyznę.

- Nie rozumiem.

- Nie słyszałaś nigdy o tym, że kiedyś, w dawnych czasach, zsyłano ludzi na wygnanie? Za mężczyznami szły kobiety i mogły tylko ich oglądać w drodze do pracy w lesie. One pozostawały im wierne. Kochały ich.

Zapytała:

- Będziemy ze sobą gadać czy się pierdolić?

Powiedziała mu wulgarnie "reiten", co znaczyło, że już nieraz miała do czynienia z Niemcami.

Wyciągnęła rękę spod brody i sięgnęła nią po jego członka. Był wiotki, więc zaczęła go leciutko uciskać palcami.

- Nie chce ci się - stwierdziła. - To się zdarza po podróży. Zainteresowała się jego bandażem na ramieniu.

- Co ci się stało w rękę? Pies mnie ugryzł.

- Wściekły? Tak.

- To i ty się wściekniesz.

- Na pewno.

Zgasił nocną lampkę i leżeli w ciemnościach obok siebie. Odjął jej rękę od swojego członka. Denerwowały go jej niezręczne pieszczoty, nie chciał jej paluchów na swoim ciele. W tej chwili jako wyrok na siebie przyjął świadomość, że nie wróci do zawodu, bo jest zbyt znerwicowany. Kiedy się odezwie ów Robert, powie mu, że muszą mu dać jeszcze trochę czasu. Powróci do lasu, do Horsta Soboty, do Kuleszy i Weroniki. Przypomniawszy sobie, jak Budrys i Wzdrenga trzymali Weronikę, szlafrok jej się rozchylił, ona się szarpała, przyciskając łokciami duże piersi, wypinając brzuch, a potem zakrywając dłońmi czarne, gęsto owłosione łono. Wyobraził sobie, że to on rozchyła uda Weroniki, a potem patrzy w jej oszalałe z nienawiści oczy - i raptem poczuł podniecenie. Takich oczu nigdy nie miała Eryka. To dziwne, nie podobała mu się ta dziewczyna z lasu, nie pragnął jej ciała, ale chciał, żeby te jej oczy na niego, Maryna, patrzyły z takim właśnie wyrazem nienawiści. Żeby broniła się przed nim jak przed Budrysem i Wzdrengą. Żeby go odpychała, jak to się czasem zdarzało kobietom silnie przeżywającym spełnienie. Wydawało mu się, że wchodzi w Weronikę patrząc w jej

nieprzytomne oczy, i doznał silnego wzrodu członka. Kazał dziewczynie odwrócić się tyłem, bo nie chciał widzieć jej twarzy. Wszedł w nią na krótką chwilę i już leżał obok, uspokajając bijące mocno serce.

- Dobrze ci poszło - stwierdziła w ciemnościach, pieszczotliwie głaszcząc go dłonią po słabo owłosionych piersiach.

Była mu pewnie wdzięczna, że trwało to tak krótko. On też był jej wdzięczny. Tyle czasu nie miał kobiety, a jednak wszystko odbyło się jak należy. Przełamał się. Potem powróci nawyk, przyzwyczajenie, penis będzie mu znowu posłuszny.

Rozpierało go uczucie szczęścia do tego stopnia, że z drugiej strony przegródki portfela wyjął kilka dolarów i dorzucił dziwce. A potem kazał wyjść. Przeżywał swoje szczęście ostrożnie, powoli, jak smakosz znakomitą potrawę, do jakiej przywykł, ale której od dawna nie jadł.

Kilka minut po północy odezwał się telefon.

- Mówi Robert. Mam do ciebie pytanie...

- Słucham...

- Ile teczek zabrał Ivo?

Maryn zawahał się. Czy to nie była pułapka?

- Pytałeś mnie już o to wiele razy. Dwie - skłamał, bo zawsze należało kłamać, jeśli się czegoś nie było pewnym.

- Posłuchaj - powiedział tamten. - Nie mamy czasu, żeby z tobą osobiście rozmawiać. Chcemy tylko jeszcze jednego potwierdzenia tego, co mówiłeś.

- Powiedziałem to, do diabła.

- W porządku. O to chodziło. - i to wszystko?

- Tak.

Tamten odłożył słuchawkę, to samo zrobił Maryn. Zapalił papierosa i przez długą chwilę czuł, jak ogromna fala rozczarowania przepływa przez jego mózg. Lecz po chwili poczuł coś w rodzaju ulgi. A nawet coś podobnego do uczucia radości. Był rad, że - znowu zobaczy Horsta Sobotę i poczuje zapach potu swojej izabelowatej klaczy. I że ujrzy las.

Rankiem wyjechał na północ. W pociągu był tłok i tylko dzięki temu, że nie miał żadnych bagaży, udało mu się dostać miejsce w przedziale, i do tego przy oknie. Kiedy po godzinie pociąg wjechał na jakiś czas W lasy, Marynowi zrobiło się przyjemnie, że chyba tylko on jeden w całym pociągu wie, co to jest las i jaką ma ogromną moc. To prawda, że istnieli na świecie

ludzie w rodzaju Ivo Bundera albo Bullowa i ich niebezpieczne sprawy, ale niezależnie od nich żył także las ze swoim odwiecznym szumem i, jak mówili panteiści, częścią boskości. Albo - jak twierdził Horst - częścią mocy szatańskich.

Jeszcze tego wieczoru Józef Maryn podyktował Horstowi Sobocie długi list do Okręgowego Zarządu Lasów w sprawie zniszczenia cmentarza na półwyspie Wilczy Róg oraz profanacji ludzkich szczątków.

- To praworządny kraj - wytłumaczył Horstowi. - Cokolwiek by się o tym kraju powiedziało, panują tu jakieś prawa i przepisy. I ktoś tego pilnuje, Horst. Ten, co zrobił źle, zostanie ukarany. Wystarczy twoje pismo. Ja w tej sprawie nie jestem potrzebny.

Wierzył w to, co mówił, a Horst Sobota - choć napisał ów list - dziwił się, że nawet taki człowiek jak Józef Maryn, podobnie jak dawniej Weronika, nie pojął jeszcze, czym jest las i jak odbiera ludziom duszę.

- Dobrze, że wróciłeś, Józwa - powtarzał potem Sobota, niemal z czułością patrząc na Maryna. - Dobrze, że wróciłeś, bo przy tobie czuje się mocniejszy. Zmokłem, gdy wracałem z Wilczego Rogu, i przez całą dobę miałem gorączkę. Ale teraz już wszystko będzie dobrze. Wkrótce kupię i sprowadzę tutaj dzikiego psa. Takiego jak chciałeś, Józwa. Psa na leśnych ludzi.

- To dobrze, Horst - uśmiechnął się po swojemu Józef Maryn i zjadł kolację, którą przygotowała dla niego Weronika.

Nie spotkał jej jednak ani tego, ani następnego dnia. Potrafiła w jakiś sposób niewidzialny dla niego przygotowywać posiłki. Słyszał tylko terkot maszyny do szycia z pokoju na piętrze.

I wsłuchany w ten terkot - leżąc na swoim łóżku w pokoju na dole - Maryn doszedł do wniosku, że Ivo Bunder już nie żyje. W tej właśnie sprawie wezwała go firma, ale ktoś w ostatniej chwili zdecydował, żeby mu nie przekazywać tej informacji. Jak długo policja może chronić życie człowieka, którego ktoś chce naprawdę zabić, aby ukryć przed zwierzchnikami własną nieudolność? Nie można było odejść z ich zawodu - tak sobie, z dnia na dzień, nawet jeśli szło się pod ochronę policji. To był przecież zawód już na całe życie - dlatego nigdy nie mogła się opłacać zdrada, nawet gdy się zdradzało tylko jedną firmę, a inne pozostawiało w spokoju. Nie istniało też takie miejsce na ziemi, gdzie człowiek, który zdradził, mógł się poczuć bezpiecznie, jeśli nie wyraziła na to zgody jego firma albo wszystkie firmy, dla których pracował. Józef Maryn nigdy nie słyszał o takiej zgodzie, choć teoretycznie bywała taka możliwość, jeśli człowiek stał się bezużyteczny. Bunder jednak brał pieniądze od wielu firm. Mógł się więc Maryn jedynie zastanawiać, gdzie zabito Bundera - w którymś z jego wielu mieszkań, na lotnisku, w knajpie, jakimś motelu? Mógł też sam siebie zapytywać, czy w ogóle odnaleziono jego zwłoki.

Rozdział szósty

“Jestem szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy” - powtarzał w myślach leśniczy Karol Stęborek i zmęczonymi od niewyspania oczami obserwował nadleśniczego Masłochę, który z powodu deszczu ubrany w zieloną pelerynę i wysokie gumowe buty, w tę i z powrotem maszerował po trzyletniej uprawie.

Te same słowa jak zakłęcie mówił sobie Stęborek niemal przez całą noc i dlatego nie mógł zasnąć. Za oknem huczał las, przy nagim ramieniu czuł ciepły oddech swojej żony Malwiny; ich dwuletnie dziecko w małym łóżeczku postawionym o wyciągnięcie ręki od ich tapczanu od czasu do czasu cichutko mlaskało przez sen; głośno sapał pies śpiący pod stołem - wszystko zdało się kołysać do snu. Ale on nie mógł zasnąć, bo gnębiła go myśl, że nie jest szczęśliwy. Wmawiał więc sobie szczęście, gdyż - jak to już przekonał się wielokrotnie - przez nieustanne powtarzanie jakiegoś słowa tworzyła się jak gdyby nowa rzeczywistość, w której odnajdywał się jako człowiek szczęśliwy. Tylko że to szło niekiedy opornie. Dopiero nad ranem poczuł się szczęśliwy i zasnął, ale zaraz zadzwonił budzik, musiał wstawać, zrobić żonie i sobie śniadanie, nakarmić dziecko, a potem dopiero wyruszyć do lasu swoim starym motocyklem firmy “Harley Davidson”. Na uprawie w oddziale 35 był umówiony z nadleśniczym. Nie spodziewał się niczego dobrego po tym spotkaniu i dlatego zakłębciem “Jestem szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy” usiłował się odgrodzić od przykrej rzeczywistości.

Skąd się w nim wzięło to posługiwanie się owym zakłębciem? Kiedy odkrył jego skuteczność?

Nie chciał rozumieć siebie aż tak bardzo, bo to znaczyło wejść we własne wspomnienia, grzebać się w czymś, co nie mogło być przyjemne, a już na pewno wykluczało poczucie szczęścia. Człowiek, jeśli chciał wmówić sobie, że jest szczęśliwy, nie powinien za dużo myśleć o sobie i o innych, zaglądać pod powierzchnię zjawisk, ale jedynie zadowalać się ich przyjemną dla oka zewnętrznnością. Jeszcze ważniejsze było, aby dostrzegać cudze nieszczęście.

W dzieciństwie jego matka wzięła go kiedyś na wizytę do znajomych, gdzie w łóżku leżał chłopiec w jego wieku i umierał na jakąś chorobę. Podługowata twarz małego Stęborka wydłużyła się jeszcze bardziej, ukazał się na niej wyraz smutku, a nawet łzy (nie wiedział, skąd się w nim wzięła ta skłonność do ciągłego udawania kogoś przed sobą i innymi), w głębi duszy jednak poczuł w sobie dziwną radość. Chłopiec miał spoconą od choroby twarz, zamglone od cierpienia oczy. Karol Stęborek czuł się zdrowo i nic go nie bolało. W drodze do domu pomyślał, że chłopiec umrze, a on, Karol, będzie żył. I wtedy poczuł się naprawdę szczęśliwy. Przestały istnieć dla niego troski, jakie go jeszcze do niedawna trapiły - fakt, że starsza siostra dostała od matki rower, a on nic nie otrzymał, młodszy brat był ładniejszy od niego (tak twierdziła babka), bo najważniejsze mu się zdało, że będzie żył, gdy tamten chłopiec umrze.

Potem kilkakrotnie zdawało mu się przeżywać podobne stany, doznawać poczucia szczęścia. I zawsze następowało to, gdy ktoś obok niego był nieszczęśliwy. Z czasem przestał nawet rozumieć, jak można osiągać własne szczęście bez porównania siebie z kimś innym, kto

się wydawał nieszczęśliwy. Dlatego ilekroć chciał odnaleźć w sobie poczucie szczęścia, tylekroć komuś z najbliższego otoczenia życzył nieszczęścia albo wyszukiwał osobnika nieszczęśliwego i napawał się jego troskami. Przy takim człowieku czuł się dobrze, mógł bowiem sobie powtarzać: „jestem szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy”. A nawet chwycił się niekiedy na tym, że gdy, na przykład, widział kogoś znajomego w samochodzie (sam bardzo chciał mieć samochód), bezwiednie życzył mu, aby się rozbił na najbliższym skrzyżowaniu. Nie chodziło mu o to, aby właśnie temu konkretnemu człowiekowi zdarzyło się coś złego (bywało, że kogoś lubił i wcale nie pragnął jego krzywdy), ale o to, aby przez porównanie siebie z nim - poczuć w sobie szczęście.

Raz odkrywszy tajemną drogę dochodzenia do szczęścia, nigdy już z niej zejść nie usiłował, choć od czasu do czasu potępiał się za swoje myśli i skryte życzenia. Gdy widział kolegę z ładną dziewczyną (nigdy jakoś sam nie nawiązał znajomości z ładną dziewczyną), bezwiednie pragnął, aby ten kolega złamał nogę, wpadł pod tramwaj, zachorował. Zarazem jednak nie chciał, aby te życzenia się spełniły, bo uważał za coś niemoralnego życzyć komuś nieszczęścia. Pewnego razu na wspólnej wycieczce rowerowej kolega, który miał lepsze od niego stopnie w szkole i zamożniejszych rodziców, przewrócił się i złamał nogę. Wówczas Karol Stęborek zrezygnował z wycieczki, pomagał kolegę odtransportować do szpitala, siedział przy jego łóżku, a nawet nocował pod szpitalem, co wszyscy uznali za przejaw jego niezwyklej koleżeńskości. A przecież przez ten cały czas, nawet kiedy nocował pod szpitalem, Stęborek miał w sobie uczucie szczęścia, że to nie on złamał nogę, tylko tamten. Nikt, rzecz jasna, nie wnikał aż tak głęboko w pokrętne uczucia Stęborka, toteż miał on w swoim otoczeniu opinię osobnika przyjacielskiego, gotowego w każdej chwili pośpieszyć z pomocą, poświęcić swój czas dla cudzych kłopotów. Tymczasem on po prostu musiał się żywić cudzymi kłopotami i cudzymi nieszczęściami, aby potem, przez porównanie z sobą, odkrywać, że jest szczęśliwy. Niestety, takich chwil było mało, zbyt mało, aby Stęborek mógł nieustannie przeżywać swoje szczęścia. Można rzec, zdarzało się nawet odwrotnie; koledzy z otoczenia Stęborka jakoś łatwiej zdobywali to, co chciał zdobyć Stęborek, życie ich przebiegało ciekawiej i ładniej, co utrudniało mu osiągnięcie upragnionego stanu ducha. Stęborek wiedział, że czasem można dopomóc losowi, to znaczy spowodować, aby ktoś stał się nieszczęśliwy, i wówczas przeżywać własne szczęście, ale wydawało mu się to czymś strasznym, głęboko niemoralnym. Co innego bowiem skrycie życzyć komuś kłopotów i trosk (skoro i tak podobne życzenia nie spełniały się), a co innego sprowadzać na kogoś kłopoty i troski. Nie, Karol Stęborek przez długi czas do takich czynków nie był zdolny.

Zamierzał iść do szkoły aktorskiej, lecz zrezygnował. Aktorzy, których oglądał w teatrze lub telewizji, musieli bardzo często grać role ludzi nieszczęśliwych, a jemu już sama myśl o czymś takim wydawała się okropna. Kiedyś podczas wakacji i wspólnej z przyjaciółmi wycieczki znalazł się sam w lesie, z dala od innych ludzi. Usiadł na pieńku i zaczął się nad sobą zastanawiać, gdyż wkrótce czekał go wybór drogi życiowej. „Jestem szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy” - zaczął sobie mówić i odkrył, że to mu sprawia przyjemność, a nawet w jakiś sposób czyni szczęśliwym. Dookoła nie było ludzi, tylko las, nie musiał, a nawet nie mógł się z nikim porównywać, co powodowało, że przez krótką chwilę, aż do spotkania grona przyjaciół, mógł w sobie nosić poczucie szczęścia, którym się sam wypełnił. Tak odkrył, że była jeszcze inna droga do szczęścia niż ta przez porównywanie się z człowiekiem nieszczęśliwym. Droga

izolacji od ludzi i powtarzania tajemnego zaklęcia o własnej szczęśliwości. Tego wieczoru Karol Stęborek oświadczył swoim przyjaciołom, że zostanie leśnikiem.

Od tamtej chwili minęło wiele lat, w różnych lasach przebywał Stęborek, ale tego był pewien: tylko w lesie, z dala od ludzi mógł sobie wmówić, że jest szczęśliwy. Całą noc próbował to zrobić w domu, przeszkadzała mu jednak w tym obecność innych istot ludzkich - nawet szmer oddechu żony Malwiny, nawet mlaskanie śpiącego dziecka. Albowiem dwie tylko drogi widział Stęborek do wspięcia się na sam szczyt zadowolenia duchowego: obserwowanie nieszczęścia innych albo też powtarzanie w samotności zaklęcia o własnym szczęściu. Teraz zaś przeszkodą na jednej z tych dróg był nadleśniczy Masłocha, który mimo deszczu i mokrej trawy nieustannie krążył po całej uprawie.

...Wiosenny deszcz mżył drobno i powoli, było ciepło i powietrze miało w sobie coś miękkiego. Stęborek mógłby przez wiele godzin stać tak na skraju uprawy i czekać, aż zaklęcie, które wypowiadał, nabierze mocy. Czekąco go dziś spotkanie z Kozusznikiem i Łuką, chciał w tej rozmowie odegrać główną rolę, wymóc na nich posłuszeństwo wobec swoich planów. Lubił bowiem, kiedy go słuchano, brano za wzór, naśladowano, gdyż to także od czasu do czasu dawało mu przekonanie, że musi być szczęśliwy, skoro inni mają go za coś lepszego.

Masłocha wreszcie podszedł do Stęborka i lekkim ruchem głowy strącając z metalowego obrzeża czapki krople wody oświadczył cierpko: - To naprawdę bardzo dziwne, że leśniczy Kondradt potrafi zasadzić byle gdzie zwykłą gałąź i zaraz z niej drzewo wyrasta. A u pana, panie Stęborek, ciągle są ogromne wypadki. Już za późno, żeby sadzić nowe sosny, zresztą wszystkich ludzi mam zajętych na plantacji. Trzeba będzie z tym poczekać do przyszłego roku. Ale to bardzo dziwne, że na tej uprawie jest aż tyle wypadków. Może pana las nie lubi?

Stęborek wzruszył ramionami.

- Co to znaczy, panie nadleśniczy, że las kogoś nie lubi. Pan wie, że to nic nie znaczy. Nie uprawiam guseł, tylko pracuję wedle nauk, które otrzymałem na wyższej uczelni.

- Ma pan niespodziewanie dużo wypadków każdego roku - powtórzył z naciskiem Masłocha.

- Zrąb był odpowiednio przygotowany, sadzonki właściwe, robotę wykonali ludzie przeszkoleni.

- W pierwszym roku połowa sadzonek uschła - przerwał mu Masłocha. - W następnym pan trochę dosadził i znowu połowa wypadła. A w trzecim roku powtórzyło się to samo. U Kondradta nie było ani jednego wypadku na pięciu hektarach uprawy. Ani jednego - powtórzył z naciskiem.

- Tak czasem bywa - znowu wzruszył ramionami Stęborek.

- No właśnie - przytaknął uprzejmie Masłocha. - Ale dlaczego tak bywa? Stary Kondradt twierdzi, że jeśli na zrębie podczas sadzenia młodego lasu nie wydupczy się dziewczyny, to

będzie dużo wypadów.

Stęborek zachnął się. Obrzydliwa była dla niego myśl, aby on, Stęborek, mógł dupczyć dziewczynę wiejską, gdy miał żonę Malwinę.

- To są zabobony.

- Tak, tak - zgodził się z nim nadleśniczy. - Jesteśmy obydwaj wykształconymi ludźmi i w zabobony nie wierzymy. A jednak stary Kondradt, ponieważ jest już stary i dupczyć nie może, kazał podleśniczemu, żeby to zrobił za niego. I ani jednego wypadu, panie Stęborek.

- Pan sobie ze mnie żartuje...

- Oczywiście, że żartuję - kiwnął głową nadleśniczy, znowu strącając z daszka krople deszczu. - Ale u niego nie ma wypadów, a u pana jest ich za wiele. Dlaczego?

- Tego nie wiem. Gleba została należycie przygotowana. Zrobiliśmy talerze dla modrzewi i zaraz zostały opaliskowane. Potem dwukrotnie wykaszaliśmy trawę...

- Przede wszystkim wypadły modrzewie - burknął Masłocha.

- Czytałem w jakiejś książce, że kiedyś gdy chłop chciał mieć dobry urodzaj na polu, to zaraz po sianiu lub sadzeniu szedł wieczorem na pole z żoną i tam ją dupczył.

- Co takiego? - oburzył się leśniczy. - Jak to rozumieć? Mam wziąć swoją żonę i iść z nią nocą na uprawę? Moja żona ma wprawdzie tylko maturę, ale jest kobietą kulturalną. A ja jestem po wyższych studiach i mam taki sam tytuł inżyniera jak pan, panie nadleśniczy. Dupczeniem, jak to się pan wyraża, nie załatwi się spraw sadzenia lasu.

- A czy ja coś takiego powiedziałem? Oczywiście, że w żadne zabobony nikt z nas nie wierzy. I naprawdę jestem daleki od tego, aby pana i pańską żonę namawiać do dupczenia w lesie. Jednak muszę stwierdzić, że ma pan za dużo wypadów. Co powiemy inspektorowi z Okręgowego Zarządu? Jemu nie wystarczy wyjaśnić: po prostu są wypadu, tak czasem bywa.

- Robiliśmy, co było w naszej mocy...

- To go też nie zadowoli.

- Może mu pan powiedzieć, że las nie lubi Stęborka.

- Po co mu mam to mówić? On sam się tego domyśli. To człowiek, który ma doświadczenie.

Stęborek już zapomniał, że przed chwilą chciał być szczęśliwy. Dusił go gniew na nadleśniczego, irytowała go bezsensowna rozmowa i poczucie bezradności. Faktem było bowiem, że na każdej jego uprawie przytrafiała się ogromna ilość wypadów, gdy w innych leśnictwach wypadów było o wiele mniej, a niekiedy nawet prawie wcale.

- Pan wie, panie nadleśniczy, że od czterech lat mieszkam w zagrzybionym domu. Okna są w nim tak spróchniałe, że palec można wbić w futrynę i przejść na drugą stronę...

- Nie mamy mocy przerobowych na remonty.

- Słyszałem, że leśniczy Kulesza złożył podanie o przeniesienie. Nie chce tutaj dłużej mieszkać, gdy odeszła od niego żona i czuje się ośmieszony. Zostanie po nim piękna i duża leśniczówka.

- Ona należy do plantacji. - Ja mogę wziąć plantację.

- Pan? Żeby się ta plantacja zmarnowała? - zdumiał się Masłocha. - To jest za drogi interes. W Zarządzie Okręgowym powiedzą, że dałem plantację człowiekowi, którego las nie lubi.

- Nikt nie ma prawa wygłaszać takich sądów. I nie wierzę, żeby ktoś w Okręgowym Zarządzie wierzył w głupie zabobony.

- Głośno nikt tak nie powie. Ale pomyślą - westchnął Masłocha.

- Bo przecież ma pan dużo wypadów.

- I to dlatego, że las mnie nie lubi - ironicznie stwierdził Stęborek.

- Takie gadanie przypomina mi to, co głądzi Horst Sobota. Las, panie nadleśniczy, nie jest żywą istotą, która kogoś lubi, a kogoś nie lubi. Tylko Sobocie wydaje się co innego. Opowiada o złych leśnych ludziach i o tym, że las chce mu zabrać dom...

- A nie jest tak? - zapytał Masłocha. - Przecież chcemy jego domu. Właśnie dla pana, panie Stęborek.

- To nie ma nic wspólnego z tym, że las kogoś lubi lub nie lubi.

- Oczywiście jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Ale prawdą jest, że chcemy domu Horsta Soboty, a pan ma dużo wypadów. Za dużo, panie Stęborek. Kulesza zaś nie wiadomo, czy odejdzie. Namawiam go, aby pozostał. Dobrze się zapowiadał. Mógł być z niego świetny leśniczy.

- Skąd pan wie?

- Przecież to oczywiste. Zabrał dziewczynę Horstowi Sobocie, aż stary podobno z tego zmartwienia o mało nie umarł. Potem, jak słyszałem, kazał Wzdredze i Tarchońskiemu, żeby mu żonę przytrzymali, bo mu nie chciała dawać. Las takich lubi.

Stęborek aż się wzdrygnął. Nie wyobrażał sobie, aby on kiedykolwiek mógł postąpić w podobny sposób ze swoją żoną Malwiną, istotą kruchą i przelęknioną. Ale jednocześnie doznał uczucia ulgi, a nawet, jak wydawało mu się przez chwilę, ogarnęło go szczęście. Byli z

Malwiną na ślubie Kuleszy. Wtedy dokładnie przypatrzył się Weronice i niemal boleśnie odezwało się w nim pożądanie. W głębi duszy zawsze pragnął kobiety dużej i silnej, o szerokich plecach i wypukłych pośladkach, pełnych piersiach i mocno osadzonej głowie. Pragnął takiej - lecz podświadomie, nie wiadomo czemu - bał się. Być może zbyt często słyszał od kolegów w liceum i potem na studiach o niezwykłych wymaganiach, jakie podobne kobiety stawiały mężczyźnie. Miał naturę władczą, a taka kobieta być może chciałaby mu narzucić swoją wolę. Dlatego poszukiwał istoty kruchej, zalęknionej, żeby go mogła podziwiać. Wydawało mu się, że tylko kobieta nieustannie uzależniona od niego może być wierna i dobra. I nie omylił się - o czym pomyślał w tej chwili z największą satysfakcją. Weronika okazała swoją wolę, nie chciała dawać Kuleszy, więc wziął ją siłą na oczach obcych ludzi. I znowu okazała swoją wolę, odchodząc od Kuleszy. Od niego nigdy nie odejdzie Malwina, ponieważ boi się nie tylko wyjść sama do sklepu, lecz nawet za ogrodzenie podwórka. Zresztą dokąd by poszła, kto by ją przyjął, kto by ją zechciał - taką kruchą i do niczego nieprzydatną? Wielu się dziwiło, że w ogóle potrafiła urodzić dziecko, skoro wysiłkiem ponad miarę było dla niej wykopanie trzech krzaków ziemniaków w ogródku i zrobienie obiadu. Taka Weronika miała w sobie ogromną siłę i duże, ponętne ciało. Zazdrościł Kuleszy podobnej kobiety i w noc po ślubie, leżąc obok Malwiny, nie mógł powściągnąć wyobraźni, przedstawiając sobie, jak Kulesza pochyła się nad wspaniałym ciałem Weroniki. Teraz jednak był szczęśliwy, bo to się źle skończyło. Z Kuleszy śmieją się leśni ludzie, a on Stęborek spokojnie żyje nadal obok Malwiny i może każdemu powiedzieć, że jest szczęśliwy.

Masłocha głośno westchnął i odechciało mu się dalszej rozmowy ze Stęborkiem, którego uważał za głupca. Miał ochotę zejść z uprawy, wsiąść w samochód i pojechać do którejś leśniczówki. A tam napić się herbaty z sokiem malinowym, zapalić papierosa, popatrzeć na czyjąś dużą i tęgą żonę, powiedzieć dowcip i zobaczyć, jak takiej kobiecie drży od śmiechu duży brzuch i duże piersi. Człowiek, który rozumiał las i chciał na zawsze pozostać w lesie, powinien brać sobie za żonę kobietę podobną do Weroniki. W domu leśniczego powinno być ciepło i przy buchającym gorącym piecu przyjemność winien sprawiać widok krzątającej się dużej kobiety. Leśnik musi mieć się gdzie ogrzać, dom to przecież jedyna jego ucieczka przed nieustannym chłodem i wilgocią lasu. Inaczej się czuje człowiek, który wstaje wcześniej rano z ciepłego łóżka, wychodzi z rozgrzanych ramion kobiety i potem znajduje w sobie ciepło na cały chłodny dzień - niż taki, który ma za żonę jakąś tam Malwinę, pokrzywioną, pokraczną, wiecznie czymś przestraszoną. I do tego zmusza go ona, aby robił śniadania i kolacje, zmywał po obiedzie. Nic dziwnego, że Stęborek ciągle ucieka z lasu do domu. Musi się opiekować Malwiną i dzieckiem. Stęborek nawet sobie nie wyobraża, jaka to przyjemność wziąć rozłożystą kobietę i wleźć na nią na zrębie wczesną wiosną. Czy potem uprawa jest lepsza, więcej się drzew przyjmie i mniej jest wypadów? Na takie pytanie trudno jest jednoznacznie odpowiedzieć, nauka na ten temat milczy. Gdyby zaś się wypowiedała, to znaczyłoby, że wszystkie tajemnice lasu można było zamknąć w książkach, Stęborek byłby nadleśniczym, a nie Masłocha. A tak - to Masłocha jeszcze długo pozostanie nadleśniczym, a Stęborek ucieknie wkrótce z lasu jak tyłu innych. Na klimaks leśny składają się nie tylko drzewa i krzewy, grzybki i bakterie, ale także i ludzie. Na przykład w listopadzie zmrok zapada o trzeciej i ciemność ogarnia człowieka do późnych godzin porannych. Jak żyć w oddalonej od innych domów leśniczówce, jeśli nie ma się w mieszkaniu buchającego żarem pieca i tęgiej kobiety pod ręką? Stęborek jest głupcem, bo tego nie wie. Masłocha, kiedy przyjmował do pracy Stęborka i

zobaczył potem jego żonę Malwinę, od razu przeczuwał, że Stęborkowi nie uda się żadna uprawa, będzie złym leśniczym i po kilku latach ucieknie z lasu. Ale kazali przyjmować młodych inżynierów, więc co było robić? I nawet nie sposób jasno postawić sprawy przed takim Stęborkiem, powiedzieć wprost: las rządzi się swoimi prawami i trzeba się tym prawom podporządkować. W ciągu roku więcej jest dni deszczowych, pochmurnych i mroźnych. A każdego dnia trzeba być w lesie, i to przez parę godzin. Dobry leśniczy powinien często chodzić do lasu. O świcie i o zmroku, a czasem nawet i po zmroku. W domu zaś czeka na niego ciepły piec i ciepła kobieta, a także ciepła pierzyna. A nie jak Stęborek - o czym mu ciągle ludzie donosili - korzystać z każdej okazji, aby wsiąść na swojego harleya i umknąć z lasu do domu, po drodze zrobić w sklepie zakupy, ponieważ jego żona Malwina lęka się pójść do sklepu. Stęborek musi rozpaść w piecach, a gdy zmrok zapadnie - Malwina nie pozwala mu wyjść do lasu, gdyż boi się pozostawić sama w domu. Czemu taki człowiek został leśnikiem? Dlaczego ci młodzi inżynierowie nie rozumieją, że las to nie fabryka, nie wystarcza zrozumieć i pilnować określonych procesów technologicznych, a wszystko się produkuje jak należy. Las musi być przedłużeniem domu tak dla leśniczego, jak i dla jego rodziny. Nie można stawiać bariery strachu z powodu zalęknionej żony. Kulesza dobrze się zapowiadał, właściwą sobie wziął żonę i wszystko robił jak trzeba. Tylko że mu nie wyszło. Po prostu nie udało się. Prawdopodobnie było tak, jak to gadają drwale, że nie potrafił swojej żonie wygodnie, więc przestała mu dawać, a potem od niego odeszła.

- A jednak, panie Stęborek - zaczął znowu Masłocha, przełamując w sobie niechęć do dalszej rozmowy z leśniczym - są tacy ludzie, u których w domu rośnie pełno kwiatów i roślin. Inny zaś człowiek kupi doniczkę z rośliną i ona zaraz więdnie.

- To prawda - zgodził się Stęborek. - U mnie też nic nie chce rosnąć w domu. A u pana?

- Ja żadnych roślin doniczkowych w domu nie trzymam - oświadczył Masłocha. - Powiadają, że z takimi roślinami trzeba rozmawiać, śpiewać im, grać na skrzypcach...

- I pan, panie nadleśniczy, sądzi, że ja powinienem nauczyć się grać na skrzypcach? A potem przychodzić na uprawę i rzępolić modrzewiom?

- Nic takiego nie powiedziałem. Ale każdy może zobaczyć, że u pana jest więcej wypadów niż u innych. I za te wypadki każę pana obciążyć finansowo.

- W porządku - zacisnął usta Stęborek. - Ale pan mi obiecał suchy i ładny dom na leśniczówkę. Powiedział pan do mnie: dostanie pan dom po Horście Sobocie.

- Tak. Nie mogę go jednak zamordować, żeby pan miał po nim dom. A on nie chce umierać, panie Stęborek. I sprzedać domu też się nie zgadza.

- Po jego śmierci weźmie dom Weronika.

- Złamała jego prawo i wyszła za mąż za leśnika. Stary ją wydziedziczył. Zresztą z nią potrafimy się dogadać. Na pewno nie będzie chciała mieszkać koło lasu, gdzie ją dwa razy zgwałcono.

- Świnie, nie ludzie - splunął z obrzydzeniem Stęborek.

- A tak, tak - przytaknął Masłocha. - Świętej pamięci Izajasz Rzepa często mawiał, że las jest tylko dla ludzi złych. Ich przygarnia i ich lubi. W lesie działa prawo silniejszego.

- No, taki leśniczy Kondradt jest poczciwym człowiekiem. Jakoś jego osoba nie pasuje do teorii owego Rzepy.

- Co pan wie p Kondradcie? Teraz pan go ocenia, gdy jest stary? Trzeba go było widzieć za dawnych czasów. Różne dziwne sprawy są z nim związane, jak choćby morderstwo. Rok przesiedział w areszcie śledczym, podejrzany o zabicie swego przyjaciela, który romansował z jego żoną. W końcu tak wyszło, że tamten sam się zastrzelił ze strzelby Kondradta. On mu tę strzelbę jakoby pożyczył.

- A pana, panie nadleśniczy, czy las polubił? - spytał uszczypliwie Stęborek. - I jest pan złym człowiekiem? Masłocha roześmiał się szczerze, głośno.

- Czy mnie ktoś rozlicza z tego, jaki jestem: dobry czy zły? Albo czy mnie las lubi? Mnie nawet ludzie z lasu nie muszą lubić. Ja, panie Stęborek, jestem zobowiązany wykonywać plan: na drewno czekają statki, kopalnie, fabryki papieru i mebli. Dostaję po głowie, jeśli las nie ma odpowiedniego przyrostu. Niestety, nie wiem, jak zmusić las, żeby szybciej rósł. I pan tego też nie wie. I minister nie ma pojęcia, jak tego dokonać. Las w jednym roku ma większe przyrosty, a w innym mniejsze, i nie wiadomo, dlaczego tak się dzieje. Słyszał pan, jakie ostatnio rzucono hasło: każdy leśnik zostawia po sobie zielony pomnik. A jaki pomnik po panu zostanie? Pustynia, panie Stęborek. Po prostu pustynia.

I w tym momencie nadleśniczy Masłocha popatrzył na Stęborka z taką wzdargą, że tamten odczuł to jak policzek. Nie pojmował Stęborek, że takie pojęcia jak dobro lub zło nie miały dla Masłochy żadnego znaczenia wobec spraw lasu, wobec konieczności wykonywania planu zrębów i zalesień. O pięć lat Masłocha był młodszy niż Stęborek, gdy w jego leśniczówce zjechało się pięciu leśniczych, aby zorganizować coś w rodzaju spisku przeciw poprzedniemu nadleśniczemu. Nazajutrz Masłocha pojechał do Okręgowego Zarządu i w poufnej rozmowie z dyrektorem zdradził swych kolegów i wyjawiał spisek, czym dał do zrozumienia, że poznał istotę władzy. Nadleśniczego odwołano, Masłocha został nadleśniczym, a potem w ciągu trzech lat pozbył się kolegów spiskowców przy pomocy nasyłanego na nich prokuratora albo proponując honorowe przeniesienia w inne strony. Na swego zastępcę wziął niewykształconego Wojtczaka i odtąd przedmiotem jego szczególnej troski stało się, aby w żadnej leśniczówce nie zjeżdżali się leśnicy, ale byli ze sobą wciąż poróżnieni. W tym celu w każdym kwartale wyróżniał jednego leśnika, a innych ganił, potem zaś wyróżniał drugiego, a pozostałych ganił. Lubił zaś jedynie starego Kondradta, ponieważ on już był, podobnie jak Wojtczak, na krótko przed emeryturą. Miał także stosunkowo młodą żonę - tęgą i wesołą. Masłocha też ożenił się z kobietą tęgą i wesołą, lecz po pierwszym dziecku wyschła jak wiór. W leśniczówce Kondradta ogrzewał więc swoje serce, zostawał na obiedzie lub kolacji, opowiadał dowcipy i z przyjemnością patrzył, jak od śmiechu trzęsą się duże piersi Kondradtowej i jej duży brzuch. Na żonę Stęborka, Malwinę, nie potrafił patrzeć bez wstrętu, ponieważ przypominała mu szkodnika leśnego, łasicę.

- Pan mi obiecał dom po Horście Sobocie - odezwał się znowu Stęborek, który wciąż doznawał uczucia, że został spoliczkowany.

- Tak. Obiecałem - skinął głową Masłocha i spojrzał na Stęborka z politowaniem, co tamten odczuł jako drugi policzek.

W ten sposób Masłocha ostatecznie uznał Stęborka po prostu za głupca. Przez tyle lat kręcił się po lesie, a jeszcze nie pojął, że słowa, przyrzeczenia i obietnice nic tutaj nie znaczą. W lesie można krzyczeć do utraty tchu, aż do zachrypnięcia, a głos ludzki i wykrzykiwane słowa tylko odbijają się o pnie drzew. W lesie nawet echo brzmi inaczej niż na przykład w górach, jest wyciszone i jak gdyby odrobinę wygłuszone przez gałęzie drzew i krzaki. Dlaczego nie zauważył Stęborek, że on, nadleśniczy, bardzo chętnie przyjmuje każdego w swoim gabinecie, cierpliwie słucha rozmaitych skarg, które następnie zapisuje na pudełku od papierosów. A potem - gdy papierosy się kończą - pudełko wyrzuca do kosza. Kiedy zaś ktoś go pyta, co się stało z jego skargą lub propozycją, wyraża zdumienie, że taką propozycję lub skargę przed nim złożono. Czy można jednak postępować inaczej, gdy wiele spraw ludzkich jest związanych bezpośrednio z lasem, a las nie daje się tak łatwo podporządkować człowiekowi, rządzi się własnymi prawami i zachciankami, ot, choćby nie chce rosnać w leśnictwie Stęborka. Dlaczego to obietnice Masłochy mają być obowiązujące, skoro Stęborek nie może się zobowiązać, że od dziś na jego uprawach nie będzie już wypadów?

- Tak. Obiecałem - powtórzył niedbale i przyłożywszy dłoń do daszka leśnej czapki poszedł do samochodu, który stał na drodze, w starodrzewie sosnowym. A leśniczy Stęborek poczekał, aż do jego uszu dojdzie warkot zapuszczanego silnika, potem uruchomił harleya i sobie tylko znanymi ścieżkami leśnymi pojechał prosto do swojej leśniczówki, choć zazwyczaj robił zupełnie inaczej.

Tak, owo słowo "inaczej" - już chyba na zawsze - oddzieliło go od innych ludzi w tej okolicy, narażało na śmiech i drwiny, sprawiało, że został wzgardą i politowaniem spoliczkowany przez nadleśniczego Masłochę. Być może, gdyby żył jeszcze leśniczy Izajasz Rzepa, od niego dowiedziałby się Stęborek, że przez owo "inaczej" - także las go nie lubił i usychał na uprawach zakładanych przez Stęborka. Nikt bowiem nie chce być lekceważony, najbardziej zaś wielki las.

Uciekał z lasu Stęborek, kiedy tylko mógł i kiedy się tylko dało. Najpierw śpieszył do sklepu w osadzie leśnej i ponad głowami stojących w kolejce kobiet, wołał: "Ja tylko chlebek". Zawsze jednak chciał kupić więcej, co budziło gniew kobiet, ponieważ Stęborek miał w domu młodą nie pracującą żonę, która mogła - choćby z dzieckiem w wózku, jak inne - przyjść do sklepu po zakupy. Ale powiedziała mu Malwina, że nigdy w życiu, choćby mieli umrzeć z głodu, nie stanie w kolejce po zakupy z innymi żonami leśników i drwali, ponieważ się ich boi. Tego słowa "boi" uchwycił się Karol Stęborek, pieścił je w sobie i nim się radował, gdyż zaraz na początku małżeństwa przemyślał chytrze, jak to ową bojaźnią odgrodzi Malwinę od całego świata i będzie ją miał wyłącznie dla siebie.

Malwina bała się chodzić do sklepu, bała się wychodzić z domu, bała się palić w piecach i z największym trudem przełamywała lęk, gotując mężowi obiad. Zmywać naczynia musiał już

Stęborek, on także sprzątał mieszkanie i czynił wiele domowych zajęć za siebie i za nią. Jeśli kiedykolwiek widziano Malwinę, to jedynie uczepioną ramienia męża albo - wyłącznie latem - siedzącą na tylnym siodełku jego harleya. Nie miała bowiem żadnych lęków przed wyjazdami z mężem do miasta po najróżniejsze zakupy, w miejskich sklepach szeptała mu stanowczo do ucha, co i ile czego ma jej kupić. Nie objawiała też żadnych lęków, kiedy do domu Stęborka przychodzili jego koledzy albo kobiety, które wyrażały zachwyt nad jej trochę egzotyczną urodą. Podać gościom herbatę czy kawę - to musiał już zrobić Stęborek. Malwiwa siedziała na tapczanie i przysłuchiwała się rozmowom. Głosu dobywała z siebie, dopiero gdy goście odeszli. Wówczas każdego osądzała ostro i na swój sposób, to znaczy niemal każdy wydawał jej się głupi, a każda była dla niej brzydka i nieciekawa.

Co robiła przez cały dzień - szczególnie w tym okresie, gdy jeszcze nie mieli dziecka? Nikt na to pytanie nie potrafił odpowiedzieć. Stęborek twierdził, że heklowała swetry, ale ona temu przeczyła - od robienia na drutach, jak mówiła, bolało ją serce. Zaniepokoiło to trochę Stęborka, ponieważ raptem uświadomił sobie, że uzależniając żonę wyłącznie od siebie zarazem sam się od niej uzależnił, i to ponad wszelką miarę. Spróbował potem raz czy drugi zachęcić żonę, aby poszła do sklepu albo napaliła w piecu - ale próby okazały się spóźnione. Nikt i nic nie mogło przełamać w Malwinie jej dziwnego lęku przed światem - bo tak to nazwał Stęborek. "Ona jest po prostu leniwa" - powiedziała do Karola jego matka, odwiedzwszy kiedyś latem syna. Ale w tym samym mniej więcej czasie na podwórku leśniczówki Stęborka rozstawiła namiot para turystów ze stolicy i obydwójce wyznali Stęborkowi, że "wyczuwają w Malwinie głębokie życie wewnętrzne". Na czym ta głębia miała polegać i w czym się przejawiać - tego Stęborek nie chciał dochodzić. Wolał widzieć Malwinę jako wrażliwą i przepełnioną lękami artystyczną duszę. I nawet się dziwił, że nie potrafi pokochać lasu jako przepięknego tworu przyrody. Ale wyjaśniła mu to szczerze i po prostu: "Nie lubię lasu, bo w lesie boję się zgubić. Boję się lasu, bo mieszkają w nim dzikie zwierzęta. Boję się lasu, bo przeraża mnie czasem cisza, a niekiedy przytłacza swoim szumem. Boję się lasu, ponieważ czai się w nim Niewiadome. Nie lubię lasu, gdyż odbiera mi on ciebie na wiele godzin, a ciebie, Karolu, kocham i chcę mieć zawsze przy sobie. Bez ciebie bowiem, bez twojej opieki i siły, po prostu zginę". To były słowa kobiety, która mocno kocha i tym więcej będzie kochać, im bardziej uzależni się od mężczyzny.

"Jestem szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy" - wmawiał więc w siebie Stęborek, budząc się wczesnym świtem, paląc w piecu i karmiąc dziecko, a potem wyruszając do lasu, i to tak cicho, żeby nie zbudzić śpiącej w łóżku Malwiny. Albowiem czyż nie miał tego, czego pragnął w życiu? Czyż właśnie Malwiny nie wybrał sobie spośród wielu innych dziewcząt? Czy nie uczynił tego dlatego, że Malwina, gdy ją poznał na zabawie w Bartach, samotnie siedziała pod ścianą i nikt jej nie prosił do tańca, choć nie była brzydka. Coś w niej jednak tkwiło takiego - jakaś ślamazarność i niemrawość, która odstraszała młodzieńców i mężczyzn, lecz dla Stęborka, marzącego o kobiecie zupełnie od niego zależnej, wydawała się ucieleśnieniem ideału. Dostrzegł w niej delikatność i kruchość, pociągało go to, ponieważ żyjąc samotnie w swojej leśniczówce nosił w sobie ogromne pragnienie, aby się kimś opiekować i o kogoś troszczyć. "Weź Malwinę do galopu, Karol" - doradziła w dzień ślubu Stęborkowi matka Malwiny. Ale Karol puścił tę przestrożę mimo uszu, zresztą Malwina tak jakoś potrafiła urządzić, że jej matka odwiedzała ich rzadko, a właściwie nie przyjeżdżała nigdy.

“Jestem szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy” - powtarzał sobie Stęborek, gdy po powrocie z lasu, niekiedy przemoczony i zmarznięty, zastawał swoją żonę jeszcze w łóżku. Z każdym dniem małżeństwa potęgowało się wrażenie, że coraz bardziej uzależnia ją od siebie, jego dom przypomina klatkę, w której trzyma egzotycznego ptaka. Takiego stworzenia nie wolno wypuścić z klatki, ponieważ zaraz zemrze. Był szczęśliwy robiąc za nią zakupy w sklepie, gotując obiad, zmywając naczynia, sprzątajac mieszkanie, hodując ową kobietę jak jakąś ludzką roślinę. A że była dziewczyną, która oddała mu się natychmiast i bez żadnego oporu, robiła to potem na każde jego skinienie (z innymi dziewczętami kiedyś miewał kłopoty), jeszcze bardziej upewniał się w swoim poczuciu małżeńskiego szczęścia. “On gotów za nią urodzić dziecko” - śmiano się we wsi, kiedy Malwina zaszła w ciążę (o co zresztą miała przez długi czas pretensje do męża i płakała po nocach). Oburzały te drwiny Karola Stęborka. Oczekiwał, że wszyscy będą się zachwycać mężczyzną tak pełnym troski o swoją kobietę - istotę kruchą i delikatną. A tymczasem spotkał się z ironią. Malwinę - o czym się dowiedział - nazywają “kwękwą”. Obnosiła bowiem dziwnie zbolalą twarz. I cokolwiek by ktoś jej powiedział, zaproponował, zawsze odpowiadała “nie” głosem pełnym skargi.

Owszem, nadeszła taka chwila, kiedy Stęborek zaczął podejrzewać, że Malwina nie ma żadnego życia wewnętrznego, nikogo i niczego się nie boi, lecz po prostu wyróżnia się lenistwem ciała i umysłu. W tym momencie raptem spostrzegł również, że od dawna jego wola nie ma żadnego znaczenia, ale o wszystkim decyduje ta krucha kobieta. “Musimy mieć dom po Horście Sobocie, bo nasz jest zagrybiony” - powiedziała mu pewnego razu i odtąd uparcie powtarzała każdego dnia, aż stało się to jego własnym pragnieniem. Stęborkowi pozostał wybór: uświadomić sobie, że popadł w niewolę uzależnienia i nie jest szczęśliwy, albo jeszcze bardziej uzależnić się od Malwiny i ratować się zaklęciem: “Jestem szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy”. Wybrał to drugie, I wybrał coś jeszcze. Zaczął nienawidzić lasu na podobieństwo Horsta Soboty, ponieważ nienawidziła lasu jego żona Malwina. Za tę nienawiść las odpłacał się tym samym - zrozumiał to, kiedy mu nadleśniczy powiedział na uprawie, że “las pana nie lubi”. W odpowiedzi Stęborek wzruszył ramionami, ale i on nie od dziś sam się zastanawiał, czemu to na jego uprawach jest więcej wypadów niż u innych leśników. I dlatego choć rozum mówił mu, że czymś głupim jest traktować las jako żywą istotę, to przecież podświadomie zaczął powoli zgadzać się i z Horstem Sobotą, i z nadleśniczym Masłochą.

Nie potrafił jednak pokochać lasu, albowiem nie kochała go Malwina. Cóż więc mu pozostało? Stać się leśnym człowiekiem, zagubić w lesie swoją duszę, uczynić się złym, gdyż tylko takich las hołubił i otaczał swoją miłością. Jadąc więc do domu sobie tylko znanymi ścieżkami i inaczej niż zazwyczaj (to znaczy nie wstępując do sklepu) - uśmiechał się pogodnie. Wkrótce zabierze dom Horsta Soboty i uszczęśliwi tym nie tylko las, ale i Malwinę. Las odpłaci mu się za to zielonymi uprawami, a Malwina przestanie narzekać na grzyb w leśniczówce. “Będę szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy” - powtarzał Stęborek i czuł, że zaczyna popadać w obłęd. Czymś obłędnym przecież było myśleć, że las czuje i myśli, lubi kogoś lub kogoś nie lubi. Lecz bez takich obłędnych myśli nie dawało się wyjaśnić tajemnicy, czemu to na jego uprawach schły sadzonki, a leśniczemu Kondradowi zielenił się nawet wsadzony do ziemi suchy patyk.

Przed domem zobaczył odrapanego fiata Kozusznika i wydało mu się, że wyczuwa na swoich wargach kroplę słodkiego miodu. Tak, wkrótce do niego, Stęborka, należeć będzie dom

Horsta Soboty z kolorowymi szybkami na ganku. Postawił motocykl na podwórzu, zdjął kask i powiesił go w sieni. Następnie wszedł do pokoju, który Malwina nazywała ba wialnią. Przy stole pod oknem siedzieli Kozusznik i brodaty Łukta, w bawialni snuł się papierosowy dym, a Malwina towarzyszyła gościom, przykucnąwszy na brzeżku kanapy. Trzymała na kolanach dziecko i patrzyła na Łukcę szeroko otwartymi oczami, w których Stęborek dostrzegał strach i ciekawość. Malwina zawsze patrzyła w ten sposób na tego ogromnego, kudłatego mężczyznę. Przerazał ją i pociągał. Stęborek czuł, że gdyby kiedyś brodaty i śmierdzący od brudu Łukta położył Malwinie dłoń na ramieniu i powiedział "chodź" swoim zachrypłym głosem, Malwina porażona strachem poszłaby za nim posłusznie i zrobiłaby to, co on by zechciał. W Stęborku też kochała jego siłę. Ale o Łukcę mógł być Stęborek spokojny - wyróżniał jedynie kobiety duże i dobrze rozwinięte, takie jak Weronika od Horsta Soboty.

Kozusznik był trochę młodszy od Łukty. Razem ze Stęborkiem ukończył leśną uczelnię. Niedługo jednak bawił się w leśniczego, pociągały go rozmaite interesy i duże pieniądze, których nigdy jednak nie zrobił. Przed tygodniem niespodziewanie przyjechał swoim odrapanym fiatem do leśniczówki Stęborka i zaproponował mu wspólną budowę tartaku, ponieważ okazjnie i tanio nabył trak elektryczny. Malwina po swojemu kwęknęła "nie", bo bała się, że oprócz lasu jeszcze trak zabierze jej męża. Ale tym razem wbrew woli żony Stęborek powiedział "tak" i zaraz poszedł z Kozusznikiem na wieś do Łukty, u którego codziennie kupował mleko dla dziecka.

Łukta miał pięciohektarowe gospodarstwo, dwie krowy i traktor. Jego ziemia wąskim paskiem sięgała aż pod leśniczówkę Stęborka i po skraj lasu. Chciwie patrzył las na ów skrawek gruntów Łukty, nasyłał mu hordy dzików, które niszczyły posadzone ziemniaki albo zasiany jęczmień. Łukta chciał sprzedać nadleśnictwu ów pasek ziemi, ale na przeszkodzie stanęła ustawa o ochronie gruntów rolnych i Łukta musiał zrobić w tym miejscu mało urodzajne pastwisko dla owiec, obojętnie spoglądając, jak las zasiewa wszędzie młode brzoźki i sosenki. Inaczej wyglądała sprawa z domem Horsta Soboty. Dom Soboty lasy mogły kupić, jak również sad - pod warunkiem, że nie zamienią go w las. Zresztą jaki leśniczy pozwoliłby sobie zniszczyć sad koło domu i na jego miejscu posadzić młody las?

Łukta dorabiał w leśnictwie Stęborka, dokonując zrywki drewna swoim traktorem. Zarabiał dużo, dlatego zawsze na Stęborka czekało w jego domu mleko albo bańkę z mlekiem przynosiła żona Łukty do leśniczówki Stęborka. Ostatnio zwierzył się Stęborkowi, że uskładał pieniądze na samochód. I dlatego właśnie Stęborek zaprowadził Kozusznika do Łukty.

Teraz siedzieli przy stole pod oknem, a na stole leżała umowa napisana w trzech egzemplarzach przez kalkę. Zgodnie z treścią umowy Kozusznik wносił do spółki elektryczny trak wartości pół miliona złotych, pół miliona złotych w gotówce wносił Łukta, a leśniczy Stęborek niczego nie wносił, miał jedynie zająć się załatwianiem różnych urzędowych spraw oraz - poza godzinami swojej pracy leśniczego - prowadzić księgowość tartaku. Zyski - na mocy owej umowy - dzielić postanowili następująco: czterdzieści pięć procent odbierał Kozusznik, drugie czterdzieści pięć - Łukta, a dziesięć procent - Stęborek. Owa umowa miała charakter tajny, oficjalnie występowali jedynie Kozusznik i Łukta, gdyż wejście leśniczego do podobnej spółki mogło na Stęborka rzucić podejrzenie, że będzie ułatwiał zakup drewna dla tartaku.

- Oto wstępne zezwolenie na budowę tartaku - powiedział Stęborek, rzucając na stół złożony we czworo papier z podpisem naczelnika Urzędu Gminnego w Bartach. - W tym zezwoleniu jest także wstępna lokalizacja tartaku.

Stęborek zdobył to zezwolenie i zgodę na wstępną lokalizację tartaku, gdyż przed miesiącem sprzedał naczelnikowi kilka starych modrzewi na boazerię do nowego domu.

Wolno i z namaszczeniem przeczytał Łukta wręczony mu przez Stęborka dokument. Potem - szybciej i bez żadnego namaszczenia, jak prawdziwy człowiek interesu - uczynił to Kozusznik.

- W porządku - oświadczył składając papier na czworo i chowając go do kieszeni. - Może pan, panie Łukta, kupować cement i deski na wiatę. Ja zaś dowiem się, gdzie kupić szyny i wózek do podwożenia drewna pod trak. Proponuję podpisać naszą umowę.

- Mam też już ustną zgodę na podłączenie traka do transformatora, który jest koło starej żwirowni - dopowiedział Stęborek.

Podpisali szybko umowę i każdy schował do kieszeni jeden z trzech egzemplarzy. Wtedy Łukta wyjął z kieszeni butelkę wódki i rozkazująco spojrzał na Malwinę, aby podała kieliszki i zakąskę.

- Wiecie przecież, że nie piję - oświadczył Stęborek. - Muszę zresztą zaraz jechać po chleb i inne produkty do sklepu.

Nie chciał, żeby Łukta zbyt długo siedział w jego domu. Irytował go wyraz twarzy Malwiny - owo przerażenie połączone z pożądliwą ciekawością.

Kozusznik wzruszył ramionami i wstał od stołu.

- Pójdziemy do pana, panie Łukta, i tam sobie wypijemy - zaproponował. - Mamy przecież do omówienia sporo spraw. Pod trak trzeba zrobić mocny cementowy fundament, postawić wiatę...

Na Kozusznika Malwina nie patrzyła z takim wyrazem twarzy jak na brudnego, kudłatego Łukę. Kozusznik miał gładko wygolone policzki, był szczupły i wąski w ramionach, jego twarz była tak banalna, że chyba nie do zapamiętania. Kozusznika Malwina jak gdyby w ogóle nie widziała.

Opuścili leśniczówkę i zaraz odjechali do wsi odrapanym fiatem.

A Stęborek zdjął z wieszaka kask, uruchomił harleya i postanowił uczynić to, czego do tej pory zaniedbał, pochłonięty myślą o czekających na niego w domu gościach. Jadąc teraz pełną drogą do sklepu w osadzie leśnej doznał - zapewne pod wpływem swej niedawnej rozmowy z nadleśniczym - czegoś w rodzaju wyrzutów sumienia, że jest dopiero południe, a on znajduje się daleko od lasu. Ale przecież kiedy w sklepie zjawiał się później, zazwyczaj brakowało świeżego chleba. Czy Malwina naprawdę nie mogła wsadzić kiedyś dziecko do wózka i pomaszerować półtora kilometra do sklepu?

Oblizwał językiem wargi i nagle poczuł w ustach coś słodkiego, jak gdyby spadła mu na wargi kropla miodu. Skąd się wzięła ta słodycz? Co spowodowało, że odnalazł na wargach ów słodki smak?

Wjechał na szosę i raptem zamiast do sklepu w osadzie skręcił w prawo, w stronę lasu. Pięć kilometrów miał do miejsca, od którego zaczynało się jego leśnictwo o nazwie Nieżywe. Silnik harleya głośno łomotał, na twarzy, nosie i wargach czuł Stęborek krople deszczu, lecz gdy końcem języka dotykał tych kropel, robiło mu się w ustach dziwnie słodko. Dodał gazu i popędził po mokrym asfalcie, bo chciał, aby tych kropel deszczu na jego wargach było coraz więcej, i coraz większą czuł w sobie słodycz. Zakupy jeszcze zdąży zrobić, najpierw jednak pojedzie tam, gdzie był dziś z Masłochą, na ową uprawę ze schnącymi sadzonkami. Dwukrotnie spoliczkował go tarn Masłochą, a teraz oto on, Stęborek, w tym samym miejscu wykrzyczy swoją radość. Jeśli prawdą jest, że las kocha złych ludzi, to pokocha Stęborka i odtąd będzie się zielenił nawet patyk, który Stęborek wetknie w ziemię. Nie chodziło mu przecież o żaden tam tartak, o dziesięć procent zysku z pracy traka. Nie wiedział o tym nikt, ani Kozusznik, ani Łukta, ani nawet jego żona Malwina, że gdy przybył do niego Kozusznik z propozycją założenia tartacznej spółki, olśniła Stęborka piękna tnyśl. Postawią trak w starej żwirowni tuż obok domu i sadu Horsta Soboty. Odtąd dzień i noc stary Horst będzie musiał słuchać, jak jęczy i zgrzyta elektryczny trak, zobaczy, jak wiatr roznosi po sadzie pył żółtych trocin. Pod domem Horsta Soboty zawracać zaczną ciągniki z drewnem, rozpanoszą się przekleństwa kierowców rozrzucających wszędzie butelki po wódce. A wówczas Horst Sobota umrze ze zgrzyoty albo sprzeda dom nadleśnictwu, dla Stęborka - jak to obiecał Masłochą. Potem zaś Stęborek, który też nienawidził hałasu i zgrzytu traka (zawsze źle się czuł, gdy musiał w jakichś sprawach jechać do państwowego tartaku w Bartach), podrzuci pod trak trochę drewna skradzionego w jego leśnictwie i naśle strażników leśnych na Kozusznika i Łuktę. A jeszcze wcześniej pod byle pretekstem wycofa się ze spółki, aby spokojnie patrzeć, jak władze opieczętują tartak, a potem zmuszą Kozusznika i Łuktę do jego likwidacji. On zaś i Malwina zamieszkają w domu z gankiem, otoczeni ciszą i spokojem, coraz szczęśliwsi, szczęśliwsi, szczęśliwsi...

Zatrzymał motocykl przy uprawie i wygasił silnik. Natychmiast otoczyła go cisza, usłyszał szmer deszczu na gałęziach pobliskiego starodrzewu, na rachitycznych sosenkach z trudem rosnących na uprawie. Wciąż czuł na wargach słodki smak miodu, wdychał powietrze przesycone zapachem igliwia i mokrej od deszczu leśnej trawy. Otworzył szeroko usta i bezgłośnie krzychał: "Jestem zły. Naprawdę zły. Nigdy jeszcze nie widziano tutaj tak złego człowieka".

A potem chciał krzycheć głośno, aby naprawdę usłyszał go cały las, pokochał jak swego i dał siłę sadzonkom na uprawie. Ale nie uczynił tego, ponieważ raptem, mimo pokrytych rosą motocyklowych okularów, zobaczył na ścieżce działowej między uprawą a starodrzewem jakiegoś człowieka na koniu. Sierść klaczy lśniła od deszczu, ów jeździec miał na sobie zieloną pelerynę, taką samą jak nadleśniczy, a na głowie nosił lekko przekrzywioną furazerkę.

Jeździec zbliżył się do Stęborka. i tuż przed nim zatrzymał swoją klacz. Uśmiechnął się ni to przymilnie, ni to szyderczo, a w tym uśmiechu lśniły jego równe, białe zęby.

- Kim pan jest? I co pan robi w moim leśnictwie? - zapytał ostro Stęborek, choć nie miał prawa do takiego pytania. Każdy miał prawo jeździć konno leśnymi ścieżkami, ale poczuł złość, bo wydawało mu się, że tamten usłyszał jego bezgłośny krzyk, choć to było niemożliwe.

- Jestem strażnikiem łowieckim. Nie słyszał pan o mnie?

- A tak, słyszałem - skinął głową Stęborek, gdyż rzeczywiście wiedział od Kuleszy i innych, że nadleśnictwo otrzymało strażnika łowieckiego.

- Poznałem już prawie wszystkich leśniczych, ale pana jakoś nigdy nie mogłem spotkać w lesie - rzekł tamten.

Poirytowały te słowa Stęborka, gdyż przypominały mu dzisiejsze złośliwości Masłochy.

- Las jest duży - odparł. - Nie bywam też na pijaństwach u leśniczego Kuleszy.

Bo i to wiedział Stęborek od ludzi, że gdy gwałcono Weronikę, był tam nie tylko Tarchoński, Wzdrenga i Budrys, ale także strażnik łowiecki.

Uśmiech zniknął z ust tamtego człowieka. Jego twarz stała się jak gdyby nieruchomą maską. Niebieskie oczy raptem pociemniały, może dlatego, że odwrócił wzrok od Stęborka i popatrzył w mroczną głębię starodrzewu.

- Nie mieszkam już u leśniczego Kuleszy - cicho, niemal szeptem wyjaśnił, jak gdyby to miało cokolwiek wyjaśniać.

A potem znowu popatrzył na Stęborka, ale tamten nie wiadomo dlaczego nerwowo oblizał wargi. Ku swemu zdziwieniu stwierdził, że nie czuje już smaku miodu.

- Jestem Stęborek i mieszkam w dawnej leśniczówce Izajasza Rzepy. Każdy panu wskaże drogę. Proszę mnie kiedyś odwiedzić - zaczął grzecznie, aby choć w części załagodzić swoją złośliwość i pozbyć się niezrozumiałego lęku, który budził w nim ten człowiek.

- Nazywam się Józef Maryn. I mieszkam w domu Horsta Soboty.

Te słowa doszły do Stęborka jak gdyby z oddali. Bo rzeczywiście ów człowiek klepnął lekko po karku konia i już zdążył minąć leśniczego.

Stęborek zacisnął wargi. Zamiast smaku miodu czuł w ustach suchość, a nawet coś gorzkiego. Pomyślał nie wiadomo czemu, że spotkanie z tym człowiekiem nie jest dobrym znakiem. Być może las me przyjął jego ofiary. Dlatego jak modlitwę lub zaklęcie odczyniające urok zaczął powtarzać: "Jestem szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy

Nie pozbył się jednak złych przeczuć. Nie wiadomo dlaczego, przypomniał sobie o tym, co mu nie tak dawno mówił nadleśniczy: widział w lesie ślady samotnego wilka. Po osadach leśnych opowiadano, że pokąsał Karasia i Budrysa. Mało kto miał odwagę, aby nocą zastawiać wnyki i potrzaski na zwierzęta leśne, choć tak naprawdę lękano się obecności strażnika

łowieckiego, który krążył po lesie cicho jak wilk i był podobno równie samotny jak ów wilk. "Nie powiem Malwinie o wilku, gdyż będzie się jeszcze bardziej bała lasu - postanowił Stęborek. - Nie chcę również, aby się u mnie pojawił ten strażnik łowiecki. Ma ładną twarz, ale zły uśmiech. Malwina też go się będzie bała".

Rozdział siódmy

Horst Sobota dotrzymał obietnicy i postarał się o psa. Pewnego dnia rolnik z sąsiedniej wioski dostarczył wozem zwierzaka zamkniętego w drewnianej klatce do wożenia świń na spęd. Sobota przygotował uprzednio miejsce dla psa - małą zagrodę z siatki, gdzie ongiś trzymał kaczki i kury. Ogrodzenie było wysokie, aby kury nie potrafiły przefrunąć, głęboko wkopane w ziemię, żeby lisy i kuny z lasu nie mogły zrobić nory i dostać się do ptactwa. Do wybiegu przylegał kurnik, z którego Sobota wyprzątnął stare ptasie łajno, a potem rzucił tam wiązkę słomy na legowisko dla psa. Klatkę przystawiono wyjściem do drzwi kurnika, potem podniesiono drzwiczki. Pies wyskoczył najpierw do kurnika, a potem na wybieg, wówczas klatkę szybko cofnięto na podwórze i drzwi kurnika zostały zawarte. Pies z wybiegu wpadł z powrotem do kurnika, uderzył mocno łapami w drzwi, ale ponieważ nawet nie drgnęły - znowu wyskoczył na wybieg, oparł się przednimi łapami o siatkę, odbił się od niej, jeszcze raz skoczył na siatkę i powtórnie się odbił. Następnie obiegł dookoła zamknięcie i zrozumiawszy, że stąd nie będzie się mógł wydostać, przywarł do ziemi i w ponurym milczeniu zaczął się wpatrywać w ludzi na podwórku.

- Pożałuje pan swoich pieniędzy, panie Sobota - powiedział chłop, który przywiózł psa. - To wściekłe bydlę. Musiałem je trzymać na grubym łańcuchu, bo moja żona i dzieciaki bały się wychodzić na podwórko. Nawet ja podsuwałem mu miskę z żarciem za pomocą kija, gdyż kilka razy mnie ugryzł. Nic dobrego z tego zwierzaka nie wyrośnie, a ja go nie wezmę z powrotem i pieniędzy za niego nie oddam. Ma półtora roku. Z dobrego gniazda go wziąłem, nie wiem dlaczego, prawdziwa bestia z niego wyrosła. Podobno jego matkę raz pokrył pies, a raz prawdziwy wilk. I ten wrodził się w wilka. W tej chwili jest bardzo zły, bo tak jak mi pan polecił, od wczoraj nie dałem mu zarcia.

- Takiego psa chciałem i za takiego zapłaciłem - rzekł Horst, spoglądając na Maryna, który skinął głową, że pies mu się podoba.

Chłop odjechał natychmiast, zadowolony, że udało mu się zrobić dobry interes. Przed tygodniem prosił leśniczego Kondradta, żeby tego psa zastrzelił ze swojej broni myśliwskiej, ale Kondradt był zajęty i sprawa się odwlokła. Teraz dostał za psa pieniądze. I to nawet sporo.

- Pragnę za tego psa zapłacić - powiedział Maryn do Horsta.

- O nie. - Stary pokręcił głową. - Kupiłem dziką bestię, a nie psa. Jeśli potrafisz go wytresować i zrobić z niego psa, to mnie zostanie pies, a tobie przypadnie bestia.

- Dobrze - zgodził się Maryn.

Pies jak na owczarkowatego mieszańca był duży, w kłębie miał chyba ze sześćdziesiąt centymetrów. Pokrywało go gęste futro o żelazistej barwie i jasnym podszyciu. Oczy dość duże, ciemne - spoglądały nieruchomo na Maryna, pozornie bez większego zainteresowania. Podobały się Marynowi jego uszy, dość małe, ale wysoko osadzone i sterczące ostro. Głęboka klatka

piersiowa, szyja" silnie umięśniona, łopatki ukośnie ustawione i płasko przylegające do tułowia, uda szerokie i muskularne, staw skokowy silny, łapy okrągławe, z palcami zwartymi i dobrze wysklepionymi, ogon puszysty, sięgający stawu skokowego. Tak, to był ładny okaz o dużej inteligencji, skoro nie zaszczekał ani razu i szybko przestał rzucać się bezradnie na siatkę, albowiem od razu pojął, że byłby to wysiłek daremny. Wolał przywaro - wać, niemal wcisnąć się w ziemię i jak sprężyna w każdej chwili pozostawać gotowym do skoku. Wystarczyło, że Sobota trochę bliżej podszedł do siatki, a usłyszeli z psiej gardzieli charkot głęboki, podobny do podziemnego grzmotu.

- Zapomniałem zapytać, jak on się wabi - zmartwił się Horst. - Przecież chyba miał jakieś imię?

Maryn uśmiechnął się po swojemu, to znaczy ułożył usta w grymas uśmiechu, który naprawdę żadnym uśmiechem nie był, i oświadczył:

- To żadne zmartwienie. Nie ma znaczenia, jak go kiedyś nazywano, skoro on zapewne nie uznał ani swego imienia, ani swego właściciela. Powiedz mi, jak chcesz, żeby się nazywał.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem - zakłopotał się stary. - Po zagrodach i leśniczówkach jest wiele Reksów, Burków, Kruczków, Brysiów, Azorów. Nie chciałbym, żeby tak się nazywał nasz pies. Może ty, Józwa, potrafisz coś wymyślić?

- Ivo - rzucił Maryn.

- Co takiego?

- Ivo - powtórzył Maryn.

- Dlaczego chcesz go nazwać Ivo?

- Miałem przyjaciela, który tak miał na imię.

- Nie żyje?

- Nie wiem. Myślę jednak, że nie miałby mi tego za złe, że jego imię nadałem dzikiej bestii.

- To był zły człowiek?

- Tak, Horście. Jeżeli zdarzała się taka potrzeba, skakał do gardła. Ale najlepiej lubił rzucać się na piersi, obalać na ziemię i kazać ludziom warować.

- Niech będzie Ivo - zgodził się Sobota. - Krótkie imię. Dobre dla złego psa. Kiedy rozpoczynasz tresurę?

- Już zacząłem - powiedział Maryn i usiadł na ławce przed domem, naprzeciw ogrodzenia, za którym warował pies. - Za dzień, dwa, a może dopiero za kilka dni damy mu jeść.

- Rozumiem - pokiwał głową Horst. - Byłem wiele razy głodny. Na wojnie. Dziwne, że wiesz o tym, co to głód, chociaż jesteś młody i nie wojowałeś.

Sobotę naszły jakieś przykre wspomnienia. Bez słowa pozostawił Maryna na podwórku i ruszył w sad po łagodnej pochyłości skarpy.

Maryn zaś znieruchomiał na ławce i spoglądał na psa, który też patrzył na niego. Jak długo tak się sobie przyglądali? Może godzinę albo półtorej. Aż do obiadu, gdy w otwartych drzwiach sieni stanęła Weronika.

Nie powiedziała "dzień dobry", a Maryn udał, że jej nie zauważył. Przyglądał się psu, a pies przyglądał się jemu. Weronika też zaczęła spoglądać na psa, który podobnie jak Maryn jak gdyby jej nie zauważył. Nie poruszył łbem, nie odwrócił ciemnych oczu od siedzącego na ławce mężczyzny.

Zza chmur wyszło słońce i na podwórzu rozlała się ogromna plama blasku. Zrobiło się gorąco i na czole Maryna pokazały się kropelki potu. Pies chciał ziając, rozchylił pysk z białymi zębami i wysunął język. Ale gdy tylko pokazał język, Maryn udawał, że chce wstać i podejść do siatki. Wówczas pies chował język, zwiarał pysk i zaczynał charczeć, gotując się do skoku. I męczył się w promieniach słońca, które go oślepiało.

- Nie pozwolę, aby pan bił tego psa - odezwała się Weronika. Maryn wzruszył ramionami.

- Dlaczego pani myśli, że będę go bił?

- Bo pan wygląda na takiego, który lubi bić. Ludzi, zwierzęta, wszystko jedno kogo. Zresztą w moim domu też były psy. Ojciec biciem wymuszał na nich posłuszeństwo. Nie pozwolę panu bić zwierzęcia.

- To mój pies - odrzekł Maryn, nie odwracając ku niej głowy. - To mój pies i będę robił z nim, co zechcę.

- Nie pozwolę znęcać się nad nim - nieco ostrzej rzekła Weronika.

- Nie powiedziałem, że będę się znęcał. Ale bicia chyba nie da się uniknąć, proszę pani. Inaczej rzuci się komuś z nas do gardła i przegryzie krtań. Jeśli pani go żal, proszę wejść do kurnika. Pogotowie ratunkowe jedzie tutaj pół godziny. Zresztą to zależy, czy on pani poszarpie tylko twarz, czy także szyję albo ręce. Tak czy inaczej blizny pozostaną na całe życie.

Nic nie powiedziała. Wydawało jej się, że rozumie i podziela nienawiść, która znieruchomiała w kosmatym zwierzęciu leżącym na słońcu. Ona także czuła w sobie nienawiść do wszystkich i wszystkiego, a w tej chwili najbardziej do tego człowieka, który siedział na ławce.

- Postaram się bić go tak, żeby pani tego nie widziała - oświadczył Maryn. - Ale najpierw głodem spróbuję go nauczyć miłości. Dlatego niech pani mu nie rzuca ukradkiem żadnych kąsków. To nie złagodzi jego dzikości i nienawiści. Kąsek chwyci i zezre, potem jednak tak

samo rzuci się do gardła. Nikt nie lubi litości, proszę pani. Nie można zdobyć czyjejś miłości rzucając kasek przez siatkę, z bezpiecznej odległości. Niestety, kiedyś trzeba będzie wejść za tę siatkę i podać mu miskę. Ale wszystko w swoim czasie. I z batem w rękę. Nie wiem dlaczego tak jest na świecie, proszę pani, że głód i strach czynią wszystkich posłusznymi. Ja jednak nie urządziłem tego świata.

A ponieważ i teraz nic nie powiedziała, dorzucił:

- Nie lubi mnie pani, prawda? Roześmiała się sztucznie.

- Nic mnie pan nie obchodzi. Zrobiłam obiad. Proszę przyjść do domu.

Odeszła w stronę sadu i jeziora, aby przywołać na obiad Horsta Sobotę. Była ubrana w kretonową bluzkę bez rękawów i z dużym wycięciem z przodu. Czarne włosy zaplecione miała w gruby warkocz. Szerokopleca, o pełnych biodrach i długich nogach - wydawała się Marynowi uosobieniem kobiecej siły. Drobiła kroki, ale stopy w drewnianych trepach stawiała pewnie i mocno. Po prostu wierzyć się nie chciało, że na podwórzu Kuleszy, a potem, gdy mocowała się z mężem, Budrysem i Wzdregą, nie zauważył w niej owej siły. Może to, co działo się wtedy wokół niej, jej małżeństwo, pożycie z mężem, a później historia z gwałtem oszołomiły ją, uczyniły słabą i bezwolną?

Pomyślał, że ta kobieta nie mogła mu się podobać, ponieważ lubił wysokie, szczupłe blondynki. To dziwne, że będąc z dziwką, podniecił się jednak nie na myśl o Eryce, lecz właśnie o tej kobiecie. Zapewne nie ona jednak, tylko sama sytuacja, wyobrażenie sceny szarpaniny, obrony, obnażonego w walce ciała - spowodowały jego pożądanie. To chyba jednak prawda, że gwałt ma w sobie coś podniecającego tak dla kobiety, jak i dla mężczyzny, choć nic nie wskazywało na to, aby to podniecało Weronikę. Nigdy się nad tym nie zastanawiał, ponieważ historie z kobietami przychodziły mu łatwo. Odkrycie, że łamanie czyjegoś wstydu, niechęci, a nawet wstrętu może być dla niego podniecające, zaskoczyło Maryna. Był przecież przekonany, że siebie poznał do końca, zajrzał nawet kiedyś do tego miejsca, gdzie ludzie powinni mieć duszę albo sumienie, i czegoś takiego nie znalazł. Albo po prostu nie zauważył. Bo przecież, jak się okazało, lubił trochę Ivo Bundera i to "trochę" pozbawiło go dostatecznej czujności. Tęsknił trochę za Eryką i to "trochę" kazało mu pomyśleć, że być może na świecie istnieje uczucie zwane miłością. I też jak gdyby "trochę" męczyła go myśl, że wtedy, w leśniczówce Kuleszy, nie zachował się, jak należało. Rzecz jasna, z tym wszystkim nie miała nic wspólnego ta roślina, silna kobieta o imieniu Weronika, co najwyżej stała się pewnego rodzaju medium, przez które zaczął mocniej odczuwać siebie samego. Musiała go też zaskoczyć ta jej nagła przemiana - u Kuleszy zastrachana, cicha i słaba, a tutaj - silna, pewna siebie, może nawet zbyt wyniosła. A na dodatek - dziwnie wroga. Jak gdyby to Maryn był winien, że wziął ją siłą własny mąż.

Wzruszył ramionami i stwierdził z zadowoleniem, że pies nie wytrzymał palących promieni słońca. Podniósł się i z podkulonym ogonem pomaszzerował do chłodnego kurnika. Nie ruszył się z niego, mimo że Maryn zbliżył się do siatki i nawet dotknął jej ręką.

Weronika powróciła w towarzystwie Horsta Soboty i Maryn poszedł do kuchni. Siadł przy

stole i beczelnie zajrzał w dekolt Weroniki, która wycięcie z przodu bluzki miała tak wielkie, że jej śniade piersi były do połowy widoczne. Zauważyła spojrzenie Maryna i zaraz gdzieś zniknęła; zjawiła się po chwili już w bluzce z rękawami, szczelnie zapiętej pod szyją. Maryn zaś ostentacyjnie zabrał ze stołu swój talerz z zupą i wyszedł z nim na podwórze. Pod siatkę ogradzającą wybieg podsunął stary pieńek do rąbania drzewa, usiadł na nim i zaczął głośno jeść. Zapach jedzenia musiał przeniknąć do kurnika, lecz nie dał się słyszeć z niego nawet najcichszy szmer. Przeciągnął więc Maryn łyżką po drucianej siatce i wtedy z otwartych drzwi wystrzelił pies jak wielka kula sierści i mięsa. Skoczył przednimi łapami na siatkę, aż ta ugięła się tuż koło twarzy jedzącego człowieka. Maryn poczuł gorący odór buchający z rozwartego pyska, usłyszał przy swojej głowie głośny charkot z psiej gardzieli.

Nie zareagował na to. Jak gdyby tuż obok po drutach siatki nie zsuwały się ogromne, kosmate łapy i nie słyszał wściekłego głosu. Jadł, wolno podnosząc do ust łyżkę, od czasu do czasu mlaskał głośno. Zwierzę znowu znieruchomiało za siatką, charkot ucichł - pies wdychał woń jedzenia. Miał podkulony pod siebie ogon i zjeżoną na karku sierść. Jego ciemne oczy niemal bez drgnienia powiek wpatrywały się w talerz z zupą.

Najadłszy się Maryn wstał z pieńka i nie zwracając uwagi na psa poszedł do kuchni. Po krótkiej chwili wrócił na pieńek z płytkim talerzem; znajdowała się na nim kurza pierś i ziemniaki okraszone tłuszczem.

Tymczasem pies wrócił do kurnika, ale teraz już z niego nie wyskoczył jak kula. Wyszedł wolno, ostrożnie i znieruchomiał o kilka kroków od siatki. Czuł zapach mięsa, ziemniaków w tłuszczu. Duże, ciemne oczy odprowadzały każdy kęs jedzenia niesiony na widelcu - od talerza do ust człowieka. Maryn zaczął ogryzać kurzą pierś, a później, powstawszy z pieńka, kości z odrobiną mięsa rzucił na ziemię tuż koło siatki. Pies nie mógł sięgnąć łapą, lecz widział tę kość z mięsem i czuł jej zapach.

- A jednak znęca się pan nad tym stworzeniem - powiedziała Weronika, kiedy Maryn z pustym talerzem przyszedł do kuchni.

Nie odpowiedział, ostentacyjnie lekceważąc jej słowa. Ta kobieta, jak to ocenił, za mało rozumiała sprawy otaczające ją świata, aby się tak we wszystko wtrącać. Powinna znać swoje miejsce, próbował to chyba zrobić leśniczy Kulesza, ale wybrał zły sposób. Maryn postara się o to, aby trzymała się od niego z daleka i od jego poczynań. Dlatego bez słowa opuścił kuchnię, w swoim pokoju włożył mundur, zapiął pas z pistoletem, wziął aparat fotograficzny oraz raportówkę, osiodłał klacz i wyjechał w las. Tak po prostu przed siebie. W jego umowie o pracę zostało podkreślone, że ma nie normowany czas pracy - porą kłusowników był późny wieczór, noc, wczesny świt.

- Nie powinnaś w ten sposób mówić do Józwy - surowo zganił Weronikę Horst. - On wie, jak się powinno tresować psa. To nie są sprawy, do których możesz się wtrącać. Jeśli po życiu z Kulesza drażni cię widok każdego mężczyzny, raczej idź do siebie na górę.

Te słowa Horsta jeszcze ją bardziej rozgniewały. Co miało wspólnego jej nieudane pożycie z Kulesza i ten strażnik łowiecki? Nie lubiła go, ponieważ owego wieczoru w

leśniczówce mógł się zachować inaczej. Upokarzała ją myśl, że musi przebywać pod jednym dachem z człowiekiem, który widział jej hańbę. Zobaczył ją też jak gdyby ogłupiałą, słabą i bezbronną. Tak naprawdę przecież była inna - Horst nauczył ją dumy, pewności siebie, nappełnił ją wielką mocą. Przed laty przyszła do jego domu, aby w nim zamieszkać, pracować, a potem rządzić. Szkoda, że Maryn widział ją tylko wtedy, gdy szarpała się z mężem i traktorzystą, w rozchylonym szlafroku i z obnażonym ciałem, a nie zobaczył, w jaki sposób potraktowała męża, gdy się po nią zjawił. Tak naprawdę jednak żal jej było psa. A poza tym lękała się także i o Horsta Sobotę. To był już stary człowiek i chyba zbyt ufny. Dlaczego aż taką miłością zapłonął do tego obcego, zupełnie mu przecież nie znanego człowieka? Czy nie należało do jej obowiązków troszczyć się o Horsta, myśleć o jego bezpieczeństwie? Tym bardziej że go tak niedawno zawiodła.

- Nie ufam temu człowiekowi - oświadczyła szczerze. - Nie ufam mu, ponieważ nic o nim nie wiem. On ciągle kłamie i kręci. Mówił Kuleszy, że ma żonę, ty zaś twierdzisz, że nie ma żony. A jeśli jest żonaty, czemu jego żona nie pojawiła się tutaj, nie przysyła żadnych listów, tylko telegram? Zresztą może to nie był telegram od żony. Czy powiedział ci, dlaczego wtedy wyjechał i dokąd? Przecież nie od razu stał się strażnikiem łowieckim. Ma chyba ze trzydzieści pięć lat, gdzieś przedtem żył, pracował, mieszkał. Ani słowa o tym. Mówiłeś mu, że jesteś bogaty, i został u ciebie, aby walczyć z lasem. A jeśli to zwykły zbir? Jeśli odkryje twój schowek z pieniędzmi i pewnego dnia zniknie wraz z dorobkiem całego twojego życia? Nie wolno, Horście, tak bez zastrzeżeń ufać obcym ludziom. Jesteś chwilami jak małe dziecko. Zawierz moim kobiecym przeczuciom: to zły człowiek.

- Jest zły. Za to go polubiłem - przytaknął Sobota. - Ty jesteś dobra i dlatego dwa razy las cię pohańbił. Z nim to się nie stanie.

- Nie ufaj mu aż tak bardzo. I nie rób wszystkiego pod jego dyktando. Kazał ci kupić dzikiego psa i ty zaraz to zrobiłaś. Chce go oswoić głodem, a ty będziesz na to patrzył i kiwał głową. Pewnego dnia zażąda od ciebie pieniędzy i ty mu je dasz.

- Tak. I kupię mu piękną kobietę - w rozmarzeniu rzekł Horst. - Taki piękny mężczyzna powinien mieć piękną kobietę. Wtedy stąd nie odejdzie.

- Piękny? - podchwyciła z ironią. - Tak, może jest przystojny, ale jego uroda jest też taka jakaś dziwna. Prawie niesamowita.

- O tak, trafnie powiedziałaś: prawie niesamowita - ucieszył się Horst. - To prawie szatańska uroda. Bo, Weroniko, szatan wcale nie jest brzydki. Zdarza się, że bywa piękny. Niesamowicie piękny.

- To są bzdury, Horście. Mówisz tak, aby mnie rozgniewać. Widziałeś jego zęby? Białe, równe, lśniące, jak gdyby wypolerowane.

Czy w tej okolicy jest ktoś z takimi zębami? Nigdy nie spotkałam w swoim życiu człowieka, który miałby tak piękne zęby.

- Tak, tak - pomrukiwał Horst.

- Poszłam sprzątać do jego pokoju, bo on go nie zamyka na klucz. Powiedz mi, czy może istnieć człowiek, który nie ma żadnego papierka wśród swoich rzeczy? Żadnego listu, dokumentu, najdrobniejszego świstka? W ogóle ma bardzo mało rzeczy. Zagraniczną maszynkę do golenia, zagraniczny aparat fotograficzny, dwie jedwabne piżamy, bardzo chyba drogie. Zagraniczne cienkie kalessy i takie same zagraniczne skarpetki. Strzykawki i jakieś fiołki z lekarstwami. I jak gdyby dla zamydlenia ludziom oczu - zielone leśne koszule, leśny mundur. Czy widziałeś jego garnitur? Drogi i piękny, z zagraniczną metką. To samo jego prochowiec. To samo krawat do garnituru i dwie zagraniczne koszule. On nie jest zwykłym strażnikiem łowieckim. Coś w sobie kryje, jakąś tajemnicę, jakieś draństwo.

- Tak, tak - pomrukiwał z zadowoleniem Horst Sobota. - To nie jest zwykły strażnik łowiecki. Przecież ci to już mówiłem, Weroniko.

I aby go ostatecznie przekonać, jak niebezpiecznym człowiekiem jest Maryn, przyniosła z jego pokoju dużego formatu zdjęcia, które on przywiózł teraz stamtąd, gdzie był.

- Zobacz sam i przekonaj się, w czym on się lubuje. - Położyła fotografie na stole kuchennym przed Horstem.

Było tych fotografii chyba ze dwadzieścia. Zrobiono je w lesie i nad jeziorem. Niektóre z nich nie przedstawiały niczego interesującego, ot, na przykład, człowiek klęczący z nożem w ręku nad uduszoną w sidłach sarną. Na innym też podobny osobnik w podobnej sytuacji. Ale kilka zdjęć mogło przerazić. Jakiś człowiek mierzył w oko obiektywu z krótkiej kłusowniczej strzelby, a potem, na innym zdjęciu, ten sam osobnik był zwinięty na ziemi z twarzą wykrzywioną bólem. Obok niego leżał nóż myśliwski. I jeszcze inny człowiek z sidłami na ptaki. Twarz zakrwawiona, prawie zmasakrowana, aż trudno poznać rysy. Ale Horst go poznał.

- To Budrys. Traktorzysta. Przyjrzyj się bliżej, a go rozpoznasz. Zakładał chyba sidła na ptaki, bo tu zaraz obok jego zakrwawionej twarzy widać trzciny...

Weronika wzięła do ręki to zdjęcie i przyjrzała mu się. Tak, to był Budrys, traktorzysta, który ją trzymał z Kuleszą i rozchyłał jej uda. Nie poznała go od razu, bo na zdjęciu miał twarz całą we krwi.

- Ten przy sarnie to zdaje się Karaś, robotnik z Doliny - stwierdziła, biorąc do ręki inne zdjęcie. - A tego ze strzelbą nie znam.

Gdy znalazła w pokoju Maryna fotografie, wstrząsnął nią widok wykrzywionych bólem i zakrwawionych twarzy. Nie przyjrzała się żadnemu zdjęciu, bo były dla niej zbyt wstrętne.

- On wykonuje swoją pracę, Weroniko - wyjaśnił Sobota. - Łapie kłusowników i utrwała ich zbrodnie swoim aparatem fotograficznym. To się nazywają "dowody rzeczowe". Słyszałem, że trzeba je przedstawić sądowi. Nie jest łatwo, Weroniko, schwytać kłusownika, gdyż ma on przy sobie strzelbę i nóż. Domyślałem się, że to jeden z nich poranił Maryna. Czy wiesz, co myślę

o tych zdjęciach? Że on walczy z leśnymi ludźmi i to są dowody tej walki. Nieładnie robisz grzebiąc w jego rzeczach. Dobrze jednak, że mi pokazałaś zdjęcia. Powiem ci teraz, że jeśli on nawet zażąda pieniędzy, to mu je dam. Tyle, ile zechce.

Weronika wzruszyła ramionami, dając Horstowi do zrozumienia, że on nie uświadamia sobie groźby, jaką niosła ze sobą przyjaźń z tym obcym człowiekiem. Ale w pokoju Maryna jeszcze raz popatrzyła na wykrzywioną bólem twarz Karasia i na zmasakrowaną gębę Budrysa. To właśnie Karaś - pamięta tę chwilę bardzo dobrze - podał jej pierwszy kieliszek wódki, gdy tu przyjechała przed laty, aby sadzić młody las. A potem to właśnie Budrys zaciągnął ją pijaną w młodnik, popchnął na ziemię, zdarł jej majtki i choć broniła się (słabo zresztą, bo była prawie nieprzytomna) - wszedł w nią jak gdyby rozpalonym żelazem i wypełnił bólem. Jak przez mgłę widziała później twarz Karasia i innych, może także położył się na niej i wszedł w nią ten człowiek ze strzelbą. A gdy oprzytomniała w domu Horsta Soboty, zmyła z ud i podbrzusza zakrzepłą krew i długo bolało ją całe wewnątrz. I czy to nie Budrys pomagał Kuleszy ją trzymać, rozchylił jej uda i ciekawie zaglądał między nogi? Tak, te zdjęcia były okropne, a jednak w tej chwili nie potrafiła oderwać od nich oczu, gdyż przenikały ją mściwą radością. Tym ludziom należało się to, co ich spotkało. Nie jest trudno nakłonić młodą, głupią dziewczynę, żeby się napiła wódki, a kiedy się upije, ściągnąć z niej majtki. Albo za przyzwoleniem męża chwycić czyjaś żonę pod brodę, żeby nie gryzła, przytrzymać ją, obnażyć, rozchyłać jej uda. Wtedy tak bardzo pragnęła, aby przepita gęba Budrysa, którą widziała koło swojej twarzy - nie miała oczu, nosa. Sama była gotowa te oczy mu wydrapać. I oto teraz widziała zmasakrowaną twarz Budrysa, skrzepy krwi na jego twarzy, poranione wargi. Maryn, rzecz jasna, nie zemścił się za jej hańbę i nie musiała mu za to być wdzięczna, po prostu tak jak to powiedział Horst, wykonywał swoją pracę i zbierał dowody rzeczowe. Lecz przecież czuła mściwą radość - jedyne piękne uczucie, jakie jej było dane przeżywać od wielu dni.

Zajęła się zmywaniem naczyń, a Horst znowu poszedł do sadu. Zmęczona monotonną robotą, wspięła się na górę do swojego pokoju, który kiedyś traktowała jako zwykłe miejsce zamieszkania, swój kąt, a teraz ten pokój, urządony dla niej przez Horsta - z jasnymi meblami, wygodnym tapczanem, półkami na wazoniki i książki, komodą, ogromnym lustrem i toaletką, z kolorowymi narzutami i barwnymi poduszkami, przepełniony zapachem perfum - wydał jej się jakimś cudownym azylem szczęścia i spokoju. Ileż to razy, gdy rozbierała się w sypialni Kuleszy i musiała się kłaść na jego skrzypiącym łóżku - marzyła, aby jakimś cudem znaleźć się w swoim dawnym pokoiku, być znowu sama, bez mężczyzny i jego owłosionych dłoni pełzających po jej skórze, palców zakradających się w każdy, nawet najbardziej intymny zakątek ciała. Teraz stało się to rzeczywistością - znowu była tutaj, u siebie, samotna i nie napastowana przez nikogo. Jej ciało należało tylko do niej.

W pokoiku na górze było gorąco od potoków wiosennego słońca. Zdjęła spódnicę i bluzkę, a potem - powodowana jakąś dziwną ciekawością - pozbyła się bielizny i naga usiadła na małym taboreciku przed lustrem. Rozpuszczając warkocz przyglądała się z uwagą swojemu odbiciu i szukała w nim przyczyny, która jej miłość do Kuleszy zmieniła w nienawiść, a przede wszystkim wstręt. Co powodowało, że zanim wyszła za męża, każde niemal rzucone na nią męskie spojrzenie budziło odrazę. Podobnie jak poczuła w sobie odrazę, gdy dzisiaj podczas obiadu ów obcy człowiek o nazwisku Maryn zobaczył jej na wpół obnażone piersi.

Czemu wstydyła się swego ciała? Lubiała przecież własną twarz, która poprzez swoją regularność, prosty nos, mocno zarysowane czarne brwi i pełne usta wydawała się nawet ładna. Lubiała też swoje gęste, czarne włosy, śniade ciało o gładkiej i delikatnej skórze. Była rośła, silna, o dużych piersiach i twardych pośladkach, taka właśnie - jak jej kiedyś mówiły siostry w rodzinnym domu - musi być kobieta stworzona do pracy i małżeństwa. Powinno jej było schlebiać, że wszędzie gdzie się znalazła - w miasteczku, na wiejskiej drodze, w autobusie - dostrzegała zachwyty w oczach mężczyzn, miała wrażenie, że męskie spojrzenia prześlizgują się po jej ciele z jakąś wielką zachłannością. Tak, to chyba owa zachłanna pożądlivość męskich spojrzeń odzywała się w niej odrazą i utrudniała zawarcie znajomości z mężczyzną, choć wielu przecież próbowało to uczynić. Szkoda, że nigdy się nie zastanawiała, co budzi ową odrazę, i dopiero małżeństwo z Kuleszą, długie godziny, gdy leżała pod nim i z zaciśniętymi przez wstręt zębami powstrzymywała w sobie krzyk obrzydzenia, dopomogły jej pojąć, że na próżno szukała okaleczenia na swoim ciele i w swoim ciele. Jej kalectwo kryło się poza nią, choć zarazem było w niej, to jest w pamięci o chwili, gdy podano jej pierwszy kieliszek wódki, Budrys zaciągnął ją w młodnik, zdarł z niej majtki i wypełnił czymś twardym, dużym i bolesnym. Po prostu jakby ją rozdarł i wypalił wewnątrz. A później ci, którzy wchodzili w nią tak samo boleśnie - okaleczyli ją już na zawsze. I nie miało to żadnego znaczenia, że ból wkrótce ustąpił, odrodziła się błona otartego naskórka. Bo pozostała pamięć.

Nie, nie zdawała sobie sprawy, że to właśnie coś tak dziwnego jak pamięć zmieni jej miłość do Kuleszy w odrazę. Może winne też były po trosze jej koleżanki z technikum, filmy, które oglądała w kinie i na ekranie telewizora, książki, jakie czytała? Miłość między kobietą i mężczyzną oraz ich wzajemne współzycie miały być celem, do którego powinny dążyć istoty różnej płci. Koleżanki opowiadały o swoich narzeczonych, chciały jak najszybciej wydać się za mąż. Tak samo o małżeńskim szczęściu, o miłości dwojga ludzi wciąż mówiono na kartach książek, w filmach wyświetlanych w telewizji. Nie miała pojęcia, że jest okaleczona przez własną pamięć i przez to inna niż wszystkie, choć przecież odrazą, jaką w niej budziły zachłanne spojrzenia mężczyzn, winna ją uczynić podejrzliwą.

Ale Kuleszą tak na nią nie patrzył. W każdym razie nie czynił tego w początkach ich znajomości. Opowiadał o sobie, o swojej plantacji nasiennej - i omijał wzrokiem jej sylwetkę, jej ciało, co najwyżej zaglądał w oczy. I gdy rozstawała się z nim, to znaczy wysiadała z autobusu i szła do Horsta Soboty (bo zazwyczaj spotykali się w autobusie, ona wracała ze szkoły, a on jechał z nadleśnictwa), tęskniła za nim, za jego głosem, za jego opowiadaniem o zakładanej przez niego plantacji. I to coraz większe uczucie tęsknoty wzięła za miłość. A czyż małżeństwo nie powinno być naturalnym celem miłości dwojga ludzi? Przyjęła jego propozycję małżeństwa i w tajemnicy przed Horstem została narzeczoną Kuleszy, spotykała się z nim ukradkiem - w lesie, na polnych drogach. To prawda, że on zachowywał się już trochę inaczej niż dawniej. Ale to także wydawało jej się prostą konsekwencją narzeczeńskiego stanu. Usiłował ją całować, dotykać w różnych miejscach, co budziło w niej odrazę, lecz tłumiała ją w sobie, skoro zmierzali do małżeństwa i współzycia. Przebaczyła mu nawet to, że któregoś wieczoru zaciągnął ją w młodnik, powalił na ziemię, a potem próbował ściągnąć z niej majtki. Była silna i zdołała się obronić, pogniwała się potem na niego, na krótko jednak, bo przecież - jak jej to wytłumaczył - byli narzeczeństwem i mieli do siebie jakieś prawa. "Po ślubie wszystko się odmieni" - powiedziała jej koleżanka, której zwierzyła się ze swojej odrazy do

tego, co chciał z nią zrobić Kuleszą. I musiała jej przyznać rację, ponieważ uczono ją, że ślub jest sakramentem, a więc czymś świętym. Coś takiego na pewno odmienia kobietę, czyż w przeciwnym razie ludzie tak wielką wagę przywiązywaliby do ślubu? Myślała, że sakrament małżeństwa uwolni jej pamięć od tamtej strasznej chwili w lesie, uświęci współzycie z mężczyzną, odrodzi błogosławieństwem Boga.

Wzięli ślub. I w tę pierwszą ich noc, gdy zgodnie z radami koleżanek czysta i pachnąca położyła się naga na łóżku - raptem, pierwszy raz w życiu, ujrzała Kuleszę nagiego. Wszedł do pokoju ze Sterczącym prąciem - zobaczyła nagle to, co sprawiło jej kiedyś tyle bólu. Krzyknęła przerażona i chciała się zerwać z łóżka, ale Kuleszą już na niej legł, chwycił ją mocno w ramiona i powiedział "zono". Nie próbowała się dalej bronić, choć przecież mogła. To jedno słowo - "zono" - obezwładniło ją i kazało czekać cierpliwie, aż dopełnią się zbawienne skutki sakramentu małżeństwa. A jednak ta przekłęta pamięć odżyła i coś tam w niej ścisnęło się trwożnie, zamknęło ze strachu. Dlatego może znowu ją zabolalo, gdy w nią wszedł swoim twardym prąciem i dopiero po jakimś czasie ból w niej minął, znosiła jakoś te jego ruchy w sobie. Czowała wstręt, lecz nie protestowała ani następnej nocy, ani jeszcze następnej. Z czasem ogarnęła ją obojętność - wiedziała, że z początku będzie bolało, a potem ból ustąpi. Kładła się posłusznie, godziła z cierpieniem, znosiła jego ruchy w sobie. I ową obojętność uznała za powolny i zbawienny cud małżeństwa. Teraz należało tylko cierpliwie leżeć każdej nocy i czekać, aż nastąpi dalszy cud - polubi to, co lubił jej mąż, ocknie się w niej pożądanie. Niestety czas mijał, a cud nie następował. Po obojętności nastąpiła rezygnacja, a jeszcze później coś w rodzaju znużenia. Z rezygnacją i znużeniem przyjmowała męża i ruchy jego twardego członka, o którym nie potrafiła myśleć bez wstrętu. Z otwartymi szeroko oczami obojętnie patrzyła w okno, modląc się, aby wreszcie minęła noc i nastał świt. Czy Kulesza zauważył jej brak podniecenia, niechęć przed każdym zbliżeniem? Zapewne, gdyż zaczął ją głaskać, pieścić, dotykać, całować całe jej ciało, zmuszał ją do patrzenia na swój wyprężony od pożądania członek. Lecz to jedynie zwiększało poczucie odrazy i wstrętu. Już nie wierzyła w cudowną moc sakramentu małżeństwa.

Aż wreszcie zamieszkał u nich obcy człowiek, strażnik łowiecki. Pewnego dnia powiedział do Kuleszy o miłości czystej i prawdziwej. O kobietach, które szły za mężczyznami w dzikie pustkowia, nie mając nadziei na zbliżenie cielesne. O miłości, która obywatła się bez sterczącego prącia i bolesnego wchodzenia w kobietę. Pojęła - przypadkowo słuchając o tym - że pomyliła się: tęsknotę przyjęła za miłość. Nigdy nie kochali się z Kulesza miłością czystą i prawdziwą, lecz miłością brudną, bo pełną pożądania tylko ze strony mężczyzny. Tej nocy nie potrafiła znieść myśli o bólu, jaki mąż znowu miał jej zadać. A gdy to zrobił, po prostu zrzuciła go z siebie na podłogę. Od tej chwili twarz męża, jego zapach, jego oddech, każde jego słowo i spojrzenie budziły w niej odrazę. Zrzuciła go z siebie i następnej nocy, a potem już nigdy nie dopuściła do siebie.

W końcu nadszedł wieczór, gdy Kulesza rzucił się na nią, pomógł mu Budrys, Wzdreęga i Tarchoński. Ona szarpała się, broniła, zasłaniając ciało przed obcymi ludźmi, także i przed Marynem, który nagle wyszedł - obojętny na to, co z nią czyniono. Czy tak powinien postąpić uczciwy człowiek? Teraz nie wierzyła w żadne jego słowo. Stał się dla niej tak samo nienawistny jak mąż, jak Budrys, Wzdreęga i Tarchoński. Była kobietą okaleczoną przez pamięć gwałtu dokonanego na niej w lesie. Potem zaś okaleczono ją powtórnie i zrobił to jej własny

mąż.

Jeśli jej ciało kryło jakąś tajemnicę, to był nią ów wewnętrzny opór, który objawiał się w podbrzuszu wraz z uczuciem strachu przed bólem, razem z wrażeniem wstrętu i odrazy. Nie wierzyła, aby mogło to jej minąć, ponieważ zostanie w niej na zawsze pamięć o tym, co spotkało ją kiedyś w lesie, i o tym, co przeżyła z mężem. Rosłe, gładkie, bujne ciało stało się jedynie jakimś schronieniem dla jej lęku i jej pamięci. Dlatego splotła warkocz i okrywając swoje ciało szlafrokiem przesiadła się na krzesło przy maszynie do szycia.

Nie potrafiła jednak skupić uwagi na nowej poszwie na pierzyne, którą szyła dla Horsta Soboty. Przerwała szycie i podeszła do okna, które wychodziło na las i drogę. I wtedy powodowana jakąś niezrozumiałą dla niej siłą po cichutku zeszła po schodach.

W jej nozdrza uderzył zapach pokoju Maryna (istnienie tego zapachu uświadomiła sobie po raz pierwszy). Wyczuła zleżałą, ale przyjemną woń dymu jakichś drogich papierosów. To dziwne, że przy ludziach Maryn palił tylko byle jakie papierosy, w swoim zaś pokoju - drogie, zagraniczne. Otwarta paczka tych papierosów jeszcze leżała na stole.

Po chwili wyróżniła zapach lanolinowego kremu do golenia, którego zawsze używał Maryn. Nigdy dotychczas ów zapach nie wydał jej się tak ostry i wyraźny, mimo że przecież Maryn zawsze nim pachniał. Poczula też woń końskiej sierści - to koc, który zabrał z leśniczówki, wydzielając ją z siebie.

Podeszła do szafy i spomiędzy zwiniętych niedbale w kłęb dwóch brudnych koszul wyjęła zdjęcia, które pokazywała Horstowi. Koszule Maryna miały zapach męskiego potu - trochę kwaśny, choć przecież przyjemny. Tak samo pachniało zdjęcie Budrysa, gdyż leżało między koszulami.

Długo i uważnie wpatrywała się w zmasakrowaną twarz traktorzysty, w skrzepy krwi na jego czole i przy ustach, na skurczone ciało. Patrzyła i patrzyła, sycąc w sobie uczucie mściwego zadowolenia, wchłaniając z lubością woń tego zdjęcia - ów kwaśny zapach męskiego potu. Przymknęła oczy i wyobrażała sobie, że pewnego dnia zobaczy tak samo zmasakrowaną twarz Wzdreği, Tarchońskiego, a także Kuleszy. Tę samą twarz, której najdrobniejszy szczegół zapamiętała podczas długich nocnych godzin, gdy leżał na niej przy zapalonym świetle żarówki, sapiąc i postępując z rozkoszy.

I gdy to sobie przedstawiała - w podbrzuszu poczuła ciepło. Później zaś doznała nie znanego jej do tej pory wrażenia - męczącego pragnienia otworzenia swego wnętrza i wypełnienia go. Lewą ręką wzięła zdjęcie Budrysa i przybliżyła je do oczu, a prawą zsunęła na szorstkie od włosów podbrzusze. Wrażenie ciepła coraz mocniej obejmowało jej ciało, wędrując od dołu aż do piersi i szyi. Jeszcze niżej, między nogi, wsunęła dłoń i doznała lekkiej rozkoszy, a potem jakiejś delikatnej ulgi. Wtedy zawstydzona się i pośpiesznie odłożyła zdjęcie między brudne koszule. Bezwiednie spojrzała na prawą dłoń. Była mokra - i to ją tak przeraziło, że pobiegła do swego pokoju na górę, gdzie starannie wytarła dłoń połą szlafroka.

Tego dnia już nie zeszła na dół. Jeśli Maryn w ogóle wrócił na noc - kolację zrobił sobie

sam albo przygotował mu ją Horst. To samo stało się ze śniadaniem. Na myśl, że ma spotkać Maryna, budził się w niej wstyd, choć przecież nie mógł być świadom tego, co przeżyła w jego pokoju. A gdy w końcu pojawiła się na dole, aby się umyć, przekonała się, że Maryn pierze w łazience swoje zielone koszule. Wycofała się więc zaraz do kuchni, gdzie Horst ostrzył na ośelce zakrzywiony nóż od obcinania gałązek w sadzie.

- Widziałaś, co on robi? Pierze swoje koszule - szepnął z wyrzutem stary.

- Powiedziałam, że nie będę dla niego służącą - wzruszyła ramionami.

Wiem. Dlatego muszę mu się postarać o kobietę. On nie ma pojęcia o praniu koszul.

- Niech sobie sprowadzi żonę...

- Nie ma żony - zaprzeczył Horst.

Wyobrażenie, że mogłaby prać koszule Maryna i znowu zetknąć się z kwaśnym zapachem potu, którym przesiąknięte było zdjęcie Budrysa, wzbudziło w Weronice niepokój. Nie potrafiła tego zrozumieć, czuła jednak w sobie ów niepokój i to ją irytowało. "Złości mnie, że Horst troszczy się o niego jak o kochankę" - pomyślała, kiedy Maryn skończył pranie i mokre koszule zaczynał rozwieszać na sznurze od bielizny między kurnikiem a stodołą. Sobota pośpieszył za nim i wyniósł ze stodoły leżak - ten, który kiedyś kupił dla Weroniki. Rozstawił go w pobliżu kurnika, aby Maryn opalając się mógł patrzeć na psa. Był zresztą bardzo słoneczny dzień, mocno pachniał las, jeszcze silniej pachniały wodorosty przy brzegu jeziora.

Weronika umyła się, ubrała w kretonową sukienkę z dużym dekoltem i bez rękawów. "Udowodnię mu, że jego bezczelne spojrzenia są mi obojętne, gardzę nimi, podobnie jak gardzę jego osobą" - zdecydowała.

Rozebrany do pasa Maryn leżał na leżaku, opalając się w promieniach słońca. Spod przymrużonych powiek obserwował psa, który od rana niespokojnie kręcił się za ogrodzeniem. Weronika widziała "nagich i półnagich mężczyzn - stary Horst miał ciało wychudłe i skórę wysuszoną, aż szorstką. Kulesza był mocno owłosiony. Piersi, ramiona, a nawet plecy porastał mu czarny puch - i to też wydawało się Weronice wstrętne. "Jak u tego kosmatego psa za siatką" - pomyślała. Nagi tors Maryna wyglądał jednak inaczej. Jego ciało było gładkie jak u kobiety i tylko na piersiach miał trochę jasnych włosów. "Jest goły jak żmija" pomyślała. I była zdziwiona, że są mężczyźni nie porośnięci włosami jak zwierzęta. U Kuleszy widziała pod skórą grube sznury mięśni, jego męska siła ją przerażała, gdyż wiele razy przekonała się o niej, gdy wchodził w nią z bolesną mocą. U Maryna nie zauważyła czegoś takiego - wydawał się szczupły i słaby jak mały chłopiec. A przecież to on zmasakrował wielkiego jak kłoc Budrysa. Musiała więc tkwić w nim siła niezauważalna dla oka. Wyczuł ją zapewne Horst Sobota i dlatego wierzył, że Maryn potrafi zwyciężyć las. Czy ona, Weronika, zdoła dojrzeć źródło tej siły? Przez dłuższy czas, stojąc w oknie kuchennym, nie mogła oderwać oczu od dłoni Maryna, bezwolnie spoczywających na kolanach. To także były jak gdyby kobiece ręce - delikatne, wąskie, smukłe, o długich palcach. "Czym on się zajmował przez całe swoje dotychczasowe życie, że ma takie dłonie?" - zastanawiała się. I była niemal pewna, że na leżaku wygrzewa się

w słońcu nie człowiek, ale dziwny gad, jedynie podobny do człowieka.

Horst Sobota wciąż dreptał wokół Maryna, zatroskany o jego ramię.

Bandaż na ramieniu wyglądał brudno, tu i ówdzie na wierzch przesiąknęła ropa.

Rana się nie goi, bo nóż, który ją zrobił, musiał być zatruty trupim jadem - słyszała przez okno głos Horsta.

- Zagoi się - powiedział Maryn jak gdyby zniecierpliwiony troskliwością starego.

Do kuchni wszedł Horst i z wyrzutem odezwał się do Weroniki:

- Mogłabyś obejrzyć jego ranę. W technikum uczyłaś się udzielania pomocy. Przynajmniej zmień mu bandaż.

Nie chcę - odparła. - Czy to on cię prosił, żebyś to zrobiła?

- Przecież wiesz, że on nigdy o nic nikogo nie poprosi - odrzekł Sobota i zaczął grzebać w apteczce, która wisiała w łazience.

Była zła na siebie, że tak bardzo demonstruje swoją niechęć do Maryna. Bez słowa, z naburmuszoną twarzą odsunęła od szafki Horsta, wyjęła bandaż i gazę, nalała ciepłej wody do miski i z tym wszystkim wyszła na podwórko.

Proszę mi pokazać skaleczenie - odezwała się rozkazująco.

- To niepotrzebne - oświadczył, nie otwierając oczu i nie poruszając się na leżaku.

Wróciła do domu po nożyczki, rozcięła bandaż i choć wiedziała, że będzie bolało, jednym ruchem oderwała go od rany. Maryn nie zaprotestował, w ogóle nic nie mówił i nie otwierał oczu, jak gdyby bał się słońca. Rana dobrze się goiła i tylko w jednym miejscu jeszcze trochę ropiało. Przemyła ją wodą utlenioną, posmarowała penicylinową maścią, założyła opatrunek. Nie miała biustonosza i gdy pochylała się nad mężczyzną rozpartym na leżaku, jej piersi prawie wyszły z dekoltu i mogło się wydawać, że podaje mu je przed oczy jak dwa krągłe owoce. Ale on nie spojrział na nią, choć tego chciała. Brzydziła się pożądlivego wzroku mężczyzny, ale w tej chwili także odkryła w sobie chęć, aby on odczuł pożądanie i żeby ono okazało się dla niego tak samo bolesne jak odrywanie bandaża. Kulesza powiedział jej kiedyś, że pożądanie boli. Dopiero teraz przyszło jej na myśl, że można sobą, swoim ciałem, zadawać komuś ból. I pierwszym, który miał tego bólu zaznać, pragnęła, aby stał się Maryn. On jednak nie otworzył oczu. Jak na złość, to ją właśnie przeniknął rozkoszny tajemny ból. Od tego mężczyzny zalatywała woń jego pokoju - kremu lanolinowego, zagranicznych papierosów i kwaśnego potu. Maryn pachniał jak zdjęcie zmasakrowanej twarzy Budrysa. Nie mogła się opanować, aby znowu nie doznawać mściwej przyjemności na myśl o sponiewieranym Budrysie, a razem z tą przyjemnością odżyło w niej pragnienie, aby dotknąć dłonią swojego podbrzusza. To było trochę bolesne pragnienie, dlatego chciała stąd odejść i pośpiesznie zacisnęła bandaż.

- Dziękuję - rzucił jej Maryn, gdy odchodziła.

Ugotowała obiad i najpierw zawołała Horsta Sobotę, który w stodole zbijał z cieniutkich deseczek skrzynki na tegoroczne owoce. Potem zaprosiła na obiad Maryna.

Horst jak zwykle głośno mlaskał, ponieważ nie miał zębów i szczególnie rozdrabnianie mięsa sprawiało mu trudność. Kulesza, jak to dobrze pamiętała, jadł szybko, połykał duże kawały mięsa. Maryn zaś brał do ust drobne kęsy i jadł bez apetytu, wolno poruszając szczęką. Weronika wiedziała z filmów, że właśnie w taki sposób jedzą ludzie, którzy otrzymali staranne wychowanie. Ale powiedziała:

- Pan tak je, panie Maryn, jakby panu moje jedzenie nie smakowało. Jeśli źle gotuję, to czemu nie sprowadzi pan tutaj żony?

Maryn przestał na chwilę jeść i rzekł z tym swoim półuśmiechem:

- Myślę, że nie mam już żony.

- Co to znaczy, że pan w ten sposób myśli? - wzruszyła ramionami. - Żonę się albo ma, albo się jej nie ma.

- A pani? - zapytał. - Czy pani się nie wydaje, że nie ma pani męża, choć przecież jest i mieszka niedaleko stąd?

Horst zachichotał, a ona nie była w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. Maryn zaś po prostu wstał od stołu, wziął talerz z wołowiną i ziemniakami oblanymi sosem. Wyszedł z tym na pieńek koło siatki, za którą w kurniku tkwił pies. Horst zaraz się usadowił w kuchni przy oknie, aby widzieć Maryna i psa, a ona stanęła obok Horsta i też patrzyła. Dlaczego? Sama nie wiedziała. Chyba przez zwykłą ciekawość.

Maryn przykucnął na pieńku i po swojemu jadł wolno. Pies wylazł z kurnika ze zjeżoną sierścią, ale już po chwili, gdy poczuł zapach jedzenia - niespodziewanie zamachał ogonem. Wtedy Maryn rzucił mu ponad siatką jednego otłuszczonego ziemniaka. Pies skoczył po żółtawą grudkę jedzenia ubranego piaskiem i połknął w ułamku sekundy. I znowu patrzył na Maryna - skamieniały, nieruchomy, wrogi. A Maryn wziął w palce drugiego ziemniaka i pokazał go psu. Uszy psa stuliły się, ogon zaczął poruszać się w lewo i prawo. Ziemniak przeleciał przez ogrodzenie, później kawałek wołowiny. I na tym Maryn poprzestał. Zjadł swój obiad i z pustym talerzem wrócił do kuchni.

- Trochę mnie polubił - oświadczył drwiąco. - Można by ugotować odrobinę kaszy ze skwarkami.

Sobota nie mógł opanować zachwytu.

- To było piękne, Józwa. On cię zaczął lubić. Sam widziałem, jak zamachał ogonem. Teraz ci wierzę, że umiesz tresować ludzi.

- Co takiego? Ludzi? - zapytała ostro Weronika. - Odkąd to tresuje się ludzi?

Horst roześmiał się wesoło.

- Nie słyszałaś, Weroniko, mojej rozmowy z Józwą. On mi oczy otworzył, że ludzie też są tresowani. Żebyś wiedziała, jak mnie tresowali w wojsku. Potem miałem odpowiednią tresurę od leśnych ludzi.

- A jak się ludzi tresuje? - zapytała Weronika.

- Tak jak psa. Głodem i batem - wyjaśnił Horst.

Marynowi ta rozmowa nie sprawiała przyjemności. Zapytał Weronikę o kaszę i słoninę. Chciał ugotować jedzenie dla psa, ale ona już się tym zajęła.

- Zaczekam, aż pani to zrobi, i sam mu zaniosę - rzekł i wyszedł na podwórze.

Pies znowu do niego zamachał ogonem i Maryn wyjął z kieszeni kawałek suchego chleba. Rzucił go psu i ruszył w sad, a za nim drobnymi kroczkami podreptał Horst. "Przede wszystkim to on wytresował sobie Horsta" - pomyślała Weronika.

Kiedy jedzenie dla psa było gotowe, poszła do sadu i zobaczyła Horsta i Maryna siedzących na starym pomoście, z nogami w dziurawej łódce. O czym rozmawiali - nie wiedziała. Najpewniej o lesie, bo Horst wydał jej się dziwnie ożywiony, a nawet szczęśliwy. Ramię w ramię z Weroniką powracał Maryn ścieżką przez sad, Horst zaś dreptał za nimi. Weronika milczała, ponieważ raptem uświadomiła sobie, że dopóki tu będzie ten obcy człowiek, ona pozostanie jedynie służącą wykonującą jego rozkazy, nawet jeśli to nie on je będzie wydawał. Szła obok Maryna coraz bardziej gniewna, bo zarazem czuła po sprawiedliwości, że jej się to upokorzenie należało za to, co uczyniła Horstowi. I że ten obcy człowiek - też oceniając po sprawiedliwości - wcale się nie narzucał Horstowi ani tym bardziej jej, Weronice. To przecież Horst go zaprosił do siebie, ofiarował mieszkanie i utrzymanie, choć tamten chciał za wszystko zapłacić. Nie Maryn był winien, że Horst był szalony swoją nienawiścią do lasu. Ale także nie umiała z całą pewnością stwierdzić, czy rzeczywiście lasu nie należało nienawidzić. Albo przynajmniej nienawidzić leśnych ludzi za to, co zrobili kiedyś Horstowi i jej, Weronice, co uczynili ze starym cmentarzem na Wilczym Rogu. I to ją także gniewało, że mogła przecież iść za Marynem albo przed Marynem, szła jednak obok niego, gdyż wiał lekki wiatr od zachodu i co chwila wdychała zapach tego mężczyzny, ową kwaśną woń potu, która jej przypominała zmasakrowaną twarz Budrysa.

W kuchni Józef Maryn wziął do ręki garnek z kaszą i skwarkami, wyszedł z nim na podwórze, znalazł starą miskę, która kiedyś służyła na jedzenie dla kaczek. Do miski włożył kilka garści kaszy, potem wyniósł pejcz ze stajni i w lewej dłoni trzymając miskę, a w prawej pejcz, ostrożnie otworzył furtkę w siatce ogradzającej kurnik. Wszedł za ogrodzenie i pochyliwszy się stuknął miską o ziemię. A wtedy wybiegł z kurnika pies, chciał rzucić się na Maryna, lecz poczuł zapach jedzenia. Przystanął i wolno zaczął podchodzić do miski. Ogon miał podkulony, uszy stulone, z gardła wydobywało się ciche warczenie. Zbliżył się jednak do miski

i łapczywie zaczął jeść. Krótka to trwało, bo jedzenia nie było wiele, głodu nie nasycił, co najwyżej jeszcze większy się w nim odezwał. Tymczasem Maryn z pustą miską w ręku zrobił krok do tyłu, do uchylonej furtki. I wtedy pies, z głośnym charkotem wydobywającym mu się z rozwartego pyska, chciał skoczyć na Maryna, ale spadł na jego grzbiet ostry bicz. Potem bat świsnął jeszcze raz i jeszcze raz, aż pies - skowycząc - uciekł do kurnika.

Maryn znalazł się za furtką, przełożył jedzenie z garnka do miski, tym razem więcej niż poprzednio. Śmiało wszedł za ogrodzenie i stuknął miską o ziemię. W prawej ręce trzymał pejcz, lewa zajęta była miską. Pies wyjrzał z kurnika. Patrzył na miskę, na pejcz, na Maryna. Trwało to długo - tak długo, że Weronika, Retora obserwowała wszystko przez kuchenne okno - chciała krzyknąć, bo wydawało jej się, że to ona otrzymała te wszystkie razy. A potem ujrzała, jak pies przywarował do ziemi i powoli zaczął się w milczeniu czołgać do Maryna i miski. Czołgał się strasznie długo, aż wreszcie dotarł do jedzenia i ciągle rozplaszczony ze strachu zaczął zreć łapczywie. Kiedy zaś wylizał miskę do czysta i Maryn zrobił lekki ruch ręką, jak gdyby chciał go uderzyć pejczem, pies umknął do kurnika. W garnku pozostało jeszcze sporo kaszy ze skwarkami, lecz Maryn odniósł ją do kuchni, gdzie Horst objął go pełnym zachwytem wzrokiem.

- To było ohydne - stwierdziła Weronika. - Słusznie - zgodził się Maryn.

Horst zatarł ręce.

- Jak myślisz, Józwa? Zrobisz z niego posłusznego psa?

- To już jest posłuszny pies - odrzekł Maryn.

Horst wyszedł na podwórze, zbliżył się do siatki i uderzył w nią dłonią. Pies wyskoczył z kurnika i charkocząc wściekle skoczył na siatkę przednimi łapami. A potem wyszedł z domu Maryn z miską w ręku i gdy tylko pies go zobaczył, jego łapy zsunęły się z siatki, zwierzę odstaąpiło na dwa kroki od siatki i popatrzyło wyczekująco, machając wolno ogonem. Wówczas Maryn wrócił do kuchni, napełnił znowu miskę i zaniósł ją psu. Bez najmniejszego strachu otworzył furtkę i miskę postawił na ziemi. Pies ciągle machając ogonem i tuląc uszy podszedł do miski, a Maryn zamknął za sobą furtkę.

- On cię już kocha - oświadczył Horst.

- Jutro rano, gdy będę próbował zabrać pustą miskę, być może rzuci się na mnie. Ale to będzie ostatnia próba zachowania godności. Tę resztkę wypędzi z niego mój bat.

Późnym popołudniem Maryn jak zwykle pojechał do lasu. Wtedy Weronika zdjęła ze sznura wyschnięte zielone koszule i wyprasowała je. Czemu to uczyniła? Nie wiedziała, a raczej nie chciała wiedzieć. Dopiero kiedy z wyprasowanymi koszulami weszła do pokoju Maryna i otworzyła szafę, aby je położyć na półce, zrozumiała, że po prostu wstyd jej było zakradać się tutaj jak złodziejce. Przyszła z koszulami i mogła znowu popatrzeć na zdjęcia, które leżały na półce.

Tym razem dokładnie obejrzała fotografię człowieka, który prosto w obiektyw aparatu fotograficznego mierzył ze swojej strzelby, a na innym zdjęciu, już bez tej strzelby leżał na ziemi z twarzą wykrzywioną cierpieniem. Tak, to chyba był jednak ten trzeci mężczyzna, który w młodniku, kiedy była prawie nieprzytomna od wódki i wszystko widziała jak gdyby przez mgłę, położył się na niej po Budrysie i Karasiu i nadziewał ją jak na kołek, wykrzywiając twarz z takim samym wyrazem jak na zdjęciu zrobionym przez Maryna. Tylko że wtedy to był grymas rozkoszy, a tutaj cierpienia i bólu.

I znowu wzięła to zdjęcie w lewą rękę i przybliżyła do oczu, a prawą zadarła sukienkę. Po chwili ze zdziwieniem popatrzyła na swoje palce pokryte wilgotną rosą, ale już nie pobiegła na górę, żeby je wytrzeć ze wstrętem. Podniosła je do twarzy i po raz pierwszy w życiu zapach jej własnego ciała napełnił ją pożądaniem. Była tym tak oszołomiona, że jak pijana wyszła na podwórze. "Mam jakąś tajemnicę i dlatego jestem inna niż wszystkie" - pomyślała.

Usłyszała głosy przy bramie i tam skierowała kroki.

Za bramą stał Horst Sobota, a obok niego na swoim motocyklu siedział Karol Stęborek.

- Czy widzi pan, panie Sobota, te ostrugane patyki leżące na dnie zwirowni obok pańskiego domu i sadu? Jutro wczesnym rankiem przyjedzie tutaj rzeczoznawca z wojewódzkiego urzędu i wyznaczy miejsce na tartak. Dzień i noc będzie tu zgrzytał trak, a wiatr poniesie trociny na pańskie drzewa owocowe. Niech pan sprzeda ten dom, zanim będzie za późno.

Horst Sobota odwrócił się na pięcie i jak ślepy, nie zauważywszy Weroniki, bezgłośnie poruszając bezzębnymi ustami poszedł prosto do szopy. A Karol Stęborek, wygodnie usadowiony na motocyklu, wołał radośnie za nim:

- Tu będzie tartak... tartak... tartak...

Stęborek podniósł na czoło motocyklowe okulary i Weronika widziała jego oczy - szeroko otwarte i pełne wyrazu ogromnego szczęścia. Bo Stęborek czuł, że stał się złym człowiekiem; miał po drugiej stronie drogi ciemną ścianę lasu, który go teraz na pewno pokocha.

- Tartak... tartak... - wołał Stęborek.

Weronika pobiegła za Horstem. Stary wszedł do szopy, zdjął wieko z trumny i zaczął się do niej gramolić.

- Horst! Horst! Co ty robisz? - wykrzyknęła, chwytając go za ramiona.

- Odejdź, kobieto, bo cię uderzę. Odejdź, mówię ci, i daj mi umrzeć. Maryn może zwyciężyć las, ale nie zwycięży tartaku. Odejdź, kobieto, i daj mi umrzeć.

Mówił cicho, ale tak stanowczo, że puściła jego ramię. On zaś wreszcie wszedł do trumny, wyciągnął się w niej i złożony dłońmi na piersiach zamknął oczy. Wyglądał jak umarły i to obezwładniło Weronikę. Jak gdyby we śnie wyszła z szopy i podeszła do bramy, za którą die było już Stęborka. Zobaczyła jednak okorowane żółte paliki, leżące tuż za ich płotem na dnie

starej żwirowni. Ogarnął ją lęk, gdyż bała się zmarłych, a niemal uwierzyła, że Horst Sobota już umarł i leży w szopie. Stała przy bramie i patrzyła na drogę - bezradna i przerażona. Dopiero gdy przeniknął ją dreszcz wieczornego chłodu, pojęła, że czeka na powrót Maryna. I choć go nienawidzi - to przecież pragnie jego powrotu, bo tylko on może jej pomóc, coś doradzić.

Zapadła noc, wraz z nią wypełznął z lasu nieprzenikniony mrok. I było tak, jak gdyby las już objął w posiadanie ich dom, sad, a nawet jezioro. Wiatr zahuczał w gałęziach niewidocznych w mroku drzew, poczuła jeszcze większe przerażenie i pobiegła do kuchni, gdzie zapaliła światło. Usiadła przy stole i wciąż czekała na Maryna. Nie potrafiła na żadnej sprawie skupić myśli, podjąć żadnej decyzji. Po prostu siedziała nieruchomo przy stole i nawet bała się spojrzeć w mrok za oknem. Gapiła się bezmyślnie w barwną ceratę na stole i nie zauważyła, że mijają godziny.

Ocknęła się po pomocy. Maryna jeszcze nie było. I znowu zjawił się strach - tym razem także o niego. To przecież nie było bezpieczne chwycić kłusowników. Dlaczego nie pamiętała o tym, gdy oglądała zdjęcia - zmasakrowane twarze i pokurczone z bólu postacie? "Jego też zabili" - przeszło jej przez myśl. I zaraz jeszcze większy lęk ją ogarnął, że pomyślała "też", a to znaczyło - Horst umarł. Tymczasem on zapewne wciąż żywy leży w trumnie. Powinna pójść do niego, aby się o tym przekonać, nakłonić do powrotu do domu. Ale bała się. Pozostał w niej lęk, że wejdzie tam, dotknie twarzy Horsta i przekona się - Horst jest zimny. "Wróć, wróć, wróć" - szeptała błagalnie, modląc się o powrót Maryna. A potem położyła głowę na rękach.

...Śniło jej się, że Maryn leży martwy i nagi, a ona dotyka krwawiącej rany na jego piersiach i czuje w podbrzuszu bolesny żar, jak wtedy gdy pierwszy raz wszedł w nią Budrys. We śnie walczyła z Budrysem o zakrwawionej twarzy, odpychała go od siebie, była jednak bezwolna i bezsilna...

Zbudziło ją głośnie ujadanie psa za drucianą siatką. Nastął dzień, słońce było wysoko, po całym podwórzu rozlewał się jego blask. Pies ujrzał klacz, z której właśnie zeskoczył Maryn, i klacz podeszła blisko siatki.

- Panie Maryn! Panie Maryn! - wybiegła z kuchni. - Horst umarł. Tak, umarł, bo na żwirowni budują tartak.

Nie zauważyła, że mundur, twarz i ręce Maryna są uwalane błotem. Zakryła twarz dłońmi i zaczęła głośnie płakać, bełkocząc o tartaku i śmierci Horsta. Ocknęła się, gdy Maryn chwycił ją mocno za przegub ręki i ścisnął aż do bólu.

- Gdzie on jest? Gdzie Horst?

Poprowadziła go do szopy i otworzyła szeroko drzwi. Blask słońca wpadł do środka, prosto na zapadnięte policzki leżącego w trumnie starca.

- Horst, obudź się - powiedział spokojnie Maryn. - Na starej żwirowni nie będzie tartaku. Właśnie wracałem z lasu i na chwilę zatrzymałem się przy ludziach, którzy się tam od rana kręcili. Ktoś mi powiedział, że żwirownia leży za blisko jeziora i będą musieli zmienić

lokalizację. Za blisko jeziora, Horst. Tartak może stanąć co najmniej o pięćset metrów od lustra wody. Tak oświadczył rzeczoznawca. Tartak zbudują na ziemi niejakiego Łukty, tuż koło leśniczówki Stęborka.

Horst otworzył oczy. Usiadł powoli, gdyż bolało go w krzyżu. Weronika objęła starego ramionami i chciała mu pomóc wyjść z trumny.

Sam się jednak wygramolił. Patrzył na Maryna, jak gdyby nagle widział przed sobą żywego Pana Boga albo szatana.

- Dostaniesz ode mnie kobietę, Maryn - rzekł po chwili, z trudem wymawiając każde słowo. - Dostaniesz kobietę, taką jaką lubisz. Bo ta... - wskazał na Weronikę - ...bo ta ci się nie podoba.

Rozdział ósmy

Weronika wyprowadziła z szopy bardzo drogi rower z japońską przerzutką, który jej kiedyś kupił Horst Sobota, i piaszczystą drogą wzdłuż skraju lasu dostała się na asfaltową szosę. Tutaj skręciła w stronę odległej o trzy kilometry wioski, zaledwie rzucając okiem na mijaną po drodze osadę leśną Mordęgi - kilka rzędów bliźniaczych domów, zbudowanych z białej cegły i przykrytych szarymi dachami z eternitu. Każdy z tych domów miał niewielkie podwórko ogrodzone siatką oraz zabudowania gospodarcze na krowę lub świnie. Ale mało który z robotników leśnych (bo oni głównie zamieszkiwali tę osadę) miał krowę lub świnie, a nawet trzymał kury, kaczkę czy gęsi, choć każdemu przysługiwało deputatowe półtora hektara ziemi ornej oraz pastwiska. Mieli też prawo do dzierżawy gruntów państwowych.

Na podwórkach roiło się od dzieciaków, a przed sklepem w osadzie zawsze stała długa kolejka kobiet. Kupowały wszystko, co się dało - jajka, mleko, wędliny, mrożony drób, sery, nie mówiąc o chlebie czy bułkach. Prosiły sklepową, aby sprowadzała nawet marchew i cebulę. Rzadko która bowiem uprawiała przydomowy ogródek warzywny. Ich mężowie dobrze zarabiali w lesie, nawet lepiej niż leśnicy i gajowi, i choć bez przerwy narzekały na ciężki los, przydzielone im pola przeważnie zarastały chwastami, co gniewało rolników z pobliskiej wioski, ponieważ nasiona chwastów wiatr przenosił na ich uprawne pola. Horst Sobota podobnie jak inni rolnicy z pogardą i nieufnością odnosił się do "leśnych ludzi" - jak ich nazywano. Często byli pijani, brudni, podobnie też brudno wyglądały ich dzieci, całymi godzinami wysiadujące w przydrożnym rowie i rzucające kamieniami w samochody na szosie. Horst twierdził, że tym ludziom las odebrał duszę. Lecz prawda wyglądała inaczej. Każdy z "leśnych ludzi" w przeszłości szukał zarobku w jakimś mieście, w wielkiej fabryce, na potężnej budowie, w kopalni lub hucie. Ale nie wytrzymywali narzuconego im tempa pracy, koniecznej punktualności, życia w ludzkim zespole. Po kilkanaście razy zmieniali miejsce zatrudnienia, aż w końcu trafiali do lasów, gdyż ofiarowały im mieszkania oraz pracę, która nie wymagała punktualności. Leśniczy lub gajowy po prostu wyznaczał robotnikowi trzebież jakiegoś skrawka lasu, czyszczenie młodnika, korowanie pni na słupy telegraficzne albo papierówkę. Każdy robił sam, co mu wyznaczono - nikt też nie był w stanie sprawdzić, czy zaczął pracę o wyznaczonej godzinie. Jedynie podczas zrębów musieli pracować razem, ale także w małych grupach. Zarabiali bardzo różnie, niektórzy tylko tyle, aby otrzymać podstawową część wynagrodzenia oraz przysługujący wtedy dodatek na niepracującą żonę i gromadę dzieciaków. Sposób zapłaty za robotę nie sprzyjał wysiłkowi rąk - lepiej było powiększyć wypłatę o jeszcze jedną dodatkową kwotę na kolejne nowe dziecko. Do tego się też sprowadzały ich ambicje i zainteresowania.

W całej osadzie nie prenumerowano ani jednej gazety, w żadnym mieszkaniu nie było książki, a wśród prymitywnych sprzętów jedynym wyróżniającym się pozostawał telewizor. Gdzie spojrzeli, zamykała ich ściana lasu. Być może to dlatego ich umysły, pragnienia i nadzieje też wydawały się ściśnięte jakąś wielką obręczą. Ogromny las ze swoim powolnym wzrostem i praca wykonywana bez udziału innych dawały im poczucie wolności; do lasu łatwiej się im było przystosować niż do życia w zespole ludzkim. Toteż raz po raz milicyjny ułaz musiał

przyjeżdżać do osady leśnej, aby przerywać bójkę i awantury rodzinne, spowodowane pijaństwem i zazdrością. Nic bowiem poza wódką, babskim tyłkiem czy męskim kutasem nie obchodziło tych ludzi. Jako zabawną historyjkę opowiadano o młodej żonie pewnego drwala, co to dopiero sprowadziła się do osady, kazała mężowi obsadzić pole ziemniakami, uprawiała i podlewała ogródek, kupiła młode kurczaki i kaczki. A potem co noc ktoś jej wykopywał ziemniaki, kradł marchew i cebulę z ogródka, ginąc zaczęły kurczęta i kaczki. Aż po roku i ona stała się taka jak inne - zaczęła chodzić po wszystko do sklepu i godzinami strzępiła język na bezsensownych plotkach, podglądała, jak prowadzą się inne kobiety, dokąd wieczorami chodzą ich mężowie. Starzały się szybko, po drugim i trzecim dziecku traciły zęby, schły jak wióry albo stawały się podobne do beczek z sadłem. Albowiem - jak mówił Horst Sobota - las odebrał im dusze, ale pozostawił ciała, żołądki, gardła i języki.

Piękny dom Horsta Soboty, z gankiem i kolorowymi szybkami, jego rozległy sad owocowy - był w tej enklawie brzydoty i lenistwa jakimś obcym i wrogim ciałem. Chciwie spoglądano na dojrzewające na gałęziach dorodne wiśnie, gruszki, jabłka i śliwki. Lecz jeśli Sobota potrzebował kogoś do pomocy przy zrywaniu owoców, nie znajdował go wśród niepracujących przecież leśnych kobiet ani nawet nie chciano przysłać mu do pomocy jakiegoś dzieciaka. Owszem, od czasu do czasu gromady wyrostków z osady leśnej czyniły złodziejskie wyprawy do sadu, ale sad ogrodzony był wysoką siatką, a ponadto Horst Sobota miał strzelbę i nocami, na przemian z Weroniką, pilnował owoców. Sobocie pomagali jedynie rolnicy z wioski. Chłopki przysyłały mu dorastające dziewczyny lub chłopaków, w zamian za owoce, które zamykały w słoikach na zimę. Nie miał też Sobota kłopotu z kupnem jajek, kurczaków, kury czy też kaczki - jeśli obiecał skrzynkę jabłek zimowych albo słodkich gruszek. Zresztą Horst Sobota był bogaty, o czym we wsi wiedzano, a ten fakt budził tam szacunek.

Mijając osadę leśną, przez krótką chwilę pomyślała Weronika, co też kobiety z osady, a także mężczyźni sądzą o jej ucieczce od leśniczego Kuleszy. Wszelkie wieści biegnęły tu po niewidzialnych drutach, szybciej niż telegram. O tym, co się stało owego wieczoru u Kuleszy, nie utrzymał języka w gębie ani traktorzysta Budrys, ani gajowy Wzdrenga - przyczyna ucieczki była więc wszystkim znana. Tylko że dla tamtejszych mężczyzn taka sprawa w ogóle się nie liczyła, a kobietom wydawała się po prostu niezrozumiała. Dla mężczyzn stała się zwykłą dziwką, która wolała starego Horsta, dla kobiet jakimś dziwolągiem, żeby nie powiedzieć: wariatką. Co innego, gdyby Kulesza upijał się co noc albo bił Weronikę od razu po ślubie, choć i to nie musiało być aż tak ważne, jeśli kobieta kochała mężczyznę, a mężczyzna kochał kobietę. Jedyne, o co zapewne pytały: czy Kulesza oddawał Weronice całą wypłatę, czy też dużą jej część zostawiał dla siebie i kolegów. Albowiem to, a nie co innego liczyło się dla owych kobiet jako sprawa najważniejsza w pożyciu z mężczyzną.

Nie mogła więc liczyć Weronika ze strony ludzi w osadzie ani na zrozumienie, ani na współczucie, lecz jedynie na potępienie. Zapewne przypominano sobie, jak to młodą dziewczyną będąc, upiła się podczas sadzenia lasu i wielu ją wtedy miało; niejeden mężczyzna przechwalał się, że i on w tym uczestniczył i sobie wygodził. Drwiny, śmiech, szyderstwo, posądzenia o to, że żyła ze starym Horstem i dlatego porzuciła męża - tego jedynie mogła się spodziewać. I dlatego gdy mijała osadę, szybciej zaczęła pedałowac, czując, jak jej w piersiach serce twardnieje. Nigdy też nie była tak bliska zrozumienia nienawiści, jaką Horst Sobota

obdarzał las i leśnych ludzi. Zdawało jej się, że teraz oto pojęła istotę owej nienawiści i że ją całkowicie podziela. Dlatego więc pedałowiała coraz szybciej, a wiatr i pęd powietrza podnosił jej cienką spódniczkę, obnażając jabłka kolan i śniade uda. Nie czuła - jak dawniej - ani odrobiny wstydu i nie obciągnęła spódniczki, kiedy mijala jakiegoś drwala z motorową piłą na ramieniu, tasakiem lub siekierą i widziała ich zachłanne spojrzenia skierowane na jej uda. Obmierzłe dawniej męskie pożądanie - teraz budziło w niej jakąś mściwą radość. "Niech ich dręczy głód pragnienia. Nigdy mnie już żaden nie dostanie" - takich zapewne dobierałaby słów, gdyby chciała wyrazić swoje uczucia. Ale nie czyniła tego, ponieważ zarazem miała przykrą świadomość, że jest istotą niejako podwójnie okaleczoną; jej uda nie rozchyła się już nigdy dla żadnego mężczyzny. Lecz skoro kalectwo pozostawało tylko jej wyłączną tajemnicą, czy nie mogła mścić się na tych, co je spowodowali, drażnić ich własnym ciałem i odczuwać mściwej radości?

Jechała do wsi, aby kupić gęś dla Józefa Maryna, bo tak kazał jej zrobić Horst Sobota. Maryn musiał się dobrze odżywiać, aby móc walczyć z lasem i leśnymi ludźmi. Sobota uznał, że Maryn wskrzesił go po raz drugi - to nie było tak, gdyż nie umarł naprawdę, a poza tym sam Maryn powiedział Horstowi, że to nie on, ale przepisy spowodowały zmianę decyzji o lokalizacji tartaku. Nastąpił szczęśliwy dla Soboty przypadek - Maryn nie chciał go traktować jako własnej zasługi, lecz Horsta nikt nie potrafił przekonać. W jego wyobrażeniu to Maryn zwyciężył Stęborka i zniszczył tartak i dlatego Weronika musiała teraz jechać do wsi, aby kupić gęś. "Tłustą gęś" - jak zaznaczył stary.

Weronika nie lubiła Maryna. Przez ten szczęśliwy przypadek nie lubiła go coraz bardziej, gdyż w Horście rozbudził jeszcze większą miłość do siebie. Wydawało się jej, że z Horstowej miłości do niej, Weroniki, już niewiele pozostało - jest w domu Soboty nikim, zwykłą służącą. Chwilami sądziła, że nie lubi Maryna niejako podwójnie - za to, że był świadkiem jej hańby i nie zrobił gestu (a przecież był to silny człowiek, a nie żaden tchórz), żeby ona owej hańby uniknęła. A poza tym ukradł (bo tak to określała) miłość, jaką darzył ją Horst Sobota, oraz sprowadził ją do roli zwykłej służącej w domu, który wydawał jej się dawniej niemal własnością. Oczywiście, zawiniła wobec Horsta - ale on ją chyba zrozumiał i powinien wybaczyć. Wykorzystał to jednak ów obcy człowiek i zajął jej miejsce. O tak, miała za co nie lubić Maryna i i traktować jak wroga.

Ale istniało też coś dziwnego, czego pojąć nie potrafiła. Oto sam widok Maryna - jego chłopięcej sylwetki, jego białych zębów i pogardliwego uśmiechu, nade wszystko zaś zapach, który od niego czuła: drogich papierosów, lanolinowego kremu i męskiego potu - napełniał Weronikę jakimś nieokreślonym niepokojem i tęsknotą. O co się niepokoiła - nie wiedziała. Za czym tęskniła - nie pojmowała. Ale przecież nie potrafiła zaprzeczyć, że tej nocy, gdy Horst położył się do trumny, gdyż Stęborek powiedział mu o tartaku w starej żwirowni, modliła się o powrót Maryna, o jego obecność w domu. A nawet przeżyła chwile strachu na myśl, że mogło go spotkać w lesie coś złego. Nie umiała zapomnieć, że dał jej mściwą przyjemność - masakrując twarz Budrysa i innych, którzy ją kiedyś pohańbili. I nie umiała też tego ukryć przed sobą, że gdy Maryna nie było w domu - czegoś jej brakowało, a nawet niecierpliwiła się, że on tak długo nie wraca. Można by pomyśleć, że nagle polubiła to, co ją niepokoi. To było tak, jak gdyby ktoś chciał mieć wciąż obok siebie obiekt swojej niechęci, pragnął się samoudręczać tą

obecnością, ba, zaczynał tęsknić, gdy przestawał odczuwać samoudręczenie. Bo jak wytłumaczyć fakt, że kiedy Maryn nieco dłużej pozostawał poza domem, ona szła do jego pokoju, otwierała szafę i wdychała zapach jego rzeczy, oglądała straszne zdjęcia - za każdym razem (choć ostatnio już coraz słabiej) doznając przenikliwego ciepła w podbrzuszu i odkrywając wstrętną wilgoć na palcach. Czemu też tak mocno dotknęły ją słowa Horsta Soboty, które powiedział gramoląc się z trumny: "Znajdę dla ciebie kobietę, bo ta ci się nie podoba". Powinna przecież być zadowolona, że Horst ją szanuje, nie myśli o niej jak o dziwce dla tego obcego człowieka. I że skoro nie podobała się Marynowi, to tym lepiej - nie będzie jej napastował, z jego strony nie grozi jej męska pożądlivość. "Ugodził moją głupią ambicję" - pomyślała i postanowiła zapomnieć o słowach Horsta. Bo i po co takiej kobiecie jak ona jakaś tam ambicja, żeby się podobać, skoro była podwójną kaleką, nie chciała niczyjej pożądlivości, a jeśli już czegoś w życiu oczekiwała, to może miłości czystej, prawdziwej, pozbawionej pożądlano, jak u tych mężczyzn i kobiet, o których kiedyś Kuleszy opowiadał Maryn. A jednak, choć tego nie chciała, nie zapomniała słów Horsta i odtąd przy każdej okazji chodziła po domu w kusych strojach, na śniadanie i do kolacji zarzucała na gołe ciało szlafrok i tak czyniła, aby raz po raz odkrywał się przed Marynem skrawek piersi lub uda. Niecierpliwie oczekiwała, że pochwyti ukradkowe i pożądlive spojrzenie Maryna, a wówczas - jak to sobie tłumaczyła - zada mu ból. Ale w rzeczywistości czy nie zależało jej po prostu na tym, aby zadać kłam słowom Horsta, że nie podoba się Marynowi? Bo niby dlaczego miałyby mu się nie podobać, jeśli zachłannie patrzyło na nią tylu innych? Czyż nie zapewniał jej Kulesza, że podoba się wszystkim mężczyznom? Czy nie budziła nieustannego pożądlano u Kuleszy i choć to było obrzydliwe i doprowadziło do jej hańby, to przecież musiało być prawdziwe. Niepodobna, aby mężczyźni aż tak bardzo różnili się między sobą i ów obcy człowiek pozostawał obojętny na jej ciało. Nie, on tylko swoje pożądlano przed nią specjalnie ukrywał. Albo, co gorsza, po prostu nią gardził, gdyż już się dowiedział, że pohańbiono ją w lesie, i sam był świadkiem jej hańby w domu Kuleszy. Tak, to możliwe, że się jej, Weroniki, po prostu brzydził. Dlatego musi coś takiego urządzić, na przykład nie zamknąć drzwi łazienki, aby ją Maryn, niby to przypadkiem, zobaczył naga. Jeśli tylko ukrywa przed nią swoje pożądlano - wówczas na pewno nie zdoła się opanować i pochwyti jego zachłanne spojrzenie. Bo przecież kiedyś, w kuchni, gdy była w sukience z dużym dekoltem, popatrzył na nią pożądlive, a nawet bezczelnie. Była głupia, że natychmiast uciekła z kuchni i przebrała się w spódnice i bluzkę zapiętą wysoko pod szyję. Odtąd już nigdy na nią w taki sam sposób nie zwrócił uwagi. Co gorsza - czasami miała wrażenie, że ją traktuje jak rzecz, jak szafę z wystającym gwoździem, który należy omijać, gdyż można sobie o niego rozedrzeć ubranie.

A jednak nie zaprotestowała, jak to miała w zwyczaju, gdy jej Horst kazał jechać po gęś dla Maryna. Pomyślała nie bez przyjemności, że upiecze tę gęś tak smacznie jak nigdy dotychczas. Maryn usiądzie przy stole i będzie jadł wolniutko, drobnymi kęsami, ona zaś usadowi się naprzeciw niego i to tak, że sukienka odsłoni jej kolana i śniade uda. I tym razem - to ona popatrzy bezczelnym wzrokiem na niego, ośmieli mu się zajrzeć w oczy. Gdyby mogła w tym spojrzeniu przekazać coś takiego jak pożądlano, może zmieszałby się jak wstydliva panienka, jak ona kiedyś. Tylko że pożądlano chyba nie można udawać, ona nawet nie wie, co to za uczucie. No, może troszkę już wie. Doznała tego, oglądając zdjęcia w pokoju Maryna. Czy było to jednak prawdziwe pożądlano? Powinien je wzbudzać jakiś mężczyzna, a nie fotografia. Dlatego ten eksperyment z bezczelnym i pożądlivym spojrzeniem rzuconym na Maryna nie może

się udać i on nie da się nabrać. Zamiast tego Weronika po prostu popatrzy sobie na jedzącego Maryna i zapyta go, czy mu smakowała gęś. I sprawi tym przyjemność Horstowi, że nie traktuje Maryna jako wroga...

Wieś - przeważnie zbudowane z czerwonej cegły zagrody - leżała tuż za łagodnym zakrętem szosy. Przy drodze rosły stare klony, tu i ówdzie zieleniły się żywopłoty ze śliwy syberyjskiej, a w ogródkach koło domów - stare wysokopienne grusze i jabłonie, które mało rodziły owoców. Z tego miejsca nie widziało się już lasu - wszędzie rozciągały się pola uprawne i tafla jeziora z zielonymi szuwarami u brzegu. Tu oddychało się jakoś inaczej - głębiej i lżej. I było się jak gdyby bliżej nieba i płynących po nim chmur, gnanych wiatrem. Weronika pomyślała, że we wsi stary Horst czułby się bezpiecznie, nie słyszałby mowy lasu i nie lękałby się, że od wczesnej wiosny do późnej jesieni las usiłuje zdradziecko przekroczyć drogę i wejść na skrawek jego ziemi. Ale na to nie było rady - Horst nigdy nie sprzeda swego domu i nie przenieś się na wieś, choć miał tutaj wielu krewnych.

Z bramy trzeciej od zakrętu zagrody, należącej do Leśniaków, wyjechał traktor z przyczepą pełną gnoju. Weronika skręciła na podwórze, gdzie wsparta na widłach stała Leśniakowa - w chustce, w za dużych gumowych butach na nogach i odpoczywała, bezmyślnie wpatrując się w rozwarte odrzwia obory, skąd przed chwilą wyrzucała nawóz. Była tylko o trzy lata starsza od Weroniki, ale już miała dwoje dzieci. Pod szarą spódnicą bardzo wypukły brzuch kazał przypuszczać, że spodziewa się trzeciego.

Leśniakowa uśmiechnęła się do Weroniki ustami, w których z przodu brakowało dwóch zębów. Zapomniała o zmęczeniu. Była z domu Stolz i stąd daleką krewną drugiej żony Horsta Soboty. To od niej cała wieś wiedziała o jesionowej trumnie, o Weronice, z którą była na "ty", właśnie z powodu pokrewieństwa z drugą żoną Soboty.

- Horst mówił mi, że chcesz sprzedać gęś - odezwała się Weronika.

- Tak. Ale za wiadro wiśni, jeśli obrodzą - uśmiechnęła się do Weroniki, ponieważ dużo sobie obiecywała różnych nowych wiadomości po spotkaniu z dziewczyną od Horsta. - Chciałabym zamknąć trochę wiśni w słoiki.

- W porządku. Może być i tak. Dostaniesz nawet i dwa wiadra. - Weronika postawiła rower pod ścianą domu.

Leśniakowa wbiła widły w ziemię, wygoniła dzieciaki z gnojówki i zaprosiła Weronikę na kulawą ławkę przed domem.

- Na jajkach gęsi posadziłam kurę. Co mi po starych gęsiach, jeśli będą nowe? Myślałam, że Horst się gniewa na ciebie za to, że poszłaś za leśniczego.

- Rzuciłam go - spokojnie powiedziała Weronika, choć tamta o tym na pewno już wiedziała. Do dobrego tonu należało udawać niewiedzę. Że to niby człowiek zajęty pracą nie ma czasu na interesowanie się życiem innych ludzi.

Leśniakowa pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Horst jest stary i wszystko po nim dostaniesz. Będiesz bogata, a przy tym co byś miała? Zresztą on nie wyglądał na takiego, co kobiecie potrafi dogodzić. Nawet się dziwiłam, że się za niego wydajesz. Kawał kobiety z ciebie, a on z miasta, delikatny. Tobie potrzebne co innego.

I Weronika milczała. Nie mogła opanować rumieńca, który jak to czuła - ogarnął szyję i wypełznął na policzki. Zawsze tak było, że ilekroć kobiety sam na sam się znalazły, tylko albo o dzieciach, albo o świństwach gadały. Jakby nie istniały żadne inne sprawy poza tym, co mężczyźni mają między nogami. I dlaczego to ona była inna - brzydziła się takim gadaniem, brzydziła się też tym, co mężczyźni mieli między nogami. Mogła przerwać tę rozmowę, ale przecież nie chciała. Coś ją ciągnęło, aby się jeszcze raz utwierdzić w przekonaniu o swojej inności.

- On nie był delikatny. Ale nie wiem dlaczego, źle mi się z nim żyło - odezwała się, żeby podtrzymać rozmowę.

- Nie pojdziesz tej sprawy tak łatwo - zgodziła się Leśniakowa.

- Nigdy nie byłam święta. To pierwsze dziecko, jak wiesz, mam po zabawie w Pudrach i nawet nie wiem z kim. Ale dopiero jak wyszłam za mąż za Leśniaka, poczułam się dobrze. Wystarczy, że wieczorem na mnie spojrzy, a czuję się jak ugotowana. To znaczy, takie gorąco mam w sobie, jakby coś się we mnie gotowało. Co noc z nim muszę coś mieć, bo jak nie, to rano mnie głowa boli. On czasem nie chce, bo jest zmęczony, ale ja o swoje zawsze się upomnę, choć z tego są dzieci. Czasami to tak sobie dogadzam, że na tyłku nie mogę usiąść. Nie chciałabym mieć więcej dzieci, trójka przecież wystarczy. Ale swój ciągnie do swego - zachichotała, dotykając podbrzusza. - To wszystko trudno zrozumieć, ale tego jestem pewna, że ten leśnik był dla ciebie za lekki. Mężczyzna powinien być tak ciężki, żeby kobiecie wydawało się, że się pod nim dusi. Bo z tego bierze się przyjemność.

- Odeszłam, bo wziął mnie siłą, i to z pomocą innych ludzi - wyjaśniła Weronika.

Tamta wzruszyła ramionami.

- Skryta jesteś i prawdy nie powiesz. Byliście małżeństwem, po co mu więc było brać cię siłą. Powiedz lepiej, że masz pod ręką ciężkiego chłopca, bo duża z ciebie kobieta. Ludzie gadają, że z Horstem się żyć przyzwyczaiłaś, aleja w to nie wierzę. Dla ciebie on za stary i też za lekki. A że tamten cię wziął przy ludziach? Mój Boże, a cóż w tym złego? Ubyło ci od tego? Ja lubię, jak na mnie patrzą, i sama przy obcych chłopach kiecki podciągam. Niech im ślina do pysków napływa.

Podciągnęła spódnicę za kolana, a potem jeszcze wyżej, aż na uda - białe, tłuste, tu i ówdzie posiniaczone. Ale jej się podobały i patrzyła na nie z przyjemnością.

- To jest wstrętne - wyrwało się Weronice.

I znowu wzruszenie ramion.

- Skryta jesteś, to tak mówisz. A w telewizji widziałas, jak baby szmaty z siebie bez przerwy ściągają? Jakby to było takie wstrętne, toby tego nie robiły. Mój mi tego zabronił, ale kiedyś po kuchni lubiłam prawie z gołymi cyckami chodzić. Tylko że mój jest zazdrosny. Zbił mnie za to i przestałam. Ale lubi patrzeć. Jakby to było takie wstrętne, toby nie patrzył. Pewnie, po dwójce dzieci to już one nie są takie jak dawniej. Ale ty mi nie kłam, że twój nie lubił twoich oglądać. Masz takie jak kopce graniczne. A nie jest zabronione pokazywać, chyba że jesteś zakonnicą. Powiem ci jedno: on był za lekki. Po Horście będziesz bogata i znajdziesz sobie ciężkiego chłopca. Sarna go poszukasz i dobierzesz wedle swego rozmiaru. Buty też trzeba dobierać na swoją nogę. Ty zaś dopiero po ślubie zmiarkowałaś, że ten leśnik nie jest na twój rozmiar. Taka to prawda.

Pomilczała chwilę i potem dodała:

- Będziesz po Horście bogata, to sobie wybierzesz ciężkiego chłopca. To samo było ze mną. Nieślubne miałam, to nie było chętnych do żeniaczki. Ale jak rodziców zmusiłam, żeby poszli na rentę i na mnie przepisali gospodarstwo, zaraz znalazłam Leśniaka. Chłop o odpowiednim rozmiarze i ciężki jak kloc.

Weronika przygryzła dolną wargę. Żałowała, że dała się wciągnąć w tą obrzydliwą rozmowę. Wstała z ławki przejęta wstrętem, bo nagle poczuła od kobiety woń gnoju, który przed chwilą wyrzucała z obory.

- Wezmę tę gęś. Jeszcze dziś będę ją musiała oskubać - oświadczyła.

Powrócił z pola Leśniak i pomógł żonie złapać ptaka. Poderżnął gęsi gardło i Weronika wpakowała ciepłe puchate ciało do koszyka na rowerze.

Leśniak, ogromne brodate chłopisko (Weronika nie śmiała na niego spojrzeć, tak się bała jego siły), zapytał ją:

- Czy to prawda, że Horst napisał skargę w sprawie cmentarza na Wilczym Rogu? Gadają, że rzucali ludzkimi głowami jak kapustą. Tam leżała Kunegunda Keile, a to była siostra mojej babki. Co oni z nami robią, ci obcy ludzie? Z naszego wioskowego cmentarza naczelnik z Bart sprzedał komuś cztery stare płyty nagrobkowe, bo były ze szwedzkiego kamienia. Tego chyba nie wolno...

- Horst napisał skargę - przytaknęła Weronika.

- Nikt jeszcze nie wygrał z nadleśnictwem - wzruszył ramionami Leśniak. - Ale to też prawda, że umarłych ruszać się nie powinno. Gadają, że nocami po lesie zaczął jeździć jakiś człowiek i bije leśnych ludzi. I wilk się pojawił.

Weronika roześmiała się:

- Nie wiem, o kim mówią. Ale u Horsta zamieszkał strażnik łowiecki. Nazywa się Józef

Maryn. Ma konia i jeździ nim po lesie. Łapie tych, co kłusują.

- Ciężki chłop, prawda? - domyślnie mrugnęła lewym okiem Leśniakowa.

Weronika obraziła się.

- Nie jest ciężki. Ma sylwetkę jak młody chłopak. Zresztą nie wiem dlaczego, ale go nie lubię.

- Bo to może znowu nie twój rozmiar - zachichotała Leśniakowa.

Gęsi nie zdążyła oskubać i upiec na obiad. Ugotowała ziemniaki i otworzyła dwie puszki z wołowiną. Tymczasem przyjechał wielki samochód ciężarowy po ostatnią porcję jabłek, które przechowywał u siebie Horst. Przez kuchenne okno Weronika widziała, jak Maryn i Sobota dźwigali do samochodu skrzynki z jabłkami. Horst był stary i robił to z trudem, Marynowi jednak zdawało się to nie sprawiać najmniejszej trudności. "Jest silny, ale chyba bardzo lekki - pomyślała bezwiednie Weronika, obserwując Maryna. - Nie podobałby się Leśniakowej". Nie rozumiała zresztą Leśniakowej. To, co tamta powiedziała, wydawało jej się pozbawione jakiegokolwiek sensu. Co za przyjemność mogła osiągnąć kobieta z duszenia jej przez ciężkie ciało mężczyzny. Kulesza też ciągle ją gniótł i niemal dusił, dlatego od niego odeszła. Gdyby był lekki i nie przywalał jej sobą, może by jakoś łatwiej znosiła małżeńskie pożycie. Jeśli kiedyś znowu zechce się związać z jakimś mężczyzną, to musi być on delikatny jak kobieta, pozbawiony męskiej brutalnej siły, aby mogła się przy nim położyć bezpieczna, że nie chwyci ją w silny uścisk ramion, nie napełni bólem. "Tak chyba wygląda miłość czysta i prawdziwa" - pomyślała.

Po obiedzie Horst poszedł do leśniczego Kondradta, żeby zamówić kilkanaście żerdzi na ogrodzenie paśnika dla klaczy. Maryn zaś jakiś czas bawił się z psem, który wciąż jeszcze przebywał na wybiegu dla kur. Do psa podchodził Maryn zawsze z miską i pejczem, ale bata już nie musiał używać. Ivo - bo tak się nauczyli nazywać psa - cieszył się na widok Maryna, pozwalał głaskać się po głowie, targać za uszy, a kiedy Maryn odchodził - kładł się na ziemi i z tęsknoty cicho skowyczał.

Weronika zamiast zmywać naczynia poszła na górę i przebrała się w swoją najbardziej kuszą bluzkę, wyszywaną w różne wzory, z gołymi ramionami i głęboko wyciętą z przodu. Zdjęła biustonosz, bo przecież jej piersi i tak dobrze się trzymały, a przez żółtawy cienki materiał bluzki mogły zaznaczyć się duże brodawki sutek. "Mam cycki jak kopce graniczne" - pomyślała słowami Leśniakowej, choć były wulgarnie. Lecz w tej chwili chciała być taka jak Leśniakowa - wulgarna, narzucająca się mężczyźnie. Jeszcze by tego brakowało, żeby Maryn odkrył jej podwójne kalectwo i tym bardziej nią gardził. Nie, nigdy mu nie da okazji nawet domyślać się, że nie jest prawdziwą kobietą.

Gdy wyszła na podwórko, Maryn już wyjeżdżał na drogę do lasu. Usiadła na ławce na podwórku i opadła ją jakaś niemoc. Siedziała i siedziała, aż usłyszała klakson samochodu.

Przed domem Horsta Soboty zatrzymał się duży, żółty samochód, chyba zagranicznej marki, bo miał bardzo błyszczącą karoserię. Wsiadła z niego wysoka, szczupła kobieta o długich,

jasnych włosach i bardzo pięknej twarzy, przypominającej jakąś aktorkę filmową, ale Weronika nie mogła sobie przypomnieć nazwiska aktorki. Kobieta miała na sobie beżową kurteczkę zamszową, w podobnym kolorze plisowaną spódniczkę, drobne stopy były obute w beżowe zamszowe pantofelki. Podchodząc do furtki przy bramie bawiła się kluczykami samochodu. Sama przyjechała, w wozie nie było nikogo.

- Czy tu mieszka Józef Maryn? - zapytała Weronikę.

- Tak, proszę pani...

- Jestem jego żoną. Chciałabym się z nim zobaczyć.

- Pojechał do lasu...

Kobieta potrząsnęła głową, wiatr bowiem chwycił jej długie włosy i zasłonił nimi oczy.

- Czy będę mogła poczekać na niego? - Weronika otworzyła furtkę i zrobiła zapraszający gest. Nie wiedziała dlaczego, ale serce jej biło bardzo mocno i aż ją coś dusiło w krtani. "To przez ciekawość - pomyślała. - Nareszcie wiem, jak wygląda żona Maryna".

- Zaprowadzę panią do jego pokoju - zaproponowała, gdy znalazły się na podwórku.

- Ach, nie. Nie trzeba. Tu jest tak pięknie. Świeci słońce i widać sad, jezioro. Czy mogę usiąść? - wskazała ławeczkę.

Zaleciał Weronikę bardzo duszący zapach perfum. "Jaka ona szczupła i delikatna" - przemknęło jej przez głowę, gdy zobaczyła, jak tamta ostrożnie usiadła na ławeczce, zakładając nogę na nogę. Lecz kolana miała jak na gust Weroniki trochę zbyt spiczaste. Weronice mówiono, że kobieta powinna mieć kolana okrągłe.

Pies za siatką zaczął hałaśliwie ujadać, więc Weronika podeszła do ogrodzenia i przemawiając do niego łagodnie uciszyła go. Potem wróciła do kobiety na ławce i powiedziała:

- Nie wiadomo, kiedy pan Maryn wróci z lasu. Niekiedy przebywa tam do późnej nocy.

- Trudno. Zaczekam - oświadczyła kobieta i sięgnęła do kieszeni kurteczki po skórzaną papierošnicę. Otworzyła ją i wyciągnęła w kierunku Weroniki.

- Dziękuję, nie palę - nie wiadomo dlaczego, mówiąc to, zarumieniła się. A przecież to nic złego, że ona nie pali. I dlaczego w towarzystwie tej kobiety czuje się taka onieśmielona? To głupie.

A jednak nie potrafiła przełamać w sobie onieśmielenia i skierowała się do domu.

- Pani jest zajęta? - zatrzymało ją pytanie. - Może siądzie pani koło mnie. Porozmawiamy. Jestem ciekawa, jak żyje tutaj mój mąż, co robi, jak się czuje.

Weronika stanęła w połowie drogi do sieni. Odwróciła się i odniosła wrażenie, że tamta dopiero przed chwilą ją zauważyła. Weronika niemal fizycznie poczuła na sobie prześlizgujące się po ciele spojrzenie brązowych oczu tej kobiety. "Taksuje mnie tak, jak otaksowałam gęś Leśniaków, czy warto za nią dać dwa wiadra wiśni" - pomyślała Weronika.

I onieśmielenie nagle zniknęło. Czowała się kobietą ładną, a przy tym młodszą od tamtej. Nie miała zapewne takiego obycia w świecie, być może i wykształcenia, nie ubierała się tak dobrze, ale przecież Horst Sobota i Kulesza powtarzali jej wielokrotnie, że jest czytana i dużo wie o świecie.

- To dziwne - stwierdziła odrobinę drwiąco, siadając na ławeczce - że pani mnie pyta, co robi i jak się tu żyje panu Marynowi. Przecież to pani jest jego żoną.

Tamta zaciągnęła się mocno dymem papierosowym. Może chciała zyskać czas na wytyślenie odpowiedzi?

- Rozeszliśmy się. Przyjechałam tu właściwie po to, aby omówić z nim do końca pewne sprawy.

Weronika kiwnęła głową, że zrozumiała. Ale coś się w niej buntowało przeciw tej kobiecie. Zazdrościła jej urody i swobody, z jaką się wysławiała. Stłumiła jednak uczucie buntu i niechęci, bo chyba teraz znalazła jedyną okazję, aby czegoś dowiedzieć się o Marynie. Już ona, Weronika, udając trochę głupią i naiwną, przechytrzy tę damę z miasta.

- Pan Maryn - powiedziała - jest tutaj strażnikiem łowieckim. Poluje na kłusowników.

- Ach tak - mruknęła tamta.

- Niewiele mogę pani o nim powiedzieć, ponieważ mało go znam - dodała. - On po prostu wynajmuje pokój w domu mojego opiekuna.

Ja z mężem mieszkam w sąsiedniej leśniczówce.

- Rozumiem. - Lewą dłonią musnęła swoje jasne, długie włosy.

Nie mogła nie zauważyć dłoni Weroniki, która tak ją położyła, aby tamta widziała obrączkę na palcu. O tej obrączce - zupełnie już chyba niepotrzebnej - Weronika po prostu zapomniała.

Kobieta zwróciła do Weroniki starannie umalowaną twarz o bardzo regularnych rysach. Zapach jej perfum już nie wydawał się Weronice duszący, ale był nawet przyjemny.

- Ma tutaj chyba jakąś dziewczynę, prawda? - spytała żartobliwym tonem. - I nie nudzi się w tej głuszy.

Weronika zacisnęła usta.

- Gdyby miał, nie powiedziałabym pani o tym. Ale mogę panią poinformować, że nie ma

żadnej dziewczyny. Zresztą dlaczego to panią interesuje, skoro go pani zostawiła?

- Skąd pani wie, że to ja go zostawiłam? - odparła.

Chyba dopiero teraz uświadomiła sobie, że nie ma do czynienia z wiejską prostą gąską i powinna uważać na słowa. Dodała:

- Czy mój były mąż informował panią o naszych sprawach?

- Nie, proszę pani. Słyszałam jednak, jak mówił do mojego męża o kobietach, które w trudnej dla mężczyzny sytuacji idą za nim aż na koniec świata. Choćby w największą głuszę. A pani za nim nie poszła.

- Tak mówił? - zdziwiła się chyba szczerze. - To dość dziwne słowa w ustach mojego byłego męża. A poza tym może ta głusza jest dla niego najwłaściwszym miejscem.

- Wygląda na człowieka, który przywykł do innego życia. Tutaj musi chwytać kłusowników. To nie jest bezpieczna praca.

- Pani, zdaje się, bardzo mu współczuje...

Weronika nie mogła powstrzymać rumieńca. To ją rozgniewało.

- Powiedziała pani, że mało znam pani męża. Ale to wiem, że nie ma mu kto uprać koszuli i zrobić obiadu.

- Ja też nie umiem gotować - wzruszyła tamta ramionami. Zamilkła na chwilę, zamyśliła się, a potem znowu rzuciła na Weronikę kilka ukradkowych spojrzeń. Na jej odsłonięte piersi, na odkryte kolana, na twarz z pulchnymi ustami i czarnymi brwiami.

- Mój mąż to bardzo piękny mężczyzna - powiedziała patrząc przed siebie. - I jest w nim coś dziwnie urzekającego. Podoba się kobietom. Ale muszę pani zdradzić, że nie jest to człowiek stworzony do miłości. Nie umie kochać. Za miłość nie odwzajemnia się podobnym uczuciem. Odeszłam od niego nie dlatego, że znalazł się w kłopotach, ale dlatego, że pokochałam innego człowieka. Lubię go jednak i przywiozłam mu samochód. Może mu się przydać.

- Ma konia - odparła Weronika. I zdobyła się na odwagę, aby zapytać: - Kim był pani mąż, zanim tu do nas przybył?

Kobieta roześmiała się głośno. Śmiała się długo, trochę sztucznie, co poirytowało Weronikę.

- Nie powie mi pani tego? - wstała z ławki.

- Mogę tylko tyle zdradzić: był wilkołakiem.

- Co to znaczy, że był wilkołakiem? Pani sobie ze mnie żartuje.

- Nie - spoważniała. - Mówię prawdę. To wilkołak. Pasuje do tego miejsca, do tego domu na skraju lasu. Jest pani młoda i ładna. Niech pani uważa na siebie. Zna pani chyba bajkę o czerwonym kapturku i wilku, który zjadł babcię. "Dlaczego, babciu, masz takie piękne zęby?" On ma bardzo piękne zęby, nieprawdaż? I takie jasne niebieskie oczy.

- Pani go nie lubi.

- Wydawało mi się, że go kocham. Ale potem pokochałam innego i wtedy przekonałam się, co to jest miłość.

- Zadawał pani ból - domyśliła się Weronika. Zdumiała się.

- Ból? Nie. Czy ja wyglądam na kobietę, która pozwala sobie zadawać ból? Ale ostrzegam, że z panią będzie inaczej. Panią to będzie bardzo bolało.

Weronika zrozumiała, że mówią o różnych sprawach.

- Pani mnie tutaj spotkała i pani myśli, że ja lecę na jej męża. A on mnie nic nie obchodzi. Po prostu nie odpowiada mi ten typ mężczyzny. Nie mój rozmiar, proszę pani - powiedziała wulgarnie, jak Leśniakowa, bo chciała tę kobietę czymś dotknąć, a także ukryć swoje onieśmienie.

Kobieta poprawiła włosy i spojrzała na zegarek.

- Chyba nie będę dłużej czekała - stwierdziła. - Nie mam za wiele czasu. Przykro mi, że tak źle mówiłam o swoim byłym mężu. Ale to po prostu kobieca solidarność. To jasne, że pani się w nim odrobinę podkochuje. Zresztą mnie to naprawdę nic nie obchodzi. Przyprowadziłam mu samochód i chciałam, żeby mnie nim odwiózł na stację kolejową.

- Lepiej było mu przywieźć ciepłe kalesony, ciepłe skarpetki, jeszcze kilka koszul - powiedziała Weronika.

- Tak. Zapewne - zgodziła się. - Ale o tym niech już pomyśli inna kobieta.

- On nie ma innej kobiety.

- To sobie poszuka.

Raptownie wstała z ławki. Popatrzyła na Weronikę, od stóp do głów zmierzyła ją wzrokiem.

- Ładna, młoda, świeża, dobrze rozwinięta. Takie młode owieczki mój były mąż zwykł chrupać na śniadanie. Bo już na obiad i kolację potrzebował czegoś bardziej pikantnego. Nigdy nie byłam zazdrosna. Po prostu szkoda mi pani. Jego też mi żal, ale zupełnie inaczej, niż pani myśli. Czy pani pozwoli, że jednak wejdę do jego pokoju i zostawię list?

Weronika poprowadziła ją do pokoju Maryna, przyniosła papier listowy i pozostawiła kobietę samą. Wyszła przed dom i usiadła na ławce. Była głęboko dotknięta posądzeniem o to, że podkochuje się w Marynie. "Jest głupia i zazdrosna" - pomyślała, ale nareszcie uzyskała pewność, że Maryn pochodzi z jakiegoś tajemniczego świata. Potwierdziły się także jej przypuszczenia, że Maryn jest złym człowiekiem, "wilkołakiem", jak go określiła własna żona. Od razu przecież wyczuła to swoją kobiecą naturą i bała się o bezkrytyczną miłość, jaką Sobota obdarzył Maryna. Ale też coś się w niej buntowało, że tanta tak ostro oceniła swego byłego męża, chyba trochę niesprawiedliwie. Mówiła o nim jako o kobieciarzu, a już od prawie dwóch miesięcy obserwując Maryna nie zauważyła Weronika niczego, co by tę opinię potwierdzało. Nigdy nie przyprowadził sobie żadnej dziewczyny, nawet jej, Weroniki, nie usiłował uwodzić. To od Maryna dowiedziała się o miłości czystej i prawdziwej. "Ona go chyba w ogóle nie zna. To podobno tak bywa, że czasami żony nie znają swoich mężów" - przypomniała sobie zdanie z jakiejś książki. Kobieta wyszła z domu.

- Pozwoli pani, że ją pożegnani. Na imię mi Eryka - podała Weronice drobną dłoń z mocno polakierowanymi paznokciami.

- Weronika. - Wstała z ławki i dygnęła jak pensjonarka.

- Proszę powiedzieć mężowi, że postaram się innym razem podesłać mu samochód. Bo teraz muszę czymś wrócić do domu.

Popatrzyła na las, na dom Horsta Soboty, na sad i na jezioro.

- Ładnie tutaj, proszę pani...

Drobnym, ale równym krokiem podeszła do bramy, otworzyła furtkę, wsiadła do samochodu. Zawróciła na leśnej drodze i odjechała w stronę szosy.

Weronika zaś pośpieszyła do pokoju Maryna, gdzie na stole znalazła list w zaklejonej kopercie. Klej był jeszcze wilgotny i słabo trzymał. Delikatnie otworzyła kopertę, przeczytała list i kopertę zakleiła.

Eryka pisała do Maryna:

"Jesteśmy już po rozwodzie. Sprawa odbyła się zaocznie, zgodnie z przepisami o osobach, które pozostały za granicą. Dlatego mnie przysądzone cały nasz dobytek. Tobie jednak winna jestem przynajmniej połowę, dlatego przywiozłam ci nowego opla, bo wiem, że lubisz właśnie ten typ wozu. Myślę, że samochód przyda Ci się na wsi. Dostarczę Ci go jednak innym razem, gdyż nie mogłam czekać, a nie miał mnie kto odwieźć na stację. Jeśli potrzebujesz pieniędzy, daj mi - jakiś sposób znać o tym. Życzę Ci dużo szczęścia. Eryka".

U siebie na górze Weronika pomyślała, że nie omyliła się, wiążąc osobę Maryna z jakimś tajemniczym światem. Słusznie też robiła lękając się bezkrytycznej miłości, jaką Horst Sobota rozbudził w sobie wobec obcego człowieka. Ta kobieta, Eryka, dostała rozwód zaocznie, ponieważ Maryn pozostał za granicą. A przecież on był tutaj, w domu Horsta Soboty, pracował

jako strażnik łowiecki. "Wilkołak"- przypomniała sobie określenie, jakie mu nadała Eryka. Ale nie dybał na pieniądze Horsta Soboty. Eryka chciała mu pozostawić samochód wart tyle co dom Horsta. Wspominała też, że Marynowi należą się jakieś pieniądze. Maryn może był "wilkołakiem" i bardzo złym człowiekiem, ale nie potrzebował niczych pieniędzy.

Wrócił Horst i Weronika zbiegła na dół, żeby mu zrobić kolację.

- Mówiłeś prawdę, Horście - odezwała się. - Maryn nie ma żony.

- Naprawdę? - nie wiadomo czemu ucieszył się stary.

- Miał żonę, ale się rozeszli. Ta kobieta była tu dziś po południu i chciała Marynowi pozostawić piękny samochód. Zabrała go, ponieważ nie miał jej kto odwieźć na dworzec kolejowy w Bartach.

Sobota powiedział ostro do Weroniki:

- Trzeba ją było wypędzić. Maryn nie potrzebuje samochodu. A jeśli zechce, ja mu go kupię.

- Posłuchaj, mnie Horst - zaczęła Weronika. - Błagam cię, bądź ostrożny wobec tego człowieka. To nie jest ktoś zwykły. Jego była żona nazwała go "wilkołakiem".

Na twarzy Soboty pokazał się uśmiech. Bezzębne usta wydały z siebie chichot:

- Wilkołak? Tak o nim powiedziała? I ja podobnie o nim myślałem, ale nie potrafiłem znaleźć właściwego słowa. Nareszcie lasy mają to, na co zasłużyły: wilkołaka.

- Posłuchaj mnie, Horst - znowu zaczęła Weronika.

Stary przestał się uśmiechać. Powiedział gniewnie, ostro:

- Idź stąd, kobieto. Idź na górę. Ty nie wiesz, co to umierać dwukrotnie i dwa razy zostać wskrzeszonym. Idź stąd, bo cię uderzę.

I Weronika opuściła kuchnię, gdyż naprawdę przelękła się gniewu starego. "On chyba zwariował" - pomyślała, siadając do maszyny do szycia. Położyła na pulpicie maszyny lniany materiał, z którego chciała zrobić poszwę, i zauważyła na palcu złotą obrączkę. Pomyślała o Kuleszy i nagle poczuła, że coś ją zaczyna mdlić. Szybkim ruchem ściągnęła z palca obrączkę i schowała do szufladki, gdzie trzymała igły, bo myślała, że dzięki temu mdłości ustąpią. Ale poczucie mdłości było coraz silniejsze, zrobiło się jej jakoś dziwnie, przez chwilę miała wrażenie, że jej ciało stało się dla niej czymś obcym i wrogim.

Położyła się na łóżku i oddychała głęboko. Uczucie mdłości na chwilę ustąpiło, lecz potem znowu powróciło. Jak gdyby leżało jej coś na żołądku i podchodziło do gardła. Chciała krzyknąć: "Nie, nie, to niemożliwe" - nie mogła jednak uciec przed prawdą, którą sobie uświadomiła i czuła całym ciałem. Zaczęła płakać najpierw cicho, niemal bezgłośnie, a potem

zwinęła się na łóżku i płacz jej przeszedł w żaloszny jęk. Gdy wreszcie ucichła, stwierdziła, że zapadł mrok, w całym domu panuje niezwykła cisza, szumi tylko wiatr za oknem. Leżała walcząc z mdłosciami i ów szum lasu wydał jej się złowrogi jak nigdy dotąd. Tak samo słuchała leśnych drzew, gdy przez długie godziny poruszał się w niej Kulesza, nawet wówczas jednak nie mogła wzbudzić w sobie wrogości do lasu. Podobnie jak nie zrodziły w niej wrogości opowiadania Horsta o krzywdach, jakie robił ludziom las. To przecież nie las był winien, że zgwałcono ją w młodniku, ale wódka i gromada robotników. Lecz czy nie było tak, że jeśli nawet coś złego czynili ludzie, to las ich tego nauczył? Jak mówił Horst, "odebrał im dusze". Z nią, Weroniką, stało się to samo. Zbyt długo mieszkała u Horsta, a potem wyszła za mąż za leśnika. Dlatego zamiast radości, którą powinna odczuwać prawdziwa kobieta (bo tak pisano w książkach i pokazywano na filmach), czuła gniew wobec swego ciała i nienawiść do tego, co się w niej zrodziło. I tak wielka wydawała się jej własna wrogość do siebie, do swej kobiecości, że gotowa była kasać z wściekłością własne ręce. "Zabiję, zabiję, zabiję" - powtarzała cicho i ta myśl przyniosła jej ulgę.

Uciekając nocą z leśniczówki Kuleszy, przysięgła sobie, że jej ciało będzie należeć już tylko do niej. A teraz okazało się, że wciąż należy do tego znieawidzonego człowieka, ponieważ zasiał w niej swoje życie. Na próżno usiłowała ujrzyć w wyobraźni bezradne niemowlę, a potem małego chłopca lub dziewczynkę. To coś, co w niej zaczęło żyć, przybierało w wyobraźni kształt potwora leśnego, straszliwej maskary, z pyskiem jaszczurki. Odtąd będzie skazana, aby hodować owego potwora i otaczać go opieką. Jej ciało przestanie być jej własnością, ale będzie się nią żywił ów potwór leśny, zrodzony z nienawiści i złości. "Zabiję go, zabiję" - pomrukiwała. A potem zbiegła do łazienki, uklękła koło sedesu i zaczęła wymiotować.

Nie usłyszała parskania klaczy na podwórku. Nie usłyszała, że Maryn wszedł do kuchni, a później do swego pokoju. Gdy wyszła z łazienki osłabiona torsjami i chyba bardzo blada, Maryn siedział przy stole kuchennym i nad popielniczką palił list od żony. Chciała go ominąć w milczeniu, ale on zatrzymał ją gestem podniesionej do góry dłoni.

- Pani jest chyba w ciąży, Weroniko. Słyszałem, jak pani wymiotowała w łazience.

Oslabła jeszcze bardziej. Usiadła na krześle po drugiej stronie stołu, choć jej kobieca duma kazała odejść do siebie, aby jej nie widział - bladej, z żalosznie wykrzywionymi ustami, wymęczonej godzinami płaczu. To, co się z nią stało, było wyłącznie jej sprawą i ten obcy człowiek nie powinien się wtrącać. A jednak powiedziała:

- Wyjadę stąd. Dokądkolwiek. Usunę ciążę i wtedy wrócę. Nie chcę tego dziecka. Przez całe swoje życie będę go nienawidzić.

Maryn nic się nie odezwał. Omijał wzrokiem twarz Weroniki, domyślając się, że w tej chwili ona nie pragnie, aby na nią ktokolwiek patrzył. Zajął się rozgniataniem w popielnicze popiołu ze spalonego listu.

- Proszę nie mówić o tym Horstowi - rzekła. - On nie pozwoliłby mi usunąć ciąży, bo to człowiek starych zasad. Ale ja wiem, że nie może żyć istota zrodzona z nienawiści.

- Który to miesiąc? - zapytał obojętnie.

- Trzeci. Początek trzeciego, tak myślę. Wiem, gdzie Horst trzyma pieniądze, wezmę ich trochę i pojedę gdziekolwiek. Horstowi powiem, że postanowiłam odwiedzić rodziców, a przy okazji wnieść do sądu sprawę o rozwód. Pan mnie nie zdradzi przed nim, prawda?

- To oczywiste.

Wyjął papierosa, zapalił go i odsunął od stołu krzesło, aby rozsiaść się wygodniej. Weronika wstała i chciała odejść do siebie, lecz on znowu zatrzymał ją gestem podniesionej dłoni.

- Nie podałaś mi kolacji, Weroniko - powiedział cicho.

- Sam może pan sobie zrobić - fuknęła gniewnie. Przecząco pokręcił głową.

- Możesz mi mówić Józwa, Weroniko, ponieważ połączy nas wspólna zbrodnia.. Od dziś będziesz mi też podawała śniadania i czekała na mnie z kolacją. Zaczнешc ścielić moje łóżko i sprzątać w moim pokoju. Nie musisz mnie lubić, ale będziesz to robić.

- Jest pan łotrem - podniosła głos, on jednak uczynił gest dłonią ku dołowi, co znaczyło, aby zachowywała się ciszej.

- Mylisz się, Weroniko. Nie jestem łotrem. Pojutrze, a najdalej za kilka dni zabiorę cię do najlepszego lekarza w tej okolicy. On ci zrobi zabieg bezboleśnie i bezpiecznie.

Odpiął guzik w lewej górnej części kurtki mundurowej i wyjął z niej mały kartonik.

- Nie tak dawno, Weroniko, pewien ginekolog zabił w lesie lochę z warchlakami. Należy do koła myśliwskiego i jest selekjonerem z prawem posiadania sztucera. Zdarzyło mu się nieszczęście. Za szybko wystrzelił. Myślał, że zza krzaków wychodzi odyniec. Niestety, to była locha i prowadziła cztery warchlaki. Nadjechałem usłyszawszy strzał. Próbował mnie przekupić dużą sumą pieniędzy, lecz ja nie potrzebuję pieniędzy. Kiedy robiłem zdjęcia zabitej lochy, płakał jak małe dziecko, bo wiedział, że mu za to odbiorą sztucer. Ale to był naprawdę nieszczęśliwy przypadek. Żal mi się zrobiło tego człowieka. Przyjąłem od niego tylko bilet wizytowy. Uczyniłem to przez grzeczność, nawet mi przez myśl nie przeszło, że może się kiedyś okazać potrzebny. Jutro zatelefonuję do niego i przyjmie cię w swoim prywatnym gabinecie. Odwiozę cię do niego. A teraz podaj mi kolację.

Mówił to spokojnie, wolno, jak gdyby od niechcienia, myślami chyba był gdzieś bardzo daleko. Horst Sobota miał rację widząc w nim szatana. Te fotografie w jego pokoju, ta wizytówka w kieszeni świadczyły, że wykrywał zło nie po to, aby z nim walczyć, ale aby nad nim panować.

Posłusznie pokrajała chleb i zrobiła kanapki z żółtym serem. Potem zaparzyła herbatę na elektrycznej kuchence. Dopiero kiedy zaczął jeść, wciąż jak gdyby nieobecny, po cichu opuściła kuchnię i wolno wspięła się na górę do swego pokoju. Kładąc się do łóżka pomyślała, że

jeszcze przed godziną nienawidziła siebie i całego świata, chciała krzyczeć z rozpaczy i kasać własne ręce. Teraz wszystko oddaliło się od niej. Pojedzie z Marynem na zabieg i jej ciało znowu stanie się jej wyłączną własnością. Tylko że od tej pory zacznie podawać Marynowi śniadania i będzie musiała czekać na niego z kolacją. Jak służąca na swego pana. Jak ten pies za siatką na jedzenie z rąk Maryna.

“Nienawidzę go. Nienawidzę bardziej niż kogokolwiek na świecie - powtarzała leżąc w pościeli i walcząc z nową falą mdłości. - Kulesza mnie upokorzył, ponieważ obnażył runie przy ludziach i wziął mnie na oczach obcych ludzi. Zrobił to kierowany pożądaniem. Ten zaś zdeptał mnie jak robaka, nawet nie zauważając, że coś depcze. I choć tamten uczynił źle, a ten chce uczynić dobrze, to ten wydaje się wstrętniejszy i obrzydliwszy od tamtego”.

A jednak następnego dnia podała Marynowi śniadanie, a kiedy zaraz po nakarmieniu psa pojechał na pocztę, aby zatelefonować do owego lekarza, weszła do jego pokoju i starannie zasłała mu łóżko.

Rozdział dziewiąty

Wszystkie hotele w mieście zajęte były przez sportowców, którzy w tym czasie uczestniczyli w jakiejś spartakiadzie. Koło recepcji i po korytarzach snuli się młodzi ludzie w kolorowych dresach, przeważnie podpici i hałaśliwi. Józef Maryn z trudem załatwił dwuosobowy pokój - pomógł mu w tym banknot z trzema zerami, jaki wręczył dyskretnie panience dysponującej miejscami. Otrzymał za to bardzo nędznie wyposażony pokój z dwoma wąskimi tapczanami rozdzielonymi nocną szafką, ale z umywalką (łazienka i ubikacja znajdowały się w pomieszczeniu na końcu korytarza). Weronika nie zaprotestowała, że będą musieli mieszkać razem, ponieważ towarzyszyła Marynowi, gdy chodził od hotelu do hotelu i wreszcie z trudem załatwił ten pokój. Była zbyt zaabsorbowana tym, co ją czekało - po prostu bała się zabiegu. Kiedy weszli do pokoju i postawiła w kącie torbę ze swoimi rzeczami, Maryn zaś zapytał ją, który tapczan wybiera, wzruszyła ramionami i usiadła na tym, który był bliżej. Prawie całą godzinę tkwiła tak, z rękami na kolanach, nieruchomo zapatrzona w okno.

- Może jednak rozmyślałaś się? - zapytał ją w końcu Maryn.

- Powiedz mi szczerze, a zaraz odwołam całą sprawę.

Usłyszał od niej krótkie "nie", wypowiedziane zdecydowanie i ostro. "Ona naprawdę nienawidzi tego, co się w niej zrobiło" - pomyślał Maryn. Pierwszy raz w swoim dorosłym życiu zetknął się z młodą kobietą wychowaną na wsi. Nie wiedział, że jeśli taka zdecydowała się już na coś, to nic jej z tej drogi nie mogło sprowadzić. Domyślał się tylko, że w Weronice - może pod wpływem Horsta Soboty - powstały złoża jakiejś wielkiej dumy, a taka osobowość, jeśli zaczęła nienawidzić, nie potrafi zdobyć się na przebaczenie. Nie będzie ona przed Marynem, którym również gardziła, okazywać choćby cienia wahania czy słabości, odgrywać historycznych scenek. W czarnej sukience ze stójką przypominała mu oglądane na Sycylii kobiety wiejskie, siedzące na progach domów i zapatrzone w siebie, w swoją rozpacz po zabitych mężczyznach, żyjące chęcią odwetu za krzywdę. Być może i dla Weroniki to, co zamierzała uczynić, stało się także swoistym odwetem, który chciała wziąć na Kuleszy, choć chyba nie tylko na nim.

Maryn poszedł do szpitala, gdzie ordynatorem był ów niefortunny myśliwy. Już wcześniej telefonicznie umówił się z nim na określony dzień i godzinę, teraz chciał sprawę potwierdzić. Po powrocie do hotelu znowu zastał Weronikę siedzącą nieruchomo na tapczanie. W godzinę później (a była już szesnasta) przyjechał lekarz swoim wozem i zabrał dziewczynę do gabinetu. "Ja ją także z powrotem dostarczę" - obiecał, dając do zrozumienia Marynowi, aby pozostał w hotelu. Nie przyjął banknotu, który Maryn wyjął ze swego paska i chciał mu wsunąć do kieszeni.

Przywiózł Weronikę po trzech godzinach, pomógł rozebrać się i położyć na tapczanie. Dostała chyba jakiś narkotyk, bo natychmiast zasnęła. "Myślę, że wszystko poszło dobrze - zapewnił Maryna. - Jutro możecie wracać do domu. Ale niech pan przez całą noc przy niej czuwa. Gdyby nastąpił krwotok czy bóle, proszę do mnie zadzwonić".

Maryn zjadł tymczasem obiad w hotelowej restauracji i w pobliskim sklepie kupił bułki i ser na wypadek, gdyby Weronika chciała zjeść kolację. Ale ponieważ zasnęła, wyciągnął się wygodnie na swoim tapczanie i do późnej nocy czytał kupione w mieście gazety. Do lektury po prostu zmuszał się, polityka nigdy go nie interesowała, a przeróżne sensacyjne informacje i reportaże, którymi redakcje walczyły o czytelników, wydawały mu się nudne. Nawet własne życie uważał za zwyczajne i nieciekawe, choć gdyby ktoś chciał opisać tydzień pracy Kristophera Bullowa, może byłaby to dla czytelników najbardziej fascynująca historia. Ale on sam nie pragnął wspominać Bullowa i jego spraw. Tkwił w nim nawyk wyrobiony w zawodzie, a może zakodowany w genach, że być sobą znaczyło stać się tym, kim cię w danej chwili stworzono. Kiedyś był Bullowem i żył jak Bullow. Obecnie stał się strażnikiem łowieckim i zachowuje się jak strażnik łowiecki. Takiemu człowiekowi jak on w każdej skórze musi być dobrze, jak aktorowi w coraz innej roli i w coraz innym kostiumie. Cała sztuka polegała właśnie na tym, aby być w pełni tym, kim się w danej chwili zostało. Nie pojmowała tego Eryka, skoro przyjechała do niego, aby mu dać nowego opla, gdyż Kristopher Bullow lubił kiedyś ten typ samochodu. Po co taki samochód strażnikowi łowieckiemu?

Zasnął w ubraniu, przy zapalanej lampce nocnej. Zbudził go głos Weroniki. Natychmiast był przytomny, bo to także należało do jego zawodu. Urodził się chyba z taką umiejętnością snu, który nigdy nie był prawdziwym snem, lecz tylko jakąś formą czuwania. Gdyby wiedział o tym Horst Sobota, powiedziałby, że Józwa śpi jak wielki las.

Dlaczego pan się nie rozebrał? Czuję się dobrze - odezwała się.

- Prosiłem cię, żebyś do mnie mówiła Józwa - odparł. Zgasił światło, rozebrał się i wsunął pod kołdrę. Ale jej nie chciało się spać. Czowała się wypoczęta. Zapytała:

- Czy twoja była żona Eryka była kiedyś w ciąży?

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie czuliśmy potrzeby posiadania dziecka. To się zdarza w niektórych małżeństwach.

- Nie masz dziecka z żadną kobietą?

- Nie. A zresztą co cię to obchodzi? Domyślam się, że rozmawiałaś z Eryką, gdy przyjechała do Mordęgów. Aleja nie chcę mówić ani o niej, ani o sobie.

Przekręcił się na bok i dał jej do zrozumienia, że ma ochotę spać. Ona jednak zapaliła Jampkę i chciała wstać, aby się napić wody z kranu. Zerwał się więc i przyniósł jej wody w kubku do mycia zębów.

- Nazwała cię wilkołakiem...

Roześmiał się.

- Naprawdę tak mnie nazwała? To dziwne - zastanowił się. - Zobaczyła las dookoła i dowiedziała się, że jestem strażnikiem łowieckim, który chwyta kłusowników.

- Ona miała co innego na myśli. Powiem ci szczerze, Józwa: nie podobała mi się. Jest piękna, ale zimna.

- Mylisz się. To kobieta z dużym temperamentem. Natomiast ty jesteś zimna.

- Skąd wiesz?

- To jasne. Kulesza chciał cię rznąć, a ty tego nie lubiłaś. I o to rozbiło się twoje małżeństwo.

- Twoja żona mówiła, że miałeś dużo kobiet. Poznałeś więc chyba wiele takich jak ja. Na pewno słyszałeś również, co ze mną kiedyś zrobiono w lesie. Zanim wyszłam za mąż, nie miałam pojęcia, że zbliżenie z mężczyzną będzie we mnie budzić ból. Po prostu zamykam się przed mężczyzną. A kto chce mnie otworzyć, wywołuje ból.

- Po co mi to mówisz?

- Tak sobie. Bo nie chce mi się spać. Pytałam o to doktora, czy z tego można się wyleczyć. Powiedział, że to trudna sprawa. Trzeba najpierw usunąć strach i wstręt, który tkwi w kobiecie, a to jest prawie niemożliwe.

- Nie znam się na tym - ziewnął Maryn odstawiając kubek na umywalkę.

- A gdybym tak naprawdę pragnęła jakiegoś mężczyzny, czy też bym się bała?

- Pragnęłaś kogoś bardzo mocno?

- Nie.

- Prawdopodobnie nigdy nikogo nie zapragniesz. To taka sprzeczność. Nie zapragniesz, bo się będziesz bała. A będziesz się bała, ponieważ nie zapragniesz.

Wsunął się pod kołdrę i chciał zgasić światło, ale poprosiła, żeby z nią jeszcze trochę porozmawiał. Odniósł wrażenie, że po zabiegu czuła się wyzwolona, wróciła jej pewność siebie i zadowolenie. Może jeszcze trochę działał narkotyk i rozwiązał jej język?

- Mówiłeś Kuleszy o miłości wielkiej i prawdziwej. O kobietach, które szły za mężczyznami, bo ich kochały. A potem żyły obok nich, a nie z nimi. Czy nie można mieć mężczyzny, tak jak ja mam teraz ciebie? Obok.

- Nie wiem. Ale wtedy u was, na podwórku, nie wyjaśniłem, że w tamtych czasach panowała taka moda. Kobiecie wypadało iść za mężczyzną na wygnanie i żyć obok niego. Zresztą ci ludzie przecież z początku żyli ze sobą, a dopiero później zaczęli żyć obok siebie. Zrobili to w imię jakichś ideałów. Myślę, że cierpieli z tego powodu, więc to jednak nie jest

normalne, jeśli kobieta i mężczyzna żyją wyłączenie obok siebie.

- Eryka mówiła, że miałaś bardzo wiele kobiet. A jednak żadna nie poszła za tobą do lasu. Ona również.

- Właśnie tego nie rozumiem i staram się to sobie wyjaśnić. Zresztą może zmieniła się moda, obyczaj? Teraz jeśli kobieta i mężczyzna nie chcą żyć ze sobą, po prostu rozchodzą się i znajdują innych partnerów.

- A jednak któraś mogła pójść za tobą do lasu. Dlatego myślę, że chyba żadna naprawdę cię nie kochała.

- Co to znaczy "kochać naprawdę"?

- Trudno mi znaleźć odpowiednie słowa...

- W wielu książkach można przeczytać o miłości czystej i prawdziwej. Ale w wielu również przedstawia się wielkie pożądanie, ogromną namiętność.

- W żadnej nie znalazłam, co czuje dziewczyna zgwałcona przez wielu w lesie, a potem przez własnego męża.

- To zbyt wyjątkowa historia.

- Mimo przykrego doświadczenia nie chcesz uwierzyć, że może istnieć miłość prawdziwa i czysta. Że można żyć obok siebie i się kochać. Przecież z Kuleszą czułam się dobrze. Kochałam go, dopóki we mnie nie wszedł. Gdyby tego nie chciał robić, żylibyśmy obok siebie bardzo szczęśliwi.

- Pożądał cię przecież. Zostałaś okaleczona, dlatego nie powinnaś miarą własnego odczuwania oceniać innych albo żądać od nich tego samego. Trochę podobnie jest ze mną. Mam wrażenie, że w życiu zostałem oszukany, nie dane mi było przeżyć wielkiej miłości, a zarazem pragnę zbliżenia z kobietą, choćby bez miłości. Prędzej czy później pojadę na przykład po tę młodą kelnerkę z Gaud, zaspokoję pożądanie i znowu zacznę tęsknić za miłością wielką i prawdziwą.

- Odgadłam jednak, że tak naprawdę nie wierzysz w tę miłość. Tęsknisz za nią, lecz nie wierzysz.

- Prawdopodobnie taka miłość nie istnieje. Czy może ludziom wystarczyć sama więź duchowa, jeśli zostali stworzeni także i do rozmnażania się? Czy można przeżyć miłość z kobietą na obrazie, zakochać się w osobowości nieżyjącej już pisarki albo w posągu? Nawet w baśni posąg musiał ożyć pod wpływem miłości rzeźbiarza. Ożyć i spełnić się z nim. *

- Rozumiem - powiedziała.

I chciała dodać, że jednak ma już świadomość pożądania, coś takiego przeżyła, gdy

oglądała fotografie zmasakrowanych mężczyzn w jego pokoju. Obawiała się jednak, że nie znajdzie właściwych słów dla opisanego swego uczucia i swego pożądania, on pojmie jej słowa opacznie, a poza tym będzie wiedział, że przeszukuje jego pokój. Zresztą w tej chwili, po zabiegu, po tym, co przeżyła u lekarza, historia, jaka się jej przydarzyła w pokoju Maryny, wydawała się nawet i jej samej trochę niezrozumiała. Teraz wszystko było wstrętne - pożycie z Kuleszą, owoc tego pożycia, zabieg. Mogła przysiąc, że nigdy nie odda się już żadnemu mężczyźnie. Pożałowała tego, co powiedziała Marynowi o swoim kalectwie. Być może Maryn będzie nią naprawdę gardził, uważał za gorszy gatunek kobiety. Co innego, gdyby Maryn zaczął jej pożądać, tak jak się pożąda pełnowartościowej kobiety. Mogłaby go wtedy upokorzyć i odtrącić. Wówczas rachunek między nimi zostałby wyrównany: ona również okazałaby mu swoją pogardę, a nawet odrazę. Zapytała:

- Po co mówisz i myślisz o wielkiej miłości, skoro w nią tak naprawdę nie wierzysz?

Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

- Nabrałem podejrzeń, że za mało w swoim życiu byłem człowiekiem. Nie staraj się tego pojąć, myślę jednak, że zbyt często działałem jak precyzyjny mechanizm. Horst twierdzi, że las odbiera ludziom dusze. Mógłbym dodać, że nie tylko las to robi. Gdybym poczuł w sobie miłość, może odzyskałbym duszę?

- Gwałcili mnie, a ty wyszedłeś z leśniczówki. Pomyślałam, że jesteś takie samo zwierzę jak tamci. Ale kiedy przywiozłeś mnie tutaj i teraz opiekujesz się mną, zapomniałam o tym. Stać cię na dobry uczynek, a to świadczy, że masz duszę.

- Nie gadaj głupstw. Po prostu chcę mieć w domu Horsta przyjaciela, a nie wroga.

- I służącą?

-Tak.

- A może wmawiasz w siebie, że jesteś gorszy niż w rzeczywistości.

- Nie męcz mnie takim gadaniem. Działam jak automat. Lekarz zabił lochę i wzięłam od niego wizytówkę, bo pomyślałem, że może mi się kiedyś przydać. Niechętna mi kobieta zaszła w ciążę, więc jej pomogłem, gdyż chcę mieć w domu spokój i pościelone łóżko. Lubiłem w życiu tylko jednego człowieka i ta odrobina człowieczeństwa mnie zgubiła. To taka sama sprzeczność jak z moją tęsknotą za miłością. Pragnę zaspokoić cielesne pożądanie, ale marzy mi się czysta miłość. Być człowiekiem to znaczy lubić kogoś, zarazem wiem, że coś takiego jest zgubne.

- Wilkołak. To pewnie dlatego Eryka nazwała cię wilkołakiem.

- Ona jest głupia. Jeśli kogoś w życiu odrobinę kochałem, to właśnie ją.

- Już jej nie kochasz?

- Nawet nie pożadam.

Wtedy powiedziała:

- Dostaliście rozwód zaocznie, ponieważ przebywasz za granicą. A przecież to nieprawda.

Błyskawicznie usiadł na tapczanie. Sięgnął do spodni i wyciągnął z nich pasek. Weronika pomyślała, że ją tym paskiem uderzy. Ale on wyjął z niego cienką blaszkę, coś w rodzaju ostrza brzytwy. Podszedł z tym do leżącej Weroniki - nagi, jedynie w zielonkawych spodenkach - i usiadł obok.

- Posłuchaj mnie, Weroniko - odezwał się patrząc na nią bez swego zwykłego uśmiechu. - Otworzyłaś list, który był tylko do mnie. List Eryki. Jeśli dowiem się, że powiedziałaś komuś o tym, co w nim było, poderżnę ci gardło. I rzucę na bagna w lesie, gdzie nikt cię nie znajdzie. Poznałem już kilka takich miejsc.

Po chwili wrócił do siebie. Schował ów ostry przedmiot do paska, zgasił światło i chyba zaraz zasnął. A ona, choć tak niewiele wiedziała o życiu i o świecie, to przecież od razu wyczuła, że groził jej naprawdę i był zdolny zrobić to, o czym mówił. Od dawna, może od pierwszej chwili, gdy go ujrzała, coś jej szeptało, że on pochodzi z innego świata, był w wyobrażeniu Horsta jakimś szatanem albo wilkołakiem, jak go nazwała jego była żona. Przeszył ją strach, ale zaraz ustąpił, pomyślała bowiem, że jeśli nie ujawni jego tajemnicy, nic jej nie grozi. Zresztą komu mogłaby ją zdradzić? W tym momencie pojęła, że jest zupełnie samotna. Horst Sobota już jej nie ufał i swoją szaloną miłością obdarzył wilkołaka; nienawidziła Kuleszy. Tak naprawdę chyba nienawidziła wszystkich dookoła. A przecież tak bardzo pragnęła przytulić się do kogoś, objąć kogoś swoimi ramionami - i to ją zwabiło w ramiona Kuleszy. Mogłaby tulić i pieścić dziecko, które się w niej urodziło, nic jednak nie było w stanie usunąć z jej pamięci myśli, że dziecku temu życie dał Kulesza, podobnie jak nic nie było w stanie usunąć z jej pamięci wspomnienia o tym, co zrobiono z nią kiedyś w lesie i co potem przeżyła z mężem. Wstręt, a nawet nienawiść do dziecka byłyby zapewne silniejsze niż pragnienie tulenia, pieszczona, dotykania ciepłego ciała ludzkiego. Zresztą, rodząc dziecko, już na zawsze związałyby się z osobą Kuleszy, a przecież tak bardzo chciała, aby z jej życia został ostatecznie wykreślony i kiedyś zupełnie zapomniany. Dlaczego ten obcy mężczyzna, który ją tu przywiózł i okazał pomoc, nie pojął, że gdy pozbędzie się zrodzonego w niej życia, ogarnie ją poczucie samotności tak wielkie, że zechce go polubić - nawet wbrew sobie. Czemu nie dawał się polubić? Dlaczego powiedział jej wyraźnie, że zrobił coś dla niej tylko po to, aby ją uczynić służącą? Pragnęła go polubić, gdyż nie można żyć wyłącznie nienawiścią do lasu. A skoro przekonała się, że nie będzie jej dane nikogo pokochać z wzajemnością, miłością czystą i prawdziwą, gdyż ten obcy człowiek powiedział jej to, co już podejrzewała - że taka miłość jest chyba niemożliwa, a przede wszystkim właśnie nieprawdziwa, przypomina bowiem miłość do obrazu, rzeźby, do nieżywego - to dlaczego nie miałyby odrobinę kogoś polubić? Jeśli nie może być kochana, bo nigdy nie zdoła otworzyć się dla mężczyzny bez bólu, czy nie ma prawa do namiastki tamtego wielkiego uczucia, do lubienia kogoś z wzajemnością? Tak, chciała polubić Maryna - wbrew sobie, wbrew ostrzeżeniom, które się w niej ciągle odzywały i przestrzegały przed takim uczuciem. Teraz wiedziała, że to jest niemożliwe, bo on tego nie chce. Owszem, będzie mu służyć, ale tylko dopóty, dopóki zostanie w niej strach, że ją zdradzi przed Horstem. Pomyślała, że być może nikogo w życiu nie uda jej się polubić, na pewno jednak Maryn stanie

się jej wrogiem. I mimo posłuszeństwa służącej - da mu to odczuć. Wtedy pożałuje, że potraktował ją tak okrutnie.

Zbudził ją trzask zapalniczki. Był już dzień. Maryn nie wstając z łóżka zapalał na czczo papierosa. Weronika z przerażeniem przypominała sobie wydarzenia poprzedniego dnia, a potem uświadomiła sobie, że nie czuje skutków zabiegu. Po prostu - jakby coś takiego w ogóle się wczoraj nie stało. Wróciło jej poczucie siły, a wraz z nim pamięć o nocnej rozmowie. Odezwała się urażona duma. Wstała z łóżka, podeszła do umywalki i przez głowę ściągnęła długą nocną koszulę. Stała przy umywalce tyłem do Maryna - naga, rosła, o szerokich plecach i dużych piersiach widocznych w lustrze.

- Mogłabyś zaczekać, aż wyjdę z pokoju - zauważył. Roześmiała się cicho i zwróciła się przodem do Maryna, masując piersi, które odrobinę ją pobołewały.

- Sądziłam, że nie traktujesz mnie jak kobietę.

Sięgnął na podłogę po leżącą tam gazetę i udając, że ją czyta, zasłonił sobie twarz. Coś mu szeptało, że ta kobieta rozpoczęła z nim jakąś dziwną grę i cokolwiek powie, będzie to zła odpowiedź. Bo widok jej piersi przypominał mu chwilę, kiedy broniła się przed Kulesza i wstydliwie przyciskała je do siebie łokciami, patrząc na nich oczami pełnymi nienawiści. Przypomnił sobie hotel, rozłożoną na łóżku dziewczkę i to, co go podniecało. Teraz znowu odczuł pożądanie. Zdusił papierosa, odrzucił gazetę i w myślach obrzucając Weronikę najgorszymi wyzwiskami, odwrócony do niej plecami, zaczął się pośpiesznie ubierać. Wyszedł z pokoju, nim ona skończyła się myć.

Łazienka na końcu korytarza była zarzygana przez sportowców. Wypalił jeszcze jednego papierosa i wrócił do pokoju. Weronikę zastał już ubraną w tę samą ciemną sukienkę ze stójką. Czesłała włosy.

Ogolił się przed lustrem nad umywalką i umył do pasa.

- Zjemy śniadanie, potem znowu położysz się na cały dzień. Wieczorem, jeśli będziesz się czuła dobrze, wsadzę cię do powrotnego autobusu. Ja wrócę dopiero jutro, aby Horst nie domyślił się, że byliśmy gdzieś razem.

Zeszli do hotelowej restauracji, która o tej porze była jeszcze prawie pusta. Zajął stolik obok dwóch wysokich, szczupłych dziewcząt w dresach, chyba koszykarek. Weronika domyśliła się, dlaczego wybrał właśnie ten stolik, choć tyle innych, także pustych, znajdowało się na sali. Dziewczyny wlepiły w Maryna oczy pełne zachwytu, a gdy się do nich lekko uśmiechnął, wstydliwie zakryły je powiekami. Maryn był przystojnym mężczyzną - wiedziała o tym - ale dopiero teraz, tutaj, dzięki owym dziewczynom, uświadomiła sobie, jak bardzo może się podobać. Chyba każdy musiał zwrócić uwagę na jego małą głowę z gładko przylegającymi do czaszki krótkimi, jasnymi włosami, na twarz nieruchomą jak maska, choć z uśmiechem, który pokazywał białe zęby. Niepokojące były niebieskie oczy o przenikliwym spojrzeniu. Miał młodzieńczą sylwetkę, czuło się w nim jednak siłę mężczyzny. I te jego dłonie - takie małe, smukłe, o długich palcach, zapewne miłe w dotyku. Kiedyś zwierzyła się jej w technikum jedna

z koleżanek, że takie ręce u mężczyzny mogą pieszczotami doprowadzić kobietę do utraty przytomności. Nie uwierzyła, teraz jednak pomyślała, że te dwie dziewczyny chyba też o tym wiedziały. "Wyglądam jak zakonnica" - poczuła niechęć do swojej czarnej sukienki ze stójką.

Zajęli miejsca i Maryn znowu wymienił spojrzenie z dziewczynami. Obydwie cichutko zachichotały, a Weronice, nie wiedząc czemu, zrobiło się nagle przykro. "Zostanie tu na noc i weźmie sobie którąś do łóżka. One potrafią się otwierać bez bólu, na pewno robiły to już wiele razy" - tak pomyślała.

Gdy podano im śniadanie - jajecznicę z herbatą oraz bułki - powiedziała:

- Nie mogę wracać sama. Od przystanku jest ponad dwa kilometry. Wolałabym, żebyś był ze mną.

- Muszę tu pozostać - odparł trochę niecierpliwie.

Rozumiała powód tego zniecierpliwienia. Od czasu do czasu zerkał na dziewczyny i jego niebieskie oczy jak gdyby trochę ciemniały, a wargi leciutko drżały. Podobnie objawiało się pożądanie na twarzy Kuleszy. Nienawidziła tego u swojego męża.

- Wy tłumaczę Horstowi - spotkaliśmy się w autobusie. On jest ufny i uwierzy - dodała.

Niespodziewanie nakrył jej dłoń swoją dłonią. A ona aż zeszywniała ze strachu czy też obrzydzenia, bo nie lubiła, kiedy jej ktoś dotykał.

- Posłuchaj mnie - zniżył głos do szeptu, aby go nie usłyszały tamte dziewczyny. - Muszę cię stąd wyprawić, bo chcę kobiety. Chodzi o kawałek babskiego tyłka.

Odpowiedziała mu szeptem:

- Możemy jechać popołudniowym autobusem. Ja już naprawdę czuję się dobrze, ale boję się drogi od przystanku. Będę musiała przechodzić obok domu Kuleszy. Nie chcę iść tamtędy sama, żeby mnie nie zaskoczył. Mimo wszystko jestem słaba.

- To nic. Dojdziesz.

- Horst obiecał ci kobietę. Nie odbieraj mu tej przyjemności, że on ci może coś ofiarować. Będziesz miał tę, na którą masz ochotę, kelnerkę z Gaud. Wrócimy razem, a ja ci przyrzekam, że nie tej, to następnej nocy ona będzie w twoim łóżku.

Wysunęła dłoń spod jego ręki i od razu zniknęło wrażenie zeszywnienia całego ciała.

- Nie chcę od was żadnej kobiety - potrząsnął głową. - Sam sobie takie sprawy załatwiam.

- Wiem. Mówiła mi o tym twoja żona. Ale przecież nie możesz urazić Horsta, który chce ci kupić kobietę. Nie obrażaj się na niego. On po prostu w ten sposób pragnie ci okazać wdzięczność.

Roześmiał się:

- Nie miałem nigdy kupnych kobiet...

- Będę musiała przechodzić koło leśniczówki Kuleszy. Zobaczy mnie, wyjdzie, zechce się zaciągnąć do domu. Nie potrafię się bronić, bo czuję się słaba. Dostanę krwotoku...

Dziewczyny rozsiadły się wygodniej na krzesłach, wyciągając przed siebie bardzo długie nogi. Luźne dresy kryły ich ciała, ale nietrudno się było domyślić, że obydwie były płaskie, o męskich sylwetkach. Maryn poczuł lęk, że jeśli znajdzie się sam na sam z którąś z tych płaskich kobiet, pożądanie wysączy się z niego podobnie jak przy dziwce w hotelu. Zbudzi się dopiero, gdy w wyobraźni sprowadzi do pokoju obnażoną Weronikę, broniącą się przed gwałtem. Był teraz podniecony, gdyż obok niego siedziała Weronika, przepelniona strachem i wstrętem do mężczyzn, kobieta, którą można mieć tylko siłą. Dziwne, ale od pewnego czasu odkrył w sobie, że pewną rozkosz sprawia mu budzenie wstrętu i obrzydzenia w Weronice, że pragnie jeszcze raz zobaczyć jej oczy z wyrazem nienawiści. Nie, nie chciał ryzykować, że jak w hotelu będzie długo leżał bezradny obok nagiej dziewczyny, nie pragnąc jej zupełnie.

- Dobrze. Wrócę razem z tobą - kiwnął głową. - Odbiorę zdjęcia z zakładu fotograficznego i pojedziemy popołudniowym autobusem. Ale na przyszłość nie rozbieraj się przy mnie. A przede wszystkim nie pokazuj mi swoich cycków.

- Mówiłeś...

- Wiem, że nie jesteś prawdziwą kobietą. Ale wyglądasz jak kobieta. Masz piękne ciało. Przyszło mi nawet na myśl, że prezentujesz osobowość, która zachęca do gwałtu.

- To kłamstwo.

- Nie znam się na tym. Być może twój wstręt do mężczyzn wyzwala w nich pragnienie, aby go przełamać siłą. To nie może być przypadek, że ciebie dwa razy gwałcono.

- Nie rozumiem cię.

- Jesteś jak młoda zakonnica. Mieć zakonnice to jest to, czego się bardzo pragnie. Wiadomo, że poszła do zakonu, bo nie chce mężczyzny, i to jeszcze bardziej pociąga.

W milczeniu dokończyli śniadanie, Maryn zapłacił i opuścili restaurację. Weronika posłuchała jego rady i położyła się na tapczanie, on zaś poszedł do miasta w swoich sprawach. Słowa Maryna trochę ją oszołomiły. Nie zrozumiała ich do końca, podobnie jak nie rozumiała samej siebie. Bo dlaczego nie chciała, aby wziął sobie którąś z tych chudych dziewcząt? Czemu powiedziała, że boi się iść obok leśniczówki Kuleszy, skoro Kulesza - o czym ją ktoś poinformował i chyba wiedział o tym także Maryn - wyprowadził się już na drugi koniec kraju. Nie była przecież zazdrosna o Maryna, ponieważ obiecała mu tę kelnerkę z Gaud. I wcale nie czuła się słaba - mimo zabiegu. Więc o co jej tak naprawdę chodziło? I co on miał na myśli, gdy oświadczył, że takie jak ona ma się ochotę gwałcić, a innych po prostu się pragnie i one się

oddają. Twierdził, że nie widzi w niej kobiety, a potem nagle zobaczył, choć sama mu wyznała, że nie jest prawdziwą kobietą.

Dlaczego Eryka odeszła od Maryna, choć jak mówiła, nie była o niego zazdrosna? Pokochała innego - a to znaczyło, że Maryn nie wydawał się wart miłości. Ostrzegała Weronikę przed zadurzeniem się w Marynie, co zresztą było bezsensowne, ponieważ Weronika nie mogła się w nikim zadurzyć, gdyż nawet dotyk mężczyzny budził w niej wstręt.

“Chcę go mieć obok siebie, gdyż mnie ciekawi” - podsumowała swoje rozmyślenia.

Maryn wrócił z kopertą od fotografa, kolczatką i kagańcem dla psa. Niedbale i trochę wstydliwie położył na stoliku obok jej tapczana - pudełeczko perfum, których używała. Kupowała je zawsze w luksusowych sklepach za pieniądze Horsta Soboty. Znowu zaskoczył ją ten fakt i dlatego podziękowała chłodno.

Była prawie szczęśliwa, gdy ramię w ramię opuścili hotel i skierowali się na dworzec autobusowy. Sprawiało jej przyjemność iść tak obok niego ze świadomością, że jest rosłą kobietą o dużych piersiach, które wypychały jej przód czarnej sukni, tak że guziki ledwie dały się zapiąć. On był przystojny, a ona ładna, ludzie oglądali się za nimi;. “Nie jestem taką chudą tyką jak tamte w kawiarni” - upewniła się w swoim zadowoleniu. Niósł jej torbę i szedł wolno, pamiętając o tym, o czym ona już niemal zapomniała - o wczorajszym zabiegu. Dla niej był to jeszcze jeden powód do zadowolenia, że nie jest wydelikaccona, ale prezentuje typ kobiety silnej, zdrowej, stworzonej do ciężkiej pracy. “Jego żona Eryka wyglądała na bardzo delikatną. Taka przez trzy dni leżałaby w łóżku po zabiegu”. Zadowolenie zmąciła jednak świadomość, że owe delikatne stworzenia bez bólu i lęku otwierały się dla mężczyzn, ona zaś nie może nikomu niczego takiego ofiarować.

Wciąż nie rozumiała siebie. Gdy przechodzili przez wybrukowany dużymi kamieniami plac, gdzie łatwo było się potknąć, bezwiednie wsunęła dłoń pod ramię Maryna. Wtedy palcami wyczuła przez rękaw marynarki jego mięśnie pod skórą. Kuleszę trzymała pod rękę tylko w chwili ślubu, potem już nie lubiła go dotykać, ponieważ każde takie dotknięcie wyzwało w nim pożądlive drżenie warg. A Marynowi niemal uwiesiła się u ramienia i to okazało się nawet przyjemne. Raz dotknęła go swoim biodrem i też odczuła odrobinę przyjemności. I ogarnął ją raptem wstyd za to, co uczyniła dziś rano. Dlaczego rozebrała się do naga i chciała, żeby ją taką zobaczył? I po tych myślach już więcej nie dotknęła go biodrem. Tylko w autobusie, z powodu ciasnoty, prawie całą drogę przyciskała swój łokieć do jego łokcia. Czy on domyślał się, że nie jest to dla niej wstrętne? Przez cały czas milczał i patrzył w okno, na lasy, przez które przejeżdżali. “Zna w tych lasach takie miejsca, gdzie można kobiecie poderznąć gardło i nikt jej zwłok nie odnajdzie” - przypomniała sobie. To dziwne, ale wcale nie przelękała się tej pogroźki. Oczywiście, nie zdradzi nikomu tego, co przeczytała w liście Eryki. Nie z powodu pogroźki, lecz dlatego, że nie powinno się zdradzać niczyich tajemnic. Zresztą tak naprawdę w tej chwili nie interesowały jej tajemnice Maryna, tylko on sam, jego obecność przy niej. Zdawało jej się, że nareszcie pojęła pragnienie Horsta Soboty, aby Maryn był w ich domu jak najdłużej i bronił ich przed lasem., “Dobrze jest mieć w domu złego psa” - pomyślała o Marynie jako o zwierzęciu.

W domu nie zastali Horsta. Daleko od domu, w sadzie, doglądał dzieciarni ze wsi zrywającej owoce do skrzynek. Nie zaszła potrzeba wyjaśnienia, dlaczego przyjechali o tej samej porze. Zrobiła naprędce coś do zjedzenia dla siebie i Maryna, który nakarmiwszy psa, założył mu kaganiec oraz kolczatkę i poprowadził na sznurku drogą wzdłuż lasu.

Po jakimś czasie zjawił się Sobota.

- Załatwiłaś sprawę rozwodową? - zapytał.

- Powiedzieli mi, że musimy jakiś czas żyć w separacji, zanim dam wniosek o rozwód - skłamała.

- A Józwa? - zatroskał się stary. - Czy już wrócił?

- Zabrał psa do lasu. Tresuje go na leśnych ludzi - powiedziała wesoło, bez tonu dawnej wrogości do Maryna. A kiedy przygotowała jedzenie dla Horsta i on usiadł przy stole, odezwała się:

- Boję się, że stracisz Maryna, jeśli nie spełnisz przyrzeczenia i nie kupisz mu kobiety. To jednak mężczyzna. Zdrowy, młody mężczyzna. Ja tego nie rozumiem, ale to tak jest, że mężczyzna musi mieć od czasu do czasu kobietę.

- Wiem o tym.

- To dlaczego nie spełnisz obietnicy?

- Nie wiem, gdzie szukać takiej kobiety.

Udała, że zastanawia się głęboko i rozważa różne możliwości.

- Widziałam jego żonę Erykę, orientuję się więc, jakie on lubi kobiety. W Gaudach, w zajeździe, pracuje jako kelnerka młoda dziewczyna. Blondynka. Ktoś mi mówił, że Maryn lubi na nią patrzeć. Musisz wziąć rower i pojechać do Gaud. Pokaż tej dziewczynie plik pieniędzy i każ jej tu przyjechać na noc. Jeśli ty tego nie potrafisz zrobić, zostaw tę sprawę mnie. Inaczej stracimy Maryna. Wpadnie jakiejś w oko i ona go nam zabierze. Przeniesie się do niej.

- Umie kupować kobiety - mruknął Horst memlając jedzenie bezzębnymi ustami. - Kupowałem sobie kobiety, kiedy byłem młodszy i ich potrzebowałem. Sprowadzałem sobie kobiety nawet z wielkiego miasta. Czyste, zdrowe, pachnące, młode. Dlatego zrobię, jak mi radzisz. Jutro wezmę rower i pojadę do Gaud.

Przerwali rozmowę, bo wrócił Maryn. Zaprowadził psa za ogrodzenie, a potem nawet nie wstąpiwszy do kuchni i nie przywitawszy się z Horstem wyprowadził kłacz ze stajni, zarzucił siodło i pojechał do lasu. Był już wieczór, a więc zapewne wyruszył na całą noc, aby polować na kłusowników.

Weronika raptem doznała lekkiego zawrotu głowy. Wczoraj o tej porze miała zabieg. Czy

nie przesadzała wierząc w swoją siłę i zdrowie? Pozostawiła Horsta i wolno poszła do siebie na górę, rozebrała się i położyła do łóżka. Nie potrafiła zasnąć. I nie umiała nie myśleć o Marynie, który odjechał konno w las i być może teraz dąży do miejsca, gdzie można było na zawsze ukryć ciało kobiety z poderzniętym gardłem. Na próżno usiłowała pojąć, dlaczego wszystkie swoje myśli poświęca człowiekowi, który szantażem uczynił ją swoją służącą, poznał tajemnicę jej ciała i choć być może podziwiał je, to przecież gardził nią jako kobietą okaleczoną. "Mnie także las odebrał duszę" - to był jedyny klucz, jaki znajdowała dla swoich myśli i uczuć. Takim określeniem dawało się wyjaśnić prawie wszystko - zmienność nastrojów wobec Maryna i Horsta, a także nienawiść do Kuleszy i beztroskę, z jaką odniosła się do zabiegu usunięcia nie chcianej ciąży. Horst twierdził, że każdy człowiek, który długo żyje w lesie, musi stracić duszę, chyba że walczy wciąż z lasem tak jak on, Horst, właśnie o swoją duszę. Maryn był tu krótko. Może on jeden wbrew temu, co o sobie powiedział - jeszcze zachował duszę i dlatego czasami postępuje tak dziwnie? Ale czy człowiek, który posiada duszę, może w środku nocy zerwać się z łóżka, wyjąć z paska przedmiot ostry i cienki jak brzytwa i zagrozić poderznięciem gardła kobiecie dlatego tylko, że była zbyt ciekawa? Czy człowiek z duszą, a tym samym z sumieniem i uczuciem litości, potrafi wytresować psa, tak jak to uczynił Maryn? Co odpowiedziałby Weronice, gdyby go po prostu zapytała: czy masz, Józwa, duszę i sumienie, które cię dręczy i nie pozwala zasnąć? Jeśli zaś nie masz duszy i cudze nieszczęście sprawia ci radość, to powiedz przynajmniej, gdzie, w jakim zakątku świata i jakiemu diabłu ją sprzedałeś, za jaką sumę, za jaką rozkosz?

Józef Maryn wrócił z lasu dopiero nad ranem - świtało, gdy wydawało jej się, że słyszy parskanie klaczy i skrzyp zawiasów wrót do stajni. Po takich późnych powrotach zazwyczaj spał aż do południa, więc rankiem tylko dla Horsta i dla siebie zrobiła śniadanie. Nie rozmawiali ze sobą. Weronika rzuciła Horstowi nakazujące spojrzenie, a on wiedział, czego ona żąda od niego. Jakiś czas coś tam robił w sadzie, a później wyprowadził rower i pojechał skrajem lasu do Gaud.

Piaszczysta droga prowadziła kretą, wyznaczoną przez skarpe nad jeziorem, które tu i ówdzie płytkimi zatokami zagłębiało się w las. Po lewej stronie opadała w dół niezbyt szeroka połać podmokłej ziemi, gdzie rósł las mieszany bagienny z olchą i brzozą omszoną. Horst Sobota nauczył się od leśniczego Izajasza Rzepy odrobiny pogardy dla lasów bagiennych, dlatego nie zwrócił uwagi na cichy poszum olchowych gałęzi i jękliwe pobrzękiwanie listków brzozowych. Drewno olch i brzóz było mało trwałe i trudno łupliwe, Izajasz Rzepa traktował te gatunki drzew jak chwasty na polu. Horst słyszał więc mowę lasu bagiennego, lecz nie raczył na nią odpowiadać, bo nie te olchy i nie ten gatunek brzozy, jaki rósł na bagnach, zagrażał jego ziemi. Co innego las mieszany świeży po prawej stronie drogi - na suchym i żyznym gruncie. Tu rosły dęby i buki, sosny, świerki i modrzewie, a nawet wyniosłe jodły. To z takich właśnie połaci wielki las czerpał swoją siłę i wśród buków, dębów oraz modrzewi zamieszkiwały trzy jego moce. Tutaj także rosła brzoza brodawkowata, której kiełkujące nasiona co roku musiał wrywać ze swojego sadu. Horst słyszał, jak ocierające się o siebie grube i lśniące liście dębów i wiatr poświstujący w igłach świerków i sosen mówiły do niego: "Dokąd śpieszysz, stary człowieku? Po co się męczysz, naciskając pedały? Tak czy inaczej, prędzej czy później oddasz nam swój dom i sad. Przysiadź na naszym skraju, spróbuj zasnąć w cieniu leszczyn, derenia i kruszyny". Lecz Sobota udawał, że nie rozumie tych głosów leśnych, i jeszcze mocniej

naciskał pedały roweru, gdyż jednego tylko pragnął w swym życiu: zwyciężyć wielki las.

Błyszczący jasnym drewnem zajazd był prawie pusty, choć we wsi przed wyremontowanymi starymi chatami widziało się samochody osobowe, najlepszy dowód, że nadleśniczy Masłocha miał rację: czas przywracał dawny porządek. Kelnerka, którą miał kupić dla Maryna, nie przypadła Horstowi do gustu. Miała wprawdzie jasne, długie włosy, jakie podobno widziała Weronika u żony Józwy, ale była zbyt szczupła. Może nadawała się do podawania glinianych fasek z flakami, kieliszków i butelek koniaku, w gospodarstwie jednak i nawet w sadzie mało z niej byłoby pożytku. Kobiety, jakie lubił Horst, wyglądały jak Weronika, miały szerokie plecy, mocne uda i silne ręce do dźwigania skrzynek z owocami. A te sterczące dziewczęce piersi? Jaką przyjemność mógł znaleźć mężczyzna, głaszcząc je lub miętosząc? Kilka kobiet miał w swym życiu stary Horst, także i dwie żony, ale u wszystkich piersi były jak dzwony. Dobrze było zasnąć na kobiecie z twarzą między wielkimi półkulami ciepłych piersi. "Ona ma cyciki jak dwa smoczki" - pomyślał Sobota, choć musiał przyznać, że twarz dziewczyny była ładna, biała, delikatna i oczy wciąż zakrywała powiekami w obawie, aby nie ujawniło się w nich pragnienie grzechu.

Zamówił kieliszek najdroższego koniaku i gdy mu go podała, przemówił swobodnie, ponieważ w sali zajazdu znajdowali się sami.

- Ja jestem Horst Sobota. Mam najpiękniejszy dom w tej okolicy. Widziałaś go zapewne. Stoi nad jeziorem i ma ganek z kolorowymi szybkami.

- Tak - kiwnęła głową dziewczyna i czekała przy stoliku, zaciekawiona, co też chce jej powiedzieć ów siwy starzec.

- To u mnie mieszka człowiek, który jeździ na kłaczy z pistoletem u boku.

- Mówi pan o panu Marynie, strażniku łowieckim? Bywa tu czasami - zatrzepotała powiekami. - Ale nigdy z nim nie rozmawiałam.

- Podobasz mu się - wyznał Sobota. - I w tej sprawie przybyłem do ciebie.

Zakołysała się lekko w biodrach, z małych ust wydobył się cichy śmiech.

- Dlaczego nigdy mi nie powiedział, że mu się podobam?

- Jest nieśmiały. Ale bardzo chce, abyś dziś wieczorem przyszła do mojego domu, to jest do niego.

- I was, staruszkę, przysłał w tej sprawie? - odęła pogardliwie usteczka.

Sobota wyjął plik banknotów.

Przyjedziesz autobusem do przystanku Mordęgi, a potem skrajem lasu przyjdiesz do mojego domu.

Poruszyła lekko biodrami udając, że chce odejść.

- Nie jestem taka, którą można kupić...

Horst pomyślał, że popełnił błąd. Schował pieniądze do kieszeni. Ale ona już odeszła od stolika i przy barze zajęła się myciem szklanek. Z całej jej postawy i spojrzeń, które od czasu do czasu rzucała w kierunku Horsta, uzewnętrzniała się pogarda dla jego propozycji.

Do zajazdu weszło dwóch mężczyzn ubranych z miejska, w dżinsach i koszulkach polo. Zamówili flaki i drogi koniak. Dziewczyna zajęła się nimi, udawała, że Soboty w ogóle nie dostrzega. Ale przecież coś się w niej działo. Zaczęła pracować pobudzona wyobraźnią, ruchy dziewczyny stały się żywsze, na blade policzki wypełzył lekki rumieniec. Horst upił koniaku z kieliszka i cierpliwie czekał na nią. Znał trochę kobiety, a przede wszystkim wiedział, że były ciekawe. Właśnie ciekawość musiała ją znowu do niego sprowadzić.

Obsłużyła tamtych dwóch i rzeczywiście podeszła do Horsta:

- Podać panu coś jeszcze?

- Nie.

- Dlaczego pan Maryn sam tu nie przyszedł?

- Spadł z konia i skręcił sobie nogę w kostce. Leży w łóżku i czeka na ciebie. Prosił, żebym tu przyszedł. Od dawna myśli o tobie, ponieważ bardzo mu się podobasz.

- To on kazał ci pokazać mi pieniądze?

- Zrobiłem to z siebie, bo myślałem, że go nie pamiętasz. Chciałem spełnić jego życzenie i zaprosić cię do swego domu.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Tak też pomyślałam. Pan Maryn nie wygląda na mężczyznę, który kupuje dziewczęta. Jeśli jakiejś chce, to ją sobie nawet bierze siłą.

Była pobudliwa, o nienasyconym łonie. Myśl o tym, że może być wzięta siłą, podniecała ją i powodowała, że rumieńce na twarzy stały się silniejsze. Z małych ust wydobył się cichy śmiech.

- Dobrze go pamiętam. Ma piękne białe zęby. I uśmiecha się tak dziwnie, że aż mrówki chodzą po udach. Nigdy się do mnie nie odezwał ani słowem...

- Tak, jest dziwny - zgodził się z nią Horst.

- Opowiadają, że myszkuje po lesie jak samotny wilk.

- Jesteś podobna do jego byłej żony. On tylko takiej kobiety pragnie.

- Ale u pana w domu też jest kobieta. Ta, co odeszła od leśniczego Kuleszy. Słyszałam o tym od ludzi.

- Ona mu się nie podoba. Za duża. Ty masz piersi jak smoczki i małe pośladki. Tamta kobieta się nie liczy, jest u nas służącą.

Bez słowa odeszła od stolika i znowu zajęła się szklankami. Kiedyś ojciec ciągle ją bił za to, że już jako czternastolatka spała z każdym, kto jej się nawinął. Nauczyło to ją ostrożności, udawania, maskowania własnej żądz. Ten starzec nazwał jej piersi "smoczkami" i nawet sobie wyobraziła, jak ssie je Maryn, chwyta brodawki swoimi białymi zębami. Od tego wyobrażenia aż zabolą ją w podbrzuszu. Ale przecież nie wolno było tego okazać. Z zaplecza może wyjść ojciec, spojrzy na nią i od razu pozna, że znowu coś knuje z jakimś mężczyzną. Nie posądzi jej jednak chyba, że ona chce mieć coś wspólnego z tym siwym starcem? Zauważyła, że Sobota opróżnił kieliszek, i natychmiast pośpieszyła, żeby zainkasować od niego pieniądze.

- Przyjadę wieczornym autobusem. Niech pan czeka na mnie na przystanku, bo wieczorem sama nie pójdę skrajem lasu.

Zaplanowała, co wieczorem powie swemu ojcu. Że z powodu miesiączki boli ją brzuch, wcześniej musi skończyć pracę. Wtedy wsiądzie do autobusu nie na przystanku przed zajazdem, ale nieco dalej, w lesie. Zresztą należał jej się wolny wieczór. Niedawno przyjęli do pracy kelnerkę z miasta, młodą dziewczynę, którą ojciec na zapleczu pod-macywał. Nie wiedziała o tym matka, ale przecież w każdej chwili może się dowiedzieć. I to powie ojcu, jeśli przypadkiem zajrzy do jej pokoju na górze i stwierdzi, że ona znowu zniknęła na całą noc.

Horst Sobota wracał zaś drogą przez las i pedałuując wolno, wsłuchiwał się w cichy śpiew wiatru, który łagodnie kołysał koronami wysokich sosen. Las mówił Horstowi: "Wynająłeś człowieka, aby ze mną walczył. Chciałeś mu kupić dziewczynę, żeby go u siebie zatrzymać. Ale ta dziewczyna nie chciała wziąć pieniędzy. Kobieta, która nie bierze pieniędzy za życie z mężczyzną, bywa gorsza od diabła, ponieważ to znaczy, że żąda od mężczyzny miłości. Co zrobisz, Horście, jeśli ona go zechce mieć na zawsze przy sobie i zwabi go do zajazdu? Myślałeś mądrze, ale ci źle wyszło. Niełatwo ze mną wygrać".

I Horst zląkł się tej dziewczyny z Gaud, lecz było już za późno, żeby coś zmienić w tej sprawie. Wydawało mu się, że powiedział do lasu:

"Jeśli będzie trzeba, zmuszę Weronikę, aby żyła z Marynem. Zmuszę ją, choć ona tego nie chce. Zrobię to, choćbym miał ją bić albo wyrzucić z domu na zawsze. Ona nie zasługuje na litość z mojej strony, gdyż przez nią umarłem, a Maryn mnie wskrzesił".

Po powrocie do domu zwierzył się Weronice ze swoich obaw, które podszeptał mu las. Młoda kobieta podzieliła jego troskę.

- To źle, Horście, że ona nie wzięła pieniędzy. Może za mało jej zaproponowałeś?

Horst wyjął z kieszeni plik banknotów owiązanych banderolą.

- Pożałowałeś grosza. Trzeba było wziąć ze sobą dwie paczki.

Nagle poczuła, że cierpi z jakiegoś powodu. Przykra jej się wydała myśl, że zjawi się u nich wieczorem dziewczyna, która pójdzie do łóżka z Marynem, gdyż jej się on po prostu podoba i chce mieć z nim przyjemność. Ze też ona, Weronika, nie wiedziała, co to takiego mieć przyjemność z mężczyzną. Dlatego niemal od razu złąła się, że tamta będzie ją w tym przewyższać.

- Nie chcę, żeby Maryn miał porządną dziewczynę, bo taka go może od nas zabrać. On musi mieć dziwkę. Zwykłą dziwkę - powtarzała kilkakrotnie ze złością.

Zdziwiło to Horsta, ponieważ nigdy z ust Weroniki nie usłyszał brzydkiego słowa, nawet takiego jak "dziwka".

- Nic nie mogłem poradzić w tej sprawie. Ona się obraziła, gdy pokazałem jej pieniądze.

- Należało z niej zrezygnować. Czy mało jest dziewczyn w wiosce albo leśnej osadzie, które może mieć mężczyzna za pieniądze?

- Mówiłaś, że jemu tamta się podoba, a nie inna. Weronika zastanawiała się głośno:

- On może przyzwycząić się do takiej dziewczyny. Dlatego gdy ona wróci do zajazdu, powiesz mu, że wzięła od ciebie pieniądze. Skłamięsz.

- Nie potrafię kłamać.

Weronika nachmurzyła twarz i wydała się Horstowi jeszcze ładniejsza. Czarne brwi zbiegły jej się nad nosem, zagryzła zębami dolną wargę, przez co pulchność i uroda górnej wargi bardziej się uwydatniła. Po raz pierwszy w życiu Horst zobaczył, że jej górną wargę pokrywa delikatny ciemny puszek.

- To ja powiem mu to kłamstwo.

- Nie wiedziałem, że nauczyłaś się kłamać.

- Leśni ludzie ciągle kłamią. Dla nich słowa nic nie znaczą. Chcesz, Horście, walczyć z lasem, ale nie rozumiesz, że trzeba się posługiwać taką samą bronią.

- Masz rację - przytaknął Horst. - Oni kłamią, dlatego i my musimy kłamać.

Wrócili do domu, gdzie Maryn golił się w łazience. Weronika zajęła się obiadem. Sobota rzekł do Maryna, zagładając do łazienki:

- Nie wyjeżdżaj dzisiaj do lasu. Wieczorem przyjedzie tu autobusem pewna dziewczyna z Gaud. Powiadomiła mnie, że chce się z tobą spotkać u mnie w domu.

- Nie zamierzałem dzisiaj wyjeżdżać. Muszę zszyć popręg, bo zaczął się pruć. Czy masz mocną nić albo cienki sznurek?

- Dam dratwę - obiecał Horst i zaraz przyniósł z kuchni pudełko, gdzie trzymał takie przedmioty jak szydło, dratwa, naparstek.

Ale zanim Maryn zabrał się do zszywania popręgu, Weronika podała obiad. Dla Maryna pozostał jeszcze duży kawał upieczonej gęsi, którą kupiła we wsi. Przyglądała się Józwie, który jadł po swojemu - wolno, jak gdyby bez smaku, i też tak jadła. Oczekiwała, że Maryn będzie wypytywał Horsta o dziewczynę, lecz Józwa milczał, jak gdyby ta historia go zupełnie nie zainteresowała.

Potem Maryn wyprowadził klacz na łąkę nad jeziorem i wypuścił Iva z ogrodzenia. Usiadł na pomoście, obok siebie położył pudełko otrzymane od Horsta i zabrał się do zszywania popręgu. Świeciło popołudniowe słońce, klacz pasła się spokojnie, pies węszył między drzewami w sadzie, ale nie oddalał się zbyt od Maryna. Sobota otworzył drzwi do nie używanego od dawna dużego pokoju, zwanego przez niego jadalnią. Nie było w nim łóżka ani tapczanu, tylko wielki kredens z czarnego drzewa, ogromny prostokątny stół i kryte skórą krzesła z wysokimi oparciami. Na podłodze leżał stary dywan o wyblakłym wzorze. Horst otworzył okna i wpuścił do pokoju ciepłe, pachnące lasem powietrze, wyjął z kredensu dużą serwetę z frędzlami, nakrył stół, na stole postawił butelkę gatunkowej wódki, talerze, talerzyki i sztucce. Sam też zajął się przygotowywaniem kanapek z zimnym mięsem. Chciał przyjąć dziewczynę z Gaud jak prawdziwą damę. Pragnął również, aby Maryn wiedział, że on, Sobota, jest człowiekiem znającym się na gościnności, a nie jakimś tam nieokrzesanym starcem, który ciągle, z lęku przed lasem, wchodzi do jesionowej trumny.

Weronika zmyła naczynia z obiadu, na górze zaczęła się ubierać w to, co wydawało się jej najładniejsze. Kelnerka z Gaud musi natychmiast pojąć, że jedyną gospodynią w tym domu jest ona, Weronika. Tę drugą kobietę zaproszono tutaj tylko po to, żeby stała się przyjemnością dla ich gościa. Będzie takim samym poczęstunkiem jak kieliszek wódki i kanapka z zimnym mięsem. "Zapewne zada sobie pytanie, czemu to ja nie ofiaruję przyjemności naszemu gościowi" - zastanawiała się Weronika. I zdecydowała od razu dać tej dziewczynie do zrozumienia, że jej, Weronice, nie odpowiada dawanie przyjemności mężczyźnie, nawet gościowi. Ale czy tamta nie okaże się na tyle sprytna, aby domyślić się kalectwa Weroniki, a tym samym poczuć się lepsza? Nie, tego by nie zniosła od nikogo, żadnego wywyższania się nad nią, Weroniką, i to w domu Horsta Soboty, który był i jej domem. Po prostu może lepiej będzie, jeśli skłamię tej dziewczynie, że ma zamiar wrócić do swego męża, leśniczego Kuleszy, i nie może się w związku z tym narażać na plotki. Tak, to uznała za najlepsze wyjście z sytuacji i poczuła się zadowolona z własnego sprytu.

Zdjęła sukienkę i bieliznę. Naga, zerkając na swoją nagość w lustrze, uświadomiła sobie ponownie, że dzięki temu, co zrobił jej lekarz w mieście, znowu jest zupełnie wolna, jej ciało należy tylko do niej. Wciągnęła na biodra nowiutkie majtki z różowym kwiatkiem z prawej strony, potem długo nie potrafiła zdecydować, czy włożyć biustonosz i jakiego koloru ma być bluzka. Chyba ze trzy razy przymierzała bluzki i biustonosz, później same bluzki bez biustonosza. Chciała wyglądać nie tylko ładnie, ale i ponętnie, żeby broń Boże tej kelnerce z

Gaud nie przyszło na myśl, że Maryn woli ją niż Weronikę. Miała duże, ciężkie piersi, które trochę opadały ku dołowi, więc postanowiła włożyć żółtą obcisłą bluzkę, aby nieco je podnieść. Przez cienki materiał wyraźnie zaznaczały się sutki, lecz bluzka trochę deformowała piersi. Zapięła biustonosz, wtedy jednak sutki nie były widoczne przez materiał bluzki. Wdziała więc bluzkę zieloną, luźną, tylko że wówczas piersi wydawały jej się zbyt ruchome. "Będą mi się poruszały pod bluzką przy każdym ruchu ramion bo, są jak graniczne kopce" - przypomniała sobie słowa Leśniakowej. Kopce graniczne nie były do niczego przydatne, po prostu zaznaczały granice czyichś gruntów albo granicę lasu. Na każdym kopcu granicznym sterczał kamień mierniczy. Jej piersi też nie miały być do czegoś przydatne, po prostu odróżniały ją od mężczyzny. Nie chciała nimi karmić dziecka, bo dziecka się pozbyła. Nie pozwoliła ich dotykać i całować Kuleszy, gdyż to budziło w niej wstręt. "Mam je tylko na pokaz" - zaśmiała się do siebie. Właśnie wczoraj rano pokazała je Marynowi, ale on nie chciał ich oglądać, a potem powiedział, żeby nigdy się przy nim nie rozbierała. Właśnie to jedno: rozbierać się przed Marynem, podniecać go aż do bólu, o tym myślała z przyjemnością. Dlatego w końcu wybrała skąpy biustonosz i żółtą obcisłą bluzkę, żeby Maryn po prostu musiał bezwiednie widzieć jak najwięcej jej ciała. Spódniczkę dobrała szarą, plisowaną, podobną nieco do tej, którą nosiła Eryka. A kiedy już była prawie gotowa i usiadła przed lustrem, żeby uczesać swoje czarne włosy i upiąć je z tyłu - raptem przeniknęło ją poczucie, że nie chce w tym domu żadnej innej kobiety, nawet jeśli to ma być kobieta podana mężczyźnie tak jak kieliszek wódki czy kanapka z zimnym mięsem. Przyszedł jej do głowy szalony pomysł, aby oszukać Horsta i wyjść wieczorem na przystanek autobusowy, spotkać się z kelnerką i powiedzieć jej jeszcze jedno kłamstwo: "Maryn wyjechał. Wracaj, dziewczyno, tam, skąd przybyłaś". Zaraz jednak opanowała tę myśl, bo przecież sama poprosiła Horsta, aby pojechał do Gaud po kelnerkę, gdyż nie widziała innego sposobu zatrzymania u nich Józefa Maryna, który był im potrzebny. Co zrobi bez Maryna, jeśli Horst znowu położy się w trumnie, gdyż prawdą jest, że las chce zabrać im dom i sad.

Przed wieczorem Weronika zeszła na dół i na podwórzu napotkała Horsta Sobotę, który małym kozikiem korował palik dla wzmocnienia pnia jakiegoś młodego drzewka owocowego. Gdzie przebywał Maryn - tylko się domyśliła. Od strony jeziora kilkakrotnie usłyszała ostry gwizd, zapewne na łące tresował swojego Iva.

Horst uważnie patrzył na strój Weroniki, na jej przezroczystą bluzkę, upięte wysoko włosy. Z uznaniem pokiwał głową, jego spojrzenie zdawało się mówić Weronice: tamta ma tylko dziewczęce piersi i szczupłe pośladki, przypomina wiotką wiśnię, ty zaś, Weroniko, jesteś rozrośnięta jak jabłoń. Czemu on woli tamtą od ciebie?

- Czy będziesz mi miał za złe, Horście - odezwała się - jeśli pozostanę u siebie na górze i nie będę usługiwać tej dziewczynie z Gaud?

- Nie, Weroniko. Myślę nawet, że tak będzie lepiej - odparł. - Bez ciebie tamta stanie się śmielsza.

Powróciła więc do siebie na górę i usiadła przy oknie, skąd mogła widzieć i las, i drogę, powoli pokrywaną się kurzem mroku. Nie zapalała światła, gdyż wołała, aby jej nikt z drogi nie wypatrzył w oknie. Wiedziała, że wraz z nadejściem nocy pokaże się księżyc, droga na skraju lasu stanie się znowu widoczna, nic nie ujdzie jej uwagi. Tu na górze słyszała każdy

szmer w głębi domu - rozpoznawała kroki Horsta, raz po raz wędrującego z kuchni do jadalni i sprawdzającego, czy wszystko zostało należycie przygotowane na przyjęcie dziewczyny. Doszły do jej uszu również kroki Józefa Maryna, który wrócił z dworu i wszedł do swojego pokoju. Zapewne położył się w ubraniu na łóżku, bo gdyby chodził po pokoju, trzeszczałyby wysuszone deski podłogi.

Po zapadnięciu zmroku przestała rozróżniać pnie drzew w lesie po drugiej stronie drogi. To były przeważnie stare sosny, nieco głębiej rósł dąb i buk. Pierwszy raz w tym roku ujrzała wolno lecące świetliki, które to gasły, to zapalały się, przez co odniosła wrażenie, że las - milczący, gdyż nie było wiatru - daje jej jakieś znaki, grozi czymś lub po prostu przed czymś ostrzega. Horst wyszedł wreszcie na drogę i szybkim krokiem powędrował w stronę asfaltowej szosy i przystanku autobusowego. Wtedy poczuła w sobie lęk, pojęła bowiem, co stary Sobota miał na myśli, kiedy opowiadał, że las do niego przemawia, a on rozumie jego mowę. Usłyszała w sobie głos, który musiał być głosem lasu: "Pohańbię cię, Weroniko, trzeci raz. Znowu zdepczę twoją kobiecą godność. Stary Horst idzie na przystanek nie po ciebie, ale po inną kobietę. I nie okłamuj siebie, że Marynem się brzydzisz albo ci się nie podoba, bo prawda jest taka, że nie potrafisz się oddać żadnemu mężczyźnie". Potem ów głos umilkł, a myśli Weroniki zgasły jak świetliki w lesie. Pojawił się księżyc i choć go nie widziała, ujrzała nagle, że jaśnieje w mroku nocy droga na skraju lasu. Pojawił się Horst w towarzystwie dziewczyny, Weronika nie chciała na nich patrzeć, obserwowała tylko ich cienie, jeden dłuższy - Horsta, a drugi krótszy - kelnerki z Gaud. Cienie poruszały się po piaszczystej drodze, chwilami załamywały się na pniach drzew w lesie. A po krótkim czasie dom wypełnił się tupotem kroków i nerwowym, piskliwym chichotem dziewczyny. Nie rozróżniała słów wypowiedzianych przy stole w jadalni, dudnił jej jednak w uszach skrzypiący głos Horsta i od czasu do czasu, rzucane przez dziewczynę krótkie zdania, raz po raz znowu przerywane chichotem. Pobrzękiwały talerze i sztuce, ktoś głośno odstawił krzesło, ktoś stłukł kieliszek. Brzęk rozpryskującego się szkła był tak przenikliwy, że Weronika aż zadygotała. Tylko głosu Maryna nie słyszała, jak gdyby go tam na dole nie było.

Jak długo to wszystko trwało? Nie patrzyła na zegarek, nie liczyła minut i godzin, pozostawała w jakimś odrętwieniu, gdy wydawało się, że jej dusza oddzieliła się od ciała i stała się wobec niego wroga. Bo pragnęła być tam na dole, siedzieć przy stole obok Horsta i Maryna, zamiast tej dziewczyny. Lecz ciało jej dygotało ze wstrętu na myśl, że potem musiałaby naga leżeć w łóżku, znosić na sobie ciężar mężczyzny, odczuwać przez chwilę ból jak od włożonej w nią płonącej żagwi, później zaś obojętnie przyjmować ruchy męskiego ciała. Nie, tego by już chyba nie potrafiła znieść, choć tak bardzo chciała być tam, wśród nich na dole.

Wreszcie głosy w jadalni umilkły, usłyszała szum wody w rurach. Dziewczyna zapewne kąpała się w łazience - tak pomyślała i obudził się w niej gniew, a może nawet coś jeszcze innego - po prostu zazdrość. Nie, nie o Maryna, lecz o łazienkę. O jej łazienkę. O to, że ta obca kobieta wchodzi do wanny naga, gdzie ona, Weronika, się kąpie. Jak gdyby ciało tej dziewczyny mogło te wannę zbrukać, uczynić wstrętną.

Stuknęły drzwi do pokoju Maryna. Dziewczyna weszła tam po kąpiel i może teraz kładzie się na łóżku, w którym już czeka na nią Józwa. Przytępiła oddech w piersiach, wyczuła słuch,

ale z dołu nie doszedł jej żaden szmer. Łóżko w pokoju Maryna nie skrzypiało jak w leśniczówce Kuleszy.

Wyjęła z szafy wielką wełnianą chustkę z frędzlami, narzuciła na siebie i boso, aby jej stapań nie było słycać, ostrożnie zeszła na dół. Nigdzie nie paliło się światło, Horst już zapewne spał u siebie, a Maryn z tą dziewczyną leżeli w ciemnym pokoju.

Uderzył ją zapach perfum tamtej dziewczyny - tak brzydki, że przez chwilę aż ją zaczęło mdlić. Minęła kuchnię i weszła do łazienki, gdzie zapaliła światło. Cała łazienka zdawała się cuchnąć tą kobietą. Pomyślała, że długo będzie musiała wietrzyć łazienkę i szorować wannę, zanim zniknie ów zapach. Pomyślała również, że nigdy nie zbliży się do Maryna o krok, bo zawsze chyba będzie od niego czuła zapach dziewczyny z Gaud. Obudził się w niej żal do Maryna, że okazał się takim samym mężczyzną jak Kulesza. Czy to już tak na zawsze musi być na świecie, że mężczyzna nie może żyć obok kobiety - jak przedwczoraj w hotelu - tylko zawsze potrzebuje żyć z kobietą, w kobiecie? Przecież ona, Weronika, potrafiłaby mu dać tyle radości i tyle szczęścia, sprzątać mu, gotować, myć nogi, byle tylko nie chciał żyć w niej, ale obok niej. Mogliby nawet leżeć w jednym łóżku, nadzy i splątani ze sobą rękami i nogami, ogrzewając się własnymi ciałami. Lecz nie w sobie.

I na myśl, że leży naga, przytulona do Józwy, obejmuje jego ciało swoimi rękami, wdychając kwaśny zapach jego potu, poczuła podniecenie. W jej podbrzuszu odezwał się rozkoszny ból. Trochę przeraziło ją własne pożądanie. Pośpiesznie zgasiła światło w łazience i wybiegła na podwórko.

Świecił księżyc, chłodne powietrze nocy ostudziło w niej gorączkę. Ostrożnie stąpając bosymi stopami po piasku i drobnych kamyczkach, przeszła pod oknami pokoju Maryna i znalazła się na drodze. Nagle opadło ją zmęczenie i senność, na moment przykucnęła na skraju lasu. I raptem usłyszała coś strasznego - przez uchylony lufcik w oknie pokoju Józwy doszedł do niej przenikliwy krzyk kobiety. Był podobny do krzyku jakiegoś nie znanego nocnego ptaka. Krzyk nabierał mocy i trwał chyba bardzo długo, aż wreszcie zaczął cichnąć, przypominając zwierzęcy skowyt. Mimo że brzmiał tak przeraźliwie, pojęła, że wyrażał rozkosz. I ta świadomość smagnęła ją jak batem. Zerwała się z miejsca i zaczęła uciekać w las, w nieprzenikniony mrok, w którym czyhały na nią ukryte w ciemnościach grube pnie sosen i buków. Dwa razy uderzyła się boleśnie o porowaty pień, aż wreszcie zatrzymała się, gdyż krzyk już zupełnie umilkł. Nie miała siły, aby powrócić do domu. Objęła pień starej sosny, przytuliła się do niego i otarła policzkiem o szorstką korę. Potem zaczęła krzyczeć głośno, coraz głośniej i przenikliwiej, gdyż to - jak jej się zdawało - mogło przynieść ulgę w męce, którą czuła. Krzyczała jak tamta dziewczyna w pokoju Maryna, ale jeszcze przenikliwiej, aby ją usłyszał cały las. A potem zapłakała cicho i słaniając się na nogach powróciła do swojego pokoju na pięterku. Rozebrała się, byle gdzie rzucając odzież, i zasnęła mocno, bez snów.

Obudziły ją głosy na drodze i parskanie klaczy. Był dzień. Maryn pomógł dziewczynie z Gaud usadowić się na klaczy, a później wskoczył sam na siodło, mając przed sobą dziewczynę. Ona śmiała się siedząc okrakiem na grzbiecie klaczy z podciągniętą do góry spódnicą i obnażając swoje szczupłe uda. Weronika nie mogła na nich patrzeć, odeszła od okna, ubrała się, a kiedy Maryn odjechał do Gaud, zeszła na dół i wzięła się do szorowania wanny.

Po jakimś czasie zjawił się stary Horst i poprosił Weronikę, żeby mu podała śniadanie.

- Powiedziała, że postara się do nas przyjść, kiedy się ją tylko wezwie - mówił Horst, goląc się przed lusterkiem postawionym na parapecie kuchennego okna. - Teraz już na pewno wiem, że Józwa od nas nie odejdzie. Myślę, że było im z sobą bardzo dobrze, bo słyszałem, jak krzyczał zrozpaczony las.

- To nie las, to ja krzyczałam w lesie - odrzekła Weronika.

- Ty? - zdumiał się stary. - A dlaczego?

- Z nienawiści - wrzasnęła na Horsta.

Horst jednak nie rozumiał.

- Nie masz powodu do nienawiści - powiedział. - Odniosłem wrażenie, że nawet trochę polubiłaś Maryna. W każdej chwili możesz być w jego łóżku na miejscu tamtej z Gaud. Jesteś ponętniejsza i piękniejsza od tamtej. A poza tym wiesz przecież, że rozumiem mowę lasu. Potrafię też odróżnić krzyk kobiety od krzyku drzew. To krzyczał las. Krzyczał strasznie, ponieważ zrozumiał, że znowu poniósł klęskę. Maryn od nas nie odejdzie, gdyż kupiliśmy mu kobietę. Będzie ją miał na każde zawołanie.

Weronika nie odezwała się już ani słowem. Podała Horstowi jajecznicę i chleb posmarowany masłem, a potem wyszła na podwórko z miską pełną jedzenia dla psa. Bała się Iva, który kochał tylko Maryna, ale tego dnia zapragnęła, aby ją ten wściekły pies rozszarpał. Otworzyła furtkę w ogrodzeniu i postawiła miskę na środku wybiegu.

Iwo radośnie zamerdał ogonem. Nie zawarczał ani nie zaszczekał. "Pokochał także i mnie" - pomyślała i to była jedyna radosna chwila, jaką ostatnio przeżyła.

A Horst Sobota zrobił kilka kroków przez drogę i zbliżył się do skraju lasu. Potem zaś powiedział w myślach w mowie, która mu się wydała zrozumiała dla drzew i leśnego poszycia:

"Zabrałeś mi żonę, wielki lesie. Zabrałeś mi córki. Później porwałeś mi drugą żonę i syna. Pochłonałeś moje pola i chcesz ukraść mój dom i sad. Lecz oto zamieszkał u mnie człowiek, który cię pokona. Nazywa się Józef Maryn i przybył tu z tajemniczego świata. Jak mówił mi Izajasz

Rzepa, trzy są twoje moce, biocenoza, ekosystem i klimaks leśny. Nic jednak nie wiesz o złych mocach, które tkwią w tym człowieku. Oddam mu cały swój majątek, oddam mu Weronikę i wszystko, co kocham, aby ciebie pokonał".

Rozdział dziesiąty

Leśniczy Karol Stęborek nie spał prawie przez całą noc, ponieważ dręczył go jakiś tajemniczy ból wewnętrzny. Źródła owego bólu nie potrafił umiejscowić, na pewno nie był to dziurawy ząb ani żołądek, w ogóle nie miał on nic wspólnego z ciałem, ale raczej z czymś, co ludzie nazywali sumieniem. Czy coś tak nieokreślonego, niewidzialnego, niematerialnego bolało aż do tego stopnia, żeby nie mógł spać? Ów ból jednak drażył go nieprzerwanie i nie pozwalał zasnąć, choć na tym samym tapczanie, tuż obok nagiego Stęborka, spała cichutko jego żona Malwina i jeszcze ciszej, niemal jak martwe, w małym łóżeczku tuż obok tapczanu leżało ich małe dziecko. Nie pomagały Stęborkowi jego zaklęcia: "jestem szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy", gdyż czuł się bardzo nieszczęśliwy i być może świadomość owej prawdy sprawiała mu ból wewnętrzny.

Nie udało się osadzić tartaku w zwirowni koło domu Horsta Soboty, rozpylić w jego sadzie drobin drewna i trocin, zgrzytem elektrycznego traka wypełnić powietrza, a na drodze przed domem Horsta rozstawić ciągników z przyczepami załadowanymi tarcicą. Jak długo mógł się bronić Horst Sobota przed huraganem trocin, przekleństw i wrzasków pijanych kierowców? Być może już po miesiącu sprzedałby swój dom nadleśnictwu. Albo jeszcze lepiej, jak opowiadano, położyłby się do swojej jesionowej trumny i umarł, a wtedy cały jego majątek przeszedłby na skarb państwa, gdyż było wiadomo, że wydziedziczył Weronikę z powodu jej małżeństwa z Kuleszą. Niestety stało się inaczej. Przepisy zabraniały budowy tartaku w pobliżu jeziora i jeszcze tam na miejscu, w starej zwirowni, Stęborek oświadczył Kozusznikowi i brodatemu Łukcie, że z tartaku nic nie będzie, on występuje ze spółki. "Niech pan robi, co pan uważa - wzruszył ramionami brodaty Łukta. - Skoro jednak jest już trak elektryczny, to znaczy, że tartak można zbudować w innym miejscu. Mam kawałek pola pod lasem, tuż koło pana domu. Owce tam tylko pasę. Dobre miejsce pod tartak". Przeraził się tych słów Stęborek, zląkł się o spokój Malwiny, która (jeśliby tartak zbudowano tuż obok leśniczówki) musiałaby wysłuchiwać nieustannego zgrzytu traka, przekleństw pijaków oraz wdychać w płuca pył trocin. Skrzyczał Stęborek brodatemu Łukcie, nawymyślał Kozusznikowi, wystąpił ze spółki i umowę, jaką w trójkę podpisali, podarł na strzępy, i to na ich oczach. Ale czy jest w człowieku coś silniejszego niż chęć zysku? W kilka dni Kozusznik i Łukta załatwili sprawę nowej lokalizacji tartaku i bezradny Stęborek patrzył z okien swego domu, jak specjalnym ciągnikiem ryją w ziemi wielki kanał dla zabetonowania traka i wmurowania szyn na wózek z dźwyzkami. To on, Stęborek, był pomysłodawcą tartaku, to on chciał widzieć ból na twarzy Horsta Soboty. I to wszystko obróciło się przeciw niemu; ból wypełnił teraz duszę Stęborka, a nie Soboty. Tłumaczył się przed sobą, że uległ gadaniu nadleśniczego o tym, że las lubi złych ludzi, i chciał się stać złym człowiekiem. Las jednak jak gdyby nie przyjął jego ofiary i zwrócił się przeciw Stęborkowi. "Może las nie każde zło lubi?" - pomyślał Stęborek i rozgniewało go, że w ten sposób w ogóle myśli, ponieważ był to nienaukowy sposób myślenia. Las przecież nie był żywą istotą, jak to twierdził Horst Sobota i po cichu prawdopodobnie w ten sposób myślało wielu leśnych ludzi. Nie byli to jednak, zdaniem Stęborka, ludzie światli, lecz zdegenerowani przez samotność leśną, przez wódkę, przez przyrodę, która uznawała tylko prawo silniejszego.

Wczoraj nadleśniczy kazał mu podpisać pewien dokument. "Będzie pan miał wkrótce dom Horsta Soboty, ponieważ ograniczymy jego prawa i zamkniemy go w szpitalu dla wariatów" - powiedział i Stęborek podpisał niemal bez namysłu. Tym samym dokonał kolejnego aktu zła, aby las go polubił, a Malwina miała nareszcie ładny i suchy dom. W lesie należało wciąż czynić coraz nowe zło - tak sobie tłumaczył Stęborek - gdyż las też nigdy nie był dobry i nie znał litości. Czy jednak i to zło nie obróci się przeciwko niemu? Podpisał się pod dokumentem pełnym fałszu i kłamstwa. Ale chyba innym złem była sprawa tartaku, a innym podpisanie fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu. Tamto zło uczynił Stęborek na własną rękę, było to więc jak gdyby jego prywatne zło, nie związane z lasem, to zaś zło miało zupełnie inny charakter. Nosiło ono znamiona leśnego zła, co chyba oznaczało, że las nareszcie zaakceptuje Stęborka, da mu piękny dom i nie będzie powodować wypadów na jego uprawach. Dlatego to nie fakt podpisania fałszywego świadectwa bolał Stęborka przez całą noc, lecz świadomość, że krok za krokiem wchodzi w sposób myślenia leśnych ludzi, nabiera ich obyczajów, ulega ich mitologii, w której naczelnym bogiem był las z jego wyrokami i owym "lubię, nie lubię". Z Horsta Soboty chcieli leśni ludzie uczynić wariata, gdyż głośno opowiadał, że las jest żywą istotą, zwierzał się, że rozmawia z lasem. To samo, choć po cichu myśleli inni leśni ludzie, nie uważali się jednak za wariatów. Stęborek czuł pogardę do leśnych ludzi, ze wstrętem myślał o tym, co zrobił Kulesza z Weroniką, p zniszczonym przez Wojtczaka cmentarzyku na plantacji nasiennej, i sądził, że nigdy nie stanie się leśnym człowiekiem, bo to oznaczało odczłowieczenie. A tymczasem zagłębiał się w leśne bagno, tak samo jak inni powoli odczłowieczał własną osobowość. "To jednak prawda, że u Kondradta, choćby patyk wsadził w ziemię, drzewo zaraz wyrośnie, u mnie zaś jest tak wiele wypadów" - usprawiedliwiał się. Czuł się z tego powodu bardzo nieszczęśliwy i dlatego coś go bolało we wnętrzu. I to tak mocno, że o świcie ostrożnie wylazł spod kołdry, aby nie obudzić Malwiny, i nagi, chudy, przygarbiony stanął w oknie, które patrzyło na las.

Dobrze znał Stęborek ten kawałek lasu przed swoją leśniczówką. Wystarczyło mu tylko rzucić okiem przez szybę w oknie, aby dostrzec, jak świt pobiela korony wysokich sosen. Potem mógł zamknąć oczy i widział pnie trzydziestoletnich sosen, pokręconych, z suchymi gałęziami przy ziemi, gdyż las ten posadzono na gruntach porolnych i nie potrafił się on sam oczyścić od dołu z suchych gałęzi. Deski z takich sosen byłyby poskręcane, pełne sęków, drewno nadawało się jedynie na papierówkę. Ale rosło tam dużo dzikich i słodkich malin, Stęborek lubił zbierać te maliny wraz z Malwina, trzymając dziecko na lewym ręku. Nie, to nie był prawdziwy las albo bór sosnowy, ot, nowy oddział na gruntach wydartych Horstowi Sobocie. Prawdziwy las zaczynał się trochę dalej, przeogromna i przepastna kraina buków, jesionów, dębów i świerków, które osłaniały ziemię przed słońcem, tak że nie ośmieliła się pod nimi wyrosnąć nawet trawka. Kto wie, czy to nie wśród owych potężnych świerków, w ich wiecznym mroku, tkwiły najważniejsze siły lasu. Świerków Stęborek nie lubił, najweselsze i najmilsze były dla niego modrzewie, lecz właśnie one nie chciały rosnąć na jego uprawach. Dlaczego? I czy teraz, po podpisaniu fałszywego świadectwa, przyjmą się w przyszłym roku nowe sadzonki modrzewia, pokryją się delikatną, jasną zielenią cienkich i miękkich igieł? Stęborek lubił modrzewie (jeśli było coś w lesie, co naprawdę choć trochę lubił), a dlaczego - nie wiedział. Raz czy dwa zdarzyło mu się nawet, że pogłaskał szarobrunatną, głęboko splekaną korowinę starego modrzewia, trochę radując się, że drewno, które kryje w sobie gruby pień, jest tak trudne w obróbce i odporne na działanie kwasów i zasad, twarde jak żelazo, a soki, które w nim

krażyły, nazwano żywicą wenecką, której poszukiwali malarze i ceramicy. Modrzew przypominał mu samego siebie. On, Stęborek, też był twardy, odporny na kłopoty i choroby. Zamiast Malwiny uprawiał ogródek, niańczył dziecko, gotował obiady i zmywał naczynia, robił śniadania i kolacje, chodził do sklepu po zakupy. Tak więc ze wszystkich drzew lubił jedynie modrzewie, a przecież to właśnie modrzewie usychały na jego uprawach. Czy naprawdę powinien ulec tym wariackim radom, aby wziąć do lasu Malwinę i na uprawie wsadzić członek w jej pochwę, wypełnić Malwinę nasieniem? Nie, Malwina nigdy nie zgodzi się na coś takiego, gdyż jak to mówiono, posiada głębokie i tajemne życie wewnętrzne. "Ech, gdyby tak jeszcze można było urodzić dziecko za Malwinę" - pomyślał, dziwiąc się, że natura tak wyraźnie między kobietę i mężczyznę podzieliła zadania. Modrzew też miał kwiaty rozdzielнопłciowe, wiatropylne, ale na tej samej rosnące gałązce. Czy nie gniewał się na niego las, ponieważ za Malwinę gotował i zmywał naczynia, wszędzie ją wyprowadzał za rękę i gotów był za nią nawet urodzić?

Zapragnął odetchnąć powietrzem lasu i leciutko uchylił okna. Zaskrzypiało głośno, bo było stare, spróchniałe, z zardzewiałymi zawiasami. Wysunął głowę na dwór i zobaczył mgłę poranną snującą się nisko w lesie, osrebrzoną świtem, który panował już w koronach drzew. Ta mgła co wieczór i rano podchodziła pod jego dom i zawsze zatrzymywała się na skraju lasu. Kiedyś jednak może przekroczyć drogę i pochłonie także leśniczówkę, wślizgnie się do pokoi przez spróchniałe okna, jak jęzorem liźnie Malwinę, dziecko, sprzęty w mieszkaniu. Co będzie wówczas? Czy można odgonić leśną mgłę? A może to nie była mgła, tylko nienawiść, którą las do niego odczuwał, nie wiadomo dlaczego. I co uczynić, aby przebłagać las?

Malwinę obudziło skrzypienie otwieranego okna. Usłyszał jej oddech tuż za plecami. Wstała z łóżka w bardzo krótkiej koszuli, z prawie gołym podbrzuszem, i podeszła do niego.

- Dlaczego nie śpisz? - zapytała szeptem. - I czego wypatrujesz w lesie?

Nie odpowiedział, a ona zrozumiała, że ma jakieś zmartwienie. Nie obchodziło jej to jednak; ona też miała swoje zmartwienia, z których mu się nigdy nie chciała zwierzyć. Dwoma palcami, delikatnie, chwyciła jego obwisły i miękki członek, a potem zaczęła go leciutko ugniatać. Zazwyczaj prawie natychmiast stawał się duży i twardy.

- Daj mi spokój - powiedział.

- Kiedy ja chcę... - odrzekła z żalem w głosie.

Miała pretensje, że w ten sposób musi ożywiać męskość Karola. Brodaty Łukta (przeklęty Łukta, który budował tartak tuż pod ich domem) miał na pewno w spodniach ciągle sterczącego członka i gdy na nią patrzył (wstrętny brodaty brudas), Malwinie robiło się gorąco. Bała się go, emanowała z niego straszliwa moc i siła. Ale przecież czasami jej się śniło, że okropny Łukta wchodzi do ich domu pod nieobecność Karola, goni ją po wszystkich pokojach, aż wreszcie przydusza w jakimś kącie, aż ona traci oddech pod ciężarem jego ciała, zarazem jednak ogarniają rozkosz, jakiej nigdy nie doznała, choć czuła, że taka rozkosz na świecie istnieje.

Stęborek, wciąż patrząc w las, sięgnął ręką do podbrzusza Malwiny, namacał jej wyniosły

i obficie obrośnięty wzgórek łonowy, natrafił palcami na to, co go w Malwinie zawsze podniecało - jak gdyby małej języczek wysunięty z jej wilgotnych warg. Chwycił go i też delikatnie ucisnął palcami. Ale tym razem nie odczuł podniecenia, gdyż we wnętrzu wciąż go bolało.

- Chcę mieć jeszcze jedno dziecko - oświadczyła Malwina.

- Po co nam? Czy mało mam roboty z jednym?

- Chcę mieć drugie dziecko, gdyż boję się, że każesz mi w przyszłości chodzić do sklepu między te okropne leśne kobiety. Jeśli będę miała drugie dziecko, nie zmusisz mnie do opuszczenia domu.

- Nigdy ci nie pozwolę iść do sklepu - obiecał.

Raptem przyszła mu do głowy przerażająca myśl: być może las żądał od niego największej ofiary: rozkazu, aby Malwina sama poszła do sklepu. Być może to właśnie Malwiny nie akceptował las, który kochał kobiety takie jak Weronika, silne i samodzielne, odważne i pracowite.

- Boję się lasu, Malwino - wyszeptał. - Nie wiem dlaczego, ale czuję przed nim strach. Nie powinienem być zostać leśnikiem, a ty nie powinnaś mieszkać w leśniczówce.

Objęła go ramieniem i pociągnęła na tapczan. Wezbrał mu członek, wszedł w jej wilgotną pochwę. Poruszając się na Malwinie, Stęborek powtarzał swoje zaklęcie: "Jestem szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy". Potem strzyknął w nią nasieniem i uradował się myślą, że jeśli nawet nie potrafi zasiać lasu, to być może znowu zasieje w Malwinie nowe ludzkie życie.

Rankiem coś go pogało na uprawę. Zatrzymał harleya na linii działowej, w wysokiej i mokrej od rosy trawie, a potem przespacerował się po starym zrębie, gdzie rosły już młode drzewa. Znalazł tylko jeden modrzew i długo mu się przypatrywał, starając się pojąć, dlaczego inne mu uschły, a ta sadzonka została i obsypała się zielenią. Przyklęknął przy wątłym drzewku i długą chwilę patrzył na zielone miękkie igły, z trudem opanowując w sobie szloch. Nagle jednak ogarnęła go niespodziewana radość. Czy nie podpisał fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu? Za tydzień albo dwa ludzie w białych fartuchach zabiorą do szpitala Horsta Sobotę, a on, Stęborek, pojedzie wtedy specjalnie pod dom Horsta, aby zobaczyć jego twarz wykrzywioną cierpieniem.

Powrócił do harleya i właśnie chciał kopnięciem buta uruchomić silnik, gdy na drodze, w tym samym miejscu, gdzie nie tak dawno stał samochód nadleśniczego, zobaczył mężczyznę na koniu. To jechał przez las strażnik łowiecki, Józef Maryn. Przed sobą na grzbiecie końskim wiozł dziewczynę, młodą blondynkę o pięknej, jasnej twarzy. Dziewczyna siedziała okrakiem, sukienkę miała podciągniętą wysoko, aż pod pępek, i Stęborek zobaczył jej długie, zgrabne nogi, piękne, białe, gołe uda. Poznał ją - to była kelnerka z zajazdu w Gaudach. I choć jeszcze nie tak dawno miał Malwinę, zapragnął mocno owej dziewczyny, może dlatego, że Malwina miała uda bardzo chude i krzywe nogi. "Nigdy nie będę miał takiej dziewczyny" - pomyślał z żalem.

Józef Maryn kiwnął mu głową, pokazując w uśmiechu swoje białe zęby, dziewczyna zachichotała wstydliwie, ale nie zasłoniła sukienką nagich ud. Przejechali wolno obok Stęborka, a on długo patrzył za nimi. Strażnik łowiecki był w wojskowej, świeżo wyprasowanej koszuli, w pięknie skrojonych spodniach i wyglansowanych długich butach. Jego szczupłą sylwetkę podkreślał czarny pas z kaburą na pistolet. Wszystko się wydawało piękne w tym człowieku - a szczególnie głowa bez czapki, mała głowa z jasnymi włosami, krótko przystrzyżonymi.

Stęborek pomyślał o swojej łysiejącej głowie, rzadkich, brudnych włosach, wypłamionym mundurku leśnym, który nosił pomięty, choć przecież Malwina mogłaby mu go odprasować. Butów też chyba od nowości nie dotknęła szczotka. "Nigdy nie pokażę Malwinie tego człowieka" - zdecydował, patrząc w to miejsce między drzewami, gdzie zniknął Józef Maryn i jego izabelowata klacz.

Na skraju lasu koło wsi Gaudy Maryn pomógł dziewczynie zeskoczyć z konia. Ranek był chłodny, dziewczyna siedziała przed nim i przytulała się do Maryna ciepłymi plecami - teraz dopiero poczuła chłód. Nie od razu poszła w kierunku wsi. Chwyciła klacz za lejce i wyczekująco patrzyła na mężczyznę roześmianymi oczami. Być może pragnęła go w tej chwili równie mocno jak w nocy. Jej drobne ciało tak naprawdę nigdy nie bywało nasycone.

- Przyjedziesz po mnie wieczorem? - zapytała przekrzywiając na bok głowę z jasnymi włosami. - Nigdy dotąd nie miałam tak wspaniałego chłopaka. Cztery razy mnie wzięłeś. To cudowne.

Drgnął, jak gdyby go ktoś uderzył. A wiec oceniała go jak rasowego ogiera, który cztery razy wzięł wysoką poprzeczkę.

- Nie przyjadę po ciebie wieczorem - oświadczył.

- A jutro?

- Też nie.

- Kiedy wiec przyjedziesz?

- Nigdy.

- Dlaczego?

- Nie zrozumiesz mnie. To, co z tobą, robiłem z wieloma. Z małymi i dużymi. Z chudymi i tłustymi, młodymi i starymi. Dwa, trzy, cztery, sześć razy. Krótko lub długo, godzinę i całą noc. A potem mnie klepały po szyi jak ogiera i mówiły, że byłem dobry. Bardzo dobry. Wspaniały. Dałem się oszukiwać przez to poklepywanie po karku. Moja żona odeszła ode mnie do takiego, co nie potrafi rżnąć, aleją kocha. A potem, kiedy znalazłem się w kłopotach, pozostawiły mnie samego.

- O co ci chodzi? Ja ciebie kocham - przerwała mu płacliwie.

- Nie dam się więcej oszukać. Chcę miłości wielkiej, czystej, prawdziwej, takiej, o której czytałem w książkach. Nic mi w życiu nie zostało oprócz tej nadziei.

Wyrwał jej lejce i odjechał galopem, nie oglądając się za siebie. Z drogi skręcił w wąską i krętą ścieżkę biegnącą przez sosnowy starodrzew, a potem między włochatymi świerkami. Miał zaciśnięte usta, ale zdawało mu się, że krzyczy do drzew, w półmrok ukryty pod łapami świerków: "Nie wolno żyć bez żadnej nadziei, a jedyną nadzieją człowieka pozostaje miłość". Z kobietą, której się jedynie pożąda, może być lepiej lub gorzej, lecz zawsze bywa podobnie i zawsze się z nią więcej traci, niż zyskuje. Za każdym razem człowiek pozostaje jeszcze bardziej samotny i dlatego ogarnia go jeszcze większy smutek. Jest bowiem tylko zwierzęciem spełniającym polecenie natury, aby zachować gatunek. Zbliży się do kobiety ze świadomością, że jeszcze raz zostanie oszukany, i odchodzi z poczuciem oszustwa. Tylko miłość może wyprowadzić nas na wyżyny nie znane innym istotom żywym, uskrzydlić, uczynić z człowieka anioła.

Co z tego, że on, Maryn, noc w noc rznął Erykę, jeśli mu potem rzuciła w twarz, że niedobrze jej się od tego robiło. Co z tego, że leśniczy Kulesza noc w noc męczył swoją młodą żonę. Czy nie doprowadził do tego, że od niego odeszła? I czy on, Maryn, nie pojął istnienia prawdziwej miłości, gdy w ich leśniczówce noc w noc słuchał skrzypienia łóżka nad swoją głową? Cóż mu dała ta dziewczyna z Gaud? Co z nią przeżył takiego, czego nie przeżył z innymi kobietami? Czym różnił się jej spazm rozkoszy od spazmów innych kobiet? Czym różniła się jego rozkosz od tej, jaką miał z innymi kobietami. Być człowiekiem to znaczyło kochać i być kochanym. Jeśli komuś wystarcza spełnienie pożądania - niech żyje jak zwierzę bez świadomości, że istnieją jakieś inne wspaniałe światy. On, Maryn, przeczuwa, że w takie światy dane jest człowiekowi wzlecieć. Wie też, że znowu potrafi pojąć kobietę, kiedy zechce i ile razy zechce. Teraz może decydować się na wybór - miłość czy samo pożądanie. Teraz też może znaleźć drogę do przewyciężenia swojej samotności poprzez miłość czystą i prawdziwą, ogromną, wszechwypełniającą. Być może teraz poprzez miłość zdoła przełamać w sobie strach przed samotnością, która towarzyszyła mu przez tyle długich lat. Czyż nie był straszliwie samotny na Dapperstraat przy boku Beraadetty? Czy nie był jak samotne dzikie zwierzę przy boku Eryki? I czy choć przez chwilę zdjął z siebie ciężar samotności, gdy leżał obok dziewczyny z Gaud?

Jechał przez las i niemal z miłością patrzył na zieleni pokrywającą gałęzie drzew liściastych. Nie czuł jak Horst Sobota nienawiści do lasu, ale przecież coś z gadania Horsta Soboty przesączyło się do jego świadomości. Las był chyba żywą istotą. Gdyby nie te długie godziny w leśniczówce Kuleszy, przenigdy nie odkryłby, że czegoś mu nie było dane przeżyć, ominęło go coś ważnego i niepowtarzalnego. Być może, aby spotkać miłość, trzeba było mieć w sobie także i zdolność do kochania, które uczłowieczało istotę ludzką. Jeśli nawet Maryn nie ma owej zdolności, to przecież jednak zawsze pozostaje nadzieja, że kiedyś ją w sobie odnajdzie.

Znalazł się na asfaltowej szosie, która prowadziła w głąb lasu, gdzie stały dwie wille otoczone wysoką siatką. Na tej drodze był kiedyś szlaban pomalowany kolorami flagi państwowej, ale już chyba dawno został złamany przez jakiś wielki samochód wywożący pnie do tartaku. Asfalt położono pośpiesznie (to była taka epoka pośpiechu, Maryn wtedy otrzymywał

ciągle nowe i niekiedy sprzeczne ze sobą polecenia, które musiały być wykonywane natychmiast, bez względu na ryzyko). Nie zadbano o wykonanie twardego podłoża i wystarczyły dwie zimy, aby nawierzchnia drogi popękała, wykruszyła się, powstały w niej szerokie wyrwy, w które natychmiast wkroczył las. Gdy kopyta klaczy zastukały na spękany asfalcie, Maryn pomyślał, ile prawdy kryło się w ostrzeżeniach starego Soboty, że las wszystko pragnie ogarnąć i pochłonać. W każdej szczelinie asfaltu już zieleniła się trawa, z wyrw i pęknięć wyglądały młode sosenki, tu i ówdzie z poboczy pochylały się młode brzoźki.

Nad drogą rozlewał się czerwcowy upał i Maryn ziewnął. Poczł zmęczenie spowodowane nocą spędzoną z dziewczyną, zachciało mu się spać. Był głodny, nie miał jednak ochoty wracać do domu Horsta. Czł się głupio, że Horst przyprowadził mu dziewczynę do łóżka, a on z tego skorzystał. Weronika uczyniła słuszenie, że się nie pokazała, bo co innego mógłby wyczytać z wyrazu jej twarzy jak nie wzgardę. Do diabła, był przecież mężczyzną, który sam mógł sprowadzić sobie dziewczynę. Postawiono go jednak przed faktem dokonanym, usiadł przy stole z Horstem i dziewczyną, a potem wszystko nastąpiło o wiele lepiej, niż się spodziewał, gdyż dziewczyna mu się podobała. Choć tak naprawdę podobała mu się nie tutaj, ale tam w knajpie, ubrana i krążąca między stolikami. W łóżku, naga i od razu oczekująca na spełnienie, obudziła w nim nawet coś w rodzaju niechęci i był taki moment, kiedy chciał się wykręcić, powiedzieć jej: "Ubierz się, ja nie przyjmuję od nikogo takich darów". Potem jednak usłyszał nad swoją głową szuranie odsuwanego krzesła, wyobraził sobie, że tam na górze siedzi Weronika i myśli, co on tu na dole robi z tą dziewczyną. Maryn doś się nasłuchał, jak skrzypi łóżko w leśniczówce Kuleszy. Niech teraz ona posłucha, co się będzie działo pod jej pokojem. Wyobrazenie znajdującej się na górze Weroniki tak go podnieciło, że wziął dziewczynę prawie natychmiast i przeżywał jak gdyby podwójne zadowolenie: zaspokajał swoją żądzę i zarazem mścił się. I to musiało mu nieźle wyjść, skoro ta dziewczyna tak głośno krzyczała. Później znowu wyobraził sobie poczucie wstrętu, jakie w tym momencie ogarnęło Weronikę, i doznał kolejnego podniecenia. To dziwne, ale od pewnego czasu taką podniecającą radość sprawiała mu myśl, że budzi w Weronice wstręt i obrzydzenie. Chciał pastwić się nad jej uczuciami, deptać je, choć - na Boga - przecież ona nic mu złego nie zrobiła. Tłumaczył sobie, że nie potrafi żyć z poczuciem wstrętu do samego siebie, i dlatego ów wstręt usiłował przenieść na kogoś innego. Jak długo można nienawidzić samego siebie? Lepiej, żeby ktoś nas nienawidził i nami pogardzał, w ten bowiem sposób człowiek tworzy w sobie mechanizm ochronny przed tym, kto nim pogardza. Dlatego nie jest prawdą, że źle czułby się przy stole w towarzystwie Horsta, dziewczyny i Weroniki. Wyraz wstrętu na jej twarzy prawdopodobnie wprowadziłby go od razu w lepszy nastrój, a nawet spowodował natychmiastowe pożądanie dziewczyny, a tak przyszło ono później, gdy pomyślał o Weronice przysłuchującej się jego łózkowej zabawie. Człowiek był istotą pokrętną i zadziwiająco zakłamaną - czy nie tego uczono go przez długie miesiące, zanim stał się zawodowym łowcą ludzkich brudów?

Sięgnął po papierosy, ale znalazł w kieszeni tylko pustą paczkę. Znowu zachciało mu się spać. Zeskoczył z konia na zacienione przez las pobocze drogi, wyjął uzdę z pyska klaczy i pozwolił jej się paść w rowie, gdzie rosła gęsta i wysoka trawa. Sam usiadł w tej trawie, stopami sięgając asfaltu, a potem położył się na plecach i niemal zaraz zasnął.

Nie usłyszał ani pracy silników, ani też szmeru opon. Zbudził go dopiero melodyjny sygnał

klaksonu. Tuż obok zatrzymały się dwie szare wołgi; w jednej - na tylnym siedzeniu tkwiły dwie kobiety, a w drugiej - na tylnym siedzeniu zobaczył starego leśniczego Kondrada i przy kierowcy jakiegoś młodzika w skórzanej marynarce. Ten właśnie wyskoczył z samochodu i podszedł do Maryna.

- Leśniczy - młodzik lekkim ruchem głowy wskazał na wołgę, gdzie siedział Kondradt - powiedział mi, że pan jest tutaj strażnikiem łowieckim. Potrzebujemy pana.

“Tajniak” - określił go Maryn.

Powoli podniósł się z trawy, obciągając mundur. Pomyślał, że pracowników służb specjalnych poznaje się równie łatwo jak kominiarzy. W taki upał, i to w samochodzie, nosić skórzaną marynarkę? Ale on musiał przecież czymś okryć broń pod lewą pachą. Podciągnięta nieco lewa nogawka sztruksowych spodni mówiła, że za bardzo skrócił sobie jedną szelkę od kabury. “Tajniak niższej rangi” - upewnił się Maryn. Wyższa ranga nosiła małe jak dłoń baretty, które można było schować w kieszeni spodni.

- Całą noc pracowałem. A pan mnie zbudził - powiedział Maryn niechętnie.

- To sprawa wagi państwowej - odparł tamten z ową nonszalancją charakterystyczną dla początkujących tajniaków. - Chcemy przeszukać jeden z tych domów w lesie. Wzięliśmy na świadka leśniczego, ale po drodze, gdy pana zobaczyłem, pomyślałem, że będzie jeszcze lepiej przy dwóch świadkach.

- Weźcie kogoś innego,

- Nie ma tu nikogo innego. Mówiłem panu: musimy przeszukać ten drugi dom. I pan podpisze protokół, że nic nie zabraliśmy, niczego nie podłożyliśmy.

- I tak podłożycie, jak będziecie chcieli...

Tajniak machnął mu przed nosem legitymacją służbową.

- Pójdzie pan z nami i koniec dyskusji - rozżłościł się.

- A koń? - Maryn wskazał na klacz skubiącą trawę na poboczu.

- To przecież tylko parę kroków stąd. Niech pan przyjedzie na swoim koniu. A my zaczekamy przed wejściem do domu. Jeśli pan się nie zjawi za dziesięć minut, znajdę pana i każę zamknąć za utrudnianie działalności aparatowi ścigania.

- Ma pan papierosa? - zapytał Maryn.

Tamten roześmiał się.

- Właśnie że nie mam. Też mi się chce cholernie palić. A żadna z tych osób nie pali. Ale tam chyba coś znajdziemy do palenia. Tak myślę - mrugnął okiem do Maryna i od razu stał się

bardziej sympatyczny.

Odjechali w stronę dwóch domków, a Maryn założył klaczy uzdę, wskoczył na siodło i pogalopował za nimi.

Brama w wysokim ogrodzeniu była otwarta, samochody stały na betonowym podjeździe przed drugim domem. Na drzwiach i okiennicach widniały przyklejone do futryn długie paski papieru z pieczęciami i plombami. Domy, niewielkie zresztą, kryte czerwoną dachówką, zostały otynkowane na biało.

- Niech pan puści konia byle gdzie. Nawet na te stare klomby - beztróska rozkazał tajniak, zauważywszy, że Maryn zastanawia się, co zrobić z klaczą. - Klomby i tak wkrótce zarosną chwastami. Niech pan zachowuje się tak, jak gdyby wszedł pan do chlewa, gdzie mieszkały świnie.

Dwie kobiety zachichotały aprobusz, stary Kondradt też zgodnie kiwnął głową i rzekł:

- To były kiedyś domy robotników leśnych. Dziesięć lat temu jakichś dwóch dygnitarzy zrobiło tutaj sobie wycieczkę. Potem przyszli do mnie, bo to moje leśnictwo, i powiedzieli, że zabierają te domy, bo są dobrze ukryte w lesie. Wziąłem ich za wariatów, bo co ja zrobię z ludźmi, którzy te domy zamieszkują. "Za mało pan zjadł soli w swoim życiu" - roześmieli mi się w twarz. A potem nadleśniczy z polecenia władz wyższych przesiedlił robotników do bloków w mieście, a oni te domy polecili remontować. Siatką ogrodzili.

Jedna z kobiet powiedziała:

- Dookoła gęsty las. Ja bym się tu bała mieszkać. Po co się tak schowali w głębi lasu?

- Las jest jak wielkie szambo - odezwał się Maryn. - Ścieka tutaj wszelki brud, ale nie czuje się smrodu.

- Tylko ani słowa nikomu o tym, co zobaczycie - groźnym tonem ostrzegł tajniak.

- Wiem. To sprawa honoru naszej państwowej firmy - zgodził się stary Kondradt.

- Oczywiście. Dobrze pan to ujął - zaśmiał się tamten i zerwał paski na drzwiach. - Ale to mogę wam powiedzieć, że ten z pierwszego domu się zastrzelił, a ten, do którego teraz wchodzimy, uciekł za granicę i otrzymał zaocznie wyrok śmierci. Tak więc wchodzimy, jak powiedziałem do chlewa.

Kobiety - dość młode, o krótkich nogach i szerokich biodrach, starannie ufryzowane - określił Maryn jako "księgowy". Odgadywanie czyjegoś zawodu tylko z wyglądu i zachowania było zresztą jego ulubioną zabawą już od wczesnej młodości. Może krył się za tym ów siódmy zmysł, jakaś tajemnicza cecha, o której nie powiedzieli mu nigdy psychologowie z jego firmy? Ale tak się działo, że niemal natychmiast wiedział, iż ma przed sobą lekarza lub prawnika, nauczycielkę czy księgową, podobnie jak od razu odkrył tajniaka w młodym człowieku, który wysiadł z samochodu. Kobiety ufryzowały się, włożyły czyste bluzeczki i zrobiły staranny

makijaż, gdyż zapowiedziano im, że pojedą do jakiejś tajnej rezydencji i ich podróż otoczona będzie tajemnicą. Czego się spodziewały po tej podróży? Czego oczekiwały? Były wyraźnie rozczarowane, że owe tajemnicze rezydencje są tylko małymi domkami w lesie.

Weszli do dużego holu z barem na modłę amerykańską, wielką szafą różnobarwnych butelek z alkoholem. Na podłodze leżały futrzaki, tu i ówdzie stały fotele i kanapy wyściełane ciepłą skórą, ściany wyłożono modrzewiową boazerią. Tajniak oprowadził ich po całym domu - z dwoma sypialniami umeblowanymi zagranicznymi sprzętami, pokojem do gry w bilard, dość sporym salonem z niskimi stołkami, ławami, kanapami krytymi czerwoną skórą. Dwie łazienki miały błękitną mozaikę i okrągłe błękitne wanny z lśniącymi mosiądzem kranami. Na poddaszu był drugi bar, a trzeci w piwnicy. W barach stołki były zbyt wysokie i księżowe czuły się na nich niewygodnie, ich krótkie nogi dyndały w powietrzu. Stary leśniczy Kondradt udawał, że to, na co patrzy, wcale go nie obchodzi, zresztą wiele domów w Gaudach urządzono w podobny sposób. Raz tylko delikatnie dotknął zakurzonego telewizora (a było ich w tym domu kilka, i to z przystawkami do wideokaset). Ekran połykiwały jak wielkie, pokryte bielmem oczy, ale jednocześnie odnosiło się wrażenie, że patrzą, widzą, ktoś podgląda tych, co się tutaj znaleźli. Tajniak nie pozwalał otworzyć okiennic i oglądano wnętrze w elektrycznym świetle, co przydawało wszystkiemu świetności. Wystarczyło jednak cokolwiek tknąć, a na dłoniach pozostawały ślady kurzu.

- Czytałam, że on miał kasety do wyświetlania przez telewizor filmów z różnymi takimi scenami... - jedna z kobiet zaśmiała się gardłowo.

- Bzdury - uciał tajniak. - Zabraliśmy dwadzieścia osiem wideokaset. Same kryminały. To znaczy po prostu filmy kryminalne.

A potem pokazał im szafy w sypialniach, dość dobrze ukryte w ścianach boazerii, i kazał spisać ilość i rodzaj bielizny pościelowej.

- Zapomnieli to zrobić. A musi być wszystko dokładnie: ile było prześcieradeł, z czego zrobionych, ile poszew i poszewek, ile kołder i poduszek. Bo to wszystko przechodzi na skarb państwa. Pan leśniczy tego dopilnuje.

Wziął Maryna pod ramię i poszedł z nim do holu.

- Wypilibyśmy sobie po jednym albo po dwa - wskazał butelki z kolorowymi trunkami.

- Wolałbym zapalić - odrzekł Maryn.

Tajniak wszedł za bar, wyciągnął szuflady spod kontuaru, zaglądał w każdy kąt, ale papierosów nie znalazł.

- Nie ma, cholera - zaklął z prawdziwą złością. - Czego się pan napije?

- Martini - powiedział Maryn, wskazując na kryty ciepłą skórą stółek barowy.

- Która to butelka? - tajniak urzędował za barem, chusteczką od nosa wycierając zakurzone kieliszki.

- Ta na lewo, na trzeciej półce.

- Pan się zna na wódkach?

- Tak - przytaknął Maryn.

Dopiero w tej chwili blask elektrycznego światła z żyrandola pod sufitem rozblysnął na dużych, pokrytych werniksem obrazach rozwieszonych na ścianach. Były to przeważnie pejzaże leśne. Między nimi wisiała oprawiona w szkło - duża fotografia, chyba powiększenie z jakiegoś małego zdjęcia, bo nawet z daleka widać było ziarno. Maryn zeskoczył ze stołka i podszedł bliżej, żeby się przyjrzeć ludziom na fotografii. Natychmiast zauważył to tajniak i powiedział:

- Ten w środku grupy, w białym prochowcu i z pepeszą, to nasz "gospodarz". Reszty nie znam. Niech pan popatrzy, ani jeden nie ma na sobie dobrych butów, a naszemu gospodarzowi niemal wszystkie palce z prawego buta wylażą. Ludzie się zmieniają, i to szybko. O co on właściwie walczył? Żeby innym było dobrze czy żeby jemu było dobrze? Maryna coś ścisnęło za krtań. W gromadce ludzi na powiększonej fotografii zobaczył młodego człowieka, którego przed czterema laty firma poleciła mu bardzo uważnie obserwować. Rzecz jasna, ów osobnik zbliżał się już do sześćdziesiątki, ale zachował rysy młodzika na powiększonej fotografii. To nie było łatwe zadanie, gdyż facet przebywał zawsze w otoczeniu co najmniej dwóch niższych rangą urzędników. A poza tym działo się to zimą, Maryn marzył przed hotelem, sporo pieniędzy musiał wydać na przekupienie pokojówek i portierów hotelowych, zresztą w tanich hotelach, gdzie zatrzymywał się ów gość. Ale to się opłacało. Facet wyszedł na chwilę samotnie z hotelu i natychmiast podjechał do niego duży wóz. Odjechali nie wiadomo dokąd, Maryn nie miał pod hotelem wozu i nie mógł ich dalej śledzić. Gość zresztą wrócił po półgodzinie. Maryn ustalił po numerach wozu, że samochód należał do człowieka, który bardzo daleko stąd produkował tranzystory, opatrując je metką znanej powszechnie, wielkiej korporacji przemysłowej. Później Ivo Bunder skontaktował się z prywatną agencją detektywistyczną Carattu, która zajmowała się ściganiem producentów podszywających się pod znane firmy. Carattu miał tę sprawę już od dawna na oku, co nie przeszkadzało, że zakupiono partię tańszych, gorzej wykonanych tranzystorów, niby to od znanej korporacji, ale faktycznie od fałszerzy. Różnica w cenie musiała być znaczna, i ów facet z kraju być może całą różnicę zagarnął do kieszeni, choć tego Maryn nie potrafił udowodnić. Rzecz jasna, przekazał informacje do centrali. A w pół roku później ten sam człowiek powrócił z jeszcze większym sztabem urzędników i zatrzymał się w najlepszym hotelu, gdyż był już chyba na wyższym stanowisku. Awansował, ponieważ dokonał "korzystnej transakcji" - tak napisano w krajowych gazetach. Zresztą, Bogiem a prawdą, te tranzystory zewnątrznie niczym nie różniły się od produkowanych przez wielką korporację. Tylko jakość ich była znacznie gorsza, to już jednak pozostawało sprawą fabryk. Zawsze można było zwalić na załogi, że nie potrafią się posługiwać nowoczesną technologią. Maryn znowu przyssał się do tego faceta, to samo Ivo Bunder. Skończyło się podobnie: samotne wyjście z hotelu, samochód, krótka jazda i powrót. A potem korzystna umowa na sweterki z fałszywymi metkami znanej powszechnie, światowej firmy. Co się działo z informacjami, które Maryn wysyłał - nie wiadomo. Informator nie zawsze musiał o tym wiedzieć. Maryn był zawodowcem, robił to, co

mu polecano. Informacje szły albo do kosza, albo ktoś je starannie ukrywał w szufladzie. Skąd Maryn mógł wiedzieć, że ten człowiek wyposażył sobie w lesie skromnie wyglądający domek - w trzy bary, łazienkę z mozaiką, z okrągłą wanną i armaturą z mosiądzu. I co za ironia, Maryn siedzi przy barze tamtego i za chwilę wypije kieliszek martini, który tamten kupił. "Świat jest mały" - pomyślał Maryn. I zaraz się poprawił: "Świat jest za mały dla wielkich łajdaków".

- Rozpoznał pan kogoś na tej fotografii? - zapytał go tajniak.

- Nie - pośpieszył z odpowiedzią.

Ten młody człowiek był bardzo spostrzegawczy, coś w wyrazie twarzy Maryna zwróciło jego uwagę. Zapewne także posiadał ów przedziwny zmysł, który kierował ludzi do tajnych służb. Tylko że nie poddano go takiemu szkoleniu jak Maryna. Szczupły, wysoki, wysportowany, z szarymi oczami i jasnymi włosami przypominał Marynowi małego trybik w wielkiej maszynie. Brakowało mu tylko owego obycia w świecie, które powinien mieć dobry obserwator. Nie wiedział na przykład, jak wygląda butelka martini.

- Wypijmy - zaproponował tajniak.

Maryn zauważył, że jego własna dłoń, w której podniósł kieliszek, drży lekko. "To nerwy. Cholerne nerwy - pomyślał. - Takie głupstwo, trochę wspomnień, i już się zdenerwowałem".

- Zapaliłbym - rzekł Maryn.

- Ja też - zgodnie kiwnął głową tajniak, ocierając usta zakurzoną chusteczką do nosa.

Maryn wskazał leżącą na drugiej półce między butelkami szkatułkę z laki. Była ciemnobrązowa w wielkie smoki. Takie szkatułki na papierosy produkowano masowo w Hongkongu.

- W tym pudełku są chyba papierosy...

- Jest zamknięte na kluczyk. A kluczyka nigdzie nie znaleźliśmy. Wyłamywać zamka nie wolno. Zabiorą je razem z innymi gratami z tego domu.

Maryn wyciągnął ze spodni pasek z krokodylej skóry, sięgnął po zakrzywiony drucik.

- Umiem otwierać takie zameczki.

Wystarczyły dwa lekkie poruszenia drucika w zamku szkatułki i wieczko odskoczyło. W dwóch przegródkach leżały papierosy w białych i czarnych bibułkach. Obydwaj sięgnęli po białe.

- Niech pan będzie spokojny. Zamknę to pudełeczko tak samo, jak je otworzyłem - zapewnił Maryn, przyjmując ogień od tajniaka, który powiedział z odrobiną smutku:

- Będę musiał zameldować, że pan ma takie instrumenty w pasku od spodni i umie się nimi

posługiwać.

Maryn pokiwał głową, zaciągnął się mocno, postawił łokieć na barze i popatrzył na swoją dłoń. Nie drżała. Wystarczyło jedno zaciągnięcie się papierosem, może ta chwila manipulacji przy zamku szkatułki, a nerwy się w nim uspokoiły.

- Nie radzę panu, kolego - rzekł. - Lepiej nie meldować, że mnie pan spotkał i wziął na świadka inwentaryzacji pościeli w tym domu.

- Dlaczego?

- Przeniosą pana do jakiegoś Leska na posterunkowego. W pana zawodzie czasem lepiej czegoś nie wiedzieć, nie zauważyć, lecz tylko zapamiętać. Pan już zapomniał, co powiedziałem? Las to wielkie szambo. Tutaj ściekają wszystkie brudy świata. To był inteligentny chłopak.

- W porządku. Zrozumiałem. Zrobimy sobie jeszcze po jednym. Co pan radzi?

- Butelka na samej górze. Pierwsza od prawej.

Tajniak znalazł się za barem, obsłużył zręcznie siebie i Maryna.

- Pan bywał w takich miejscach jak tutaj, prawda? - zagadnął przyjaźnie.

- W takich nie - z pogardą odrzekł Maryn. - W o wiele bardziej luksusowych. Pan sobie nawet nie wyobraża, jak piękne bywają ludzkie chlewy.

- Nie rozumiem, po co temu facetowi były aż trzy bary w takim małym domku. Każdy chce żyć wygodnie. Ale żeby od razu aż tak, od dziurawych butów do trzech barów w jednym małym domku?

Maryn czuł, jak ogarnia go wściekłość. Nie wiadomo na kogo, do czego, za co.

- Brud, kolego. Brud potrzebuje luksusów. Im większy brud, tym większy luksus. Nie pojmuję tego dokładnie, ale tak to jest. Tylko na takim stołku przy takim barze można załatwić brudny interes. Nie wiem, jak to się dzieje, lecz naprawdę brudnego interesu nie załatwi się w zwykłym mieszkaniu, przy zwykłym, prostym stole. Widział pan tę łazienkę przy pierwszej sypialni? Czy musiał facet zakładać aż taką armaturę, robić sobie mozaikę, sprowadzać okrągłą wannę? Przecież umyć się można i w podłużnej wannie. Kiedy jednak zaczyna się obrastać brudem, to następuje gorączkowe poszukiwanie środków, żeby ten brud z siebie zmyć. Taki osobnik się ludzi, że pomoże mu połączony kran albo okrągła wanna. Jakiś człowiek ma trzy pokoiki z kuchnią, nawet ładnie umeblowane, przyjeżdża do wspaniałego hotelu, gdzie wszyscy są mili, wanny okrągłe i połączane kurki. Wtedy świat zaczyna wyglądać inaczej. Nigdzie nie zauważysz ani odrobiny kurzu, ani odrobiny brudu, wszystko, co cię otacza, jest czyste. I w człowieku nagle coś pęka, tworzy się jakaś szczelina, coś wstrętnego zaczyna z ciebie wyciekać, oblepiasz się brudem. Niech mi pan powie, dlaczego w im bardziej miękkim fotelu człowiek zasiada, tym bardziej skóra na dupie, zamiast się wydelikacać, staje się gruba, jakbyś siedział na deskach. A przecież powinno być odwrotnie. Im delikatniejsza skóra na fotelu, im

delikatniejsze szkło, z którego pijesz, tym twoja skóra i palce powinny stawać się wrażliwsze. A jest na odwrót. Masz coraz grubsza skórę na tyłku, coraz grubsza na paluchach i coraz mniej wrażliwe sumienie.

- Trochę luksusu zawsze się przydaje...

- Być może. Ale to się tak zaczyna i nigdy nie widać końca. Chcesz mieć coraz miększy fotel, coraz bardziej puszysty dywan pod nogami. I w pewnej chwili tracisz poczucie rzeczywistości. W luksusie człowiek zaczyna myśleć innymi kategoriami, wydaje mu się, że wszystko jest do kupienia.

- Pan ich nienawidzi - oświadczył tajniak.

- Nie. Tylko nimi gardzę - odparł Maryn.

Bał się pytania: "Dlaczego pan nimi gardzi? Czemu czuje pan wstręt do ludzi, którzy kradną, aby żyć w luksusie?" Odpowiedź bowiem była bardzo skomplikowana, choć zarazem prosta. Wychowano go na wężyciela ludzkich brudów, łapacza złodziei cudzego mienia. Pracując dla swojej firmy, w każdej chwili mógł zamieszkać w najdroższym hotelu, przywłaszczyć sobie jakąś sumę pieniędzy przekazywanych przez firmę. W każdej chwili stać się bogatym, sprzedając tę czy inną tajemnicę firmy, to znaczy innych ludzi. I jego też mógł ktoś sprzedać. Dlatego wytworzył w sobie wstręt i pogardę dla tych, co sprzedawali innych, kupczyli tajemnicami, łaszczyli się na brudne pieniądze.

Tamten sięgnął po czarne papierosy, ale Maryn położył mu dłoń na ręce.

- Pan nie jest do takich przyzwyczajony. Rozchoruje się pan. Tajniak cofnął rękę od szkatułki, jak gdyby naładowana była prądem.

- Po co mu to było?

- Nie wiem - burknął Maryn zły na siebie, że dał się ponieść gniewowi. - Pewnie zobaczył coś takiego w świecie, że poczuł się taki sam jak inni.

- Pan też kiedyś stracił poczucie rzeczywistości?

- Nie. Ze mną było inaczej. Zapomniałem, że inni je tracą. Dlatego powiem panu, że nie jest mi źle ani w siodle mojej klaczy, ani w leśnym mundurku.

- Weźmiemy sobie po cztery białe i niech pan zamknie pudełko - zaproponował tajniak.

Maryn zamknął szkatułkę i odkładając ją na półkę powiedział:

- Nagadałem panu kupę głupstw. To nie jest tak, jak mówiłem. Po prostu jak się mieszka w domku robotnika leśnego, to można sprzedać kilka metrów kradzionego drewna, zastawić wnyki na sarnę. Ale jak się mieszka w takim jak ten domku, i to tylko od czasu do czasu, to można zastawiać wnyki na grubsza zwierzynę.

- Co się stanie z tymi domami?

- Nie wiem. Na przedszkole się nie nadają, bo stoją za głęboko w lesie. Na dom starców - za małe. Na dom wypoczynkowy też za małe. Oddać robotnikom leśnym, to je zaraz zdewastują. Myślę, że graty stąd wywiozą, a domy komuś sprzedadzą albo darują za jakieś zasługi.

- I pojawi się tu taki sam, jak tu mieszkał?

- Może...

- A potem przyjedziemy na inwentaryzację bielizny pościelowej.

- Nie wykluczam takiej możliwości. Bo gdyby ją wykluczyć, to po co by był pański zawód?

- Ma pan rację. Tylko że ten co tu mieszkał, prawdopodobnie nie ukradł niczego, tylko zdradził.

- To jedno i to samo. Za zdradę też się płaci.

- A pan ukradł czy zdradził?

- To ranie zdradzono - oświadczył sucho Maryn.

Usłyszeli zbliżające się kroki - przyszedł ziewający ze znużenia stary leśniczy i dwie ufryzowane księgowe. Miały gotowy protokół, to znaczy spis całej bielizny znajdującej się w domu. Maryn podpisał dokument, nawet go nie czytając. Kondradt zrobił to już wcześniej.

Tajniak zgasił światła w holu i z mroku, jaki ich na chwilę ogarnął, wyszli prosto w południowe czerwcowe słońce, rzucające blask na nie osłonięty drzewami podjazd.

- Uprzedzam wszystkich, że to, w czym uczestniczyliśmy i czego byliśmy świadkami, jest tajemnicą państwową - ze znużoną miną wyrecytował tajniak.

Stary Kondradt wyprostował się służbiście:

- Trzeba dbać o honor naszej firmy.

Tajniak nakleił nowe paski papieru, zawiesił plomby, potem zaproponował leśniczemu, że go odwiezie do Gaud, ale stary odmówił. Chciał się przejść po lesie, obejrzeć swoje gospodarstwo - jak się wyraził. Maryn pochwyił klacz i prowadząc za uzdę wyszedł razem z Kondradtem poza wysoką bramę. Po chwili dwie szare wołgi zniknęły za pierwszym zakrętem asfaltowej drogi, a oni na krótko zatrzymali się w lesie, w cieniu grubego dębu. Na podłużnej, wychudłej twarzy leśniczego wciąż uwidaczniał się wyraz ogromnej powagi, gdyż czuł się wywyższony przez uczestnictwo w sprawach państwowych. Nie podobało się staremu, że Maryn, zwykły strażnik łowiecki, jakoś tak ironicznie szczerzy zęby, spoglądając na dwa białe domy, ukryte w zielonej ścianie leśnych drzew. "Horst nie ma dobrego lokatora - pomyślał Kondradt. - Muszę go przed nim ostrzec". Doszły go słuchy, że ten i ów wraca z lasu pobity albo

nawet zmasakrowany, a potem opowiada, że wilk go napadł. Wiele drobnych faktów wskazywało, że ostatnio kłusownicy bali się wchodzić do lasu, lecz przecież żadna sprawa o kłusownictwo nie wpłynęła do sądu; ten strażnik łowiecki był chyba zupełnie nieudolny. I dlaczego tak szczerzy białe zęby, patrząc w stronę tamtych domów?

- To nie jest sprawa do śmiechu - pouczył Maryna. - Smutna historia, którą trzeba zachować w tajemnicy.

- Honor firmy, jak to pan określił - roześmiał się Maryn.

- Tak - wyprężył się słuźbiście Kondradt.

- Czasem jednak główny księgowy albo któryś z dyrektorów coś ukradnie. - Maryn przestał się uśmiechać.

- To nic. Tak było tutaj kiedyś, panie, i tak będzie nadal. Zawsze trzeba było dbać o dobro firmy. Nie wpaja się tego teraz ludziom i dlatego jest tyle hałasu z powodu byle czego. Na przykład las też jest firmą, w której pracujemy i która nas żywi.

- I włóczy się po nim sporo kłusowników - zauważył Maryn. - Co z nimi robić? Niech pan też spojrzy w stronę drogi. Już ją las zaczyna pożerać, bo ktoś źle położył asfalt. A las tylko czyha...

- Horst to panu powiedział? - I dodał nie czekając na odpowiedź Maryna: - Niech pan się wyprowadza od Horsta, i to jak najprędzej. On jest wariatem. Lubilem go, ale on za bardzo nienawidzi lasu i na tym tle dostał pomieszania zmysłów. To pan mu doradził, żeby napisał do władz w sprawie zniszczonego cmentarza? Po co? Wczoraj był u mnie Masłocha i wymachiwał plikiem trzydziestu oświadczeń, które zebrał od robotników leśnych, gajowych i leśniczych. Na plantacji żadnego cmentarza nie było. Ja też podpisałem takie oświadczenie, chociaż Horst jest moim przyjacielem.

- To dziwne...

- Nie ma w tym nic dziwnego. Zastępca nadleśniczego Wojtczak postąpił po świńsku. A teraz kiedy za głupią pana radą Sobota napisał do władz wyższych, musimy bronić interesu naszej firmy. Jej honoru. Horst będzie ogłoszony wariatem i przez pana straci swój dom.

- Niech pan nie żartuje. Masłocha nie jest głupcem, żeby zbierać podobne oświadczenia.

- Co pan wie o tym, jak umiemy bronić honoru naszej firmy? - oburzył się Kondradt. - Pan tu jest obcy. Pan nie ma pojęcia o lesie. Las ma swój honor. Mnie też bronili, kiedy siedziałem w więzieniu, oskarżony o zabicie człowieka. Świadców miałem dobrych i wyszedłem czysty jak łąza. Z więzienia wróciłem na to samo stanowisko, odzyskałem honor, bo ludzie o mnie zadbali. Muszę teraz dbać o honor innych ludzi, którzy całe lata przepracowali w lesie.

Maryn nie pojął tej sprawy. Znowu coś go ścisnęło za krtań. Bez pożegnania wskoczył na klacz i odjechał truchtem.

W domu zjawił się w porze obiadu. Weronika kręciła się po kuchni, w której pachniało smażonym mięsem. Rzucił jej krótkie "dzień dobry", wszedł do łazienki, ogolił się, umył. Był głodny, ale Weronika nie śpieszyła się z podaniem obiadu, ponieważ czekała na pojawienie się starego. Zrobił więc spacer nad jezioro i usiadł na spróchniałym pomoście, tak jak Horst, z nogami opuszczonymi do starej łódki. Rozglądał się po gładkiej powierzchni zatoki i wypatrywał ogromnego suma, o którym tyle mu opowiadał Horst.

Powiał lekki wietrzyk i spłoszył ważki, które bezszelestnie siadały na przybrzeżnych trzcinach. Powierzchnia jeziora pomarszczyła się i cichutko zabełkotały drobne fale. Potem usłyszał Maryn szum drzew za plecami i wydawało mu się, że rozumie już, na czym polega zło lasu, które było zarazem złem świata. Odniósł wrażenie, że podobnie jak stary Horst rozumie mowę jeziora - spokojne opowiadanie p topielcach, o wielkim sumie, o przewróconych żaglówkach. Inna była jednak mowa lasu - sosen, dębów, olch, modrzewi i buków. "Nikt i nic nie przełamie twojej samotności, ponieważ od innych ludzi zawsze cię będzie oddzielać świadomość twojego i ich brudu. Słowa o tym, że człowiek nie może żyć bez nadziei, są nic nie znaczącym zwrotem. Wkrótce wrócisz tam, gdzie będziesz musiał bronić interesów swojej wielkiej firmy, i zaczniesz na nowo tropić ludzką słabość, chciwość, zdradę. To ja, wielki las, odbieram ci wszelką nadzieję" - usłyszał Maryn swój lub cudzy głos.

Before he can hear people cry?

Yes, 'n'how many deaths will it take till he knows

- zanucił fałszywie piosenkę swojej młodości.

Rozdział jedenasty

Pod koniec czerwca późnym wieczorem Horst Sobota znowu położył się do swojej jesionowej trumny. Ale zanim to zrobił - w skąpych słowach pożegnał Weronikę, uściśnął mocno dłoń Józefa Maryna, krótkim gwizdnięciem przywołał z sadu Iva, który strzegł owoców przed złodziejami z osady leśnej, a potem wyszedł na drogę i długo patrzył na las. Drzewa okrywał mrok, choć nie tak zupełny, jak to w innych porach roku bywało. Noc gościła teraz w lesie bardzo krótko, dlatego i pogardliwy uśmiech na twarzy Soboty musiał dla drzew być widoczny, podobnie jak natychmiast zauważył Horsta młody kozioł, który przyszedł najeść się trawy na poboczu drogi i spłoszony uniknął w ciemną głębinę drzew. Zaszleścił gałązkami krzewów i dopiero po jakimś czasie, już z oddali, odezwał się żalonym poszczekiwaniami. Nie było wiatru więc las milczał, owo poszczekiwanie kozła oznaczało jednak dla Horsta, że wiadomość o jego decyzji przekazana zostanie w leśne mateczniki, na tajemniczą wyspę wśród bagien, gdzie mieszkały trzy leśne moce. Upewniwszy się, że las wie o jego zbliżającej się śmierci, Sobota już zdecydowanym krokiem skierował się do szopy i położył do trumny stojącej na dwóch drewnianych koziółkach.

- Zaczekaj do jutra - poprosił go Józef Maryn. - Tej nocy stoczę z lasem zaciętą bitwę i jutro przyniosę ci wiadomość o zwycięstwie.

Jak miała wyglądać owa bitwa z lasem - Maryn nie wyjaśnił. Zresztą nie prosił o to Horst Sobota, ponieważ tym razem w zwycięstwo już nie wierzył.

- Trzydzieści oświadczeń zebrał od leśnych ludzi nadleśniczy Masłocha - podsumował sprawę Horst. - Trzydziestu leśnych ludzi stwierdziło, że nie było żadnego cmentarza na Wilczym Rogu, że jestem wariatem i należy mnie ubezwłasnowolnić, jak to mi rzekł mój przyjaciel, leśniczy Kondradt. On także okazał się kłamcą i wyrzekł się mojej przyjaźni na rzecz miłości do lasu. Co można zrobić przeciw trzydziestu ludziom, którym las zabrał dusze? Niechaj więc las zabierze moje życie, mój dom i sad.

Weronika siedziała przy nakrytym ceratą stole kuchennym i patrzyła nieruchomo na podwórze i na sad, niewidoczny w półmroku późno nadchodzącej nocy czerwcowej. Obezwładniła ją myśl o śmierci Horsta, ona też bowiem czuła, że nadszedł kres walki, jaką przez wiele lat toczył Horst z lasem. Kiedyś walka ta wydawała jej się śmieszna, była grą starczej wyobraźni - ale od pewnego czasu pojmowała, że za dziwacznymi słowami Horsta kryła się jednak jakaś rzeczywistość. Zaczęła też dostrzegać porządek rzeczy w tym, że ją kiedyś w lesie zgwałcono, potem zaś złamała przykazanie Horsta i znowu została sponiewierana. Dlatego las stał się również jej wrogiem.

Nie myślała o przyszłości, o tym, że po jej odejściu do Kuleszy Horst zmienił u notariusza zapis na jej niekorzyść. Dom i sad przejdzie na własność państwa, gdy Sobota naprawdę umrze. Nie planowała, dokąd pójdzie ze swoim okaleczonym ciałem, które wzdragało się przed mężczyzną. W tej chwili żal jej było tylko Horsta i podobnie jak on przeżywała gorycz klęski. I nie wierzyła, tak samo jak Horst, aby Maryn mógł pokonać trzydziestu leśnych ludzi

pozbawionych duszy. Zapytała go zresztą, w jaki sposób chce zwyciężyć las, on jednak tylko uśmiechnął się po swojemu tym dziwnym uśmiechem, który nie budził w nikim radości, i powiedział:

- Czy nie zwierzyła ci się Eryka, że jestem wilkołakiem? Czy nie opowiadała ci, że podczas pełni księżyca ciało moje pokrywa się sierścią, wyrastają mi kły i pazury, pędzę po lesie i wyję jak wilk?

Potraktowała te słowa jako pełen drwiny żart. Ale potem, gdy Horst Sobota już leżał w trumnie, Maryn krzątał się w swoim pokoju, ona zaś siedziała przy stole i patrzyła na podwórze i las, ogarnęło ją jakieś niesamowite uczucie, że Maryn powiedział prawdę: jest dzikim zwierzęciem, które przybrało ludzką postać. Wstrząsnął nią dreszcz wstrętu, gdy wyobraziła sobie księżycową noc i przemienionego w wilka Maryna przebiegającego przez las. Przymknąwszy oczy ujrzała siebie. Oto idzie ścieżką leśną i dopada ją zamieniony w wilka Maryn, białymi zębami szarpie na niej sukienkę i czyni nagą. I podobnie jak wówczas gdy w jego pokoju ujrzała fotografie zmasakrowanych leśnych ludzi, wraz ze wstrętem i obrzydzeniem zaczęła odczuwać jakąś bolesną słodycz, coś jak pożądanie, aby stało się to najgorsze i tak przerażające. Czyjej ciało też by się zamknęło dla dzikiego zwierzęcia, tak jak zamykało się dla Kuleszy? Ta myśl przeszła ją raptownie i otrzeźwiła. Znowu ujrzała Maryna w ludzkiej postaci, idącego w kierunku stajni, potem widziała, jak wyprowadził izabelowatą klacz i narzucił na nią siodło. Pośpiesznie zerwała się od stołu i przekreśliła kontakt elektryczny, a wówczas całe podwórze zalało światło lampy nad drzwiami. Zrobiła tak, bo pomyślała, że widzi Maryna po raz ostatni, i chciała go dobrze zapamiętać. Zauważyła, że tym razem wziął ze sobą pejcz. Naprawdę więc chciał dotrzymać obietnicy i tej nocy zmierzyć się z lasem? A może tylko żartował i jak co noc wyruszał po prostu, aby łowić kłusowników, masakrować ich u wodopojów, na ścieżkach leśnych zwierząt? Czy mogło mu zależeć na starym Horście albo na niej, Weronice, tym bardziej że zapewne gardził jej okaleczonym ciałem. Zresztą nie było siły, aby zwyciężyć las i trzydziestu ludzi pozbawionych duszy.

Znowu wstała od stołu. Teraz jednak wyszła na podwórko i chwyciła klacz za lejce. Następnie zbliżyła się do Maryna, który podciągał popręg. Stała tak blisko niego, że - nie wiadomo dlaczego, może od kwaśnego zapachu jego potu - aż jej się w głowie zakręciło.

- Jeśli dotrzymasz przyrzeczenia i nie pozwolisz umrzeć Horstowi - powiedziała cicho - będę co noc sprowadzać ci dziewczynę z Gaud.

- Nie chcę jej.

- A czego żadasz? Pieniądzy?

Wzruszył ramionami.

- Dopilnuj, aby Horst naprawdę tej nocy nie umarł. Noc jest ciepła, on jednak może się zaziębić. Gdy zaśnie w swojej trumnie, nakryj go kocem. Jutro już będzie po wszystkim.

Powiedziała z powagą:

- Nie chcesz pieniędzy, nie żądasz kobiety. Zaczynam wierzyć, że jesteś wilkiem. Pojedziesz, aby znowu bić i masakrować ludzi.

- Nie gadaj głupstw. Czynię to, co powinien strażnik łowiecki. A tej dziewczyny już więcej nie chcę, bo tęsknię za miłością prawdziwą.

- A co zrobiłbyś z miłością kobiety? - zapytała go drwiąco. - Co by się stało, gdyby jakaś kobieta pokochała cię miłością czystą i prawdziwą.

Po raz pierwszy ujrzała na jego twarzy jakiś nowy wyraz. Coś jak gdyby strach. Wyrwał z jej dłoni lejce. Wskoczył na klacz i uderzył ją pejcem tak mocno, że aż przysiadła na zadzie. Jak kula karabinowa wyskoczył z podwórka na drogę i popędził galopem.

Stała przerażona, gdyż zrozumiała jego strach. I w niej obudził się podobny. Bo co by się stało, gdyby pokochała tego dziwnego człowieka, który nie dawał się nawet polubić? Jak zareagowałoby na to uczucie jej ciało?

Przy jej kolanach zaskomlił cicho Ivo. Bezszelestnie nadbiegł z głębi sadu, wywabiony tętentem kopyt klaczy, i teraz pojękiwał z tęsknoty, patrząc tam, gdzie zniknął Maryn. "Ivo kocha go, ponieważ się go boi - pomyślała. - Ja też go może Kocham, ponieważ się go boję". Zaczęła psa głaskać po łbie, po bujnym futrze na karku. Wyobraziła sobie, że oto w ten sam sposób głaszczesz leśnego wilka, który jest tak samo łagodny i oddany jak ten pies u jej kolan. Przypomniały jej się stare legendy o wilkołakach, o kobietach, które rodziły im dzieci. I nie wiedziała dlaczego, lecz nie czuła na tę myśl ani strachu, ani wstrętu. Głaskała miękkie, grube psie futro i myślała o ciele Maryna, o tym, że tyle razy miała ochotę dotykać jego nagiej, gładkiej skóry.

Wróciła do domu, odszukała koc i na palcach zbliżyła się do szopy, gdzie leżał w trumnie stary Horst. Przyłożyła ucho do chropawej ściany z desek i usłyszała równy, głęboki oddech. Horst spał, choć w deskach trumny musiało mu być bardzo niewygodnie. Bezszelestnie weszła do szopy i tak jak to jej kazał Maryn - nakryła starego ciepłym kocem. Potem pośpieszyła do domu i weszła na górę do swojego pokoju. Długo stała przy oknie, patrząc w las, który już został ogarnięty przez krótką czerwcową noc. Chciała wiedzieć co teraz robi Józef Maryn, dokąd pędzi na swej izabelowatej klaczy. Być może, gdyby była taką kobietą jak inne, jak choćby Leśniakowa, może potrafiłaby zatrzymać w domu tego dziwnego człowieka, przy którym czuli się bezpieczni. Dałaby mu swoje ciało, chyba znacznie piękniejsze niż ciało chudej kelnerki z Gaud. Ale on powiedział jej już kiedyś i powtórzył to dzisiaj, że pragnie miłości. Zarazem bał się jej i dlatego nawet myślał, że jakaś kobieta może go tylko polubić, już napelniała go lękiem. "Nigdy go nie zrozumiem" - pomyślała, westchnęła i położyła się w sukience na łóżku, aby - jeśli Józwa wróci z lasu - natychmiast wstać i zająć się przygotowaniem posiłku.

Maryn zaś przemierzał las krętymi ścieżkami, liniami oddziałowymi, między młodnikami i starodrzewami, omijając mokradła i małe leśne oczka. W lesie było tak ciemno, że z trudem dostrzegał uszy klaczy, i dlatego przylgnął twarzą do grzywy zwierzęcia, aby go nie zrzuciła jakaś nisko rosnąca gałąź. Klacz widziała w ciemnościach i mimo że pędziła po krętych drózkach, ani przez chwilę nie zwalniała biegu, nie potykała się o wystające z ziemi korzenie.

Ona i ten człowiek na jej grzbiecie zdawali się tworzyć jedność z ogromnym i pełnym ciemności lasem. Maryn poznał go przez te kilka miesięcy - podsiąknięte wodą zdradliwe zapadliska, zręby obstawione przygotowanymi do wywozu stosami papierówki, kopalniaka, grubymi dłużycami. I po raz pierwszy od chwili swego tutaj przybycia czuł się w lesie naprawdę bezpiecznie, jak dawniej, gdy prowadził samochód na ulicach najludniejszych miast. Może to prawda, że odnalazł w sobie coś z wilka samotnika, który w poszukiwaniu zwierzyny przebywa nocami leśne drogi i sam bieg w ciemnościach i w ciszy leśnej sprawia mu przyjemność, daje poczucie wolności. I podobnie jak u owego wilka, u celu pogoni czeka go zwierzyna. Pragnął walki - odczuwać ból i zadawać ból. Nie, nie czuł w sobie nienawiści do lasu, choć tylekroć chciał go nią zarazić Horst Sobota. Z lasem się pobratał, a nawet jak gdyby go pokochał. Wśród leśnych drzew, w samotnych wędrownkach po leśnych drogach mógł ukryć przed innymi swoją klęskę i swoją samotność. To tylko z początku czuł się wśród drzew jak za kratami więzienia, potem raptownie pojął, że tylko jeszcze wielki las ofiarowuje mu nieskończoną wolność. Jakże piękne i przyjazne zaczęły mu się wydawać olchy na bagnie, jak pieszczoty przyjmował leciutkie drapania świerkowych igieł, a kiedy brał w dłonie liść dębu, wydawało mu się, że słyszy szelest podobny do tego, gdy dotyka się stronicy nie przeczytanej książki. Być może kiedyś tę książkę przeczyta i nauczy się lepiej mowy lasu, tak samo dobrze jak Horst Sobota. Bo las mówił, ciągle coś ludziom mówił - nawet teraz przemawiał swoją ciszą i wirującymi w ciemnościach jasnymi kroplami świetlików. Być może kiedyś kupi sobie mały dom na skraju lasu, postawi ławkę przed domem i będzie patrzył, jak las chce mu zabrać skrawek ziemi, przenosi nasiona drzew do jego ogródka, huczy jesiennym wiatrem i zdaje się unosić na swoich barkach ogromne zwaliska chmur. Las zawsze był inny i zawsze pozostawał piękny - nawet teraz, w mroku, raz po raz lizał twarz Maryna to wilgocią bagien, to w młodniku uderzał ciepłem i zapachem żywicy. Z bukowych siedlisk zalaływono wonią pleśni i grzybni, a kiedy już można było prawie zatonać w ciszy, raptem zaczynał płakać puszczyk albo zakrzyczał lelek. Las żył - w nocy i we dnie, zimą i wiosną, latem i jesienią. Wciąż wyciągał niewidzialną dłoń po ludzkie serca i ludzkie dusze. Co z nimi robił? Gdzie, na jakim ołtarzu zawieszał ludzkie serca jak święte wota i gdzie, na jakich wysepkach wśród bagien - dawał schronienie i spokój ludzkim myślom i uczuciom. Las był cmentarzem dla drzew i setek leśnych istnień, lecz także stawał się cmentarzem dla ludzkich pragnień i nadziei. Rodził zwątpienie albo jeszcze co innego, na przykład chęć czynienia zła. To było dziwne, ale przecież las mógł dać człowiekowi wszystko, co mu było potrzebne - może nawet budzić pragnienie sprawiania dobra albo zrozumienia czegoś tak niezwykłego jak miłość. To przecież dopiero tutaj Maryn pojął, że tęskni za miłością tak wielką jak las.

Klacz zwolniła kroku, Maryn jednak nie uderzył jej pejczem, ponieważ rozumiał, że las nie każe się śpieszyć. Jeszcze zdąży Maryn stoczyć bitwę z leśnymi ludźmi, z ich kłamstwem i niechęcią do wszystkiego, co nie jest leśne. Wolno przebyli młode jagodzisko, które porosło jedną z nieudanych upraw leśniczego Stęborka. Następnie zjechali w dolinę, gdzie był grąd niski, pełen grabów, dębów i świerków. Na poboczu leśnej drogi leżały dranice i długie kloce bukowe przeznaczone na okleinę. Klacz ostrożnie wyminęła stosy karpiny i króciaków, przeszła mimo długiej mygły, ostrożnie przekroczyła trzy przegradzające drogę wywroty i weszła w drzewostan dojrzały, sosnowy, podzielony na działki żywiczarskie. Pięknie zapachniały sosny wejmutki i daglezie, ogarnął Maryna spokój.

Gdy wjechał między szczerbate płoty zagubionej w lasach wioski, natychmiast obskoczyła go sfera małych kundlowatych piesków, których używano tutaj do kłusowania. Trzy razy koniec jego pejcza ze świstem dosięgnął z grzbietu klaczy któregoś z kundli i zrobiła się cisza. Żaden już więcej nie zaszczekał, jak gdyby stały się świadome, że to nie obcy przybysz trafił w ich strony, lecz ktoś groźny jak wilk leśny. Nie były zresztą przyzwyczajone do widoku człowieka na koniu i rozpierchły się każdy w swoją stronę.

Maryn podjechał do pierwszej chałupy, piersią klaczy otworzył sobie spróchniałą furtkę i znalazł się tuż przy zasłoniętym firanką oknie, skąd jeszcze wypływał słaby blask lampy elektrycznej. Zapukał mocno w szybę i ramę z łuszczącą się na niej farbą. Ktoś gwałtownie odsunął firankę i Maryn zobaczył twarz Karasia.

- Kto tam? Kto tam? - zachrypiało za oknem.

- To ja. Twój przyjaciel - powiedział półgłosem Maryn.

Karaś zasunął firankę i Maryn pomyślał, że być może będzie musiał wejść do tego domu i wyciągnąć go na dwór uderzeniem bata. Ale Karaś sam wyszedł po chwili, zapinając spodnie i wciskając w nie koszulę.

- Oddałem ci przysługę - rzekł Maryn. - Teraz potrzebuję przysługi, jak przyjaciel od przyjaciela.

W milczeniu ruszyli przez wieś. Maryn na klaczy, a tamten pieszo obok niego. Karaś o nic nie pytał, gdyż bał się tego człowieka. I to wcale nie jego pistoletu w czarnej kaburze u pasa, ale owej dziwnej, nieokreślonej siły, którą ten strażnik łowiecki zdawał się nosić w sobie. Owszem, Karaś bał się nadleśniczego, bo tamten mógł go ukarać zmniejszeniem premii, posłaniem na gorszą robotę albo nawet wyrzuceniem z pracy. Bał się też trochę leśniczego Stęborka, szczególnie z początku, gdy nie wiedział, że tamten hoduje w domu kobietę podobną do rośliny. W Stęborku wyczuwał coś nienormalnego, jak kiedyś u drwała Janiaka sąsiada z Doliny. Od czasu jak Janiaka opuściła żona i uciekła z dziećmi do miasta, ponieważ przepijał wypłatę, Janiak opowiadał, że las nie daje mu spać, pukając w szybę świerkową gałązką. Aż pewnego dnia znaleziono go powieszzonego na strychu swojego domu. Wisiał tam trzy dni. I odtąd nikt nie chciał mieszkać w tym domu, po sąsiedzku z Karasiem. Inna sprawa, że dom był stary, przeciekał dach, ściany obrosły grzybem i w końcu dom rozebrano. U leśniczego Stęborka odnalazł Karaś odrobinę podobieństwa do Janiaka - tak samo rozbiegane oczy i tajemniczy uśmiezek człowieka, który posiadał jakieś wielkie tajemnice, chytre przekrzywianie głowy, gdy mówił do kogoś albo kogoś słuchał. A poza tym kto to słyszał, aby kobietę hodować jak roślinę? Stęborka trochę się Karaś bał, jak człowiek normalny lęka się szaleńca, Maryna jednak obawiał się najbardziej. Szczególnie jego przyjaźni, którą trudno było pojąć. Trzy razy z Budrysem zaczajali się na Maryna u wodopoju saren, aby go zabić. I skończyło się tylko na tym, że Budrys zranił go nożem w ramię i też musiał zostać przyjacielem Maryna. Za własną krew, za zadaną mu ranę ofiarował Maryn przyjaźń, szatańskie przymierze przypieczętowane krwią.

Weszli na małą polankę. Był tam stolik i dwie ławeczki pod dachem krytym gontem - miejsce wypoczynku dla turystów, gdyż tędy prowadził niebieski szlak wędrowki przez wielki

las. Tutaj Maryn zeskoczył z kłaczy, zapalił elektryczną latarkę, wyjął z raportówki notatnik, kazał Karasiowi usiąść przy stoliku i napisać prawdę. To znaczy po prostu wyznać, czym go straszyl nadleśniczy Masłocha albo co mu obiecał w zamian za fałszywe zeznanie, że nie było żadnego cmentarza na Wilczym Rogu. I Karaś opisał prawdę, tak jak się miała. Maryn posiadał zdjęcia, na których Karaś zdejmował drucianą pętlę z sarny. Maryn trzymał także bat w ręku.

Był środek nocy. Do światła latarki przylatywały duże ćmy i uderzały w twarz Karasia. A tamten, ten przyjaciel Karasia, stał tuż obok i palił papierosa. W mroku nie widział Karaś jego twarzy, tylko ognek papierosa, to czerwony, to żółtawy, kiedy papieros rozżarzał się albo przygasał. Dlatego tym głębszy odczuwał lęk, gdyż nie potrafił się domyślić, co tamten ma na myśli, czy jest zadowolony, czy gniewny. Nie było w Karasiu najmniejszego odruchu buntu. Skłamał na rozkaz nadleśniczego i prawda wyszła na wierzch.

- A teraz przeczytaj - poprosił przerażający przyjaciel i Karaś, bardzo wolno, sylabizując słowa, przeczytał to, co napisał. A kiedy skończył i Józef Maryn jego oświadczenie schował do raportówki, jednocześnie gasząc elektryczną latarkę, Karaś zapytał ze strachem:

- Co powie nadleśniczy, gdy dowie się, że odwołałem zeznanie?

Usłyszał cichy śmiech.

- Dziwne ci się to wyda, przyjacielu, ale nadleśniczy nigdy nikomu nie powie o tym, co teraz zrobiłeś.

Po chwili Karaś słyszał już tylko cichnący w lesie tętent kopyt izabelowatej kłaczy. Nie ruszał się z twardej ławki, nawet kiedy już przestał go dochodzić łomot kopyt na leśnej drodze. Ciężko mu złoże strachu przed nadleśniczym, który kazał mu kłamać, i przed człowiekiem, który polecił mu mówić prawdę. Zaprzagnął, aby noc i ciemność trwały wiecznie i okrywały go jak czapką niewidką. Nie chciał świtu i dnia, gdy będzie musiał spojrzeć w twarz leśniczego Stęborka, a może również i nadleśniczego Masłochy. Nie wierzył Marynowi, że nikt go nie ukarze tak za kłamstwo, jak i za prawdę. "Trzeba go było zabić" - przypomniał sobie noc, w której zaczaili się na strażnika łowieckiego. Tylko że to się znowu źle dla nich skończyło, pobili ich mocniej i boleśniej. Odtąd Maryn mógł grasować po lesie na podobieństwo człowieka, który od czasu do czasu zamieniał się w wilka. Tak, to chyba Budrys był tym pierwszym, który wróciwszy do domu ze zmasakrowaną twarzą powiedział do żony i dzieci, że napadł go w lesie wilkołak. Podobnie rzekł Karaś swej żonie, kiedy zabrakło im mięsa i namawiała go, aby zastawił sidła na kozła lub sarnę: "Nie mogę tego zrobić, bo w lesie czyha wilkołak". Inna sprawa, że nikt im nie wierzył, i dzieciaki z Doliny i Mordęgów jak dawniej chodziły gromadami do lasu, aby zbierać maliny, jagody i poziomki.

A jednak pewnego dnia nadleśniczy Masłocha, który wybrał się na polowanie z jakimś leśnym dygnitarzem, znowu odkrył utrwalone w wyschniętym błocie wyraźne ślady wilka. Bardzo wiele lat temu leśniczy Izajasz Rzepa zabił w tych lasach ostatniego wilka. Ten nowy pojawił się tu więc z jakichś obcych stron. Odtąd wiele się mówiło o przebiegłości i zaciekłości samotnie grasujących wilków. Podobny do niego - przebiegły i zaciekły - był strażnik łowiecki. "I też śmierdzi dzikim zwierzęciem" powiedział o Marynie gajowy Wzdrenga.

A przecież nikomu tak naprawdę Józef Maryn nie zrobił wielkiej krzywdy, co najwyżej tego i owego trochę poturbował, gdy ktoś nie chciał zostać jego przyjacielem. Nikogo nie oddał w ręce milicji, nikogo nie postawił przed sądem. Był człowiekiem samotnym, jak samotny musiał być ów wilk, co się pojawił w tych stronach. Czy można się dziwić, że pragnął ludzkiej przyjaźni? Nie jest łatwo być strażnikiem łowieckim w tak wielkim lesie. Dokąd teraz w ciemnościach leśnych pomknął na swojej izabelowatej klaczy? Zenon Karaś dobrze wiedział, że nie on jeden zgodził się napisać kłamliwe oświadczenie. I nie on jeden, Zenon Karaś, tej nocy napisze zupełnie coś innego, bo nocą do okna domu zapuka Józef Maryn. Można się było jedynie domyślić, że strażnik łowiecki zdobył wielu przyjaciół, choć nikt nie pragnął przyznawać się do tej przyjaźni.

Wreszcie wstał z ławki i poszedł w stronę domu. Towarzyszyły mu raz po raz zapalające się oczka świetlików i tajemniczy szelest z głębi lasu. Był rad, gdy znalazł się w łóżku obok żony.

- Czy stało się coś złego? - zapytała go kobieta. - Czego chciał od ciebie strażnik łowiecki?

- To mój przyjaciel - odrzekł Karaś i odwrócił się do niej plecami, nie chciał bowiem, żeby jego kobieta, jak to miała niekiedy w zwyczaju, położyła głowę na piersi i usłyszała szybszy łomot serca. Po chwili dodał sennie: - Zrobiłem źle, skłamałem. Ale on uwolnił mnie od kłamstwa.

Tymczasem punktualnie o ósmej rano w nadleśnictwie w Bartach rozpoczęła się narada wszystkich leśniczych z udziałem przybyłych z Okręgowego Zarządu dwóch leśnych inspektorów. Najpierw mówiono o problemach związanych ze zrywką, potem - zgodnie z porządkiem narady zaproponowanym przez Masłochę - zaczęto dyskutować o wypadach na uprawach, ze szczególnym uwzględnieniem nieudanych upraw w leśnictwie Stęborka. Około południa przewidywał Masłocha, że wyłoży na stół trzydzieści oświadczeń leśniczych, gajowych i robotników leśnych i w ten sposób da odpowiedź jednemu z inspektorów, który przyjechał do Bart specjalnie dla wyjaśnienia skargi Horsta Soboty. Inspektor dowie się, że nie było żadnego cmentarza na Wilczym Rogu, Horst Sobota jest zwariowanym starcem, który postanowił stoczyć bitwę z lasem. Jego skarga powinna posłużyć do ogłoszenia Soboty zwykłym wariatem. Wtedy być może uda się przy pomocy dobrego prawnika uzyskać od sądu ubezwłasnowolnienie szalonego starca i zdobyć jego piękny dom. Najważniejszy jednak pozostawał dla Masłochy honor ich leśnej firmy. W sytuacjach takich jak ta Masłocha stawał się podobny do kwoki gotowej bronić swojego stadka kurcząt, nawet jeśli któreś wlaźło w szkodę i narobiło bałaganu. Podobnie jak Wojtczaka, będzie Masłocha bronił i leśniczego Stęborka, nie pozwoli inspektorowi, aby przeforsował swój wniosek o zdegradowanie Stęborka do funkcji podleśniczego. Odtąd Stęborek naprawdę odczuje, kto jest nie tylko jego szefem, ale i obrońcą, i przestanie się aż tak gwałtownie dopominać o zmianę domu. Kto wie zresztą, czy Masłocha nie uzyska w końcu pięknego domu Horsta Soboty i nie odda go Stęborkowi, aby miał gdzie hodować kobietę podobną do rośliny. W ostatnim czasie Stęborek bardzo się zmienił. Przed rokiem nawet by mu do głowy nie przyszło, aby złożyć fałszywe świadectwo. Te kilka rozmów, które Masłocha przeprowadził z nim na uprawie, gdzie wyschły sadzonki, przede wszystkim modrzewie, chyba spowodowały w nim jakiś przełom. Nawet nie mrugnął okiem, nie chrząknął,

nie zapytał po co, kiedy Masłocha poprosił o oświadczenie, że na Wilczym Rogu nie istniał nigdy żaden stary cmentarz. Masłocha nie czuł wyrzutów sumienia, że wymusza na ludziach fałszywe świadectwo. Czy nie robił tego dla dobra lasu, dla dobra ich leśnej firmy? Cóż mogło być ważniejszego dla nich - leśnych ludzi - jak nie pilnowanie spraw lasu, który ich żywił i ubierał, ponieważ stanowili jego część. W życiu swoim, szczególnie w młodości, przeczytał wiele powieści o leśnikach. Na ogół prezentowano ich jako romantycznych głupków, którzy ze strzelbą na ramieniu i mosiężną trąbką przemierzają leśne bezdroża, oglądając przez lornetkę gniazda ptasie. Opisywali ich ludzie z miasta, bo takimi chcieli widzieć ludzi lasu. Nic w tym obrazie nie było prawdziwe - leśnicy nie posiadali broni służbowej, a jeśli już mieli broń, gdyż należeli do kółka łowieckiego, nie wolno im było jej nosić w czasie służby. Rdzewiały trąbki i rzadko który miał lornetkę. Coraz mniej spotykało się takich jak stary Kondradt, z małym gospodarstwem, koniem, dwoma krowami, maciorą i pasieką; osiedlali się w lesie ludzie podobni do Stęborka, z tytułami, ale bez ochoty na babranie się w gnoju, w ziemi, oprzątanie choćby stadka kur. Zresztą ani tamci, ani ci, co przyszli teraz, w niczym nie przypominali bohaterów leśnych powieści. W takim, który przez kilka lat obserwował, jak z głuchym łoskotem wałęsały się na ziemię wspaniałe sosny, graby czy buki, jak kończą żywot potężne dęby, też się coś zawałało w duszy, rujnowało, obojętniało na piękno, które musiał niszczyć motorowymi piłami drwali. Coś więc w nim umierało, ale czy coś się nowego nie rodziło, czy nie powstawała jakaś nowa wartość moralna? Masłocha nie zauważył jej ani w sobie, ani w innych. Niektórzy jeszcze przez jakiś czas potrafili grać komedię przed turystami i przybyszami z miasta, wraz z nimi zachwycać się pięknem sosnowego starodrzewu, lecz gdzieś w głębi duszy już obliczali w myślach, kiedy będzie można przystąpić do zrębu, ile też zrobi się tarcicy, a ile przeznaczy na opał. Jak długo można mordować piękno bez skazy na duszy? W końcu, aby istnieć i pracować, trzeba w sobie wyrobić odruch samoobronny, zacząć po trosze lekceważyć piękno lub nawet nim gardzić, stępić w sobie pewien rodzaj wrażliwości. I to nazywał Sobota "pozbywaniem się duszy".

O dziesiątej rano panna Marylka, sekretarka Masłochy, zobaczyła przed swoim biurkiem strażnika łowieckiego Józefa Maryna, w mundurze, z raportówką przewieszoną przez ramię. Nie pamiętała, czy strażnik łowiecki znajdował się na liście osób zaproszonych na naradę do nadleśnictwa, tak jednak musiało być, skoro zjawił się w sekretariacie nadleśniczego, choć spóźniony o dwie godziny.

- Nadleśniczy nie lubi spóźnialskich - odezwała się cierpko do Maryna, zaraz jednak uśmiechnęła się mile, gdyż bardzo się jej podobał ten mężczyzna.

Była drobną blondynką, miała dwadzieścia trzy lata i uważała, że znajduje się u początków swojej kariery życiowej. Urodziła się w zaszytej w lasach gajówce i od małości marzyła, aby wyrwać się w wielki świat, który oglądała na ekranie telewizora. Obiecowała sobie, że nigdy nie wyjdzie za mąż za człowieka w leśnym mundurze, nigdy nie da się znowu sprowadzić w lasy. Tak się jednak stało, że na prośbę ojca, gajowego, nadleśniczy zgodził się zatrudnić ją w swoim sekretariacie w Bartach. Lecz nie przestała marzyć, że ktoś porwie ją do wielkiego miasta.

O strażniku łowieckim, jak wszyscy w nadleśnictwie, słyszała wiele plotek. Nawet i tę, że

być może zmieniał się w wilka, którego ślady odkrył Masłocha. Przyjmowała tylko te plotki, które były jej wygodne i stwarzały szansę wyrwania się z Bart. A więc przede wszystkim interesował ją fakt, że strażnik łowiecki przybył z wielkiego świata, prawdopodobnie za karę, jak wielu, których tu przysłano z innych nadleśnictw za jakieś niedopatrzania, nawet niewielkie kradzieże drewna. Masłocha zwierzył się jej, że dla Maryna stworzono specjalny etat strażnika łowieckiego, gdyż żaden strażnik łowiecki nie był w tych lasach potrzebny. Znaczyło to, że kiedyś ów Maryn powróci tam, skąd przybył, i kto wie, czy nie mógłby zabrać ze sobą także Marylki. Kilkakrotnie przyjeżdżała niby to służbowo do leśniczówki Kuleszy, bo tam mieszkał Maryn. Nigdy go nie zastała, a niechęć, jaką jej okazywała Weronika (objawiała ją zresztą wobec wszystkich ludzi związanych z lasami), odstręczyła ją od dalszych przyjazdów. Potem Maryn wyniósł się do Horsta Soboty. Marylka bała się starego Horsta, gdyż od ojca, od nadleśniczego i wszystkich leśniczych wiedziała, że nienawidzi lasu i jest szalony. Jeszcze później Weronika odeszła od Kuleszy i wróciła do Horsta Soboty. W nadleśnictwie plotkowano, że spodobał się jej Maryn, ale Kulesza temu zaprzeczał. Kilka razy szczerze wyznał Marylce, że Weronika nie była prawdziwą kobietą, i dlatego może, aby Kulesza przekonał się, jaką ona jest prawdziwą kobietą, pozwoliła mu nocować w Bartach w swoim wynajętym pokoiku. Po jakimś czasie Kulesza postarał się o stanowisko leśniczego w drugim końcu kraju i zaproponował Marylce, aby za nim pojechała. Wahała się, nie cierpiała lasów tak samo mocno jak Horst Sobota.

Teraz stał przed nią Józef Maryn, strażnik łowiecki, i Marylce zadygotały kolana ukryte pod biurkiem.

- Nie przyjechałem na naradę. Chcę się widzieć z nadleśniczym. I to natychmiast - powiedział i uśmiechnął się ładnie. Miał piękne, białe zęby, u Marylki zaś mimo jej dwudziestu trzech lat niemal wszystkie zęby były mniej lub bardziej dziurawe, trudno bowiem dbać o zęby, gdy mieszka się w leśniczówce zaszytej w lasach. Mogła je zacząć leczyć już w Bartach, ale leśnicy mieli też popsute zęby i nikogo to nie raziło.

- Z nadleśniczym każdy chciałby się zobaczyć, i to natychmiast - odrzekła Marylka, kokieteryjnie przekrzywiając główkę. - To jest jednak niemożliwe, gdyż ma naradę. Proszę, niech pan usiądzie i zaczeka, aż narada się skończy.

Wskazała mu krzesło obok swojego biurka i nawet zapytała, czy nie chce herbaty. Właśnie zagotowała się woda w elektrycznym czajniku, który stał na podłodze przy biurku.

Maryn odmówił poczęstunku i usiadł na wskazanym krześle. Marylka powinna była ostrzec Maryna, że narada może potrwać aż do popołudnia, chciała jednak porozmawiać ze strażnikiem łowieckim ("zapoznać go", jak to nazywała), więc przemilczała tę kwestię.

- Pewna kelnerka z Gaud chwaliła się kilku leśnikom, że została pana narzeczoną - zaczęła rozmowę Marylka, przyrządzając herbatę.

- Nic o tym nie wiem - wzruszył ramionami Maryn.

- Pomyślałam, że ona kłamie. Twierdzi, że była w domu Horsta Soboty. Pan ją zaprosił.

- U Horsta Soboty rządzi młoda i ładna kobieta. Nie pozwala mi nikogo zapraszać do siebie.

- Weronika? - Marylka uśmiechnęła się niedowierzająco. - Znałam jej męża Kuleszę. On mi wiele o niej opowiadał. To nie jest prawdziwa kobieta.

- A ja nie jestem prawdziwym mężczyzną - odparł trochę szorstko Maryn.

Nie wiedział dlaczego, ale fakt, że wstydliwą tajemnicę Weroniki znało aż tyle osób, poirytował go.

- Ta kelnerka mówiła zupełnie co innego. Zresztą Weroniki mi naprawdę żal. Tylu ją miało, że takiej kobiecie trudno jest żyć. Ukryła się u Horsta Soboty i w końcu zwariuje tak samo jak i stary.

- Sobota nie jest wariatem.

- Pan tak mówi, bo pan u niego mieszka. Ale nadleśniczy twierdzi co innego.

- Wiem - skinął głową. - Ale to prawda, że Weronikę po prostu zgwałcono. A pani nie miała żadnego mężczyzny?

- Nie wolno pytać o takie sprawy - zachichotała Marylka.

- A mówić o innej kobiecie wolno właśnie w taki sposób? - zapytał Maryn.

- Myślałam, że pan zna się na żartach.

- Troszeczkę się znam. Przyjedzie pani do mnie?

- Weronika mi nie pozwoli - roześmiała się nieco sztucznie.

Z urody przypominała mu o wiele bardziej Erykę niż kelnerka z Gaud. Tylko że Eryka nie miała zepsutych zębów. Myśl o Eryce nie budziła w nim jednak pożądania. Zresztą czy nie szukał miłości wielkiej i prawdziwej? Wyobrażał sobie oczy Weroniki, gdy być może powtórzy jej słowa Marylki. Ujrzy w nich wstyd, cierpienie i ból. Dlaczego już sama myśl o tym podniecała go?

Wyjął z raportówki notes, napisał na kartce kilka słów i podał kartkę Marylce.

- Proszę to podać dyskretnie nadleśniczemu - poprosił.

- A jeśli nie? - znowu kokieteryjnie przekrzywiła główkę.

Przepadł ów ładny uśmiech z twarzy Maryna, zacisnęły mu się szczęki. Znieruchomiały oczy i straciły blask, przez co upodobniły się do oczu martwego zwierzęcia. Poczula na swoich nadgarstkach palce Maryna, które zacisnęły się z ogromną siłą. Z trudem powstrzymała okrzyk

bólu.

- Idź, mała, do Masłochy i zanieś mu tę kartkę. Ma natychmiast stawić się tutaj - cicho powiedział strażnik łowiecki uwalniając nadgarstki dziewczyny z uścisku swoich palców.

Wstała sztywno i wyszła z kancelarii. Tak samo sztywno weszła do salki konferencyjnej, wyminęła siedzących wokół stołu ludzi w mundurach i u szczytu stołu podała nadleśniczemu kartkę od Maryna. Masłocha niedbale położył tę kartkę przed sobą, nawet do niej nie zajrzawszy. Zaniepokoił go dopiero widok stojącej wciąż przy nim Marylki i łez, które zaczęły się zbierać w jej oczach. Marylka bała się wracać do kancelarii.

- Co się stało? - zapytał ją szeptem, a potem zajrzał do kartki.

Leśniczy Stęborek właśnie mówił o usychaniu modrzewi na jego uprawie. Zastanawiał się, dlaczego jeden z modrzewi jednak rośnie, zieleni się, gdy inne uschły. Obiecywał, że w następnym roku znowu dosadzi modrzewie, gdyż jego zdaniem siedlisko jest odpowiednie i on, Stęborek, pracuje przy pomocy metod naukowych.

Nadleśniczy wstał od stołu i razem z Marylka opuścił salę konferencyjną, choć na końcu języka miał radę dla Stęborka, aby wydupczył żonę na swojej uprawie. Taka luźno wtrącona uwaga wywołałaby zapewne rechot radości u innych leśniczych, a Masłocha chciał mieć opinię człowieka wesołego i bardzo ludzkiego.

Maryn podniósł się z krzesła i przez chwilę stali naprzeciw siebie, Maryn wyższy od Masłochy o głowę, ale szczuplejszy. Nadleśniczy był krępy, rozrośnięty w ramionach, jego wciśnięta w kark głowa sprawiała wrażenie, jak gdyby miał mały garb.

- Czego pan właściwie chce ode mnie? - zapytał ostro nadleśniczy.

Maryn podał mu cztery kartki papieru z oświadczeniami, które czterech ludzi napisało dla niego tej nocy. Masłocha przybliżył do oczu pierwszą kartkę owym trochę nonszalanckim gestem, z jakim zazwyczaj przyjmował podania i skargi od leśnych ludzi. Potem - pierwszy raz, odkąd tutaj pracowała - ujrzała Marylka, jak palce nadleśniczego zaciskają się mocniej na brzegu kartki. Nic się nie zmieniło w postawie Masłochy, a przecież Marylka wyczuła, że nadleśniczy poczuł strach. Ów strach był czymś niewidzialnym, lecz Marylka miała wrażenie, że gdyby wyciągnęła dłoń i wsunęła ją w przestrzeń między dwoma mężczyznami, dotknęłaby czegoś tak twardego jak stal.

- Pan pozwoli ze mną - rzekł nadleśniczy i wskazał Marynowi drzwi do swojego gabinetu.

Nadleśniczy Masłocha nie uważał się za człowieka łatwo ulegającego lękowi. Bez odrobiny strachu nocami przemierzał pieszo swój wielki las, lubił na polowaniach zabijać zwierzęta i patrzeć, jak się wykrwawiają. Twarzą w twarz stanął na zrębie z oszalałym od wódki robotnikiem, który wymachiwał siekierą, i tę siekierę wyjął z jego rąk. Przed zwierchnikami czuł niekiedy co najwyżej lekką obawę, nigdy strachu. A jednak gdy przeczytał owe cztery kartki wręczone mu przez Maryna, przeniknął go jakiś dziwny rodzaj odrętwienia od

czoła aż do palców u nóg. Opanował go w sobie i przyszedł nie znany mu dotąd rodzaj uczucia, chyba właśnie strach. Te kartki oznaczały rozmowy z prokuratorem, sąd, degradację, zakaz zajmowania kiedykolwiek kierowniczego stanowiska, ponieważ jak to zostanie powiedziane w sentencji wyroku, "mocą swojego stanowiska wymuszał na podległych mu ludziach składanie fałszywych oświadczeń". Strach więc był tak konkretny, że można by go chyba nożem wykroić jak wątrobę z dzika. Ów strach także zaciskał mu się na gardle jak kły dzikiego zwierzęcia, choć Masłocha nie wierzył w bajdy o samotnych wilkach atakujących w lesie ludzi. To człowiek, który siedział przed nim, taki delikatny i jasny, miał wilcze kły. Od kilku miesięcy przemierzał samotnie wielki las, przeważnie nocą, aż upodobił się do samotnego wilka. Jak wiele tajemnic kryje jeszcze wielki las i jak trzeba być wciąż ostrożnym i nieufnym wobec swojej wiedzy o lesie.

Podniósł wreszcie głowę znad czterech kartek i spojrzał na Maryna, który siedział w fotelu po drugiej stronie biurka.

- Czego pan żąda ode mnie? - zapytał rzeczowo.

A Maryn odniósł wrażenie, że znowu jest Bullowem i po raz setny słyszy podobne pytanie. Takie małe karteczki, oświadczenia, fotografie zawsze czyniły ludzi posłusznymi i miękkimi.

- Pragnę mieć w panu przyjaciela - powiedział Maryn, tak samo jak mówił to dziesiątki razy.

- To dobrze. I ma pan już we mnie przyjaciela.

- Komuś stała się krzywda, bo ktoś inny uczynił bardzo źle. Trzeba naprawić tę krzywdę i ukarać człowieka, który zrobił źle.

- I tak się stanie - oświadczył cicho Masłocha.

Wtedy Maryn bez słowa wyszedł z gabinetu nadleśniczego, w milczeniu minął Marylkę, nawet nie spojrzawszy na nią. Po chwili opuścił swój gabinet także i Masłocha.

- Zawołaj do mnie Wojtczaka - rozkazał.

Wskazał Wojtczakowi swoje miejsce za biurkiem, podsunął mu arkusz prośbowego papieru i polecił napisać podanie o wcześniejszą emeryturę. "Na własną prośbę" - dodał groźnie.

Po południu, kiedy narada w nadleśnictwie zmierzała ku końcowi, Masłocha poprosił o głos i wobec dwóch inspektorów z Okręgowego Zarządu z prawdziwą przykrością poinformował leśników o zniszczeniu starego cmentarza na Wilczym Rogu, a także o konsekwencjach, jakie z tego faktu wynikają. Na koszt nadleśnictwa odbędzie się ekshumacja zepchniętych do bagna kości ludzkich i zawiezenie ich na cmentarz wioskowy. "Nadleśniczy Wojtczak poprosił o przeniesienie go na wcześniejszą emeryturę" - zakończył. Potem - a trwała długa chwila zupełnego milczenia - Masłocha przebiegł oczami po twarzach zebranych przy

stole ludzi, których fałszywe oświadczenia miał w szufladzie swojego biurka, i sycił się strachem, jaki dostrzegł w ich oczach. W nim samym strach zupełnie już ustąpił, ale świadomość, że ci ludzie zdolni są do zrobienia każdego draństwa na rozkaz swego zwierzchnika, potwierdzała w nim gorzką wiedzę o władzy.

Wieczorem nadleśniczy Masłocha zatelefonował do swego zwierzchnika, z którym niekiedy wspólnie polował, i zapytał, co by się stało, gdyby przesłał do Okręgowego Zarządu pismo stwierdzające, że na terenie tutejszego lasu nie zauważa się działalności kłusowników, w związku z czym etat strażnika łowieckiego może być przydatny w innym nadleśnictwie.

- Nie rób tego - powiedział mu ten człowiek.

- Dlaczego?

- Nie rób tego - padła ta sama odpowiedź. Usłyszał też trzask odkładanej słuchawki. Wówczas dotarł do Masłochy jeszcze jeden fragment wiedzy o świecie: przyjaciół miewa się nie tylko ze świadomego wyboru i sympatii, lecz także z przypadku i ze strachu.

Tego dnia późnym popołudniem Maryn powrócił do domu na zdrożonej klaczy, zakurzony i wyraźnie zmęczony. Od razu skierował swoje kroki do szopy, gdzie leżał Horst Sobota. Rozmawiali ze sobą krótko, ale Weronice wydawało się, że trwało to bardzo długo. Nie podsłuchiwała, wiedząc, że i tak dotrą do niej dobre i złe wieści. I stary Horst Sobota wstał z trumny, na zdrętwiałych nogach przyszedł do kuchni, kazał sobie podać dobry obiad. Maryn zaś pognął klacz na łąkę i choć Weronika zapraszała go na posiłek, położył się u siebie i zasnął.

- Odnaleziono stare mapy Wilczego Rogu - opowiadał podczas obiadu Horst Sobota. - Na tych mapach jest uwidoczniony cmentarz i nikt już nie może uznać mnie za szalonego. Zgodnie z przepisami leśni ludzie zbiorą szczątki ludzkie do trumien i przewiożą na wioskowy cmentarz. Wojtczak zaś, który był winien w tej sprawie, poprosił sam i karę w postaci wcześniejszego przeniesienia na emeryturę. Maryn znowu zwyciężył las i musimy mu jakoś okazać swoją wdzięczność.

- Po prostu znaleziono stare mapy - Weronika starała się zbagatelizować zasługi Maryna.

- O tak, Weroniko. Ale trzeba było chcieć znaleźć te mapy - rzekł Horst. - Dlatego pójdziesz dzisiaj do Gaud i zaprosisz tutaj tę, co już u nas była.

- On jej nie chce.

- Dlaczego?

- Powiedział mi, że szuka miłości.

- Miłość też można kupić, Weroniko, a ja mam bardzo dużo pieniędzy. Widzi mi się, że gdy trochę wypocznę po tej nocy w trumnie, będę musiał wyjechać gdzieś do miasta i kupić dla Maryna nie tylko piękną kobietę, ale i jej miłość.

- O tak, można ją kupić w sklepie albo na bazarze, w kolorowych pudełkach - zakpiła Weronika.

- Co ty wiesz o świecie albo o życiu? - wzruszył ramionami Horst Sobota. - Nigdy tak naprawdę nie wychyliłaś nosa poza swoją wioskę i poza nasz dom w lesie. Miłość kupuje się tak samo jak konia czy wóz. Gdybym w swoim czasie zechciał sprzedać ten dom i sad, kupił synowi piękny samochód i przeniósł się gdzie indziej, miałbym i miłość żony, i miłość syna. Jutro pojedę do miasta w tej sprawie. Muszę to zrobić, gdyż nie chcę utracić Maryna.

- Nie zniosę w tym domu żadnej innej kobiety - wybuchnęła żalem.

- Rozumiem cię, nic jednak na to nie mogę poradzić. Kocham cię jak córkę, ale kiedy odeszłaś do Kuleszy, miłość we mnie ostygła. Przykro mi to powiedzieć, lecz od swojego powrotu stałaś się w tym domu podobna do bardzo cennej i potrzebnej rzeczy. Gdyby mnie Maryn poprosił, darowałbym mu nawet ciebie.

- Nie jestem niczyją własnością. Odejdę stąd - oświadczyła Weronika.

- Dokąd pójdziesz? - zapytał. - Chcesz, żeby znowu świat cię skrzywdził i pohańbił? Tylko tutaj jesteś bezpieczna. Jesteśmy obydwój bezpieczni, dopóki jest z nami Józwa. Zresztą bądź spokojna, on mnie o ciebie nie poprosi.

- Skąd wiesz?

- Bo nigdy mnie o nic nie poprosił. A poza tym on potrzebuje prawdziwej kobiety.

Nie zrozumiała, dlaczego tak bardzo rozgniewały ją te słowa. Mówił prawdę, ale przecież nie chciała w tej chwili przyjąć tego do wiadomości. Wyszła na środek kuchni, wyzywająco stanęła w rozkroku i zadarła spódnicę aż po pępek, ukazując różowe majtki.

- A cóż to ja jestem? Garbata? Kulawa? Czy nie mówiło mi wielu o mojej urodzie? Czy nie kazał Kulesza dotykać moich ud, aby się każdy mógł przekonać, jaka jest na nich delikatna skóra? Czy nie zachęcał innych, aby mnie szczypali po pośladkach, gdyż mam je twarde jak z kamienia? O moich cyckach powiedziała Leśniakowa, że są jak kopce graniczne.

- To prawda, Weroniko - skinął głową Horst Sobota. - To jednak musisz wiedzieć, że kiedy cię w młodości las pohańbił, zarazem zabrał ci duszę kobiety. Nie jestem aż taki stary i dziecięciniały, aby nie domyślić się, czemu nie mogłaś żyć z Kulesza i dlaczego od niego odeszłaś.

Zawstydziała się i opuściła spódnicę, wróciła do kuchni i zlewozmywaka. Po dłuższej chwili milczenia zapytała pokornie:

- Czy to się kiedyś zmieni, Horst? Czy las zwróci mi duszę kobiety?

- Nie wiem - zastanowił się głośno. - Tego chyba nikt nie wie. Może kiedy Maryn zwycięży las, on odda mu wszystkie dusze, które wielu ludziom zabrał. Wtedy i ty odnajdziesz

swoją. A teraz daj mi spokój, bo jestem zmęczony, a to poważne sprawy.

Zniecierpliwiła i jeszcze bardziej znużyła Sobotę rozmowa z Weroniką. Był szczęśliwy, że Józef Maryn znowu zwyciężył las, upokorzył i ukarał leśnych ludzi. Po posiłku zaraz wyszedł przed dom na drogę, aby popatrzeć na las okiem zwycięzcy, powiedzieć mu, jak nim gardzi i jak go nienawidzi, usłyszeć odpowiedź.

Przedwieczorne słońce pokryło złotą patyną czubki sosen; ich lekkie kołysanie przypominało podnoszenie się i opadanie piersi ludzkiej, gdy spokojnie oddycha. Las nie wyglądał na zwyciężonego, nie objawiał niepokoju i to martwiło starego Horsta. No cóż, zwykłe sosny może nie miały pojęcia o sprawach wielkiego lasu, to były drzewa pospolite, coś w rodzaju zwykłych żołnierzy ogromnej armii. Czy zwykły żołnierz może coś wiedzieć o klęskach generałów lub oficerów?

Sobota poszukiwał wzrokiem nielicznych dębów i zatrzymał wzrok na jednym, starszym od sosen i nieco wysuniętym ze ściany lasu. Dąb niemal wychodził na piaszczystą drogę i raz lub dwa razy pijany leśny człowiek jadący motorowerem rozbił się o jego chropawy pień. Dąb był weteranem bojów z wichurami, które wiosną i jesienią od pól i jeziora pędziły na las i uderzały w jego skraj. Ile to było wywrotów po takich wichurach. Łamały się sosny i świerki, ale nigdy się nie zdarzyło, aby w boju z wichurą padł dąb, chociaż był najbardziej wysunięty do przodu i poddany uderzeniom wiatru. Kto wie, czy to nie w grubych i pokrytych pancerzem kory wielkich pniach dębów kryła się tajemna siła lasu?

Nadstawił uszu w stronę dębu, zauważył, że mięsiste liście ledwo drżały. Wiaterek, który wprawiał w ruch korony sosen, był dla niego zaledwie jak delikatna pieszczota.

Izajasz Rzepa opowiadał kiedyś Horstowi, wskazując na ów dąb, że pożyje na pewno tysiąc lat, a ma już pewnie ze trzysta. Jeśli ktoś żyje tysiąc lat, to może sobie czekać, aż jakiś człowiek, jego dom i jego sad znużą się walką z lasem. To był dąb szypułkowy - najniebezpieczniejszy ze swojego gatunku, ponieważ rozwija liście dość późno i nie jest przez to narażony na wiosenne przymrozki. Inny gatunek - dąb bezszypułkowy - już wymaga łagodniejszego klimatu i nie potrafi wyrosnąć tak jak ten na wysokość czterdziestu metrów. Jak wygląda świat z takiej wysokości? Horst Sobota wydaje mu się zapewne bardzo mały. Kora tego dębu przyjemnie pachnie, a wywar z niej nadaje się do przemywania skaleczeń i leczenia odmrożeń. Sobota lubił kiedyś dęby. Nawet powalone wyglądały jak nieżywi rycerze w grubych zbrojach, a poza tym były dostojne i mowę miały poważną. Smutnie poświstywał wiatr w gałęziach sosen i buków, w konarach dębów po prostu huczał. Dęby były jak prawdziwe organy lasu, jego basy. Dęby nie bały się nawet żelaza. Jak opowiadano, ktoś wbił kiedyś siekierę w stary pień i zapomniał o tym. Przyszedł w to samo miejsce po dwóch latach i przekonał się, że wbite w dąb ostrze uległo zupełnej korozji. Po prostu jak gdyby dąb wchłoniął żelazo, pokrywając się w tym miejscu atramentową plamą. Lubiał więc Horst Sobota dęby, szczególnie te starsze - za ich powagę i waleczność. Lecz kiedy pewnego roku obok świeżo posadzonej w sadzie czereśni znalazł aż trzy młode dęby, których przecież nie zaprosił do siebie, pojął, że z lasem nie może być zawarte żadne przymierze.

Nagle powiał pomocny wiatr i zrobiło się chłodno. Ciałem Horsta Soboty wstrząsnął

dreszcz i stary podreptał do swego pokoju, kładąc się w pościel. Zasypiał spokojnie, ponieważ wiedział, że w jego domu jest Józwa Maryn.

Powoli nadchodził wieczór. Weronika wyniosła na podwórko miskę z jedzeniem i cichym gwizdnięciem przywołała z sadu kudłatego Iva, który bronił owoców na drzewach przed złodziejami z osady leśnej. Poglaskała psa po łbie, pieśczośliwie szarpnęła go za kudły na karku, a on pomachał ogonem. Potem poszła do siebie na górę i otworzyła drzwi szafki, w której stał mały kolorowy telewizor. Drugi telewizor, czarno-biały, znajdował się w pokoju Horsta, on go jednak prawie nigdy nie włączał. Dla starego obrazki na ekranie zmieniały się zbyt szybko, za prędko mówili ludzie, rzadko pojmował, co się takiego im przydarzało. Nawykł do spokojnej mowy jeziora i lasu. Weronika kiedyś długie godziny trawiła przed telewizorem, ale to było jeszcze przed zamążpójściem. Od powrotu do Horsta - nie włączyła go ani razu. Czuła obawę, że włączy telewizor właśnie w chwili, gdy jakaś kobieta na ekranie będzie wyjękiwać błogą radość w ramionach mężczyzny. Lecz w tej chwili właśnie pragnęła coś takiego zobaczyć i spróbować przeniknąć tajemnicę miłosnej rozkoszy. To przecież nie mogła być prawda, że las zabrał jej duszę. Nie mogło tak być, skoro czuła w sobie potrzebę miłości. Podsunęła sobie fotel, na ekranie trwało sprawozdanie z jakiejś uroczystości, zdrzemnęła się zmęczona nocnym czuwaniem i krążeniem koło szopy, gdzie leżał w trumnie Horst Sobota.

Obudziła się na skraju nocy. W domu wciąż zalegała cisza, za oknami głośno huczał las, jak gdyby dopiero teraz dotarła do niego świadomość klęski. Zgasła telewizor i zbiegła do kuchni. Jakiś czas czekała tam, aż pojawi się na kolację stary Horst albo Maryn. Drzemka w fotelu nie przyniosła wypoczynku, dlatego w końcu przygotowała kanapki z mięsem i na ogromnym półmisku pozostawiła je na kuchennym stole. Potem znowu poszła na górę, rozebrała się i położyła do łóżka. Wydawało się jej, że zaraz zaśnie, ukołysana grzmotem leśnych drzew. Tymczasem zamiast snu pojawił się niepokój.

Czego się obawiała? Co płoszyło jej sen?

Przymknęła powieki, a wówczas - wraz z pomrukiem wielkiego lasu - pojawił się w jej wyobraźni obraz (z początku zamglony, potem coraz wyraźniejszy), że o świcie Horst wsiada do autobusu i jedzie do miasta z kieszeniami wypchanymi pieniędzmi. Zastanawiała się, czy trudno mu będzie znaleźć kobietę, która - podobnie jak Maryn - pragnęła miłości. Nie, to nie mogło być trudne. Bardzo wiele kobiet (mówiły o tym książki, pokazywała je telewizja) marzyło o miłości wielkiej i prawdziwej. Co to znaczyło, że miłość ta miała być wielka? Horst Sobota weźmie ze sobą dużo pieniędzy, wystarczy ich na miłość naprawdę wielką. Czy będzie prawdziwa? Nikt chyba nie wie, jak wygląda miłość prawdziwa, więc każda miłość może się wydawać prawdziwa. Tylko że Maryn pochodzi z innego świata i na pewno zdołał poznać różne smaki miłości. Jego nie będzie łatwo oszukać.

Jak zrozumieć mężczyznę? Kulesza też jej mówił, że szuka miłości wielkiej i prawdziwej, a skończyło się na tym, że przyszedł do niej z nabrzmiałym żyłami prąciem i zadawał jej ból. Co noc kładł się na niej i poruszał godzinami, bo jak się usprawiedliwiał - kochał swoją żonę. Koleżanki opowiadały jej, że niektóre kobiety znają rozmaite sztuczki, którymi brzydzą się inne, i tymi sztuczkami rozbudzają miłość mężczyzny. Dziewczyna z Gaud była zbyt młoda i chyba nie aż tak doświadczona, stąd Maryn nie chciał jej po raz drugi. Z tą nową jednak może stać się

inaczej...

Pomasowała dłońmi swoje piersi, przesunęła palcami po brzuchu i udach. Tytu mężczyzny się za nią oglądało na ulicach, tytu jej mówiło, że jest piękna, w tytu męskich oczach widziała wstrętne pożądanie. Kulesza zapewniał ją, że wystarczy mu spojrzeć na jej pośladki albo obnażone uda, a zaraz budzi się w nim pragnienie miłości. Tylko że jej zależało na innej miłości. Właśnie, na jakiej? Czy Maryn też nie szukał miłości wielkiej i prawdziwej, choć przecież wspominał, że ona nie istnieje, ponieważ kochać trzeba istotę żywą, a nie obraz czy figurę z marmuru. Leśniakowa twierdziła, że Weronice potrzebny jest mężczyzna duży i ciężki. To nieprawda. Nie zależało jej na tym, aby Kulesza był duży i ciężki, po prostu w pewnej chwili poczuła wstręt do jego ciała owłosionego nawet na plecach. Maryn był gładki jak wąż. Ciekawe, czy dałby się pogłaskać po swojej bezwłosej skórze i czy to przypominałoby głaskanie dziecka? Tak czy siak, jutro lub pojutrze Horst przywiezie z miasta jakąś kobietę, która będzie się panoszyć po całym domu, leżeć w łóżku z Marynem, dotykać jego ciała. I to była myśl, która budziła jej największy niepokój. A poza tym chyba coś jeszcze. Przecież jeśli Horst widział w Józwie kogoś, kto zamieszkał u niego, aby walczyć z lasem, i przez to Maryn stał się jak gdyby własnością Horsta, częścią jego domu i sadu, to czy tym samym nie był Maryn także po trosze własnością Weroniki? I dlaczego miałyby oddać obcej kobiecie swoją własność?

A gdyby tak to ona, Weronika, oddała się Marynowi? Tak po prostu zeszła na dół i położyła mu się w łóżku. Przecież nawet nie musiałaby mu powiedzieć: "Masz mnie, zaspokój swoje pragnienie miłości, zakaż Hprstowi przywozić obcą kobietę". Maryn to zrozumie bez zbędnych słów, nie zechce innej, skoro otrzyma Weronikę. Co ona straci, a co zyska? Dozna chwili bólu jak wtedy, gdy wchodził w nią Kulesza, a potem będzie leżała, czując, jak się w niej Maryn porusza. Może nie będzie tego czynił aż tak długo? Przeżyje to, bo przecież przeżyła tyle strasznych nocy z Kuleszą. Później zaś będzie spokojnie leżeć obok Józwy, dotykać jego bezwłosej skóry i może zaśnie, wdychając kwaśny zapach męskiego potu. "Pot Józwy ma woń kory dębowej" - stwierdziła i nie wiadomo dlaczego zaraz przyszła następna myśl, że stał się on także częścią lasu.

I oto nagle była gotowa, aby zejść na dół i położyć się obok Józwy. Wstrzymał ją jednak strach przed bólem i wstręt do sterczącego prącia. Strach ten jednak i wstręt miał w sobie podobieństwo do uczucia, które poznała, gdy oglądała fotografie zmasakrowanych twarzy kłusowników. Jej serce zaczęło szybciej bić i w podbrzuszu odezwało się pulsujące podniecenie. Po omacku sięgnęła ręką do stolika, namacała butelkę z perfumami, które kupił jej Maryn, skropiła sobie palce i tymi pachnącymi palcami natarła skórę na szyi i piersiach. Józwa chyba lubił ten zapach, skoro kupił dla niej w mieście właśnie te, a nie inne perfumy. Chciała stać się dla niego kobietą podobną do tych, które otaczały go w tajemnym świecie, z jakiego przybyła tu jego była żona Eryka. Ją także otaczała subtelna woń perfum, zupełnie odmiennych od perfum kelnerki z Gaud. Może dlatego Maryn nie chciał więcej tej dziewczyny, ponieważ pachniała inaczej niż Eryka? Maryn czekał na miłość wielką i prawdziwą. Weronika też pragnęła właśnie takiej miłości.

Kto wie, czy nie przydarzy im się cud narodzin owej miłości, właśnie tutaj, w domu

Horsta, tej nocy? Czy wolno przepuścić taką szansę?

Wstała z łóżka, na gołe ciało narzuciła szlafrok, rozpuściła włosy i bosą, bezszelestnie zeszła na dół. Tak samo cicho otworzyła drzwi do pokoju Maryna i na chwilę zatrzymała się koło drzwi. W pokoju było ciemno. Mimo wszechobecnego pomruku lasu usłyszała jednak równy oddech śpiącego na łóżku mężczyzny. Chciała, aby zbudziło go dopiero ciepło jej nagiego ciała. Tylko że on był jak dzikie, zawsze czujne zwierzę lub jak wielki las, który nigdy naprawdę nie spał. Raptem jak gdyby przestał oddychać, a potem, gdy poczuł chyba zapach jej perfum i już wiedział, kto do niego przyszedł, padło pytanie:

- Czego chcesz ode mnie, Weroniko?

Miała w myślach odpowiedź: "Daj mi miłość wielką i prawdziwą". Lecz zacisnęła usta i podeszła w ciemnościach do łóżka. Zrzuciła z siebie szlafrok. Naga wsunęła się pod kołdrę. On też był nagi, poczuła przy swoim ramieniu i biodrze ciepło jego gołej skóry. Leżeli tak obok siebie nieruchomi, być może onieśmieleni swoją obecnością. Jak długo to trwało? Minutę? Godzinę? Nagle uświadomiła sobie, że jego ciało stało się chłodne. Aż dreszcz ją przeszedł. Leżała na plecach tak jak on i nie wiedziała, co powinna robić dalej. Czy czekać, aż - podobnie jak to robił Kulesza - on rzuci się na nią i przygniecie swoim ciałem. Pożałowała, że przyszła tutaj, bo już coś się w niej kurczyło ze strachu na myśl o oczekującym ją bólu. Lecz on wciąż leżał obok niej, dotykając ją swoim chłodnym udem. Może czego innego należało oczekiwać od mężczyzny, do którego kobieta sama przyszła, niż od mężczyzny, który przyszedł do kobiety, jak Kulesza? Przekręciła się więc na prawy bok i lewą dłonią pogłaskała go po twarzy.

I znowu ani się poruszył, ani nie odezwał. Wtedy jej dłoń delikatnie przesunęła się po jego zamkniętych powiekach i zatrzymała na lekko rozchylonych ustach. Opuszki palców znajdowały dziwną przyjemność w zetknięciu z jego wargami, doznała wrażenia, że podbrzusze wypełnia się jakimś rozkosznym ciężarem. Ten ciężar jak gdyby narastał i zaczynał ją rozpychać, przesunął się w dół i powodował nabrzmiewanie warg ukrytych w kroku. Wydawało się jej, że dotykając jego ust, także dotyka tamtych swoich, podobnie lekko rozchylonych i tak samo delikatnych. Zaskoczyło ją własne podniecenie, poczuła wilgoć w ustach mężczyzny i taką samą wilgoć na swoich udach. Jej palce znowu pobiegły ku górze, ku krótkim i szorstkim włosom na głowie mężczyzny. Pogłaskała je, potem przesunęła dłoń na czoło i znów na zamknięte powieki. Po szorstkich od zarostu policzkach spęzły na jego szyję, aby wreszcie spocząć na bezwłosych piersiach. Trafiła palcami na brodawce męskie piersi, pożądanie odezwało się jeszcze przenikliwiej, ciężar w podbrzuszu stał się jeszcze większy. Raptem wyobraziła sobie, że Maryn leży tak nieruchomo i z zamkniętymi oczami, ponieważ jest na wpół martwy, przepełniony bólem, może ranny. Teraz już jej palce zaczęły gorączkowo szukać na jego ciele draśnięcia lub krwawiącej rany, myszkowały po brzuchu, muskając skraj szorstkich włosów na łonie. Była wypełniona pożądaniem, co objawiało się uczuciem, że całe jej podbrzusze nabrzmiało pulsującą krwią, ale jej tego było mało, chciała się jeszcze bardziej wypełnić. Wbrew temu pragnieniu raptem przyszła myśl o ciąży, która może podobnie kobietę wypełnia, przelotnie wspomniała zimne narzędzie, którym wszedł w nią lekarz, gdy usuwała z siebie zarodek dziecka Kuleszy, i ciężar pożądania stał się odrobinę mniejszy. Lecz gładkie ciało mężczyzny skojarzyło się jej z nagim niemowlęciem, które zapragnęła tulić, pieścić, karmić.

Uniosła się lekko na prawym łokciu, aby swoją pierś podać ustom tego dziecka, niespodziewanie jednak jej palce trafiły na gorący, twardy, sterczący mocno członek. Natychmiast poczuła ból w kroczu i aż zacisnęła krtań, gdyż zaczęły w niej wzbierać mdłości. Z trudem powstrzymała głośny krzyk i przerażona zeskoczyła z łóżka. Naga, płacząc stopy w porzuconym na podłodze szlafroku, wybiegła z pokoju Maryna i kurczowo chwyciła poręcz schodów. Na górze rzuciła się na tapczan i zapłakała cicho, ponieważ kochała tego mężczyznę na dole i chciała, aby i on ją pokochał. Okazało się to niemożliwe, ponieważ jak niewidzialna ściana odgradzał ją od niego strach przed bólem i odraza. Któż był winien, że nie pozna nigdy miłości wielkiej i prawdziwej? Czy to nie las ją kiedyś pohańbił i odebrał kobiecą duszę? Nienawidziła teraz lasu równie silnie jak Horst Sobota i gdy ustał jej szloch, zasłoniła dłońmi uszy, aby nie słyszeć szumu rozkołysanych wiatrem drzew.

Rozdział dwunasty

W tym samym czasie, gdy wielki odrzutowiec wznosił się na taką wysokość, że nad drzwiami salonu pasażerskiego zniknęło światło z napisem zakazującym palenia i Christopher Bullow wyciągnął z kieszeni płaską złotą papierośnicę, leśniczy Karol Stęborek zatrzymał harleya na linii oddziałowej przy uprawie. Potem nagle porzucił harleya i zgarbiony, jak gdyby rozboleł go żołądek, podbiegł do jedynej opalowanej sadzonki. Delikatnie dotknął niepokojąco czerwonych igiełek modrzewia i ujrzał, jak owe igielki sypią się na ziemię. Z cichym trzaskiem suchego drewna złamała się w palcach Stęborka również gałązka sadzonki. Nie mógł mieć żadnej wątpliwości - jedyny ocalały modrzew na jego uprawie był już także martwy. Stęborek upadł na kolana, zasłonił twarz dłońmi i chciał krzyknąć przenikliwie, lecz tylko jęk wydobył mu się z gardła. Oto stało się najgorsze: wielki las nie przyjął jego ofiary: fałszywego świadectwa przeciw Horstowi Sobocie. Las go nie pokochał i nakazał umrzeć wszystkiemu, czego się dotknął Stęborek. Można było szukać setek naukowych przyczyn wypadków na jego uprawie, po sto razy zastanawiać się, czy siedlisko zostało właściwie wybrane, zmusić kogoś do analizy gleby i zasobów jej wilgotności. Nie na wiele by się to jednak zdało, gdyż jutro przyszedłby tutaj stary Kondradt, zasadził suchy patyk, który wiosną okryłby się świeżą zielenią. Las nie chciał pokochać Stęborka, choć tak bardzo uszanował prawa lasu, że nawet stał się złym człowiekiem: sprowadził Kozusznika, aby zbudował trak w zwirowni obok domu Horsta Soboty, a potem wydał fałszywe świadectwo przeciw bliźnieniu. Zło, jakie czynił dla lasu, obracało się przeciw Stęborkowi. Oto teraz ów tartak przez cały dzień pracował obok domu Stęborka, ostrze traka cięło ogromne dłużyce, wydobywając z nich przenikliwy aż do bólu pod czaszką głos udręczonego drewna. Bała się tego pisku Malwina i przez całe dni przesiadywała w kuchni, gdzie zgrzyt słyszało się najłabiej. Na podwórko leśniczówki wiatr niósł lekki pył trocin, pokrywał nim szyby w domu, żdźbła trawy, osiadał na wargach, gdy się stało na ganku przed domem. Następnie - napisał Stęborek fałszywe świadectwo przeciw Sobocie, ponieważ las od dawna sięgał niewidzialną ręką po dom i sad starego Horsta. Ale zjawił się ten dziwny człowiek na koniu, człowiek z zimnymi oczami, człowiek-wilk, jak go nazywali robotnicy leśni, i dał świadectwo prawdzie. A Stęborkowi usechł ostatni modrzew. Wczoraj gajowy Wzdrenga powiedział Stęborkowi, że strażnik łowiecki nagle zniknął z lasu tak samo tajemniczo, jak się w nim pojawił, pozostawiając w stajni Soboty swoją izabelowatą klacz, siodło i pejcz. Nie odżyła jednak w Stęborku nadzieja, że znowu jakimś złym sposobem, fałszywym świadectwem lub podstępem zdoła zagarnąć dom i sad starego Horsta. W tej chwili był skłonny niemal uwierzyć Wzdredze, że strażnik łowiecki nie zniknął tak naprawdę, zmienił jedynie postać i nocami w skórze wilka gna bezszelestnie po ścieżkach i drożynach wielkiego lasu. Opowiadano, że Budrys i Karaś późną nocą, gdy dom Horsta był pogrążony w śnie głębokim, chcieli się przez okno dostać do pokoju, gdzie mieszkał nie tak dawno człowiek o nazwisku Józef Maryn, aby zabrać pozostawione być może przez niego jakieś straszne fotografie. Przeskoczyli płot, zakradli się pod okno, kiedy raptem z ciemności nocnych wyskoczył dziki wilk. W zupełnym milczeniu, jak to zwykły czynić dzikie zwierzęta, rzucił się Budrysowi do gardła. Uszedł Budrys z życiem i uszedł z żydem Karaś, ale z poszarpaną odzieżą i poranionymi ramionami. "To był pies Ivo" - powiedział do Wzdrengi leśniczy Stęborek. Kiwnął głową Wzdrenga, że się zgadza z taką oceną wydarzenia, obydwaj

jednak, tak dla siebie i na swój użytek, pomyśleli, że jeśli nawet to był tylko pies wytresowany do pilnowania sadu przed leśnymi ludźmi, to przecież ten, co go tresował, mógł mu przekazać coś z siebie. Czyli on sam zniknął gdzieś tajemniczo, choć zarazem pozostał i dalej czuwał nad bezpieczeństwem starego Horsta i jego domu. Tak więc stało się jasne, że nikt nie uwolni się od przyjaźni ze strażnikiem łowieckim, jeśli w sieci tej przyjaźni został zaplątany. Dlatego nikt nie zaczynał na nowo kłusować, mimo że nie stało już strażnika łowieckiego, gdzieś tam bowiem istniały jakieś świadectwa przestępstwa i ktoś pozostał ich opiekunem.

Stęborek podniósł się z klęczek i odetchnął głęboko. Dla turystów, którzy zatrzymywali samochody na poboczach szosy biegnącej przez las, jeszcze trwało lato. Ale leśni ludzie już widzieli początki jesieni - ociążałe od orzechów leszczyny oraz ciemniejszą zieleń buków. Żółtawe stawały się końce trawy na liniach działowych, czerniały jeżyny i czerwieniały owoce jarzębiny. Stare pieńki na uprawach pokryły się grzybami, przestało kwitnąć leśne runo i tylko bluszcz zaczynał mieć kwiaty. Na dębach wisiały żółędzie, owocowały jawory i klony. Na sosnach z wolna otwierały się szyszki i z cichym szelestem opadały na ziemię ich drobne nasiona. Słońce jeszcze świeciło upalnie, las jednak oddychał zgniłą wonią zbliżającej się śmierci listowia.

Patrząc na ogromną połać uprawy widział Stęborek, że wyginęły nie tylko modrzewie, ale uschły też młocie sosenki, buki, świerki i dęby. Ile z tych, co pozostało, przetrzyma zimę i odżyje na wiosnę? Przynajmniej na połowie uprawy trzeba będzie na nowo sadzić młode drzewa. I co uczynić, aby tym, co jeszcze żyją, dodać jakiejś tajemnej siły, zdolnej ochronić je przed mrozem oraz zimową wichurą. Jakiej to ofiary żądał od niego las w zamian za życie młodych roślin? Czemu upodobał sobie leśniczego Kondradta, zabójcę kochanka swojej żony, a nie pokochał leśniczego Stęborka?

Raptem poczuł Stęborek w swoim sercu jak gdyby straszny chłód. A jeśli wielki las jest zazdrosny o jego żonę Malwinę? Nie przyjmuje od niego żadnej ofiary, gdyż zamiast miłością do lasu on żyje miłością do Malwiny. Zamiast pieczołowicie hodować modrzewie, on w swoim domu hoduje kobietę podobną do rośliny? Czas, jaki poświęca leśnym drzewom, wydaje mu się czasem skradzionym Malwinie, wciąż więc oszukuje las, który się jednak oszukać nie da. Las nie może mu też odebrać duszy, gdyż już dawno duszę mu odebrała Malwina. To ją podlewa swoją spermą, chucha na nią i dmucha, opyla od kurzu, zasłania przed słońcem, chroni przed wiatrem i mroźnym oddechem zimy. Nie, to niemożliwe. Las nie był żywą istotą zdolną kochać i nienawidzić albo po prostu nie lubić. Bajania szalonych leśników i Horsta Soboty nie znącą umysłu Stęborka. Nie pozwoli choćby najmniejszej części swej duszy odebrać Malwinie i zanieść jej do lasu. Niech raczej schną jego uprawy, niechaj będzie złym leśniczym i opuści przeklęty las, zabierając ze sobą Malwinę. A dokąd pójdą? Do innego lasu?

Po drugiej stronie uprawy stał wysoki starodrzew sosnowy, który od kilku lat żywicowano. Zerwał się wiatr tak delikatny, że Stęborek nawet nie poczuł na twarzy jego podmuchu, tylko leciutko zakołysały się korony wysokich sosen i usłyszał ich szept. Tak, teraz był pewien, że las umie mówić i on już rozumie mowę lasu, jak znał ją podobno stary Horst Sobota, nadleśniczy Masłocha i wielu innych leśnych ludzi. Las żądał od Stęborka, aby swoją miłość równo podzielił między niego i Malwinę... Uruchomił silnik harleya i pojechał prosto do domu. Z

zaciśniętymi zębami udawał, że nie słyszy zgrzytu traka z baraku zbudowanego tuż koło jego domu. Udawał, że nie widzi zwalonych na polu dębowych i modrzewiowych dłuźyc, nie czuje zapachu żywicy, którą krwawiły świeże deski ułożone w wysokie stosy. To on sam sprowadził tu Kozusznika i uczynił ogromne zło, które teraz sam będzie musiał zwalczyć. Ale to było zadanie na później. Las nie chciał tartaku tuż obok swojego skraju, nie chciał słyszeć zgrzytu traka, nie chciał wachać żywicznej krwi desek, podobnie jak nie chciał, aby Stęborek wyłącznie kochał Malwinę.

Zatrzymał harleya na podwórku i wszedł do mieszkania. Malwinę zastał w kuchni. Była jeszcze w szlafroku, rozespana i poziewająca. Nakarmiła już dziecko i oświadczyła mężowi, że po tym, co zrobiła, czuje się bardzo zmęczona. Skoro Stęborek przyjechał z lasu, to może zajmie się dzieckiem, a ona znowu położy się spać.

- Nie - rzekł twardo Stęborek i kazał Malwinie wciągnąć na siebie majtki, bluzkę, spódnice, dziecko ubrać w śpioszki. - Zabiorę was do lasu - dodał twardo, tak że Malwina, która nigdy nie słyszała takiego tonu, aż się przeraziła. - Trzeba nam do lasu. Tobie, mnie i dziecku - niewyraźnie mrucał Stęborek, stojąc nieruchomo przy oknie i patrząc na ścianę lasu tuż za piaszczystą drogą. - Musisz zaczerpnąć świeżego powietrza.

Jazgotliwie zawył trak z drugiej strony domu i mimo zamkniętego okna ten dźwięk nieprzyjemnie dotknął Stęborka.

- Trociny i drzewny pył okryją nasze serca i dusze - dodał.

Było coś w głosie męża, że Malwina nie zaprotestowała. Posłusznie zrzuciła z siebie szlafrok, wciągnęła majtki, z trudem upchała obwisłe po dziecku piersi w trochę za skąpy biustonosz. Stęborek widział przez szyby pnie drzew leśnych, lecz zarazem w szybie jak w lustrze odbijała się postać Malwiny i jej spłaszczone piersi. Ożenił się z inną kobietą, tamta miała sterczące dwa strome wzgórki z małymi kopułkami brodawek. "Ona mnie z czegoś okradła" - pomyślał.

Zasunęła zamek kloszowej spódniczki, zapięła guziki bluzki. Potem, gdy ubrała dzieciaka w śpioszki, owinęła kocykiem i wzięła na ręce, wyprowadził ich na podwórze. Uruchomił silnik harleya. Malwina z dzieckiem jak zwykle usiadła za jego plecami. Wyjechał wolno i od razu skręcił w boczną drogę, prowadzącą w kierunku jego uprawy. Zatrzymał harleya za uprawą, na małej polance, gdzie rósł stary dąb szypułkowy, gubiący teraz żołądźcie. Polankę osłaniały krzaki jeżyn, zaglądało tu słońce i głośno bzyczały muchy na porowatym pniu.

W skąpej trawie wydeptały ścieżkę mrówki i wędrowały po niej bez przerwy, w tę i z powrotem, ku niedalekiemu mrowisku.

Dziecko zasnęło podczas jazdy i Stęborek odebrał je Malwinie. Odnalazł spojrzeniem miejsce zacienione, dalekie od ścieżki mrówek. Owinięte w kocyk położył w malutkim wgłębieniu ziemi. Potem rozejrzał się uważnie dookoła i oddech przytęił, słuchając, czy skądś nie dobiega trzask łamanych gałązek. Usłyszał jedynie daleki szept starodrzewu i stanowcze żądanie lasu.

- Podnieś kieckę i ściągnij majtki - rzekł do Malwiny, nie patrząc na nią, tylko gdzieś w bok, w stronę uprawy.

- Co ty? Karol? Tutaj? Teraz? Boję się ludzi. Ktoś nas zobaczy - pisnęła, bo chyba nie umiała krzyczeć. Nigdy nie potrafiła wydobyć z krtani donośniejszego głosu. Nawet kiedy rodziła w szpitalu, lekarz powiedział: "Czy to jakąś kotkę przywieźli nam na porodówkę?"

- Tu nie ma nikogo. Ani człowieka, ani zwierzęcia. Ściągaj majtki - powtórzył.

- Ale jest las, Karolu. Dookoła rośnie las. Lasu też się boję - pisk był donośniejszy i zabolął Stęborka jak zgrzyt traka.

- Muszę dać nasienie tej uprawie. Takie są nasze leśne prawa - wyjaśnił, wciąż czujnie rozglądając się na wszystkie strony. Obawa, że ktoś może ich w lesie podpatrzeć, opór Malwiny i niezwykłość sytuacji, w jakiej miał zobaczyć obnażoną żonę, podnieciły Stęborka. Poczł, że pragnie ją mieć teraz, tutaj, na tej polanie.

- Podnieś kieckę i ściągnij majtki - warknął przelykając ślinę, gdyż w ustach zrobiło mu się bardzo sucho.

Już nie myślał w tej chwili o tym, że przyszedł tutaj, aby podzielić z lasem swoją miłość do Malwiny. Odrzucił od siebie głupie przesady leśników. Potwierdzały się w nim naukowe poglądy, które posiadał na studiach. Wszak było prawdą, że ludzie kiedyś żyli w lasach, kochali się w nich i rozmnażali, nie czując wstydu przed jego szumem i jego obecnością. To dopiero potem zamknęli się w domach, wleźli pod pierzyny i tylko czasami dawali upust swojej prawdziwej naturze, zaciągając baby i dziewczyny do młodników. Weźmie Malwinę na oczach lasu, bo takie są stare prawa leśne i ludzkie.

Malwina tak była oszołomiona tym, czego od niej oczekiwał mąż, że oprócz pisku nie potrafiła zdobyć się na gwałtowniejszy protest. Przynaglana jego rozkazami, prawą ręką zadarła spódniczkę aż po pępek, lewą ściągnęła z brzucha majtki i opuściła je do połowy ud. Stała tak w słońcu na leśnej polanie obok grubego dębu, jej śniada cera poszarzała ze strachu, w oczach pokazały się łzy.

Karol Stęborek odwrócił twarz od uprawy i spojrzał na żonę, aby nasycić wzrok nagością jej najintymniejszych miejsc. Ujrzał trochę obwisły brzuch z sinymi rozstępami po ciąży, kłębowisko czarnych włosów zarastających łono aż po pępek, chude uda i pałakowate nogi. Zaskoczyła go szarość jej twarzy, skrzywione do płaczu wąskie usta, łzy w oczach. Poczł się niktzemnie, a nawet obudził się w nim wstręt do tego, co chciał zrobić ze swoją żoną. Czyżby oszalał? Poddał się zwariowanej gadanie leśnych ludzi? On - człowiek światły - wyprowadził żonę do lasu, aby obok uprawy mieć z nią stosunek jak z jakąś wiejską-dziwką? Las nie był żywą istotą, stanowił jedynie zbiorowisko drzew, żywych, a zarazem martwych, ponieważ nie miały systemu nerwowego, nie mogły odczuwać bólu ani strachu, ani miłości, ani nienawiści.

Upokorzenie kazało mu paść na kolana przed Malwiną, która wciąż stała w słońcu obok pnia dębu, z zadartą do góry spódnicą. Poczł w sobie chęć do płaczu. Objął dłońmi uda

Malwiny, przytulił twarz do jej zwiotczalego brzucha.

- Ja zwariowałem - wyszeptał. - Na chwilę zwariowałem, Malwino. To przez ten przeklęty las, głupie gadanie szalonych ludzi. Chciałem z lasem podzielić się moją miłością do ciebie.

Malwina wydawała mu się teraz tak bezbronna i słaba, zdana na jego łaskę jak malutka roślinka na uprawie. Opiekował się nią, uzależnił od siebie, osadził ją w domu jak pelargonię w doniczce, sprawił, że jej piersi stały się obwisłe, a brzuch brzydki, i oto teraz miał się okazać jak leśne prostaki, które wykorzystują kobiety, aby im gotowały, prały, grzały łóżko i dawały przyjemność? Cóż z tego, że czyniły wszystko z pomrukiem zadowolenia. Malwina była inna, wyjątkowa, miała głęboko ukryte życie wewnętrzne. Nie chciał go poranić albo jeszcze gorzej - pohańbić. Nie będzie jak Kulesza, który wziął siłą swoją żonę, Weronikę, i dlatego od niego odeszła.

Opanował wzruszenie. Pomógł jej się ubrać, położył na jej rękach śpiące dziecko i zapuścił silnik harleya. I znowu jechał przez las, ale już szybciej, gdyż chciał wydostać się na wolną od drzew przestrzeń, między pola i domy. Wydawało mu się, że uratował w sobie dumę i honor. Malwina jednak obejmując udami Stęborka pomyślała, że gdyby na miejscu Karola był brodaty Łukta, rzuciłby ją brutalnie na polanę pod dębem, przykrył usta wielką i śmierdzącą papierosami brodą, wypełnił łono czymś grubym i długim. Przez chwilę na polanie Karol był dla niej właśnie owym straszliwym Łukta, bała się go i mocno pragnęła. Krzywiła usta do płaczu i naprawdę miała łzy w oczach, lecz mężczyzna powinien wiedzieć, czego kobieta pragnie w największej skrytości. Słyszała od Karola o tym, jak to Kulesza wraz z innymi leśnikami wziął na oczach innych własną żonę, Weronikę. Na twarzy Malwiny ujrzał wtedy Stęborek i wstręt, i przerażenie, że ktoś tak się mógł obejść ze swoją żoną. Ale potem, kiedy Karol pojechał do lasu i Malwina położyła się do łóżka, wyobraziła sobie gwałconą Weronikę, a raczej siebie jako Weronikę: trzymał ją Łukta, a Karol w nią wchodził, podnieconemu Łukcie ślina ciekła na śmierdzącą brodę. I nawet śniło się jej to kilka razy, budziła się podniecona i zachęcała Karola, aby ją brał. Trochę podobnie mogło być na tej polanie pod dębem. Żal, że się tak nie stało. Może tam, na tej polanie poczęłoby się ich drugie dziecko? Nie zdradzi tego nigdy Karolowi, ponieważ nawet nie ma pewności, czy właśnie tego w ogóle pragnęła, a co najwyżej mogło to być marzeniem, które nie chcemy, aby się spełniło.

O północy Karol Stęborek upewnił się, że Malwina i dziecko śpią twardo. Ostrożnie wysunął się spod kołdry, narzucił na piżamę zieloną leśną pelerynę z kapturem, na bosaka wyszedł na podwórko i tam na jakiś czas znieruchomiał, usiłując przeniknąć wzrokiem ciemność bezksiężycowej nocy. Powietrze było ciepłe, parne, zapewne nad ranem miał spaść deszcz. Nie czuło się najmniejszego powiewu wiatru, po drugiej stronie drogi las milczał, jak gdyby nie istniał. Harley stał pod stodołą, Karol zbliżył się do niego w ciemnościach, po omacku odnalazł litrową butelkę, którą tam pozostawił z wieczora, następnie cienki plastikowy wąż dostarczający benzynę do gaźnika włożył do butelki i odkręcił kurek z paliwem. Butelka stawała się coraz cięższa i cięższa. W końcu zamknął dopływ benzyny, umieścił wężyk na dawnym miejscu, a sam bosko i bezszelestnie przelazł przez dziurę w ogrodzeniu i po kłującej trawie poszedł w kierunku tartaku. Oczy już przywykły do ciemności, wyciągnięta do przodu dłoń trafiła na ścianę z desek. Najpierw skierował się do umieszczonej na ścianie tartaku szafki z

elektryczną tablicą rozdzielczą, chlusnął na nią benzyną, odrzucił butelkę i starannie wytarł dłoń w pelerynę.

Las był głuchy i niemy, milczał też zgrzytliwy zawsze trak ukryty w tartaku. Stęborek tylko na chwilę zawahał się, potem poczuł w sobie ogromną moc. Czy nie dowiódł dziś w lesie, na polanie koło dębu, że Malwina droższa jest mu nad wszystko na świecie, nawet nad miłość do lasu? Nie podzieli się z lasem swoją miłością do Malwiny, jeszcze raz spróbuje mu jednak ofiarować wielkie zło. Pomysł z tartakiem w starej zwirowni, fałszywe świadectwo przeciw bliźniemu - tym można było rzeczywiście wzgardzić. Ale to, co uczyni za chwilę, będzie wielkie i las musi to przyjąć. Zresztą co mu po lesie? Malwina nie znosi zgrzytu traka i trocin, które prószy wiatr na ich drzewa w ogródku, na ich podwórko, la ich dziecko uśpione w wózek pod śliwą. Tak naprawdę to przecież on, Stęborek, zbudował ten tartak i on ma prawo go zniszczyć.

Potał zapałkę i rzucił ją na oblaną benzyną tablicę rozdzielczą. Benzyny nie było zbyt wiele, więc nie od razu zajął się cały tartak. Gdy czerwona łuna rozjaśniła okno w sypialni, on znowu leżał w łóżku i Malwina zaczęła nim potrząsać, aby się obudził, choć wcale nie spał.

- To tartak. Zapalił się tartak - powiedział Stęborek wyskakując z łóżka. Zdziwiła się Malwina, że tak od razu wiedział, co się pali, skoro tylko czerwona łuna rozlewała się za oknem.

Stęborek wzięł drewniaki, narzucił stary płaszcz i wybiegł na podwórze. Ze stojaka zdjął bosak i pobiegł do pożaru.

Był pierwszym, który znalazł się przy płonącym tartaku. Dopiero po kilku minutach nadbiegł brodaty Łukta - tylko w kalesonach i podkoszulku, a jeszcze później kilkunastu drwali z osady leśnej. Wreszcie odrapanym samochodem osobowym przyjechał Kożusznik. Zaraz po nim przybył ze wsi wóz Ochotniczej Straży Pożarnej, zaczęto rozwijać wąż, ale w pobliżu nie było nawet kałuży z wodą, więc tylko bombardowano tartak pianą gaśniczą.

Tartak płonął powoli. Czerwonozłote płomienie najpierw objęły ścianę z instalacją elektryczną, potem liznęły dach nad trakiem. Zdumiał się Łukta, że Stęborek zamiast chwycić ze stojaka przeciwpożarowego gaśnicę pianową albo otworzywszy skrzynię z piaskiem rzucać szpadlem piach na dopiero co objęte płomieniem ściany z desek - biegał wokół ognia, wymachując bosakiem jak halabardą. Bełkotał przy tym jakieś niezrozumiałe słowa, krzyczał coś do siebie. Jak gdyby jakiś taniec zaczął odbywać z bosakiem w rękach, to przykucał i z nagłą wyskakiwał, dziobiąc ostrym końcem w płonącą ścianę, to znów czynił kilka kroków wstecz i z wystawionym do przodu bosakiem szarżował na ogień. Później zaczął wymachiwać bosakiem, bił nim w trzaskające od ognia dachówki. Widzieli ludzie i strażacy jakieś dziwne piruety Stęborka, gdy kręcił się jak wrzeciono, to znów bosakiem walił o belki nawet tam, gdzie jeszcze ognia nie było. Zdawało się, że odczuwa ogromną potrzebę, aby bić ten tartak, walić gdzie popadło, aż go musiano odsunąć od ognia, żeby nie przeszkadzał strażakom. Strasznie przy tym wyglądał, twarz miał osmaloną dymem i w blasku ognia widać było jedynie białka oczu, którymi groźnie przewracał. A kiedy mu odebrano bosak, usiadł ciężko na ziemi, z gardła wydobywał mu się świst oddechu, charczenie, a nawet skowyt jak u psa.

W bezwietrznym powietrzu ogień szedł wysoko w górę, jeszcze wyżej szybowały iskry - złote, czerwone, żółte. Na polach i w pobliskim lesie zaległa cisza, tym donośniejszy wydawał się trzask palących się krokwi i desek, palba pękających od żaru dachówek. Wiele widziano pożarów, zawsze słyszano coś jak skargę palącego się budynku, porykiwanie bydła, szczekanie psów, płacz kobiety. Tymczasem tartak płonął bez żadnej skargi i gdyby nie ów trzask trawionych przez ogień belek i desek, można by rzec - że płonął z godnością i majestatem.

...W tym samym czasie Kristopher Bullow, pędząc skradzionym samochodem po autostradzie - także zobaczył rozlewającą się na horyzoncie łunę światła wielkiego miasta. Przypominała szalejący gdzieś daleko pożar, ale to był odblask tysiąca światła ulicznych, neonów, oświetlonych okien, latarni na skwerach i wzdłuż ulic. Autostrada nagle wpadła w las. Światła reflektorów zaczęły ślizgać się po pniach drzew, daleka łuna jak gdyby przygasła, bliskość lasu zaś dodała Bullowowi odwagi. Wiedział już przecież, czym jest las, w jego wnętrzu setki razy ledwo dostrzegalnymi drózkami przemierzał mrok na swojej izabelowatej kłaczce. To dziwne, że kiedyś czuł się w lesie jak za kratami więzienia, nienawidził mrocznych gąszczy i ta nienawiść połączyła go z Horstem Sobotą. Lecz las nie odwzajemnił jego niechęci, a nawet uczynił coś dziwnego. W przejmującym zapachu drzew i mchów Bullow upewnił się ostatecznie, że człowiek ma jednak prawo kogoś lubić. Przestał się zachwycać sobą jako bezdusznym precyzyjnym mechanizmem, odkrył własne, zupełnie mu dotąd nie znane potrzeby i marzenia. Być może las, o którym mówiono, że odbiera ludziom dusze, jemu jednemu ją oddał, ponieważ przyszedł do niego z pustką w sercu. I być może było winą tych kilku miesięcy spędzonych w lesie, że teraz - pędząc autostradą w skradzionym samochodzie - pozostał jednak Józefem Marynem, który się bardzo boi, podczas gdy Kristopher Bullow nie odczuwałby lęku, a co najwyżej, rozumiejąc, że popadł w tarapaty, cały swój umysł wyteżyłby, aby wybrnąć z sytuacji. Czy dawnemu Bullowowi przeszłoby w ogóle przez myśl, aby znalazłszy się w niebezpieczeństwie tak po prostu ukraść z ulicy samochód i rzucić się do ucieczki, choć to narażało na jeszcze większe niebezpieczeństwo? Wydawało mu się, że przyszedł do lasu wypełniony złem, ale dla jakiejś przyczyny czynił dobro, niekiedy wbrew sobie. Być może w lesie wszystko pozostawało poza dobrem i złem w pojęciu ludzkim, a więc nie tymi kategoriami powinien oceniać własne postęпки. Było bowiem faktem, że wystarczyło mu kilka dni oddychania powietrzem lasu, a zaczęło go irytować skrzypienie łóżka nad głową, mimo że dawniej pozostawał na takie sprawy zupełnie obojętny. Skąd się wzięła w nim wówczas myśl o kobietach, które szły za mężczyznami, aby choć z daleka i raz na dzień obrzucić ich miłosnym spojrzeniem? Dlaczego przeniósł się do domu starego Horsta, zamiast pozostać u leśniczego Kuleszy? Czemu on, który mógł przytoczyć dziesiątki przykładów swej niezwyklej odwagi, wracając nocą od Kuleszy, gdzie dokonywała się sprawa najzwyczajniejsza na świecie - mąż posiadał żonę bez jej zgody - odkrył w sobie jakiś rodzaj tchórzostwa? Co było przyczyną, że nie chciał po raz drugi kelnerki z Gaud, skoro tak naprawdę nie wierzył w miłość wielką i prawdziwą? Dlaczego poszedł do nadleśniczego i zmusił go do przyjaźni, jeśli miał świadomość, że prędzej czy później Horst Sobota musi przegrać w walce z siłami lasu? Jaki w ogóle sens ma sprawiedliwość oddana kościom zmarłych i jednemu staremu człowiekowi? Weronika sama przyszła do jego łóżka, aby jego ciało obsypać pieścizotami, czuł jej pożądanie, nie uczynił jednak żadnego gestu, aby okazać jej swoje pragnienie, gdyż bał się dotknąć jej okaleczonej duszy, nawet odrobinę zranić. I tak uciekła od niego z krzykiem, on jednak nie musiał się za to winić i to sprawiało mu zadowolenie. Dotąd znał przyjemność, jaką daje drobna

dobroć - kupienie komuś ulubionych perfum, zabranie na ładną wycieczkę albo na wykwinną kolację. Teraz rozumiał, że jest jeszcze głębsza dobroć, a on stanął dopiero u jej brzegu.

Las się kończył, łuna wielkiego miasta nabrała intensywniejsze! barwy, spostrzegł niebieski neon ze strzałką wskazującą zjazd do motelu "Dębowa Altana". Na zgaszonych światłach podjechał na prawie pusty parking przed motelem. W niskim budynku dla gości prawie we wszystkich oknach było ciemno, może z powodu małej frekwencji, a może z powodu późnej pory. Opuścił samochód, rozmasował kark, parę razy głęboko wciągnął w płuca wilgotne jesienne powietrze przesycone zapachem rzeki, która płynęła nie opodal.

Hans Weber, kulawy Niemiec, który pracował dla Bullowa, dla Ivo Bundera, a może także jeszcze dla kogoś innego, gdyż prędzej czy później tak być musiało, mieszkał w małym domku na zapleczu motelu. Bullow był tu wiele razy za dnia i nocą. Przemknął więc na zapleczu i zapukał do okna mieszkania Hansa. Tak jak to było umówione: cztery mocne stuknięcia, potem przerwa, i znowu cztery mocne stuknięcia w szybę.

Usłyszał pokastywanie nałogowego palacza. Drzwi się otworzyły, Hans poznał go mimo ciemności.

- Nie jestem sam - ostrzegł Bullowa i znowu się rozkaszał. Był tylko w pidżamie.

Bullow nie pytał, kto jest u niego. Jakaś dziwka czy przyjaciel. Kulejąc wrócił Weber do mieszkania, na pidżamę nałożył ciepły płaszcz, szyję okręcił szalikiem. W milczeniu poszli wyasfaltowaną alejką w kierunku rzeki.

- Musisz mnie przerzucić przez granicę - powiedział mu Bullow. - Wystarczy samochód dostawczy. Ukryjesz mnie wśród skrzynek i worków.

- Jesteś sam?

- Tak. Skradzionym samochodem.

- To wbrew zasadom. Tu nie może być nic trefnego - rozzłoszczony Weber aż parsknął śliną i znowu się rozkaszał.

- Nie mogłem inaczej. W tej chwili mój pamięciowy rysopis rozesłano już do wszystkich posterunków granicznych. Jestem skończony, rozumiesz? Nie mogę ryzykować jazdy przez granicę skradzionym samochodem.

O nic nie pytał. O takich ludziach jak Bunder czy Bullow najlepiej i najbezpieczniej było niczego nie wiedzieć. Jak długo Hans Weber pracował w ich fachu? Chyba jeszcze od czasów wojny, miał teraz co najmniej sześćdziesiąt pięć lat. Kulawa noga była pozostałością z czasów wojny. Może kiedyś źle wylądował na spadochronie?

- Najpierw musimy pozbyć się skradzionego wozu - rzekł Weber. Złość mu chyba minęła. Może pojął, że Bullow nie mógł postąpić inaczej? - Przyprowadź go tutaj. Trzydzieści metrów dalej jest skarpa i głębina. Zepchniemy wóz do rzeki. Tylko nie zapalaj świateł. Motel jest

pełen gości.

Bulłow wrócił na parking, w pięć minut później wjechał na wyasfaltowaną alejkę, gdzie czekał pokaszujący Weber. Spodobał mu się pomysł zrzucenia samochodu ze skarpy. Znał to miejsce; skarpa była rzeczywiście wysoka, w dole rzeka tworzyła głębię z ogromnym wirem. Weber był dobrym fachowcem, to oczywiste, że najpierw należało się pozbyć wozu. Nie byłoby dobrze, gdyby na parkingu motelu "Dębowa Altana" znaleziono samochód skradziony o trzysta kilometrów stąd. Co się stało z gościem, który ukradł samochód? Dlaczego właśnie tutaj zaparkował wóz? Bulłow złamał ich prawa i będąc w niebezpieczeństwie zaczął narażać innych. "Ratuj się sam" - taka była zasada. Tylko że Bulłow nie mógł się sam ratować.

Weber wsiadł na miejsce obok kierowcy i w ciemnościach przejechali jeszcze kilkadziesiąt metrów.

- Stań! - rozkazał.

Dalej była rzeka. Jeszcze dwa metry i stoczyliby się ze skarpy. Bulłow zahamował gwałtownie i rozblęśły czerwone światła stopu.

- Do diabła, wyłącz silnik i zdejmij klemę z akumulatora - znowu rozżłościł się Weber.

Wysiedli z samochodu, Bulłow podniósł maskę wozu, wyrwał klemę. Ostrożnie, żeby nie wywołać trzasku, przymknął maskę.

- Siądź za kierownicą, bo wóz może skręcić. Kiedy będziesz na krawędzi skarpy, przestanę pchać wóz i wyskoczysz - instruował go Weber.

Bulłow nie namyślając się znowu zasiadł za kierownicą. Chciał jak' najprędzej zatrzeć ślady swojej głupoty.

Było ciemno i cicho. Gdzieś z dołu dochodził jedynie szum rzeki. Dopiero kiedy przód wozu raptownie zaczął spadać ku dołowi, Bulłow pojął, że Weber nie zatrzymał samochodu na skraju skarpy, spycha go do rzeki razem z wozem. Ile metrów dzieliło brzeg skarpy od lustra wody? Cztery, a może pięć. Na tej krótkiej przestrzeni Bulłow wszystko zrozumiał i zdążył wyskoczyć, wpadając do wody tuż obok wozu. Głośny plusk wody, w którą uderzyła potężna masa żelaza, zagłuszył zupełnie plusk wpadającego do rzeki ciała ludzkiego. Bulłowa porwał silny prąd rzeki, ale wystarczyło kilkanaście mocnych ruchów rękami, aby dotknąć zarośli porastających brzeg. Tonący wolno samochód bulgotał głośno, zagłuszając trzask i szelest zarośli, wspinającego się po skarpie Bulłowa. Ślizgając się w przemoczonych butach i mokrym ubraniu, znalazł się wreszcie na górze. Weber właśnie zapalał papierosa i stojąc na skarpie przysłuchiwał się cichnącemu bulgotaniu powietrza uchodzącego z tonącego samochodu.

Zaszedł go Maryn od tyłu. Kantem dłoni uderzył w kark, a kiedy tamten upadł, kilka razy kopnął go mocno w brzuch i klatkę piersiową. Potem pochylił się nad leżącym, zrewidował kieszenie jego płaszcza, zabrał z jednej stary niemiecki pistolet, a z drugiej paczkę papierosów i zapalniczkę. Z rękawów ciekła mu woda, trzy papierosy zamokły, zanim zapalił. Leżący na

ziemi Weber zaczął pokasływać i wolno gramolić się na nogi.

- Musiałem tak zrobić... Chyba wiesz, że musiałem - mówił niewyraźnie. Wciąż męczył go kaszel.

- Daj mi suche ubranie. A jutro spróbujesz mnie przewieźć przez granicę.

Nie czuł nienawiści do tego człowieka, który przed chwilą usiłował go zabić. On, Bullow, być może postąpiłby tak samo, gdyby znalazł się w podobnej sytuacji. Nie przyjeżdża się do kogoś ni stąd, ni zowąd skradzionym samochodem.

Od niewidocznego w ciemnościach nurtu rzeki nie dochodziło już bulgotanie, samochód zatonał. Poczłapali w kierunku motelu; stary kulał jeszcze bardziej. Bolały go także uderzenia Bullowa, jego kopniaki. Bullow pomyślał, że nie musiał tak mocno bić starego, w ogóle nie musiał go bić, bo i tak, gdyby znalazł się żywy za jego plecami, stary stałby się posłuszny. To dobrze jednak, że przeszukał mu kieszenie i zabrał pistolet. Weber nigdy nie odda go w ręce policji, może jednak jeszcze raz spróbuje zabić. Z powodu Bullowa, który przyjechał tutaj skradzionym samochodem, zbyt wielu ludziom mogło grozić niebezpieczeństwo. Życie jednego człowieka za życie wielu innych - taki bywał zawsze rachunek i stary postąpił uczciwie wobec tych innych, którzy nie byli winni głupocie jednego człowieka.

- Zaczekaj - Weber zatrzymał się w pobliżu głównego budynku. - W domu mam kogoś. Wezmę z recepcji klucz do wolnego pokoju, potem przyniosę ci suche ubranie. Wypoczniesz, a jutro przejedziemy granicę.

Po kilku minutach Bullow znalazł się w pokoju z łazienką i dwoma zaślanyymi tapczanami. Dopiero teraz poczuł, że jest mu bardzo zimno, i ściągnął mokre ubranie. Wytarł się w łazience ostrym ręcznikiem i owinął kocem, który znalazł w szafie. Sprawdził pistolet starego, stwierdził, że zawiera pełny magazynek, wsunął kulę do lufy. Kiedy rozległo się ciche pukanie, stanął za szafą z pistoletem gotowym do strzału.

Stary w milczeniu położył na łóżku wytarte dżinsy i gruby czarny sweter, skarpetki i szary podniszczony płaszcz. Był prawie tego samego wzrostu co Bullow, więc te rzeczy powinny były na niego pasować. Na stoliku postawił żelazko, aby Bullow mógł wysuszyć przemoczone w kieszeni dokumenty.

Biorąc gorący prysznic raptem uświadomił sobie, że jest współwłaścicielem tego motelu. On i Ivo Bunder zlecili tylko Weberowi prowadzenie całego interesu i Ivo regularnie przekazywał Bullowowi część zysków. Bullow mógłby teraz zażądać od starego należności za kilka minionych miesięcy, ale po co? Miał dość pieniędzy, należało je tylko odprasować żelazkiem, gdyż były mokre.

Dwie godziny zajęło mu suszenie dokumentów i pieniędzy, potem, już ubrany w rzeczy starego, położył się na wznak na jednym z tapczanów i usiłował zasnąć. Potrzebny mu był wypoczynek, nie mógł jednak zasnąć. W myślach przywoływał z pamięci jakieś mało ważne sprawy, żeby rozluźnić obecne w nim napięcie nerwowe, ale wciąż, nie wiadomo dlaczego,

pojawił mu się w mózgu obraz chwili, kiedy zobaczył samochód zaparkowany przed jakimś domem i do tego nie zamknięty. Wskoczył za kierownicę, wyrwał przewody ze stacyjki, połączył je na krótko i odjechał wolno, aby nie zwrócić na siebie uwagi policjantów na skrzyżowaniach. Na przednim siedzeniu obok kierownicy leżała duża dziecięca piłka, właściciel tego wozu miał małe dziecko albo dzieci. Ucieszył go ten przedmiot, bo gdyby go przypadkowo zatrzymał policjant i zajrzał do wozu, zobaczywszy tę piłkę pomyślałby, że ma do czynienia z jakimś nobliwym obywatelem, który posiada w domu żonę, małe dzieci. Ale gdy wyjechał z miasta, ów przedmiot zaczął go irytować. Nagle przykra mu się stała myśl, że jakieś dziecko będzie rano płakać, gdyż ktoś ukradł samochód razem z jego piłką. Przerzucił piłkę na tylne siedzenie, żeby jej nie widzieć. Teraz piłka spoczęła na dnie rzeki razem z wozem. To było w stylu Józefa Maryna: litować się nad starcem, któremu chciano odebrać dom, nad kobietą, która nie mogła przyjąć w siebie mężczyzny, nad dzieckiem, któremu skradziono piłkę. Dlatego Józef Maryn nie zdołał uciec z tej piekielnej pułapki, zrobić to może wyłącznie Kristopher Bullow. I on musi być Bullowem. Tak długo, aż znajdzie się na płycie lotniska w kraju i zgłosi się do ubranego w mundur wojskowy strażnika, który przywoła oficera: "Panie poruczniku, jakiś cudzoziemiec przyleciał bez wizy". Przeklęta kolorowa piłka. Dlaczego nie może przestać myśleć o niej i ona nie pozwala mu rozluźnić napiętych nerwów?

Przyszła świta, Weber się nie zjawił. W Bullowie zaczęły kiełkować podejrzenia. Wciąż zrywał się z tapczana odchylając zapuszczone żaluzje, obserwował podjazd do motelu. Widok jednak z tego okna miał bardzo ograniczony - kawałek trawnika, kilka drzew i mały odcinek asfaltowej drogi do autostrady. W sąsiadującym z nim pokojem po lewej stronie sfyszał krzątanicę, potem jakiś mężczyzna wyniósł walizkę i chyba odjechał. Bullow pomyślał, że mógłby na wszelki wypadek przenieść się do tamtego pokoju. Stworzyłoby to jednak niebezpieczeństwo, że ktoś zauważy, jak manipuluje przy zamku. Musiał więc czekać i co chwila spoglądał na zegarek, który nie przestał chodzić mimo kąpieli w rzece. Kiedy minęła dziesiąta rano, Bullow doszedł do wniosku, że znowu zachował się jak głupiec. Należało zabić starego i wrzucić go do rzeki, potem z pistoletem w ręku wejść do jego mieszkania i tego kogoś, kto tam był, choćby i wynajętą dziwkę, zmusić do natychmiastowego wyjazdu w kierunku granicy. W motelu była półciężarówka, Weber przywoził nią produkty do motelowej restauracji. Pod workami i skrzynkami można było Bullowa przewieźć przez granicę bez większego ryzyka. Ale Bullow od początku miał pecha. Mogłoby się okazać, że dziwka u Webera nie ma prawa jazdy. Albo że nie jest to dziwka, tylko także ktoś z ich fachu, kto natychmiast Bullowa załatwi zręczniejszemu niż Weber. Tak naprawdę nie żałował, że nie zabił starego. Nigdy dotąd nie zabił człowieka, ale też nigdy dotąd nie znajdował się w takiej sytuacji. Było w tym wszystkim trochę jego winy - zaczął mieć niewłaściwe reakcje. Niepotrzebnie wybiegł frontowymi drzwiami, zamiast tyłem przez ogród. Tak zachowuje się człowiek niewinny, jak gdyby w jego sytuacji można było pozostać niewinnym. Już wsiadając do samolotu rozumiał, że musi zabić w sobie Józefa Maryna, bo spartaczy robotę. Uciekał frontowymi drzwiami, gdyż czuł się niewinny, potem zamierzał pozostać w mieście, choćby w mieszkaniu przy Square Severine, a jednak ukradł samochód, bo chciał jak najszybciej znaleźć się w kraju, gdyż jego podświadomością rządził Józef Maryn.

Dopiero koło jedenastej rano usłyszał pokastywanie starego i natychmiast zerknął ku niemu przez uchyloną żaluzję. Stary niósł w ręku plastikowe pudełko i gazetę.

- Samochód zatonał. Nie widać go. Gazety podały twój rysopis. Zdecydowałem, że najlepiej będzie, jeśli granicę spróbujemy przejechać wieczorem. Na ogół nie sprawdzają dokładnie takich jak ja, z przygranicznych moteli. Kupujemy różne rzeczy tam, gdzie taniej. Przyniosłem ci śniadanie.

Bullow poczuł głód. W plastikowym pudełku były sandwicze, stary wyjął z kieszeni płaszcz z czarną kawą.

- Samochód zatonał. To bardzo dobrze - konkludował Bullow.

- Owszem. Gdyby było widać dach, musiałbym się i ciebie pozbyć - obojętnie rzekł Weber.

- Co to znaczy: pozbyć? - Bullow przestał jeść.

Stary zrobił nieokreślony ruch ręką, który mógł wyrażać wszystko: wyjazd Bullowa albo zabicie go.

- Nie lubię takich żartów - Bullow wrócił do jedzenia.

- To nie są żarty - stary położył na stole gazetę. - Przeczytałem ją. Radzę ci, siedź tu spokojnie do wieczora. Przyniosę ci kolację i przygotuję wóz do drogi. Nie rób żadnych głupstw. Nie wychodź stąd.

Odszedł i wtedy Bullow sięgnął po gazetę. Wiadomość była na pierwszej stronie. Zabójstwo Claude'a Imberta, właściciela lombardu. Obok widniał pamięciowy portret Kristpphera Bullowa, nawet dość wiernie odtwarzający jego rysy. Nie istniała więc możliwość, aby bez pomocy Webera przedostał się przez granicę.

Najedzony, poczuł zmęczenie. Wyciągnął się na tapczanie i wkrótce pogrążył się w czujnym śnie, który pozwalał słyszeć głosy za ścianą i kroki przed motelem. Horst Sobota powiedział mu kiedyś, że tak właśnie zimą zasypia las. Wszystkie drzewa zdają się być niemal martwe, wystarczy jednak wejść w głąb lasu, w mateczniki albo bagna, aby z nagłą obsypał człowieka rozpylony śnieg z nisko rosnącej gałęzi, poraził krzyk ptaka, pochrząkiwanie dzików. Na śniegu widniało mnóstwo śladów, które mówiły, że nawet w porze zimy i mrozów w lesie trwała nieustanna krzątania. Maryn nigdy nie widział zimowego lasu, przybył tam wczesną wiosną i zniknął wczesną jesienią. Czy zobaczy kiedyś zimowy las? Czy ktoś o nim jeszcze tam myśli, pamięta go, wspomina, tęskni? Czy u żłobu stajni Horsta Soboty stoi jego izabelowata klacz, a Ivo spogląda na drogę, oczekując nadejścia człowieka, który głodem i strachem nauczył go miłości? Co się dzieje z Horstem, z jego domem i sadem, skoro stracił poczucie bezpieczeństwa? Jaką nową pułapkę szykują na niego leśni ludzie? Gdzieś tam żyła także Weronika z bujnym ciałem, które nie mogło dać jej rozkoszy. Co ją wtedy przyprowadziło do jego łóżka? Może nadzieja, że jednak kiedyś okaże się prawdziwą kobietą, coś w rodzaju wiary Maryna w miłość wielką i prawdziwą. Odwieczne oczekiwanie kalek na jakiś cudowny lek, na wymodlony cud.

Wieczorem Kristopher Bullow położył się na podłodze ciężarówki. Weber obstawił go skrzynkami i narzucił na niego puste worki.

- Celnicy mnie znają. O tej porze roku często jeżdżę przez granicę po towar - zapewnił Bullowa.

Przed północą bez żadnej kontroli przejechali granicę. Przed świtem Bullow znowu zobaczył łunę wielkiego miasta i Weber pomyślał, że są u kresu podróży. Wtedy jednak Bullow kazał mu napełnić bak i sam zasiadł za kierownicą.

- Przejdziemy jeszcze jedną granicę - poinformował starego.

- Dlaczego uważasz, że twoje sprawy są ważniejsze od moich?

- zaprotestował Weber.

- To nie ja zabiłem Claude'a Imberta - powiedział Bullow.

- Wierzysz mi?

Weber nie podjął tematu. Owinął się w palto i zasnął na siedzeniu obok kierowcy. Jakie to miało znaczenie, czy wierzył w oświadczenie Bullowa. Claude Imbert został zabity i tylko to stało się ważne. Bullow był młodszy i silniejszy, poza tym miał przy sobie pistolet Webera. To się jedynie liczyło w tej chwili.

W południe przejechali drugą granicę. Tym razem Bullow już nie krył się między pustymi skrzynkami. Był obywatelem kraju, do którego wjeżdżali, wystarczyło, że czapką pożyczoną od Webera zasłonił sobie swoje krótkie włosy. Nie ogolony, w swetrze, za kierownicą półciężarówki - nie mógł się kojarzyć z portretem pamięciowym zabójcy Claude'a Imberta, właściciela lombardu w mieście i kraju położonym o kilkaset kilometrów. O szesnastej Bullow wiedział, że zbliżają się do celu. Zatrzymał wóz przed mostem na szerokim kanale odwadniającym, powiedział do Webera "zawracaj" i dalej poszedł pieszo z rękami w kieszeniach.

Tego samego dnia, o tej samej porze Malwina podniosła się z pościeli i wzięła na ręce płaczące dziecko. Była tylko w długiej nocnej koszuli, zadygotała z chłodu, bo choć dopiero zaczęła się jesień, w mieszkaniu już należało przepalać w piecu kaflowym. Wczoraj w południe na wniosek prokuratora rejonowego dwaj milicjanci przyszli po Karola, towarzyszył im Łukta, który wykrzykiwał na całe mieszkanie, że Stęborek podpalił tartak, gdyż nie chciał go mieć przy swoim domu. Krzycząc na Karola zdawał się swoim wrzaskiem wypełniać cały dom, złorzecząc opluwał śliną brudną brodę, w pokoju czuło się smród jego oddechu. Malwina dygotała z trwogi i tuliła do siebie dziecko, Karol wzruszył ramionami i zażądał dowodu swojego przestępstwa. Ale dowody miały mu być przedstawione dopiero na posterunku w Bartach, więc on, milicjanci i brodaty Łukta wsiedli do milicyjnego samochodu i odjechali. A Malwina ugotowała dziecku jedzenie na elektrycznej maszynie, w piecu jednak nie paliła, ponieważ nigdy dotąd tego nie robiła. Spać poszła wcześniej, barykadując drzwi. Zgasiła światło i czujnie

nasłuchiwała każdego szmeru z podwórza. Słyszała tylko szum drzew i gdy podchodziła do okna, widziała jedynie skraj lasu. Milczał trak i to napawało ją radością. Spostrzegła też, że ziemia jest siedliskiem nocy, nad lasem jeszcze długo panowała jasność, a ziemię ogarnął mrok.

Dziecko nie chciało zasnąć i kołysała je na kolanach. Wreszcie ułożyła je w łóżeczku i podeszła do okna, wspominając łęki męża przed lasem. Ileż to razy jej mąż nocami zrywał się i podchodził do okna, aby popatrzeć na las, niekiedy z wielkim, chłodnym księżycem ponad drzewami. Powtórzył jej kiedyś słowa nadleśniczego, że las go nie pokochał. Dlaczego nie pokochał właśnie jej męża, a innych darzył szczęściem? Obiecywano im dom Horsta Soboty i nic z tej obietnicy nie wyniknęło. Nie dali mu plantacji nasiennej, bo miał najwięcej wypadów na swych uprawach. Las potrzebował ludzi podobnych do zwierząt. Chciał też, żeby ona obnażyła się na polanie koło dębu i żeby tam ją mąż wypełnił nasieniem. Źle zrobiła, że zaczęła się krzywić, i szkoda, że Karol nie znalazł w sobie dość siły, aby spełnić żądanie lasu. Brodaty Łukta na pewno by się nie zawahał, Łukte by las pokochał, a może kochał od dawna? Było dla niej oczywiste, że Karol podpalił tartak, ona bowiem nie chciała żyć w pobliżu jęczącego traka, z podwórkiem zasypanym pyłem trocin. Karola będą jednak musieli wypuścić z aresztu, ponieważ ona zaświadczy, że tej nocy nie wyszedł z łóżka. To nie będzie prawda - wstał, a potem poczuła od niego zapach benzyny. Ale prawda nie mogła stać się przydatna, jeśli mieli dalej żyć i mieszkać na skraju lasu.

Położyła się w końcu, ale nie spała całą noc. Bała się, że korzystając z nieobecności męża do ich domu wtargnie brodaty Łukta, przyjdzie, aby wziąć ją jako należność za spalony tartak. Jego śmierdząca broda wypełni jej usta, poczuje smród jego oddechu i nadzieje ją na wielki jak drąg członek. Kto wie, czy po czymś takim coś by się w niej nie odmieniło, przestałaby być ciągle taka zmęczona. Karol był silny, lecz chyba inną siłą niż ta, jaka tkwiła w brodatym Łukcie. Słyszała, że ktoś ją nazwał kobietą rośliną. I tak naprawdę czuła się przy Karolu jak roślina. Łukta by ją wyrwał z ziemi i dał człowieczą moc. Niechże więc wreszcie wtargnie do ich domu straszny Łukta i swoim potężnym drągiem wyrwie ją z ziemi. Oczywiście, że bała się Łukty, lecz podciągnęła koszulę i rozchyliła nogi. Położyła sobie dłoń między nogami, aby głaskaniem uspokoić łono, tak jak uspokajała płaczące dziecko. Łukta jednak nie przyszedł i rano bolała ją głowa.

W mieszkaniu było zimno, dziecko płakało i należało je nakarmić. Nie znalazła ani kropli mleka, ani kawałka chleba. Po południu ubrała się więc, na dzieciaka włożyła ciepłe ubranko, otworzyła drzwi na podwórze, wyprowadziła z szopy wózek i prowadząc ten wózek przed sobą, wyszła na drogę w kierunku osady leśnej, do sklepu. Każdy krok sprawiał jej ból. Może rzeczywiście stała się rośliną, gdyż idąc, z trudem odrywała od ziemi nogi. A najgorsza była obawa przed innymi kobietami, które spotka w sklepie. Czy któraś jej nie urazi spojrzeniem, nie dotknie, nie zerwie listka z jej ciała?

Ile zrobiła kroków pośród zamglonych jesiennych pól z brunatnymi łącinami nie wykopanych ziemniaków? Ujrzała Karola idącego ku niej od strony osady leśnej. Niósł bochenek chleba i butelkę mleka.

Pocałował ją w czoło i powiedział radośnie:

- Nie znaleźli żadnych podstaw, aby mnie oskarżyć. W końcu nawet Łukta odwołał swoje podejrzenia i przeprosił mnie za nie. Postawi nowy tartak. Kto wie, może zostanę tajnym współnikiem?

W domu bardzo zmęczona usiadła na fotelu, a on zaczął się krzątać, przygotowując dla dziecka jedzenie i paląc w kaflowym piecu.

- Wstąpiłem na uprawę i wyobraź sobie, Malwino, w prawym rogu rośnie modrzew. Nigdy go dotąd nie zauważyłem, bo okrywały go jeżyny. Tego lata nabrał sił i wyrósł ponad krzewy. To nieprawda, że wszystkie modrzewie umarły na mojej uprawie. Pokażę go nadleśniczemu. Modrzew potrzebuje ludzkiej życzliwości. Będę go codziennie odwiedzał. Malwina poczuła zazdrość.

- A ja? - zapytała. - Czy nie zaniebasz mnie z powodu modrzewia?

- W Bartach widziałem na wystawie sklepowej duży sznur czerwonych koralii. Kupię go i przystroję cię jak jarzębinę. Nie chcę, Malwino, żebyś wychodziła z domu. Kiedyś kupię samochód i będę cię woził. Postaram się też o inny dom dla nas. Napisałem list do Romanikowej, aby mi powierzyła plantację. Jeszcze dziś się z nią spotkam i omówię tę sprawę. Czy wiesz, że nocą w areszcie miałem dziwny sen. Oto przez las obok mojej uprawy jechał strażnik łowiecki na swojej izabelowatej klaczy. Uśmiechał się, a gdzie spojrzał, na mojej uprawie wyrastały młode modrzewie. Nigdy nie przedstawiłem ci tego człowieka, ale to teraz nie ma znaczenia, ponieważ on już tutaj chyba nigdy nie powróci. "Jestem szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy" - pomyślał Stęborek.

Rozdział trzynasty

Dokładnie przygotowywali go do wyjazdu. Rozmawiali z nim długo, rozważając wszystkie ewentualności, niebezpieczeństwa, zastawione pułapki. Jak wynikało z ustaleń firmy, nikt nie interesował się jego mieszkaniem przy Square Severine, nie znajdował się pod obserwacją także sklep z rowerami przy Dapperstraat. Ludzie, z którymi Bullow miał kontakt, przyczaili się po jego ucieczce, nie zauważono jednak, żeby groziło im niebezpieczeństwo. Ponad pół roku minęło od chwili, gdy Ivo Bunder oddał się w ręce policji, ale nic nie wskazywało na to, aby zdradził interes firmy, którą reprezentował Bullow. Przez te pół roku Ivo Bunder znajdował się pod opieką i nadzorem policji, obecnie - podobno - widuje się go to tu, to tam - zawsze zachowuje się bardzo ostrożnie. "Coś trzeba zrobić w tej sprawie - tłumaczyli. - Ktoś musi dotknąć pajęczyny i jeśli pajak czyha ukryty w jakimś kącie, wyskoczy po swoją ofiarę. Jeśli prawdą jest, że lubiłeś Bundera, a on lubił ciebie, to ty jesteś tym, który najmniej ryzykuje. Musisz spotkać się z Bunderem i poznać prawdę".

Znowu więc pojawiło się słowo "lubie". I tak oto pewnego dnia niejaki Kristopher Bullow otrzymał swój paszport. Kupiono mu bilet na samolot, bez kontroli granicznej przeprowadzono na nocny rejs. Powiedzieli: "Komorne za twoje mieszkanie przy Square Severine było zawsze opłacane regularnie. Wyjechałeś z chorą żoną na wypoczynek, żona jest wciąż chora, a ty powróciłeś". Czy trzeba bardziej klarownej sytuacji? Kristopher Bullow nigdy i nigdzie nie uciekał. Nie wracał też z dalekiego kraju, tylko z wypoczynku, który się nieco przedłużył. Tym samym nie istniał żaden Józef Maryn, zresztą zapewne zrobione zostało wszystko, aby powoli nawet z pamięci ludzkiej zniknęły wszelkie ślady po strażniku łowieckim. Wsiadając nocą do samolotu Kristopher Bullow był w tym samym ubraniu, w jakim uciekł, zwrócono mu każdy jego drobiazg, miał pewność, że w kieszeniach pozostały nawet resztki tytoniu z papierosów, które kiedyś palił. Być może oczyszczono mu starannie nawet trzewiki z kurzu i błota, ze wszystkiego, co nie było kurzem i błotem ze Square Severine.

Wylądował o świcie. Jakiś czas krążył po przeszklonych salach dworca lotniczego, przesiadując w poczekalniach i barach, obserwując, czy nie budzi czyjegoś zainteresowania. Znalazł wolną kabinę i kolejno wykręcił trzy numery mieszkań, które wynajmował w mieście wspólnie z Bunderem. Nikt się nie zgłaszał - zwątpił, czy o tak wczesnej porze w którymś z tych miejsc może trafić na Bundera. W tych mieszkaniach bywali zazwyczaj krótko, rzadko któryś z nich tam nocował. Może droga do Bundera w ogóle nie miała sensu. Prawdopodobnie należało go szukać w domu, w którym na podwórku jakieś dzieci ulepiły ze śniegu bałwana. Zapamiętał ulicę - ale to było zbyt ryzykowne. Jeśli Bunder tam mieszkał, istniało prawdopodobieństwo, że jest obserwowany. Należało znaleźć w książce telefonicznej numer telefonu tego mieszkania i zadzwonić. Na to jednak pozostawało jeszcze sporo czasu.

Znowu trochę pospacerował po dworcu. Wykręcił czwarty numer, to była nieduża willa w zdiczałym ogrodzie, dogodna do spotkań, gdyż miała dwa wyjścia, od frontu na cichą uliczkę i do mikroskopijnego ogrodu zamkniętego wysokim murem. Bunder sam wynalazł tę willę i za własne fundusze wynajął ją od jakiejś staruszki, ciągle przebywającej w swojej wiejskiej

posiadłości. Z Bunderem spotkał się tam Bullow chyba nie więcej niż trzy razy. Zapamiętał niewiele warte stare meble z narzuconymi pokrowcami, staroświecką łazienkę z węglowym piecykiem do grzania wody. Czy Bunder spotykał się tam z kimś jeszcze? Tak, być może z jakimiś kobietami albo z ludźmi innych firm.

Ktoś podniósł słuchawkę, ale nie odezwał się. Bullow słyszał jednak oddech tego człowieka.

- Czy to pan Feldman? - zapytał. Chwila ciszy, a potem głos Iva. Gwałtowny:

- Przyjeżdżaj natychmiast. Jesteś mi potrzebny. O Boże, co za szczęście. Natychmiast, rozumiesz?

- Tak - Bullow odwiesił słuchawkę.

Poczuł w sobie chłód. To był niepokój. Zbyt łatwo przyszło mu nawiązanie kontaktu z Bunderem. Zbyt chętnie chciał się z nim spotkać, i to natychmiast. A przecież przez lata nauczył się wzbudzać w sobie nieufność, jeśli sprawa rozwijała się zbyt łatwo. Co o tak wczesnej porze robił Ivo Bunder w tamtej willi? Spał z kobietą? Tak naprawdę niewiele wiedział o Bunderze. Kazali mu z nim współpracować - i to wszystko. Polubili się podczas wspólnej pracy - i to była druga część prawdy. Ale gdzieś przecież istniała jakaś pełna prawda o Bunderze, której mógł się jedynie domyślać. Ivo kochał pieniądze. Nie wydawał ich na narkotyki, na dziwki. Może deponował je w banku, miał rodzinę i wspaniały dom? Tacy ludzie jak Bunder nigdy nie odsłaniają żadnej swojej karty, bo grają o bardzo wysoką stawkę. "Jesteś mi potrzebny. Natychmiast" - powiedział. A potem być może zadzwoni na policję, która będzie u niego czekała na Bullowa. Bunder nie zyskał ochrony policji za darmo. Nie tknęli wprawdzie mieszkania Bullowa, lecz po co mieli to robić, skoro Bullow i Eryka zdołali uciec? Ktoś mógł przewidzieć, że wystarczy okazać trochę cierpliwości, Bullow wróci i zacznie szukać Bundera. W końcu istniała ogromna różnica między Bunderem i Bullowem. Bunder był najemnym pracownikiem, Bullow kimś więcej. Bunder domyślał się, że Bullow zwerbował dla firmy kilku ludzi i tylko on znał ich adresy, sposoby kontaktu. Ci ludzie teraz przerwali robotę i czekają na sygnał firmy. I Bullow tu przybył, aby dać im ten sygnał. Ale wprzód musi wiedzieć, na jakim świecie się znalazł, i do tego potrzebny jest mu kontakt z Bunderem. Jeśli u Bundera wpadnie w obce ręce, zwerbowani przez niego ludzie będą musieli przenosić się w inne miejsca albo po prostu uciekać. Bullowowi grozi kilkanaście lat więzienia, bo jest zawodowcem; tamtych skazą na śmierć albo po prostu zabiją po cichu. Nie pójdzie więc Bullow na spotkanie z Bunderem, bo czuje w sobie chłód strachu. Oczywiście pójdzie, choć nie tak od razu. Nie można by w ogóle pracować, gdyby się nikomu nie zaufało, każdego podejrzewało o podwójną grę. Zaufanie i nieufność - te sprzeczne uczucia należało zawsze ze sobą godzić. Zaufać - ale nie do końca. Podejrzewać - też nie do końca.

Wyszedł z lotniska z małą walizką, w której miał kilka zużytych koszul, brudną piżamę, przyrządy do golenia. Nie mógł przylecieć bez walizki, bo to mogło obudzić czyjeś zainteresowanie. Walizka okazała się już niepotrzebnym znakiem rozpoznawczym. Zawrócił na dworzec, oddał ją do przechowalni, potem kwitek podarł i wrzucił do kosza na śmieci.

Padał deszcz i uznał to za sprzyjającą okoliczność. Mógł podnieść kołnierz płaszcza, nasunąć na czoło kapelusz. Wsiadł do taksówki i kazał się zawieźć na plac koło nadbrzeża. Tam przesiadł się do metra i wyszedł z niego w pobliżu Square Severine. Deszcz przestał już padać, było pochmurno i lada chwila znowu mogło padać. Alejki na skraju skweru zasypały brunatne liście, nikt nie siedział na ławeczkach. Znalazł się na dobrze sobie znanej uliczce, przeszedł jezdnię i znalazł się po drugiej stronie domu, w którym mieściło się jego mieszkanie. Dom nie miał konsjerżki, dlatego właśnie on i Eryka osiedlili się tutaj. Dwa okna wychodziły na ulicę, dwa inne - na podwórko. Stał w bramie naprzeciw i popatrzył w okna na trzecim piętrze. Mógł oczywiście pójść na górę, ponieważ w kieszeni płaszcza nosił klucze, jednak łatwość, z jaką nawiązał kontakt z Burtderem, wciąż leżała w nim jak chłodny kamień.

Ulicą ciągle przejeżdżały samochody, a po chodnikach szybkim krokiem przechodzili ludzie. Na szczęście dla Bullowa znowu zaczęło padać i jego pobyt w bramie był uzasadniony. Patrzył w okna na trzecim piętrze - zakurzone, nieprzeniknione, z tiulowymi firankami. Tam znajdowały się trzy pokoje, jego tapczan, jego książki, przy tapczanie aparat telefoniczny, w kuchni wciąż chyba pracowała lodówka. Tam mógł zmienić przemoczony płaszczyk, przebrać się, zmienić kapelusz, wziąć parasol. Jak długo wolno mu stać w bramie i patrzeć w okna na trzecim piętrze? Niczego podejrzanego nie zauważył. Nikt nie obserwował jego domu. Przez chwilę wydało mu się, że drgnęła firanka za szybą, ale to było chyba złudzenie. Po prostu krople deszczu ściekały po szybie. Bardzo chciał tam pójść, lecz wrażenie chłodu, które czuł w sobie, stawało się coraz silniejsze. Jego mieszkanie mogło okazać się pułapką.

Wrócił na skwer i wszedł do budki telefonicznej.

- Czy to pan Feldman?

- Do diabła, dlaczego nie zjawiasz się u mnie? Czy nie rozumiesz, że cię potrzebuję?

- Chciałbym z tobą umówić się na spotkanie. W mieście - powiedział Bullow.

- To niemożliwe. Boję się wyjść z domu. Przyjdź, proszę cię. Jesteś mi potrzebny.

Bullow powiesił słuchawkę, przerywając Bunderowi w pół słowa.

Budka telefoniczna była dobrym miejscem na rozmowę, pod warunkiem, że nie gadało się zbyt długo. Odszedł szybkim krokiem i znowu stanął w bramie w takim miejscu, żeby móc widzieć tę budkę. Czekał pół godziny, spodziewając się, że wkrótce pojawi się samochód policyjny albo inny z ludźmi, którzy rozpracowywali takich jak on. Zostawił na słuchawce odciski swoich palców, na szczęście zaraz po nim telefonowała jakaś starsza kobieta, potem długo rozmawiał młody człowiek w zamszowej kurtce.

Pojechał metrem do centrum i wszedł do wielkiego domu towarowego. Tam było kilkanaście automatów telefonicznych.

- Czy to pan Feldman?

- Dlaczego nie przyjeżdżasz - błagalnie powiedział Bunder. - Czy nie pojmujesz, co się stało?

- Nie - tym razem chciał podtrzymać rozmowę.

- Zdjęli ze mnie nadzór policyjny i zostałem sam. Tamci nie dają mi spokoju. Potrzebna mi twoja pomoc; Oni już chyba znają tę ulicę, ale jeszcze nie wiedzą, który to dom. Widziałem ich dziś rano. Jechali samochodem wzdłuż ulicy.

- Możesz chyba jakoś wyjść?

- Obawiam się, że obstawili ulicę.

- Masz drugie wyjście.

- Ktoś jest w ogrodzie. Tak mi się zdaje.

Bullow odłożył słuchawkę, znowu przerywając Bunderowi. Rozmowa trwała wystarczająco długo, aby można było ustalić, skąd dzwoniło do Bundera. Bullow wmieszał się w tłum kupujących i obserwował wejście do magazynu. Robił to przez pół godziny. Aparat telefoniczny, przez który połączył się z Bunderem, nie wzbudził niczyjzego zainteresowania.

Zastanawiał się, na ile szczerzy był strach Bundera. Wszystko, co tamten mówił, brzmiało prawdopodobnie. Nawet to, że prosił Bullowa o pomoc. Bunder miał na pewno przy sobie broń, w tamtym domu był jednak chyba sam jeden. Przy pomocy Bullowa mógłby się wydostać, gdyż tamci nie znali Bullowa, który mógł ubezpieczyć Bundera. Tak, należało uwierzyć Bunderowi, ponieważ zgadzało się to z tym, co mówił mu przed ich rozstaniem. Pracował także dla bogatej, ale tandetnej firmy. Nie udało im się i teraz na Bundera usiłowali zwalić winę. Póki znajdował się pod nadzorem policji, pozostawał bezpieczny. Ale nadzór zdjęto, co zresztą potwierdzono w firmie Bullowa. Teraz można się z nim było rozprawić. Dlaczego Bunder tego nie przewidział? Dlaczego nie uciekł gdzieś daleko, ale wciąż kręcił się po tych samych szlakach? Wniosek sam się narzucał: Bunder poszedł na policję i sypanął tamtych, co do jednego. Policja powiedziała mu, że wszyscy siedzą i już nic mu nie grozi. Lecz to nigdy nie bywa tak, że sypanie się wszystkich. On, Bullow, to też nie "wszyscy". Bullow to jeszcze nie cała firma.

Pojechał metrem cztery przystanki i w małym sklepie z rupieciami kupił wojskowy nóż sprężynowy. Nie chciał zjawiać się u Bundera z gołymi rękami, choć - jeśli to była pułapka - ten nóż mógł być dołączony do aktu oskarżenia. Po wyjściu ze sklepu spojrzął na zegarek: minęła druga po południu. A więc już sześć godzin zwodził Bundera. Od sześciu godzin mógł być u niego, tylko że chłód, który odczuwał w sobie, paraliżował kroki.

Wsiadł w taksówkę i kazał się zawieźć na ulicę, gdzie stała owa willa. Jechał wystarczająco długo, aby pomyśleć, że być może wypadnie mu ryzykować życie dla Ivo Bundera. Czy wolno mu to było zrobić? Czy - jeśli nawet wyciągnie Bundera z opresji - tamci nie zapamiętają sobie Bullowa i nie zaczną go ścigać jako współnika Bundera? Po co mu to? Czy miał za mało wrogów? Lubił Bundera - i tylko tyle. Czy lubić kogoś oznaczało narażać dla

niego własne bezpieczeństwo? Co zawdzięczał Bunderowi, który ośmielił się pójść na policję i dał mu przeżyć tyle chwil prawdziwego strachu. "Niech sobie sam radzi" - zdecydował i kazał taksówkarzowi przejechać wzdłuż ulicy, gdzie stała willa. W pobliżu nie zauważył żadnego samochodu, ulica była zupełnie pusta, nawet bez przechodniów. Zresztą padał rześisty deszcz.

Wysiadł z taksówki o dwie przecznice dalej i pieszo ruszył w powrotną drogę do willi. A jednak musiał spotkać się z Bunderem i wyjaśnić sytuację. Takie było polecenie firmy. Tak nakazywał jej interes. W firmie wiedzieli, co ryzykują wysyłając Bullowa - a jednak to zrobili. Jego wpadka, a nawet być może śmierć została w kalkulowana w tę podróż i spotkanie z Bunderem. Ostatecznie sam sobie wybrał taki zawód, a nie inny. Mógł zostać leśnikiem albo strażnikiem łowieckim. Czy kiedykolwiek żył bezpiecznie, nawet jeśli to "bezpiecznie" wyglądało inaczej, bo rznął pokojówki i hotelowe sprzątaczkę, wkładał się do hotelowych numerów, szantażował tego lub owego. Od początku było wiadomo, że w każdej sytuacji ryzykuje wolność, a nawet życie. Dlatego uczono go nie tylko, jak siadać w barach, jak udawać pijanego, o co i jak pytać, na co zwracać uwagę. Posiadał również umiejętność walki oraz świadomość, że kiedyś można zetknąć się z najgorszym.

Willa Bundera sąsiadowała ze zrujnowanym budynkiem, który kupiła jakaś firma budowlana i zamierzała postawić tam duży dom mieszkalny. Robót jeszcze nie zaczęto, ogród dziczał, przez wyłamane w jednym miejscu kraty ogrodzenia można się było dostać na sąsiednie posesje, a stamtąd przez mur na tyły willi. W zdziczałym ogrodzie zazwyczaj bawiły się dzieciaki, ale w tej chwili zbliżała się czwarta po południu, być może odrabiały lekcje, a poza tym padał deszcz. Bullow minął rozwaloną starą sadzawkę na złote rybki, przedarł się przez kolczaste krzewy i wszedł na mur willi. Zeskoczył na grubą warstwę butwiejących liści ogromnego kasztanowca i przykucnąwszy rozejrzał się po ogrodzie. Bunder twierdził, że ktoś jest w tym ogrodzie, teraz jednak już go tutaj nie było na pewno. Ogród zajmował niewielki skrawek gruntu, kilka drzew i krzewów - już bezlistnych. Nikt nie mógł się ukryć przed wzrokiem Bullowa. Tak więc Bunder kłamał, twierdząc, że ktoś czyha na niego w ogrodzie. Należało się wycofać z tego miejsca i znowu zatelefonować do Bundera.

W żadnym oknie willi nie paliło się światło; pora była wczesna. Zresztą jeśli Bunder czuł się osaczony, nie zdradzałby światłem swojej obecności.

Na tyłach domu znajdował się taras z rozwalającą się balustradą z misternie uformowanych cementowych słupków. Schody na taras pokrywał mech i mokre liście. Kilkomna susami Bullow dopadł schodów, na palcach wspiał się na taras i zbliżył się do oszklonych drzwi, prowadzących do wnętrza domu.

Nie miał przy sobie kluczy i już sięgał do paska w spodniach, aby wydobyć zakrzywiony drucik, gdy nagle stwierdził, że drzwi są odrobinę uchylone. Ktoś wchodził tędy lub wychodził, nawet nie racząc zamknąć za sobą drzwi. Bezszelestnie zbiegł z tarasu i ukrył się za balustradą. Potem wślizgnął się pod taras, gdzie kryły się drzwi do piwnicy. Z piwnicy też można się było dostać do środka domu.

Zobaczył ukręconą łomem kłódkę na drzwiach obłazących z farby i raptem zdał sobie sprawę, że chyba przyszedł za późno. Po prostu za późno. Ktoś dostał się do tego domu przez

piwnicę i wyszedł drzwiami na taras. Kiedy się to stało? Przed godziną? Przed dwoma godzinami? Zaraz po tym, jak ostatni raz rozmawiał z Bunderem? Tylko że Bunder to nie był byle chłystek. Już go tu zapewne nie zastali.

W tym domu nie było nikogo. Mówiło mu to coś, co nazywał intuicją albo doświadczeniem.

Wrócił powoli na taras, bezszelestnie uchylił drzwi i wszedł do pustego pokoju z odpadającą od ścian złotawą tapetą. Drzwi z pokoju na korytarz też okazały się otwarte na oścież. Ale w tym pokoju panował lekki półmrok, a korytarz zalegały ciemności. Stojąc w drzwiach był najłatwiejszym na świecie celem dla strzału albo rzuconego noża. Wejść tam? I po co?

Stał i nasłuchiwał; z wnętrza domu nie dochodził żaden głos. Słyszał jedynie szum deszczu za otwartymi drzwiami na tarasie. Wyjął nóż i ostrze wyskoczyło bez szmeru. Zdjął kapelusz i na wyciągniętej ręce, na ostrzu noża wysunął go w ciemny korytarz. Nie padł strzał, nic się nie poruszyło. Rzucił kapelusz w głąb korytarza i nie usłyszał żadnego innego szmeru poza cichym upadkiem kapelusza.

Nabrał ostatecznej pewności, że ta willa nie kryła nikogo. Ci, o których wspominał Bunder, albo zostali przez niego wymyśleni, albo Bunder im uciekł. Bunder to nie był wazonik na kwiatki, aby go zabrać ze sobą lub roztrzaskać.

Przypomniał sobie, gdzie w korytarzu jest kontakt elektryczny. Namacał go i pod sufitem rozbłysła zakurzona żarówka. Bunder leżał przy drzwiach wyjściowych na ulicę, z podkurczoną lewą ręką. Prawą miał odrzuconą w bok. O kilka centymetrów od jego palców znajdował się pistolet. Ktoś zadzwonił do frontowych drzwi i Bunder do nich chciał podejść. Ktoś drugi krył się już w korytarzu i strzelił mu w tył głowy. Z tego miejsca, gdzie teraz stał Bullow.

W willi nie było nikogo, jeśli nie liczyć martwego Bundera. Bullow podszedł do trupa, ujął odrzuconą w bok prawą rękę Bundera. Była miękka, jeszcze nie nastąpiło stężenie pośmiertne. Kieszenie marynarki i spodni zabitego zostały wyciągnięte i wywrócone. Obok trupa wałało się mnóstwo drobiazgów z tych kieszeni oraz leżał otwarty portfel. Zapewne pozostawiono dokumenty Bundera, wzięto zaś jedynie pieniądze, aby upozorować rabunek.

Bullow nie bał się trupów ani widoku zamordowanych. Na pierwszym roku szkolenia kazano mu odwiedzać prosekoria, oglądać twarze ludzi zastrzelonych i zmasakrowanych. Nie chciał jednak zobaczyć twarzy Bundera, która leżała w kałuży krwi. Schylił się z zamiarem, aby sięgnąć po otwarty portfel, ale dostrzegł na nim wąską strużkę światła. Frontowe drzwi też pozostawiono uchylone i przez szczelinę zaglądał tu pasek blasku dnia. Nie sięgnął więc po portfel; znowu owo coś, co w nim zawsze było czujne, nakazywało jak najszybciej opuścić to miejsce. Niczego ciekawego nie spodziewał się znaleźć w portfelu Bundera. W nim wszystko było kłamstwem, a przede wszystkim dokumenty. Nigdy nie dowie się także, co tak naprawdę Bunder powiedział policji.

Wyszedł frontowymi drzwiami, zbiegł po kilku stopniach prosto w gromadkę zebranych na

ulicy kobiet i wyrostków.

- Dzieci widziały, jak ktoś zakradał się od tyłu do tego domu - zwróciła się do Bullowa jedna z tych kobiet. - Czy tam nic się nie stało?

- Nie - odparł Bullow, przywołując na twarz swój zawodowy uśmiech. - Zresztą w tym domu nie ma niczego cennego, proszę pani.

Deszcz moczył mu włosy i dlatego uświadomił sobie, że stoi z gołą głową. Kapelusz zostawił na korytarzu niedaleko zwłok Bundera. Każda z tych kobiet zapamiętywała dokładnie jego twarz.

- A jednak ja widziałem, jak dwóch facetów zakradało się tam od tyłu - hardo rzekł jakiś chłopak. - Dwóch ludzi w skórzanych kurtkach.

- Już ich tam nie ma - odparł Bullow i ruszył przed siebie.

Drzwi frontowe nie miały zatrzasku. Nie zamknął więc ich, nie miał zresztą klucza. Dlatego przyśpieszył kroku. Zanim jednak zniknął za rogiem ulicy, obejrzał się za siebie. Ten sam chłopak właśnie zbliżał się po schodach do frontowych drzwi. Za chwilę je otworzy i zobaczy trupa.

Na następnej ulicy napotkał wolną taksówkę i kazał się zawieźć do centrum miasta. Potem przejechał dwie stacje metrem i wyszedł na jednokierunkową wąską ulicę z zaparkowanymi po dwóch stronach samochodami. Znalazł się tutaj przypadkiem - jeszcze nie wiedział, co powinien dalej zrobić, dokąd pójść. Zapadał zmrok, jasne włosy Bullowa stały się czarne od deszczu. W prefekturze policji robili już być może jego pamięciowy portret jako jednego z zabójców Bundera. o tamtych, którzy go naprawdę zabili, dowiedzieli się jedynie, że nosili skórzane kurtki.

Samochody stały ciasno jeden za drugim. W jednym miejscu nie paliła się lampa uliczna. Zobaczył tam nowego renaulta z piłką na siedzeniu obok kierowcy. Chwycił za klamkę i ustąpiła pod naciskiem dłoni. Po kilku minutach już odjechał, stwierdzając z zadowoleniem, że wóz ma pełny bak. Bez pośpiechu wy dostał się na autostradę i skierował do "Dębowej Altany". Plan ucieczki narzucił się sam, choć po jakimś czasie doszedł do wniosku, że wybrał najgorszą możliwość. Należało przyjąć, że Bunder nie zdradził Bullowa, i wrócić na Square Severine, tam zmienić swój wygląd, przeczekać kilka dni, a potem nawiązać kontakt z ludźmi, których zwerbował do pracy w firmie. Panicznie bał się jednak czekania w mieszkaniu przy Square Severine, nieustannego nasłuchiwania każdego szmeru za drzwiami, dzwonka u drzwi. Nie to było jednak najgorsze, bo strach mógł przecież jakoś przetrwać. Najgorsze, że nie musieli po niego przychodzić, ale właśnie czekać, aż ochłonie i zacznie nawiązywać zerwane kontakty. A wtedy wziąć nie tylko Bullowa, lecz i wszystkich pracowników firmy. Rzecz jasna - jeśli Bunder zdradził miejsce jego zamieszkania.

Prowadząc wóz na autostradzie jakoś nie przeżywał śmierci Bundera, mimo że go kiedyś lubił i tyle ich łączyło wspólnych radości. Odczuwał nawet coś w rodzaju ulgi, że Bunder został

zabity, drugi raz nie przekroczy skrzyżowania, aby wejść do gmachu policji. Nawet umierając od kuli nieznanego zabójcy, jeszcze raz skrzywdził Bullowa, przekreślił jego drogę życiową. Firma nigdy przecież nie zatrudni człowieka, którego rysopis znalazł się w gazetach. Był więc tutaj ostatni raz, jednakże - to też dziwne - nie odczuł żalu, choć jeszcze nie tak dawno nie wyobrażał sobie, że można żyć inaczej niż dotąd. Być może odkrył, że istnieje dla niego jeszcze jakiś inny świat wraz ze swoimi własnymi sprawami. A więc posiadał jakieś znakomite "lewe papiery" na zupełnie inną osobę, może nawet inną osobowość. Oczywiście, nawet gdy wydobędzie się stąd cały i zdrow, nie pozwolą mu wrócić na miejsce strażnika łowieckiego, do Horsta, Weroniki, izabelowatej klaczy; firma jest na to za ostrożna. Tego był jednak pewien, że potrafi sobie stworzyć inny świat i żyć innymi niż tutaj sprawami, co kiedyś wydawało mu się nieprawdopodobne, i dlatego tak mocno przeżywał swoje zesłanie do lasu.

Śmierć Bundera przyjął obojętnie. Potem jednak zaczął odczuwać coś w rodzaju mściwej satysfakcji. "Tak naprawdę to ja go zabiłem" - pomyślał. Gdyby bowiem natychmiast po telefonie z lotniska pojechał do Bundera, pomógłby mu w bezpiecznym opuszczeniu willi. Obecność drugiego człowieka obok Bundera odstraszyłaby na ten dzień jego prześladowców. Ale Bullow nie pojechał do Bundera, kluczył po mieście kilka godzin i kilka razy dzwonił, aby go upewnić, że jednak się pojawi. Prawdopodobnie właśnie to pomogło zabić Bundera. Bo gdyby tamten nie wiedział, że Bullow jest w pobliżu i zaraz przybędzie, prawdopodobnie nie siedziałby w swojej willi, tylko usiłował czmychnąć. Może zatelefonowałby po jakiegoś kumpla, a chyba miał ich wielu. Czekał jednak cierpliwie i doczekał się zabójców. "Sam sobie byłeś winien - myślał prowadząc samochód. - Niepotrzebnie poszedłeś wtedy do gmachu policji. Jak mogłeś przypuszczać, że człowiek, który przeżył paniczną ucieczkę z własną żoną, gdy wróci, obdarzy cię takim samym zaufaniem i przyjdzie na spotkanie z tobą".

Po jakimś czasie skonstatował:

"Lubiłem go i dlatego musiałem uciekać. On lubił mnie i dlatego doczekał się zabójców. A ja znowu muszę uciekać".

Zrozumiał, że dawno już przestał lubić Bundera. Być może stało się to w chwili, gdy sprowadzonego do Horsta psa nazwał Ivo i zaczął go tresować. Odtąd lubił już tylko Iva - kudłatego psa, którego być może nigdy nie pogłaszcze.

W motelu "Dębowa Altana" Hans Weber przyniósł mu gazetę z pamięciowym portretem Kristophera Bullowa. Portret był duży, wzmianka o zabójstwie Claude'a Imberta skąpa. Ivo Bunder miał lombard - to śmieszne. Ilu nazwisk używał ten człowiek, ile interesów prowadził, dla ilu firm pracował? Zginął właściciel lombardu, prawdopodobnie na tle rabunkowym, tak kończyła się notatka w gazecie. Jego zabójców poszukiwano chyba znacznie gorliwiej niż w przypadku jakiegoś innego właściciela lombardu. Sprawę przejęła nie tylko policja, ale i różne firmy, ponieważ Claude Imbert pracował dla wielu firm. Trafić na człowieka, którego rysopis widniał w gazecie - to znaczyło odnaleźć koniec jakiejś nowej nici, a takiej szansy nikt tak łatwo nie zaprzepaszcza.

Hans Weber chciał zabić Bullowa, mimo że jeszcze nie wiedział o zabójstwie Ivo Bundera. To było słuszne, ponieważ Bullow przyjechał do niego skradzionym samochodem.

Weber zapewne również pracował dla jakiejś poważnej firmy - Bullow był dla niego niewiele znaczącym kółkiem w dużym mechanizmie. Czy domyślił się, że Claude Imbert to Ivo Bunder? Nie okazał tego po sobie - może rzeczywiście znał jedynie Ivo Bundera, który do jego motelu przyjeżdżał z różnymi kobietami albo różnym kobietom i mężczyznom zalecał to miejsce, motel z pokojami, w których znajdował się podsłuch. Do obowiązków Webera należało obsługiwanie aparatury podsłuchowej oraz prowadzenie motelu. Claude Imbert nic nie znaczył dla Webera - przynajmniej na razie. Potem być może tropem Bullowa pošłą kogoś do "Dębowej Altany", kto będzie go chciał znaleźć. Ale wtedy Kristopher Bullow znajdzie się już bardzo daleko...

Późnym popołudniem Kristopher Bullow maszerował znajomą ulicą wzdłuż kanału, kierując się w stronę Dapperstraat. Nie szedł tędy chyba przez prawie rok, wszystko jednak pozostało znajome. Dlatego natychmiast zauważył, że w kanale nie cumuje już stary statek, na którym oprócz kilku narkomanów mieszkała Yvette ze swoim mężem, Malajczykiem o trudnym do wymówienia nazwisku. Statek zapewne zabrano stąd i pocięto na złom, miasto oczyszczało się z melin i brudów. Yvette wraz z mężem musiała się przenieść gdzie indziej. Dokąd? To mogło nie mieć znaczenia, ale równie dobrze od takiego szczegółu zależała wolność, a nawet życie człowieka w sytuacji Bullowa. Poczul w sobie chłód - oznakę niepokoju. "Do diabła, nie zlikwidowali chyba także i sklepu z rowerami i mieszkania nad sklepem?" On, Kristopher Bullow, był przez cały czas nominalnym właścicielem tego wszystkiego. Nie zależało mu ani na sklepie, ani na tym mieszkaniu, lecz jedynie na małej skrytce w łazience, gdzie schował swój stary paszport z brodą i wąsami. W kieszeni namacał Bullow klucze od domu; mogły okazać się bezużyteczne.

O zmroku dotarł na "pchli targ" przy Dapperstraat. Zamykano już stragany i budki z podejrzanym towarem, zdołał jednak jeszcze w budzie z teatralnymi akcesoriami kupić fałszywą brodę, wąsy i klej. Nabył też nieprzemakalny płaszcz, kapelusz i w miarę dobrą walizkę. Wszedł do publicznego klozetu, przykleił sobie brodę i wąsy, nałożył płaszcz, głowę okrył kapeluszem. Z walizką w ręku stanął w bramie naprzeciw jednopiętrowego domu z dwoma dużymi oknami na parterze i widocznymi przez nie rowerami. Sklep był czynny, wystawy zostały oświetlone, tylko całe piętro domu miało ciemne okna. Odetchnął z ulgą i spojrzął na zegarek. Dochodziła piąta po południu, o szóstej Yvette zamykała sklep. Należało czekać. Cierpliwie. A to on potrafił. Wszedł nieco głębiej w bramę naprzeciw sklepu, gdyż na ulicy zapalono lampy.

Nie chciał znowu popełnić błędu. Tak, to było niewybaczalne, że gdy znalazł zwłoki Bundera, zamiast uciec tą samą drogą przez zdziczały ogród, po prostu wyszedł frontowymi drzwiami. Zachował się jak amator, jak gdyby pierwszy raz w życiu dano mu do wykonania poważniejsze zadanie. Czy naprawdę zadziałała w nim podświadomość, że jest człowiekiem niewinnym, pokierował nim odruch spowodowany poczuciem, że skoro to nie on zabił Bundera, mógł opuścić miejsce zbrodni drogą człowieka uczciwego, ba, może nawet zatelefonować po policję. Na moment zapomniał, że w jego zawodzie nigdy nie było się człowiekiem niewinnym ani nawet - w potocznym tego słowa znaczeniu - uczciwym. Zabił czy nie zabił, i tak zostałby aresztowany. Jeśli nie za zabójstwo, to za coś innego, gdyż znał Bundera i spotykał się z nim. Już fakt, że wszedł do willi przez zdziczały ogród, czynił go podejrzanym. Kristopher Bullow nie powinien wyjść frontowymi drzwiami, a jednak to uczynił. Dlaczego? Bp frontowymi drzwiami opuścił willę nie Kristopher Bullow, lecz osobnik o nazwisku Józef Maryn, niewinny

i uczciwy. To była reakcja, odruch, sposób zachowania się Józefa Maryna, osobnika, od którego próbował się odczepić, gdy wysiadał z samolotu, i nawet myślał, że mu się to udało. Tylko - prawdopodobnie - nie do końca. To Kristopher Bullow telefonował z różnych miejsc do Ivo Bundera, ale to Maryn zareagował tak dziwnie na śmierć przyjaciela. Nie daj Boże, jeśli teraz, na Dapperstraat, w bramie domu naprzeciw sklepu z rowerami, choć przez moment zapomni, że istnieje jedynie Bullow, a nie żaden Maryn. W przeciwnym razie nigdy nie osiągnie celu, nie pozostanie człowiekiem wolnym. Tego wieczoru musi skopać w sobie Maryna, a może nawet zabić go, unicestwić, pozbawić osobowości.

...Ten sam wieczór ogarnął także las w Mordegach i piaszczystą plantację nasienną. Karol Stęborek nie zapalając świateł harleya podjechał pod szeroką bramę na plantację i zobaczył stojący nieco z boku czarny samochód Romanikowej. Kierowca drzemał w wozie, Romanikowa znajdowała się zapewne w baraku, jaki postawiono na plantacji, aby można w nim było składać rozmaite drobne narzędzia. Romanikowa miała tu coś w rodzaju prymitywnej pracowni. Z małego okienka w baraku sączyło się światełko lampy naftowej.

Przez całe lato tydzień w tydzień przyjeżdżała na plantację Romanikowa, aby podziwiać las uporządkowany, sadzonki wkopane w równych odległościach jedna od drugiej, każda z metryczką, z rodowodem. Odszedł Kulesza, zastępował go gajowy Wzdrega, nadleśniczy ciągle jeszcze nie mógł się zdecydować, kogo ma uczynić odpowiedzialnym za plantację i oddać mu leśniczkę po Kuleszy.

Z początku wszystko na tej plantacji radowało Romanikowa. Dwa ciągniki bez przerwy spulchniały ziemię między sadzonkami, aby nigdzie nie wyrosło choćby źdźbło trawy lub zielsko. Zazieleniły się ładnie igły sadzonek, radował jej serce widok setek palików z przywiązаныmi drzewkami, choć z daleka połącz Wilczego Rogu wyglądała jak ogromny cmentarz z setkami krzyży, którym odpadły ramiona. To dla niej, Romanikowej, na środku plantacji wybudowano z żywych desek barak dwuizbowy; w jednej izbie znajdowały się narzędzia, a w drugiej coś w rodzaju pracowni ze stołem drewnianym, szafą, kubłami na czystą i brudną wodę oraz tapczanem nakrytym kocem.

Chodziła gruba Romanikowa po plantacji w cienkiej kretonowej sukience. Odmierzała wiele kilometrów oglądając podczas tych wędrówek niemal każdą sadzonkę. Niekiedy odsyłała samochód i nocowała na tapczanie w baraku. Trochę jej ubyło kilogramów, nie pociła się już tak jak dawniej. Czowała też dziwną przyjemność, kiedy wiatr od jeziora podrywał jej sukienkę. Nie musiała się tu nikogo wstydzić; traktory przestały spulchniać ziemię, odeszli z plantacji robotnicy i pojawiał się jedynie gajowy Wzdrega. Ta nagość pod sukienką dziwnie ją podniecała, a podniecenie trochę oszałamiało. "Tutaj jest dobre, zdrowe powietrze" - myślała. Coś się w niej budziło nowego, odżywały dawno zapomniane kobiece pragnienia, bo przecież nie była taka znowu stara. Miała pięćdziesiąt pięć lat, choć wyglądała starzej ze względu na tuszę. Gajowy Wzdrega był chudy, szczerbaty, brudny i niewiele od niej młodszy. Pewnego wieczoru zaprosiła go do baraku, postawiła na stole pół litra wódki, usiadła na ławie po turecku podciągając kretonową sukienkę. Gdyby gajowy trochę pochylił głowę, mógłby jej zajrzeć między nogi. Wzdrega jednak nie pochylił głowy, nie zajrzał jej pod sukienkę; wódkę wypił, a potem powiedział, że z tej plantacji nic nie będzie, ponieważ umarli na to nie pozwolą. O

zmroku, kiedy go chciała jakoś inaczej ku sobie zachęcić, on rzekł, że boi się duchów, i poszedł z plantacji.

Nazajutrz pojechała do Masłochy i stanowczo zażądała nowego leśniczego na miejsce Kuleszy. Masłocha obiecał wyszukać takiego i przedstawić go Romanikowej. Było to z początkiem lipca; przez kilka dni wiały silne wiatry i na własne oczy Romanikowa widziała ogromną chmurę piasku nad plantacją. Wiatr od jeziora zwiewał cienką warstwę próchnicy i ukazywał coraz większe połacie szerego piasku. Z krzykiem strasznym pojechała do Masłochy, ten jednak w milczeniu wydobył z sejfu rulon map i pokazał jej dokładnie, że próchnica na Wilczym Rogu zalegała bardzo głęboko, i to, co widziała własnymi oczami, było tylko chyba złudzeniem albo te mapy kłamią.

- Docencik tu jakiś przyjechał i te mapy robił ze swoimi studentkami. Nawet starego cmentarzyka nie zaznaczył. Dupczył tak, że aż przez jezioro do wsi piski niosło. No, i takie mamy mapy, nic pani na to nie poradzi.

- Pan o tym wiedział - oskarżycielsko dźgała go palcem w pierś.

- Wiedziałem, że dupczył. Ale mapa to dla mnie świętość - odparł. Ponad dwieście sadzonek zaraz uszło. Z metrykami, z rodowodami, drogocenne, szczepione gałązkami najlepszych drzew z całego kraju. Inne sadzonki walczyły o życie i nie rosły. Przez miesiąc nie pojawiła się Romanikowa na plantacji, urlop wzięła. A kiedy powróciła - dół zobaczyła w jednym miejscu.

- Skąd się to tu wzięło? - ostro zapytała Wzdreęgę.

- Zastępca nadleśniczego, Wojtczak, zepchnął cmentarz do bagna. Za nieboszczykami wstawił się nadleśniczy Masłocha, cztery skrzynie przygotowano, trochę starych kości wykopano i na cmentarz do wioski przewieziono. Wojtczak zaś poszedł na wcześniejszą emeryturę. Być może teraz ta plantacja da nasiona.

Pojechała Romanikowa do Masłochy i znowu zażądała specjalnego leśniczego do opieki nad plantacją.

- To musi być inżynier, człowiek wykształcony - mówiła. Masłocha nie miał inżynierów wolnych od leśnictw.

- Owszem, jeden chętny się zgłasza. Inżynier Stęborek. Ale na jego uprawach jest więcej wypadów niż na plantacji. Przede wszystkim wygubił modrzewie. On nie rozumie lasu, a las jego nie lubi.

- Nie chcę takiego - oświadczyła Romanikowa.

Zakładanie plantacji kosztowało miliony. Za tę plantację wysokie odznaczenie państwowe otrzymała doktor Romanikowa, niższe - nadleśniczy Masłocha, jeszcze niższe - zastępca nadleśniczego - Wojtczak. Na plantacji było trzydzieści procent wypadów, można jednak w

przyszłym roku zrobić uzupełnienia. Czy godziło się kobiecie uczonej rozprawiać, że całe zło pochodziło od spermy jakiegoś docenta? Dlatego w ministerstwie Romanikowa wygłosiła referat o doświadczeniach z zakładaniem plantacji, nie kryjąc trudności, ale i nie wspominając o spermie. "Za brak doświadczenia i naukę wszyscy musimy płacić" - tym zdaniem zakończyła referat, tak zresztą, jak to kiedyś przewidział Masłocha.

Nie zaprotestowała Romanikowa, kiedy nadleśniczego Masłochę awansowano służbowo do stolicy, co było marzeniem jego żony. Nie powiedziała ani słowa, gdy nadleśniczym został inżynier Tarchoński. O tym jego awansie na nadleśniczego dyskutowano nawet na wysokim szczeblu w urzędowym języku. Był leniwy i uważany za słabego w robocie, liczono więc na liczne donosy, przez które władze otrzymają wgląd w sprawy nadleśnictwa. On też zaczął się skarżyć na leśniczych i tak powstanie równowaga, swoista biocenoza, ekosystem i klimaks urzędowy. Romanikowa wierzyła, że od Tarchońskiego łatwiej uzyska leśnika na plantację.

Z końcem września dostała list od Stęborka, że chciałby objąć plantację. Kazała mu się stawić w baraku w wyznaczony dzień o wyznaczonej godzinie wieczornej. Przed spotkaniem poszła aż nad jezioro i patrzyła, jak wiatr, który się zerwał, podnosił na plantacji chmury piasku i obsypywał nimi zielonkawe fale. Ó zmroku usiadła w baraku, zapaliła lampę naftową, rozłożyła na stole mapy, na których czerwonymi kółkami zakreślono miejsca po uschniętych drzewkach. Nie mogła uwolnić się od myśli o owym docenciku, który zamiast dokładnie zbadać głębokość zalegania próchnicy, zabawiał się z dziewczynami. Z nią, Romanikowa, nikt się tak od dawna nie zabawiał. "A przecież nie jestem stara" - konstatowała. Dlatego poprzedniego dnia poszła do fryzjera i kazała sobie uczernić wszystkie pasma siwych włosów na skroniach. Jadąc przez las kazała kierowcy na chwilę zatrzymać wóz i przespacerowała się po linii działowej. Pachniało grzybami i butwiejącym drewnem, znowu zaskoczył ją bałagan leśny, chaszczki i krzewy splątane z pniami młodych buków w jakimś ogromnym miłosnym uścisku (czemu jej się wszystko teraz kojarzyło z miłością?). Profesor Tara uczył ją porządku. W lesie musi być schludnie jak na plantacji. Drzewa powinny stać obok siebie jak żołnierze w kompaniach, pułkach, batalionach i dywizjach. Na czele tego wojska po liniach działowych i drogach przeznaczonych do wywozu drewna - widziała w wyobraźni leśników w zielonych mundurach z dystynkcjami generałów.

...Usłyszała łoskot silnika starego motocykla i po chwili do baraku wszedł szczupły, wysoki leśnik. Jego twarz jej się nie spodobała, za bardzo przypominała pyszczek liska. Nie podobał jej się także jego uśmiezek, który właściwie nie był uśmiechem, tylko jakimś ciągłym skrzywieniem ust.

- To pan jest Stęborek? Spóźnił się pan - oświadczyła opryskliwie, zwijając mapy na stole.

- Nie mogłem przyjechać wcześniej. Padło na mnie podejrzenie, że podpaliłem tartak sąsiadom. Wszystko się pomyślnie wyjaśniło, winna okazała się źle założona instalacja elektryczna.

Mówił prawdę. Gdy znalazł się w komisariacie w Bartach i przyprowadzono do niego Łukę i Kozusznika, taką zobaczył rozpacz na ich twarzach, że ogarnęła go przeogromna radość, jaką zwykle odczuwał, gdy widział cudze nieszczęście. Przeniknęło go współczucie dla Łuky i

Kożusznika, zupełnie zapomniał, jak ich nienawdził, ponieważ zbudowali tartak pod jego leśniczówką. Zapłakał szczerze nad ich nieszczęściem, a potem rzucił się im w ramiona i łkał wraz z nimi. Objawiły się w nim głębokie pokłady aktorstwa, zresztą już naprawdę nie wierzył, że podpalił tartak. To była wina złej instalacji elektrycznej, przecież to koło tej instalacji zaczęło się palić. Płakał tak szczerze, że Łukta objął go i zapłakał razem z nim, a potem przyłączył się do nich Kożusznik. W istocie owa rozpacz Stęborka wydawała się głęboka (i zapewne była taka, skoro nie wierzył, że podpalił tartak), że zwolniono go z aresztu. Łukta i Kożusznik mieli zresztą otrzymać wysokie odszkodowanie i znowu postawić tartak na tym samym miejscu. Stęborek nie chciał o tym myśleć, tymczasem napawał się ich nieszczęściem i jadąc do domu powtarzał sobie: "Jestem szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy". Romanikowa nie rozumiała, że uśmiech na jego twarzy był wyrazem poczucia szczęścia.

- Pan, panie Stęborek, chce zająć się plantacją. Tak napisał pan do mnie w swoim liście. Ale były nadleśniczy Masłocha opowiadał mi, że w pańskim leśnictwie jest najwięcej wypadów. Pan nie lubi lasu i las pana nie lubi.

- Tak nie wolno oceniać pracy człowieka - odparł Stęborek. - To nie jest naukowe podejście. Masłocha i inni są pełni rozmaitych leśnych zabobonów.

- Wszystkie modrzewie na uprawie pan utracił...

- Nieprawda. Jeden modrzew żyje. Jest już duży. Trzyletni. Ja wierzę w naukę, w wiedzę, pani doktor. Oni chcieli mnie zmusić do różnych strasznych rzeczy, lecz ja nie chciałem się zgodzić.

- Do czego chcieli pana zmusić?

Stęborek zawahał się. Czy miał prawo zwierzać się ze swoich najintymniejszych przeżyć? Czy jednak bez całkowitej szczerości otrzyma plantację po Kuleszy?

- Powiedzieli, że muszę iść z żoną na uprawę i tam ją zerznąć.

- Pan się wyraża wulgarnie - powiedziała Romanikowa i ocknęła się w niej podniecająca ciekawość. - I co pan zrobił?

Opowiedział jej dokładnie, jak zabrał Malwinę do lasu, jak ją zaprowadził na małą polankę, kazał jej ściągnąć majtki. A wtedy mu się zrobiło jej żal i poczuł wstyd.

- Tak, tak, tak - pomrukiwała Romanikowa, zafascynowana rozgrywającą się w jej wyobraźni tą sceną. - A jaka jest pana żona?

- Ładna.

- Nie o to pytam. Jakie ma uda, brzuch, piersi...

- Uda ma chude, brzuch obwisły z rozstępami po dziecku, piersi...

- Dość - oświadczyła Romanikowa, bo poczuła wstręt do tamtej kobiety. - Nietrudno się domyślić, że pan lubi kobiety tęgie, z grubymi udami.

- Ja ją kocham rzekł z mocą Stęborek. I nie wierzę w zabobony. Nie tego mnie uczono na studiach. Pani reprezentuje naukę, dlatego sądziłem, że pani mnie zrozumie.

Romanikowa zamyśliła się. Wspomniała swojego profesora Tarę, jego nauki, jego pieśczoły.

- Las, w którym pan pracuje, panie Stęborek - powiedziała po chwili - to wielki chaos, bałagan, ogromne rumowisko drzew. A ja uczyłam się u profesora Tary. On uważał, że w lesie musi być porządek, pan mnie rozumie. Taki ład jak na plantacji. Drzewo od drzewa w odpowiedniej odległości. Być może otrzyma pan tę plantację i dom po Kuleszy, bo jak mi pan napisał w liście, w pana domu rozpanoszył się grzyb. Przeszkadza też panu tartak.

- Tartak się spalił.

- To nic. To nie ma znaczenia - przerwała mu zniecierpliwiona. - Ta plantacja potrzebuje mężczyzny. Prawdziwego mężczyzny. Profesor Tara wiedział, co lubię i jak ze mną postępować. Był bardzo delikatny.

- Ja też jestem delikatny - zapewnił ją Stęborek.

Przełknął głośno ślinę. Miał przeczucie grozy. Ta kobieta, wielka i gruba, tak dziwnie do niego mówiła, tak dziwnie na niego patrzyła. Zdawało mu się, że dostrzega w jej oczach jakąś ogromną zachłanność, jak gdyby go pragnęła połknąć. Chciał uciekać, tylko że coś go trzymało bardzo mocno, być może nawet pragnienie spotkania się z ową grozą. Choć myślał inaczej: trzeba się poświęcić, aby otrzymać plantację i suchy dom dla Malwiny.

Romanikowa zdmuchnęła płomyk w lampie naftowej i w baraku zrobiło się ciemno. Usłyszał, jak ta kobieta ciężko sadowi się na stole.

- Profesor Tara zawsze tam dotykał mnie wargami - dobiegł go ściszony, głuchy głos Romanikowej.

Uklęknął i włożył głowę między jej uda. Malwina nigdy mu tego robić nie pozwalała, twierdziła, że to ją hańbi. Nigdy go tak nie upokorzono, nigdy nie żądano od niego czegoś takiego dla osiągnięcia korzyści. Czy to była kolejna ofiara, jaką musiał ponieść dla wielkiego lasu? Jaką jeszcze zbrodnię polecą mu uczynić, aby go las pokochał?

Czuł, że nagie, gorące uda Romanikowej niemal parzą mu policzki. Zarazem jednak mimo wstrętu i złości na tę kobietę za jej straszne żądanie nieoczekiwanie nabrzmiął mu członek w spodniach i stał się sztywny aż do bólu. Przed oczami zawirowały Stęborkowi czerwone kręgi, chwycił Romanikowa za przód sukni, uniósł ją ze stołu, zrzucił na podłogę, zaczął szarpać na niej wełnianą suknię, aż obnażył jej miękkie i szerokie jak talerze piersi. "O Jezu, Jezu, Jezu" - jęczała pod nim Romanikowa, a on szarpiąc ją i gryząc w szyję, wepchnął w jej wilgotne

wnętrze swojego członka. Dysząc ciężko spełnił się w niej z niezwykłą rozkoszą. I zaraz, jeszcze gdy miał pod sobą pulchne, duże ciało, ogarnął go wstyd. Poderwał się z podłogi i wybiegł z baraku. Dopadł harleya i wyjechał z plantacji, mimo że czerwone kręgi od czasu do czasu pojawiały mu się w oczach. W końcu musiał się zatrzymać. Zgasił silnik, wprowadził motocykl między drzewa i usiadł, ocierając chusteczką spocone czoło i zamykając oczy. Dlaczego nigdy tak mocnej rozkoszy nie przeżył z Malwiną? Miał świadomość, że nienawidzi grubej Romanikowej. Co gorsze jednak - chciał, żeby to się w przyszłości powtórzyło.

W ciemnym baraku Romanikowa z trudem podniosła się z nie malowanych desek drewnianej podłogi. Cały przód sukienki miała podarty na strzępy. Stęborek wydawał jej się jakimś potworem. Mimo to czuła satysfakcję, że wzbudziła w nim aż takie pożądanie. "Będzie dobrym opiekunem plantacji" - pomyślała, siadając na ławce i odpoczywając. Pomyślała również, że przecież stało się coś dobrego. Ta plantacja da owoce, bo choć nauka nie mówi o czymś takim, dobrze jest sprzągnąć się z kobietą tam, gdzie się zasadzi młode drzewa.

Okryła się kocem, żeby kierowca nie zobaczył podartej sukienki, wyszła z baraku, zamknęła go na klucz. Zbudziła w wozie kierowcę, usiadła na tylnym miejscu i kazała się zawieźć do domu.

Samochód Romanikowej minął siedzącego w lesie Stęborka. A on patrząc na tylne światła jej wozu był pewien, że dostanie plantację i dom po Kuleszy. Zniknęły czerwone kręgi w oczach, wsiadł na swojego harleya i pojechał do leśniczówki.

Malwiną z dzieckiem na kolanach siedziała przy wystygłym kuchennym piecu.

- Chciałam ci zrobić kolację, ale nie przyniosłeś z szopy drewek - wyznała karcąco.

- Sama mogłaś przynieść - odparł naburmuszony.

Nagle doznał wrażenia, że ta kobieta jest mdła, nijaka, dlatego nigdy z nią nie przeżyje czegoś takiego jak z Romanikową. Idąc do szopy po drewno, uśmiechał się po swojemu i obiecywał sobie, że zawsze będzie na Romanikowej darł sukienkę, gryzł ją i szarpał. Czuł w sobie ogromną moc i gdy na podwórzu usłyszał głęboki głos lasu, który rósł tuż za drogą, miał wrażenie, że jest także potężnie rozrośniętym drzewem, częścią wielkiego lasu. Ile zbrodni dokonał wraz z lasem? Sprowadził Kozusznika i chciał zbudować tartak, aby wygonić starego! Horsta. Złożył fałszywe świadectwo przeciw Sobocie. W końcu podpalił tartak, niepotrzebnie, bo i tak dostanie dom po Kuleszy. Nawet szkoda, że podpalił tartak, inny bowiem leśniczy miałby w sąsiedztwie ciągły pisk traka i Stęborek z prawdziwym współczuciem wysłuchiwałby jego narzekań. Jakże był głupi, myśląc niekiedy o zrezygnowaniu ze stanowiska leśniczego, o ucieczce do miasta. Tu było jego prawdziwe miejsce. Należało tylko pojąć istotę lasu, oddać mu swoją duszę...

...W tym czasie nowy nadleśniczy, Tarchoński, siedział w kuchni domu Horsta Soboty. Odesłał do Bart samochód z główną księgową. Sobota kupił od lasów państwowych izabelowatą klacz, siodło i pejcz, których nadleśnictwu w specjalnym telefonogramie kazano się pozbyć.

Przy takim zakupie należało coś wypić - Horst postawił na stole butelkę wódki, Weronika podała zakąski. Sobota wypił dwa kieliszki, Weronika tylko jeden, resztę wlał w siebie Tarchoński. Nie czuł się jednak pijany, lecz tylko podniecony. Postanowił jeszcze się uraczyć u Stęborka. Prosto od Soboty pójdzie do niego, obieca mu plantację nasienną i dom Kuleszy, a potem każe sobie podać pełen kieliszek.

- Powtarzałem, że to ja w naszym nadleśnictwie ogień rozpalę i pierwszy w ten ogień rękę włożę - mówił już po raz czwarty.

- Zostałem nadleśniczym. Dziwię się, że kupił pan od nas tę starą klacz. Po co ona panu? Do zaprzęgu się nie nadaje, tylko pod siodło.

- To dla Weroniki - wyjaśnił Horst.

- Jak się rzuciło chłopca, to dobrze i na koniu poskakać - zaśmiał się Tarchoński. I dorzucił:
- Nie żal pani Kuleszy?

- Nie.

- Nie brakuje pani mężczyzny?

- Brakuje - przytaknęła Weronika.

- Rozumiem - zgodził się Tarchoński. - Kulesza nigdy mi się nie wydawał prawdziwym mężczyzną. Kolegów potrzebował, żeby się zabrać do swojej własnej kobiety.

Weronika zacisnęła usta. Nie przeżyła wieczoru, aby sobie nie przypominała tej chwili, gdy u Kuleszy pili wódkę: Tarchoński, Budrys, Wzdrenga i Maryn. Tarchoński ją trzymał, Budrys rozchylił uda. Teraz stała przy kuchni i z odległości kilku kroków patrzyła na twarz Tarchońskiego, na jego okulary, wielką szopę włosów. Chwilami ta twarz jak gdyby olbrzymiała i zakrywała jej cały świat - chyba od tej nienawiści, którą w niej rozbudził samym swoim pojawieniem się w ich domu. Nie okazała tego po sobie, gdyż chodziło o klacz Maryna, o jego siodło, o jego pejcz. Innych rzeczy Maryna nie znalaziono, bo wszystkie fotografie już przedtem ukryła w swoim pokoju. Często je oglądała - zakrwawione, poranione twarze. Ale brakowało na tych zdjęciach gęby Tarchońskiego. Teraz miała ją przed sobą, napuchniętą od wódki, z błyszczącymi oczami, zadowoloną z siebie.

- Skoro siodło, klacz i pejcz kazali wam sprzedać, to znaczy, że strażnik łowiecki nigdy tu nie powróci - ostrożnie zaczął Sobota.

- A pewnie. Nigdy tu nie był potrzebny żaden strażnik łowiecki. Diabli przynieśli do nas tego człowieka i diabli go zabrali.

- I pan nie wie, gdzie on jest teraz? - zapytał Sobota.

- Nic mnie to nie obchodzi. Najważniejsze, że tutaj nie wróci, ponieważ ludzie nie wiadomo dlaczego, trochę się go bali.

“Wróci - pomyślała Weronika. - Wróci po moje ciało. Po to, żeby mnie wziąć jak prawdziwą kobietę”.

“Wróci - pomyślał Sobota. - Wróci, bo musi dokończyć walkę z lasem”.

Weronika chciała się spodobać Tarchońskiemu. Splotła dłonie pod piersiami, aby miał te jej duże cyce jak na tacy. I widział jej brzuch, biodra, długie nogi rysujące się pod spódnicą. Zresztą chyba ją zapamiętał nagą w domu Kuleszy i wiedział, że jest sto razy więcej warta od jego żony, małego brzydactwa, które go biło po gębie.

Horst Sobota spojrział na nią ze zdumieniem, kiedy na chwilę wyszła i z kredensu w ich wielkiej jadalni przyniosła karafkę z kolorową wódką.

- Niech się pan z nami jeszcze napije - zachęcała Tarchońskiego. - Nie chcemy mieć w panu wroga, ponieważ zależy nam na naszym

domu i sadzie.

- A na mnie pani choć trochę zależy? - zapytał Tarchoński.

- Tak - kiwnęła głową, odwracając twarz niby to wstydliwie, ale tylko po to, aby nie dojrzał nienawiści w jej oczach.

- Każdej kobiecie potrzebny jest odpowiedni mężczyzna - powiedziała Weronika. - Mówiła mi kiedyś Leśniakowa, że każda kobieta potrzebuje odpowiednio ciężkiego mężczyzny. A dla mnie Kulesza był za lekki.

Pogłaskała się po piersiach, poklepała po biodrach. Horst Sobota popatrzył na nią z oburzeniem. Nigdy nie posądzał Weroniki o tak bezwstydną wulgarność. Wstyd mu się za nią zrobiło.

- Wypijmy, panie nadleśniczy - zaproponował w końcu.

Ta dziewczyna wyraźnie paliła się do niego i on to już odpowiednio wykorzysta.

- Jeśli zawrzemy przyjaźń, pani Weroniko - oświadczył - nic już waszemu domowi nie zagrozi.

- Mam jedną wadę. Czasem lubię uderzyć mężczyznę - rzekła Weronika.

- To nie jest żadna wada - zaśmiał się Tarchoński. - Powiadam wam, że nic wam nie grozi, bo już taki jestem, że gdy ogień rozpalę, to sam w ten ogień pierwszy rękę włożę.

Napił się kolorowej wódki, zakreśliło mu się w głowie.

- Strażnik łowiecki, znaczy się, pan Maryn - zaczął znowu Horst Sobota - wydawał mi się człowiekiem z innego świata.

- Pęta. Gówniarz - odrzekł Tarchoński. - Jeździł na tej klaczy po lesie i ludzi straszyl. Za wilkołaka go mieli. A pani się podobał, Weroniko?

Nie odpowiedziała. Jemu zresztą nie zależało na jej słowach. Wiedział i widział swoje.

- On też byłby dla pani za lekki. A także za wrażliwy. Gdy panią trzymaliśmy, żeby Kulesza mógł sobie z panią dogodzić, jemu zrobiło się niedobrze i wyszedł. Nie wie, biedak, że kobiety czasem lubią, jak sieje weźmie siłą. Moją babę też najpierw muszę zbić, żeby miała przyjemność.

- I ona pana bije - odparła Weronika.

- Tak to jest. I tak jest dobrze - przytaknął Tarchoński. - Pani też bym przyłożył w tę twardą dupę.

Weronika roześmiała się głośno i Horst nagannie zmarszczył brwi. Co się stało z tą dziewczyną? Jak gdyby obcą kobietę miał w domu.

Tarchoński nagle podniósł się od stołu. Przypomniawszy sobie, że postanowił dać Stęborkowi plantację nasienną, ale Stęborek siedzi w areszcie podejrzany o podpalenie tartaku. W domu pozostała tylko jego młoda żona. Pokurcz to, niemrawe stworzenie, lecz ma chyba to, co trzeba, między nogami. I z gęby zupełnie dobrze się prezentuje. Tu na przeszkodzie stoi mu stary Sobota. Pójdzie do Stęborka i poprosi tę kobietę o szklankę herbaty. Potem zaś zobaczy się, co z tego wyniknie. Weronikę zostawi na później.

- Dziękuję za poczęstunek. Niech pani na razie poskacze na końskim grzbiecie - pożegnał ją, wkładając na głowę czapkę nadleśniczego.

Wyszedł na piaszczystą drogę i zatoczył się w las. Był pijany, choć potrafił wypić więcej wódki. Lecz ta kolorowa, którą na końcu podała Weronika, musiała mu zaszkodzić. Zataczając się szedł wolno piaszczystą drogą, czkając i powstrzymując wymioty.

Horst zauważył, że Weronika zawiązuje na głowie chustkę.

- Co ty? Dokąd idziesz? - zapytał zaniepokojony.

- To moja sprawa - odburknęła. - A co to? Nie wolno mi?

Nic nie rozumiał. Czyżby chciała tego pyszałka, pijaka, leśnego człowieka? Nigdy nie otrzyma w darze jego domu i sadu. "Suka" - pomyślał kierując się do swojego pokoju.

Noc była ciemna, przepelniona hukami drzew leśnych i poświstami wiatru. Wierzchołki drzew ocierały się o siebie z lekkim jękiem, wszędzie coś szemrało, trzaskało, postękiwało. Znał dobrze te odgłosy nadleśniczy Tarchoński i nawet je lubił. Zataczał się na całą szerokość drogi, spadła mu czapka, z trudem znalazł ją klękając i macając wokół siebie jak ślepiec. Ale już z klęczek wstać nie potrafił. Zaczął głośno wymiotować.

Nagle poczuł na swoich plecach uderzenia wilczych pazurów. Usłyszał wściekły charkot i ostre kły zwierzęcia wbiły mu się w kark. Zdawało mu się, że ktoś odrywa od niego zwierzę, aby go nie zadusiło, rzucił się na płask na ziemię i zasłonił twarz dłońmi. Wilk zaczął go wtedy szarpać za ramiona, za łokieć, wrywał mu z tydek i ud żywe mięso wraz ze strzępami munduru. Tarchoński krzychał p pomoc, zwierzę gryzło go jak oszalałe. Zapamiętał ogromny, przenikający go do głębi ból.

Raptem charkot ucichł, usłyszał głosy ludzkie. Kilku ludzi szło drogą od strony szosy. Spłoszyli zwierzę, który - jak sądził - przegryzłby mu w końcu gardło i uśmiercił.

Traktorzysta Budrys i gajowy Wzdrega znaleźli Tarchońskiego na piaszczystej drodze w pobliżu szosy. Zawieziono go do szpitala, gdzie lekarze potwierdzili pokąsanie przez dzikie zwierzę, najprawdopodobniej wilka. Zresztą w całej okolicy wiadano, że w wielkim lesie od pewnego czasu grasował samotny wilk. Nadleśniczy Masłocha jeszcze wiosną odnalazł ślady jego łap utrwalone w błocie.

Od tego czasu gajowy Wzdrega, idąc od swej gajówki w stronę plantacji nasiennej, zawsze nosił strzelbę. Mówił o wilku jak wszyscy, ale bacznie patrzył na psa imieniem Ivo w obejściu i w sadzie Horsta Soboty. Pewnego dnia poprosił o przeniesienie w drugi koniec wielkiego lasu, gdzie właśnie zwolniła się gajówka. Kiedy się wyprowadzał i na przyczepę traktora wynosił swoje rzeczy, na jego podwórko przyszła Weronika i zapytała go, czy nie odsprzeda jej szafy na ubrania, która pochodziła z domu Horsta, a zabrał ją kiedyś Wzdrega, kiedy Sobota przebywał w niewoli.

- Czemu nie. Mogę sprzedać - zgodził się Wzdrega.

Dobili targu i tą samą przyczepą odwiózł Wzdrega szafę na ubrania do domu Horsta. Na odjeździe zapytała go Weronika:

- Pamięta pan ten wieczór u Kuleszy, kiedy pomagał pan mnie trzymać, żeby Kulesza miał zadowolenie?

- Nie pamiętam. Nigdy u was nie byłem - odparł twardo Wzdrega. Uśmiechnęła się Weronika i kiwnęła głową. Ona też chyba przypominała sobie, że Wzdregi tam wtedy nie było.

Rozdział czternasty

Bulłow stał w bramie domu i przez wąską jezdnię patrzył w oświetlone okna wystawowe sklepu z rowerami. Pobliski "pchli targ" już prawie zupełnie opustoszał, pomiędzy zamkniętymi budami straganów włączyły się tylko psy. Ulica była skąpo oświetlona, przechodniów niewielu. Ukryty w cieniu, mało zauważalny widział dobrze nie tylko wnętrze sklepu, ale i fasadę całego domu. Pierwsze piętro, które stanowiło mieszkanie Bullowa, miało ciemne okna i zasunięte story (tak jak je zostawił przed rokiem). To mógł być jednak tylko pozór, że nic się nie zmieniło. Na przykład Yvette przytyła, jej włosy wydawały się bardziej rude niż dawniej. W sklepie nie widział kupujących; Yvette, pochylona nad kontuarem i wsparta o niego łokciami, robiła jakieś rachunki, potem na chwilę przeszła do tej połówki sklepu, gdzie na półkach znajdowały się części rowerowe, coś tam sprawdziła. Otwarte drzwi na zaplecze świadczyły, że tam chyba przebywał jej mąż, stary Malajczyk. Na jego pojawienie się czekał Bulłow, aby po tak długiej nieobecności jeszcze bardziej upewnić się, że wszystko tu jest jak dawniej.

Cały ten jednopiętrowy dom - ze sklepem na parterze, mieszkaniem na piętrze, mikroskopijnym podwórkiem na tyłach - należał kiedyś do Bernadetty, a teraz formalnym jego właścicielem jest Bulłow. Do mieszkania prowadziło wejście przez sklep, gdzie znajdowały się drzwi do wewnętrznej sieni i korytarzyka na górę. Ale Bulłow mógł także dostać się do mieszkania otwierając sobie bramę przy sklepie. Tą bramą wjeżdżał dawniej samochodem i parkował go na małym podwórku za domem. To właśnie z tej sieni wchodziło się zarówno na zaplecze sklepu, jak i do korytarzyka na piętro. Do zamknięcia sklepu pozostawało aż nadto dużo czasu, aby przekręcić klucz w zamku bramy, prześlizgnąć się do sieni, wejść cichuteńko na piętro i znaleźć się w mieszkaniu. Skrytka z jego starym paszportem była w łazience. Bulłow musiał mieć przecież bezpieczne miejsce do ukrywania niektórych swoich papierów i mikrofilmów. Kiedy żenił się z Bernadettą, powiedział jej, że powinni wyremontować staroświecką i mocno zniszczoną łazienkę. Wtedy to wymieniono małe okienko. Zamiast spróchniałej drewnianej framugi wstawiono gotowe okno z aluminiową ramą. Samo okno przyćpione zostało do aluminiowej framugi dwoma zawiasami z trzema blachowkrętami. Wystarczyło usunąć środkowe blachowkręty w każdym zawiasie, aby dostać się do niewielkiego schowka we framudze. Policja mogła bez końca przeszukiwać mieszkanie, opukiwać ściany, zdierać tapety, zrywać podłogę, ale wątpliwe, czy komuś przyszłoby do głowy, aby zbadać aluminiową framugę w łazienkowym okienku. Zresztą nie zawierała żadnych wielkich tajemnic: stary paszport Bullowa, strzykawkę i kilkanaście fiolek ketaminy. Kiedy Bernadettą dostawała narkotycznego szału, Bulłowowi zaś nie chciało się jej rznąć lub szukać dla niej prochów, brał ze skrytki ketamine i robił jej zastrzyk nasenny, wmawiając, że wstrzykuje jej coś mocniejszego. Bulłow dostanie się więc do swojego mieszkania, otworzy skrytkę w łazience, zabierze swój stary paszport i odejdzie stąd bez śladu. Yvette i jej mąż nigdy się nie dowiedzą, że on tutaj wrócił i nawet przebywał w swoim mieszkaniu przez kilkanaście minut. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby tę akcję zacząć od razu, teraz, na pewien czas przed zamknięciem sklepu. Uczono go jednak, że w takich jak ta sytuacjach pośpiech stawał się największym wrogiem. "Patrz uważnie na dom, na sklep, na Yvette" - coś mu mówiło, a on zazwyczaj słuchał takich wewnętrznych szeptań.

Z zaplecza wyszedł nagle młody mężczyzna z dziecięcym rowerkiem w ręku. Rowerek błyszczał niklem, zapewne na zapleczu młody mężczyzna czyścił go z kurzu, oliwił, gdyż miał jeszcze oliwiarę w ręku. Opuścił z sufitu malutki podnośnik, umieścił na nim rowerek i podciągnął go aż pod sufit. Mężczyzna był szczupły, mały, z długimi, jasnymi włosami. Sprawiał wrażenie niedorostka. Na krótką chwilę wszedł za kontuar i pogłaskał wypięty tyłek Yvette, która robiła rachunki, wsparta na łokciach. "Przyjęli pomocnika" - pomyślał Bullow i oczekiwał, kiedy w drzwiach zaplecza pojawi się również stary Malajczyk. Ale tak naprawdę wcale już na niego nie czekał, ponieważ ten sklep nigdy nie miał aż takich zysków, aby trzeba było przyjmować pomocników. Co innego Bullow. On jednak przybył tu na innych zasadach i w innym celu. Wynagrodzenie od Bernadetty brał tylko na papierze, ktoś inny mu płacił, a być może płacono także Bernadecie.

Mięśnie ramion i barków Bullowa napięły się pod swetrem - czuł niebezpieczeństwo i ogarniał go niepokój. "Do diabła, gdzie jest stary Malajczyk?" - zapytywał siebie.

Młody mężczyzna znowu pogłaskał wypięty tyłek Yvette. Coś do niej powiedział, a ona zaśmiała się, podnosząc głowę znad rozłożonej na kontuarze kartki papieru. Nie zachowywaliby się chyba tak śmiało, gdyby za chwilę jej mąż miał wyjść z zaplecza.

Bullow był niemal pewien, że tak jak przestał istnieć zacumowany w kanale statek, gdzie mieszkała Yvette z mężem, tak samo przestał istnieć jej mąż, stary Malajczyk. Może umarł, ponieważ nie był zdrowy. Być może Yvette zrobiła to, co kiedyś proponowała Bullowowi. Ktoś z firmy wkrótce zbada tę sprawę i kto wie, czy nie stanie się to jedynym sukcesem obecnej wyprawy Bullowa. Ale Bullow otrzymał wewnętrzny sygnał, że wiele się tu zmieniło, a jeśli tak - to należało jednak działać natychmiast.

Przeszedł szybko jezdnię, przytulił się do bramy, otworzył ją własnym kluczem, wślizgnął się do sieni i zamknął za sobą bramę. Potem na palcach przemknął obok drzwi na zaplecze sklepu, wszedł do korytarzyka i po ciemku wspiał się na piętro.

Jego klucze nie pasowały do zamka w drzwiach mieszkania. Należało się tego spodziewać, gdy nie zobaczył statku w kanale. Yvette i ten młody człowiek wprowadzili się do jego mieszkania, wykorzystując nieobecność właściciela. Rzecz jasna, najpierw zmienili zamki w drzwiach, aby Bullow, jeśli wróci, musiał szukać z nimi kontaktu. "Zapewne zaplanowali, że zaproponują mi jakieś pieniądze za to mieszkanie" - rozmyślał, grzebiąc w swoim pasku od spodni. Zamek okazał się bardzo prymitywny, już po minucie otworzył go i wszedł do mieszkania. Drzwi za sobą nie zamknął, gdyż to znowu zajęłoby trochę czasu, jako że to nie była zasuwa ani zatrask. Ile minut zajmie mu pobyt w łazience? Najwyżej pięć albo dziesięć. Yvette i ten młody człowiek jeszcze przez prawie godzinę muszą siedzieć w sklepie i czekać na klientów. Pomyślał z humorem, że to im zaoszczędzi przykrej rozmowy oraz pieniędzy za zasiedlone mieszkanie.

W korytarzu nie zapalił światła, gdyż doskonale orientował się w rozkładzie pokojów. Pachniało ugotowanym w południe obiadem. Od razu wszedł do łazienki i tutaj zapalił światło, ponieważ okienko w aluminiowej ramie było malutkie i wychodziło na ślepe podwórko. Yvette nie zmieniła nic we wnętrzu łazienki, tyle tylko, że to jej wyprane rajstopy wisiały na sznurze

nad niebieskawą wanną, którą kupiła Bernadetta. Ostrzem sprężynowego noża usunął dwa blachowkręty, z ulgą odnalazł w skrytce swój paszport i zobaczył szarą kopertę. Ją też postanowił zabrać - zawierała wymuszone torturami wyznania Malajczyka i Yvette, że naszpikowali Bernadettę prochami, a potem namówili ją do jazdy samochodem. W skrytce znajdowała się także strzykawka i fiołki z ketaminą, ale te rzeczy już nie interesowały Bullowa. Zabrał się do zamykania skrytki.

I wtedy - tak, coś dziwnego poczuł w sobie Bullow. Jak gdyby zabrakło mu nagle tchu. Odwrócił się w stronę drzwi i zobaczył w nich młodego człowieka ze sklepu. Mierzył z rewolweru, prosto w głowę Bullowa. Jak i kiedy zauważył przemykającego się tutaj człowieka? Nie miał czasu, aby się nad tym zastanawiać, otworzył usta, aby powiedzieć coś uspokajającego, choćby to, że nie jest żadnym włamywaczem, ale Kristopherem Bullowem, o którym tamten musiał wiedzieć od Yvette. Chłopak jednak przycisnął języczek spustu, Bullow usłyszał suchy trzask spadającej iglicy. Tylko że nie padł strzał, kula nie uderzyła w głowę Bullowa, który stał o dwa metry od wylotu lufy.

Zaskoczyło to chłopaka. Zanim drugi raz przycisnął język spustowy, Bullow już go dopadł, kantem prawej dłoni wytrącił mu rewolwer, a potem oszalały ze strachu i wściekłości bił chłopaka w żołądek, aż tamten skurczony upadł na posadzkę łazienki. Wtedy Bullow dysząc z wysiłku wybiegł na korytarz i zamknął na łańcuch drzwi mieszkania. Nie chciał, aby go zaskoczyła Yvette. Być może czekała w sklepie albo sieni, aż jej kochanek rozprawi się z Bullowem.

Wrócił do łazienki, zerwał sznur znad wanny, związał chłopakowi ręce za plecami i nogi w kostkach. Następnie wziął go na ręce i wciąż nieprzytomnego zaniósł do dawnej sypialni Bernadetty. Położył chłopaka na łóżku i chwilę przy nim posiedział, zastanawiając się, czy nie zakleić mu plastrem ust. Nie chciał jego jęków lub wołania o po moc.

Czekał tak dziesięć minut, Yvette nie nadchodziła. To było zrozumiałe. Jeśli ten chłopak dał jej znać, że zauważył kogoś, kto otwiera kluczem ich bramę, to ona musiała najpierw spuścić żaluzje w oknach zamknąć sklep. A może wołała przyjść tu już po wszystkim, gdy chłopca! ostatecznie rozwiąże problem Bullowa?

Wrócił do łazienki i podniósł z posadzki rewolwer. "Gówniarz" - pomyślał o chłopaku. Być może, kiedy zaplanowali z Yvetti zabójstwo Bullowa i ona (bo ona zawsze była w tych sprawach bardziej sprytna) kazała mu okazać tym zabójstwem swoją męskość - chłopca! poszedł na "pchli targ" i kupił rewolwer. Nie znał się na broni, nigdy nie strzelał, nie zabijał. Wcisnęli mu starego rupiecia bębnowego, kaliber 9 milimetrów. Naoliwiony, wyczyszczony, prezentował się nieźle. Ah miał chyba tępą iglicę. To był nic niewart grat. Ten gówniarz nawet nit sprawdził, czy rewolwer w ogóle strzela. Co najwyżej zabawiał się strzelaniem bez naboju, tak sobie pukał siedząc przy Yvette i podniecając ją opowieściami, jak to on rozprawi się z Bullowem,

Zachrobotał łańcuch przy drzwiach. Bullow kopnął rewolwer pod wannę i na czubkach palców przebiegł ciemnym korytarzem. Zdjął łańcuch i gdy Yvette weszła, nagle zapalił światło.

Ta kobieta umiała panować nad sobą. Nawet nie[^]rzybladła. To byłoby zresztą trudne. Jak wszystkie rude kobiety, miała bardzo jasną cerę.

- Gdzie Harry? - zapytała, patrząc prosto w oczy Bullowa.

- W sypialni Bernadetty. Poturbowałem go trochę. Chciał mnie zabić.

Ruszyła prosto do sypialni, zapaliła tam światło, zobaczyła na tapczanie związanego chłopaka, który jeszcze nie odzyskał przytomności. Nie powiedziała ani słowa. Podeszła tylko do leżącego, pochyliła się nad nim i upewniła się, że oddycha.

- Dlaczego? Do diabła, dlaczego postanowiliście mnie zabić? - powiedział z goryczą Bullow. - Przecież nie zrobiłem wam nic złego. Można się było ze mną dogadać.

Wzruszyła ramionami.

- Nikt cię nie zamierzał zabijać. Harry wyszedł na podwórko z kubelkiem śmieci i zauważył światło w łazience. Wbiegł do sklepu i powiedział mi, że do domu chyba zakradł się włamywacz. Pobiegnął na górę, a ja zaczęłam zamykać sklep.

Bullow pokiwał głową:

- Lubię cię, Yvette, za twoje kłamstwa. Za twoją chorą wyobraźnię. On po prostu wyjął rewolwer i strzelił mi prosto w głowę, nawet nie pytając kim jestem i po co przyszedłem. Na szczęście miał starego grata, który nie wypalił. Poturbowałem chłopaka. Nic mu nie będzie.

Odwróciła się gwałtownie do Bullowa, oparła mu dłonie na ramionach. Może ta sytuacja podnieciła ją? Była trochę zboczona, najsilniejsze pożądanie wzbudzały w niej okrucieństwo i ból. Żyła z tym swoim Malajczykiem, dopóki tamten miał dość sił, aby ją torturować w jakiś wyrafinowany wschodni sposób. Bullow też ją musiał bić przed każdym stosunkiem.

- Lubisz mnie? Naprawdę, trochę mnie lubisz?

- Tak.

- I okażesz mi to?

Na jej policzkach pojawił się rumieniec. Dwa okrągłe ceglaste place. Jak na białej twarzy cyrkowego arlekina.

- Najpierw musimy załatwić twojego chłopaka - powiedział. - Dam mu zastrzyk ketaminy. Będzie spał. To da nam czas dla siebie.

Kiwnęła głową, choć nie bardzo pojmowała, jak to się odbędzie. Wziął ją delikatnie pod rękę i zaprowadził do łazienki. Skrytka wciąż była otwarta, wyjął z niej strzykawkę i kilka fiolek ketaminy, które schował do kieszeni.

- A więc po to wróciłeś - stwierdziła patrząc na skrytkę. - Miałeś tu schowaną forszę.

- Tak. Niepotrzebnie zaplanowaliście zabójstwo. Mogliście się ze mną dogadać. Postanowiłem zabrać forszę i nigdy tu nie wracać.

- Nie wierzę ci. Z takimi jak ty nie można się dogadać. Próbowałam wiele razy i nic z tego nie wyszło.

- Lubiłem nie tylko ciebie. Lubiłem też twojego męża. Nie chciałem jego śmierci.

- On i tak umarł. Jak tylko zlikwidowali nasz statek, umarł.

- Zaprowadzisz mnie jutro na jego grób. Lubiłem go. Kupię kwiaty. Westchnęła:

- To duży cmentarz. Nie trafię do grobu. Nigdy tam drugi raz nie byłam.

To było bardzo głupie kłamstwo. Bulłowowi niemal zrobiło się żal tej dziwki. Pogłaskał ją po policzku.

- W porządku, Yvette. Nie pójdziemy tam. On leży w kanale z jakimś żelastwem u nóg.

- O nie, nie. Nie mów tak. Naprawdę umarł. Szkoda było pieniędzy na pogrzeb. Ty nie masz pojęcia, ile teraz kosztuje miejsce na cmentarzu, trumna, przewóz, pochówek.

- Kto to zrobił?

- Co takiego?

- Kto go wrzucił do kanału? Ty czy on? - zrobił ruch w stronę sypialni.

- Oczywiście, że on. Ja jestem na to za słaba.

- Lubię cię, ale w tej sprawie nic ci nie wierzę. Ten gówniarz nie byłby do tego zdolny. Kupił starego grata sprzed pięćdziesięciu lat, żeby mnie zabić. Nie ma smykałki do takich rzeczy.

Nic nie powiedziała. Bulłow znowu wziął ją delikatnie pod rękę i zaprowadził do sypialni. Chłopak odzyskał przytomność, mrugał powiekami. W milczeniu bez ruchu obserwowała, jak Bulłow podciąga rękaw koszuli chłopaka, napełnia strzykawkę, a potem robi mu zastrzyk. Prawdopodobnie jej wyobraźnia zajęta była już tym, co ona i Bulłow będą potem robić ze sobą.

- Świnie - wymamrotał chłopak.

Bullo w wzruszył ramionami. Władował sporą porcją ketaminy; on zaraz się uspokoił, zamknął powieki, zaśniewał. Chciał się jednak o tym upewnić i dlatego wciąż stał przy łóżku.

- Nie musieliście planować zabicia mnie - znowu powtórzył. - I po co wprowadziliście się tutaj? To moje mieszkanie. Należało się ze mną dogadać.

To chyba nie podniecenie, ale po prostu złość i gorycz wzbierały w Yvette. Aż krztusiła się od swoich pełnych gniewu słów:

- Dogadać się z tobą? Czy nie próbowałam tego po śmierci Bernadetty? Nasłałeś na nas zbira, który wymusił nieprawdziwe zeznanie, że to my spowodowaliśmy śmierć Bernadetty. A tymczasem to ona sama naćpała się prochów i pojechała samochodem. Żadne z nas nie miało z tym nic wspólnego. Ale ty wymusiłeś na nas fałszywe zeznania i potem miałeś nas w ręku. Pewnego razu ruszyłam w ślad za tobą, śledziłam cię. Aż do "Dębowej Altany", która jest zwykłym domem schadzek. Może uważasz mnie za głupią, ale jednak potrafiłam się dowiedzieć, że ten motel jest własnością twoją i niejakiego Ivo Bundera. Takich moteli pewnie macie więcej w różnych krajach. Robicie na tym grubą forszę, ale ani myślałeś odstąpić mi sklep i ten dom, który się nam należał, ponieważ Bernadetta pożyczyła od nas wiele pieniędzy. Ty przecież wiesz, że sklep z rowerami nie przynosi prawie żadnych zysków. Skazałeś nas na nędzę i nic cię to nie obchodziło. I jeszcze do tego zabrali statek na kanale. Gdzie miałam mieszkać? I jak się z tobą dogadać? Czy z takim człowiekiem jak ty w ogóle można się jakoś dogadać?

Zaniepokoiła go wiadomość, że wpadła na trop motelu "Dębowa Altana" i Ivo Bundera. To już jednak teraz nie miało żadnego znaczenia. Ale świadczyło, że zarówno Bullow, jak i Bunder nie byli tacy ostrożni, jak to sobie wyobrażali. Bullowowi nawet przez myśl nie przeszło, że ta dziwka może go śledzić, a on tego nie zauważy. A przecież to musiało być oczywiste, że ona spróbuje się wywiedzieć, dokąd wyjeżdża tak często i czym się naprawdę zajmuje.

- To nieprawda - odrzekł. - Przyjechałem tu, aby się z tobą dogadać. Postanowiłem zostawić wam cały dom.

- Wróciłeś po swoją forszę i zakradłeś się do tego mieszkania jak złodziej.

- Nie jest się złodziejem we własnym mieszkaniu i zabierając własną forszę.

Chłopak miał zamknięte oczy, oddychał równo. Spał. Ten sen powinien trwać przynajmniej dziesięć godzin. Bullow ponownie ujął pod rękę Yvette i zaprowadził ją do swojego dawnego pokoju, który zresztą był nadal jego pokojem; nic się tu nie zmieniło od chwili, gdy go opuścił.

Sklep rzeczywiście nie przynosił większych zysków i ta para, Yvette i Harry, nie miała pieniędzy, aby cokolwiek w tym mieszkaniu zmieniać.

- Siadaj - popchnął ją na swój stary tapczan.

Usiadła i zaraz podciągnęła spódnicę, ukazując swoje bardzo krągłe uda w jasnych rajstopach.

- Będiesz mnie rznął? - ucieszyła się.

- Tak - skinął głową. - Ale za chwilę. Najpierw musimy się dogadać.

- Jak chcesz - uśmiechnęła się i słuchając go, zaczęła ściągać przez głowę sweter. Tak, trochę przytyła i stała się przez to bardziej ponętna. Jej bardzo białe ramiona pokryte gęsto piegami były krągłe, a wążutki biustonosz dźwigał dwie ogromne białe buły. Na plecach jak zwykle miała krwawe podłużne podbiegnięcia, zapewne zmuszała i Harry'ego, żeby ją bił przed stosunkiem. Rzuciła sweter na podłogę i wyczekująco patrzyła na Bullowa. Tak, wydawała się ponętna, twarz jej się zaokrągliła, nie widziało się ani jednej zmarszczki w kącikach oczu, czerwone, lekko odęte usta przydawały jej uroku.

- Wyjeżdżam stąd jeszcze tej nocy i nigdy tu nie wrócę - przez cały czas mówił do niej Bullow, wciąż trzymając w ręce strzykawkę. - Mam swoje powody, aby tak zrobić. Zostawiam ci mieszkanie i sklep. Będziesz tu mogła żyć z tym chłopakiem. Robię tak, ponieważ jestem twoim przyjacielem.

- Wiem - mruknęła i ściągnęła rajstopy, a potem figi. Jeszcze bardziej zadarła spódniczkę.

- Niestety, to jest jednak mój dom i mój sklep, nie mam czasu, aby prawo własności przenieść u notariusza na twoje nazwisko. Nie będziecie więc mogli sprzedać ani domu, ani sklepu, ani nie posiadacie pieniędzy. To was zmusi do tego, aby dalej tu mieszkać i prowadzić sklep. Nigdzie stąd nie uciekniecie.

- Dlaczego mielibyśmy uciekać? - zaniepokoiła się. Ścisnęła uda.

- Sprawa tak wygląda, Yvette, za kilka miesięcy, a może za pół roku pojawi się w tym mieście ktoś, kto do ciebie zatelefonuje i zapyta cię: "Czy to pan Feldman?" Ty odpowiesz mu: "Nie. Omyłka". Nie wtajemniczaj w to Harry'ego, ponieważ to gówniarz. Otóż zaraz po telefonie pójdziesz do hotelu, gdzie kiedyś cię rznąłem, i tam podejdzie do ciebie jakiś człowiek. To będzie twój nowy przyjaciel i opiekun. Nie bój się, nie zażąda od ciebie pieniędzy, sklepu, mieszkania. Kto wie, może to ty dostaniesz od niego pieniądze, żeby go zatrudnić w swoim sklepie, tak jak mnie zatrudniała Bernadetta. Zacznie wyjeżdżać po zakupy, kręcić się tu i tam, robić swoje interesy. Zresztą może to tobie zleci jakieś wyjazdy i załatwienie jakichś intratnych interesów. W każdym razie to na pewno będzie przyjaciel i radzę ci mu zaufać. Powtórz więc za mną: "Czy to pan Feldman?"; "Nie. Omyłka".

- Bzdura. Nic takiego nie powiem i nikogo nie chcę spotykać. Słuchaj, będziesz mnie rznął czy nie, bo mnie w środku aż pali...

- Za chwilę. Musisz mnie wysłuchać i zrozumieć. Nie masz pieniędzy. Tylko ludzie, którzy mają bardzo duże pieniądze, mogą sobie kupić przeszłość, a tym samym przyszłość. Ty też masz przeszłość. On, ten nowy przyjaciel, otrzyma ode mnie twoje zeznanie w sprawie śmierci Bernadetty oraz jeśli nie przyjdiesz na spotkanie, napisze list do policji, zatroskany p los pewnego starego Malajczyka. Po co ci to? On naprawdę nie będzie miał żadnych wymagań. Mnie zatrudniła Bernadetta, gdyż też brakowało jej pieniędzy, aby zmienić swoją przeszłość. A ty podobnie zrobisz z tym, który się pojawi.

- Nie chcę tego zrozumieć...

- Musisz. I powtórz: "Czy to pan Feldman?"; "Nie. Omyłka".

Dlaczego nie wymyślił jakiegoś innego, równie głupiego hasła. Każde inne hasło też mogło być dobre. Ale przez tyle lat okazywało się szczęśliwe dla niego i Bundera i przywiązał się do niego. Był pewien, że tego hasła Bunder nie zdradził policji, tak jak nie zdradził Bullowa i jego firmy.

- Nie chcę i nie będę powtarzała tych bzdur.

- Musisz. Bo inaczej zgnijesz w więzieniu.

- Dobrze - odezwała się polubownie. - "Czy to pan Feldman?"-"Nie. Omyłka".

- A jednak można się ze mną dogadać, prawda? - uśmiechnął się.

- Co robisz? - zawołała, widząc, że obtłukuje szyjki dwóch ampulek i ich zawartość wciąga do strzykawki.

- Muszę mieć trochę czasu, aby się stąd oddalić. Nie mogę sobie pozwolić, abyś zrobiła jakieś głupstwo. Dlatego zaśniesz na kilka godzin. Obudzisz się, uwolnisz Harry'ego, otworzysz sklep i o wszystkim zapomnisz. Zgoda?

- Nie - zerwała się z tapczanu.

- Nie rób awantur. Naprawdę muszę cię uspić. Nie zmuszaj mnie do powtórzenia tego samego, co z twoim chłopakiem. Połóż się, słyszysz?

Położyła się na tapczanie. Kazał jej się obrócić na brzuch i obnażyć pośladki.

- Będziesz mnie rznął? - upewniała się.

- Zaczyniesz zasypiać, a ja cię będę rznął i to się stanie cudowne - powiedział i wbił igłę w białe pośladki.

- Znowu zapuściłeś sobie wąsy i brodę, masz długie włosy. "Jak kiedyś. Teraz mi się znowu bardzo podobasz, bo wtedy też mi się podobałeś - gadała, znowu obróciwszy się na plecy i rozchylając nogi w oczekiwaniu, że się na niej położy.

Przez krótką chwilę Bullow poczuł podniecenie. Pobudziła jego wyobraźnię myśl, że będzie mógł rznąć zasypiającą, martwiejącą kobietę. Odłożył strzykawkę na stolik koło tapczanu. Miał silny wzwód, sięgnął ręką do rozporka. Nagle jednak przypomniał sobie przerażający dźwięk - suchy trzask iglicy rewolweru. Gdyby Harry kupił sprawną broń, Bullow już by nie żył. Wrzuciliby jego zwłoki do kanara albo zamurowali w piwnicy tego domu. Zaplanowała to Yvette. Dlaczego? Czy ją kiedyś tak naprawdę skrzywdził?

Pożądanie zniknęło tak samo raptownie, jak się pojawiło. Ogarnęło go uczucie podobne do goryczy. Czemu stary Weber też go chciał zabić, strącając do rzeki razem z autem? Dlaczego - odkąd tu powrócił - był jak wilk, którego wszyscy usiłują zabić?

Usiadł obok Yvette, ściągnął z niej biustonosz i pogładził piersi z ogromnymi jasnopigmentowymi sutkami. Myślał: "Ty wstrętna, zboczona dziwko. Śledziłaś mnie, a tym samym narażałaś na śmiertelne niebezpieczeństwo. Chciałaś mnie zabić".

- Szkoda, że nie będzie już jak dawniej. Harry nie jest taki dobry jak ty. To młody chłopak, trzeba go wszystkiego uczyć - mantrotała, powoli tracąc świadomość.

Włożył jej dłoń między nogi, a ona uśmiechnęła się, a właściwie w jakimś brzydkim grymasie rozchyliła wargi i wyszczerzyła zęby. Potem powieki zakryły oczy, oddech stał się równy, trochę chrapliwy.

"A jednak może należało dotrzymać obietnicy i ją zerznąć? Po co ma być wroga wobec mnie i tego, co po mnie tu przyjdzie" - pomyślał. Jego oczy notowały każdą wypukłość jej bujnego ciała, piękno piersi i uśmiech twarzy z rudymi włosami na niebieskawym pokryciu tapczana. Widział odrobinę wypukły brzuch z wklęsłością pępka, gładkie uda, i świadomość mówiła mu, że powinien tej kobiety pożądać. Ale przecież nie czuł pożądania. Dlatego że była nimfomanką, którą podniecał zadawany jej ból. Być może to krwawe podbiegnięcia na plecach napełniały go grozą. A może po prostu przestał już na zawsze być maszyną do rżnięcia kobiet? Gdzie się podziała owa wymarzona miłość, wielka i prawdziwa? Czy była tylko kłamstwem, prawdą zaś pozostawały wykrzywione pożądaniem twarze kobiece? Ileż to razy musiał w dawnych latach wiązać sznurami Bernadettę, kiedy wpadała w narkotyczny szal. Ile też razy robił jej zastrzyk ketaminy czekając, aż uspokoi się i zaśnie. Ile razy wołała go do swojego pokoju, leżąc naga na łóżku i czekając na niego z rozchyłonymi udami. Bernadetta była chuda i stara, a Yvette młoda i ładna. A jednak tamtą zaspokajał, tamta budziła w nim mężczyźnę. Czy tylko dlatego, że był wtedy młody? Bernadetta nigdy nie uczyniła mu nic złego, przeciwnie - zawsze mógł oczekiwać od niej przyjaźni i dobroci. Czuł dla niej litość i nigdy nie darował Yvette, że razem ze swoim mężem spowodowała jej śmierć. Tak, był mężczyzną dla tamtej - chudej, brzydkiej i starej - a nie umiał być dla tej białej glisty, która mogła się wydawać ładna. Z tamtą coś go wiązało, przynajmniej odrobina zaufania, tej - nie ufał, musiał się jej nieustannie obawiać. Najważniejsze jednak, że on, Bulow, potrzebował jakiejś duchowej więzi z kobietą. To nie mogła być więź polegająca na zadawaniu jej bólu. Dlatego nie wziął Weroniki, gdy sama do niego przysła owej nocy...

Podszedł do szafy w ścianie, wyciągnął z niej starą walizkę, swój płaszcz i kapelusz. Wrzucił do walizki trochę rzeczy - skarpetki, koszulę, pidżamę i podkoszulki, żeby walizka miała swoją wagę. Narzucił płaszcz, wcisnął na głowę kapelusz. Wziął ze stolika strzykawkę i igłą ukłuł Yvette w udo. Nie zareagowała. Nakrył ją kołdrą, żeby nie zmarzła, i poszedł do sypialni Bernadetty. Chłopak też spał bardzo mocno.

Drzwi do mieszkania pozostawił otwarte, za to starannie swoim kluczem zamknął bramę domu. Taksówkę złapał szybko i polecił się zawieźć na lotnisko. Po drodze, przy kanale kazał się taksówkarzowi zatrzymać, mówiąc, że musi koniecznie oddać mocz. Do wody wrzucił

pistolet Webera i nóż sprężynowy. Podarł paszport, na którym był bez brody i wąsów; strzępki paszportu też znalazły się w cuchnącej wodzie kanału. Gdy wracał do taksówki, doznał zadziwiającego uczucia - miał wrażenie, że towarzyszy mu jakiś osobnik trochę do niego podobny. Jego obecność odczuwał od pewnego czasu, jednak dopiero teraz mógł go niemal dotknąć. Wiedział, jak tamten wygląda, kim jest i za czym tęskni. W drodze do "Dębowej Altany" tamten drugi jechał obok niego, ich myśli mieszały się z sobą, tworząc jakąś wewnętrzną psychiczną dysharmonię. W "Dębowej Altanie", a także potem, na Dapperstraat, tamten nagle gdzieś przepadł i znowu istniał tylko Kristopher Bullow, który dyktował sobie każdy postępek, każdy krok, każdy gest. To Kristopher Bullow otwierał skrytkę w łazience, usłyszał trzask iglicy, zaniósł nieprzytomnego chłopaka na tapczan Bernadetty i potem tak swobodnie rozmawiał z Yvette, dopóki nie zasnęła. Ten sam Bullow pomyślał natychmiast, że Yvette będzie wspaniałym prezentem dla firmy, ponieważ dla Bullowa zawsze liczyła się firma. Wyobraził sobie, że za kilka miesięcy lub za pół roku powtórzy się scena, w której kiedyś on był głównym bohaterem. Jakiś młody mężczyzna znajdzie się na Dapperstraat i z budki telefonicznej zapyta Yvette: "Czy to pan Feldman?" A potem zacznie podróżować, jak podróżował Bullow, może nawet każe się rozliczyć Weberowi z zysków, jakie przynosi motel "Dębowa Altana". A potem kiedyś i gdzieś spotka człowieka podobnego do Ivo Bundera i być może zostanie zdradzony, jak wielu przed nim i wielu po nim. Potężna i skomplikowana machina firmy żywiła się informacjami, istniała tylko poprzez informacje i setki oczu wypatrujących twarzy innych ludzi, śledzących ich postęпки, wychwytyjących wypowiedziane słowa. Machina firmy nie była bezduszna, potrafiła troszczyć się o swoich ludzi, martwiła się ich kłopotami, dbała o bezpieczeństwo. Oczywiście musiały się zdarzać wypadki przy pracy, podobne do tego, jaki przydarzył się Bullowowi. Firma była trochę jak ojciec, a ludzie pokroju Bullowa jak dzieci tego ojca, który nie zawsze bywa w dobrym humorze, potrafi skarcić, upomnieć, ale przecież żywi i chroni, a przede wszystkim kształtuje ich osobowości zgodnie ze swoim życzeniem i ze swoimi potrzebami. Aż dziwne, jak bardzo głęboko ich firma potrafiła zakodować w psychice ludzi pewien sposób myślenia i odczuwania. Kiedy Yvette zażądała, aby Bullow ją rznął, Bullow doznał nawet wzwodu członka, bo przecież w czym jak w czym, lecz w tych sprawach był kiedyś mistrzem, robił to z przyjemnością lub bez przyjemności z różnymi kobietami, nawet z Bernadettą, a także z Yvette. Lecz wtedy poczuł w sobie tego drugiego, który ubzdurał sobie, że istnieje miłość wielka i prawdziwa. Tamten narzucił mu odrazę do ciała Yvette, do jej krwawych podbiegnięć na plecach, do jej zboczonej zmysłowości i ostudził pożądanie. Tak jest, na pewno istniało ich dwóch, Bullow i ten drugi. I obydwaj musieli wymknąć się z tego przeklętego miejsca.

Na lotnisku udało mu się kupić bilet na poranny rejs, o świcie. Kilka godzin przesiedział na miękkiej kanapie w poczekalni, udając, że bardzo pilnuje swojej walizki. Chciał zasnąć, lecz nie potrafił. I to wcale nie dlatego, że się bał, aby go ktoś nie rozpoznał mimo starego paszportu, sztucznej brody i wąsów. Czuł się zupełnie inaczej niż wówczas, gdy z Eryką uciekali przed zdradą Bundera. Nie bał się niczego i nikogo, strach w ogóle nie wchodził w grę. Nosił w sobie pewność, że wszystko musi potoczyć się dobrze, Harry i Yvette obudzą się dopiero w południe, gdy on już będzie bardzo daleko. Nie pozwalało mu zasnąć nurtujące go pragnienie, aby znowu spotkać tego drugiego tkwiącego w nim osobnika i szczerze sobie z nim pogadać - bez słów. Niestety, tamten był sprytny i krył swoje tajemnice, jak gdyby mu nie ufał lub bał się Bullowa.

Po północy poszedł do jednego z barów, aby coś zjeść. Posilił się, wypił kawę i choć nie lubił alkoholu, poprosił o kieliszek wódki. Bezmyślnie gapił się w senną twarz barmana, chyba Molukańczyka. W zasięgu jego ręki znalazł się jeden z wielu reklamowych długopisów, którymi posługiwał się barman, podsumowując rachunki gości. Bezwiednie sięgnął po ten długopis, wziął papierową serwetkę i narysował na niej osobnika z długimi włosami, z brodą, wąsami, w kapeluszu i prochowcu, z walizką w ręku. To było niezdarne przedstawienie Kristophera Bullowa, trochę takiego, jakim był kiedyś, a trochę, jakim był teraz, na wysokim stołku barowym, oczekując na poranny rejs samolotu. A potem sięgnął po jeszcze jedną serwetkę i najpierw niezdarne przedstawił na nim konia. Wysoko uniesiony łeb, rozwiana grzywa. Ten koń przypominał osła lub muła, ale to nie miało znaczenia. Najważniejsze, że na grzbiecie konia znalazło się siodło, a na tym siodle zaznaczona kilkoma kreskami postać ludzka. Dorysował jeszcze tło - kilkanaście pionowych kresek, które miały przedstawiać leśne drzewa.

Wypił kieliszek wódki i poczucie rozdwojenia zniknęło zupełnie. Był tylko jeden osobnik na stołku barowym. On pragnął znaleźć się w stajni obok izabelowatej klaczy, wciągnąć w płuca zapach jej potu, narzucić na nią siodło i wyjechać w las, zatonać w jego ogromie jak w spokojnym jeziorze. To nieprawda, że las był zły i zabierał ludziom dusze. Ludzie sami niszczyli własne dusze, pokrywając je brudem, którego nie potrafili zmyć nawet w okrągłych wannach, używając najdroższych szamponów. Las był piękny i czysty do tego stopnia, że potrafił oczyścić z brudu człowieka takiego jak Bullow. Bo dlaczego ktoś taki jak Bullow wskrzeszał jakiegoś tam starego Horsta Sobotę, bronił go przed złem, jak pies pilnował jego domu z kolorowym gankiem. To przecież tam, w wielkim lesie, Bullow pojął, że istnieje na świecie miłość wielka i prawdziwa, dla której nie ma znaczenia, w jaki sposób mężczyzna rżnie kobietę, czy robi to długo, czy krótko, od przodu czy od tyłu, na niej lub pod nią, na stole czy na podłodze. Jakże pociągająca i podniecająca wydawała mu się tajemnica Weroniki, z pozoru tak banalna, jak tylko banalna być może historia zgwałconej i pełnej urazów dziewczyny. Zarazem była ona jednak zupełnie niezwykła i niepowtarzalna, ponieważ nic na świecie, co się tyczy człowieka, nie wygląda tak samo i nie jest tym samym.

Podarł na strzępy serwetki z rysunkami i wrzucił je do kosza. Zdawał sobie sprawę, że to gest magiczny, lecz przecież magia była tak stara jak ludzkość. Zaraz też poczuł w sobie ulgę; przestał być Bullowem i także tym drugim. Zrodził się ktoś trzeci i to on miał odlecieć porannym rejssem.

W barze stała szafa grająca, od czasu do czasu puszczana w ruch przez jakiegoś podróżnego. Chciał znowu usłyszeć piosenkę Petera, słowa z pytaniem o to, ile śmierci trzeba przeżyć, aby zrozumieć, że zbyt wielu ludzi umarło. Nie znalazł płyty z tym nagraniem. Bullowowi wydało się to symboliczne. Znaczyło chyba, że świat Bullowa już umarł, należało stanąć przed lustrem i zdjawszy kapelusz powiedzieć do siebie: "Cześć, panie Bullow". Oczywiście tylko w wyobraźni, bez żadnych teatralnych scen, urządzanych nawet dla samego siebie. Żadne gesty nie są potrzebne, "wykrywacz kłamstw", testy psychologów w firmie doskonale natychmiast wykażą, że Bullow już się rozsypał, a raczej zamieszkał w nim ktoś inny.

Odleciał o świcie i później odbyło się wszystko zgodnie z obowiązującymi w firmie zwyczajami. Jeszcze przed Bożym Narodzeniem wylądował w kawalerce nawet częściowo

umeblowanej, ale tak pozbawionej drobiazgow, że nawet trudno było stwierdzić, czy dotąd zamieszkiwała ją kobieta czy też mężczyzna. Dopiero w tydzień po wprowadzeniu się jeden z sąsiadów zapytał go poufnie, ile też zapłacił odstępnego temu panu, który dawniej zajmował kawalerkę. Zająć mu nie brakowało i nie mógł narzekać na nudę. Dwa razy w tygodniu miał wykłady dla pracowników firmy, mówił zresztą do kamery telewizyjnej, słuchacze obserwowali go jedynie na monitorach, ponieważ ani on nie mógł ich znać, ani oni siebie wzajemnie. W styczniu i lutym zaczął go odwiedzać w jego mieszkaniu młody mężczyzna. Był niski, miał ciemne, długie, lekko falujące włosy. Mówił dobrze po niemiecku i francusku, z wielu drobnych szczegółów Bullow wywnioskował, że tamten przebywał przynajmniej kilka lat za granicą, najpewniej w Wiedniu. Godzinami opowiadał temu człowiekowi o Bunderze, o zwerbowanych przez siebie pracownikach firmy, o "Dębowej Altanie", o Yvette i sklepie przy "pchlim targu". Rozmawiając z nim wiedział, że znowu pracuje dla firmy, i ta jego praca dawała mu przyjemność, gdyż wraz z tym młodym człowiekiem jeszcze raz w wyobraźni chodził znanymi sobie ulicami, spotykał znanych mu kiedyś ludzi. Każdy szczegół mógł być ważny, dlatego tak długie wędrówki odbywali; opisał dokładnie nawet miejsce, w którym kiedyś cumował statek, stanowiący mieszkanie Yvette i jej męża. Później na jakiś czas urwały się te spotkania, a kiedy powrócili do nich, dowiedział się, że jego mieszkanie przy Square Severine jest opieczętowane. Ktoś z jego sąsiadów rozpoznał na zdjęciu w gazecie człowieka, który je zajmował. Policji nie udało się trafić na dalszy ślad Bullowa, dlatego "Dębowa Altana" prosperowała bez kłopotów tak jak dawniej. Podobnie Yvette i Harry spokojnie prowadzili sklep z rowerami; młody mężczyzna kupił u nich dziecięcy rowerek, który w godzinę później odprzedał na "pchlim targu". Bullow instruował młodzieńca dość dokładnie:

- Na pierwsze spotkanie z Yvette oczywiście się nie zjawisz, tylko będziesz obserwował, z kim przyjdzie i jak się zachowa. To szalona dziewczyna i może zrobić jakieś głupstwo. Dopiero trzecie spotkanie w wymyślonym przez ciebie miejscu może być właściwe. Nie angażuj się, przyjacielu, osobiście w żadną ze spraw. Yvette kocha pieniądze i wie o "Dębowej Altanie". Każesz jej pojechać do Hansa Webera i napomknąć mu, że policja może się dowiedzieć o zatopionym w rzece skradzionym samochodzie. Niech Yvette zażąda zysków, jakie miał Bullow, i niech te zyski otrzymuje w zamian za usługi, jakie ci będzie świadczyć. To ona powinna przejąć obok Webera kontrolę nad motelem. Być może Weber na początku zechce ją jakoś brutalnie załatwić, dlatego nieco wcześniej zamieszkaj w tym motelu i miej na nią baczenie. Pamiętaj, że podsłuch jest w pokojach od numeru pierwszego do dziesiątego. Jeśli Weber załatwi Yvette, wtedy ty będziesz miał go podwójnie w rękę i zrobisz z niego miękkie ciasto. Pamiętaj, nigdy nie występuj osobiście. W twoim imieniu niech wszystko załatwia Yvette, bo ona kocha pieniądze. Zyski z "Dębowej Altany" oraz strach przed tobą będą ją mocno wiązały z naszą firmą. Ona nie może wiedzieć, o jaką tu chodzi firmę, ale odtąd to jej kochanek Harry ma prowadzić sklep, ona zaś zacznie jeździć i załatwiać różne sprawy dla ciebie. Od czasu do czasu rznij ją, wzięwszy do ręki porządny bat, ona to lubi i to ją do ciebie przywiąże tak samo mocno jak pieniądze.

- A Bullow? - zapytał młody człowiek. - Jaki ma być koniec Bullowa?

- Żaden - odparł. - Często powołuj się na niego i jego polecenia. Zasłaniaj się nim, ile razy zechcesz. Strasz nim i jego pojawieniem się. Kiedy ci przestanie być wygodny, daj nekrolog w

gazecie, że zginął w wypadku samochodowym albo coś w tym rodzaju.

- Ta Yvette jest ładna? - upewniał się młody człowiek.

- Tak. I ponętna - zgodził się Bullow.

Te rozmowy były nagrywane i Bullow oddał taśmy firmie. Młody mężczyzna zniknął mu z oczu pod koniec lutego i odtąd Bullowowi było trochę nudno, gdyż wraz z nim na zawsze odeszło jego dawne życie. O los młodego człowieka, o Yvette i Webera oraz innych - nie pytał w firmie, bo i tak nie otrzymałby odpowiedzi. To mu pozwoliło uświadomić sobie o wiele lepiej niż co innego, że znalazł się poza nawiasem spraw, które potrafił dawniej robić. Nawet te wykłady dawali mu chyba trochę z łaski. Jego dawny szef zapytał go, czy nie zechciałby pracować jako kadrowiec w zakładzie budującym cukrownię za granicą. Odmówił. Odtąd już nigdy nie zobaczył swojego szefa.

Czy nigdy nie myślał o wielkim lesie, o starym Horście, o Weronice, a nawet o izabelowatej klaczy? Oczywiście, często powracał w wyobraźni do tamtego skrawka swojego życia, ale w warunkach pracy dla firmy nawet kontakt z Eryką uznany zostałby za naganny. To były zamknięte rozdziały książki, tylko głupiec mógłby sobie pozwolić, aby je odczytywać na nowo lub dopisywać ciąg dalszy.

Nie tęsknił też za obecnością w swoim życiu jakiejś kobiety. Dwa razy wyprawił się do nocnego lokalu, spotykał tam jednak tylko dziwki, do których czuł obrzydzenie. Owszem, kilkakrotnie w tramwaju i autobusie bez trudu nawiązał jakieś znajomości z kobietami, przelotne i krótkotrwałe, ponieważ przekonał się, że stało się z nim znowu to, co kiedyś: wrócił lęk, że nie okaże się mężczyzną. Nie musiał pytać lekarza, aby wiedzieć, że to mu z czasem przejdzie, lecz na razie było, jak było, podniecało go tylko wyobrażenie Weroniki broniącej się przed gwałtem, obnażonej w walce z mężem i trzymającymi ją mężczyznami. I podobnie jak podczas pierwszych nocy spędzonych w leśniczówce Kuleszy powracała myśl o miłości wielkiej i prawdziwej, bez której poruszanie się w kobiecie było czynnością monotonną i irytującą jak skrzypienie łóżka 'nad głową.

W połowie marca wezwano go do kadr. Kierownik wydziału trzymał w ręku czyjś dowód osobisty, nie pokazał mu go jednak.

- Sprawa tak się przedstawia, że niejaki Horst Sobota zmarł i pozostawił niejakiemu Józefowi Marynowi dość spory majątek, zdaje się, dom i duży sad oraz sporo grosza. Ten Maryn nie musi się po to zgłaszać, majątek przejmie skarb państwa. Ale tam jest jakaś młoda i energiczna kobieta, która szuka owego Maryna, i to dość uparcie. Zgłosiła zaginięcie na milicji i rozpoczęto oficjalne poszukiwania. Bardzo uparta kobieta, nie da się jej spławić byle czym. Wyobraźcie sobie, że dotarła aż do nas.

- Czy to mało ludzi ginie na drogach, topi się w jeziorach? - powiedział Bullow, choć serce mu mocno zabiło.

- Tak, oczywiście. Ale trzeba by zaraz zrobić grób, dokumenty, protokoły śmierci. Inaczej

nie można. W naszym kraju człowiek nie powinien zniknąć jak kamień w wodzie. Szczególnie teraz, kiedy każde zniknięcie może wywołać rozmaite komentarze. I tak nie macie już tutaj nic specjalnego do roboty, więc może najlepiej będzie, jeśli pojedziecie objąć ten mająteczek, uspokoić tę kobietę. Oczywiście pozostaniemy w kontakcie... Wasza pensja będzie dalej wypłacana, choć nie bezpośrednio na wasze ręce.

Podsunał mu dowód osobisty z nazwiskiem Józef Maryn. Ten sam, który nosił przy sobie jako strażnik łowiecki.

- Czy to pożegnanie z firmą?

- Z firmą nie można się pożegnać - usłyszał. - To po prostu bezterminowy urlop. Niewykluczone, że bardzo długi. Ale to, że ta kobieta robi w tej sprawie tyle wrzawy, nie świadczy o was dobrze.

A więc nagana. Po tylu latach pracy lekka nagana, i zupełny brak radości z powodu faktu, że czeka go specjalny rodzaj swobody, będzie mógł pojechać do domku z gankiem i kolorowymi szybkami. Ów dom bez starego Horsta Soboty wydawał mu się niewiele wart, nawet gdy uświadomił sobie, że stał się jego właścicielem. Bo co z nim robi? Przecież nie będzie tam mieszkał, zajmował się sadem i Weroniką. Najlepiej, jeśli przekaże tę własność Weronice. Cóż z tego, że kiedyś złamała przykazanie Horsta i wyszła za mąż za leśnika, skoro później to wszystko starała się naprawić. On, Józef Maryn, zwróci tej kobiecie to, co jej było należne.

Tak, Weronika. Właśnie Weronika. Najbardziej bał się spotkania z tą młodą kobietą. Poznał już jej niechęć do siebie, a nawet swoisty rodzaj wrogości. To nic, że szukała go gorliwie, aby wypełnić testament Horsta Soboty. Robiła to prawdopodobnie tylko po to, aby dom i sad nie przeszedł na skarb państwa i nie pochłonął go wielki las. Zresztą chyba słusznie nie lubiła Maryna, ponieważ niespodziewanie wtargnął w życie Soboty, a potem zabrał wszystko, co się jej należało.

Czy w ogóle musiał tam jechać? Nie wystarczyło napisać listu do Weroniki i rejenta, umówić się na określony dzień i godzinę, dokonać przekazania własności na rzecz Weroniki. Nie był przecież już ani Bullorem, ani też Marynem, który przemierzał las na izabelowatej kłaczy i pomagał Horstowi w walce z lasem. Stał się kimś trzecim, osobowością, jakiej jeszcze sam nie zdołał zgłębić. Po Marynie pozostało w nim przeczucie, że istnieje miłość wielka i prawdziwa oraz podniecająca wyobraźnię scena, gdy obnażona Weronika broniła się przed mężem i nowym gwałtem. Znowu miał patrzeć w jej oczy, zastanawiając się, dlaczego wówczas po prostu odszedł i nawet nie usiłował jej bronić. A jednak - gdy myślał o swoim obecnym życiu - to właśnie Weronika, dom z gankiem, sad i wielki las okazywały się jedyną nicią, która łączyła go z rzeczywistością, jakąś krętą ścieżynką prowadzącą do poznania swej nowej osobowości.

Po namyśle napisał do Weroniki krótki list, że wkrótce przyjedzie do Mordegów.

Rozdział piętnasty

Było wczesne przedwiośnie; Józef Maryn, ubrany w futrzaną czapkę i kupioną na bazarze wojskową kurtkę, wysiadł na przystanku autobusowym w Mordęgach i najpierw poszedł wzdłuż szosy aż do skraju wielkiego lasu, a potem skręcił w piaszczystą drogę. Świeciło mocno południowe słońce, drogę przegradzały kałuże wody po stopionym śniegu. W lesie, w miejscach, gdzie rosły świerki, leżały płaty brudnego śniegu. Cały las wydawał się trochę brudny, na młodych dębach wisiały strzępki zeszłorocznych liści, żółtych lub czerwonych. Ściółka, która wylazła spod śniegu, była aż czarna i lśniła od wilgoci. Nagie konary buków rysowały się w tle niebieskiego nieba jak szara pajęczyna. Nie czuło się wiatru, a jednak las cicho szumiał.

Tu i ówdzie odmarzło już jezioro i połyskiwało w słońcu oczkami wody. Pozostała powierzchnia wyglądała jak poplamione prześcieradło, miejscami podarte i wystrzępione. Rude pałki trzcin były połamane od zimowych wichrów i brzegi jeziora wyglądały jak ogromne pobjowisko.

Maryn chwilę zerkał na las. Zastanawiał się, czy jeszcze rozumie jego mowę i co też w tej chwili ów wielki las mówi do niego. Potem ujrzał sad i czerwony dach domu Horsta Soboty, zaśniły w słońcu kolorowe szybki na ganku. Sad też był martwy, podobnie jak martwy wydawał się las, ale wszystko to miało wkrótce ożyć na nowo, okryć się kwiatami w powietrzu wypełnionym brzęczeniem pszczół i trzmieli. Tylko Horst Sobota był naprawdę martwy, a wraz z nim umarła jego nienawiść do lasu. Marynowi wydawało się, że on sam jest także jak ten sad i ten las, z martwymi wspomnieniami, które miały na nowo ożyć. Dopiero teraz pojął, że przez te kilka miesięcy tęsknił za widokiem lasu i sadu, ale ukrywał tę tęsknotę jak coś wstydlivego. Ktoś - może ten wielki las poprzez swojego wroga Horsta Sobotę - darował mu nowe życie i własny kawałek ziemi pod stopy, dach nad głową i sąsiedztwo lasu, który już zdążył przenieść małe brzoźki na drugą stronę piaszczystej drogi. Nie umarła więc wraz ze starym Horstem jego nienawiść do lasu, bo była też i miłością, wielkim uczuciem, jakiego potrzebuje człowiek dla osiągnięcia pełni.

Staął za furtką przy bramie i zza węgła domu wybiegł Ivo. Nie wierzył własnemu powonieniu, własnym oczom i uszom. Na chwilę zamarł, stał się podobny do statuy, a potem przywarł do ziemi i zaczął wolno czołgać się w kierunku bramy. Im bliżej był Maryna, tym głośniejszy stawał się jego radosny skowyt. Maryn wszedł za furtkę, wtedy pies rzucił się na niego, starając się dosięgnąć językiem twarzy. Zachwiał się Maryn pod ciężarem wielkiego cielska, potem zaczął głaskać psie futro, czując pod dłonią, jak ciało zwierzęcia dygoce z zaspokojonej tęsknoty. Ale ta radość musiała znaleźć jakieś ujście - podkulił ogon i zaczął biegać w kółko po podwórzu, w coraz większych podskokach.

Z drzwi sieni wyszła Weronika. W ciemnej sukience, okryta czarną wełnianą chustką. Nie zobaczył uśmiechu radości ani niechętnego skrzywienia ust. Jej twarz zdawała się nie wyrażać żadnych uczuć. "Ona też jest z pozoru martwa jak ten las i sad" - pomyślał. Zamierzał ją

przywitać uściskiem ramion albo pocałować w rękę, ale sam nie wiedząc czemu - wstrzymał się. Nie uśmiechnął się, choćby tym swoim zawodowym uśmiechem. Był poważny, a nawet surowy. Wątplym gestem zaprosiła go do domu, do kuchni. Tam jej powiedział:

- Dopełnię formalności spadkowych, a potem i dom, i sad przepiszę na ciebie, Weroniko. Stary Horst był szalony, gdy mnie darował swój majątek. On należał się wyłącznie tobie. |

- Nie mów tak. Nie był szalony. Nie pozostanę tu sama. Tego domu i sadu trzeba bronić, a ja jestem na to za słaba.

- Wciąż chcą ten dom zagarnąć?

- Nie dalej jak wczoraj był tu nadleśniczy Tarchoński. Nie wiedział, że cię odnalazłam. Oświadczył mi, że majątek po Horście przejmie skarb państwa, a oni go od państwa dostaną.

- A Horst? Co ci zapisał Sobota?

- Nic - wzruszyła ramionami.

- Nie masz do niego żalu? - Zrobił dobry wybór.

Chciał widzieć jej oczy w chwili, gdy wypowiedziała te słowa. Lecz chyba celowo pozostawała odwrócona do niego plecami i pokrojony boczek rzucała na patelnię. Irytowało go, że nie mógł choć przez chwilę zobaczyć jej oczu, zrozumieć lub domyślić się jej uczuć.

- Tylko ja wiem, gdzie on ukrył pieniądze - odezwała się znowu.

- Mogłam je zabrać i wyjechać. Ale mi nie pozwolił.

- Co to znaczy, nie pozwolił?

- Znalazłam odpis jego testamentu, który zrobił u rejenta. Rejent nie chciał ułożyć testamentu według jego woli. Dlatego on sam, własną ręką dopisał na nim jeszcze to, co ci chciał darować.

Wyszła z kuchni i po chwili wróciła z kopertą, w której był testament Horsta Soboty, z wielką urzędową pieczęcią rejenta. Maryn przeczytał tylko dopisek, zrobiony piórem, gotyckimi literami: " Daruję ci też, Józwa, psa Ivo, izabelowatą klacz oraz kobietę, która jest w moim domu".

Maryn wzruszył ramionami.

- Nie można nikomu darować kobiety...

- Tak mu też powiedział rejent. Ale Horst nie dał sobie tego wytłumaczyć. Znalazł mnie w lesie i uważał za własność.

Teraz siedziała naprzeciw niego, po drugiej stronie stołu, a między nimi leżał testament Horsta Soboty. Nie śmiał jej spojrzeć w oczy, bo bał się, że zobaczy w nich łzy upokorzenia. Rzucił na nią tylko jedno ukradkowe spojrzenie, ale ta twarz wciąż mu się wydawała maską, bez wyrazu, bez przejawu jakichkolwiek uczuć.

- Ja nie mam dokąd pójść, Józwa - powiedziała. - Oczywiście, mogę zabrać jego pieniądze, bo tylko ja wiem, gdzie są ukryte, a on o nich w testamencie nie mówi ani słowa. Nie potrafię jednak żyć gdzie indziej. Zresztą on mnie tobie darował i muszę tu pozostać. Za wiele mu kiedyś wyrządziłam krzywd, aby okazać teraz nieposłuszeństwo. Dam ci te pieniądze, gdyż będziesz musiał zapłacić duży podatek spadkowy. Majątek Horsta oszacowano bardzo wysoko.

- Ten dom i ten sad jest tak samo mój, jak i twój - oświadczył.

- Nie mów tak już więcej. Myślisz, że sprawisz mi tym radość albo przyjemność? Twoje słowa znaczą, że chcesz mi oddać wszystko i odejść stąd. Jeśli zamierzasz sprzedać dom i sad, to i mnie będziesz musiał sprzedać. Albo zabrać ze sobą.

- To szaleństwo. Nie można darować kobiety...

- Nie mów w ten sposób - ton jej głosu stał się ostrzejszy. - Wielu twierdziło, że on jest starym wariatem, bo mówił czasami tak dziwnie. Ty i ja wiemy, że on nie był szalony. Las chciał mu zabrać i dom, i sad, i chce tego nadal. Nie wiem, co ze mną zrobisz, Józwa, ale to pewne, że należę do ciebie.

Mówiła to tak stanowczo, że odważył się popatrzeć jej w oczy. Ona była chyba szalona, podobnie jak stary Horst. Albo po prostu, z powodu długiego obcowania z Horstem, zaraził ją swoim szaleństwem. On, Maryn, nie ulegnie temu. Ona zaprowadzi go do skrytki z pieniędzmi starego Horsta, wówczas powie jej: "Bierz te pieniądze i wolność. A jeśli chcesz pozostać tutaj, to tylko jako wolna kobieta".

Odwzajemniła mu spojrzenie. Popatrzyli sobie w oczy i on pierwszy spuścił wzrok, ponieważ nie znalazł w jej oczach szaleństwa, lecz twarde postanowienie.

Wyszedł na podwórze i w towarzystwie skaczącego radośnie psa zajrzał do stajni. Izabelowata klacz żuła obrok i nie zwróciła na niego uwagi. Zobaczył wiszące na ścianie swoje siodło i pejcz. Pomyślał: "Tarchoński myśli, że dostanie ten dom i sad. Ale to mu się nie uda, dopóki ja żyję". Przypomniał sobie Tarchońskiego, jak trzymał Weronikę. Za to, co się wtedy stało, czuł do siebie obrzydzenie, podobnie jak do Tarchońskiego. Lecz właśnie ta chwila budziła w nim podniecenie.

Dotykał palcami ciepłej szyi klaczy i dziwił się, jak łatwo zło przekształca się w dobro, ono zaś niejednokrotnie owocuje złem. Był dla Soboty uosobieniem zła, a przecież Sobota obdarzył go za to dobrem. Podobnie tartak stanął nie w żwirowni, lecz obok leśniczówki Stęborka. Wielki las dał Marynowi duszę, choć innym - być może lepszym od niego - tę duszę odbierał.

- Nie przywiozłeś ze sobą żadnych rzeczy - zauważyła, gdy wrócił do kuchni i siedli do obiadu. - Czy to znaczy, że nie zostaniesz tutaj na dłużej?

- Mogę zostać tak długo, jak zechcę - odparł.

Po obiedzie poszedł do wioski na cmentarz, aby - jak- przystało na spadkobiercę - odwiedzić grób człowieka, który go hojnie obdarował. Pochowano starego Horsta zimą, na mogile leżały twarde, żółtawe grudy gliny; dopiero ciepło wiosenne i deszcze powinny je rozsypać. Prosty krzyż z blaszaną tabliczką informował o nazwisku oraz imieniu zmarłego, o dacie jego urodzin i śmierci. Na cmentarzu rosły grube lipy, w ich gałęziach świstał wiatr. Nie był to jednak głos lasu i Maryn pomyślał, że źle zrobiono chowając zmarłego tak daleko od owego zbiorowiska drzew, zwanego Wielkim.

Powracając do domu o wczesnym zmierzchu myślał, że znowu zasiądzie przy stole naprzeciw Weroniki. Gdy jadł z nią obiad, zdjęła z siebie czarną chustkę i siedziała w granatowej sukience ze stójką. Zadziwiła Maryna jej uroda. Śmierć Horsta, a może samotność przydały jej twarzy wyrazu subtelności. Odkrył też jakiś ogień w czarnych oczach. Wydawała się bezbronna i słaba, a przecież wyczuwał w niej Maryn jak gdyby ogromną moc, wolę, zdecydowanie. Nie unikała spojrzeń Maryna, nie opuszczała wzroku, kiedy na nią patrzył, tylko że nic nie potrafił wyczytać z tych oczu. Obecność Maryna zupełnie jej nie trwożyła, ruchy miała spokojne, wyraźnie zaznaczające się piersi podnosiły się równo, nie falowały, jak to zdarzyło mu się zauważać, gdy znalazł się sam na sam z młodą kobietą. Jaką przyszłość widziała dla niego i dla siebie w tym domu? Jak zamysliła ułożyć swoje stosunki z mężczyzną, na którego została skazana? Odnosił chwilami wrażenie, że ona już dawno wszystkie te sprawy przemyślała i oczekiwała jego powrotu, świadoma każdego swojego gestu i słowa. Czyżby zapomniała, jak uciekła z krzykiem z jego łóżka? Na jakiej zasadzie miało się ułożyć ich współżycie w tym domu - i to nie przez dzień, tydzień czy miesiąc albo rok, skoro jak sama rzekła - chciała, aby to trwało długo.

Im bliżej był domu, tym bardziej zwalniał kroku. Lękał się słów, które mu wypadnie powiedzieć, gdyż to musiały być słowa nijakie, ot, po prostu: "Jestem zmęczony, czy w moim dawnym pokoju jest pościel na moim dawnym łóżku?" Nazajutrz zapyta ją o stan sadu. O to, co trzeba w nim zrobić, aby go przygotować do wiosny. Takie nijakie słowa i zdania być może mieli wypowiadać przez dnie, tygodnie, miesiące. Zapewne nie będzie pytała o to, co się z nim działo. Ucieszył się z tego, ale także odczuł pewną przykrość. Będą więc jak dwoje obcych ludzi, nieustannie ocierających się o siebie pod jednym dachem, przy jednym stole. Czy może być coś bardziej przerażającego? Ale czy do tej pory kiedykolwiek żył z jakąś kobietą na innej zasadzie? Czy stali się sobie bliscy z Eryką? Czy nie jedyną więź z kobietami stanowiły wybuchy namiętności, przeżyta rozkosz?

W kuchni oślepił go blask jasno świecącej lampy. Chwilę stał w progu, wtedy podeszła do niego Weronika i zrobiła gest, aby podał jej futrzaną czapkę i kurtkę. Powiesiła je w sieni, a ponieważ on ciągle stał na środku kuchni, nie wiedząc, co powiedzieć i co dalej robić, rzekła rozkazująco:

- Umyj ręce i siadaj do stołu. Kolacja już gotowa.

Był posłuszny. Umył ręce i usiadł przy stole, a ona postawiła przed nim talerz z jedzeniem. Sama usiadła po drugiej stronie stołu.

- A ty? Nie będziesz jadła? - zapytał widząc, że brakuje dla niej nakrycia.

- Nie jestem głodna. Lubię patrzeć, jak jesz...

Milczał. Postanowił nie odzywać się, bo tak naprawdę nie miał nic do powiedzenia. No, może o tym, że trzeba będzie wkrótce postawić Horstowi pomnik.

- Nie przywiozłeś żadnych swoich rzeczy - odezwała się znowu. - Są wyprane i wyprasowane pidżamy Horsta. Czy przynieść ci którąś?

- Nie. Lubię spać nago.

- Będę musiała pojechać do miasta i kupić ci bieliznę. Koszule, skarpetki. Nie jest teraz łatwo o te rzeczy.

- Wiem - kiwnął głową.

Jadł wolno; nie miał apetytu. Coś go niepokoiło w zachowaniu tej kobiety. Przede wszystkim naturalność, oczywistość spraw, które robiła i o których mu powiedziała. Miał ochotę wstać od stołu, wziąć czapkę, kurtkę i wyjść na szosę. Wrócić tam, skąd przybył. Niepotrzebnie przyjął dar Horsta Soboty. To była jakaś pułapka.

- Nie smakuje ci? - zapytała widząc, że przestał jeść.

- Nie jestem głodny.

- Wypij herbatę i połóż się spać. Zmęczyła cię podróż.

Wiedział, że ona ma rację, on jest naprawdę zmęczony. Te wszystkie obawy i lęki wynikają właśnie ze zmęczenia, z przewrażliwienia, jakie wciąż w nim było. Iluż mężczyzn chciałoby być w jego sytuacji, stać się właścicielem domu i sadu i tak wspaniałego kobiecego ciała. "Wszystko się jakoś ułoży" - pomyślał, popijając gorącą herbatę i paląc papierosa.

Weronika krzątała się po kuchni. Wolno, swobodnie, bez skrępowania, że patrzy na zarys jej piersi, bioder, na ruchy jej ramion, uczesanie, na twarz i usta.

- Skąd wiedziałaś, że jednak wrócę? - zapytał.

- Horst tak mówił. Ja mu wierzyłam. Raz w życiu nie dałam mu wiary i źle na tym wyszłam. Idź spać - dodała rozkazująco.

Dopił herbatę, zgasił niedopałek papierosa.

- Rozgrzałam piec w sypialni Horsta. Nie jesteś tu już lokatorem, lecz gospodarzem -

znowu ten rozkazujący ton głosu.

Znał drogę do sypialni Horsta Soboty. To był duży pokój z dwoma oknami na las. Pod ścianą stała wielka szafa, pod drugą ścianą dwa wielkie małżeńskie łóżka obok siebie. Nad łóżkiem wisiał krzyż, na podłodze leżał gruby stary dywan. Między oknami znajdowało się lustro i przed nim mały stołeczek z półeczką na kobiece drobiazgi. Ale tych drobiazgów nigdy tam nie widział za czasów Horsta. W sypialni zastał ciepło buchające od pieca i zapalony staroświecki żyrandol z trzema żarówkami. Dwa łóżka obok siebie miały świeżo powleczone pościel. Na każdym leżały dwie poduszki, większa i mniejsza, pierzyny były lekko odchyłone, zapraszając do snu. Na szafce nocnej, obok łóżka po prawej stronie, oprócz lampki zobaczył popielniczkę, postawioną chyba specjalnie dla Maryna, bo przecież Horst Sobota nie palił.

“Czy ona też tu będzie spała?” - zapytał siebie. Odpowiedź była mu obojętna. Nie pragnął kobiety. Weronika mogła bez żadnych obaw położyć się obok niego. Przez chwilę przemknęło mu przez myśl, że ona chce go wypróbować, czy będzie ją chciał wziąć siłą, a wtedy być może rozstaną się na zawsze.

Rozbierał się, gdy do sypialni bez pukania weszła Weronika. Wstydliwie zasłonił się spodniami, ona jednak nawet nie spojrzała na niego. Podeszła do szafy, otworzyła ją i wyjęła nocną koszulę. Wtedy on rozebrał się zupełnie i szybko wsunął pod pierzynę.

- Zamknęłam furtkę i drzwi od sieni - powiedziała. - Dałam klaczy na noc siana. Już wcześniej nakarmiłam psa. On biega po całym obejściu.

Zaczęła rozpinać guziki sukienki, potem zdjęła z siebie bieliznę i widział ją nagą. Piękne, gładkie były jej śniade plecy. Jak harmonijnie poruszały się jej łopatki, wyraźnie i prosto rysował się kręgosłup. Wciągnęła przez głowę niemal przezroczystą koszulę i usiadła na stołeczku przed lustrem. Z szufladki wyciągnęła szczotkę do włosów.

- Ktoś podpalił tartak, ale go już odbudowują. Mówiono, że to Stęborek, to była jednak nieprawda. Stęborek otrzymał plantację nasienną i dom po Kuleszy. Ja dostałam rozwód.

Czesła przed lustrem swoje gęste czarne włosy i opowiadała mu nowiny, jak to niekiedy wieczorem żona swemu mężowi, zanim położą się spać. Ani śladu niepokoju w głosie, ani śladu wstydlivości, skrępowania. Jakby tak trwało od dawna między nimi. Jak gdyby nie miała okaleczonej duszy, nie czuła wstrętu do mężczyzn, jak gdyby zapomniała, że uciekła od niego z krzykiem.

Zapragnął zburzyć jej spokój i powiedział:

- Czy nie masz żalu do Horsta, że darował mi ciebie jak klacz?

- Nie - lekko wzruszyła ramionami i ani na moment nie przestała szczotkować włosów.

- Dlaczego?

- Darował ci dom i sad, klacz, psa i mnie. To jest tak samo, jak gdyby darował nam ciebie.

- Nie rozumiem...

- No tak. Bo skoro ja należę do ciebie, to ty należysz do mnie. Ja tego chciałam. Pragnęłam, żebyś należał do mnie.

- Czy wiesz, co znaczą takie słowa?

- Tak. To od ciebie po raz pierwszy usłyszałam o miłości wielkiej, czystej i prawdziwej. Przez to rozpadło się moje małżeństwo, uświadomiłam sobie, kim jestem i czego pragnę.

"Ona jest tak samo szalona jak Horst Sobota" - pomyślał. To chyba wielki las miał w sobie jakiś bakcyl szaleństwa, którym zarażał ludzi.

Położył się i przymknął oczy. Przypomniawszy sobie ucieczkę skradzionym autem, Hansa Webera, gdy chciał go utopić wraz z samochodem,

Yvette z wypiętym tyłkiem, który gładził młody mężczyzna o imieniu Harry.

Zgasiła światło, położyła się obok niego na drugim łóżku. Nie słyszał jej oddechu i po jakimś czasie odniósł wrażenie, że jest zupełnie sam. Wtedy doszedł go wreszcie głos lasu za oknem - ponury szum drzew rozkołysanych przedwiosennym nocnym wiatrem. Ten głos zdawał się nieść w sobie jakąś ukrytą melodię, przemawiał to głośniejsz, to ciszej, a pod powiekami Józefa Maryna pojawiła się skurczona sylwetka Ivo Bundera, potem zaś widział, jak Bunder przekraczał jezdnię, odchodził coraz dalej i dalej, aż wreszcie odwrócił się do przyjaciela, aby przyjaźnie pomachać mu ręką na pożegnanie. Sennie zastanawiał się, gdzie i za ile można by kupić jakąś inną przeszłość, jakąś nową pamięć, poznać to, czego nigdy nie poznał - tę miłość wielką, czystą i prawdziwą. Wydawało mu się, że las zmienił ton głosu, przemawiał teraz uspokajająco, a nawet czule, chciał ukołysać go jak dziecko, złagodzić cierpienie. I znowu przyśniło się Marynowi, że został przyłączony do "wykrywacza kłamstw", elektrody przyspane do jego ciała piją krew, a jemu jest dobrze, umiera bez męki.

Gdy obudził się rankiem - Weroniki w sypialni już nie było. Zastał ją w kuchni przygotowującą śniadanie. Ogolił się, wykąpał, zasiadł do stołu w ubraniu, w którym tu przybył.

- Przejadę się po lesie - oświadczył Weronice.

Skinęła głową i zasiedli do śniadania. Ona jednak nie jadła, tylko wpatrywała się w niego. Wiedział, że chce mu coś powiedzieć i zbiera słowa. Nie zamierzał jej w tym pomagać, ponieważ nie miał pojęcia, o czym pragnęła z nim mówić.

- Chcę wiedzieć, czy zostaniesz tutaj, czy też muszę zbierać swoje rzeczy - odezwała się w końcu.

- Nie umiem ci tego powiedzieć. Sam nie wiem. Byłem bardzo daleko i przeżyłem bardzo wiele. Nie jestem już tym samym człowiekiem, który pojawił się tutaj wiosną. Coś we mnie umarło, a coś ożyło.

- Tak jak i we mnie...

- Nie ma już Horsta - rzekł Maryn.

- To prawda. Nie jest i nie będzie nigdy tak jak dawniej. Ale przecież tu jest twój dom, twój sad, twój pies i twoja klacz. Horst tłumaczył mi, że takiego mężczyznę jak ty można zatrzymać, jeśli da mu się kobietę. Powiedz mi słowo, sprowadzę ci kelnerkę z Gaud.

- Nie chcę - rzekł gniewnie. - Już ci to raz mówiłem.

- Horst zamierzał jechać do miasta po piękną kobietę dla ciebie. Po taką, jakie lubisz. Mogę to zrobić za niego.

- Nie potrzebuję. Chciałem kiedyś przeżyć miłość wielką, czystą i prawdziwą. Ale to były mrzonki. Nie ma takiej miłości, a już na pewno nie mogą jej dać dziwki.

- Twoja była żona Eryka opowiadała mi, że miałeś w swym życiu setki kobiet. W gruncie rzeczy niczym innym się nie zajmowałeś, tylko kobietami.

- Bzdury. Zresztą to było dawno.

- Masz jakąś kobietę?

- Nie,

- Dlaczego nie wzięłeś mnie tej nocy? Leżałam obok ciebie i czekałam na to. Brzydzisz się mną lub mną gardzisz, bo znasz moją tajemnicę.

- Jesteś piękna i podniecająca. Czy nie przyszło ci na myśl, że nie chciałem ci zadać bólu?

Wzruszyła ramionami.

- Kobieta jest stworzona do bólu. Ty także powstałeś z bólu twojej matki. Czy mówiła ci, jak krzyczała, gdy cię rodziła?

- To co innego.

- A może i ja chcę krzyczeć z takiego bólu? Postanowiłam, że będę miała od ciebie dziecko.

- To niemożliwe.

- Dlaczego?

- Usunęłaś dziecko.

- Bo zrodziła je nienawiść.

- A teraz?

- Nie czuję do ciebie nienawiści. Szukałam cię po całym kraju i czekałam tu na ciebie. Chcę mieć od ciebie dziecko. Powstanie z miłości wielkiej, czystej i prawdziwej.

- Wierysz w te głupstwa, które kiedyś mówiłem?

- A ty? Przyznaj, że po prostu boisz się miłości. Przyzwyczyłeś się do dziwek.

- Dowiedz się, że przestałem być mężczyzną. Przeżyłem ciężkie chwile, został ze mnie strzęp człowieka. Mam nerwicę, która nie pozwala mi na to, co powinien robić mężczyzna. To kiedyś przejdzie. Ale teraz zostaw mnie w spokoju.

Odważył się spojrzeć na nią, choć wstydził się swojego wyznania. Spozstrzegł, że surowa twarz Weroniki raptem jak gdyby jaśnieje, uwidacznia się na niej wyraz radości. Nigdy nie oglądał jej tak pięknej, z rozchylonymi jak do pocałunku wargami, z oczami, które zdawały się każdym spojrzeniem obejmować go czule.

Złożyła ręce jak do modlitwy, a potem zakryła nimi twarz, żeby nie odgadł z niej wypełniającego ją szczęścia.

- Czy wiesz - zaczęła cicho - że teraz kocham cię sto razy mocniej? Miłością wielką, czystą i prawdziwą. Wydajesz mi się tak bliski, jak gdybyś stał się mną. Tak, to możliwe, że jesteśmy jedną duszą jak mąż i żona. Gdybyś stąd odszedł, zabiłbyś mnie albo ja zabiłabym ciebie. Nie bój się mnie. Będziemy razem szczęśliwi jak nikt inny na świecie. Ty i ja. Ja i ty. Tacy sami. Połączeni miłością, której nic nie potrafi zbrukać.

- To jest chore, Weroniko. A to, co chore, nie może dać szczęścia.

- Boisz się miłości - oświadczyła.

Zobaczył, że przez palce, którymi zakrywała twarz, teraz wyciekają łzy. Nie potrafił znieść myśli o bólu, który jej zadał. Zerwał się od stołu, narzucił na siebie kurtkę, wdział futrzaną czapkę. Wyprowadził ze stajni osiodlaną klacz i pojechał w las.

Izabelowata klacz drobiła kroki, prowadząc go w kierunku bagien Topnik, choć wcale nie był pewien, że chce jechać w tym kierunku. Właściwie było mu wszystko jedno, dokąd się udaje, pragnął tylko, aby spełniło się to, co sobie wymarzył przy barze na lotnisku: zatonać w wielkim lesie jak w głębokim jeziorze, zatopić w nim swoje myśli i obawy, nieświadomione pragnienia i poczucie klęski. Na mokradłach Topnika były wysepki, gdzie zdaniem Horsta Soboty kryły się trzy moce szatańskie wielkiego lasu. Ale Sobota już nie żył, umarła też jego nienawiść, a Józef Maryn nie czuł niechęci do wielkiego lasu. Nie bał się też jego ogromu ani nie odczuwał obawy, że las odbierze mu duszę. To przecież nie kto inny, lecz las właśnie chyba go tak bardzo uwrażliwił i ucłowieczył, że nie mógł być więcej tym, za kogo miał go stary Horst. Może zresztą dla każdego człowieka las stawał się czymś innym, jednych leczył, a innych zarażał bakcylem szaleństwa i zła. Czy Weronika też już stała się szalona, proponując mu życie

męża i żony, którzy mieli stanowić jedną duszę, ale nie jedno ciało? Czy w ogóle możliwe było takie współlistnienie przez tygodnie, miesiące, lata? Kiedyś Maryn obudzi się jako mężczyzna i wówczas ona jak stary Horst zacznie mu sprowadzać dziwki, aby tylko przy niej pozostał i bronił jej przed wielkim lasem. Kto wie, czy nie zechce go zmusić, aby zadał jej ból i zapłodnił; będzie wówczas miał dziecko, małą, kruchą istotę, która już na zawsze zwiąże go z Weroniką. Do jakiego stopnia, po tym co przeżył i przemyślał, zmieniła się jego osobowość? Dlaczego nie powiedzieli mu tego psychologowie i psychoanalitycy z firmy? Czy przestał być samotnikiem uganianym się za niebezpieczeństwem, owym wilkołakiem, jak go nazwała Eryka? Naprawdę pragnie opylać drzewa w sadzie, odpoczywać na starym pomoście i wypatrywać ogromnego suma, a potem siadać do stołu z piękną i silną kobietą, mówić coś do niej i słuchać jej słów, wymieniać spojrzenia. I czasami wyrywać się w las na przejażdżkę izabelowatą kłaczą. Cóż to za przyszłość dla Kristophera Bullowa? A najgorsze, że być może od dawna kochał Weronikę miłością wielką i prawdziwą, być może powiedziała mu prawdę, że takiej miłości boi się najbardziej, ponieważ ona czyni człowieka niewolnikiem. Wydawało się logiczne, że powinien stąd uciec jak najprędzej, zanim ta kobieta omota go swoimi niewidzialnymi sidłami, zanim on sam odkryje w sobie jakąś perwersyjną radość z faktu, że co noc ona będzie obok niego leżała. Oto wspaniale rozwinięte ciało młodej kobiety o pięknej twarzy, a on nawet nie sięgnie po nią ręką. Może był to właśnie bakcył szaleństwa, chciał go nim zarazić wielki las i należało się przed tym bronić. Miał jednak jakiś wybór? Czy nie był też już człowiekiem żonatym, który myślał, że ponieważ kocha swoją żonę, a ona kocha jego, trzeba włożyć na nią noc w noc i dokonywać popisów erotycznych, ona zaś odpłaciła mu odejściem i współczuciem?...

W lesie wciąż jeszcze leżał śnieg. W siedliskach świerka był nieskazitelnie biały, w siedliskach buka przypominał kaszę, w której chrzęściły kopyta kłaczy. Małe i duże polany raziły golizną lub brudną, pożółkłą trawą. W ciekach odwadniających stała czarna woda, nigdy nie zamarzające mokradła lekko parowały i między olchami snuły się białe duchy. Zatrzymał kłacz przed mostkiem z ułożonych obok siebie okrągłaków i uświadomił sobie, że w wielkim lesie trwa zupełna cisza i spokój. Nawet nie przypuszczał, że są takie chwile, gdy las potrafi porazić człowieka tak ogromną ciszą i spokojem. Nie zaskrzeczał żaden ptak, nie odezwał się żaden owad, nie trzasnęła żadna gałązka. Tak musiało być tam, po śmierci. Ale ten spokój nie przerażał, tylko koił, dawał odpoczynek, na chwilę odbierał myśli i może nawet duszę. A jednak po chwili już czuł i myślał, przeżywał jakieś wrażenia. Przypomnił sobie słowa Weroniki o matce, która urodziła go w bólu, i zapragnął oddać całą swoją przeszłość i przyszłość za to, aby wrócić do łona kobiety, stać się dzieckiem, które ma się dopiero narodzić. Co za niesprawiedliwość losu, że nie wiemy i nie pamiętamy, jak nam było w łonie kobiety, i tylko nosimy w sobie wieczną tęsknotę za tym zapomnianym bytem. Tak, teraz, w wielkim lesie, w ciszy i bezbrzeżnym spokoju wydawało mu się, że jest jak w łonie kobiety, zrosnięty z nią pępownią.

Pojął, że pokochał las i ciężko mu będzie stąd odejść. Zresztą po co i dokąd? Czemu przez tyle lat okłamywał siebie, że lubi kobiety szczupłe, wiotkie, delikatne, o piersiach małych jak u dziewcząt, skoro tak naprawdę lubił kobiety rosłe, o szerokich plecach, stworzone do pracy, silne i zdrowe. Taką kobietą była jego matka; potrafiła wziąć na plecy worek z pół metrem pszenicy. Podobno już nazajutrz po porodzie doiła krowy i nosiła im do obory pokrojone buraki. Nauczono go siedzieć na stołkach barowych, mieszkać w hotelach i wciąż czujnym spojrzeniem

omiatać cudze twarze, wychwytywać cudze słowa, choć być może stworzony został, aby odpoczywać w południe na twardej ławce przed domem i patrzeć, jak owocują drzewa w sadzie, podobnie jak to robił jego ojciec i Horst Sobota. Mieć w szopie lub na strychu trumnę z jesionowych desek, umrzeć w swoim własnym łóżku lub na ganku własnego domu, a nie tak jak Ivo Bunder, w jakiejś parszywej i brudnej willi, lub w samochodzie wrzuconym do rzeki. To wszystko musiało być już oczywiste w tych pierwszych dniach jego pobytu w leśniczówce Kuleszy, dlatego nie mógł znieść skrzypienia łóżka nad głową. Nie chciał tego jednak zrozumieć. Od pierwszego wejrzenia na Weronikę w podświadomości zrodziło się w nim przekonanie, że ta kobieta stworzona została dla niego, a nie dla tego leśnika. Dlaczego jednak nie uczynił gestu, kiedy ją trzymali? Czy to była obrona świadomości przed nieświadomością? A może chęć zemsty za to, że widziała w nim mężczyznę takiego jak inni?

Jaki sens ma prowadzone w tej chwili śledztwo przeciw sobie samemu. Czy człowiek w ogóle zdolny jest sam odróżnić to, co jest w nim świadome, od tego, co podświadome, co zostało uwarunkowane genetycznie lub jest atawizmem, od tego, co mu narzucono poprzez tresurę zwaną wychowaniem i wykształceniem. Dlaczego w pewnej chwili zapomniał o tresurze i wyszedł z willi Bundera frontowymi drzwiami? Czemu kiedyś mógł rznąć kobiety małe i duże, z przyjemnością i bez przyjemności, a teraz nie czuje pożądania do żadnej, nie podnieca go nawet wyobrażenie broniącej się przed gwałtem Weroniki? Jaki sens będzie miał fakt, że powie sobie: odchodzę stąd, skoro nie miał dokąd odejść, nikt na niego nie będzie czekał, a tutaj - piękna kobieta patrzyła na niego miłosnym spojrzeniem, na jego widok dygotał z radości włochaty pies, na jego ręce czekały drzewa w sadzie, a koło pomostu czaił się ogromny sum. Nigdy w swym życiu nikogo nie zdradził ani nie zabił, choć być może wielu ludzi przez niego zdradziło kogoś lub zostało przez kogoś zabitych. Czy wolno mu było zdeptać testament Horsta, który wierzył, że Józef Maryn jest złym człowiekiem i dlatego potrafi zwyciężyć zło lasu. Nie był zły ani wielki las, ani Józef Maryn, a nienawiść Horsta Soboty stała się zapewne jakąś odmianą miłości. Podobnie i wielki las nie odbierał nikomu ani nie dawał duszy, ponieważ dusza - jeśli ją człowiek posiadał - należała do innego świata.

Zawrócił do domu i w kuchni zastał obcych ludzi.

- Nazywam się Kozusznik i jestem współwłaścicielem tartaku - przedstawił się mężczyzna.

- To mój mąż - powiedziała młoda kobieta, jak gdyby dając do zrozumienia, że ów mężczyzna niewiele się liczy. Ona jest osobą, która przyszła załatwić sprawę.

Mężczyzna był wysoki, nie ogolony i gdy powiedział Marynowi, że prowadzi tartak, od razu skojarzył mu się z ogromną dłużycą, nie okorowaną, pokrytą mchem, na wpół martwą. To ona - ta kobieta - była w tym stadle czymś najważniejszym, owym trakiem, który przykrawał dłużycę wedle własnych życzeń. Miała dość ładną buzię, czarne, długie, choć niechlujne włosy. Zniekształcał ją mały wzrost, szczególnie podkreślony przez ogromny zad i wielkie piersi. Ubranie też nosiła dziwaczne, jakieś długie kiecki i katany, jedna na drugiej, wedle cebulkowej mody, która do niej zupełnie nie pasowała. Stojąca nieruchomo przy kuchni Weronika, w luźnej spódnicy i haftowanej bluzce z gołymi okrągłymi ramionami i piękną głową osadzoną na długiej szyi, wydawała się przy tej kobiecie jak uosobienie kobiecej urody, a nawet piękności. A przecież też miała szerokie biodra i duże piersi. To może wyższy wzrost nadawał jej lepsze

proporcje, nie zniekształcał jak tamtej.

Weronika patrzyła na gości niechętnie. Specjalnie chyba stała przy kuchni i garnkach, nie przysiadła się do stołu, aby podkreślić, że nie chce im dotrzymywać towarzystwa, ale wraz z nimi czeka na gospodarza. Kuchnię wypełniał zapach jedzenia, na patelni skwierczały kotlety; tę woń Kozusznik zdawał się wdychać z lubością.

- Przyszliśmy nie w porę - powiedział. - Państwo mają obiad, a my już jesteśmy po obiedzie. Bo ja już taki jestem, że choćby mi się drugi raz tartak miał palić, to nie ruszę się, dopóki nie napelnię brzucha.

Żona skarciła go spojrzeniem za te głupie słowa, a on zaraz zamilkł i już więcej się nie odezwał.

- Przyszliśmy na krótko i nie będziemy przeszkadzać - zaczęła Kozusznikowa. - Rzecz w tym, że od września będę w tej wiosce pracowała jako nauczycielka. Nie mamy mieszkania, domu. Przybyliśmy tu ze stolicy i trudno nam żyć w wynajętym pokoju. Tartak daje duży dochód i musimy się go trzymać. Mamy sporo pieniędzy, a także własnościowe dwupokojowe mieszkanie w stolicy. Chcemy kupić ten dom i sad, dobrze zapłacimy, a także dorzucimy mieszkanie w stolicy. To chyba dobra propozycja, bo każdy chciałby mieszkać w wielkim mieście.

Maryn już wiedział, z kim ma do czynienia. Oto były, jak ich w myślach nazywał, pewne siebie miejskie chamy, dla których liczyły się tylko pieniądze. I fakt jakiegoś wyższego urodzenia w stolicy. Jeśli już jakaś potężna życiowa konieczność zmusiła ich do życia na wsi, chcieli mieć najpiękniejszy dom w okolicy.

Nie zdjął czapki, rozpiął kurtkę i dostawił sobie taboret do stołu.

- Czy mam rozumieć, że państwo chcą kupić ten dom i ten sad? - zapytał.

- Tak - kiwnęła głową Kozusznikowa. - Pan został podobno właścicielem tej małej posiadłości. Myślę, że zechce pan żyć jak człowiek, kupić sobie samochód, mieszkać w stolicy. Zresztą prędzej czy później tę posiadłość przejmie państwo albo lasy państwowe, gdyż mają na nią ogromną ochotę. Z nami sobie nie poradzą, mamy bardzo dobre układy w stolicy.

Maryn wykrzywił twarz tym swoim zawodowym uśmiechem.

- To piękny dom. Ma ganek z kolorowymi szybkami. I sad. I stary pomost nad jeziorem, proszę pani...

Kozusznikowa mrugnęła do męża, ten zaś otworzył brzuchatą teczkę, którą trzymał na kolanach. Wyjął obanderolowane pliki banknotów i zaczął je układać, paczka obok paczki, aż zajęły jedną trzecią powierzchni stołu kuchennego. Maryn ostro spojrzał na Weronikę, a potem zrobił w jej kierunku ruch głową, który mógł oznaczać tylko jedno: aby wyszła. Ona natychmiast pojęła, czego on sobie życzy.

- Będzie tego ze trzy miliony - stwierdził Maryn.

- A tak, proszę pana - dumnie wyprostowała się Kozusznikowa. - Nie każdy, oprócz kasjera w banku, widzi na swoim stole taką ilość pieniędzy.

- To dużo. Faktycznie dużo - pokiwał głową Maryn.

- No więc?... - zapytała.

Maryn powiedział po chwili zastanowienia:

- Horst Sobota nie lubił ludzi, którzy mieli coś wspólnego z lasem.

- My las niszczyliśmy. Z drzew robimy deski - zachichotała Kozusznikowa.

- On nienawidził lasu, ale go zarazem kochał. To było jak małżeństwo. Trochę nienawiści i trochę miłości.

- Uważano go za wariata - zdecydowanie stwierdziła Kozusznikowa.

Weronika wróciła do kuchni z odrapaną walizką. Otworzyła ją i na kuchennym stole zaczęła układać obanderolowane pliki banknotów. Zajęły dwie trzecie stołu, a jeszcze walizka nie była pusta. Kozusznik i Kozusznikowa, jak urzeczeni, patrzyli na tę ogromną ilość pieniędzy. Oni też chyba nie widzieli aż tylu banknotów.

Maryn sięgnął pojedną paczkę wyłożoną przez Weronikę, wziął ją do ręki i przerzucił na tę stronę stołu, gdzie leżały pieniądze Kozuszników.

- Dodam wam tę paczkę, jeśli więcej tutaj nie przyjdziecie - powiedział.

Kozusznikowa w milczeniu zaczęła podawać swojemu mężowi pieniądze, które on upychał do teczek. Paczką podarowaną im przez Maryna wzgardziła.

- Pan też jest wariatem - powiedziała podnosząc się z krzesła. Wyszli obydwaj, nie domykając za sobą drzwi. Weronika zebrała ze stołu pieniądze Horsta Soboty i wrzuciła je do starej walizki.

- Po co ich tu wpuściłaś - ze złością odezwał się Maryn. - Mam teraz jeść obiad w smrodzie, który po nich pozostał? Otwórz na oścież drzwi i okna - niemal krzyknął i poszedł do sypialni, ponieważ tam pachniało perfumami Weroniki. Usiadł na taboreciku przed toaletką i zapalił papierosa. A kiedy go wypalił, podszedł do okna i popatrzył na las po drugiej stronie drogi. Czy to już tak musiało pozostać, że będzie podobnie jak Horst toczyć ciągłe walki o ten dom i o ten sad?

Chichutko weszła do sypialni Weronika.

- W kuchni już nie śmierdzi. Możesz sięść do obiadu, Józwa - szepnęła.

Siedziała naprzeciw niego i patrzyła, jak je - wolno, mały kęs za kęsem. Raz na nią spojrzął i zauważył, że obserwuje go inaczej niż dotąd. Jakoś tak po psiemu, jak Ivo.

- Tak się bałam. Tak bardzo się bałam - rzekła nieśmiało. Poczł gniew. Zerwał się od stołu, chwycił Weronikę za gołe ramiona i zaczął nią potrząsać:

- Nie cierpię cię takiej jak teraz, słyszysz? Nie chcę mieć w domu płaszcącego się psa. Bądź dumna, wyniosła, wzgardliwa i niedostępna. Jak kiedyś.

- Nie potrafię, Józwa. Nie potrafię być taka przy "tobie. Wytresowałeś mnie jak swojego psa. Batem i strachem. Mogę udawać, jeśli tego chcesz. Ale prawda będzie inna.

- Przepraszam cię - powiedział. Zauważył, że jego palce pozostawiają sińce na jej ramionach.

Wrócił do jedzenia. Ale już mu ono nie smakowało.

- Zgwałcili mnie i sponiewierali w lesie, gdy byłam taka młoda. Potem sponiewierał mnie mój własny mąż. A potem przyszedłeś ty i też mną poniewierałeś. Okaleczyli mnie, o tym wiesz i dlatego mną gardzisz. Chodzę przy tobie naga, a ty patrzysz przez moje ciało w jakiś swój własny świat. Możesz mi przywrócić życie, dumę i wyniosłość, jeśli powiesz jedno słowo: zostaję.

- Nie mogę tego powiedzieć w tej chwili. Muszę mieć czas do namysłu - odrzekł jej już spokojnym tonem.

Tej nocy postanowił, że skoro Weronika nie chce sama pozostać w domu na skraju lasu, on sprzeda Kozusznikom dom i sad, wyposaży Weronikę w mieszkanie otrzymane od Kozuszników oraz pieniądze Horsta, a sam urządzi sobie jakiś życie. To "jakoś" pozostawało niewyobrażalne, właśnie może dlatego wydawało się lepsze od tego, co go tu oczekiwało. Nie mógł zasnąć, las za oknami milczał, tęsknił za jego mową, ponieważ sądził, że ją zaczął pojmywać, i być może od lasu dowie się o celu i sensie swego dalszego życia. W domu panowała cisza, słyszał równy oddech młodej kobiety, która spała na sąsiednim łóżku. Być może rzeczywiście oczekiwała, że weźmie ją nawet boleśnie, lecz i on miał w sobie zbyt wiele przeżyć i narzucających się nachalnie koszmarnych obrazów, aby ożyło w nim podniecenie. Najpierw on w nią wmówił, a potem ona w niego zaczęła wmawiać, że istnieje miłość wielka, czysta i prawdziwa, i - co gorsza - obydwójce zostali przez nią ogarnięci. W tej chwili był przekonany, że wpadł w zastawioną przez siebie pułapkę. Miała rację, gdy powiedziała, że on się boi miłości. Za bardzo należał do świata, z którego musiał uciekać, aby nagle ocknąć się w innym świecie jako ktoś nowo narodzony. Nigdy, choćby tego najbardziej pragnął, nie zapomni chwili, gdy Ivo Bunder wchodził do gmachu policji, swojej panicznej ucieczki z Eryką, potem głosu Bundera w słuchawce, jego ciała w korytarzu zakurzonej willi, chwili śmiertelnej trwogi, kiedy go Weber spychał do rzeki, suchego trzasku iglicy w łazience na Dapperstraat, białego ciała Yvette, jej wypukłego pośladka, w który wbijał igłę z ketaminą. "Jestem za ubogi, aby kupić sobie przeszłość" - pomyślał. A jeszcze po chwili przyszło mu do głowy, że jednak może stał się wystarczająco bogaty, aby kupić sobie nie tylko przeszłość, ale i przyszłość. Ten dom z

kolorowymi szybkami na ganku i z ogromnym lasem po drugiej stronie drogi, duży sad nad jeziorem, stary pomost wśród trzcin, piękna kobieta - jakież bogactwo dał mu Horst Sobota. Dlaczego właśnie jemu? Ponieważ sądził, że Józef Maryn jest złym człowiekiem. I choćby dlatego Maryn nie powinien przyjąć owego daru, gdyż nie czuł się zły. Tylko co pocznie z tą kobietą? Tak naprawdę cała sprawa sprowadzała się do jej osoby. Bo jeśli nawet uczyni tak, jak postanawia, to czy okaże się, że potrafi bez niej żyć?

Księżyc wszedł bardzo późno i nagle w pokoju zrobiło się srebrzyście. Weronika poruszyła się i śpiąc wysunęła spod pierzyny nogę obnażoną aż po pachwinę. Widział jej śniade udo, kształtne i o delikatnej skórze, którą kazał mu kiedyś pogłaskać jej dawny mąż, Kulesza. Maryn miał ochotę dotknąć palcami tej skóry, obudzić kobietę, przerazić, gdyż pierwszą reakcją musiał być strach przed oczekującym ją bólem. Prawdopodobnie nie zasnęłaby już tej nocy, tak jak i on, dręczona strachem. I tak co noc będą leżeli obok siebie, lękając się siebie i pragnąc siebie, miotani niepewnością i udręczeni bezsennością? Takie też miały być ich następne noce. Wiele nocy, tygodni, miesięcy...

Odwrócił wzrok od obnażonego uda Weroniki i zapatrzył się w sufit, na stary żyrandol. Miał ochotę wstać po cichu, ubrać się, wyprowadzić klacz i zanurzyć się w wielkim lesie, oświetlonym księżycowym blaskiem. "Może Eryka miała rację, że jestem wilkołakiem" - pomyślał. I zaraz zasnął na krótko, mającąc, że znowu podłączono go do "wykrywacza kłamstw", elektrody wysysają z niego krew i życie, Eryka i Bunder zadają mu pytania. Zbudził się zlany potem i z mocno bijącym sercem. Czekał, aż się uspokoi, zaczął zastanawiać się nad tym powtarzającym się motywem jego snów. Ów "wykrywacz kłamstw" nie mógł się pojawiać przypadkiem. To chyba podświadomość krzyczała w nim, że nosi jakieś ogromne kłamstwo, ukrywa je przed sobą samym. A może po prostu ukrywał swoją miłość do Weroniki? Poczul ulgę na tę myśl i zaraz zasnął już spokojnie, bez dręczącego koszmaru, nawet nie domyślając się, że Weronika tylko udawała sen. Wiedziała, że mężczyzna obok wciąż czuwa, myśli o czymś pilnie, a to, o czym myśli - jest dręczące. Chciała przytulić się do niego, objąć go ramionami, ale bała się, że ją odepchnie jak narzucającego się z przywiązaniem psa. Przecież nie tego od niej żądał, lecz właśnie dumy, wyniosłości. Postanowiła, że jutro pojedzie do Leśniakowej i zapyta ją, jak powinna się zachować kobieta, jeśli chce rozbudzić pożądanie mężczyzny. Zapyta o to bez wstydu i szczerze.

Nazajutrz, zaraz po śniadaniu, zauważyła, że Maryn gotuje się do konnej jazdy i ze swojego dawnego pokoju zabrał kopertę, w której trzymał fotografie kłusowników złapanych na gorącym uczynku. Wtedy podeszła do niego, położyła mu dłonie na ramionach niemal napierając na niego piersiami i brzuchem.

- Horst powiedział mi kiedyś, że wszędzie mogę chodzić i z każdego dobra korzystać, ale nie wolno mi bywać w lesie. Dlatego proszę cię, a nawet błagam: nie jedź do lasu. Byłeś strażnikiem łowieckim i wielu sobie zrobiłeś wrogów. Mówiłeś mi, że są w lesie takie miejsca, gdzie człowieka nigdy się nie znajdzie, choćby się szukało latami. Nie chcę cię drugi raz szukać, i to bez żadnej nadziei, że cię odnajdę.

Zapach jej perfum, błagalne spojrzenie oczu, ciepło ciała, które odczuwał z powodu jej bliskości, ocknęło w nim uśpione pragnienie kobiety. Miał ochotę objąć Weronikę, położyć jej

głowę na swoim ramieniu, przycisnąć mocno do siebie. Czy to możliwe, że minionej nocy zdecydował się odejść?

Stanowczym gestem zdjął ze swoich ramion jej ręce.

- Są sprawy, Weroniko, które mężczyzna musi załatwić po swoim - powiedział. - Mało wiesz o mężczyznach. Umiesz tylko jedno: na widok mężczyzny ścisnąć uda i kolana.

Zostawił ją i poszedł do stajni. Po kilkunastu minutach już jechał drogą w stronę plantacji nasiennej.

"Niech go porania, połamię mu nogi i ręce" - przeklinała go w myślach Weronika, ponieważ czuła się upokorzona jego słowami. Dlaczego znowu tak boleśnie ją zranił? Czemu przypominał o jej kalectwie? To przecież była prawda, że pierwszym jej odruchem na widok mężczyzny było ściśnięcie ud i kolan. Tego uczyła ją matka, gdy stawała się coraz starszą dziewczynką, i potem tego samego nauczyło ją doświadczenie. Ale nie musiał jej tego przypominać. Mógł jakoś inaczej dać jej do zrozumienia, aby nie wtrącała się do jego męskich spraw.

Mimo gniewu na Maryna starannie zamknęła dom i furtkę na klucz, pozostawiając na straży w obejściu swobodnie biegającego Iva. Wsiadła na rower i pojechała do wsi, do Leśniakowej.

Szczęśliwie w domu nie było jej męża, który kupił w lesie gałęzie na opał i teraz je tam przygotowywał do zabrania. Leśniakowa niedawno urodziła, siedziała przy kuchni z niemowlęciem na kolanach. Była w grubej koszuli z wycięciem aż do pępka. Aby mieć spokój od niemowlaka, wyjęła na wierzch długi, nabrzmiały cycek i wsadziła mu go w usta. Wyglądała niechlujnie i choć nie zastała ją Weronika przy wyrzucaniu gnoju, śmierdziało świńskimi odchodami. Brud, smród ciała, brzydota szczerbatych ust Leśniakowej nie wydawały się mieć znaczenia w sprawach miłości. Weronika pomyślała, że to chyba artyści wymyślili piękno potrzebne w takich sprawach, gdyż być może sama miłość była pięknem.

- Nie upieram się, Weroniko - ochoczo podjęła temat - że każda kobieta musi mieć ciężkiego mężczyznę. Jeśli tobie potrzebny jest lekki, to poszukaj sobie lekkiego. Ale tego nie mogę pojąć, że na i widok każdego mężczyzny tak od razu sama z siebie ściskasz uda i kplana, jakby cię miał bić, a nie robić przyjemność.

- Dla mnie to jedno i to samo - westchnęła Weronika.

- Skrzywdził cię stary Horst - ubolewała Leśniakowa. - Cały majątek zapisał obcemu człowiekowi. Czujesz w sobie krzywdę i dlatego nie chcesz rozchylić ud temu mężczyźnie. Bo to byłoby, jak gdybyś mu się sprzedała za pieniądze.

- Źle mnie zrozumiałaś - pokręciła głową Weronika, znudzona wyjaśnieniami Leśniakowej, które nie przyniosły jej żadnej ulgi. - Mnie ten mężczyzna się podoba i chciałabym być jego. A jednak ściskam uda i kolana.

- Dziwne - przyznała Leśniakowa. - Boco do mnie, to są tacy mężczyźni, że jak na nich spojrzę, też uda zaciskam. Ale znowu są tacy, że same nogi się rozchylają. Nie chcesz, a one się rozchodzą. Wynika z tego, że jeszcze swojego mężczyzny nie spotkałaś. Przekonasz się, że kiedyś usiądziesz sobie naprzeciw jakiegoś chłopca, może ci się nawet nie będzie podobał, a tu raptem patrzysz na swoje kolana: ni stąd, ni zowąd jedno jest daleko od drugiego. Takiego sobie przyuważ, choćby był szpetny jak diabeł albo rozpustnik. Inaczej w chorobę kobiecą popadniesz jak wiele innych, co ciągle uda zaciskają.

Lepkie wargi niemowlaka ssały mocno dużą brodawkę piersi Leśniakowej, która przymknęła powieki.

- Czy to cię boli? - zapytała Weronika.

- Co takiego?

- Jak cię mocno ssie.

- Zgłupiałaś, Weroniko? To jest prawie tak samo przyjemne, jakby cię chłop załatwiał. Mam dużo pokarmu i karmię dzieciaka tylko lewą piersią. Prawą daję swojemu chłopcu, żeby był silniejszy. Z początku trochę się brzydził mojego pokarmu, ale teraz już przywykł. A mnie jest jeszcze przyjemniej, kiedy tak obydwójce mnie ciučkają. Nigdy nie dawałaś mężowi possać swojej piersi?

-Nie.

- To źle. Oni się wzięli z kobiety, to znaczy, że każdego mężczyznę jakaś tam kobieta urodziła i wykarmiła piersią. Każdy też wyszedł nie uchem, ale z krocza. Dlatego te rzeczy tak ich do nas ciągną.

Weronika milczała. Myślami była bardzo daleko w lesie, przy Marynie. To, co się z nią działo, nie było takie proste, jak to przedstawiała Leśniakowa. Kochała Maryna miłością wielką, czystą i prawdziwą, nie żądał od niej, aby rozchylała mu swoje nogi, aby dawała mu ssać swoją pierś, mówił, że nie pożąda żadnej kobiety. Ale dodał, że to mu minie - i co ona wtedy zrobi? Czy potrafi go zmusić, aby ją wziął siłą, tak jak tylu mężczyzn w lesie, jak jej były mąż? Już raz uciekła z jego łóżka. Gdy jej znowu dotknie, też chyba ucieknie z ich wspólnej sypialni.

Wracała do domu, kiedy Józef Maryn na plantacji nasiennej kończył rozmowę z leśniczym Stęborkiem.

- Jak pan widzi, panie Maryn, prawie wszystkie sadzonki przetrzymały zimę - chwalił się Stęborek. - Bo trzeba panu wiedzieć, panie Maryn, że jest o lesie prawda naukowa, ale jest i inna. Las musi człowieka pokochać. A miłość jest tajemnicza. Dla przykładu zdradzę panu pewną historię, którą niech pan zachowa dla siebie. Otóż mam żonę ładną i czyściutką jak blask księżycowy. A przecież mogę z nią co najwyżej raz w tygodniu mieć przyjemność. Raptem spotkałem kobietę zupełnie inną, co tu dużo gadać, nawet wstrętną, z tłustym ciałem i ogromnym

zadem. I proszę sobie wyobrazić, miałem z nią stosunek aż jedenaście razy. Kolejno. Tutaj, na tej plantacji. Nawet nie wiedziałem, że jest we mnie taka potężna siła. Czy pan myśli, że ta moja siła nie emanuje na te małe sadzonki? Może to tylko dzięki tej potężnej sile przetrzymały one zimę? Rad jestem, że pan tutaj wrócił, panie Maryn, i nie widzę powodu, aby nie nawiązać z panem przyjaźni. Otrzymałem już dom po Kuleszy, piękną leśniczówkę, a tamtą po Izajaszu Rzepie wzięto do remontu. Nie patrzę już chciwym okiem na dom po Horście.

Maryn kiwał głową i udawał, że słucha Stęborka. Dowiedział się, na którym zrębie pracują Budrys i Karaś, i gadanina leśniczego nic go nie obchodziła. Udawał jednak, że słucha wynurzeń, wyrozumiale uśmiechał się, potem pożegnał Stęborka i ruszył we wskazane miejsce.

Ogromny traktor Budrysa ściągał z golizny zrębu stuletnie sosny i układał je wzdłuż drogi leśnej. Na środku zrębu Karaś palił wielkie ognisko i wrzucał do niego gałęzie i czubki sosen. Człowiek musiał najpierw uporządkować las, aby posadzić nowe drzewa.

Maryn zeskoczył z klaczy, puścił ją wolno i podszedł do ogniska. Zobaczył go Budrys, zatrzymał traktor i też ruszył w kierunku Maryna, który już zdążył usiąść przy ognisku na dwóch podsuniętych sobie pod tyłek grubych drągach. Dopiero gdy zbliżył się Budrys, także i Karaś odważył się przykucnąć przy ognisku.

- Pan już nie jest strażnikiem łowieckim - odezwał się Budrys.

- Tak. Dlatego tu przyjechałem - wyjaśnił Maryn.

Bez słowa wyjął z raportówki dużą kopertę, otworzył ją i tak samo bez słowa zaczął wrzucać do ogniska fotografie, oświadczenia, cały materiał, który kiedyś zebrał przeciw kłusownikom.

- To już nie musimy być pana przyjaciółmi? - upewniał się Karaś.

- Nie.

- Na pewno?

- Na pewno, panie Karaś. Spaliłem przy was wszystkie dowody.

- Dlaczego? - wtrącił się podejrzliwie Budrys.

- Ponieważ przestałem być strażnikiem łowieckim i nic mnie nie obchodzi, co się dzieje w lesie.

- I pistoletu też pan już nie ma - zauważył radośnie Karaś.

- Nie mam.

- To teraz możemy panu dać nauczkę za pobicie i za strach - podjudzał się Karaś.

- Tak - uśmiechnął się Maryn.

Ów uśmiech rozzłościł Karasia. Rozejrzał się. Zobaczył sękaty kij i chwycił go, aby nim uderzyć Maryna. Ale ten zerwał się jak sprężyna, złapał za jeden z drągów, na którym siedział, bo niczego w tej chwili bardziej nie pragnął jak dać tym dwóm ludziom nową nauczkę. W walce na drągi i kije był kiedyś najlepszy. Wprawdzie dawne to czasy - lecz przecież pamiętał wszystkie konieczne w takiej sytuacji ruchy obronne i atakujące.

Budrys chwycił kij trzymany przez Karasia i wyrwał mu go z ręki.

- Nie bądź głupi, Karaś. Czy on by tu przyjechał tak spokojnie, gdyby się bał twojego kija?

Maryn usiadł przy ognisku.

- Żaden z was nie trafił na milicję ani do sądu - rzekł. - Oczekiwałem wdzięczności, a nie kija, panie Karaś. I za to, że odwołał pan swoje oświadczenie, też nie miał pan żadnych kłopotów. Dostałem majątek po Horście Sobocie i będziemy musieli żyć obok siebie przez długie lata.

- Są takie miejsca w lesie... - zaczął Karaś. Dokończył za niego Maryn:

- ...takie miejsca, gdzie jak pana zawlokę, nikt już pana nie znajdzie do końca świata.

Budrys znowu usiadł przy ognisku, z kieszeni wyplamionej kurtki wyjął chleb ze słoniną w zatłuszczonym gazetowym papierze.

- Pan nie pogardzi kawałkiem chleba, panie Maryn? - zapytał grzecznie.

- Nie pogardzę. - A ty, Karaś?

- Nie chcę - odburknął tamten. Żałował, że dał sobie wyrwać kij i nie mógł się zemścić na Marynie. Ale pilnie słuchał, co do Maryna mówił Budrys.

- Stary Horst dał panu cały majątek. Nie Weronice, lecz właśnie panu. To był wariat, nie taki jednak, aby oddawać majątek byle komu. Dlatego tak sobie myślę, że w panu coś jest, co on odkrył, ale innym nie tak łatwo zauważyć. Gadają, że pan potrafi się zmieniać w wilka. Tylko stare baby wierzą w takie głupstwa. Pan jest gorszy od wilka.

- Tak.

- I na to zwróciłem uwagę, że dobrze się pan czuje w lesie, choć przyszedł pan tutaj z miasta. Pan jest tak jak i my: leśnym człowiekiem.

- Szkoda, że o tym nie wiedział stary Horst. Nie dałby mi swego majątku - uśmiechnął się Maryn. - Nienawidził lasu i leśnych ludzi.

- To prawda - przytaknął Marynowi i wręczył każdemu po kromce chleba ze słoniną. -

Dlatego zastawił na pana pułapkę.

- Jaką? - zainteresował się Karaś, z którego już uleciał gniew i zaczął odczuwać coraz większą ciekawość wobec dawnego strażnika łowieckiego.

- Tę kobietę w domu. Weronikę... - powiedział cicho Budrys.

- Wszyscy ją mieli... - pogardliwie wzruszył ramionami Karaś.

- Ja nie miałem - odparł Maryn.

- I to pana szczęście - oświadczył z powagą Budrys. - Bo kto ją miał, już od dawna uciekł stąd, gdzie go oczy poniosły. To mściwa bestia. Wilk nie jest tak groźny jak wilczyca. Z nadleśniczego Tarchońskiego tylko strzepy zostały, które lekarze musieli zszywać. A gajowy Wzdrenga to nie ruszał się bez strzelby, w końcu stchórzył i wyniósł się gdzie indziej. Rozbierz się, Karaś, pokaż panu Marynowi szramy na ciele. Mnie też ich nie brakuje. Nigdy, panie, nie chodzę sam koło domu Horsta Soboty.

- Ja jej nie gwałciłem - stwierdził Maryn.

- Tarchoński też jej nie gwałcił. Ani Wzdrenga. Ale ją trzymaliśmy, kiedy ją Kulesza brał na siłę. I pan był przy tym, panie Maryn. Nie trzymał jej pan, lecz był pan przy tym. I ona nigdy panu tego nie daruje. Pewnego dnia zada panu taki ból, że będzie pan wył jak zwierz po postrzale. Sobota nie był głupim człowiekiem. Zostawił panu swój majątek, dał mu jednak strażnika. Gdy ona zauważy, że pan się pobratał z leśnymi ludźmi, je pan z nimi chlebek ze słoniną, obrzydni panu ta darowizna.

- To znaczy, że ten chlebek i ta słoninka...

- Tak, panie Maryn. To nasza zapłata za przyjaźń. Ona panu tego nie daruje - zachichotał.

Karaś powiedział przykładając dłoń do piersi:

- To nieprawda, co powiedziałem, że wszyscy ją mieli. Ja wtedy nie byłem w lesie. I niech jej pan to powtórzy, panie Maryn, jeśli można o to poprosić. Żona mi całymi dniami nie sypia, bo powiada, że w każdej chwili dach się może nam nad głową zapalić. Niech pan stąd wypędzi tę wilczycę.

- I niech pan sprzeda kłacz, panie Maryn. Nie będzie pan już nią jeździł po lesie - doradził Budrys. - Na wszystko się ona zgodzi, ale nie pozwoli bywać w lesie. Bo tak ją wychował stary Horst.

- To mój dom i mój sad - powiedział Maryn. - Darował je mnie, a nie jej.

- Wszyscy wiedzą, co chciał dopisać u rejenta. Że ją panu daruje razem z domem i sadem. A to znaczy, że i pana jej darował. Bo tylko ją kochał naprawdę.

Maryn wzdrygnął się. Nie tak dawno usłyszał te same słowa od Weroniki. Powiedziała mu, że jeśli komuś darowuje się dom, sad, kobietę, klacz, psa, to jak gdyby tym wszystkim rzeczom i istotom darowało się ich właściciela. Przez tę darowiznę stał się niewolnikiem domu, sadu, tej kobiety.

- Niech pan wypędzi stąd tę wilczycę - prosząco powtórzył Karaś. Maryn w milczeniu wytarł w chusteczkę zatłuszczone palce, w milczeniu skinął głową obydwu leśnym ludziom, wskoczył na klacz i pomknął w las. Klacz znowu zanosila go na Topnik, potem na Nieżywe i Zgniłe. Zdawał sobie sprawę, że coraz mniej rozumie ze spraw, które go ogarnęły. Na zrębie przy ognisku czuł racje Budrysa i Karasia, przemawiało do niego podejrzenie, że Weronika mści się na wszystkich, którzy spowodowali jej kalectwo kobiece. Czy zapomniała, że Maryn nie ruszył się od stołu, gdy ją chwycił Tarchoński, Budrys i Wzdreęga. Czyżby naprawdę nic jej nie obchodziło, że obcy człowiek wziął cały majątek po Horście Sobocie?

Wrócił przed zmrokiem na spienionej klaczy i zanim wszedł do mieszkania, bardzo długo wycierał jej boki wiechciem słomy. W kuchni pojawił się chmurny i milczący, choć ona zdawała się tego nie zauważać. Zbliżyła się do Maryna, delikatnie dotknęła jego ramion, zajrzała w twarz.

- Nic ci się nie przytrafiło - stwierdziła. - Ale nie jedź więcej do lasu i nie zadawaj się z leśnymi ludźmi. Jest we wsi do kupienia nowa dwukółka. Zaprzęgniemy do niej klacz i będziemy odtąd jeździć we dwoje. Do sklepu, a nawet do miasta.

- Nie - odparł. - Kupię drugiego konia. Nauczę cię na nim jeździć. Będziemy razem pędzili przez wielki las.

- Przecież wiesz, że nie powinnam chodzić do lasu...

- Właśnie o to mi chodzi, żebyś zaczęła w nim bywać.

Wzruszyła ramionami i zaczęła podawać sutą kolację. Znowu sama nic nie jadła, tylko usiadła po drugiej stronie stołu i patrzyła na niego.

- Spotkałem Karasia i Budrysa. Spaliłem ich zdjęcia, żeby czuli się bezpieczni.

- Zemszczą się na tobie...

- Budrys wspomniał, jak to Tarchoński i Wzdreęga trzymali cię, a Kulesza gwałcił.

Zacisnęła usta, trochę przybladła.

- Tarchońskiego pokasała wilczyca. To samo stało się z Budrysem. Wzdreęga uciekł stąd. Pozostałem tylko ja. Siedziałem wtedy przy stole i patrzyłem, jak się wyrywasz z ich rąk, jak rozchyła się szlafrok, obnażają się twoje piersi i brzuch, Budrys rozwierał nogi, a Kulesza rozpinał rozporek.

- Po co mi to przypominasz?

Przestał jeść, odsunął się z krzesłem od stołu, przymknął powieki, odrzucając do tyłu głowę.

- Bo pamięć o tej chwili dziwnie na mnie działa. Podnieca mnie. Miałaś pełne nienawiści oczy i gdybyś mogła, to byś nas pokąsała, wydrapała oczy, jak prawdziwa wilczyca.

- Myślałam, że jednak choć trochę wierzysz w miłość.

- Zgaduję, co mnie czeka. Jaką zemstę gotujesz dla mnie? Nie boję się wilczyc. Nie boję się leśnych ludzi. Gdybyś coś więcej o mnie słyszała, wiedziałabyś, że rzadko bywam przerażony.

- Pytam cię znowu: po co o tym mówisz?

- Bo chcę, żebyś się mnie bała. Tak jak teraz ze strachu ścisła kolana. Mówili mi, że powinienem wypędzić z tego domu tę wilczycę, jak cię nazwali. Ale to głupie. Ten dom i sad tak naprawdę jest tylko twój. Aleja poty tu będę bezpieczny, dopóki ty będziesz się mnie bała, nocą i dniem ścisła kolana.

Wolno podniosła się od stołu. Wolnym krokiem ruszyła do drzwi. Otworzyła je, odwróciła głowę i zanim poszła do siebie na górę, powiedziała do Maryna:

- Niewielu rzeczy się boisz, Józwa. Ale przecież miłości to się lękasz...

Poczuł się jak spoliczkowany. I po co to było? Dlaczego rozpoczął rozmowę na ten wstętny temat? Czemu ją dręczył? Naprawdę uwierzył w gadanie Budrysa i Karasia o wilczycy, o groźbie podpalenia domu, o strachu Wzdreği? Jeśli ta dziewczyna była wilczycą, którą powinno się wypędzić, to nic nie stało na przeszkodzie, aby pojechał do rejenta i przepisał na nią dom i sad, odszedł stąd, tak jak to powinien uczynić przyzwoity człowiek. "Do diabła - pomyślał. - Czyżby las i mnie zaczął odbierać duszę?"

Wykąpał się i poszedł do sypialni. Weronika już tam była, choć spodziewał się, że po upokarzającej rozmowie skryła się w swoim pokoju na górze. Leżała pod pierzyną i spała albo udawała, że śpi. Rozbierając się miał uśmiech na twarzy, bo pomyślał, że jeśli nie śpi, z trwogą ścisła uda i kolana. Czuł się zmęczony całodziennym pobytem w lesie, wypalił w łóżku papierosa i zaraz zgasił światło. Tym razem za oknem głośno huczał las i zagłuszał szmer oddechu Weroniki. Był niemal pewien, że rozumie mowę lasu, słyszy od niego o jego wrogości i nienawiści, ale także o tym, że ma w nim jedynego przyjaciela i dlatego dopóki zostanie tutaj, nigdy nie zazna uczucia samotności. Głos lasu pomógł mu zasnąć tak spokojnie jak nigdy dotąd, zapomnieć o kobiecie, która leżała obok. Nie wiedział, że szum drzew leśnych wygnał z niej sen i sprowadził myśli które aż przerażały swoim okrucieństwem. Wyobrażała sobie, że oto zabija Maryna, ale nie potrafiła wymyślić, w jaki sposób tego dokonać, aby umierał długo i w męczarniach, błagalnie patrząc jej w oczy. Dlaczego ją dręczył wspomnieniem tamtej chwili w leśniczówce? Do czego chciał ją zmusić, gdy wspominał, że pozostał jedynym nie okaleczonym zemstą świadkiem jej kobiecej hańby? Dlaczego był zły, kiedy ona stawiała się dla niego dobra i uległa, a nawet zachęcała go, aby ją wziął siłą? Kazał jej być dumną, wyniosłą, pogardliwą. To

prawda, co jej powiedział, że ona nie rozumie mężczyzn. "Śpi ufnie jak małe dziecko - pomyślała. - A przecież mogę wstać, pójść do kuchni, wziąć nóż i przebić go we śnie".

Przypomniała jej się Leśniakowa i jej gadanina. Czy naprawdę mężczyźni tęsknią za piersią i krocem, bo urodziły ich kobiety? Rozpięła guziki w dekolcie nocnej koszuli, wsunęła tam dłoń i namacała dużą, twardą pierś. Co stało na przeszkodzie, aby unieść się na łokciu, pochylić nad mężczyzną i jak w usta niemowlęcia włożyć mu w wargi sutkę tej piersi? Sama myśl o tym, że będzie ją ssał, pił z niej życie - choćby wyimaginowane, wymyślone - wprawiała jej ciało w rozkoszne drżenie, a dotyk własnej sutki dawał dziwną przyjemność. Ze zdumieniem zauważyła, że kolana i uda same rozchylają się. Odniosła wrażenie, że tam, między nogami, stała się otwarta i gdyby ten mężczyzna teraz w nią wszedł, stałoby się to bez bólu. Zrobiło jej się gorąco i odrzuciła z siebie pierzynę, zadzierając koszulę aż do brzucha. Ale ten mężczyzna spał, posapując głośno, i to ją tak rozgniewało, że znowu zapragnęła wziąć nóż i zranić go śmiertelnie, jak gdyby tylko to mogło zaspokoić jej pożądanie.

Jak długo tak leżała na wpół naga w słabym dzisiaj świetle księżycowego blasku? "Wilkołak" - tak o nim powiedziała Eryka. I nie mogła się opanować, aby nie wyciągnąć ręki i palcami dotknąć jego krótko ostrzyżonych włosów na głowie. Chyba nie obudził się, więc przekręciła się na bok, uniosła na prawym łokciu i lewą dłonią coraz śmielej głaskała jego szorstkie, sterczące włosy. Potem opuszczała palców, w których zaczynała odczuwać mrowienie, zsunęły się na jego czoło. Zatrzymała dłoń na powiekach zamkniętych oczu i serce zabiło jej strachem, gdy pod palcami poczuła drżenie rzęs. Obudził się więc. Przestraszył przegonił jej dłoń na jego nos i później na usta. Palce wyczuły - jak się jej zdawało - wilgotne i lepkie wargi, jak u niemowlęcia. A wówczas strach w niej zniknął, rozerwała na piersiach koszulę, podsunęła się bliżej mężczyzny i sutkę lewej piersi wsunęła między jego wargi.

Zaczął ją ssać jak dziecko. To było rozkoszne i takie dobre, bo przecież dawała mu siebie, swoje życie. Jej lewa dłoń znowu zaczęła pełznąć po jego ciele. Ze zdumieniem dotknęła małego guziczka męskiej sutki, zadziwiła się, że jest coś niezwykle ciekawego i podniecającego w odkrywaniu tajemnic męskiego ciała - nie wiedziała o tym w małżeństwie z Kuleszą. Jej dłoń i jej palce otwierały przed nią jakiś nowy świat, wyczuwała wysokie sklepienie męskich żeber, potem zapadnięty brzuch o twardych mięśniach, zupełnie inny brzuch niż jej, Weroniki. On wciąż ssał ją wolno, czuła nie tylko jego wargi, lecz także delikatny uścisk zębów. To jej jednak nie sprawiało bólu, a nawet zwiększało przyjemność. "Dalej nie wolno" - ostrzegała się, pamiętając, jak uciekła z jego łóżka. Ból pożądania wydawał się jej coraz większy, a wyznaczone granice dla dłoni budziły pragnienie, aby je przekroczyć nawet wbrew rozsądkowi. Zrobiła jeszcze jeden ruch, zsuwając dłoń po szorstkim owłosieniu. I tam, gdzie kiedyś natknęła się na sterczący stromo twardy odrost, napotkała coś miękkiego, delikatnego, gorącego. Jęknęła radośnie, bo nie doznała już przerażenia, tylko poczucia ogromnego bezpieczeństwa. Jak gdyby bojąc się, że ulega złudzeniu, chwyciła całą dłonią wiotkiego członka i położywszy się na tym mężczyźnie, szeptała mu do ucha: "Będziemy jeździli po lesie, tak jak zechcesz. Będę ci służyła wiernie, jak zechcesz. Będę cię kochała miłością taką, jaką zechcesz". Należał 'teraz do niej. Nie będzie nadziewał na siebie kelnerki z Gaud, a ona co noc zacznie przeżywać rozkosz ssania, radość, jaką przynoszą jej dłonie. Jakże wiele zagadek zapewne kryje jego gładka skóra, jego uda, jego małe sutki, jego szorstka broda. Przestała

szeptać do jego ucha, gdyż pierwszy raz w życiu usłyszała i pojęła mowę własnego ciała. Zaczęła całować go w czoło, w oczy, wyjęła mu pierś z ust i wsunęła mu w usta swoje wargi, aby posmakować jego śliny. I wtedy poruszył się pod nią. Jego nieruchome dotąd dłonie objęły ją, poczuła je na nagich pośladkach. Miała uczucie, że chwilami traci przytomność od dręczącego ją pożądania, i dopiero w ostatniej chwili zauważyła, że w jej dłoni coś twardnieje i rośnie, zaczyna pokrywać się węzłami żył z pulsującą krwią. Pomyślała, że jeśli teraz ucieknie - znenawidzi się i zabije. Dlatego sama zada sobie ból choćby najstraszniejszy. Głośno dysząc przełożyła przez niego udo, wsparła się na kolanach i nadziała się na jego członka. Krzyknęła cicho, bo spodziewała się bólu. Ale doznała wrażenia rozkosznego wypełnienia. A wraz z nim nastąpiła ulga. Dygocąc ze szczęścia, ujęła jego głowę w swoje dłonie. W słabym świetle księżycowego blasku widziała zaledwie owal jego twarzy, ale przecież wyraźnie spostrzegła błysk łez, które z jej oczu spadały na jego oczy i policzki. Poruszyła się na nim delikatnie, a potem drgnęła, gdy gdzieś w głębi jej łona uderzyło ją wytryskające z niego nasienie. Z oddali słyszała szum lasu. Jeszcze mocniej przywarła do niego piersiami i twarzą, a on ścisnął ją ramionami aż do utraty tchu. Ta chwila zdawała się przedłużać w wieczność, gdyż ogarnęła ich miłość wielka, czysta i prawdziwa.